

axelsson majgull

Lód i woda, woda i lód

przełożyła Katarzyna Tubylewicz

Wydano z pomocą finansową Swedish Arts Council

Tytuł oryginału: Is och vatten, vatten och is Copyright © 2008 Majgull Axelsson First published by Norstedts, Sweden, in 2008 Published by agreement with Norstedts Agency Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo W.A.B., 2010 Copyright © for the Polish translation by Wydawnictwo W.A.B., 2010

Wydanie I Warszawa 2010

Mother, you had me But I never had you Oh, I wanted you But you didn't want me John Lennon Plastic One Band, 1970

“Odyn”

Ktoś był w kajucie.

Czuje to w chwili, gdy wkłada klucz do zamka, wie już, w sumie nie wiedząc, zanim przekręci klucz. Bębenek kręci się bez żadnego oporu. Wychodząc, chyba zamykała drzwi na klucz? Oczywiście, że tak. Zawsze to robi, kiedy wraca i kiedy wychodzi, zamyka na klucz nawet na noc, chociaż wszyscy twierdzą, że to niebezpieczne. Ale teraz drzwi nie są zamknięte. Ktoś był w jej kajucie. Znowu.

Przez chwilę waha się, zerka w prawą i lewą stronę korytarza i dopiero potem kładzie rękę na klamce. Nikogo nie widać, ale z kajuty obok słychać muzykę i jakieś głosy. Mieszkają tam Magnus i Olle, któryś z nich wybucha śmiechem i to ją uspokaja. Magnus jest milkliwym, niebieskookim olbrzymem, Olle to uśmiechnięty marynarz, spędzający co najmniej godzinę dziennie w siłowni. Przyjdą, jeśli zaczną krzyczeć. Jest tego pewna. Prawie pewna.

Mimo to waha się jeszcze kilka sekund, zanim otworzy drzwi, a potem stoi w wejściu z uniesioną brodą, wężąc jak pies. Ktoś, kto odwiedza jej kajutę, kiedy jej samej tam nie ma, zostawia po sobie zapach, wątlą smugę benzyny czy oleju, tytoniu albo wody po goleniu, wystarczająco wyraźną, by nie umknęła jej uwagi, ale tak słabą, że nie może o niej nikomu powiedzieć.

Przestępuje wysoki próg i znowu przystaje. Rozgląda się wkoło i jeszcze raz obwąchuje pustkę w powietrzu, kąciki ust opadają. Dziś nie czuć benzyny ani oleju, żadnego tytoniu czy wody po goleniu. Śmierdzi uryną. Może to zbyt grzeczna forma, by wyrazić, w czym rzecz.

Faktycznie śmierdzi szczynami. To najpaskudniejsze znane jej słowo, ale jedyne, które naprawdę oddaje ten smród. Ktoś naszczał w jej kajucie.

Zaskakuje ją wstyd. Gwałtownie zalewa całe ciało i sprawia, że natychmiast zatrząskuje za sobą drzwi. Nikt się nie dowie, czym u niej śmierdzi, nikt nie będzie mógł pomyśleć, że to ona, nikt nie... Wstrzymuje oddech i opiera się plecami o drzwi. Czas się uspokoić. Czas na rzeczowość i zdrowy rozsądek. Trzeba sprawdzić, co zrobił tym razem.

Ślady obecności, które zostawił po sobie ten facet - czy to mężczyzna? to przecież musi być mężczyzna? - są zazwyczaj wystarczająco wyraźne, by mogła zrozumieć, że tu był, a jednocześnie tak subtelne, że nikt inny ich nie zauważy. Przecież sama mogła wysypać rzeczy z kosmetyczki na szorstką powierzchnię kanapy, ściągnąć narzutę i pościel ze świeżo zasłanej koi, a potem cisnąć je na wymiętą kupę lub otworzyć szafę i wyrzucić z niej czystą bieliznę. Jednak to nie ona. Tylko ktoś inny. Ktoś, kto przynajmniej cztery razy wtargnął do jej kajuty, zostawiając po sobie ślady i zapach.

Statek przechyla się, a ona przyciska dłonie z rozcapierzonymi palcami do drzwi za sobą, żeby złapać równowagę. Ten ruch coś jej przypomina. Miało być rzeczowo i rozsądnie. Prostuje się, robi kilka kroków do środka kajuty, a potem się rozgląda, stojąc w rozkroku równoważącym kolejne przechyły. Jest na pokładzie dopiero od ośmiu dni, ale organizm dopasował się już do nowych warunków. W barze na dole siedzi jak mężczyzna, z szeroko rozstawionymi nogami, na pokładzie dmucha na kłykcie, zanim schowa dłonie pod pachami, a kiedy na miękkich gumowych podszewkach biegnie po schodach na mostek kapitański na codzienną odprawę z naukowcami i kapitanem, skacze po dwa stopnie. Podczas spotkań rzadko mówi, kręci tylko lekko głową, aż koński ogon łaskocze ją w kark.

Nie, reprezentantka świata artystycznego nie ma nic do dodania. Już samo to określenie sprawia, że robi jej się trochę wstyd. Czy rzeczywiście jest artystką? Nie jest tego pewna. Wie tylko, że siedzi tu, w tym miejscu, ponieważ Marcus - który naprawdę jest artystą - nie chce chodzić na zebrania. Nie ma na to czasu, jest całkowicie pochłonięty chodzeniem po statku, dookoła, dookoła, i mruczeniem do siebie. Na początku myślała, że to jakiś maniak, ale teraz, kiedy porozmawiała z nim już kilka razy, wie, że może być po prostu powolny i rozważny. Jest tak zajęty patrzyeniem, że chyba stracił umiejętność słuchania. Już trzeciego dnia przestała go informować, co mówiono przy stole kapitana, bo kiedy próbowała, wydawał się zaambarasowany, jakby zupełnie nie pamiętał o porannych spotkaniach. Teraz, kiedy spotykają się na pokładzie albo przypadkiem usiądą obok siebie w mesie, kiwa mu tylko głową i uśmiecha się niewyraźnie, tak jak on.

Może sama powinna przestać chodzić na te spotkania. Nigdy nie ma przecież nic do powiedzenia i zdecydowanie zbyt często wyłącza się i nie słyszy, o czym mówią inni. W zamian wodzi spojrzeniem wokół stołu, studiując twarz za twarzą. Czy to któryś z nich? Ten blady chemik, który czerwieni się za każdym razem, kiedy ktoś go zagadnie? Albo Sture, meteorolog ciągle siedzący z założonymi rękami, jakby się spodziewał, że to właśnie jego oskarżą z powodu mgły i wzburzonego morza? Czy może to być docent z długimi włosami, zebranymi w siwy kucyk, o imieniu, które ciągle zapomina? Albo Fredrik z brązowymi oczami, spokojny mediator, który znajduje kompromis pomiędzy sprzecznymi życzeniami, urodzony dyplomata, co zdecydował się zostać sternikiem?

Nie. Nie jest w stanie w to uwierzyć.

Dlaczego któryś z tych mężczyzn, którzy codziennie siadają przy stole

konferencyjnym kapitała, miałby wchodzić do jej kajuty i zostawiać po sobie ślady? Żadnego z nich nie zna, nie wie o nich nic, podobnie jak oni nie znają jej i nie wiedzą o niej niczego ponad to, co pisano w gazetach, jeśli w ogóle coś wiedzą. A kobiety wokół stołu? Czy można sobie w ogóle wyobrazić, że skora do śmiechu profesorka Ulrika mogłaby wpaść na pomysł grzebania w cudzej bieliźnie? Albo że spokojna i genialna Katrin, która zna pięć języków i ma doktorat z fizyki i chemii, mogłaby skrywać ponurą nienawiść za fasadą łagodności? Nie wspominając już o Jenny, reprezentantce młodych doktorantów, tej która z powagą notuje każde słowo i chichocze jak uczennica z najbardziej błahych dowcipów?

Nie. To niemożliwe. Żadne z nich. Jednak ktoś zdecydowanie był dziś wieczorem w jej kajucie. Okno jest zamknięte. Drzwi do toalety otwarte na oścież. Kiedy stąd wychodziła do baru, było na odwrót. Pomimo niepokoju kielkuje w niej też cicha satysfakcja. Otwarte drzwi wskazują, że był w toalecie. Czyli dostał od niej wiadomość. Nareszcie. Ostrożnie zerka przez próg. Podniesiona kłapa sedesowa. Kółko też. Czyli mężczyzna. Zasłona prysznicowa jest zasunięta, białe tło z bladeżółtymi kwiatkami połyskuje w nocnym zmierzchu, kołysanie morza sprawia, że faluje jak pole rzepaku w letnim wietrze. Tylko że ten ruch mógłby także zdradzać czyjąś obecność. Ktoś może stać za zasłoną i czekać na nią, gotów do...

Bzdury. Kimkolwiek był, to tchórz i słabeusz, i ona nie zamierza dać się wystraszyć jego idiotycznym akcjom. Dlatego zanim jeszcze dokończy tę myśl, wchodzi do łazienki i odsuwa zasłonę na bok, żeby stwierdzić, że pod prysznicem nikogo nie ma. Zaskakuje ją ulga, czuje miękkość w kolanach, aż musi oprzeć się o ścianę i odetchnąć. Mija kilka sekund, zanim zauważy, że tapeta obok jej ramienia jest teraz w paski, żółtobrazowe pasy na beżowym tle, lepkie paski, których wcześniej tu nie było.

To świnią! Bez chwili namysłu zdejmuje bluzkę i wyrzuca ją za drzwi. Nocą wrzuci ją do morza, pranie nic tu nie pomoże, nigdy więcej nie będzie nosić czegoś, co choćby musnęło tego plugawego gnoja lub jego...

Obejmuje się ramionami i odwraca w stronę lustra. Tak. Otrzymał jej wiadomość, to oczywiste. Zanim wyszła z kajuty, zajrzała do łazienki i szminką na lustrze napisała to samo, co pisała za każdym razem, kiedy wychodziła w ciągu ostatnich dni: BÓG CIĘ WIDZI, GNOJU! Wiadomość nie została dobrze przyjęta. Rozmazał szminkę po całym lustrze, a napis wytarł ręcznikiem, który zapaćkany rzucił na ziemię. Potem tą samą szminką napisał dużo większymi literami własną wiadomość: PIZDA!

Kilka razy przetyka ślinę, żeby się uspokoić. Błyskotliwa riposta. Nader utalentowany. Poza tym cholernik złamał jej szminkę - teraz dopiero to widzi - jedyną szminkę, jaką zabrała ze sobą na ekspedycję, pojedynczy egzemplarz Long Lastin Juicy Rouge Lancôme w odcieniu numer 132. Zabije go. Jak tylko go dorwie, najpierw oberwie mu uszy, a potem go zabije.

Oczywiście pod warunkiem że on nie zabije jej pierwszy. Twarz, która miga jej w lustrze, jest tak blada, jakby należała do jednego z jej zamordowanych bohaterów -oby to nie był zły omen.

Zaraz po odbiciu od lądu statek zmienia kurs. Sternik wyłącza autopilota i kładzie rękę na drążku, małym dżojstiku, znacznie mniejszym od drążka zmiany biegów w samochodzie, choć steruje żółtym

gigantem, jakim jest lodołamacz „Odyn”. Z wyczuciem, bardzo ostrożnie i powoli, kieruje dziób statku na północ, umiarkowany i opanowany w każdym ruchu, w sposobie, w jaki chwyta okrągłe zakończenie drążka, w lekkim zgięciu łokci, nieznacznym napięciu mięśni ramion. Nie idzie tak łatwo. Steruje przecież statkiem, a nie falami Atlantyku, które atakują kadłub, gdy płynie w poprzek fali, i zaczynają się z nim bawić jak z malutkim dzieckiem. Z udawaną gwałtownością i wielką ostrożnością unoszą jego tłuste ciało wysoko, ku jasnoszaremu, nocnemu niebu po to, by za chwilę pozwolić mu zanurzyć się w ciemniejszą szarość załamania fal, unoszą i pozwalają opadać, unoszą i opuszczają...

Sternik bezwiednie wysuwa czubek języka, żeby pomógł mu w sterowaniu, napina mięśnie pleców, wzmacnia uścisk wokół drążka. Jest bardzo skoncentrowany, ale w zmarszczkach wokół oczu czai się uśmiech. To tutaj chce być. Nigdzie indziej. Gdyby pozwolono mu wybrać własny raj po śmierci, wybrałby właśnie to: wieczną nocną zmianę na mostku kapitańskim „Odyna”, w chwili gdy statek odwraca się tyłem do Atlantyku i płynie w stronę Cieśniny Davisa z Ziemią Baffina po lewej stronie burty i cieniem zachodniego wybrzeża Grenlandii po prawej. Całą wieczność mógłby spędzić w tej samotności, bo jest w niej także dająca pociechę pewność, że otaczają go ludzie.

Jest ich wielu, a zarazem tylu, że może ich policzyć, w dodatku większość śpi w swoich kajutach. Teraz czuwa tylko on i dwóch robotników na dole w maszynowni. Oczywiście pod warunkiem, że wszyscy nie obudzili się od przechyłów i teraz nie leżą, trzymając się krawędzi swoich koi, przerażeni, że z nich powypadają. Mogą sobie wypadać. Najważniejsze, żeby żaden nie wlaź teraz na mostek kapitański i nie zakłócił sternikowi Leifowi Erikssonowi jego najlepszych chwil.

O tak. Zmiana kursu wykonana. Przytępiony dziób statku kieruje się wprost na północ, przechyły ustały. „Odyn”, statek o kobiecych kształtach i męskim, boskim imieniu, spokojnie kołysze się naprzód. Na otwartych wodach porusza się jak kobieta w dziewiątym miesiącu ciąży lub jak zapaśnik poza ringiem. Ale wkrótce, za kilka godzin lub dni, zostawi za sobą ten nienaturalny stan i wśliznie się w lód. To jego żywioł, to tam może tańczyć.

Leif Eriksson włącza autopilota, prostuje plecy i czuje, jak opada z niego napięcie. Raj? Tak, czego to sobie człowiek nie ubzdura późną nocą? Przecież bardziej prawdopodobne jest, że wyląduje w piekle. Dobrze wie, jak ono wygląda, to także. Piekło jest wiecznym popołudniem w starej, rozwalającej się dacy, którą jego żona odziedziczyła po rodzicach, palącym żarem dnia, gdy trzeba opróżnić beczkę z szambem i pomalować okna, i kiedy kobita ma zły humor, whisky się skończyła, a nastoletni syn chce wracać do miasta, do komputera, który trzyma go przy życiu...

Ech. Wszystko to można zapomnieć. Do domu nie wróci wcześniej niż za półtora miesiąca, wtedy będzie już po wakacjach i letnia chałupa zostanie zamknięta na ten sezon. Udało mu się od niej uratować, także tego lata. Swoją cenę już zapłacił, żona boczyła się przez dwa tygodnie po tym, jak powiedział, że zgłosił się na ekspedycję, ale odpuściła, gdy wspomniał jej o pieniądzach.

Wszystkie te cudowne dodatkowe dochody można będzie wykorzystać na zakup tej czy innej zbędnej rzeczy. Zawsze przestaje się boczyć, kiedy Leif obiecuje jej niepotrzebne rzeczy. Nawet już nie pamięta, o co chodzi tym razem... Nowe kafelki do kuchni? Nie, to było w zeszłym roku. Kino domowe, no tak. Psiakrew. Oznacza to, że wcześniej czy później będzie musiał przestudiować co najmniej 400 stron

instrukcji obsługi. Może powinien zadzwonić jutro do domu i powiedzieć, żeby kupiła przekłętą ustrojstwo już teraz, razem z instalacją i ze wszystkim...

Chociaż nie. Nie chce mu się z nią gadać. W ogóle nie ma ochoty na żadne rozmowy. Jedyna rzecz, na którą ma chęć, to siedzieć w zupełnej samotności na szóstym piętrze, na mostku kapitańskim „Odyna”, i wypatrywać, co dzieje się na horyzoncie. Może już tej nocy pojawi się tam góra lodowa. Ma nadzieję, że tak. Góry lodowe, dokładnie tak jak wszystko inne, są większe i piękniejsze, jeśli można je oglądać w samotności. Patrzy, mrużąc oczy, w kierunku szarej nieskończoności. Nie. Jeszcze nic nie widać i gdzieś wewnątrz czuje, że to za wcześnie. Jutro, może wtedy...

Coś wstrząsa statkiem. Leif Eriksson marszczy czoło i pochyla się do przodu, przez kilka sekund siedzi bez ruchu z uniesioną ręką, gotowy chwycić drążek steru, gdyby zaistniała taka konieczność, ale nic się nie dzieje. Opuszcza rękę i wstaje. Czas na kawę. I trochę notatek w dzienniku pokładowym.

Łapie kubek obiema rękami i robi obchód sterówki, przyglądając się białej nocy na zewnątrz. Słońce polarne jest jak srebrna moneta za chmurami. Na sekundę Leif częściowo traci kontakt z rzeczywistością i wydaje mu się, że frunie, potem mruga, żeby się opamiętać. Nie leci, tylko znajduje się wysoko ponad morzem, aż na szóstym pokładzie, i mocno stoi na szeroko rozstawionych nogach, na pokrytej wykładziną podłodze.

Może mami go światło. Wystarczy się odwrócić, żeby zobaczyć, co dzieje się na dziobie i na rufie, po prawej i po lewej stronie burty, ale nie sposób zobaczyć wszystkiego, bo za dużymi oknami wznosi się powoli ku niebu mgła późnej nocy, która rozmazuje wszystkie kontury. Marzną mu palce u rąk, więc odruchowo zerka na termometr, chociaż wie, że temperatura na zewnątrz nie ma nic wspólnego z ciepłem na mostku kapitańskim. Siedział tu i w koszuli z krótkim rękawem, kiedy na dworze było minus czterdzieści stopni. Mostek kapitański „Odyna” w swojej niezmienności zapewnia bezpieczeństwo. Nawet kiedy na zewnątrz wyje sztorm, wszystkie dźwięki są tu w środku miękko przytłumione, nawet przy najstraszniejszych falach oprzyrządowanie pozostaje stabilnie przyśrubowane tam, gdzie jego miejsce. Nawet paperek nie spadnie na podłogę, a jeśli już, to ten, kto stoi najbliżej, natychmiast go podnosi. Leif krzywi się. Na rodzinnych wakacjach trzeba by chyba zrobić zebranie i negocjować, kto mógłby zgjąć kark. Dlatego woli morze. Unika się tu masy bzdurnego gadania.

Noc ciemnieje, ale to przez chmury i mgłę, a nie przez położenie słońca o północy. Musiało się jednak oziębnić, widzi to, kiedy zerka za rufę. Kilwatter, który zaledwie parę godzin temu pieniał się biało i szaro, dosłownie zamienił się w srebro. Zmarszczki na wodzie rozchodzą się tylko parę metrów na boki, a potem znikają - lekkie kolebanie, które zamiera, nim naprawdę się zacznie. Leif Eriksson upija łyk kawy, przyglądając się morzu. Powłoka lodowa? Już? Odwraca się i sprawdza, co dzieje się przed dziobem. Tak. To samo. Powierzchnia morza błyszczą jak woda, ale niemal bez ruchu, znajduje się w tym szczególnym stanie pomiędzy lodem a ciecżą.

Aha. No tak. Czyli zaraz będzie trzeba przebijać się przez prawdziwy lód.

Sam do siebie kiwa głową

i znowu opada na fotel, opiera głowę na podglówku i wbija wzrok w horyzont. Siedzi tak przez dłuższą

chwilę bez ruchu, jeśli nie liczyć powolnego mrugania powiek, nareszcie niemy, nawet wewnątrz.

Dopiero jakieś poruszenie, widoczne kątem oka, sprawia, że i on sam się porusza, prostuje plecy tak gwałtownie, że zimna kawa niemal wylewa się z kubka. Patrzy w dół na pokład, mrużąc oczy, żeby widzieć lepiej. Kto to jest? Co robi na pokładzie o wpół do drugiej w nocy? Leif odstawia kubek i pochyla się do przodu, tak że ledwie kilka centymetrów dzieli go od szyby. Przeciera palcami kąciaki oczu, żeby widzieć jeszcze wyraźniej. Czy to jakaś dziewczyna z grupy naukowców? Nie. Pierwsze próbki pobierane są dopiero koło czwartej nad ranem, wcześniej śpią tak głęboko, jak tylko się da. Poza tym żadna z tych chemiczek, oceanografek, czy jak je tam, cholera, zwą, nie ganiałaby po pokładzie w samej koszuli nocnej... Bo ta lata, wyraźnie to widać. Kobieta, która chodzi po przednim pokładzie, jest wprawdzie ubrana w niebieską wiatrówkę uczestnika ekspedycji polarnej, ale nie ma żadnej wątpliwości, że narzuciła ją na białą koszulę nocną, wciskając bose stopy w brązowe botki. Wygląda jak zabłąkana święta Łucja, która idzie z wyciągniętą do przodu prawą ręką i czymś białym, nie, czymś czarnym, nie, raczej czarno-białym, dyndającym w palcach. Podchodzi do dziobu, wspina się na małą drabinkę przy relingu, przechyla nad krawędzią i bez chwili zastanowienia wrzuca czarno-białe coś do morza. Potem odwraca się i jak dziecko zeskakuje na pokład, wciska ręce do kieszeni i idzie z powrotem. Dopiero kiedy wiatr podrywa jej kędzierzawe włosy, Leif Eriksson ją rozpoznaje. To ta blada istota, przezroczysta jak surowa krewetka i podobnie bezbarwna. Wycofana. Zdecydowanie nie jedna z tych, o którą zakładały się chłopaki z załogi. Wygląda na to, że wyczuwa, iż ktoś się jej przygląda, bo nagle przystaje i patrzy w górę ku mostkowi kapitańskiemu, a potem niepewnie podnosi rękę w geście pozdrowienia.

Nie może go widzieć, Leif wie o tym, nikt, kto stoi na przednim pokładzie, nie może zobaczyć mostka kapitańskiego, nawet w dziennym świetle, ale mimo to z podobnym ociąganiem odmachuje jej w odpowiedzi. Za chwilę już jej nie widać.

Leif Eriksson ze skrzywioną miną ponownie opada na swój fotel. O co w tym, na Boga Ojca, chodziło? Zerka na zegarek, jest 1.34. Musi zanotować w dzienniku kapitańskim, co zrobiła, i czas jest tu istotny. Niech się tym rano zajmie kapitan i ją zbeszta. Wszyscy przecież wiedzą, że na tych wodach niczego nie wolno wrzucać do morza. Lodołamacz to zamknięty system, organizm, który wprawdzie wsysa morską wodę do swojego laboratorium, ale nie pozostawia po sobie żadnych ludzkich odpadów. Jakżeż mogłoby być inaczej? Jaki sens miałyby statek naukowy, który sam zanieczyszcza badaną przez siebie wodę?

-Przeklęta baba!

Zaskakuje go własny głos. Drży, co wywołuje wstyd, a fakt, że się wstydzi, sprawia, że jeszcze bardziej się wścieka.

-Cholerna, przeklęta baba!

Bierze swój kubek i idzie z nim do mesy. Wylewa zimną kawę, nalewa świeżej i pospiesznie wraca do pulpitu sterowego, a potem siada i próbuje się odprężyć. Nie daje rady. Nagle woda na zewnątrz jest już tylko wodą, wybrzeże zwykłym wybrzeżem, a niebo tylko niebem.

Leif Eriksson wypija łyk kawy. No tak. Zepsuła mu nocną zmianę. Wielkie dzięki. Cholerne podziękowania.

Kiedy Anders wstaje, oślepią go słońce, musi zmrużyć oczy, żeby wyrzeć przez okno. Oczywiście wie dlaczego. Któregoś ranka, nie dalej niż pół roku temu, wygłosił na ten temat domowy wykładzik dla Evy. Z każdym dniem grubiej włókna proteinowe za soczewką oka, wyjaśniał, im grubsze się stają, tym mniej elastyczna jest soczewka. Któregoś dnia nie będzie już mogła dostosować się do światła i ciemności, ale do tego jeszcze daleko. Ma przynajmniej taką nadzieję. Ma nadzieję, wierzy i wydaje mu się, że wie, iż tak będzie.

- Chcesz powiedzieć, że będziesz niewidomy? - zapytała wtedy Eva. Siedziała na brzegu łóżka, zakładając rajstopy. On sam stał przy oknie i zapinał koszulę. Spuściła wzrok, kiedy na nią popatrzył. Czy po raz pierwszy? Nie. Od dawna już unikała jego spojrzenia.

- Nie, nie. Ale jeśli pożyję dość długo, będę miał jaskrę. Wszyscy mogą dostać. Ty też.

Nie odpowiedziała, wstała tylko i niezgrabnym, przyklepującym gestem wygładziła rajstopy. Potem odwróciła się do niego plecami i ruszyła w stronę szafy. Stał jeszcze chwilę, czując się jak dureń. Dlaczego musiał przyjąć taki mentorski ton? Przecież już wiele lat temu przestała mu schlebiać swoim podziwem. Odwrócił się do okna i podciągnął żaluzje, wystawiając oczy na światło, od którego kilka minut temu odwracał się plecami. Zaczęły mu lecieć łzy.

Teraz oczy też mu łzawią, ale przegania łzy szybkim mruganiem. Powolna akomodacja oka zakończona, może wyrzeć przez okno i zachwycić się tym, co widzi.

Połyaskujące morze. Niebieskie niebo. W oddali wybrzeże wpadające w najgłębszy fiolet. Grenlandia. Anders wzdycha i gładzi się po brzuchu. Nareszcie. Przez osiem dni „Odyn” kołysał się na ołowianosinym morzu, przyciśnięty równie sinym niebem, przez osiem dni Anders walczył z przeświadczeniem, że sam się rozpada, zamienia w szarą nicość. Nie dalej niż wczoraj przez całe popołudnie leżał w kajucie tępo i bez ruchu, niezdolny, by się podnieść i zmierzyć z czymkolwiek, co przypominałoby pracę, nie będąc w stanie przekonać siebie samego, że to chwilowe, że szarość ustąpi i... Jednak teraz minęło. To już dziewiąty poranek i morze jest błękitne. Wpłynęli w Przejście Północno-Zachodnie. Zaczyna się prawdziwa podróż.

Musi się spieszyć, nie może czekać. Parska pod lodowatym prysznicem, naciąga podkoszulek bez porządnego wytarcia pleców, a potem otwierając drzwi i wychodząc na korytarz, przeciąga ręką po wilgotnych włosach. Na zewnątrz panuje jak zawsze największy porządek, przed wszystkimi drzwiami do kajut stoją na półkach, w starannym rzędku, ciężkie buty i trzewiki, a zaczytane gazety piętrzą się w symetrycznych stosach. Poza tym jest pusto. Żadnych ludzi. Jego też nikt nie widzi. Dlatego idzie z wyciągniętą przed siebie ręką, przesuując palcami po ścianie. Na wszelki wypadek.

- Trzeba pamiętać tylko o jednej rzeczy - powiedział Folke tamtego popołudnia w szpitalu. - Na statku trzeba mieć zawsze wolną jedną rękę. Zawsze. Cokolwiek by się robiło. Musisz powiedzieć o tym wszystkim już podczas pierwszego spotkania na temat bezpieczeństwa. Widziałem dostatecznie wielu, którzy połamali ręce i nogi tylko dlatego, że nie mogli się podeprzeć, kiedy statek się przechylił.

Anders nie mógł powstrzymać się od śmiechu. Folke zauważył to i uśmiechnął się pod wąsem.

-No tak, co do diabła... Wtedy byłem na lądzie.

Folke został położony na jednym ze swoich oddziałów i leżał tam teraz z nogą na wyciągu, trochę przymulony po niezwykle hojnej dawce leków przeciwbólowych. Pielęgniarki i lekarze wbiegali i wybiegali z jego pokoju, zarazem pełni współczucia i rozbawieni. Ortopeda wylądował na ortopedii! Biedny Folke! Tego lata nie wybierze się na lodowiec.

Zadzwoił do Andersa już jakąś godzinę po tym, jak trafił do szpitala. Anders odebrał po pierwszym dzwonku. Przyzwyczajenie, w ostatnich tygodniach łąpał słuchawkę, gdy tylko dzwonił telefon. Ale to nie była ona. Nigdy ona.

-Co porabiasz? - huknął Folke.

Anders podgrzewał zupę z puszki. Gapił się w okno. Zastanawiał, czy wejść do wanny razem z tosterem. Tym się zajmował.

-Jak to?

- Chcesz popływać po Oceanie Arktycznym?

-Nie.

- Dlaczego nie?

- A dlaczego miałbym chcieć?

- Bo ja ci powiedziałem, że podróż po Oceanie Arktycznym to cholernie fajna sprawa.

- Aha. A czemu sam tam nie popłyniesz?

- Przeszkodził mi w tym mały wypadek. Że tak powiem.

- Jesteś ranny?

- Można tak powiedzieć. Prawa kość udowa i łokieć. A do tego trochę komplikacji w kolanie.

- Ale co się stało?

- Wycieczka na ryby. Śliska skała, kiedy schodziłem na ląd. Pal sześć, najgorsze, że w poniedziałek miałem być na „Odynie”...

Dopiero kiedy siedział już w samochodzie w drodze do szpitala w Helsingborgu, dotarło do niego, że Folke musiał wiedzieć. W przeciwnym razie czemu dzwoniłby właśnie do niego? Na pewno jest pełno ludzi dużo lepiej przygotowanych, żeby zastąpić lekarza pokładowego ekspedycji naukowej. Chociażby ortopedzi i chirurdzy we własnym szpitalu Folkego. Dlaczego miałby wybrać zasranego lekarza rejonowego, gdyby nie wiedział, że żona tego zasranego lekarza właśnie go zostawiła i że istnieje duże prawdopodobieństwo, że ów lekarz rejonowy przez całe lato będzie pogrążał się w rozpacz. Bo, rzecz jasna, żaden szczęśliwy typ z rodziną w komplecie nie zdecydowałby się na wyprawę polarną z zaledwie

trzydniowym wyprzedzeniem. Więc musiał wiedzieć. A jeśli Folke wiedział, to wiedzieli też inni. Świadczyły o tym pewne sygnały, które powinien był dostrzec i zrozumieć, ale które do niego nie docierały. Ale czy siostra oddziałowa któregoś dnia w zeszłym tygodniu nie przechyliła na bok głowy i słodkim jak syrop głosem nie spytała, jak się ma? Gapił się na nią z mieszanką niesmaku i konsternacji, naprawdę nie rozumiejąc w czym rzecz. Albo stary fabrykant cementu, którego zżerał rak i który dzień później klepał Andersa po plecach, z wymuszoną wesołością tłumacząc, że nigdy nie wolno się poddawać. Proszę spojrzeć na mnie! Osiemdziesiąt pięć lat, niemal trup, ale się nie poddaję. I pan też nie powinien, panie doktorze!

Wiedzieli. Może przez cały czas. Może był w mieście jedyną osobą, która nie miała pojęcia o związku Ewy z tym gogusiem. Być może pacjenci i koledzy patrzyli na niego ze współczuciem i pogardą przez wiele miesięcy, może przez ponad rok szeptali za jego plecami.

Czy Eva Jansson jest z tym Bengtssonem? Jezu Chryste!

Na myśl o tym zjechał z autostrady na małą, polną drogę. Podjechał kawałek i zatrzymał się, dokładnie na zakręcie, tam gdzie krzaki były najgęściejsze, wysiadł i usiłował zwymiotować do rowu. Nic z tego, kilka razy mu się tylko cofnęło. Potem na chwilę oparł głowę na masce samochodu, z całą siłą wsparł się na wyprostowanych rękach, zamknął oczy i poczuł, jak słońce pali go w plecy. Nie wiedział, jak długo tak stał. Może kilka minut. A może pół godziny lub więcej. Wszystko jedno. Wiedział tylko, że był tam wystarczająco długo, by zrozumieć, że czas przestać się okłamywać. Zmuszony był przyznać, że kiedyś każdego dnia zapominał o opiekowaniu się sobą samym, odetchnął głęboko, z ulgą i poczuł pełne oczekiwania łaskotanie w dołku - Jestem wolny! - potem na nowo opanowało go przygnębienie. Nosił żałobę, to prawda, ale czy naprawdę opłakiwał Ewę? Czy może wszystkie stracone dni? Lub niemożliwą do przeniknięcia fasadę, którą pokazywał mieszkańcom Landskrony przez trzydzieści lat?

Nadszedł zatem czas na podjęcie decyzji.

Tak. Wyjedzie. Popłynie na lodowiec. Dopóki ten istnieje.

Szczęście mu sprzyjało: referentka do spraw kadrowych w Malmö nie poszła jeszcze do domu, żeby cieszyć się weekendem, chociaż było już piętnaście po trzeciej. Trochę mruzczała pod nosem, ale właściwie nie protestowała. Miał ponad osiem tygodni zaległych wakacji, a do tego trzy tygodnie z nadgodzin i chociaż informował o tym z niemożliwym do uzasadnienia krótkim wyprzedzeniem, a braki kadrowe są duże, to mają jednak na miejscu zastępcę, więc...

Trzy dni później wszedł na pokład. Kiedy chwycił sznurową drabinkę i zaczął się z taksówki wodnej wspinać na „Odyna”, trzęsły mu się ręce.

Pierwsze dni były monotonne, ale znośne. Wędrował po statku, zaglądał do maszynowni i do warsztatu, zwiedzał laboratorium i laboratoryjne kontenery, gdzie naukowcy rozpakowywali swoje sprzęty i nieśmiało się zapoznawali. Przysiadł na trochę na trzecim pokładzie obok ornitologa i wpatrywał się w morze, a potem z lekkim przerażeniem szedł z kucharzem do magazynu z piwem, za mesą. Następnego dnia siedział w kajucie dla chorych, poświęcając całe przedpołudnie przeglądowi magazynku medycznego, i jednocześnie błagał Boga, w którego nie wierzył, żeby oszczędził mu wylewów,

zapaleń ślepej kiszki i poważniejszych bólów zęba ze stanem zapalnym. Po południu pożegnali fale Morza Północnego, by powitać kołysanie Atlantyku, a przed jego drzwiami uformowała się niewielka kolejka bladozielonych postaci. Przyklejał im wszystkim za uchem plaster na chorobę morską, próbując przy okazji zapamiętać ich imiona. Trzeciego dnia wysłał mejla do siostry w Sztokholmie, w którym niezwykle lakonicznie wyjaśniał, że nie odwiedzi jej latem, ponieważ -Czy to nie fantastyczne? - jest właśnie w drodze na Ocean Arktyczny. Nie odpowiedział za to na otrzymanego mejla, w którym było wiele pytań, jednak kiedy po lunchu otworzono kiosk, kupił kartę do telefonu satelitarne i zadzwonił na komórkę Ewy. Dopiero po czterech sygnałach jej głos w automatycznej sekretarce poprosił o zostawienie wiadomości. Odłożył słuchawkę bez słowa, a potem wyszedł na pokład i stał tam przez dłuższą chwilę z rękami w kieszeniach, wpatrując się w horyzont.

-Prawda, że pięknie? - zapytała przechodząca obok kobieta. Musiał się wysilić, żeby przypomnieć sobie jej imię, Ulrika. Świeżo upieczona profesor oceanografii.

-Pewnie - odpowiedział. - Oczywiście.

Kłamał. Wcale nie uważał, że jest pięknie. Jedynie masa wody.

Nastrój w mesie jest dziś inny, weselsze głosy, więcej śmiechu. Nie tylko jemu ulżyło, że zostawili w tyle szary Atlantyck. Anders sięga po jajko i poranny sok, starannie wybiera świeżo upieczony chleb, dopiero potem rozgląda się dookoła. Parę dni temu dotarło do niego, że załoga ma swoje własne stoły i że nie lubi, jeśli inni się tam wpychają, więc ustawia swoją tacę na stole, przy którym siedzą tylko naukowcy i goście, wysuwa krzesło i przyjmuje pozę osoby zadowolonej i zrelaksowanej.

- Ty też się od tego obudziłeś? - pyta kobieta po drugiej stronie stołu i Anders pospiesznie poszukuje w pamięci jej imienia. Katrin.

- Od czego?

- Od fal w nocy. Kiedy zmienialiśmy kurs. O mało nie spadłam z koi.

Młody mężczyzna obok niej wybucha śmiechem. Ekolog. Imię nieznanne.

-Tylko nie mów o tym Leifowi. Bo się strasznie wścieknie.

Katrin uśmiecha się:

- Bardziej niż zwykle?

- Próbowałem spytać, co się stało, ale zaraz się spieniłem...

- Czyli ty też się obudziłeś?

- Trochę leżałem i trzymałem się brzegu koi.

Anders obstukuje swoje jajko. Nie wie, o czym mówią. Może jednak spał głęboko przez całą noc, pomimo wszystko, może tylko mu się śniło, że leży i czuwa. Już tak kiedyś bywało.

Ulrika uśmiecha się ze swego kąta:

-Dziś pojawi się góra lodowa.

Oczy kobiety naprzeciw niej aż iskrzą:

-Jesteś pewna?

Susanne. Tak ma na imię. Już niedługo będzie znał imiona wszystkich sześćdziesięciu siedmiu osób na pokładzie. Nie ma jeszcze demencji.

-Prawie pewna. Mamy dziś dzień gór lodowych. No nie, panie Rolandzie?

Roland, kapitan „Odyna” i jedynowładca, zatrzymuje się przy ich stole. Spogląda srogo.

-Bardzo możliwe - odpowiada, kiwając sztywno głową w stronę Ulriki, a potem wbija wzrok w Susanne.

-A z panią chciałbym porozmawiać, jak tylko zje pani do końca. Na górze, na mostku kapitańskim.

Susanne wygląda na skonsternowaną.

- Ze mną? Dlaczego? Oczy Rolanda zwężają się:

- Porozmawiamy, jak przyjdzie pani na mostek. Odchodzi z bardzo wyprostowanymi plecami.

-Oj - mówi Ulrika, machając prawą ręką, jakby się oparzyła. - O kurczę. Będzie ochran... Co zrobiłaś?

-Nic nie zrobiłam - mówi Susanne.

Ma piskliwy głos i płoną jej policzki. Czyli jakoś zawiniła. To widać.

No i pojawia się góra lodowa.

Najpierw przepływają obok nich jedynie małe grudki lodu, miękko zaokrąglone, oszlifowane przez fale wysepki, które wkrótce całkiem się rozpuszczają, ale w oddali na horyzoncie przebłyskują już prawdziwe dzieła; małe okruchy bieli mieniące się w szczelinie pomiędzy dwoma błękitami: jasnym nieba i ciemnym morza. Wszystkie pokłady „Odyna”, które w ciągu ostatnich ośmiu dni były niemal wyludnione, nagle kłębią się od ludzi. Wybiegli z dużego laboratorium i małych laboratoryjnych kontenerów, z mostku kapitańskiego i z maszynowni, z kuchni i z warsztatu, z kajut i z palami. Niektórzy, przygotowani na mróz, założyli niebieskie kurtki - mundur ekspedycji - i naciągnęli na czoła czapki. Inni stoją tylko w bluzach i cienkich spodniach, zasłaniając się ramionami przed wiatrem. W pogotowiu trzymają aparaty fotograficzne. Wszyscy je przygotowali. W powietrzu aż gęsto od oczekiwania, mało rozmów, ściszone głosy.

Pierwsza naprawdę duża góra jest jak amfiteatr, mieniący się amfiteatr z podłogą z błękitnego szkła. Prześlizguje się obok nich, w odległości zaledwie pięćdziesięciu metrów, a kiedy mija ją „Odyn”, góra zaczyna lekko wirować, ujawniając swoją białą doskonałość, jakby chciała pokazać, że na jej powierzchni nie ma najmniejszej plamki ani rysy, że brakuje tylko publiczności i aktorów. Głosy na „Odynie” milkną.

Klikają aparaty fotograficzne.

Następna duża góra to Capri w miniaturze, białe szczyty wzgórz wznoszą się do nieba, grota na poziomie

morza lśni najczystszym błękitem. Pod wodą przebłyskuje olbrzymia gruda turkusowego lodu, który pozwala całej wyspie dryfować. Ktoś przypomina sobie nagle rysunek podświadomości z podręcznika psychologii i wybucha śmiechem, ale zaraz powstrzymuje się i znowu podnosi aparat.

Trzecia góra jest prawdziwym szczytem, ostrym i potężnym, bez śladu kokieterii poprzedniczek. Ciemne rysy otwierają się jak rany na białej powierzchni, wokół których mikroskopijne glony układają się w blade bryzgi krwi. Podpływa tak blisko, przez chwilę wydaje się niemal dotykać „Odyna”, wszyscy wstrzymują oddech. Błyskawicznie nachodzą ich różne wizje. Czy „Odyn” mógłby się wyrwać? Czy góra lodowa tych rozmiarów może zrobić dziurę w kadłubie z masywnego metalu o grubości trzech centymetrów? Nie. Oczywiście, że nie. Są bezpieczni. Sternik, który pozwolił im podpłynąć tak blisko, wie, co robi. Poza tym cała ta bliskość jest iluzją, widać to, kiedy młody marynarz wyciąga rękę, żeby dotknąć góry. Nie da się, odległość jest znacznie większa od długości ludzkiego ramienia.

Potem wszyscy się przyzwyczajają. Chłopaki z maszynowni wyciągają ręce z kieszeni i zaczynają przestępować z nogi na nogę, sami nie wiedzą, czy to z niecierpliwości, czy z poczucia obowiązku, wiedzą tylko, że czas już wracać do hałasu, który jest ich codziennością. Ich ożywienie udziela się innym: jedna z dziewczyn z mesy zerka na zegarek - Boże, trzeba wstawić kartofle! - a dwoje naukowców równie niespodziewanie zauważa, że czas już pobrać próbki. Jedni po drugich odchodzą w pośpiechu, najpierw załoga, potem naukowcy. Tylko kilku z tych, którzy określani są niejasnym mianem gości, jeszcze się ociąga: dziennikarz telewizyjny i jego operator postanowili poszukać lepszych ujęć wyżej, na czwartym pokładzie, robiący jakieś szkice artysta idzie w kierunku dziobu, żeby jeszcze przez chwilę popatrzeć na trzecią górę.

Ostatecznie na przednim pokładzie zostają tylko dwie osoby, kobieta z kędzierzawymi włosami i lekarz. Nie mają w tej chwili żadnych obowiązków. Stoją, każde na swoim podeście, w pewnej odległości od siebie i przechylają się przez reling. Muska ich chłodny wiatr, który jego łaskocze w nagą szyję, a jej podrywa rozpuszczone włosy.

-Jak poszło na górze u kapitana? - pyta Anders. Susanne patrzy na horyzont. Zbliża się więcej gór lodowych, widać je na horyzoncie jak błyszczące masy kryształu.

-Dostałam burę. Najwyraźniej zanieczyściłam Ocean Arktyczny.

Anders unosi brwi:

-Zanieczyściłaś Ocean Arktyczny? A cóż ty takiego zrobiłaś?

Mija chwila, zanim mu odpowie, najpierw zerka na niego przelotnie.

-Niechący wrzuciłam do morza bluzkę. I ręcznik. Przez pomyłkę.

-Niechący wrzuciłaś bluzkę i ręcznik do morza?

-To była pomyłka.

Brzmi obcesowo. Na chwilę zapada cisza. Anders zerka w stronę horyzontu.

-Widziałaś?

Kobieta odwraca głowę w jego kierunku:

-Co takiego?

-Fontannę. Mam wrażenie, że przed nami jest wieloryb...

Grzebie w kieszeni w poszukiwaniu lornetki, którą pożyczył mu Folke. Swarovski, najlepsza jakość, warta ponad dziesięć tysięcy koron, więc mocno ją trzyma.

Jednak żadnego wieloryba nie widać, gdziekolwiek skieruje lornetkę. Może sam siebie oszukał. Jest w tym dobry.

-Nie - mówi po chwili Susanne. - Nie widzę żadnego wieloryba.

Anders nie odpowiada, tylko kieruje lornetkę w stronę dość dalekiej wyspy. Jeszcze przed chwilą była ciemnoliliowa, ale w lornetce jest brązowa. Naga ziemia. Może lawa. Arktyczna pustynia.

Ciągle jeszcze przyciska do oczu lornetkę, kiedy ona znowu się odzywa:

-Dobrze usłyszałam pierwszego dnia, wydaje mi się, że mówiłeś, że jesteś z Landskrony?

Teraz nie wygląda już na tak rozzłoszczoną. Anders opuszcza lornetkę.

-Dobrze usłyszałaś.

-Urodziłam się w Landskronie. Chociaż nie byłam tam od dziesięciu lat.

- Niewiele straciłaś. Wybuchła śmiechem.

- Wierzę.

Zbliża się nowa góra lodowa, modernistyczna rzeźba z ostrymi kolcami i błękitnymi wgłębieniami. Przyglądają się jej w ciszy, kiedy ich mija.

-A tak w ogóle to jakim jesteś lekarzem? - pyta w końcu Susanne.

-Ogólnym.

Schodzi na pokład i wkłada lornetkę do kieszeni, jest gotowy, żeby iść. Susanne nadal stoi na swoim podeście, ale odwrócona plecami do morza.

- Czyli wiesz po trochu o wszystkim?

Anders uśmiecha się lekko. Wyraziła rzecz w pochlebny sposób.

- No tak. Można tak powiedzieć.

- O psychiatrii też?

- Anders zaczyna rozumieć, do czego zmierza. Nerwowa niewiasta. Jeszcze tego mu mało.

- Tak - odpowiada. - Także o psychiatrii. Kiedyś chciałem być psychologiem. Ale zrezygnowałem, zanim dostałem dyplom.

Tak, z pewnością!

Anders ponownie się uśmiecha, żeby ukryć swoje myśli. - Tak, z pewnością! - Jednak nie odpowiada.

- Miło mieć na pokładzie lekarza o podwójnych kompetencjach.

Kobieta w dziecinny sposób zeskakuje jak żaba na pokład i wsuwa dłoń pod ramiona kurtki. Anders lekko przechyla głowę i czeka na kontynuację.

- Dlaczego miło? - pyta w końcu. Susanne uśmiecha się do niego przelotnie.

- Po prostu miło - mówi i odchodzi.

Kilka godzin później wszystko jest już inaczej.

W barze pełno ludzi, chociaż to dopiero czwarta po południu. Magnus jednym haustem opróżnia kufel piwa, kufel jest duży, więc chwilę to trwa. Wokół niego tłoczą się naukowcy i załoga. Klaszczą w dłonie, szybko i rytmicznie, wszyscy patrzą na Magnusa i jego kufel, uśmiechają się, ale z pustką w spojrzeniu, całkowicie pogrążeni w ruchu i rytmie. Jednak kiedy kufel jest już pusty i Magnus triumfalnie unosi go do sufitu, wybucha ekstaza. Tak! Udało mu się!

Anders pochyla się w stronę baru i chwyta swój kufel, próbując zagłuszyć melodię grzmiącą z aparatury stereofonicznej. I'm a man of constant sorrow... Nie. Jest lekko wstawionym lekarzem medycyny ogólnej, któremu właśnie ogolono czaszkę. Ostrożnie gładzi się po łepetynie, jest gładka i chłodna w dotyku. Nie robi mu to specjalnej różnicy, nie było aż tak wiele do zgolenia, a skoro jego łysa czaszka może stać się elementem programu rozrywkowego, to dlaczego nie. Przez całe dorosłe życie, tak naprawdę to od dnia, kiedy pełen poczucia winy wziął ślub ze swoją pacjentką, mocno przestrzegał zasady profesjonalnego dystansu. Teraz nie jest już żonaty, w każdym razie nie inaczej niż formalnie, więc może pieprzyć profesjonalny dystans. Pieprzy też zachowanie trzeźwości. Jeśli ktoś złamie dziś nogę, może sam mieć do siebie pretensję. Pan doktor nie zamierza nastawiać ani gipsować. Pan doktor zamierza się upić.

O wpół do trzeciej po południu „Odyn” przekroczył koło podbiegunowe.

Kwadrans później na pokład wkroczył władca Neptun ze swoją królową, czyli przebrany kotłowy w królewskiej koronie i z trójzębem, wraz z dziewczyną z mesy w srebrnym bikini i z czarnymi sztucznymi rękami. Naukowcy i goście zostali zapędzeni do palarni, której drzwi zabarykadowano kilkoma zgrzewkami piwa. Następnie członkowie załogi, poprzebierani za piratów, wyprowadzili ich stamtąd jednego po drugim. Ze związanymi rękami i śmiechem na ustach prowadzeni byli na pokład po to, by zanurzono im głowy w korycie z lodowatą wodą, a potem sprowadzono na dół do siłowni na spotkanie z przebranym sternikiem wyposażonym w ogrodnicze nożyce. Obcinanie włosów! Badaczki siedziały na podłodze, kwiląc z zamkniętymi oczami, podczas gdy majtek chwycił je za włosy, a sternik ciął nożycami powietrze tuż nad nimi. Może tak samo robili z mężczyznami, może tylko Andersa ogolili naprawdę. I to dlatego powitano go wiwatowaniem, kiedy wreszcie, nadal ze związanymi z tyłu rękami, został wprowadzony do baru, żeby wypić szklanekę morskiej wody. Patrzcie! Ogolili doktora do zera!

Teraz wszyscy są już ochrzczeni, impreza w toku, muzyka huczy, badania zostały na dzień dzisiejszy zakończone, w barze tłok. Kilku najbardziej doświadczonych polarników zaczęło już tańczyć. Ulrika kręci biodrami przed młodym chemikiem, jedna z pracownic mesy odrzuciła głowę do tyłu i uśmiecha się do młodego sternika, Sture z zamkniętymi oczami próbuje tańczyć przytulaniec z referentką z centrali ekspedycji, chociaż melodia nie nadaje się do takiego tańca.

- Do pełna. Na zdrowie!

- Na zdrowie!

Olle podnosi kufel w stronę Andersa.

- To ciebie ogolili?

-Tak.

- Tamtego też.

Olle wskazuje głową w kierunku dojrzałego mężczyzny z siwym kucykiem. Anders przymyka oczy, usiłując przypomnieć sobie jego imię. Robert. Docent chemii analitycznej z uniwersytetu w Uppsali.

-Ach tak - dziwi się Anders. - Odnoszę wrażenie, że ma dość dużo włosów.

W tej samej chwili Robert podciąga koszulkę i pokazuje swoją pierś chichoczącej doktorantce Jenny. Doktorantka zanoszą się śmiechem z zachwytem. Robert uśmiecha się zadowolony i obraca dookoła, żeby wszyscy mogli go zobaczyć. Ktoś wygolił kółko w siwych włosach na jego torsie. Literę O. Jak Odyn.

-Prawdziwy magnes na kobiety - mówi Olle. - Pomimo wieku.

Ironizuje? Czy po prostu piwo uderzyło mu do głowy? Anders wypija łyk i postanawia zmienić temat.

- To twoja pierwsza ekspedycja? Olle potrząsa głową:

- Nie. Trzecia.

- Zawsze to takie szaleństwo?

-Widziałem gorsze. Dużo gorsze. Zobaczmy, jak to się rozwinie do nocy. Może będzie lepiej.

Anders rozgląda się dookoła. Na sofie w rogu zrobiło się ciasno. Młodzi naukowcy z równie młodymi członkami załogi siedzą tak gęsto ściśnięci, że każde poruszenie powoduje ruch w całej grupie. Wydaje się, że im to nie przeszkadza. Amerykański profesor, który usiadł w fotelu naprzeciwko, uśmiecha się łagodnie, na oparciu jego fotela siedzi jedyna kobieta, która jest tu marynarzem. Usiłuje zachowywać równowagę i nie zbliżyć się za bardzo do profesora. W drugim fotelu usiadł Martin, a na jego kolanach Sofia. Smarowacz i dziewczyna z mesy. Najwyraźniej są oficjalnie parą, Anders zauważył, że dzielą kajutę, może nawet są małżeństwem. Jeśli tak, to dość młodym, bo żadne z nich nie wydaje się mieć więcej niż dwadzieścia pięć lat.

W trzeci fotel zapada się właśnie Magnus, skóra skrzypi pod jego potężnym ciałem, a on stawia na stole kolejny kufel piwa i wyszczerza zęby w złowrogim grymasie w stronę Marcusa, który próbuje usiąść na oparciu fotela. Jest rzeczą oczywistą, że Magnus nie chce mieć tak blisko siebie innego faceta, zwłaszcza artysty o wąskich ramionach i kręconych włosach. Marcus ucieka wzrokiem i wstaje, a potem odwraca się plecami do Magnusa i idzie w kierunku baru. Przy drzwiach stoi oparta o ścianę Susanne. W obu rękach trzyma kieliszek wina i przeczesuje wzrokiem pokój, w tę i z powrotem, w tę i z powrotem, jakby kogoś szukała. Anders czuje ukłucie irytacji. Typowa poszukiwaczka problemów.

-Doktorze, prosimy do nas! Teraz tańczymy!

Ulrika łapie go za przegub i uśmiecha się. Przez sekundę Anders ma ochotę potrząsnąć głową i odmówić, ale potem odstawia kufel na blat baru i odpowiada jej uśmiechem. Ulrika śmieje się, ma roziskrzona oczy. Do diabła z profesjonalnym dystansem.

- Nie jestem mistrzem...

- Ale ja jestem - mówi Ulrika. - Wyrówna się.

Na parkiecie jest tłoczno, tak ciasno, że nawet najwyższa klasa tańca nie jest zauważalna. Ludzie cisną się i pchają, ktoś - czy to ten Robert? - wbija Ulricę w plecy łokciem tak mocno, że ta traci równowagę. Anders musi wyciągnąć obie ręce i chwycić ją, żeby nie upadła głową naprzód. Tak jest dobrze. Jeśli będą trzymać się za ręce, stojąc w miejscu i podrygując, sztywność Andersa nie będzie zauważalna. Eva w ostatnich latach nie chciała z nim tańczyć. - To jak taniec z robotem - mówiła. Kiedy na przyjęciach, na które wciąż ich zapraszano, zaczynały się tańce, Anders nie wstawał nawet z kanapy, sięgał po koniak i dalej rozmawiał. W tym czasie ona przytulała się do tego czy innego. Po powrocie do domu zawsze miała ochotę na seks. Taniec ją podniecał.

Ulrika nie wygląda na podnieconą. Kiedy muzyka cichnie, odgarnia z czoła grzywkę, rzuca wściekłe spojrzenie Robertowi i woła:

-No, chyba już dość tej dyskoteki! Dajcie jakieś ładne kawałki dla nas, dla starych!

Anders unosi brwi. Starych? Ulrika nie ma chyba nawet pięćdziesiątki. Chociaż może w tym

towarzystwie to starość, w każdym razie wystarczająca, by mieć posłuch. Na chwilę robi się cicho, ktoś grzebie wśród starych płyt CD, a potem w barze rozlega się tak dobrze rozpoznawalny pierwszy akord. Anders uśmiecha się i przyciąga do siebie Ulrike. She belongs to me. Nieznośny szwedzki szlagier, który przez osiem tygodni był wśród dziesiątki hitów podczas jego ostatniego roku w Karolińska Institutet.

-Nienawidziłem tej piosenki - mówi, przytulając policzek do włosów Ulrike. - Naprawdę nienawidziłem.

Ulrika śmieje się i potrząsa lekko głową, ruch sprawia, że włosy odsuwają się na bok i kiedy Anders znowu się do niej zbliża, ocierają się policzkami. Czuje dreszcz na plecach.

- A ja ją kochałam.

- Wiem, wszystkie dziewczyny ją kochały.

-Björn Hallgren stanowił odpowiedź na wszystkie nasze modlitwy... Przynajmniej przez jakiś czas.

Anders sztywnieje i nic nie odpowiada. Ulrika na sekundę odsuwa się, żeby na niego zerknąć.

- O co chodzi?

- To Björn Hallgren?

- Tak. Śpiewał w Typhoons. Zanim to się stało.

Anders przestał tańczyć, ale nadal ją obejmuje i kołysze się w miejscu dla zachowania pozorów. A więc to Björn Hallgren napisał tę piosenkę... Utracony raj Adama i Ewy. Jak mógł o tym zapomnieć. Z drugiej strony Eva nigdy nie chciała słuchać jego płyt, kiedy Anders był w domu.

Denerwowała się, kiedy próbował po nie sięgać. Może słuchała ich, gdy był w pracy. Coś musiała w końcu robić, kiedy pracował.

Ulrika przytula policzek do jego policzka i robi ostrożny krok, delikatnie zmusza go, żeby dalej tańczył. Teraz to ona prowadzi.

-Może jednak to nie jest najlepsza piosenka w tej chwili - mówi stłumionym głosem.

Anders próbuje odpowiedzieć jak najbardziej neutralnym głosem.

-Dlaczego nie?

-Bo jego siostra jest tutaj. I wygląda na zasmuconą. Obraca się tak, żeby mógł popatrzeć w stronę drzwi.

Susanne stoi dalej, oparta o ścianę, w rękach trzyma kieliszek, teraz ma zamknięte oczy.

- To jego siostra?

- Tak. Chyba przyrodnia, jakoś tak.

- Skąd wiesz?

- Gdzieś o tym czytałam. Podejźmy do niej?

- Nie - odpowiada Anders, przyciskając mocniej Ulrikę do siebie. - Lepiej, jeśli damy jej spokój.

- Tak. Myślę, że musiała się już z tym pogodzić - mówi Ulrika. - To było tak dawno temu...

Właśnie ma jej odpowiedzieć, kiedy czyjś krzyk zagłusza wszystkie inne głosy i dźwięki.

-On krwawi! O Boże! On krwawi!

To Katrin. Stoi przy barze, trzymając się ręką za gardło. Obok niej stoi Robert. Jego prawa ręka jest czerwona od krwi. Mimo to nie wypuszcza z niej ucha stłuczonego kufła, bez ruchu wpatruje się w blat baru. Pełno na nim potłuczonego szkła.

Anders robi przeproszącą minę w stronę Ulriki i kobieta natychmiast puszcza jego rękę. Nie ma rady. Doktor musi pracować.

W jej kajucie nikogo nie było.

Okno jest uchylone na morze. Pościel na koi tak samo gładka i biała jak wtedy, gdy wychodziła na przyjęcie. Lustro w ubikacji - wytarte do sucha i błyszczące. Lekki zapach środków czyszczących łaskocze błony śluzowe w nosie. Przechodzi ją dreszcz, zamyka okno. Przez chwilę stoi w miejscu, przyglądając się przepływającej obok górze - jakie to dziwne, myśli, że minęła już euforia pierwszych godzin i oczy, które przez całe życie czekały na te kolosy, już się do nich przyzwyczyły. Potem wzrusza ramionami, zaplata wokół siebie ręce i kilka razy mruga oczami. Próbuje nadążyć za sobą samą. Dlaczego tu przyszła. Co miała zrobić?

Schować się. Na blacie baru była krew.

Schować się. Grali tamtą piosenkę.

Schować się przed wspomnieniami, które wywołała muzyka. Czuje, jak krążą teraz w głowie, jak pełzają dookoła, płacząc się ze sobą, jak uśmiechają się, wiecznie tak samo i szybko poruszają językami.

Opada na kolę, skopuje buty, kładzie się. Zamyka oczy. Szuka ciemności. Jednak pod powiekami nie jest ciemno, tylko czerwono, dziwny czerwonoszary odcień, który rozpada się na żółte kręgi za każdym uderzeniem jej serca. Przez chwilę im się przygląda. Próbuje nie pamiętać.

- To się jeszcze nie wydarzyło - mówi na głos do siebie. - Jeszcze nic się nie stało.

Pocieszająca myśl. I prawdziwa. Jeśli przeszłość naprawdę w nas trwa, jeśli nie da się jej wymazać, to dotyczy to wszystkich jej elementów.

Także tych, w których to się jeszcze nie zdarzyło.

Tak jak wnęka okienna przy schodach, która należała tylko do Susanne. Do nikogo innego.

Tę oczywistość zaakceptowała reszta rodziny. Przecież nikt inny nie może siedzieć pod łukowym

sklepieniem z wyprostowanymi plecami i stopami na wąskim parapecie okiennym. Są na to za wysocy. Dlatego biegnąc po schodach, tylko się do niej uśmiechają.

- Cześć, wieżo obserwacyjna - woła Björn, pędząc na dół na swoich cienkich podszewkach. - Jakiś raport?

- Halo, szpiegujące lustreczko - mówi Inez, kiedy spieszy do łazienki ze stosem świeżo upranych ręczników w ramionach. - Widzisz coś ciekawego?

- Jak dobrze, że ktoś potrafi pełnić straż na tym statku w drodze do wieczności - mówi Birger, który poślizgnął się właśnie na schodach z portfelem w jednej ręce i „Nowościami Landskrony” w drugiej. Susanne nie odpowiada, tylko podąża za nim wzrokiem, żeby sprawdzić, czy się potknie. Ależ tak. Dziś też się potyka.

Rzuca mu uśmiech, a potem powoli odwraca głowę i wygląda przez okno. Na ulicy Svanegatan zapadł już zmrok. Szary jesienny wieczór. Latarnia uliczna ma aureolę i przed domem jest jeszcze zupełnie pusto. Jeszcze parę lat zostało do dnia, w którym pojawią się dziewczyny. Jeszcze nic się nie stało.

Jesienny wieczór

Dziewczyny przyszły o zmroku.

Z początku - na długo zanim stało się to, co nie miało prawa się wydarzyć - było ich tylko kilka, zagubione stadko trzech, pięciu, może siedmiu dziewczyn, które wyłoniły się z cienia i próbowały udawać, że tylko tędy przechodziły i z czystego przypadku zatrzymały się na chodniku przed willą z czerwonej cegły. Zwróciły ku oknu swoje blade policzki i jednocześnie zanurzyły ręce w kieszeniach w poszukiwaniu papierosów i zapalek, a potem stały ciasno stłoczone i dym unosił się ku żółtej podkowie światła latarni.

-Ależ one wyglądają - powiedziała Inez i zaciągnęła żaluzje w kuchni. - Czarne oczy i białe wargi. Jak jakieś duchy. Człowiek zaczyna mieć stracha. Uch.

Otworzyła szafkę i wyjęła cztery talerze, które podała Susanne, kontynuując:

-A te ubrania! Jedne wyglądają, jakby wylazły z magazynu wojskowego, a drugie wydurniają się w miniówkach i nylonowych pończochach. W końcu listopada! Te rajstopki poprzymarzają im do nóg, wszystkie nabawią się zapalenia pęcherza, a to nic śmiesznego, o tym mogę zapewnić, jak się ma zapalenie pęcherza, to...

Birger, który siedział już przy stole i czekał na jedzenie, uniósł łokcie, żeby Susanne mogła postawić przed nim talerz.

-Bez szczegółów, proszę!

Inez uśmiechnęła się przez ramię, mieszając puree.

-Aha, co ty powiesz. Jaka szkoda. A ja miałam tyle ciekawych szczegółów do opowiedzenia...

-Jestem o tym przekonany, moja kochana. Na wszystko jest właściwy czas.

Inez rzuciła na ceratę podkładkę pod gamek.

-A to nie jest właściwy moment?

Birger nie zdążył odpowiedzieć, bo w drzwiach stanął Björn i Inez uśmiechnęła się do niego, po czym rozwiązała fartuch.

-A oto i czarny charakter dramatu...

-Ech - westchnął Björn, osuwając się na swoje miejsce przy stole.

Inez przejechała ręką po jego ciemnej fryzurze na pazia.

- Aha - stwierdziła. - Mokra. Znowu umyłeś włosy.

- Daj spokój - odparł Björn.

- Zbyt częste mycie włosów jest niebezpieczne. Björn grzebał łyżką w garnku z puree.

- Nieprawda.

- Przedwcześnie wyłysiejesz. I dostaniesz bólu ucha.

- Już przestań, Inez - poprosił Birger. Inez roześmiała się.

- Tylko żartuję.

- Wiem - powiedział Birger. - Ale chłopak będzie się niepokoić.

- O nie - wtrącił Björn. - Nie jestem ani trochę zaniepokojony.

Kiedy chwilę potem Susanne otworzyła drzwi wejściowe, mała gromadka pod latarnią zaczęła dyszeć, sapanie było już na granicy krzyku, ale kiedy dziewczyny zobaczyły, kto schodzi po schodach, powstrzymały się, stłumiły odruch. Susanne zwyczajowo zatrzasnęła za sobą drzwi pupą i starała się robić wrażenie obojętnej, chociaż dreszcze niepokoju wpełzły już jej pod skórę. Zaciągnęła suwak parki i wcisnęła ręce głęboko w kieszenie.

Gdzie podziąć wzrok? Czy naprawdę da radę przejść ścieżką ogrodową do furtki, ani razu nie patrząc na nie? Tak, może tak zrobić. Jest to wręcz konieczne, bo gdyby uniosła wzrok i zerknęła na te dziewczyny, nie mogłaby się oprzeć natarczywemu odruchowi przeproszenia ich, że z domu wyszła tylko ona.

-To jego siostra - powiedział głos ze środka gromadki. - Jego młodsza siostra.

Susanne wykrzywiła twarz w grymasie, wpatrując się w żwirową ścieżkę. Oczywiście. Nie wiedziały, jak jest naprawdę, a gdyby je poprawiła, mogłyby się wściec. Ludzie zawsze się złością, gdy odkryją, że

nie mają racji. Zwłaszcza dziewczyny.

-Ma na imię Susanne - powiedziała któraś z nich. -Cześć, Sussie! Cześć!

Doszła już do furtki, a kiedy ją otwierała, furtka zazgrzytała. Dwie z dziewczyn przepchały się do przodu i uśmiechały do niej, rosłe dziewczyny z masywnymi fryzurami i wąskimi ramionami. Susanne znała z widzenia obie, ale nie wiedziała, jak mają na imię. Jedna, ta z ciemną grzywką i różowym szalem artystycznie zamotanym wokół szyi, pracowała w kiosku przy stacji kolejowej. Gadano o niej, że w utapirowanym koku ma schowaną francuską butkę, a szalik na jej szyi ukrywa „malinki” po pocałunkach, których wciąż się nabawia. Druga była uczennicą u fryzjerki na Artillerigatan. Trzy miesiące temu ostrzygła Susanne, zanim Björn został sławny i zanim sama Susanne została członkiem bliskiej rodziny sławnej osoby. Grzywka zamieniła się w rzadką firanczkę na czubku czoła i przez kilka tygodni Susanne starannie unikała wszystkich luster w domu. Dlatego bezwiednie zrobiła krok do tyłu, jakby spodziewała się, że uczennica fryzjerki wyciągnie z kieszeni nożyczki i znowu porwie się na jej grzywkę.

-Czy on naprawdę jest w domu?

Uczennica uśmiechnęła się pomalowanymi na biało wargami i żółtymi zębami. Z jej ust zapachniało gumą do żucia i papierosowym dymem. Kioskarka „z malinkami” opuściła swoje błękitne powieki i lekko zatrzepotała sztywnymi rzęsami.

-Czy kupić już cadillaca? W „Magazynie Ilustrowanym” pisali, że kupi cadillaca.

Susanne wydała cichy dźwięk, który mógł oznaczać zarówno tak, jak i nie. Tak, jest w domu. Nie, nie kupił jeszcze cadillaca. Żadna z nich nie usłyszała ani nie zrozumiała, były zanadto zaabsorbowane swoimi pytaniami, żeby znaleźć miejsce na jej odpowiedzi. Blondynka z długą prostą grzywką przepchnęła się naprzód. Odważna.

-A co z resztą? Gdzie są inni chłopacy?

Susanne wzruszyła ramionami, nie wyjmując rąk z kieszeni. Nie mam pojęcia.

- Wyjeżdżają w sobotę do Anglii? Naprawdę?

- Czy on wyjdzie dziś wieczorem?

- Czy on ma jakąś dziewczynę?

Susanne uniosła ramiona i wpatrzyła się w asfalt. Co im odpowiedzieć? Nie miała pojęcia, co planuje Björn, ani dziś wieczorem, ani w sobotę; kiedy wrócił do domu, niemal nie zdążyli ze sobą porozmawiać. Teraz inna odważna dziewczyna przepchała się do przodu, wyglądała dziwacznie, zarazem brzydka i ładna. Susanne poznawała ją. Chodziła do pierwszej licealnej o profilu klasycznym i kiedy padał deszcz, nosiła czarny, męski parasol zamiast kwiecistej łączki, jaką trzymały nad głowami wszystkie inne dziewczyny. W jakiś nieokreślony sposób budziło to szacunek.

-Który pokój jest jego? - zapytała i położyła na ramieniu Susanne kwadratową dłoń. Miała niski, nagłący

głos. Susanne podniosła rękę i pokazała. Tam! Na górze, po lewej stronie.

W tamtym pokoju z białymi firankami i lampą z lat czterdziestych. Dziewczyny podniosły oczy i jednogłośnie westchnęły, a Susanne wyślizgnęła się z uścisku śmiałej dziewczyny, wymamrotała, że jej się spieszy, i zaczęła się truchtem oddalać.

Nie zatrzymała się, dopóki nie dobiegła do przykościelnego cmentarza, a tam w ciemności pomiędzy dwiema latarniami stanęła na szeroko rozstawionych nogach z ręką na przeponie, jakby zabrakło jej tchu albo dostała skurczu. Nie wiedziała właściwie, dlaczego uciekła, ale czuła ulgę, że udało jej się im wyrwać. Wciągnęła głęboko oddech, tak głęboko, że brzmiało to niemal jak westchnienie, i patrzyła na lśniący asfalt, wspominając czas, kiedy wszystko było normalne, zwyczajne, realne. Wtedy gdy Björn był kimś oczywistym, chwilami dość irytująco oczywistym, ale jednak człowiekiem mieszkającym w tym samym domu co ona, który zawsze tam był. Tak nie będzie już nigdy. Przenigdy. Teraz Björn jest kimś innym, istotą z odległego świata, ze świata gwiazd i blasku, świata, który zawsze będzie zamknięty dla ludzi takich jak Susanne, niezależnie od tego, jak mocno waliliby do jego drzwi. Zadrzała, a potem zmarszczyła czoło. Co ona właściwie wyprawia? Przecież musi się spieszyć. Poprawiła swoją myśliwską torbę z prawdziwego skaju, tę o której marzyła przez ponad rok i którą w końcu dostała na urodziny, wyprostowała plecy i zaczęła iść. Przecież czeka na nią Ingalill. I Panna Czyściutka.

Björn stał w progu swojego pokoju, usiłując podjąć decyzję. Czy może zgasić światło? Tęsknił za chwilą ciemności, ale jednocześnie zdawał sobie sprawę, że nie ma już pełnej wolności podejmowania decyzji. Każde swoje działanie musi najpierw rozważyć i ocenić, zanim je zrealizuje, licząc się z reakcją dziewczyn na ulicy przed domem. W tej chwili to one go trzymały. Wyniosły tak wysoko, że niemal dotykał chmur, ale Karl-Erik z wytwórni płytowej raz za razem uświadamiał mu, że miały też moc skazania go na upadek. Dlatego trzeba się z nimi obchodzić z wielką ostrożnością. Björn musi zbliżyć się do nich wystarczająco, by zachować ich marzenia, ale jednocześnie utrzymać odpowiedni dystans, by marzeń nie zbrukało coś, co przypomina rzeczywistość. Dlatego teraz można było zrobić tylko jedno. Björn poprawił koszulkę polo i zamasyżuje przesunął ręką po włosach, a potem zdecydowanym krokiem przemaszerował przez oświetlony pokój i udał, że coś poprawia na biurku. Wystarczyła chwila, żeby dziewczyny go zobaczyły i zaczęły swoje wrzaski, rozedrgany krzyk pomiędzy radością a płaczem, krzyk, który prześladował go już od tygodni i o którym w tajemnicy zaczął myśleć jak o potrzasku. Udał zaskoczenie i wyprostował plecy, wyjrzał przez okno, uśmiechnął się i podniósł rękę w geście pozdrowienia. Potem odwrócił się szybko i zniknął, jakby ktoś go nagle zawołał lub jakby był zmuszony zając się czymś bardzo ważnym.

Nie. Nie da się zgasić światła. Dopóki dziewczyny wciąż są przed domem, nie można. Mogłyby to zinterpretować jako przejaw wrogości. Z drugiej strony nie mógł im też pozwolić na przesyt, zmieniłby się wtedy w zupełnie zwyczajnego chłopaka w zupełnie zwykłym domu, a dla kogoś, kto właśnie dotykał chmur, byłoby to głębokie upokorzenie. Przez chwilę stał skonsternowany przy oknie, potem przyłgnął do ściany i ostrożnie prześlizgnął się bokiem do drzwi, pilnując, żeby nawet jego cień nie został dostrzeżony. Może mógłby się na trochę położyć w pokoju Susanne. Zrobiło się już ciemno, a dziewczyny nie patrzą w tamtą stronę.

Dostała nową narzutę. Białą. Z czegoś podobnego do koronki. Przypominała małe serwetki - gwiazdki,

które robiła szydełkiem jej babcia. Może sto serwetek babci stało się jednym dużym prezentem urodzinowym? Tak. Mogło tak być. Jeśli tak było, to i on wkrótce dostanie nową narzutę. Jakoś to zniesie. Ma tylko nadzieję, że nie będzie biało-czarna. Babcia Susanne od ośmiu lat dawała mu biało-czarne serwetki, odkąd jako jedenastolatek zwierzył się jej, że lubi kolory drużyny piłkarskiej Landskrona BoIS i że jak dorośnie, będzie w niej grał. Serwetki były przerażająco brzydkie.

Björn położył się z rękami pod głową, przez chwilę leżał tak bez ruchu, starając się przestać myśleć o dziewczynach przed domem i wszystkich innych dziewczynach. Czego one chcą? Tak naprawdę? I dlaczego chcą tego właśnie od niego? Nigdy nie piszczały tak głośno na widok innych chłopaków z zespołu, krzyk zamieniał się we wrzask dopiero wtedy, gdy on się pojawiał na scenie. Pozostała piątka chłopaków próbowała to jakoś ignorować, ale czuło się ich złość i irytację. Ostatnio przedwczoraj, na próbie, Tommy wybuchnął w środku piosenki, po to, by zaraz dość chłodno wyjaśnić, że niezwykle urok jest wprawdzie zaletą, ale byłoby jeszcze lepiej, gdyby umiało się przy tym nie gubić rytmu. Niclas i Bosse roześmiali się, a Peo walnął mocno w talerze.

Potem napotkał wzrok Björna i uratował się podniesieniem pałeczek do góry i ponownym odliczeniem początku piosenki. A-one-a-two-a-three...

Piosenka była gówniana. Banalna. Tania. Wazeliniarska. Jednak Karl-Erik zdecydował, że będzie na ich następnym singlu, a jeśli Karl-Erik o czymś zdecydował, to tak się działo. Zawsze. To on już pół roku temu zdecydował o zaistnieniu zespołu Typhoons; on również zaplanował, jak to się stanie. Stary solista odchodzi, znajdujemy nowego - był to warunek, który Tommy, a także Niclas, Peo i Bosse, musieli zaakceptować. Nigdy nie opowiedzieli, jak doszło do tego, że Peo przyprowadził z sobą na próbę w Sztokholmie Björna. Po paru piosenkach kiwnęli wtedy głowami, dając do zrozumienia, że go akceptują. Karl-Erik zacierał ręce już przy pierwszej piosence, ale nie powiedział ani słowa, co myśli. Najpierw miał do postawienia kilka pytań. Na przykład, jak to, do cholery, możliwe, że Björn mieszka w Landskronie? I jak mogło dojść do tego, że Peo, urodzony i wychowany w dość cywilizowanym Täby na obrzeżach Sztokholmu, wyładował na lokalnym konkursie kapel rockowych, dalekim od przyzwoitej jakości? Peo odchrząknął i próbował tłumaczyć, że był właśnie w odwiedzinach u babci, ale przerwano mu szybkim machnięciem ręki. Pytanie miało charakter retoryczny, jeśli Peo musi wyjść, żeby sprawdzić znaczenie tego słowa, to bardzo dobrze, bo Karl-Erik porozmawia teraz na poważnie z młodym Hallgrenem. Jak to możliwe, że Hallgren nie gdacze paskudnie jak większość mieszkańców Skanii? Ach, tak. Mama jest z Göteborga. Pozytywnie. Czy ma jakieś wykształcenie muzyczne? A więc nie. Gra na jakimś instrumencie? Nie. Umie czytać nuty? Też nie. A jak jest z wyrobieniem scenicznym? Średnio. Aha. Prawdziwie utalentowany naturalszczyk. Z drugiej strony przemawia za nim wygląd i przyjemny głos, więc...

Któregoś popołudnia, zaledwie tydzień potem, Björn i Birger usiedli w fotelach dla gości w biurze Karla-Erika w Sztokholmie. Björn miał świeżo umyte włosy i nosił swoje najbardziej wytarte dżinsy, a Birger walił po oczach włosami prosto od fryzjera. Zerknął na złote płyty na ścianie, przeciągnął ręką po błyszczącej palisandrowej powierzchni biurka, a potem utkwiał wzrok w Karlu-Eriku, który z łagodnym uśmiechem odchyłał się do tyłu na swoim pawim tronie. W ciągu zaledwie sekundy Birger zamienił się w karykaturę siebie samego: w przykurzonego nauczyciela historii i wiedzy o społeczeństwie, który całkowicie i bez uwag zaakceptował warunki kontraktu, jaki mu przedstawiono. Oczywiście jako

nieoficjalny reprezentant opiekunki chłopca miał pewne wątpliwości, ale ponieważ Björn przejawia - ekhm - pewne symptomy zmęczenia szkołą i ponieważ chłopak wydaje się tak zaangażowany, a także - o czym nie należy zapominać! - skoro najwyraźniej zarówno studio nagraniowe, jak i inni chłopcy z zespołu także są bardzo zainteresowani udziałem Björna, zdecydował się nie ulegać swoim wątpliwościom. W dzisiejszych czasach istnieje, dzięki Bogu, system edukacji dla dorosłych, więc człowiek, który zamknął za sobą drzwi szkoły, zawsze może je na nowo otworzyć. Jedyna obawa wiąże się z tym, że nie udało się skontaktować z matką chłopca, przebywającą daleko stąd, gdzieś w świecie, mówiąc szczerze, nie wiadomo, gdzie w tej chwili, jednak Birger wychodzi z założenia, że i ona nie będzie miała nic przeciw temu. Bowiem - ha, ha! - co los i przemysł płytowy złączyły, tego wszak człowiek nie powinien rozłączać. Czy można pożyczyć rezerwowy długopis?

Tak to się zaczęło. A teraz nie da się już tego powstrzymać. Björn został członkiem Typhoons. Nie. Więcej. Został gwiazdą Typhoons. A mimo to - ale do tego mógł się tylko przyznać przed sobą w mroku pokoju Susanne - nie przynależał do nich.

Nie naprawdę. Nie w ten sam sposób, co inne chłopaki w zespole. Znali się od najmłodszej klasy w szkole, a grali razem od czterech lat, opowiadali te same historie i mieli te same wspomnienia. Poza tym łączył ich Robban, chociaż nigdy o nim nie wspominali i nawet nie wymieniali jego imienia. Jednak Robban gdzieś był. Ten, który był z nimi od początku. I nie umarł. Został jedynie poświęcony.

Czy tęsknili za nim? Czy się wstydzieli?

Jedno i drugie. Tak przecież było. Przynajmniej dla Tommy'ego i Tommy myślał o tym, czuł to, także Niclas czuł i myślał w ten sposób, i Peo, i Bosse. Z drugiej strony Tommy dobrze wiedział, że nigdy nie zaszliby tak daleko bez Björna. Nie byłiby zespołem, który nie tylko zajmował pierwsze, trzecie i siódme miejsce w szwedzkiej Dziesiątce Top, ale także wylądował na siedemnastym miejscu listy angielskiej i miał być w sobotę w telewizji. W angielskiej telewizji. W Londynie.

Było to niemal niewiarygodne, ale działo się naprawdę. I zawdzięczali to Björnowi Hallgrenowi. Głosowi Björna Hallgrena. Twarzy Björna Hallgrena. Fryzurze Björna Hallgrena.

Mimo to bycie Björnem Hallgrenem było czasami dość męczące. Dlatego zamknął oczy i wyłączył wszystkie myśli, ograniczając się do czterech zmysłów: węchu i dotyku, smaku i słuchu. Wtedy mógł na chwilę uwolnić się od Björna Hallgrena i być sobą, człowiekiem bez imienia i bez wieku, ciałem, które mieszkało w tym domu, odkąd pamiętał, i które każdego ranka wdychało jego zapachy, którego opuszki palców rozpoznawały każdą powierzchnię, język pamiętał każdy smak, a uszy rozpoznawały każdy krok...

W korytarzu za drzwiami ktoś przeszedł na palcach i nagle w drzwiach stanął Birger ze stosem zeszytów pod pachą. Uniósł ze zdziwieniem brwi.

-Tu się położyłeś?

-Tak.

Na chwilę zapadła cisza. Birger oparł się o futrynę drzwi.

- Dobrze się czujesz? - zapytał w końcu.

-Tak.

- Jest tak, jak sobie wyobrażałeś?

- Niezupełnie.

-No tak - powiedział Birger. - Tak to bywa. Nigdy nie jest dokładnie tak, jak człowiek sobie wyobraża, że będzie. Może być lepiej lub gorzej, ale nigdy właśnie tak, jak...

Zamiast oponować, Björn przymknął oczy. Ależ tak. Czasami człowiek dokładnie wie, jak będzie. Björn wiedział na przykład, że Birger potknie się, zbiegając ze schodów.

-No tak bywa - powtórzył Birger, unosząc lekko zeszyty. - Muszę się zająć poprawianiem tych dzieł.

- Mhm.

- To do widzenia, na razie...

- Do widzenia.

Björn leżał z zamkniętymi oczami, czekał. Birger zrobił pięć kroków korytarzem w stronę schodów. Kiedy postawił stopę na najwyższym stopniu, zatrzeszczało, a potem jego skórzane podeszwy - jedna dużo większa od drugiej - poczłapały po zniszczonym drewnie schodów. Björn nie otworzył oczu, ale liczył w myślach. Osiem, dziewięć, dziesięć...

-Ratunku! Oj! Cholera!

Stłumiony łomot upadku Birgera i furkot rozsypujących się po podłodze zeszytów. Björn leżał w ciemności. Tak. Pewne rzeczy są dokładnie takie, jak człowiek je sobie wyobraża. Co da się udowodnić.

- Przepraszam za słownictwo - krzyknął Birger. -Potknąłem się.

Nikt nie odpowiedział. W domu było zupełnie cicho.

Inez, która była matką Susanne, a nie Bjórna, uniosła brwi, wstawiając masło do spiżarni. No tak. Czyli znów przyszła pora. Potknięcie. Przekleństwo. Przeprasiny.

Świat nie był taki zupełnie nowy. Pewne rzeczy nie zmieniły się ani trochę, chociaż Björn stał się idolem nastolatka. Lewa stopa Birgera, która miała rozmiar 44, nadal choć raz w tygodniu stawała na drodze prawej stopy, która skromnie zadowalała się rozmiarem 39. Był to fakt, z którym w rzeczy samej łatwo było żyć, dokładnie tak samo jak z tym, że Birger zawsze musiał kupować dwie pary butów na jeden raz, parę w każdym z rozmiarów. Za to już nie tak łatwo dawało się przełknąć, że w schowku w piwnicy stało trzynaście nieużywanych prawych butów w rozmiarze 44 i tyle samo lewych butów w rozmiarze 39. Na ten temat - kolejny raz - rozmawiano podczas obiadu. Niepotrzebnych butów nie można było bowiem wyrzucić. Nie wolno wyrzucać zupełnie nowych, nieużywanych butów, nawet jeśli do niczego się nie

przydadzą, tak twierdził Birger. W innych kwestiach gotowy był dyskutować i negocjować, zmieniać zdanie i zawierać kompromisy, ale w sprawie butów nie do pary w piwnicy był niezłomny. Nie można ich wyrzucić. Kiedyś na pewno się przydadzą.

Kiedyś Inez przez długi czas złościła się na te buty, więc gdy Birger wygłosił swój wywód, przybrała nieco cierpki ton. Ależ oczywiście, powiedziała. Rzecz jasna, że należy zbierać swoje buty nie do pary. Tylko patrzeć, a pojawi się jakiś osobnik, który będzie dokładnym przeciwieństwem Birgera, to znaczy mężczyzną z dużą prawą stopą i małą stopą lewą.

I wtedy on i Birger będą mogli wymienić się swoimi butami, a potem żyć szczęśliwie do końca swoich dni. A ponieważ ów stan łaski nastąpić powinien mniej więcej wtedy, kiedy tydzień będzie miał dwa czwartki, trzeba teraz...

Birger zachnął się, z widelcem w połowie drogi do ust.

- O co chodzi? - spytał zdziwiony. - Jesteś zła?

- Jak to zła? Miałam tylko...

Inez zamilkła w środku zdania, uświadamiając sobie nagle, że posunęła się za daleko. Björn i Susanne nie uważali wcale, że jest zabawna. Z zaciętymi twarzami wpatrywali się w swoje talerze, jak już wiele razy wcześniej, siedzieli bez ruchu z oczami wbitymi w wyblakłe kwiatki używanej na co dzień porcelany, pilnując się, żeby nie spojrzeć na Inez. Oczywiście, że zaszły jej łzami, bo nagle uświadomiła sobie, że Björn siedzi tu i w duchu marzy, żeby się od niego odczepiła, że chce wstać od stołu i uciec, że chciałby się schować gdzieś w domu, tak, by zniknąć z zasięgu jej głosu. Po prostu uważał, że jest bardziej męcząca niż zwykle. Cała trójka uważa, że jest wyjątkowo męcząca.

Może mają rację. W ostatnim czasie bycie Inez jest bardziej męczące niż zwykle. W całym ciele czuje irytację, aż swędzi ją skóra głowy, łaskocze w gardle, błony śluzowe puchną od złości, a sucha skóra rozpada się na tysiące niewidocznych małych pęknięć. Jest rzeczą nieopisanie irytującą być tak podenerwowaną i nie móc nigdzie znaleźć ulgi. Oczywiście, że próbowała. Wczoraj, zanim wrócił Björn, wzięła gorącą kąpiel, a potem nasmarowała całe ciało tłustym kremem, na włosy położyła maseczkę z lanoliny i zawinęła je ciepłym ręcznikiem, a potem potajemnie spałaszowała bitą śmietaną, tę, co jej została z robienia tortu, którym miała powitać Björna.

Gdzieś w podświadomości żywiła przekonanie, że wszystko, co białe, tłuste i kremowe, wniknie w nią z zewnątrz i od wewnątrz, czyniąc z niej kogoś gładkiego, miękkiego i ogólnie przyjemnego. Jednak nic nie pomogło. Nadal miała popękana i suchą skórę, która na głowie jeszcze się łuszczyła, a irytacja narastała. Zanim zdążyła się opanować, przez głowę przebiegła zakazana myśl. On jest mój!

Nie. Tak nie wolno myśleć. Zamknęła oczy i włożyła spierzchnięte dłonie do ciepłej wody do zmywania. Przez parę sekund stała bez ruchu, patrząc, jak czerwienieją. Przyglądała się swoim piegowatym przedramionom. W zamyśleniu przygryzła wargę i urwała kawałek suchej skóry. Ranka błyszczała przez chwilę jak wyłuskane ze skórki winogrono, a potem pory błyskawicznie wypełniły się krwią. Piekący ból był dla niej dobry, przypominał, że musi się starać. Nie wolno być obrażoną. Nie należy

się denerwować. Teraz, kiedy Björn nareszcie znów jest w domu, musi być miła. Miła i przyjemna, miękka i rozumiejąca. Bo może ją to kosztować życie.

-Obiecuję - powiedziała do siebie półgłosem, a potem spuściła wzrok i przestała mówić i zastanawiać się.

Podczas zmywania widziała oczami wyobraźni Elsie, podobną do niej jak dwie krople wody bliźniaczą siostrę, matkę Björna - ale nie Susanne - stojącą na pokładzie amerykańskiego atomowego lodołamacza „Twilight”, który przeciska się przez zwały lodu gdzieś na morzach północnych. Ktoś położył na jej karku ciężką rękę, odsunął kędzierzawe, dziwnie bezbarwne włosy i szybko pocałował odsłoniętą skórę. Udawała, że tego nie zauważa, przechyliła się tylko jeszcze bardziej przez reling i wystawiła policzki na lodowaty wiatr.

-A penny for your thoughts - powiedział stojący za nią mężczyzna, a potem objął ją ramionami i tak mocno przytulił do siebie, że nie mogła się poruszyć. Trochę się wykręcała, ale on tego nie zauważył.

-Myślę o czerwonym domu daleko stąd.

Wiatr porwał jej słowa i gdzieś z nimi odfrunął, a mężczyzna pochylił się i przyłożył usta do jej ucha.

-What? I couldn't hear you.

Jego słowa łaskotały błonę bębenkową. Elsie oparła ręce na relingu i odepchnęła go.

-Nothing. Let's go inside. It's freezing out here.

Inez westchnęła, zamknęła oczy i zanurzyła się jeszcze głębiej w swoich marzeniach.

Bo były to tylko marzenia. Tak naprawdę Elsie siedziała w tym momencie w kawiarni na Lime Street Station w Liverpoolu, wpatrując się w wykafelkowaną ścianę. Od bardzo dawna nikt nie pocałował jej w kark, a lodołamacz „Twilight” naprawdę nie istniał. Parę lat temu wymyśliła go w liście do swojej siostry, a potem o nim zapomniała, i wcale nie myślała o czerwonym domu gdzieś daleko. Myślała o ścianie naprzeciw. Po co wykafelkowano całą kawiarnię? Nie mogła tego pojąć. Czy to miejsce nocą było wynajmowane rzeźni, a rano splukiwane gumowym węzłem? Czy może organizuje się tu nocne orgie, które mogłyby pozostawić niehigieniczne ślady we wnętrzu?

Uśmiechnęła się do siebie i zamieszała w filiżance. Brytyjska orgietka z dżinem i wykwinnym zdemoralizowaniem nie byłaby taka zła. Pod warunkiem że człowiek ma ciągoty w tym kierunku. Gdyby człowiek nie pożądał w zamian spokojnej rozkoszy. Samotności.

W tej chwili Elsie mogła spokojnie oddawać się takim rozkoszom, ponieważ dopiero co, po południu, zeszła z pokładu i na razie nawet przed sobą samą nie ujawniła jeszcze, czym się zajmie w najbliższym czasie. Czy ma za chwilę wstać, wyjść na peron i wsiąść do pociągu w kierunku północnym do Newcastle, a potem na prom do Szwecji, czy jechać na południe, do Londynu? Czy może zamiast tego powinna wyjść przez duże, szklane drzwi na ulicę i poszukać hotelu w okolicy? Nie wiedziała. Uważała jednak, że będzie interesująco zobaczyć, na co się sama zdecyduje.

Postanowiła bardzo uważnie śledzić proces decyzyjny, żeby sprawdzić, czy decyzję podejmują stopy, brzuch, czy może jakiś nieznany, mały gruczoł ukryty głęboko w mózgu. Z drugiej strony, nie wiedziała przecież, czy to stopy, brzuch, czy nieznany mały gruczoł sprawiły, że wyokrętowała się tego popołudnia. Jeszcze tydzień temu myślała, że po kilku dniach w Liverpoolu ponownie przemierzy Atlantyk na M/s „Nordic Star”. Miała wyokrętować się gdzieś w Kanadzie, zainkasować honorarium za ponad pół roku, a potem z wypchanym portfelem wsiąść w pociąg jadący na południe, do Nowego Jorku. Tęskniła za Nowym Jorkiem. Pomimo to już trzy dni temu wyciągnęła swoją torbę podróżną i kiedy wychodziła z kajuty na ostatnią nocną wartę, torba stała już spakowana. Kapitan nie był zadowolony. Wręcz przeciwnie. Zbeształ ją tak, że włosy dosłownie furkotały wokół jej uszu.

-Ale dlaczego? - spytał bosman, kiedy kopcili na pokładzie, podczas gdy statek sunął przez brunatne wody rzeki Mersey. - Myślałem, że lubisz ten statek?

Elsie zrobiła smutną minę. Nie miała na podorędziu żadnej zgodnej z prawdą odpowiedzi. Oczywiście, że lubiła ten statek. W gruncie rzeczy był to jeden z najlepszych statków, na których kiedykolwiek pływała, ale mimo to wiedziała, że nie może zmienić zdania.

-Chcę do domu - powiedziała w końcu. - Nie byłam w Szwecji od przeszło roku.

-I nie możesz poczekać jeszcze miesiąc?

Elsie zgasiła papierosa o biały reling, wiatr zdmuchnął popiół, ale został czarny ślad. Bez zastanowienia naciągnęła rękaw munduru na dłoń i wytarła, a potem z lekkim zdziwieniem popatrzyła na plamę z sadzy na niebieskiej gabardynie. Nie zniknęła, tylko zmieniła miejsce.

- Mam syna - powiedziała. Bosman uniósł brwi.

- Naprawdę? Ile ma lat?

- Dziewiętnaście.

- I nie widziałas go od przeszło roku?

- Dokładnie.

Bosman wrzucił swój niedopałek do wody.

-No tak - powiedział. - To rozumiem.

Na chwilę zapadła cisza. Niedaleko od nich widać już było Pier Head i wysokie wieże z ptakami. Symbole Liverpoolu.

-Mieszka u mojej siostry - wyjaśniła Elsie. - Mojej bliźniaczki. Jednojajowej. Jesteśmy dokładnymi kopiami.

Bosman wzruszył ramionami. Co mu do tego.

Tak naprawdę Elsie w równym stopniu nie wiedziała, czy powinna za parę dni jechać do Szwecji, czy jednak zostać na noc w Liverpoolu. Może. Może nie. W zasadzie planowała poczekać do wiosny, ponieważ Björn miał w maju zdawać maturę, a wtedy oczywiście chciała być na miejscu. Pod warunkiem że naprawdę do tego dojdzie. Co z kolei zależy od tego, czy jej syn nadal chodzi do liceum i czy zrobił coś nareszcie ze swoimi stopniami. Nic o tym nie wiedziała. Nie rozmawiali ze sobą od paru miesięcy, a ostatnim razem była to przerywana rozmowa radiowa, podczas której żadne z nich nie usłyszało więcej niż kilka słów. Elsie krzyczała coś o mgłę, lodzie i zbliżającej się zimie, chociaż na zewnątrz kajuty z radiostacją rozpościerało się lśniące, błękitne latem Morze Labradorskie. Björn powiedział jej, że został solistą w nowym zespole, który od dawna już występuje i który wkrótce nagra płytę, ale nie dosłyszał, gdy zapytała o jego stopnie i pracę wakacyjną. Potem słuchawkę wzięła Inez i wrzeszczała, że wszystko u niej dobrze, i u Birgera, i u Susanne też. Za to Lydia lekko niedomaga. Nie, żeby chodziło o bezpośrednie niebezpieczeństwo, ale może Elsie nie powinna się za długo ociągać z powrotem do domu. Lydia może jej już nie rozpoznać.

Elsie nie wiedziała, w co tym razem wierzyć. Lydia nie była szczególnie stara, nie przeszła jeszcze nawet na emeryturę i w zeszłym roku miała umysł czysty jak kryształ. Za to Inez była, mimo wszystko, bliźniaczką Elsie, a kiedyś nawet jej najlepszą przyjaciółką, tym człowiekiem, którego ze wszystkich na świecie znała i rozumiała najlepiej. Czy naprawdę wymyśliłaby coś na temat ich własnej matki tylko po to, by wzbudzić w Elsie niepokój?

Elsie wypięła ostatni łyk kawy z filiżanki i uśmiechnęła się do siebie samej. O, tak. Inez by to zrobiła. Byłaby w stanie wykombinować niemal wszystko tylko po to, żeby trochę dokuczyć Elsie. Wiedziała o tym, ponieważ sama przez lata rozsiewała aluzje i kłamstewka, żeby wkurzyć Inez i wywołać jej zazdrość. Jak parę lat temu, kiedy wspólnie zmywały po przyjęciu urodzinowym Lydii. Pochylona nad zlewem Elsie wycierała szklanki i przyciszonym głosem opowiadała Inez, że skóra czarnych mężczyzn jest rzeczywiście chłodna niczym jedwab i że to, co poza tym się o nich mówi - nie będzie się tu zagłębiała w szczegóły, ale Inez wie przecież w czym rzecz - to prawda. Inez płonęła szyja i nie chciała nawet na Elsie spojrzeć.

-Masz świra - powiedziała, wpatrując się zapamiętane w pomyje.

Elsie zaśmiała się lekko i podniosła szklankę pod kuchenną lampę, żeby przyjrzeć się jej spod zmrużonych powiek.

-Wierz mi, to jedna z najlepszych rzeczy, jakie zrobiłam.

-Jak on miał na imię?

Elsie błyskawicznie poszukała w pamięci najodpowiedniejszego imienia.

-Abe - powiedziała w końcu.

Abe? Skąd jej się to wzięło? Jedyne Abe, jakiego znała, był pomarszczonym Szkotem, który parę lat temu przez kilka miesięcy pływał na tym samym co ona statku. Od tamtej pory nie poświęciła mu nawet jednej myśli. Nie było powodu. Nie mieli ze sobą niemal nic wspólnego i Abe zdecydowanie nie stanowił obiektu jej erotycznych fantazji. Jednak Inez się na to złapała. Zawsze łapała haczyk, kiedy Elsie ją kusiała.

- Gdzie się spotkaliście?

- W Nowym Orleanie.

- Na południu Stanów? Mogliście się tam razem pokazywać?

Elsie uśmiechnęła się i wstawiła do szafki ostatnią szklankę, a potem zaczęła składać ścierkę. Inez miała oczywiście oddzielne ścierki do szkła i do porcelany. Plus jedną ekstra, która, wymaglowana na sztywno, leżała na blacie kuchennym w oczekiwaniu na sztucce. Oczywiście. Panna Mądralińska zamieniła się w Dorosłą Panią Gospodynię.

- Nigdy nie pokazywaliśmy się razem - powiedziała, sięgając po ścierkę do porcelany. - Byliśmy przecież na pokładzie jednego statku.

- Masz świra - powtórzyła Inez.

Jako dzieci Elsie i Inez dzieliły się marzeniami, wspierały i wzajemnie potwierdzały. Jeśli któraś z nich powracała do dzieciństwa, to pamiętała właśnie marzenia. Fantazję i światło. Było tak, jakby całe wczesne dzieciństwo spędziły zagrzebane w łózkach, w wytapetowanym na brązowo pokoju zwanym dziecinny, jakby przez lata leżały pod czerwoną, pikowaną kołdrą i białym prześcieradłem, otulone brudnożółtym światłem z ciężkiej, mosiężnej lampy z pergaminowym kloszem, stojącej na staroświeckim biurku pomiędzy łózkami. Świat nie istniał, nie słyszały ani tramwajów, które zgrzytały na ulicy, ani radia, które szeptało w salonie, ani mamroczącego głosu matki, ani kaszlu ojca.

- Teraz każda z nas będzie miała swojego ptaka - mówiła Elsie. - I będziemy na nich latały...

- Tylko nie gęsi - podkreślała Inez. - Łabędzie. Każda z nas będzie miała łabędzia.

- I polecimy wysoko....

- Nad wielkim lasem, całkiem czarnym lasem...

- Ale z białym śniegiem na ziemi.

- I górami gdzieś daleko. Czarnymi górami z białymi szczytami.

- Z zamkiem na najwyższej z gór. Ze szkła.

Przez chwilę leżały w milczeniu, Inez na plecach, a Elsie na brzuchu, patrząc, jak wokół zamku kołują łabędzie. W środku poruszało się kilka rozmazanych postaci. Przez grube szkło nie było dobrze widać, jak wyglądają, ale ich pochylone plecy i powolne ruchy wskazywały na to, że ci ludzie są smutni.

- Królowa płacze - powiedziała Inez. - Ale nie chce, żeby ktoś to widział.

- Ale król nie płacze - stwierdziła Elsie.

- Ma nadzieję.

- Tak. Wróżka powiedziała mu, że jest nadzieja.
- Jeśli tylko ktoś zabierze go do studni w lesie, wyzdrowieje...
- Ale on nie wie, gdzie jest ta studnia.
- A z zamku nie da się wydostać, jeśli ktoś nie umie latać.
- Więc król nie wierzy, że ktoś może mu pomóc. Ale wtedy przylatujemy my.

Królowi dały jednego łąbędzia, a same usiadły na drugim, uprzedziły władcę, żeby się mocno trzymał, i pozwoliły ptakom wlecieć do góry. Kilka minut później - kiedy król wypił już łyk wody z magicznej studni i natychmiast wyzdrowiał - kazały łąbędziom wznieść się jeszcze wyżej. Leciały przez chmury, które miały smak cukrowej waty, szczypały w ogon komety i niemal ocierały się o gwiazdy, a potem kazały łąbędziom zawrócić do królewskiego zamku, gdzie czekała na nich królowa. Bardzo się ucieszyła, że Elsie i Inez uleczyły króla. Już każdego wieczoru była radosna.

Kiedy chwilę później Lydia wślizgnęła się do nich, żeby zgasić lampę, Inez i Elsie leżały z zamkniętymi oczami. Nigdy nie rozmawiały o tym, co myślą, kiedy robi się ciemno, ale czasami pozwalały tej drugiej się tego domyślać:

-Dlaczego Bóg jest taki zły? - wysapała kiedyś Inez, po tym, jak się przewróciła i potłukła.

Elsie nie odpowiedziała od razu, rozejrzała się tylko, żeby upewnić się, iż nikt nie słyszał jej siostry.

-Ja też chciałabym to wiedzieć - stwierdziła, pomagając Inez w otrzepywaniu ze żwiru startego kolana.
-Naprawdę jestem tego ciekawa.

Więcej nie dało się powiedzieć.

Oczywiście pamiętały też o wszystkim innym, co nazywano rzeczywistością, ale nie było to tak wyraźne. Dopóki nie poszły do szkoły, świat wokół nich nie był do końca pojmovalny. Żyły w dużym mieszkaniu, zwrócone ku sobie, w to samo się bawiły, słuchały tych samych bajek, tak samo myślały.

Rzadko spotykały inne dzieci, a jeśli już do tego dochodziło, Elsie i Inez peszyły się. Inne dzieci były dziwne. Nie umiały się bawić - nie naprawdę, nie tak, jak bawiły się Inez i Elsie, nie tak, jak powinno się bawić. Najgorsi byli chłopcy, szczególnie jeden o imieniu Gottfrid. Kiedy przychodził ze swoją mamą, miał zawsze świeżo wydmuchany nos i przyczesane na mokro włosy, ale zanim jego mama zdążyła zniknąć w bibliotece, żeby napić się herbaty z Lydią, robił się łobuzersko poczochny i zaczynało mu cieknąć z nosa. Według niego dobra zabawa polegała na ganiu w kółko po dziecinnym pokoju i rozwalaniu wszystkiego, co napotkało się na swojej drodze. Elsie i Inez siedziały skulone na łóżku i przyglądały mu się krytycznym wzrokiem. Co jest u licha zabawnego we wciskaniu wszystkich książek z bajkami jak najbardziej w głąb półki? Albo w wysypywaniu na podłogę wszystkich bierek, skoro i tak nie ma się ochoty na grę? I dlaczego on musi stękać i wzdychać, wspinając się na biurko tylko po to, by zaraz zeskoczyć na podłogę? Przecież można się uderzyć, nawet taki Gottfrid powinien to rozumieć. Jednak najwyraźniej nie rozumiał, bo teraz siedział na podłodze i stękał, a gil z nosa zwiślał mu tuż nad górną

wargą. Po prostu jest głupi. Wręcz niewyobrażalnie głupi. Zdecydowali, że będą go ignorować.

- Pobawimy się w saworak? - powiedziała Inez do Elsie.

Inez zamruła, nigdy wcześniej nie słyszała tego słowa, ale natychmiast zrozumiała, o co chodzi.

-Tak - odpowiedziała. - Jest czwartek, a więc czas pobawić się w saworak.

Gottfrid, który stał przy domku dla lalek, pochłonięty opuszczaniem i podnoszeniem czarnej kłapy małego sedesiku, na chwilę zamarł. Domek dla lalek był bardzo nowoczesny, Ernst sam go zbudował, kiedy ostatnim razem był w sanatorium. Założył w nim nawet elektryczne oświetlenie, choć lampę można było palić tylko w niedzielę. W przeciwnym razie zbyt szybko kończyła się bateria.

-Co takiego? - zapytał Gottfrid.

Inez objęła ramieniem swoją lalkę i przycisnęła ją do brzucha, a Elsie poprawiła spinikę do włosów.

-Co to jest sawo... - powiedział Gottfrid. - To, co mówiłaś.

Inez rzuciła Elsie szybkie spojrzenie.

- On nie wie, co to jest saworak. Elsie uniosła brwi.

- Nie, no oczywiście... To tajemnica.

- Zwłaszcza przed chłopcami.

- Tak, bo chłopcy nic nie rozumieją... Gottfrid wypuścił z rąk sedesik.

-Spójrz tylko - powiedziała Inez. - Teraz postawił ubikację w salonie.

- Może u niego w domu też mają w salonie toaletę... Inez wybuchła śmiechem.

- A kuchenkę w łazience!

- Macie tak? Toaletę w salonie i kuchenkę w łazience? Gottfrid pociągnął nosem:

- Oczywiście, że nie mamy. Ale co to jest sawo... To, co powiedziałaś.

- Tajemnica.

- Przecież mówiłyśmy.

- To nie dla chłopców.

-Zwłaszcza takich, co mają toaletę w salonie... Gottfrid przez chwilę im się przyglądał. Patrzył na

identyczne siostry Hallgren, które siedziały na łóżku z pochylonymi do siebie blond głowami, Inez ze spiniką po prawej stronie, Elsie ze spiniką po lewej, ubrane w identyczne białe bluzki z okrągłymi

kołnierzykami i miękko marszczone niebieskie spódnice. Jeszcze przez chwilę się wahał, porównując siły i oceniając perspektywy, aż nagle Elsie i Inez uśmiechnęły się do niego dwoma bezzębnymi i dość złośliwymi uśmiechami. Bo naturalnie jednocześnie straciły mlecze zęby. Gottfrid poddał się.

-Mama! - wrzasnął. - Mammaa!

I mama przysła, stanęła w drzwiach pokoju dziecinnego i uśmiechnęła się na swój wyblakły sposób. Zza niej wyłoniła się zatroskana Lydia.

-Ależ Gottfridzie! Co się stało, Gottfridzie? Gottfrid, zakatarzony bardziej niż zwykle, leżał na ziemi i kopał nogami.

-One są głupie! One mają tajemnice!

Jego mama postawiła go na nogi i z kieszonki sukienki wyczarowała chusteczkę.

-No jasne, że mają tajemnice - powiedziała, wycierając mu nos. - Są przecież bliźniaczkami.

I tak właśnie było. Inez i Elsie były bliźniaczkami, w dodatku jednojajowymi, a to wyjaśniało niemal wszystko. W oczach innych wydawały się równie tajemniczo połączone ze sobą, jak i od innych oddzielone. Wszyscy znali bliźniaczki Hallgren, ale nikt nie wiedział, kim jest Elsie albo Inez. Niemal zawsze były razem, a jeśli zdarzyło się, że zostały rozdzielone i nagle zostały same, było im pusto i samotnie. Uśmiechy dorosłych gasły, spojrzenia przesuwają się po nich obojętnie. Było tak, jakby to fakt bycia bliźniaczkami osadzał je w życiu i potwierdzał ich egzystencję.

Kiedy kilka dni po ich siódmym urodzinach Lydia zabrała je na świąteczne przedstawienie w teatrze miejskim i dziewczynki zdjęły swoje płaszcze, pokazując jasnoblękitne, taftowe sukienki, wśród innych matek podniósł się szum - Och! Jakie urocze dziewczuszki! - a one szybko chwyciły się za ręce, jakby chciały uczynić obrazek jeszcze doskonalszym. Pierwszego dnia szkoły pani Bergström uśmiechała się do nich najcieplej i natychmiast nauczyła się ich imion, chociaż w jej ustach zlewały się w jedno. Inezielsie! Witajcie! Nie wspominając już o sprzedawcy owoców, panu Fritzsonie. Niemal każdego popołudnia, kiedy przechodziły obok jego sklepu w drodze ze szkoły, wyglądał na ulicę i przecierał oczy - Oj! Zaczynam widzieć podwójnie! - a potem zapraszał, żeby poczęstowały się jabłkiem. Kładł owoc na białym marmurze lady i dzielił go na pół ostrym nożem, a potem uśmiechał się, bo dygały w podziękowaniu. Zdejmował okulary i wycierał je o fartuch. Nie ma za co dziękować! Przyjemność po mojej stronie. Małe dziewczynki przynoszą radość w tych ponurych dniach, a jeśli w dodatku są dwie, to i radość jest podwójna.

Bycie bliźniaczkami oznaczało zatem wyjątkowość, dosłownie: oddzielenie, wyłączenie z masy innych. Miało to swoje zalety. Kiedy w pierwszych tygodniach semestru inni pierwszoklasiści podczas przerw nieśmiało ociągali się w szatni, Elsie i Inez bez namysłu narzucały swoje palta, wciskały na głowę berety i wybiegały na szkolny dziedziniec. Czego miały się obawiać? Były jedynymi bliźniaczkami w całej szkole i wkrótce wszyscy, nawet chłopcy z siódmej klasy - ci szarobłodzi trzynastoletkowie o wystających kolanach, którzy marzyli o pracy gońca - wiedzieli, które to bliźniaczki Hallgren, choć, rzecz jasna, nigdy nie poniżyliby się rozmową z nimi. Za to dziewczyny z szóstej klasy, które ciągle poprawiały włosy, tak

jakby za pomocą palców i silnej woli mogły ułożyć z nich loki i fale, mówiły zamiast chłopców.

Przykucały przed Inez i Elsie, przechylały głowy i zaczynały przemawiać dziecięcym językiem. Och, jakie słodkie dziewczuszki maluszki... Inez i Elsie uśmiechały się, pokazując dołeczki, co sprawiało, że starsze dziewczyny podnosiły swoje piskliwe głosy o jeszcze jedną oktawę. Słodziutkie! A potem Solveig i Ebba, Elsa i Gunhild oraz Signe i Inga wspólnie decydowały, że kiedy dorosną, wszystkie będą miały bliźniaki, urocze, jasnowłose dziewczynki z loczkami i dołeczkami w policzkach. Dokładnie takie jak bliźniaczki Hallgren.

Wszyscy nas zauważali, pomyślała Elsie, podnosząc do góry filiżankę. A mimo to...

Zapomniała, że kawa już wypita. Ręka tak szybko odstawiła filiżankę na spodek, że lekko brzdęknął. Jej ciało wiedziało, co robić, to oczywiste, podniosło ją i kazało sięgnąć po płaszcz od munduru, który wisiał na oparciu krzesła. Prawa ręka dotknęła skroni, kontrolując, czy marynarska czapka siedzi tam, gdzie powinna, a potem kolana ugięły się i lewa ręka złapała walizkę. Stopy zaczęły iść w stronę szklanych drzwi prowadzących na Lime Street.

Aha. Czyli tę noc spędzi w Liverpoolu. Jednak nadal nie ma pojęcia, kto lub co podjęło tę decyzję.

Hotel Stork był jak z innej epoki, wrak z białą fasadą i aksamitnoczerwonym wnętrzem, który osiadł na mieliźnie królestwa nowej generacji. W środku nie było jeszcze lat sześćdziesiątych, niczego, co przypominałoby o Beatlesach i Mersey Beat. Oświetlenie w kolorze wyblakłego złota i grube dywany tłumiące każdy dźwięk. Bardzo krótko ostrzyżony pikolo w czerwonym mundurze czynił honory przy wejściu, a w recepcji czekał młody portier w żakiecie, pasiastych spodniach i z czerwoną szyją, pociieraną od usztywnionego kołnierzyka. Podając Elsie klucz, ukłonił się lekko. Śniadanie serwowane jest od siódmej do dziesiątej, ale jeśli pani życzy sobie czegoś teraz...

Niczego sobie nie życzyła. Jedyne, czego pragnęła, to znaleźć się w swoim pokoju. Mały pikolo złapał jej walizkę, nim zdołała go powstrzymać - była dla niego dużo za ciężka! - i przyciągnął ją do windy. Przytrzymał jej drzwi, a kiedy wchodziła do środka, przesadnie się ukłonił.

-Excuse me, madam - powiedział, przyglądając się jej mundurowi. - Are you in the Navy?

Elsie roześmiała się.

-Nie - odparła. - Jestem telegrafistką. Nie we flocie, na zwykłym statku handlowym.

- Aha - odpowiedział chłopiec. - Kiedy skończę osiemnaście lat, pójdę do szkoły morskiej.

- Czyli chcesz zostać kapitanem?

- Albo bosmanem. Mój tata jest bosmanem.

- To ciężka praca...

Rzucił jej szybkie spojrzenie. Może dotknęła go, sugerując, że jest drobny i niewysoki. Spróbowała uśmiechnąć się i zatrzeć złe wrażenie.

-Jak masz na imię?

-Malcolm.

-Na pewno będziesz bardzo dobrym bosmanem, Malcolmie.

Znowu przytrzymał jej drzwi. Wyszła na korytarz, pokryty wykładziną w kwiatki. Była dość czysta.

-Chcę zobaczyć cały świat - powiedział Malcolm. -Mój tata był tylko na trzech kontynentach, a ja chcę zobaczyć pięć. Na ilu kontynentach pani była?

Zastanowiła się chwilę, otwierając drzwi swojego pokoju.

-Na czterech - powiedziała, wchodząc do środka. - W Europie, Azji, Australii i Ameryce. I jeszcze na biegunie północnym.

Chłopiec upuścił walizkę na podłogę.

-Na biegunie północnym! Oddałbym wszystko, żeby tam pojechać. Czy było wspaniale?

Uśmiechnęła się. Rozpoznawała to marzenie.

- O tak. Zupełnie fantastycznie.

- Wielkie góry lodowe?

- Nie, tam nie. Tylko zwykły, płaski lód. Ale on też jest piękny, zwłaszcza latem. Robią się na nim takie małe jeziora, nieduże, akwamarynowoniebieskie jeziora...

- Akwa... co?

Elsie ściągnęła płaszcz i rozejrzała się dookoła. W pokoju hotelowym pełno było kwiatków. Czerwone róże na dywanie, różowe na ścianach, beżowe na zasłonach.

-Błękitny. Niebieski jak niebo w naprawdę piękny letni dzień. Kiedy zobaczyłam je po raz pierwszy, była piękna pogoda, więc pomyślałam, że to niebo odbija się w nich i daje im swoją barwę, ale już następnego dnia zobaczyłam, że są identycznie błękitne, kiedy robi się pochmurnie.

Wtedy były nawet jeszcze piękniejsze.

Chłopiec stał wyprostowany na baczność i mrużył lekko oczy, jakby patrzył w dal. Elsie rzuciła mu szybkie spojrzenie i opadła na łóżko. Materac sprawiał wrażenie twardego, ale teraz nie miało to znaczenia, była przecież na biegunie północnym z małym pikolem.

-Potem dowiedziałam się, że to czas nadaje im tę barwę. Każdego roku lód staje się bardziej błękitny... W Szwecji - stamtąd pochodzę - lód jest zawsze biały, bo latem topi się, ale na Oceanie Arktycznym jest niebieski. Bardzo niebieski. I nigdy nie topnieje, tylko latem na powierzchni tworzą się te małe jeziora. Błękitne jeziora na białym śniegu, wygląda to jak układanka z wielkich białoniebieskich puzzli...

Otworzyła torebkę w poszukiwaniu portmonetki. Czas na napiwek. Jednak Malcolm zdawał się tego nie zauważać.

-Widziała pani niedźwiedzie polarne, madame? Wyjęła kilka pensów i wyciągnęła rękę w jego kierunku.

-Tak, ale nie na biegunie północnym. Tam nie mogą żyć. Są trochę dalej na południe.

Potrząsnęła lekko ręką, aż drobniaki zadźwięczały. Chłopiec zamrugał i wyciągnął do niej otwartą dłoń.

- Kiedyś tam pojedę - powiedział. Elsie uśmiechnęła się do niego.

- Ile masz lat, Malcolmie?

- Piętnaście.

Piętnaście? Założyłaby się, że dwanaście. Najwięcej. Ale tego oczywiście nie powiedziała.

-To masz dużo czasu. Zobaczysz biegun północny i pięć kontynentów.

-Tak - powiedział poważnie Malcolm, wciskając napiwek do kieszeni spodni. - Myślę, że trzeba spróbować. Skoro człowiek już tutaj jest.

Elsie uniosła brwi.

-Tutaj?

-Na ziemi - powiedział Malcolm i szybko się uklonił. - Trzeba zobaczyć jak najwięcej, skoro jest się tu, na ziemi.

Kiedy sobie poszedł, zgasiła lampę pod sufitem i zapaliła małą lampkę ścienną, a potem siedziała przez długą chwilę, wyjmując z koka szpilki do włosów. Następnie rozmasowała skórę głowy i potrząsnęła rozpuszczonymi włosami tak, że załaskotały ją w kark. W końcu położyła się z rękami pod głową. Patrzyła na cienie rzucane przez sztukaterię na suficie. Było bardzo cicho, tak bardzo, że nagle poczuła niepokój i zatęskniła za statkiem i uspokajającym pulsem jego silników. Schodzenie na ląd nigdy nie było łatwe, za każdym razem było coraz trudniej przyzwyczać się do ulic i domów, wszystkich kolorów, przedmiotów, tych nagłych pojawień się i równie niespodziewanych zniknięć, wszystkich twarzy, ubrań, głosów, dźwięków i - w równym stopniu - do ciszy, która bywała tak gęsta, że wyrwała Elsie z najgłębszego snu i przez pozbawioną tchu chwilę kazała wierzyć, że koszmar dzieciństwa stał się faktem, że została na świecie sama i wszyscy, nawet Inez, zapomnieli o jej istnieniu i gdzieś odeszli.

Życie na pokładzie było prostsze pod wszelkimi względami. Morze i niebo zmieniały barwę, ale horyzont pozostawał zawsze w tym samym miejscu, nieliczne obowiązki były zrozumiałe, a hierarchia ostateczna i niemożliwa do podważenia. Kiedy jej wachta dobiegała końca, zamykała za sobą drzwi kajuty, która była prosta i czysta jak klasztorna cela. W tamtym świecie oczy i zmysły mogły odpocząć,

oddech zwalniał, a myśli wypełniał spokój...

Oczywiście pod warunkiem że wszyscy członkowie załogi, od kapitana po najniższego majtka, pojęli już, że Elsie nie zamierza się z nikim przespać. Z żadnym z nich.

Już podczas pierwszych miesięcy na morzu nauczyła się, że nie wystarczy powiedzieć „nie”, że owo „nie” musi wręcz emanować z jej twarzy i tonu głosu od chwili wejścia na pokład przez kolejne długie miesiące. Każdy jej uśmiech mógł doprowadzić do tego, że nocą rozlegało się pukanie do drzwi jej kajuty, każdy wybuch śmiechu mógł kogoś sprowokować, by zaciągnął ją do jakiejś klitki i wbił wargi w jej usta, każde szybkie spojrzenie mogło sprawić, że jakieś obce ręce nagle zacisną się na jej piersiach, a szorstka broda będzie pocierać jej kark. Wiele razy musiała się wyrwać, czerwona i ze łzami w oczach, ze strachem kołującym się w dole brzucha i paniką w głosie. Jednak tak naprawdę nie bała się gorliwych rąk i sapiących oddechów. Obawiała się wściekłości, która była pod spodem, i mężczyzn uwięzionych w ich własnym pożądaniu, pałających nienawiścią do osoby, która je wzbudziła. Dlatego każda kobieta, która nie chce, by nią pogardzano, musi zrezygnować z miłości, zapomnieć

O tęsknocie i zamknąć z opieczętowaniem swoje pożądanie. W przeciwnym razie zaraz będą ją prześladować szydercze szeptki, tak jak w wypadku dziewczyny z mesy i telegrafistki, dlatego że otworzyły drzwi do swojej kajuty. Dziwka kapitana! Kurwa sternika! Dupa Nilssona! Te same słowa, które szepczano w Landskronie za dziewczyną, która...

Nie. Sama myśl o tych słowach sprawia, że coś jej się kurczy w środku, nie chce o nich myśleć, nie chce pamiętać o ich istnieniu. Nagle czuje piekący ból. Björn! Tęskni za Björnem. Opada na krzesło i chwytka za telefon, a potem bez namysłu wybiera numer centrali.

- Chciałabym zamówić rozmowę z zagranicą - mówi. - Landskrona. Szwecja.

- Oh dear - odpowiada telefonistka. - Obawiam się, że nie usłyszałam nazwy miasta. Czy mogłaby pani przeliterować?

- Nie potrzeba - mówi Elsie. - Znam numer kierunkowy...

Po odłożeniu słuchawki od razu żałuje, ale już za późno. Sztab telefonistek zaczął swoją pracę, z centrali w hotelu Stork w Liverpoolu do Londynu, z Londynu do Sztokholmu, ze Sztokholmu do Landskrony. Widzi je przed sobą, jak siedzą wśród swoich słuchawek i wtyczek, długi rząd pań i dziewcząt z trwałą i czarnymi kreskami na powiekach, które w czasie krótszym niż dziesięć minut mają połączyć jej rzeczywistość z Björnem.

- On jest mój - mówi do siebie półgłosem. - On jest przecież mój.

Odebrała Inez.

Właśnie wychodziła z piwnicy z naręczem prania w ramionach, kiedy zatrzymał ją dzwonek. Prychnęła. No tak, pewnie znowu jakaś dziewczyna albo - jeszcze gorzej - grupa dziewczyn, które bez tchu, wśród chichotów, będą prosić o rozmowę z Björnem. Wygląda na to, że wiadomość, iż przyjechał na parę dni do domu, już się rozeszła. Kiedy wróciła do domu ze szkoły, telefon dzwonił bez przerwy i za

każdym razem była to dziewczyna, która chciała rozmawiać z Björnem. Na początku cztery razy podchodził do telefonu, cierpliwie słuchał śmiechów i jąkania dziewczyn, a potem odpowiadał paroma grzecznymi słowami, ale kiedy telefon zadzwonił po raz piąty, westchnął i poprosił Inez, żeby nie odbierała. Przez chwilę siedzieli w milczeniu, naprzeciw siebie, przy kuchennym stole, słuchając, jak telefon dzwoni i dzwoni. Kiedy w końcu ucichł, Inez wstała, wyszła na korytarz, podniosła słuchawkę i położyła ją obok aparatu. Odłożyła ją z powrotem dopiero, gdy zegar w salonie wybił ósmą. Wszyscy w końcu wiedzą, że nie można dzwonić do ludzi po ósmej wieczorem. Przynajmniej powinni wiedzieć. Chociaż te dziewczyny...

Mimo to nie mogła powstrzymać się przed odebraniem. Przybrała jednak bardzo formalny ton. Telefonistka też była oficjalna:

- Rozmowa z Liverpoolu. Proszę czekać.

Liverpool? Inez powoli opadła na krzesło obok stolika w korytarzu. Zrobiła to ostrożnie, bo nie chciała pognieść prania.

Co prawda, większość rzeczy jest z trykotu, który się nie gniece, ale to trykoty Björna i Inez chce ułożyć wszystkie starannie wyprasowane kalesony i podkoszulki w eleganckim stosiku na jego łóżku. To wiadomość. Chciałyby, żeby zrozumiał, jak bardzo się cieszy, że nareszcie wrócił do domu, i żeby wybaczył jej, że znaczy dla niej tak dużo, że jest...

-Inez?

Znajomy głos sprawił, że poczuła ucisk w brzuchu, ale szybko opanowała się i odpowiedziała tym samym tonem:

- Elsie?

- Tak. Co u was?

Poczuła mały dreszcz triumfu. Ona nie wie! Elsie nie ma pojęcia, co przytrafiło się jej własnemu synowi.

-Dobrze, dziękujemy. Niektórym z nas powodzi się lepiej niż kiedykolwiek wcześniej.

Na chwilę zapadła cisza.

- Co masz na myśli?

- Björn się przebił.

Elsie nadal nie rozumiała:

- Przebił? Co przebił?

- Jego zespół się przebił. Zespół popowy. Byli na pierwszym miejscu na, no jak to się nazywa, liście Top

10. Przez cztery tygodnie. No i wybiera się do Anglii. A ty nie jesteś teraz w Anglii?

- No tak...

- On też będzie. Już w sobotę lecą do Londynu. Będą w telewizji.

- Ale...

Elsie wahała się, najwyraźniej nie wiedziała, co powiedzieć. Inez uśmiechnęła się w czarny bakelit słuchawki.

-Piszą o nim we wszystkich gazetach.

Żadnej odpowiedzi. Inez pochyliła się nad słuchawką, przysunęła do niej usta:

-Halo? Jesteś tam?

Coś lekko zachrzącało na linii, może telefonistka włączyła się i słuchała, może podsłuchiwała przez cały czas. Ludzie są tacy ciekawscy, ich ciekawość nie zna granic! Inez podniosła głos:

-Elsie! Słyszysz mnie? Lekkie chrząknięcie.

-Tak, jestem. Tylko bardzo mnie to zaskoczyło. Czy on tam gdzieś jest? Mogę z nim porozmawiać?

-Oczywiście.

Inez przykryła słuchawkę ręką i zawołała w kierunku pierwszego piętra.

-Björn! Telefon do ciebie! To Elsie.

Właśnie, Elsie. Nie twoja mama. Niech ma. Inez przymknęła na chwilę oczy, przysłuchując się krokom Björna na górze, a potem powiedziała:

-Już idzie. A co u ciebie? Przyjedziesz niedługo do domu?

-Nie wiem - odparła Elsie. - Zobaczymy. Inez skrzywiła się. Oczywiście.

Björn ześlizgnął się po schodach w samych skarpetkach, wyciągnął rękę po telefon, jeszcze zanim dotarł na dół, wykrzyknął ze śmiechem:

-Słyszalaś?

Odwrócił się do Inez plecami ze słuchawką wciśniętą między ramieniem a uchem. Inez ostrożnie położyła cały stos świeżo wyprasowanej bielizny na najniższym stopniu schodów i wyszła do kuchni. Chciała być w pobliżu. Naprawdę ma pełne prawo trzymać się w pobliżu, choć oczywiście nie przyszło jej do głowy, żeby podsłuchiwać. Nigdy w życiu. Podsłuchiwanie jest podłe, a podłości należy unikać, jeśli nie ze względów etycznych, to z czystego instynktu samozachowawczego. Człowiek, który robi coś podłego, sam z definicji staje się podły, a Inez odrzuca na samą tylko myśl o tym słowie. Ohydztwo. Podły. Podlec.

Uch.

Björn wybuchnął na korytarzu śmiechem. Inez zrobiła krok w stronę zlewu - trzeba czymś pohłasować, żeby nic nie słyszeć, na przykład nieumytymi szklankami, którymi można stukać o dno zlewu w czasie płukania - tylko że oczywiście żadnych szklanek już nie ma. Niecałą godzinę temu zostawiła kuchnię perfekcyjnie czystą i nadal jest tu idealnie. Suchy, błyszczący zlew, lśniący blat, czarne płytki na kuchence bez jednej plamy, podobnie jak i biała emalia wokół nich. Czy rzeczywiście porządnie wytarła stół? Chwyliła ścierkę, która suszyła się na kranie, i zaczęła kreślić nią powoli symbol nieskończoności na szarym laminacie. Symbol nieskończoności stanowi podstawę wszelkiego sprzątnia, tłumaczy to swoim uczniom na początku każdego semestru jesiennego. Ścierkę, szmatę do podłogi, szczotkę oraz odkurzacz należy prowadzić wzdłuż przewróconej ósemki, cokolwiek by się robiło, nie ma lepszej gwarancji na to, że dotrze się wtedy wszędzie i że naprawdę będzie czysto...

Björn znowu się roześmiał. Ależ jest im z Elsie wesoło. I jak długo rozmawiają. Nie, żeby im tego żałowała, ale można się przecież zastanowić, czy Elsie stać na tak długie rozmowy telefoniczne z zagranicą. Nie wspominając już o tych wszystkich prezentach, ubraniach, perfumach i ciemnoczerwonych szminkach, które rozdaje naokoło, jak już przyjdzie jej na myśl się pojawić...

Inez odłożyła ścierkę, opadła na krzesło i zamknęła oczy. Co się z nią dzieje? Obiecała sobie przecież, że będzie łagodna i miła, dlaczego nie umie dotrzymać obietnicy? Przecież musi. Musi być miła i zadowolona, także wobec siebie samej, nie wolno jej pielęgnować złych myśli, nie może dopuszczać do siebie złości i uszczypliwości, nie może poddawać się swędzącej irytacji. Musi się pilnować, bardzo pilnować, musi uważać na każde słowo i ton głosu, każdy gest, każdą myśl, w przeciwnym razie straci Bjórna. A jego nie może stracić. Nie zniosłaby utraty Bjórna.

Utrata Elsie stanowiła długi proces. Długi i momentami bolesny. Inez nie wiedziała nawet, kiedy to się zaczęło, czasami myślała, że już tego dnia, kiedy wyszły się na świat, najpierw Inez, a zaraz potem Elsie. Ernst twierdził zawsze, że kiedy się urodziły, Elsie trzymała Inez za pięty, ale twierdzenie to sprawiało, że Lydia wznosiła brwi. Bzdury. Wcale tak nie było. Ernst nie ma pojęcia, jak było, kiedy rodziły się Inez i Elsie, bo przecież nie było go wtedy w pobliżu. Przecież kiedy Lydia była w czwartym miesiącu, zabrano go do sanatorium Orups, niedaleko Hóór, i został tam tak długo, aż Inez i Elsie zdążyły nauczyć się stać i chodzić, zanim spotkały ojca. Zdaniem lekarzy pacjent z gruźlicą popierwotną - bez względu na stopień zaawansowania choroby - nie powinien znaleźć się w mieszkaniu, w którym są dwa niemowlaki. Wprawdzie Inez i Elsie były jednymi z pierwszych osób w Szwecji, które zaszczepiono przeciw gruźlicy, tego już Lydia dopilnowała, ale pomimo to należało zachować wszelką ostrożność.

Inez i Elsie nigdy nie były pewne swoich pierwszych wspomnień dotyczących Ernsta. Może nie pamiętały go naprawdę, może tylko wyobrażały sobie to, co opowiadała im Lydia. Jak roczna dziewczynka mogłaby zapamiętać rozzwierający kaszel ojca albo dwulatka - jego błyszczące oczy?

I czy naprawdę weszły kiedyś do łazienki, w której cały zlew był pełen krwi? Nie wydawało się to prawdopodobne. Przecież nie tylko Lydia, ale wszyscy dorośli obsesyjnie chronili je przed zarażeniem się. Gdy jechały w odwiedzinach do sanatorium, nie wolno im nawet było zbliżyć się do budynku - tego akurat Inez, jak i Elsie były pewne, choć wspomnienia stamtąd miały niewyraźne jak marzenia senne.

Inez najlepiej pamiętała sukienki w złoto-białą kratkę, dostały je z Elsie przed podróżą. Całe wspomnienie pierwszej wizyty w Orup wypełniała ta kratka. Była jak siatka nad parkiem, nad białym domem i nad bladą twarzą Ernsta, który machał do nich, przechylając się przez poręcz balkonu.

Prawdziwe wspomnienia, te, które naprawdę należały do nich, nie były związane z kaszlem i pluciem krwią. Tyczyły się innych rzeczy, tamtych dziwnych rzeczy, które wydarzyły się jakiś miesiąc po powrocie Ernsta z sanatorium. Piskliwy śmiech, który w środku nocy niósł się echem po całym mieszkaniu. Worek z prezentami, wysypywany na podłogę w pokoju dzieciennym, chociaż to nie były ani święta, ani urodziny. Niepewny uśmiech Lydie, kiedy Ernst padał na kolana i całował jej pięty. Jej lekko drżący głos, kiedy obejmowała ramionami Inez i Elsie i przyciskając je do siebie, uspokajała:

- Tata tylko żartuje, dziewczynki! To tylko żarty. Kiedy wracał kaszel, kończyły się żarty. Czasem trwało to kilka tygodni, czasem kilka miesięcy, ale przebieg był zawsze ten sam. Pomiedzy atakami kaszlu Ernst stawał się coraz cichszy i cichszy, coraz bardziej szary i szary, coraz chudszy i chudszy do czasu, gdy któregoś ranka nie chciał już wstawać z łóżka. I po co? Przecież jest skazany, niedługo umrze, nie ma nadziei... Kiedy wynoszono go do karetki, nawet nie podniósł na pożegnanie ręki, zamykał tylko oczy i uciekał w siebie. Czekał go kolejny rok w sanatorium. Jeśli będzie miał szczęście.

Kiedy dziewczynki miały osiem lat, splajtowało biuro architektoniczne Ernsta, ale one dowiedziały się o tym dopiero parę lat później. Wiedziały tylko, że Lydia zaczęła pracować w szkole dla dziewcząt, że uczyła angielskiego i francuskiego i że popołudniami będzie się nimi zajmować Anna-Lisa. Przysadzista, podobna do lalki dziewczyna o różowych policzkach i lśniących niebieskich oczach według Ernsta stanowiła „wspaniały okaz szwedzkiej maciory”, ale była milcząca i ponura.

Kiedy Inez i Elsie wracały ze szkoły, podawała im przy stole w kuchni bułki i kakao. Dziewczynki siedziały na swoich krzesłach, wymachując nogami, i przyglądały się jej z ustami zapchanymi jedzeniem. Anna-Lisa była jedyną osobą na ziemi, która wydawała się całkowicie obojętna na fakt, że Inez i Elsie nie tylko są bliźniaczkami jednojajowymi, ale w dodatku mają dołeczki w policzkach i naturalnie kręcone włosy. Kiedy już nałała im kakao, nie raczyła nawet na nie spojrzeć, dorzucała tylko kolejne polana do pieca, prostowała się i rozcierała plecy, a kiedy dziewczynki dygnięciem dziękowały za jedzenie, odpowiadała im podejrzliwym wzrokiem, jakby myślała, że się z niej naigrawają. Potem wskazywała ręką drzwi i mówiła:

-Dobrze, dobrze. Lekcje!

Kilka godzin później Lydia wracała ze swojej szkoły i opadała na taboret w korytarzu. Przez chwilę siedziała bez ruchu, patrząc pustym wzrokiem przed siebie, a potem schylała się, żeby rozwiązać sznurowadła i rozmasować nogi - te jej nogi, zawsze w grubych, brązowych rajstopach. Dopiero później unosiła oczy, dostrzegała swoje córki i korygowała wyraz twarzy. Trzeba być zadowoloną. Nie należy zagłębiać się w smartwieniach i troskach bez względu na to, jak bardzo jest się zmęczoną i smutną.

-Dobry wieczór, dziewczynki - mówiła. - Jadłyście podwieczorek?

Inez i Elsie kiwały głowami, stojąc bez ruchu w swoich codziennych sukienkach w szkocką kratkę i z białymi kołnierzykami, całe czyste i porządne, może z wyjątkiem nieco zbyt wielu śladów cerowania na rajstopach i zbyt wielu kędziorów, które wysliznęły się z warkocza.

-Już zaraz będą ferie wielkanocne - mówiła Lydia. -Pojedziemy do Orup.

Kiedy miały wolne, zawsze jeździły do sanatorium, nawet w dni wolne z powodu sprzątania szkoły, i za każdym razem musiały wstawać o wpół do szóstej rano, szybko połykać kanapkę i mleko, podczas gdy Lydia biegła w kółko po mieszkaniu, zbierając rzeczy: świeżo wydaną książkę, którą może chciałby mieć tata, albo starą koszulkę, której mu na pewno brakuje. Zanim dziewczynki zdążyły wejść do przedpokoju, Lydia miała już zapięty płaszcz i kapelusz na głowie i popędzała je z ręką na kłamce. Musimy się spieszyć! Nie można spóźnić się na pociąg. Tata czeka na nas właśnie dziś i jeśli nie będziemy dokładnie wtedy, kiedy obiecałyśmy, będzie się martwić, a to mu zaszkodzi, naprawdę mu zaszkodzi...

Tylko w czasie podróży do Orup Lydia zapominała o ukrywaniu swego niepokoju - i wtedy zapominała o tym całkowicie. Od razu, kiedy pociąg opuszczał Göteborg, Lydia zaczynała się martwić przesiadką w Lund, trzęsły jej się ręce, a głos robił piskliwy. Będą miały tylko siedem minut, co będzie, jeśli nie zdążą przebiec z peronu na peron. Tak! Może do tego dojść, bo stacja w Lund jest większa, niż się wydaje, z wieloma peronami. Dziewczynki muszą obiecać, że będą grzeczne i posłuszne i że będą biec, kiedy Lydia powie, żeby biegnęły, i bardzo uważać, by nie upaść na tory. Nie ma nic bardziej niebezpiecznego niż upadek na torach, wiecie o tym, prawda? Dlatego dziewczynki muszą obiecać, że będą słuchać mamy, że naprawdę będą się spieszyć i cały czas będą posłuszne...

Może to właśnie niepokój jako pierwszy nadszarpnął więź łączącą Inez i Elsie. Ten nigdy nie nazwany lęk, który był z nimi zawsze i każdego dnia stawał się większy, rósł z miesiąca na miesiąc, aż w końcu był tak ogromny, że żadna z siostr nie była w stanie się przyznać, ile niesie ta druga, bo gdyby to zrobiła, musiałyby dostrzec, że sama też ugina się pod podobnym brzemieniem.

Nigdy nie stało się to wyraźniejsze niż tamtego dnia, kiedy zostały same w parku, w Orup. Lydia rzuciła w ich stronę kilka roztargnionych napomnień, odwróciła się plecami i poszła w kierunku dużego budynku. W chwili, w której stawiała stopę na pierwszym stopniu schodów, Inez i Elsie przestały trzymać się za ręce. Odwróciły się do siebie bokiem i zaczęły błąkać się bez celu po trawnikach i ścieżkach.

- Poczekalnia śmierci - wymamrotała Elsie, obciążając rękawy palta. Był już październik i jakiś tydzień temu Lydia zniosła ze strychu zeszłoroczne nakrycia i powiedziała, że muszą wystarczyć na jeszcze jedną zimę.

- Co takiego? - spytała Inez, prostując plecy i obrzucając siostrę krytycznym spojrzeniem. Palto Elsie było krzywe na dole. Musiały same skracać swoje palta, bo miały już trzynaście lat i były wystarczająco duże. Tylko że Elsie niczego nie zmierzyła ani nie przefastrygowała przed podszyciem. Nie chciało jej się. Jak zawsze.

- Co powiedziałaś? - powtórzyła.

- Nie twoja sprawa...

- Powiedziałaś: poczekalnia śmierci.

- To tytuł książki.

-Nieprawda.

-Właśnie że tak. Jest o niej w podręczniku do szwedzkiego.

Inez nic nie powiedziała, ale przesunęła stopą po żwirze, odsłaniając pasek brązowej, wilgotnej ziemi na środku szarej ścieżki.

Elsie wcisnęła ręce w kieszenie i zmarszczyła czoło.

-Boże, jaka ty jesteś dziecinna.

Inez nadal nie odpowiadała, suwała stopą po żwirze. To rana, pomyślała, rana w ziemi.

-Poczekalnia śmierci - powtórzyła Elsie teraz już zupełnie czystym głosem. - To książka o sanatorium.

Inez wpatrywała się w brązową kreskę.

- Tata jest już prawie zdrowy. Elsie prychnęła nosem.

- Tak? To dlaczego tu jest?

-Bo urodził się w Skanii. Chce być tu, gdzie się urodził.

Elsie znowu prychnęła, odwróciła się i wymamrotała coś. Teraz sama rozgrzebywała żwir stopą. Inez zamarła. Nie usłyszała dokładnie, co powiedziała Elsie, ale mimo to wiedziała. Czy on chce umrzeć tam, gdzie się urodził?

- Co mówiłaś?

- Nie twoja sprawa.

- Powiem mamie...

- Przecież nie słyszałaś.

-Wystarczająco dużo słyszałam. I powiem o tym mamie.

Elsie westchnęła.

- Oczywiście. Nie mam wątpliwości. Z twoją odwagą.

- Gówniara.

- Sama jesteś gówniara.

Obie zaczęły pociągać nosem i odwróciły się do siebie plecami

Samotność była nowym doświadczeniem. W domu w Göteborgu miała swoje zalety. Miło było czasem poczuć wokół siebie ciszę, podnieść głowę znad lekcji i wsłuchać się w tę nową jakość, która nieoczekiwanie wypełniała mieszkanie. Cisza miała wiele odcieni, mogła być miękka jak sprana bawełna, mogła szeleścić i śpiewać albo nieść echo uderzeń własnego serca. Nagle Inez mogła słyszeć swoje myśli, mogła nawet zamknąć oczy i domyśleć każdą z nich do końca. To było bardzo przyjemne. Robiło się jeszcze milej, kiedy dumiała nad tym, że nikt, nawet Elsie, nie ma pojęcia o jej myślach. Należą tylko do niej. Mogła więc pozwolić sobie na trochę wolności, na przykład siedzieć w całkowitym milczeniu, udając, że słucha radia, podczas gdy tak naprawdę tłuła swoją siostrę, drapała ją po twarzy pazurami i nazywała małą.

Z drugiej strony Elsie też miała swoje tajemnice. Dlaczego szeptały z mamą w łazience? I dlaczego na drugi dzień nie wzięła ze sobą do szkoły worka gimnastycznego? Zapytać o to byłoby poniżej godności Inez, ale już w drodze do szkoły nabrała podejrzeń. Czy Elsie będzie dziś siedziała pod ścianą sali gimnastycznej razem z innymi dziewczynami, które raz w miesiącu szepczą o czymś z panią? Czy to naprawdę możliwe? Jak mogło się to przydarzyć Elsie, skoro nie zdarzyło się jeszcze Inez?

Jednak zdarzyło się. To było widać. Elsie dreptała teraz z ważną miną kilka kroków przed Inez, wyprostowana jak kij od miotły, nie zaszczycając swojej siostry jednym spojrzeniem. W dodatku kiedy weszły na dziedziniec szkoły, Elsie popędziła do Asty, ohydnej istoty, która miała już grube uda i rozbujane piersi, i powiedziała jej coś na ucho. Asta uśmiechnęła się po swojemu, półgębkiem i fałszywie, przekrzywiła głowę i wsunęła rękę pod ramię Elsie. Inez kopnęła mały kamyczek i odwróciła się do nich plecami. Głupie! Takie właśnie są. Durne czternastolatki, które bawią się w prawdziwe pańcie...

Minęło osiem miesięcy, zanim także Inez miała powód do szeptów z panią od gimnastyki, a wtedy wszystko już się zdążyło zmienić. Elsie miała piersi, prawdziwe piersi ukryte w staniku z łososiowej satyny, podczas gdy Inez nadal co rano naciągała na siebie tylko białą podkoszulkę. Poza tym wyprowadziły się. Nie mieszkały już w dużym mieszkaniu w dzielnicy Göteborgu Vasastan, tylko w ciasnym, małym mieszkanku w Landskronie. W drodze z wielkanocnych odwiedzin w Orup, gdzie Inez i Elsie przez kilka godzin marżyły w parku, Lydia zamknęła drzwi ich przedziału i poważnym głosem wyjaśniła, że dłużej nie da tak rady.

Na księżeczce oszczędnościowej nie ma już ani korony, z niewielkiego spadku po jej rodzicach też nie zostało ani grosza, a jej pensja nauczycielki na zastępstwie w szkole dla dziewcząt nie wystarczy na utrzymanie dużego apartamentu w Göteborgu ze służącą i wszystkim. Nie wspominając już o opłatach semestralnych, podręcznikach, ubraniach, butach, jedzeniu i biletach pociągowych. Niestety. Muszą żyć odpowiednio do środków. Anna-Lisa dostała już wymówienie, a Lydia złożyła papiery i dostała pełny etat nauczycielki w liceum w Landskronie, pracę, która rocznie da kilkaset koron więcej. Przeprowadzą się na samym początku wakacji. Teraz trzeba tylko znaleźć odpowiednie mieszkanie, ale Lydia jest pewna, że to się uda. Ernst rozmawiał już z kilkoma starymi przyjaciółmi z czasów Lund, przyjaciółmi, którzy mieszkają w okolicy i na pewno mogą...

Przeprowadzka? Inez i Elsie najpierw wpatrywały się w matkę bez słowa, a potem nagle odwróciły się do siebie, żeby potwierdzić własne przerażenie w twarzy siostry. W tej chwili więź między nimi była tak silna jak wcześniej.

-Mama mówi serio? - spytała Inez.

Lydia zdjęła rękawiczki i szybko dotknęła broszki w klapie kostiumu marynarki.

- Oczywiście, że mówię serio.

- Nigdy nie byliśmy w Landskronie - powiedziała Elsie.

- Zdaję sobie z tego sprawę - odparła Lydia. - Tak naprawdę to ja też tam nigdy nie byłam.

- Nie wiedziałyśmy, że mama lubi Skanię - stwierdziła Inez.

- Mama zawsze mówiła, że Göteborg jest dużo przyjemniejszy - dodała Elsie.

Lydia zaszkliły się oczy, wyjęła chusteczkę, musnęła nią nos i odchrząknęła.

-Bardzo możliwe. Tylko że w Göteborgu nie ma dla mnie pracy. Ale kiedy tata wyzdrowieje, może przeniesiemy się z powrotem. Tata zaczął już rysować dom dla nas.

Lydia założyła nogę na nogę i objęła kolano ramionami. Uśmiechnęła się. Elsie próbowała odpowiedzieć uśmiechem, ale nie do końca jej to wyszło. Inez usiadła jak mama, ale nie udało jej się być tak samo wyprostowaną.

-No tak - powiedziała, unosząc lekko brodę. - Mama zwykła przecież mówić, że w życiu nie o to chodzi, co nas spotyka, tylko jak to przyjmujemy.

Lydia uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

-Dokładnie - powiedziała. - Tak właśnie jest. Wszystko zależy od tego, jak to przyjmujemy.

Jednak nie przyjęły tego zbyt dobrze. Żadna z nich. Już podczas pierwszych tygodni w Landskronie Lydia coraz częściej zapominała, żeby wyglądać na zadowoloną, a Inez i Elsie po prostu na siebie powarkowały.

Ich nowy pokój nie był nawet w połowie tak duży jak pokój dziecienny w Göteborgu, mieściły się w nim tylko ich łóżka i stolik nocny. Ten był z kolei tak mały, że stała na nim tylko stara mosiężna lampa z pergaminowym kloszem. Łóżka były ustawione każde pod swoją ścianą, ale leżąc w jednym, wystarczyło tylko wyciągnąć rękę, żeby dotknąć drugiego. Nie, żeby Inez czy Elsie brały pod uwagę wyciąganie do siebie rąk, wręcz przeciwnie, życie w ścisłym pogłębiało przepaść między nimi.

-Porządkuj swoje rzeczy - warknęła Inez, podniosła stertę ubrań ze swojego łóżka i rzuciła je na podłogę. Elsie przygryzała wargę.

-Nie zachowuj się jak dzieciak!

Pochyliła się nad stertą na podłodze i podniosła stanik, a potem złożyła go na pół, wkładając jedną

miseczkę w drugą. Inez prychnęła.

-Jestem od ciebie starsza.

- O tak. Aż dwie minuty. Jakoś tego nie widać.

- Jesteś ohydna.

- A ty zazdrosna.

- Phi! A o co?

-Dobrze wiesz - odparła Elsie, wychodząc ze swoim stanikiem na korytarz, żeby włożyć go do szuflady.

Reszta mieszkania też była zbyt mała. Nic się w nim nie mieściło.

Meble były za duże i zbyt masywne do prostych pokoi w stylu funkcjonalistycznym, a światło z wielkich okien bezlitośnie obnażało ich defekty. W dużej sypialni tłoczyły się podwójne łóżko Lydie i jej pocierane biurko, narzuta wydawała się nagle wyblakła, z ponadrywanymi tu i ówdzie falbankami. W salonie upchnięte zostały stół z jadalni i sfatygowana pluszowa sofa, a w korytarzu trzeba było wciągać brzuch, żeby precyzyjnie się pomiędzy półkami na książki i odziedziczoną przez Ernsta w spadku komodą z XVIII wieku. Nie było nawet łazienki. Ten, kto chciał się wykąpać, musiał wziąć pod ramię ręcznik i zejść na dół do piwnicy, do małego, zimnego pomieszczenia, którego używali wszyscy mieszkańcy domu. W gruncie rzeczy nie było ich aż tak wielu, mieszkały tu tylko trzy rodziny. I dwie pielęgniarce, każda w swojej kawalerce z wnęką kuchenną na poddaszu. Już pierwszego wieczoru Lydia wymusiła na dziewczynkach małą rundkę zapoznawczą. Dzwoniły od jednych do drugich drzwi, podawały ręce i dygały, podczas gdy Lydia stała za nimi z przechyloną na bok głową i przyjaznym wyrazem twarzy. Mniej przyjaźnie wyglądała po powrocie do mieszkania, kiedy usłyszała, jak dziewczynki podśmiewają się z dialektu sąsiadów. Koniec z takimi zadęciami! Natychmiast!

Dopiero trzy tygodnie później dostały telefon: kiedy tylko go zainstalowano, Lydia natychmiast zadzwoniła do Ernsta, do Orup.

Potem Ernst chciał porozmawiać z dziewczynkami, stały więc z przyciśniętymi do siebie głowami, słuchając jego krótkiej mowy pochwalnej na temat Landskrony. Na pewno będzie im się podobało! Landskrona jest przecież tak bardzo podobna do Göteborga, to tak naprawdę Göteborg w miniaturze - z własną stoczną, światłem zachodniego wybrzeża i morzem w zasięgu ręki.

Inez i Elsie nie do końca umiały dostrzec podobieństwa. Chociażby to z mężczyznami. W Göteborgu byli mężczyźni krawcy i damscy fryzjerzy, profesorzy i wynalazcy, artyści i aktorzy... Wszelkiego rodzaju. Za to w Landskronie wyglądało na to, że nie ma ani jednego mężczyzny, który nie pracowałby w stoczni. Kiedy rano pisał gwizdek parowy, ulice wypełniały się pracownikami stoczni na rowerach, były ich

setki, tysiące, wszyscy ubrani na niebiesko, z pudełkami lunchowymi Unica na bagażnikach rowerów, mężczyźni, którzy znikali na terenie stoczni, zostawiając miasto kobietom. Kiedy po południu gwizdek ponownie zaczynał piszczeć, pojawiali się na zewnątrz jak potężna ławica. W Göteborgu tak nigdy nie było, wprawdzie stocznie były tam duże, znacznie większe od stoczni w Landskronie, ale nie wchłaniały w siebie całej męskiej populacji. Tutaj całe miasto wydawało się więźniem stoczni. Poza tym w Göteborgu, w środku miasta, nie było ogródków działkowych. A w Landskronie były, małe domki jak dla lalek, z kwietnymi rabatkami i ogródkiem, zaledwie kilkaset metrów od rynku, który uważano za centrum miasta. Bardzo dziwne. A morze? Czy cieśninę Öresund naprawdę można porównać do prawdziwego morza, jak na przykład Morze Północne koło Göteborga? Nie, naprawdę nie. Dania jest zbyt blisko. Poza tym jest zbyt płytko, zbyt piaszczyście i zbyt mocno czuć zgniłymi wodorostami. Za to w Göteborgu...

Wszystko wokół nich się zmieniło, a były jeszcze zbyt młode, by pojąć, że tak już będzie, że wszystko, zawsze, będzie już inne, bez względu na to, co się stanie.

Marzyły o dawnych dniach, tak jak inni marzą o wygranych na loterii i o miłości od pierwszego wejrzenia. Któregoś dnia wszystko będzie znowu jak kiedyś. Tata wyzdrowieje i wtedy zaraz przeprowadzą się z powrotem do Göteborga i ich dużego mieszkania. Ależ koleżanki będą się śmiały, kiedy opowiedzą im o wycieczce do miasta, w którym ludzie niemal toną w swoich samogłoskach.

-Nie - powiedziała któregoś dnia Lydia. - Już dość. Nie mam już siły słuchać waszego marudzenia. Na dwór!

Inez przerwała w środku zdania, Elsie siedziała z otwartymi ustami. Przecież Lydia nigdy, przenigdy... Jednak teraz podniosła się zza biurka, gdzie siedziała całymi dniami, przygotowując się do semestru jesienno, i naprawdę stała przed nimi, trzymając się pod boki jak prawdziwa wredna baba. Wrzeszczała:

-Źle słyszycie? Na dwór! Wynocha, już!

I tak wychodzenie na dwór, skoro tylko Lydia usiadła za biurkiem, zaczęło być czymś codziennym, a po tygodniu stało się też wyzwoleniem. Gdy tylko Inez i Elsie uporały się z przedpołudniowymi zajęciami domowymi, mamrotały pospiesznie do widzenia i ruszały w drogę. Szły obok siebie, aż przestawały być widoczne z okna sypialni. Wtedy kiwały do siebie głowami i rozdzielały się. Nigdy o tym nie rozmawiały, nie musiały mówić. Potrzebowały odpocząć od siebie.

Inez zazwyczaj szła powoli w kierunku stawu, z książką pod jedną pachą i niewielkim kocem pod drugą; znalazła sobie miejsce pod starą wierzbą, gdzie mogła schować się przed światem. Jakby siedziała ukryta w klatce dla ptaków, czarodziejskiej klatce, z której mogła zerkać na ludzi przechodzących po drugiej stronie zwisających gałęzi, ale która ją samą czyniła całkowicie niewidzialną. Czasami zapomniała o swojej książce i zatapiała się w marzeniach.

92

A gdyby tak ktoś - na przykład jakiś chłopak, który zaraz zacznie pierwszą lub drugą klasę liceum - pewnego dnia zajrzał za draperię gałęzi i ją odkrył...

Jednak chłopak nigdy się nie pojawił. Poszedł w drugą stronę i zamiast niej znalazł jej siostrę.

93

Inez zamruwała. Rozmowa telefoniczna najwyraźniej się skończyła. W drzwiach stał uśmiechnięty Björn.

-Spotkamy się z mamą w Londynie!

Inez starannie wycisnęła ścierkę, chociaż nie było to potrzebne, i rozwiesiła ją na kranie. Poczła napięcie w policzkach, kiedy odpowiadała na uśmiech.

- Naprawdę? Jak miło.

- Zadzwoń do Karla-Erika i poproszę, żeby załatwił jej pokój w naszym hotelu.

- Brzmi dobrze. Dawno się nie widzieliście.

- Tak. Nie miała pojęcia, że...

- Nie. Oczywiście. Ale ucieszyła się chyba?

- Jasne. Tylko trochę się martwi o szkołę.

- No tak. Ale sama nie zrobiła matury.

- Tak. Powiedziałem jej, że w dzisiejszych czasach są licea dla dorosłych.

- Nie wiedziała o tym?

Zła odpowiedź. Björn wyczuł krytykę.

-A skąd miałyby wiedzieć?

Inez spróbowała się znowu uśmiechnąć.

- Chodziło mi tylko o to, że...

- Och - fuknął Björn i odwrócił się do niej plecami. -Wyjdę na trochę. Potrzebuję powietrza.

Inez stała nieruchomo, oparta o zlewozmywak. Nagle nie była w stanie się poruszyć. Mogła za to podnieść głos:

- Możesz? Naprawdę możesz wyjść?

- Jasne, że mogę - odpowiedział Björn z przedpokoju. - Już ich tam nie ma. Wszystkie poszły.

Otworzył drzwi i zniknął.

94

Ingalill czekała na Midhemsvangen, dokładnie tak jak się umówiły, ale zanim Susanne doszła do niej, odwróciła się i zaczęła iść.

-Musimy się spieszyć - krzyknęła przez ramię. - Jest już za pięć piąta.

Susanne zaczęła biec. Torba myśliwska obijała się o jej uda.

- Wiem, ale była masa dziewczyn... Ingalill przystanęła i odwróciła się do niej.

- Jakich dziewczyn?

Susanne nareszcie ją dogoniła. Przystanęła i zaczerpnęła tchu, a potem weszła w rytm koleżanki. Nie było to proste. Ingalill była od niej wyższa i robiła większe kroki.

-Po prostu masa dziewczyn. Stały przed naszym domem.

Ingalill zmarszczyła czoło.

-Jakie to były dziewczyny? Susanne wzruszyła ramionami.

-Ta z kiosku przy stacji kolejowej. I jedna katoliczka z męską parasolką. I kilka innych. Nie wiem, jak się nazywają.

- Co robiły przed waszym domem? Susanne zaczynało brakować tchu.

- Czekają na Bjórna.

- Dlaczego?

Dlaczego? Dobre pytanie.

-Nie wiem.

Na chwilę zapadła cisza. Słychać było tylko ich kroki na chodniku.

95

-Ciekawa jestem, czy dziś będzie się trzymała podręcznika - powiedziała na koniec Ingalill.

Susanne wzruszyła ramionami.

-To chyba nie ma znaczenia.

- Jeśli prowadzi się kurs, trzeba się trzymać podręcznika.

- Ale przecież wszyscy uważają, że fajniej jest się malować.

-To nie ma nic do rzeczy.

Susanne skrzywiła się za jej plecami. Były już na miejscu i Ingalill zaczęła schodzić po schodach do

lokalu w piwnicy domu kultury, który udostępniano Pani Schludnej. To był popularny kurs, tak bardzo, że trzeba było stworzyć dwie grupy i listę oczekujących na miejsce w następnym semestrze. Pani Salomonsson nie miała czasu na prowadzenie kursów częściej niż dwa razy w tygodniu. Musiała przecież pilnować swojej perfumerii. Poza tym dało się zauważyć, że nie jest prawdziwą nauczycielką. Już pierwszego wieczoru przekartkowała szybko podręcznik, a potem odłożyła go ze wzruszeniem ramion. Wszyscy przecież wiedzą, jak dbać o higienę jamy ustnej i myć się pod pachami. „Natomiast - powiedziała z lekkim sapnięciem, pochylając do przodu swoje wbite w gorset ciało, żeby podnieść ze stołu wielkie pudło na kosmetyki - nie każdy wie, jak się malować. Ale tego można się nauczyć". Czternastolatki wokół stołu zaczęły się nieśmiało uśmiechać. Nareszcie!

Od tej pory każdy wieczór kursu przebiegał według tego samego schematu. Pani Salomonsson, kobieta o toczonych kształtach, z mocno wylakierowanymi włosami i starannie umalowana, chodziła kołyszącym krokiem po sali, ciężko obciążona produktami i bezpłatnymi próbkami ze swojego sklepu. Dziewczęta otwierały przed sobą na stolikach małe lustreczka i czekały na wstęp. Pani Salomonsson siedziała bez ruchu, aż zapadła całkowita cisza, a potem unosiła starannie wymanikiowany palec wskazujący i wygłaszała proklamację:

96

-Właściwe oczyszczanie skóry, moje młode damy, jest podstawą dbania o urodę. Mydło i woda nie wystarczą, pamiętajcie o tym. Bez względu na to, co piszą w książkach.

Pani Salomonsson rzucała pogardliwe spojrzenie na podręcznik kursowy, ów jedyny egzemplarz, który Ingallil upierała się wyklądać obok swojego lusterka. Reszta kursantek przestała już nosić ze sobą podręczniki. Wcześniej Susanne przekartkowała swój parę razy, wdychając, że z tak fascynującego tematu można zrobić coś tak nudnego. Zgadzała się z panią Salomonsson. Na co komu nauka o zaletach jedzenia jabłek i zmieniania bielizny? Wszyscy o tym wiedzą. Susanne chce się przecież nauczyć, jak być atrakcyjna, tak atrakcyjna, by chłopcy w szkole wstrzymywali oddech na jej widok, a ona sama nie musiała już nigdy w sobie wątpić, żeby mogła wędrować szkolnymi korytarzami z wyprostowanymi plecami i odpowiadać na wszystkie spojrzenia...

-I dlatego, moje młode panie, trzeba koniecznie zakupić dobre mleczko oczyszczające. Takie jak Soil Adsorbing. Jest najlepsze.

Pani Salomonsson puściła w obieg małą buteleczkę i wszystkie dziewczyny po kolei wyciskały na opuszki palców mlecznobiały płyn, a potem ostrożnie wcierały go w twarz. Pani Salomonsson wstała i zaczęła chodzić wokół stołu, trzymając ręce na plecach jak prawdziwa nauczycielka. Mówiła wolno i wyraźnie:

-Słyszałam o dziewczętach, które dostają od Soil Adsorbing pryszczki. Chcę podkreślić, że nie jest to wina mleczka. Wręcz przeciwnie, stanowi to dowód na jego efektywność, bowiem mleczko niejako wyciąga zanieczyszczenia ze skóry. Mogą się od tego robić pryszczki.

97

Zatem nie należy zaprzestawać używania go, tylko uzbroić się w cierpliwość. Po paru tygodniach to minie.

Jednak Ingalill nie mijają. Przeciwnie. Miała więcej pryszczyci niż kiedykolwiek wcześniej. Pani Salomonsson schwyciła ją za podbródek już na trzecim spotkaniu:

-Czy naprawdę używasz Soil Adsorbing? Ingalill przysłoniła powiekami swe błyszczące oczy

i wymamrotała coś w odpowiedzi. No tak. Obok niej kiwała potakująco głową Susanne. Ingalill rzeczywiście kupiła małą buteleczkę w sklepie pani Salomonsson i stale jej używała, Susanne wiedziała, że tak jest. Jednak teraz buteleczka miała się ku końcowi, a pryszcze były gorsze niż zwykle. Problem polegał na tym, że Ingalill nie było stać na kupienie kolejnej buteleczki. Nie dostawała tygodniówki, bo jej mama była rozwiedziona i nie miała porządnej pracy. Wieczorami sprzątała biura, ale nie aż tyle, żeby jej zarobki starczały na kupowanie mleczka oczyszczającego i szminki. Ingalill dostawała jakieś pieniądze tylko wtedy, kiedy pojawiał się jej tata i był odpowiednio pijany. Jednak o tym się nie mówiło. Ani o tym, że teraz tata Ingalill siedzi w pudle i nie można nań liczyć.

-Musisz mieć bardzo zanieczyszczoną skórę - powiedziała pani Salomonsson i zmartwiona pokręciła głową. - Bardzo zanieczyszczoną. Może powinnaś też używać toniku. Naprawdę mocnego toniku...

Susanne nie potrzebowała toniku. Nie miała pryszczyci, ale z drugiej strony była to jedyna zaleta jej twarzy. Poza tym nie mam z czego być zadowolona, pomyślała, zerkając na swoje odbicie w lusterku. Zbyt okrągłe policzki, za dużo piegów, zbyt małe oczy. Nie wspominając już o idiotycznym nosie, uparcie zadartym do góry. Ingalill zwykła o niej mówić, że wygląda jak niemowlę.

Jednak teraz nie było czasu, żeby się nad tym zastanawiać, ponieważ pani Salomonsson właśnie weszła do sali.

98

Przyprowadziła ze sobą niespodziankę, bardzo szczupłą, w kolorze blond. Przedstawiając ją, aż sapnęła z zachwyty:

-Oto moja córka Eva. Ma osiemnaście lat i zostanie z nami dziś wieczorem, ponieważ obawia się, że ja nie znam się na tym, co nowoczesne...

Wszystkie dziewczęta znały Evę, bo wszystkie były choć raz w sklepie pani Salomonsson na ulicy Stora Norregatan i widziały ją tam za ladą, elegancko ubraną w różowy, nylonowy fartuch marki Toni-Lee, z białym kołnierzykiem uniesionym do połowy i nonszalancko podwiniętymi rękawami. Miała zawsze staranny makijaż i manikiur, i świeżo umyte, elegancko uczesane włosy, a poza tym zawsze pięknie pachniała i cicho mówiła, i dlatego trochę się jej bały. Czasami, zwłaszcza kiedy jakieś młodsze nastolatki wchodziły całą grupą do sklepu, potrafiła rzucić im takie spojrzenie, że aż zaczynały się wstydzić. Jednak teraz nie. Teraz Eva stała za mamą, ukazując białe zęby w przyjaznym uśmiechu.

-Eyeliner - powiedziała lekko przytłumionym głosem, wodząc wzrokiem wokół stołu, jakby kogoś szukała.
- Eyeliner to wynalazek, na którym nie znajdują się zbyt dobrze starsze panie.

Pani Salomonsson prychnęła z udawanym oburzeniem.

-Starsze panie! No, bardzo dziękuję.

Eva włożyła jej rękę pod ramię i po przyjacielsku Przytuliła.

-Żartowałam tylko.

Pani Salomonsson spojrzała na córkę i przykryła jej dłoń ręką.

-Wiem, Evuniu, wiem.

-Czy nie byłoby superfajnie, gdybyście wszystkie powiedziały, jak macie na imię - powiedziała Eva, przesuwając wzrokiem dookoła.

99

- Chciałabym wiedzieć, kto jest kim.

Wybrała Susanne. Nie Britt-Marie. Nie Ann. Nie Lillemor czy Ingalill ani żadnej innej z dziewcząt. Tylko Susanne.

- No to zaraz zobaczymy - powiedziała, otworzyła swoje pudełko z kosmetykami i zaczęła w nim grzebać.
- Widzicie, co tu mam? Tak, to jest opaska na włosy, którą zrobiłam ze starej pończochy. Zwyczajnie obcina się kawałek pończochy szerokości pięciu centymetrów, jak najwyżej można, a potem używa się go do odgarniania włosów z twarzy podczas robienia makijażu. Naciągnęła na głowę Susanne kawałek pończochy i odsłoniła jej białe czoło.

- Jesteś naprawdę bardzo ładna - powiedziała i z powagą przyjrzała się odbiciu Susanne w lustrze. - Wspaniała cera. Chociaż jasna, może trochę za jasna...

Wycisnęła krem brązujący.

Susanne zatrzymała się przed lustrem w szatni i zakładając kurtkę, przyglądała się swojej twarzy. Czy wygląda teraz na dziewczynę, której brat - albo kuzyn, czy jak to zwać - jest pierwszy na liście

Top 10? Tak. Zdecydowanie tak. Prawie nie mogła siebie poznać, ale podobało jej się to, co widziała. Eva przeciągnęła wzdłuż brzoju powieki grubą kreskę, którą zakończyła kaligraficznym zawijasem. To ona wybrała też czarny tusz do rzęs i perłoworóżowy odcień na usta. Teraz Susanne nareszcie wyglądała jak prawdziwa nastolatka, długowłosa Twiggy albo bardzo młoda, blond Jane Asher. Dzięki Evie. To Eva zmieniła ją ze zwyczajnego, wyrośniętego bobasa w naprawdę ładną dziewczynę. Tak. Naprawdę. Bardzo ładną.

Ingalill jest oczywiście obrażona. Ostatnimi czasy zawsze taka jest.

Susanne wciągnęła buty i lekko westchnęła. Ingalill była już nachmurzona, kiedy Susanne do niej przysła, i to, że Eva zaczęła ją malować, nie poprawiło jej humoru.

100

Teraz stała z czapką naciągniętą nisko na czoło i zapinała palto.

-Długo będziesz się tak sobie przyglądać? - zapytała.

Susanne poprawiła kaptur płaszcza. Inne dziewczyny były już na schodach, ale Eva i jej mama dopiero wyszły z sali. Obie uśmiechały się do Susanne.

- Nic dziwnego, że chce na siebie popatrzeć - powiedziała pani Salomonsson. - Taka śliczna się zrobiła...

- To dla ciebie - powiedziała Eva, wyciągając przed siebie papierową torebkę. Susanne niemal dygnęła, ale w ostatniej chwili się powstrzymała.

-Dziękuję.

-Tylko kilka bezpłatnych próbek. I ten eyeliner, którego używałam. Będziesz mogła poćwiczyć w domu.

-Bardzo dziękuję.

Eva roześmiała się, jakby Susanne powiedziała coś zabawnego.

-Nie ma za co. Gdzie mieszkasz?

Susanne o mały włos znowu nie dygnęła. Musi się opanować, Eva jest od niej tylko kilka lat starsza.

-Na Svanegatan.

-Ojej, jak dobrze się składa. Właśnie tam idę. Do koleżanki. Pójdziemy razem?

Teraz nie można już było nic zrobić. Susanne dygnęła, ale tylko trochę, tylko nieznaczny ruch ciała. Eva wydawała się nic nie zauważać, ale Ingalill, która stała przy schodach, prychnęła.

-Już idę - powiedziała na głos. - Słyszysz, Susanne? Idę do domu.

Susanne machnęła do niej ręką.

-To cześć. Do jutra.

101

Na zewnątrz powitała je ciemność, zimna i bezwietrzna. Rozświetlała ją jedynie mała, okrągła żarówka na zewnątrz budynku, w którym odbywały się zajęcia. Susanne wpatrywała się w nią, podczas gdy Eva odpinała rower i wyciągała go ze stojaka. Był ciemno-różowy. Susanne nawet nie wiedziała, że istnieją rowery w tym kolorze.

Eva różniła się od innych dziewczyn, nie było w niej nic roszczeniowego ani pogardliwego, żadnego schlebiana ani ciekawości. Po prostu prowadziła rower, kiedy szły obok siebie, i na początku nie powiedziała ani słowa o Björnne. Zamiast tego zaczęła opowiadać o sobie, najpierw przytłumionym

głosem, a potem z coraz większym ożywieniem. Czasami zastanawia się, czy ubiegać się o miejsce w jakimś gabinecie kosmetycznym w Sztokholmie i wykształcić na prawdziwą kosmetyczkę, ale z drugiej strony uważa, że to dość powierzchowny zawód. W gruncie rzeczy. Może lepiej zostać pielęgniarką, bo o tym zawodzie marzyła, kiedy była mała. Ma małą maturę i wystarczająco dobre stopnie, ale jest jeszcze mama i jej sklep, nie chce zrzucić na nią całej odpowiedzialności i zostawić jej samej. A tak w ogóle, to jaki jest wymarzony zawód Susanne? Jak to się stało, że mówi trochę ładniej niż wszyscy? Czy urodziła się w innej części kraju? Czy jest tak samo muzykalna jak jej brat? Bo Eva dobrze chyba usłyszała, kiedy jakieś dziewczęta mówiły, że Susanne jest siostrą Björna Hallgrena? Susanne obrzuciła ją szybkim spojrzeniem:

102

-Nie jestem jego siostrą. Nie taką prawdziwą. Ale razem się wychowywaliśmy.

Eva wyglądała na zdziwioną:

- Naprawdę? To gdzie są w takim razie twoi rodzice?

- Mieszkamy u moich rodziców. Mama Björna pływa po morzach, więc Björn jest u nas. Zawsze tak było.

Eva kiwnęła z zadumą głową i na chwilę zapadła cisza. Słychać było tylko odgłosy ich gumowych podeszew na żwirze.

-Zawsze chciałam mieć rodzeństwo - powiedziała potem. - Małą, słodką siostrzyczkę. Albo starszego brata.

Susanne wymamrotała coś w odpowiedzi, wcisnęła ręce głębiej w kieszenie i pogłaskała prawą ręką papierową torebkę z bezpłatnymi próbkami kosmetyków. Nigdy nie przyszło jej do głowy, żeby życzyć sobie rodzeństwa. Może jest z nią coś nie tak. Jednak Eva nic nie zauważyła, uśmiechała się tylko z rozmarzoną miną.

-Ale skoro twój kuzyn zawsze mieszkał z wami, to masz brata. Praktycznie rzecz biorąc.

Jest to jakieś wyjście. Susanne bezgłośnie westchnęła z ulgą.

- Tak. No. Właściwie mam.

- Szczęściara.

Przez chwilę stały przed furtką i rozmawiały. Eva kilka lat temu chodziła do tego samego gimnazjum co Susanne i chciała się dowiedzieć, jakich Susanne ma nauczycieli i co o nich myśli. Jasny uśmiech pokonał nieśmiałość Susanne, ożywiła się i opowiedziała, że jej tata jest nauczycielem historii i wiedzy o społeczeństwie - Birger Simonsson to właśnie on - a jej mama uczy gotowania w Szkole Żeńskiej, co bynajmniej nie ułatwia życia. Wręcz przeciwnie. Jeśli ona lub Björn kiedykolwiek spróbują powiedzieć coś o innych nauczycielach, robi się zaraz raban.

A część nauczycieli w gimnazjum to prawdziwi idioci, nie da się ukryć. Na przykład ta ohydna Ingeborga, chemiczka, która często podczas lekcji buja myślami w obłokach i zaczyna sobie masować piersi. Nie wspominając już o Śliniącym Bertilu, który nie umie utrzymywać porządku i zawsze wrzeszczy po niemiecku, bo uczy niemieckiego. Eva kiwała głową, chichocząc:

-Wiem. Mnie też uczył. Schweigen! Habe ich nich gesagt dass Sie schweigen sollen!

Błyskawicznie pochyliła się dokładnie tak jak Śliniący Bertil, zacisnęła do połowy dłoń i zaczęła nią groźnie wymachiwać, mówiła przy tym drżącym, piskliwym głosem. Susanne śmiała się w głos. Dokładnie tak. Identycznie.

-Z czego się śmiejecie?

Susanne rozejrzała się. Na ganku stał Björn. Zapalał papierosa.

- To przez Evę. Ona umie naśladować Śliniącego Bertila.

- Aha. Chciałbym to zobaczyć.

Björn zaczął powoli iść ścieżką. Zapiął swoją starą budrysówkę i naciągnął kaptur. Nikt, kto by wcześniej nie wiedział, kim jest, nie rozpoznałby go. Eva wiedziała, ale nie wydawała się tym tak idiotycznie przejęta jak inne dziewczyny, uśmiechnęła się tylko i popatrzyła mu prosto w oczy.

- Powtórka? - zapytała. - No, nie wiem. Co za to dostanę?

- Nic - odpowiedział Björn. - Ja też nie znośm Śliniącego Bertila.

Zdjął kaptur i objął Susanne ramieniem, przycisnął ją lekko i powiedział przytłumionym głosem:

-Powinnaś już iść do domu. Jest wpół do dziewiątej i Inez się wścieka.

Susanne westchnęła. Eva przechyliła głowę:

-Musisz już iść? Jaka szkoda. Ale widzimy się w przyszłym tygodniu, prawda?

Susanne przytaknęła bez słowa.

-Dobrze - powiedziała Eva. - Naprawdę bardzo wyładniałaś.

Björn pochylił się do przodu i przyjrzał jej twarzy.

- Tak - potwierdził niemal ze zdziwieniem. - Naprawdę tak.

- Dziękuję - odparła Susanne, próbując powstrzymać się od dygnięcia.

Kiedy weszła do domu, Inez stała w przedpokoju z czołem przyciśniętym do małego okienka i wyglądała na zewnątrz.

- Kto tam jest?

- Eva - odpowiedziała Susanne i ściągnęła buty na kauczukowej podeszwie, nie rozwiązując sznurowadeł.

- Jaka Eva?

- Eva Salomonsson. Jej mama prowadzi nasz kurs.

- Ta pani, która ma perfumerię?

- Mhm.

- Ale ta dziewczyna jest chyba od ciebie starsza?

- Ma osiemnaście lat.

- Skąd zna Björna?

- Nie znają się.

- Tak? To dlaczego rozmawiają przy furtce?

- Bo ona stała tam ze mną, kiedy wyszedł Björn. I zaczęliśmy rozmawiać we trójkę. Ale kiedy zrobiła się dziewiąta, musiałam iść do domu...

- Aha. Cwana dziewczuszka. -Co?

- Nic.

Inez odwróciła się nagle do Susanne, popatrzyła na nią i skrzywiła się:

- Wyglądasz jak wymalowany trup.

Potem roześmiała się. To tylko żart.

105

Musiała schować szminkę, którą dostała od Evy. Było to tak oczywiste, że nawet nie trzeba było o tym myśleć. Jak tylko przestąpiła próg swojego pokoju, zatrzasnęła drzwi, uklękła i zaczęła po omacku grzebać pod materacem. Nie zapaliła światła, musiało wystarczyć to z latarni na dworze. Żeby znaleźć kryjówkę, nie potrzebowała dobrze widzieć, wystarczyło dotknąć miękkiej powierzchni czubkami palców i wyciągnąć ją na zewnątrz. Dziennik nadal był w środku, wyczuwała go przez cienką bawełnę, ale kiedy pociągnęła za sznurowanie, zadrżała jej ręka.

Usiadła na łóżku i rozsypała stary worek gimnastyczny. Był bardzo zniszczony, poskręcane sznurówki z bawełnianej włóczki miejscami tak cienkie, że trzymały się tylko dzięki pojedynczym nitkom,

a szwy na białym monogramie pruły się. Inicjały EH szybko zamieniły się w FH, ale to dobrze. Nikt nie zauważy, że Susanne przywłaszczyła sobie stary worek gimnastyczny swojej cioci, nikt nie będzie mógł oskarżyć jej o kradzież. Przecież nic nie ukradła. Nie naprawdę. Zaczęła tylko używać czegoś, co leżało w komodzie w dniu, w którym ją dostała. Skoro dostała komodę Elsie, może chyba też dostać to, co w niej było? Tak, na pewno tak jest. Z drugiej strony nigdy nie wiadomo, jak na taką sprawę patrzyłaby Inez, więc najbezpieczniej, aby tajemnica się nie wydała.

W worku nie było wielu rzeczy. Stare zdjęcie chłopaka, w którym kochała się w szóstej klasie. Maleńka buteleczka perfum, którą kiedyś, dawno temu chciała wyrzucić Elsie. Była pusta, ale został w niej zapach, który zawierał w sobie wiele obrazów: nocny klub w Paryżu, czerwona suknia wieczorowa z Nowego Jorku i pospieszne pożegnanie na lotnisku... Woń perfum ukrywała też czerwona skórzana okładka pamiętnika, który był największą i najważniejszą tajemnicą worka.

106

Susanne wyjęła pamiętnik z wielką ostrożnością i położyła na kolanach, leżał tam, kiedy starannie zawiązywała worek gimnastyczny i wsuwała go pod prawe udo. Tam nie będzie go widać, jeśli ktoś nagle otworzy drzwi. Pamiętnik można w sekundę wsunąć pod sweter.

- Myślisz jak detektyw - powiedziała kiedyś Ingalill. -Zawsze masz jakieś alibi...

Jednak prawda jest inna, Susanne wiedziała to od razu. To nie detektywi potrzebują alibi. Tylko mordercy.

Odwróciła pamiętnik w górę i w dół i przesunęła palcem po swoim szpiegowskim zabezpieczeniu. Na samym dole pamiętnika przylepiła zawsze mały kawałek taśmy klejącej, bardzo nieduży, taki, który odlepi się i odpadnie, jeśli pamiętnik otworzy ktoś nieupoważniony. Lubiła ciężar tego słowa: nieupoważniony. Nieupoważnionym wstęp wzbroniony. Dobrze im tak.

Nieupoważnieni nie dotykali pamiętnika, czuła to. Kawałek taśmy był tam, gdzie go przykleiła kilka dni temu. Z drugiej strony nigdy nie wiadomo na pewno. Mogłoby się przecież zdarzyć, że nieupoważnieni poznali jej sztuczkę i właśnie dlatego przykleili taśmę na miejsce po ukradkowym przeczytaniu jej pamiętnika... Ale nie wolno tak myśleć. Można od tego oszaleć.

Susanne kartkowała pamiętnik bez specjalnego zainteresowania. Czy powinna napisać o dzisiejszym wieczorze? O dziewczynach przed domem? O Evie? O wyjątkowości bycia wybraną? O swojej nowej twarzy?

Nie. Nie robi tego. Pisanie niszczy wspomnienia, zostaje wtedy tylko to, co na papierze, a ten wieczór naprawdę chce zapamiętać. Odłożyła pamiętnik, wsunęła rękę pod bluzkę i zaczęła stamtąd ostrożnie wyciągać małą torebkę, którą dostała od Evy i którą pospiesznie wcisnęła do stanika po tym, jak zamknęła za sobą furtkę i ruszyła w stronę domu.

107

Było w niej pięć małych tubek, dwie szminki w plastikowych oprawkach, prawdziwy eyeliner i trzy -

naprawdę aż trzy! - próbki perfum. Były to bezpłatne próbki, widziała to pomimo słabego oświetlenia, wszystko z wyjątkiem eyelinera było minimalnej wielkości. Szminki wykręcane z oprawek nie miały więcej niż dwa centymetry i żadna z tubek nie była dłuższa od jej małego palca. Ale to nie ma znaczenia. Wręcz przeciwnie. Kiedy Susanne była mała, najbardziej lubiła bawić się starym domem dla lalek Elsie i Inez. Przechodziły ją dreszcze z zachwytu, kiedy rozkładała miniaturowy leżaczek albo nakrywała do stołu, kładąc na nim mikroskopijną zastawę do herbaty. Prezenty Evy stanowiły kontynuację dawnej zabawy, tak jakby z góry wiedziała, że Susanne nadal lubi wszystko w rozmiarach jak dla lalek.

Popatrzyła na swoje skarby i lekko westchnęła. Może odważy się i pokaże je Inez? Ale nie, nie da rady, co będzie, jeśli Inez się zdenerwuje i wszystko jej zabierze? Jednocześnie nie chciała korzystać ze schowka pod materacem, bo wtedy nie będzie mogła używać swoich nowiutkich rzeczy. Zawiodłaby Evę. A nie chciała jej zawieść.

Oczywiście - torba szkolna. Wybierze jedną szminkę i małą tubkę kremu brązującego i włoży je do kieszeni torby. Idealnie. Będzie wtedy mogła malować się po drodze, w budce telefonicznej, i wchodzić do szkoły taka piękna.

Teraz trzeba zapalić światło, w przeciwnym razie nie uda jej się wybrać szminki. Susanne wstała i wyciągnęła rękę w kierunku ozdobnej lampy w oknie, ale zawahała się. Przed furtką nadal stali Björn z Evą. Wyglądali jak jakaś para w filmie, on ze swoimi lśnącymi, ciemnymi włosami i ona z jasną twarzą. Rozmawiali, palili papierosy i śmiali się, tak jakby znali się od zawsze.

108

A kiedy Susanne zapaliła lampę, spojrzeli w jej stronę, uśmiechnęli się i każde z nich do niej pomachało. Jakby ją lubili. I oboje naprawdę uważali, że jest fajna.

Dlaczego nagle zachciało jej się płakać?

Oczywiście dlatego, że jest idiotką. Jak by to ujęła Ingalill. Chociaż nie, może tak by nie powiedziała, tak mówiła rok czy dwa lata temu. Teraz powiedziała by raczej, że Susanne jest beznadziejnie sentymentalna. Z naciskiem na beznadziejnie.

Björn powiedział właśnie coś do Evy, a ona kiwnęła głową i się uśmiechnęła, znowu pomachali do Susanne, a potem odwrócili się do niej plecami i zaczęli iść. Eva miała ręce w kieszeniach, cały czas poruszała swoją blond głową, jakby opowiadała o czymś bardzo ważnym, o czymś, co należy podkreślać wieloma kiwnięciami i potrząśnięciami głowy. Björn wydawał się intensywnie słuchać, jedną ręką naciągał przy tym kaptur, a drugą prowadził ciemnoróżowy rower.

Susanne patrzyła, jak powoli znikają w ciemnościach.

109

Słyszeli morze, ale nie mogli go zobaczyć. Nad Oresund ciężko unosił się wieczór. Björn poczuł ostrzejszy chłód na dłoni, w miejscu, którym dotykał kierownicy roweru Evy. Nie przeszkadzało mu to. Rozkoszował się chłodem, czuł tak intensywną radość, że przez chwilę zupełnie zapomniał, kim jest - Czy

byłem chory? Potem przypomniał sobie, dlaczego od tak dawna nie oddychał świeżym powietrzem. Dopadł go sukces. Przez wiele miesięcy był zamknięty w samochodach i hotelach, w klubach i na potańcówkach. Ale teraz nie. Teraz jest wolny, jest w domu i idzie z dziewczyną przez Linjen, nadmorski deptak, którym wędrują wszyscy zakochani w Landskronie. Tylko nieliczne latarnie oświetlały wąską, zwirową drogę, ale to nie miało znaczenia. Podobało mu się wchodzenie ze światła w mrok, a potem z ciemności w jasność, mógł przyglądać się Evie, kiedy zbliżali się do latarni, a sam chować się przed jej wzrokiem, kiedy zostawiali latarnię za sobą. Znał tutejszą ciemność i światło, wiele razy jeździł tędy późnym wieczorem na rowerze, wiedział, że gdzieś po lewej stronie za fosą rozpościera się Cytadela i wystarczy odwrócić głowę trochę w prawo, a zobaczy się w oddali gwiaździste niebo po drugiej stronie wody, któremu na imię Kopenhaga.

- Lód - powiedział, zatrzymując się przed kałużą.

- Och - odparła Eva i postawiła ostry obcas na cieniutkiej powierzchni. Pękła z lekkim chrzęstem, a z rys powstała biała pajęczyna. Björn roześmiał się i zrobił to samo, ale jego obcas nie był mały i wąski, więc cały lód popękał, stracił kolor i zamienił się w małe odłamki w brązowym błocie.

110

-Myślisz, że to instynktowne? - zapytała Eva. -Co?

-To, że człowiek musi kruszyć lód na każdej kałuży, którą widzi.

-Naprawdę musi?

- Ja muszę. I ty też, z tego co widzę. Uśmiechnął się do niej, nie unikał już jej oczu.

- Może jesteśmy do siebie trochę podobni? Szybki uśmiech, a potem to ona odwróciła wzrok.

- Może.

Znowu zaczęli iść, teraz wolniej, robiąc dłuższe przerwy w rozmowie.

Jeszcze nic nie powiedziała o Typhoons. Ani słowa. Było to miłe i zarazem irytujące w trudny do określenia sposób. W ostatnim czasie nie brakowało dziewczyn, które chciały mówić o Typhoons. Były wszędzie, w hotelach, klubach, parkach i na festynach, w wesołych miasteczkach w Sztokholmie i w Göteborgu, przed wytwórnią płytową i w autobusie podczas tournée. W zajeździe obok miejscowości Gränna zebrała się nawet przed drzwiami do toalety cała wycieczka szkolna, przynajmniej jej żeńska część, i wszystkie musiały zajrzeć do środka. Kiedy Björn je zobaczył, zbladł, zrobiło mu się niedobrze i nie chciał wyjść. Peo, który był z nim w kiblu, oczywiście zaczął się podśmiewać, ale kiedy w końcu zrozumiał, że to na poważnie, przycisnął się przez tłum dziewczyn i znalazł Hassego, ich roadie. Zarówno Peo, jak i Hasse mogli przejść przez tłum dziewczyn, unikając podrapania i poszarpania ubrań. Björn nie mógł i miał już dosyć wieczornego przemywania zadrapań wodą utlenioną. Część z tych dziewczyn była dość trująca, tak trująca, że ranki zaczynały piec już minutę po tym, jak dziewczyny wbiły w jego skórę swoje ostre paznokcie.

Z drugiej strony, rzecz jasna, wykorzystywał sytuację. Rozumiał, że takie są oczekiwania, i starał się im sprostać. W ciągu zaledwie dwóch miesięcy przespał się z siedmioma dziewczynami, w Växjö z Ann-Marie, w Norrköping z Margaretą, w Sztokholmie z Agnetą i z Liselott w Sundsvall. Nie pamiętał już, jak nazywały się trzy pozostałe, ale wiedział, że dziewczyna z Jönköping była córką naczelnego architekta miasta. Powtórzyła to przynajmniej cztery razy w ciągu nocy, także wtedy gdy się kochali, tak jakby władza jej ojca nad planami miasta czyniła ją szczególnie godną pożądania. Dziwny był jedynie temat, jaki wybrała, bo większość dziewczyn gadała bez przerwy, nawet wtedy gdy się rozbierały, a i to bywał niezły widok. Margareta miała stanik, w którym piersi przypominały głowice broni jądrowej, a Liselott pasek do pończoch który wyglądał, jakby należał do jej matki. Wszystkie mówiły o Typhoons i ich sukcesach oraz o innych zespołach, i gwiazdach, o swoich marzeniach o sukcesie i - przynajmniej dwie z nich - z jakimi innymi piosenkarzami popowymi chciałyby się przespać. Na przykład z Paulem McCartneyem i z Hermanem z Herman's Hermits. A potem ta zdziwiona mina: oj, obraziłeś się? Nie to miałam na myśli... Boże Świąty! Ależ kretynki!

Eva spojrzała na niego:

- Coś mówisz?

- Nie, nic. Tak sobie tylko myślałem.

-Aha.

O nic więcej nie pytała, nie próbowała zgadywać ani wydobyć z niego, o czym myślał. Dobry znak. Jeśli nie chodzi tu o to, że tak naprawdę gardzi nim i wszystkim co z nim związane, że ma go za głupka, durnego jak muzyka Typhoons i ich zbyt młode fanki. Z drugiej strony, może być i tak, że Eva naprawdę nie wie, kim on jest. Jeśli tak jest, to zły znak. Może być po prostu obojętna i niezainteresowana.

Jest dla niej tylko chłopakiem, jednym z wielu, któremu dała się odprowadzić, żeby nie iść sama. Zerknął szybko na zegarek.

- Szkoda.

- Co takiego?

- Że już po dziewiątej. Moglibyśmy iść na kawę, ale o tej porze już wszystko zamknięte.

-Możesz to robić? Robić co?

-Chodzić do zwykłych kawiarni. Nie otaczają cię zaraz tłumy dziewczyn?

Dobrze. Wie, kim on jest. Wzruszył ramionami.

-Aż tak źle nie jest. Rzuciła mu uśmiech:

-Jesteś pewny? Bo kiedy widzi się te pędzące na ciebie dziewczyny, wygląda to dość groźnie.

O mało się nie zatrzymał w pół kroku, ale pokonał impuls i szedł dalej.

- Widziałaś to?

- Jasne. Kilka razy. Lubię muzykę.

- Moją muzykę?

Oj, tego nie powinien był powiedzieć. Może pomyślała, że to tani podryw. Jednak jeśli tak było, nie dała tego po sobie poznać, jej głos zabrzmiał głęboko i poważnie, kiedy odpowiedziała:

-Każdą. Nie, żebym była specjalnie muzykalna. Jednak muzyka jest dla mnie ważna. To uczucia. Prawda?

Co na to odpowiedzieć? Poczuł lekkie, nieprzyjemne łaskotanie na plecach, wymamrotał coś i jeszcze raz wzruszył ramionami. Szli tak wolno, że światelko roweru rozbłyskało tylko co jakiś czas. Nie wiedział, czemu pochylił się i odpiął z roweru dynamo. Minęli już salę koncertową

i zaczęli się zbliżać do portu i centrum.

-Gdzie mieszkasz?

Teraz znowu się uśmiechnęła i coś zaiskrzyło jej w oczach.

113

-To znaczy?

Nie mógł się oprzeć temu uśmiechowi, sam też musiał się uśmiechnąć:

-No, myślałem, że może idziesz do domu. Że cię odprowadzę.

Roześmiała się.

- Okej. Jeśli masz siłę.

- To tak daleko?

Znowu popatrzyła na niego z błyskiem w oku:

-Niedaleko szpitala. Zrobił zdziwioną minę.

-To dlaczego szliśmy tędy? To przecież dłuższa droga.

Chwyliła go za ramię i przyłgnęła na chwilę policzkiem do jego budrysówki:

-To ty tego chciałeś - odpowiedziała ze śmiechem. - A ja chciałam dlatego, że chciałeś ty.

Wtedy zatrzymał się pod latarnią, pochylił się i pocałował ją.

114

-Pójdę się chyba położyć - stwierdził Birger, chwytając się oparcia fotela.

Inez nie odrywała wzroku od telewizora.

- Dobrze, idź.

-A ty?

- Nie jestem śpiąca.

Birger siedział gotowy, by się podnieść, ale tego nie robił.

-Będziesz na niego czekała?

Inez popatrzyła na niego z roztargnieniem i spróbowała udać obojętność.

- Co? Nie. Po prostu nie chce mi się jeszcze spać. Birger nadal nie wstawał:

- Zawsze jesteś o tej porze zmęczona.

Inez musiała wziąć głęboki oddech, żeby opanować irytację. Miło i grzecznie. Musi zachować spokój.

-Możliwe. Ale dziś wieczorem nie.

Na chwilę zapadła cisza. Nie patrzyła na niego, ale wiedziała, że siedzi tam w tej samej pozycji. Tak właśnie robił, kiedy usiłował coś przeforsować. Zawsze tak samo. Wszyscy myśleli, że Inez jest silniejsza z nich dwojga, ponieważ to ona mówiła głośniejsz i więcej, ale naprawdę tak nie było. Byli jak szkło i guma. Ona była ze szkła, miała twardą powierzchnię, ale łatwo pękała. Birger był z gumy. Grubej gumy. Był miękki i uległy, ale nie dało się go złamać. Wszystko wytrzymał. Wszystko zniósł. I każdego zwyciężył.

115

Jednak kiedyś, dawno temu, Birger został wychowany zupełnie w innym duchu. Nie miał stać się wyjątkowo świadomym swoich celów nauczycielem historii i wiedzy, o społeczeństwie, ale pesymistycznym szewcem, lustrzanym odbiciem swojego ojca i jego następcą, człowiekiem, który wyzbył się nadziei. To był spadek, nieskończenie ważniejszy od pieniędzy z gospodarstwa dziadków, tych dziesięciu tysięcy koron na koncie w Banku Oszczędnościowym w Landskronie, których nigdy nie było wolno tknąć, nawet wtedy, gdy ojciec w okolicach pięćdziesiątki potrzebował nowych zębów. Stary wolał raczej przez trzy lata gryźć chleb moczony w wodzie i odkładać kolejne banknoty pięciokoronowe do zakurzonego słoika, który stał w najciemniejszym kącie podobnego do jaskini warsztatu. Kiedy w końcu uzbierał pieniądze na sztuczną szczękę, zdążył już niemal zapomnieć, jak się gryzie.

W domu szewca najważniejszą regułą była ponurość, za którą podążała podejrzliwość. Dniem i nocą domu pilnowali zazdrośni bogowie, gotowi do bicia i karania każdego, kto zbyt głośno się śmiał lub miał zbyt wybujałe marzenia. To dlatego mama Birgera wybuchnęła płaczem, kiedy udało mu się w wieku

dziesięciu lat przekonać nauczycielkę, żeby poszła z nim do domu i przekonała rodziców, by pozwolili mu pójść do gimnazjum. Wiele lat później wyjawiał Inez, że była to świadoma strategia. Już jako dziesięciolatek wiedział, że chce pójść na studia, ale zdawał sobie też sprawę z tego, że bez interwencji wyższego autorytetu ojciec nigdy nie pozwoli mu na pójście do gimnazjum. Nie, żeby tamta nauczycielka była jakimś wielkim autorytetem, bigotka, jak mówiło się w Landskronie o ludziach, którzy chodzili na spotkania zielonoświątkowców. Szewc, który sam był socjalistą i ateistą, gardził bigotkami. Jednak Birger już wtedy wiedział, że to tylko pusta gadanina. W rzeczywistości szewc zawsze tracił wiarę w siebie, jeśli ktoś z nawet najskromniejszym wykształceniem - wystarczyło świadectwo ukończenia podstawówki - zbliżał się do jego warsztatu.

116

Dopiero kiedy taki klient zamknął za sobą drzwi, ojciec zaczynał głośno mówić i wyklinać zarozumiałych burżujów.

Inez tak wiele razy myślała o tej scenie, że niemal ją widziała. Zdawała sobie sprawę, że to tylko jej wyobrażenia, które być może nie mają nic wspólnego z tym, co stało się naprawdę. Pomimo to nie mogła pozbyć się przekonania, że właśnie tak było. Błada, chuda kobieta, z włosami upiętymi nad karkiem, stoi na świeżo wytrzepanym chodniku w kuchni mamy Birgera. Jest niepewna, ociąga się, bo chłopak szewca naprawdę nie jest aż tak uzdolniony, jest tylko pracowity jak mrówka i niespotykane uparty, tak uparty, że sama nie wie, jak doszło do tego, że przełamał jej opór i zdołał ją namówić na tę ekspedycję. Jednak obietnica jest obietnicą, zwłaszcza dla kogoś, kto poznał Jezusa, więc w końcu odchrząkuje i zaczyna mówić.

Mama chłopca stoi trochę dalej, przy zlewie, i ociera kąciki oczu rąbkiem fartucha, wstydzi się, że jest tym, kim jest, że tak mieszka, że cieknie jej z nosa, a w zlewie leżą obierki, że szewc rzucił na stół gazetę - tak nieporządnie to wygląda - a jej własny syn zdradził ją, przyprowadzając do domu bez uprzedzenia nauczycielkę, nie dając jej szansy na dodatkowe wyszorowanie podłogi i upranie firanek.

Przy stole siedzi nieogolony szewc i zasysa do środka policzki, mamrocze coś o opłacie za szkołę i drogich podręcznikach, ale tylko do chwili, w której nauczycielka chłopca zaczyna mówić o Stowarzyszeniu Świętego Mikołaja i jego hojności w stosunku do mniej zamożnych chłopców. Któregoś razu, bardzo dawno temu, szewca zmuszono do chodzenia w pasiastym garniturze stowarzyszenia charytatywnego i od tej pory nienawidzi Stowarzyszenia Świętego Mikołaja tak głęboko, tak bardzo, że w końcu prostuje i wstaje, podpierając się rękami o stół.

117

Nie jest - Do stu diabłów! - taki biedny, na jakiego wygląda. I choć nie wie, jak to się dzieje, w następnym zdaniu udaje mu się przekonać siebie samego, że oczywiście stać go na utrzymanie chłopaka w szkole, choćby i do samej matury. Same zobaczą, słowo daję, baby ze Stowarzyszenia Świętego Mikołaja i wszystkie inne baby na całym mieście!

Przy drzwiach stoi bardzo czujny dziesięciolatek w krótkich spodniach i zrobionych na drutach podkolanówkach, który miętosi w rękach swoją cyklistówkę i wodzi wzrokiem po zebranych. Nie mówi

nic, ale steruje nimi wszystkimi. Taki jest i taką ma władzę. Ma ją od zawsze.

Pomimo to i Birger zareagował nieco lękowo, kiedy pewnego razu, pod koniec lat czterdziestych, w gimnazjum w Landskronie pojawiły się zatykające dech w piersiach bliźniaczki Hallgren ze swoimi włosami w lokach i falującymi spódniczkami. Był to jednak lęk, który szybko przekształcił się w zachwyty i bardzo głębokie postanowienie. Będzie miał jedną z nich. Nieważne, Elsie czy Inez, Elsie zawsze o tym wiedziała, wystarczy, że jedną z nich.

Nie tylko on zresztą podjął taką decyzję, już w pierwszym semestrze zrobiło to przynajmniej czterech innych drugoklasistów i sześciu pierwszoklasistów. Większość z nich miała nieskończenie lepsze warunki od Birgera. Kilku było świetnie wychowanych i potrafili zachowywać się w taki sposób, że dziewczęta czerwieniały z zachwyty, inni byli zamożni i pewni siebie, jeszcze inni całkiem dobrze wyglądali, a ten czy ów już teraz miał urok gwiazdy filmowej i intuicyjną zdolność uwodzenia. Birger nie należał do żadnej z tych grup.

118

Był dość niezgrabnym drugoklasistą, który ciągle potykał się o własne stopy, ponieważ jedna z nich przestała rosnąć, kiedy jako dwunastolatek zachorował na polio. Był niski i pospolity, a do tego miał tendencję do zanudzania ludzi nadmiernie szczegółowymi sprawozdaniami z tego, czego nauczył się właśnie w szkole. Kiedy w końcu udało mu się zaprosić Inez do cukierni, co stało się dopiero na początku wiosennego semestru w trzeciej klasie, przez przeszło trzydzieści minut referował okoliczności, które doprowadziły do wybuchu rewolucji francuskiej, ale nie miało to żadnego znaczenia, bo w tamtym momencie wydarzyła się już katastrofa i wszyscy inni zalotnicy zrezygnowali. Birger był najbardziej wytrwały, jak zawsze. Nigdy nie odpuszczał. Zwyciężył pięć lat później, zdobywając w nagrodę tytuł magistra uniwersytetu w Lund oraz Inez za żonę.

W pierwszych latach po ślubie zdarzało się, że Inez, siedząc obok Birgera na szarej sofie w salonie, opuszczała swoją robótkę na kolana i przyglądała mu się z pewnym zdziwieniem. Jak to możliwe, że on zawsze wygrywa, że zdołał podbić ją tak samo, jak wcześniej pokonał polio i szewca, szkołę i uniwersytet, i tak jak teraz bezustannie pokonuje dyrektora gimnazjum i radę pedagogiczną? Przecież nigdy nie podnosi głosu i rzadko wyraża swoje poglądy, wręcz przeciwnie: słucho z głową przekrzywioną na bok, uśmiecha się i potakuje, a potem dorzuca jedno zdanie, pytanie albo stwierdzenie, które odbiera jej mowę i sprawia, że zaczyna się wahać. Inez rzadko potem pamięta dokładnie, co powiedział. Widzi tylko, że dzień za dniem, rok za rokiem robi rzeczy, których w sumie nie chce i nigdy nie zamierzała zrobić. Na przykład jak doszło do tego, że wylądowała w szkole gospodarstwa domowego? Nigdy nie interesowało ją robienie dżemów ani soków, chciała studiować na uniwersytecie w Lund.

119

Chociaż z drugiej strony, czy sprawiedliwie jest zrzucać winę za to na Birgera? Przecież kiedy opowiadała o szczęściu, które da jej historia literatury - Pomyśl, móc przez całe dni czytać powieści! — potakiwał i się z nią zgadzał, ścisnął jej rękę, i nawet pocałował ją w knykieć, a dopiero potem powiedział

prztłumionym głosem trzy krótkie słowa: - No, ale Björn?

To była myśl, której w tamtym momencie nie dopuszczała do siebie, Birger przypomniał o czekającym ją strasliwym wyborze, o tym, co próbowała przed sobą ukryć, odepchnąć. Teraz już się nie dało. Wpatrywała się w Birgera i mruganiem przeganiała łzy, bo dostrzegła to, co nieuniknione w jego słowach, i poddała się. Lund był oddalony o zaledwie czterdzieści kilometrów, ale to inny świat, w którym na początku lat pięćdziesiątych było zupełnie nie do pomyślenia, żeby studentka miała ze sobą małego chłopca, nawet jeśli mogła udowodnić, że chłopiec ów nie był owocem rozwiązłości jej, ale siostry. Zostawienie Björna z Elsie i Lydią było też nie do pomyślenia. Może umieściliby go w domu dziecka? Albo oddały do adopcji. Wprawdzie żadna z nich nie powiedziała wprost nic takiego, ale Inez wiedziała, że o tym właśnie myślą, że Lydia miała taki plan, kiedy wysłała Elsie, żeby urodziła w tajemnicy, i że tego chciała Elsie, gdy wróciła bezwolna i pozbawiona chęci do życia. Obie miały wiele mówiący zwyczaj dotykania Björna bez patrzenia na niego oraz lekkiego wzdychania, kiedy płakał. Przyglądały się też ze zmarszczonymi brwiami Inez, kiedy przytulała go mocno do siebie i muskała ustami jego puszyste ciemiączko. Chciały jej go zabrać. A tego Inez by nie przeżyła.

- W Landskronie jest szkoła gospodarstwa domowego - powiedział Birger tym samym przyciszonym tonem. - Z jednym dodatkowym rokiem dla osób, które chcą w niej uczyć.

120

- Tak - powiedziała Inez i ponownie zamruwała. -Masz rację.

Ta odpowiedź ukształtowała jej życie. Jednak w tamtej chwili tego nie rozumiała. Dopiero parę lat później uderzyło ją, że istniały jeszcze inne, lepsze odpowiedzi. Przecież w Landskronie była też wyższa szkoła pedagogiczna. I szkoła dla pielęgniarek. Jednak wtedy nie przyszło jej to do głowy, było tak, jakby istniała tylko jedna droga wyjścia i była to ta, którą wskazywał jej Birger. Podjął za nią decyzję, ale ona tego nie rozumiała. Myślała, że zadziałały inne siły, potężne moce, którym nie podoła żaden żyjący człowiek.

Ale chyba nawet Birger nie mógł pokonać miłości i śmierci? Zarówno miłość, jak i śmierć miały szeroki uśmiech, ale miłość miała do tego problemy ze skórą i rozpięty płaszcz. Inez widziała go w sumie tylko raz, i to przelotem, zanim uśmiech zamarł na ustach, a on usunął się gdzieś w cień.

-Elsie? - powiedziała niepewnie do drugiego cienia. - To ty?

Przez chwilę nie było odpowiedzi, a potem Elsie wślizgnęła się w pasmo światła przy drzwiach wejściowych. Nie miała na głowie czapki, włosy były potargane.

-To ja.

Minęło już przeszło półtora roku od ich przeprowadzki do Landskrony i w tym czasie cisza pomiędzy nimi stała się twarda jak kamień. Nie warczały już na siebie, przeciwnie, były zazwyczaj niebywale uprzejme, rozmawiały ściszymi głosami o szkole i o lekcjach, o Lydii i Ernście, o kolegach z klasy i nauczycielach, ale tak naprawdę żadna nie dopuszczała tej drugiej do swojego życia. Obie miały swoje

tajemnice, chociaż Inez wyobrażała sobie czasem, że tajemnice Elsie są bardziej tajne od jej tajemnic. To Elsie głośniejsz protestowała, kiedy Lydia chciała, żeby ubierały się w identyczne ubrania.

121

Tak jak dziś wieczorem, kiedy Lydia zaproponowała żeby ubrały się na tańce w swoje niebieskie, wełniane sukienki. Elsie natychmiast stanęła okoniem. Nigdy w życiu! Jeśli Inez zakłada niebieską sukienkę, to Elsie założy tę kraciatą. Albo na odwrót. Wszystko jedno, byle nie musiała chodzić w takich ubraniach jak jej siostra. Ma tego powyżej uszu. Jest oddzielną osobą.

I teraz Inez w swojej kracastej sukience pod paltem przyglądała się Elsie, która pod paltem miała sukienkę niebieską. Rozdzieliły się, gdy tylko doszły do szkoły, i potem Elsie gdzieś zniknęła. Inez rozglądała się za nią, kiedy nie tańczyła, ale nie zauważyła nigdzie siostry wśród innych uczniów gimnazjum w sali gimnastycznej.

- Nie wchodzisz? - zapytała.

- Jeszcze nie.

- Ale...

-Przyjdę zaraz - powiedziała Elsie. - Powiedz, że zapomniałam butów na zmianę i musiałam wrócić. Lub coś takiego.

Inez spojrzała na cień siostry.

-No, nie wiem...

Elsie wzruszyła ramionami:

-To nie mów.

Cień za nią poruszył się, niemal niezauważalnie, ręka włożona w kieszeń, przesunięty punkt ciężkości. Wystarczyło, że Elsie cofnęła się i sama zamieniła w cień. Inez odwróciła się, pchnęła drzwi ramieniem i weszła na klatkę schodową.

Powoli i niechętnie wspinała się po schodach, tak jakby musiała się do tego zmuszać, po drodze zdjęła rękawiczki i poluzowała szalik. W połowie zatrzymała się i zerknęła na zegarek. Za pięć jedenasta. Zatem Elsie ma jeszcze margines pięciu minut na przebywanie poza domem, pięć minut, które może uratować je przed karą i potępieniem, pod warunkiem, że za drzwiami mieszkania czeka kara i potępienie.

122

Równie dobrze mogła to być wielka radość i nagrody, bez względu na to, o której godzinie było im wygodnie się pojawić. Nie dało się tego przewidzieć. Wszystko wokół nich było obecnie niemożliwe do przewidzenia. Potem przypomniała sobie coś i uśmiechnęła się: Ernsta nie ma przecież w domu. Po

południu pojechał do Göteborga, gdzie miał zaprezentować swój projekt jakimś starym kolegom. Nie wróci wcześniej niż jutro.

Ernst nareszcie wyzdrowiał i zarazem wcale nie był zdrowy. Sześć miesięcy temu pojawił się w Landskronie z otwartymi ramionami i zaświadczeniem lekarskim wyjaśniającym, że został uratowany. Całkowicie wyzwolony od bakterii gruźlicy dzięki nowemu, rewolucyjnemu leczeniu nową kombinacją leków. Niech żyje terapia chemiczna! Niech żyje współczesna nauka! Życie mogło rozpocząć się na nowo.

Przez pierwsze tygodnie dziewczęta były nim nieco onieśmiałe. Nie mieszkał z nimi od ładnych paru lat, nigdy nawet nie odwiedził nowego mieszkania, ale był łatwy w obcowaniu, miły i uważny, i zawsze w dobrym humorze. Jego entuzjazm zarażał, podobnie jak jego zapał, z każdym dniem wydawał się coraz bardziej żywiołowy. Tak jakby w trakcie lat spędzonych w sanatorium nabierał sobie skrzynię pełną skarbów: planów, dowcipów i pomysłów, a teraz ją otworzył, pozwalając, by jej zawartość olśniewała innych. Lydia uśmiechała się, a dziewczęta śmiały z tego, co wymyślał, jednak po kilku miesiącach ta ciągła wesołość zaczęła być trochę uciążliwa. Było kłopotliwe, że nigdy nie dało się posiedzieć w spokoju w kuchni i odrobić lekcji. Ernst nieustannie im przeszkadzał, wyskakując jak kukułka z zegara - jak to ujęła któregoś dnia w drodze do szkoły Elsie - z ciągle nowymi pomysłami.

123

Muszą jak najszybciej przeprowadzić się do Malmö, bo w Malmö znajduje się biuro architektoniczne, które szuka ludzi. Albo może nie, Ernst znowu założy własną firmę, a teraz chciałby się tylko dowiedzieć, czy ich wysokości hrabiny Inez i Elsie nadal chcą wrócić do Göteborga, czy też mogą zostać w Skanii? Mogą zdecydować, on się w pełni do nich dostosuje. Willa, którą naszkicował w sanatorium i którą wkrótce zaczną budować, bez względu na to, gdzie się przeprowadzą, ma wiele zalet - tak, mówiąc dokładniej jest to po prostu małe dzieło sztuki - ale Ernst musi wiedzieć, czy dziewczynki mają coś przeciw zamieszkaniu w niewielkiej wieży jedna nad drugą. Oznaczałoby to, że jedna z nich będzie miała lepszy widok z okna od drugiej, ale można by to rozwiązać, pozwalając im, żeby co miesiąc zamieniały się pokojami. Prawda? Jezu, jakie z nich nudziary, siedzą tylko nad książkami. Kiedy Ernst był młody, naprawdę potrafił żyć...

Po kilku miesiącach Lydia miała niebieskie cienie pod oczami i dwie ostre kreski między brwiami. Poza tym ciągle nosiła na twarzy przepraszający uśmiech, a w rękach trzymała kubek kawy. Potrzebowała kawy, dużo kawy, w przeciwnym razie po prostu by zasnęła. Dziewczęta wiedziały, z czym to jest związane, ale zarazem miały świadomość, że o tym nie można rozmawiać. Lydia po prostu nie mogła w nocy spać. Ernstowi wystarczyło coraz mniej snu - rekord stanowiła godzina i piętnaście minut - a kiedy nie zajmował się swoimi projektami i planami, chciał się kochać, głośno, długo i intensywnie. Jego jęki budziły Inez i Elsie, ale nigdy ze sobą o tym nie rozmawiały, każda przykrywała tylko poduszką pełną obrzydzenia twarz i próbowała nie dopuszczać do siebie tamtych dźwięków.

Chociaż dziś w nocy będzie spokojnie, pomyślała Inez, kładąc rękę na klamce do drzwi. Pod warunkiem, że Ernst nie wpadnie w Göteborgu na jakiś kolejny, genialny pomysł.

124

Może zadzwoni koło trzeciej w nocy i powie, że zdecydował się popłynąć statkiem do Ameryki Południowej albo do Indii. Jak dla niej, to bardzo dobrze. Nawet by za nim nie tęskniła.

Lydia miała już na sobie koszulę nocną, łóżko było postane, ale jeszcze się nie położyła. Siedziała przy biurku w szlafroku i kapciach. Chyba poprawiała wypracowania. Zawsze poprawiała wypracowania.

- A gdzie zgubiłaś Elsie? - zapytała, zerkając na Inez znad okularów.

- Zaraz przyjdzie - odparła Inez i odwróciła się, żeby odwiesić palto. - Zapomniała butów...

Lydia nic nie odpowiedziała, kiwnęła tylko głową i pochyliła się nad wypracowaniami. Inez oparła się o ścianę i zaczęła zdejmować śniegowce. Ten moment miała zapamiętać na całe życie, swoją rękę opartą na szarej tapecie, palto bujające się jeszcze na haku, na którym je powiesiła, i swoją skrzywioną minę, kiedy odkryła oczko w pończosze. Trzecie w tym miesiącu. Oddawanie pończoch do łatania oczek sporo kosztowało...

W tej chwili ktoś zadzwonił do drzwi. Inez zawahała się, potem zerknęła do sypialni. Lydia siedziała z otwartymi ustami, ale bez ruchu, cały czas ścisnęła w rękę wieczne pióro. Zaskoczona. Tak jak Inez. Kto był tak źle wychowany, żeby dzwonić do drzwi o jedenastej wieczorem?

Oczywiście na to pytanie istniała tylko jedna odpowiedź, wiedziała o tym, chociaż nie dopuszczała do siebie tej myśli. Mógł to być tylko ktoś, kto przychodzi, kiedy sam chce. Istota o najszerzym z szerokich uśmiechów.

Zrobiła krok w stronę drzwi i je otworzyła. Na zewnątrz stali pastor i policjant.

- Dobry wieczór - powiedział pastor. - Przepraszamy, że przeszkadzamy. Czy pani Hallgren jest może w domu?

125

Inez miała zamknięte oczy, kiedy dygała i wpuszczała ich do środka, ale to nic nie pomogło. Nie potrafiła nie usłyszeć krzyku Lydie z sypialni. Lydia też już wiedziała.

Ernst stanął na torach i został przejechany przez pociąg. Było to niepojęte, ale tak się stało. Doszło do tego kilkaset metrów od stacji kolejowej. Ernst stał na chodniku, z kapeluszem zsuniętym na kark, i się rozglądał, a potem nagle zrobił krok i stanął na środku torów. Był to spokojny krok, tak twierdzili świadkowie, Ernst nie rzucił się pod pociąg, zdecydowanie nie. W to nie wierzyli. Wyglądało to raczej tak, jakby zastanawiał się, w którą stronę ma iść. Jednak pociąg był zaledwie kilka metrów od niego i maszynista - który jest zresztą w stanie ciężkiego szoku - nie miał szansy zahamować. Czy pan architekt Hallgren miał może jakieś problemy ze wzrokiem?

Lydia siedziała bez ruchu na pluszowej sofie, nie mówiła ani słowa. Inez pogładziła ją po ręce, a potem potrząsnęła głową.

-Nie - odpowiedziała spokojnie. - Nie ze wzrokiem.

Birger puścił ramię fotela i z powrotem na niego opadł, ale nie poddawał się.

-Nie wiedziałem, że interesujesz się mózgami elektronicznymi - powiedziała, przechylając na bok głowę.

Inez wyprostowała się, minęło parę sekund, nim zorientowała się, że w telewizji idzie Magazyn Techniczny. Tematem programu były mózgi elektroniczne.

- Zamyśliłam się - odpowiedziała. Birger uśmiechnął się:

- Rozumiem. Przyznasz, że czas już na spanko? Inez zaskoczył jej własny sprzeciw.

-Kładź się sam - powiedziała najsympatyczniejszym z możliwych tonów. - Według mnie te elektroniczne mózgi są bardzo ciekawe. Bardzo ciekawe.

126

Birger najpierw wyglądał na zaskoczonego, a potem wzruszył ramionami.

-Tak - powiedział po chwili. - Może rzeczywiście należałoby to zgłębić.

Wbił wzrok w ekran telewizora.

-Chociaż mówiąc szczerze - dodał - mam wrażenie, że tego nie rozumiem. A ty?

Inez zamknęła oczy i poddała się. Dziś wieczorem nie uda jej się od niego uwolnić. Przynajmniej dopóki nie zaśnie.

-Nie - odparła, wydając nieświadomie lekkie westchnienie. - Rzeczywiście, masz rację. Czas na spanko.

127

Kłosz nocy otoczył dom z czerwonej cegły. Do ogrodu wpełzł szron, ślizgał się po trawniku, glazurował każde źdźbło trawy, chwycił wszystkie pojedyncze krople na ciemnej ziemi rabat i zamieniał je w diamenty, a potem sunął giętko jak jaszczurka w górę pni drzew i malował ciemne kontury gałęzi srebrnobiałym, mieniącym się potyskiem.

Inez leżała w sypialni i wpatrywała się w ciemność. Birger spał głęboko obok niej, mrucał coś i poruszał stopami. Może biegał we śnie, gonił albo był ścigany, Wszystko jedno. Rano i tak będzie twierdził, że nie miał snów, przez całe życie twierdzi, że w ogóle nigdy nie śni. Inez wygłosiła wiele wykładów na temat bezsensowności tego typu twierdzeń, ale Birger nigdy nie zmienił zdania. Nigdy nie miewa snów. Koniec. Kropka.

Za to Inez leżała bez ruchu, przysłaniając głowę ramieniem, i bardzo powoli oddychała. Sama pozycja była kłamstwem, starym kłamstwem, które stosowała, kiedy dzieci były małe. W tamtym okresie musiała udawać, że śpi, żeby trzymać Birgera z dala od siebie, był to jedyny sposób na uniknięcie jego rąk, jego głosu i uporu. A Inez, każdego dnia potrzebowała małej chwili dla siebie, tego momentu, kiedy

mogła być bliżej swojego prawdziwego ja. W ciągu dnia była zadowolona, przedsiębiorcza i szybka w ripostach, była kobietą o zaróżowionych policzkach i wesołym spojrzeniu, sumienną i godną zaufania, nowoczesną mamą z koszykiem pełnym produktów na kierownicy roweru, nauczycielką gotowania, która nigdy nie miała kłopotu z zaprowadzeniem porządku w klasie.

128

Jednak wieczorami, tuż przed zaśnięciem, stawała się ociężała i niepewna, pełna wątpliwości i zdziwienia. Może nie była wtedy nawet kobietą. Może tylko małą dziewczynką, dość przestraszoną i smutną dziewczynką, która nigdy nie rozumiała, co naprawdę się wokół niej dzieje, i która często połykała łzy.

Ta dziewczynka nadal istnieje, żyje w Inez i razem z nią, ale dobrze się ukrywa i w ciągu dnia nigdy nie pokazuje twarzy. Nigdy nic nie mówi, nawet wtedy, gdy jest ciemno i Birger śpi. Tam, gdzie dni miały słowa, noce miały tylko nastroje, ale to właśnie one zmuszały Inez, by godzinami czuwała, mrugając w ciemnościach, i raz za razem połykała gulę w gardle. Nie wiedziała, dlaczego tam tkwi. I nawet nie chciała tego wiedzieć.

Tej nocy było jak zawsze, ale zarazem inaczej. Słuchała ciszy z większą uwagą niż zazwyczaj. Przed chwilą zegar w salonie wybił dwunastą. Czyli on powinien już zaraz wrócić, za chwilę powinna usłyszeć zgrzyt furtki i chrzęst jego kroków na żwirze ogrodowej ścieżki.

Czy powinna wstać i poczekać? Zrobić mu kilka kanapek? Nalać szklankę mleka?

Nie. On nie chce jej opieki. Tylko by go to zirykowało, gdyby Inez siedziała w kuchni i czekała na niego, zdenerwowałby się nawet wtedy, gdyby się dowiedział, że Inez czuwa w ciemnościach i nasłuchuje jego kroków.

To naturalne. Inez o tym wie. Działoby się tak i wtedy, gdyby naprawdę był jej synem. Jest już przecież prawie dorosły, a że przy okazji jest jedynie jej siostrzeńcem, można się właśnie tego spodziewać. Nie należy do niej. Musi o tym pamiętać. Nigdy nie wolno jej zapominać.

A przecież jednocześnie był jej. Należał do niej od tej chwili, gdy go po raz pierwszy zobaczyła, tamtego deszczowego, kwietniowego popołudnia dziewiętnaście lat temu, kiedy szara jak popiół Elsie wróciła do domu i ułożyła w łóżku swojej siostry małe zawiniątko.

129

-Nie chcę - powiedziała, zdejmując rękawiczki. - to błąd, że go tu przyniosłam. Myślałam, że tego chcę, a tak naprawdę nie chcę...

Była kimś obcym. Całkowicie obcą osobą, która nie miała nic wspólnego z własną siostrą bliźniaczką. Niski bezdźwięczny głos, włosy w strąkach i lekko zgarbione plecy. Inez wpatrywała się w nią, ale Elsie tego nie zauważała. Rozpięta i zsunęła z ramion palto, pozwalając by upadło na ziemię, a potem przesunęła ręką po głowie aż zdeformowany kapelusz ześlizgnął się z niej i powirował w kierunku podłogi. Jednym ruchem ściągnęła buty i ochraniacze śniegowe i położyła się na swoim łóżku, które od

ośmiu miesięcy stało puste.

-Myślałam, że chcę - powtórzyła. - Ale oni mieli rację. Naprawdę nie chcę.

Inez nadal nie powiedziała ani słowa, stała w milczeniu, bez ruchu spoglądając to na swoją siostrę, to na starannie zawinięty kokon na jej łóżku. Elsie już nic nie mówiła, naciągnęła na twarz ozdobną poduszkę i oddychała w brązowy materiał. Inez usiadła na brzegu swojego łóżka i pochyliła się nad becikiem. Niewiele było widać, tylko mały nosek i parę zamkniętych oczu. Bardzo ostrożnie zaczęła rozwijać pierwszą warstwę zawiniątka. Niebieski, wełniany kocyk, który zawinięto w sposób tak skomplikowany, że odwinięcie go było niemal niemożliwe. Warstwę pod nim stanowił szary kocyk, także wełniany, ale tak wytarty, że przez rzadkie pasma tkaniny Inez widziała swoje palce. Trzecią warstwą był kocyk z bawełny, jasnoniebieski w małe, białe kotki. Wyraźnie nowy. Chwyliła czubkami palców jego brzeg i zaczęła go rozwijać.

Był doskonały. Do dziś pamiętała, że tak właśnie pomyślała. Doskonały. Maleńka, okrągła stopa z perełkami paznokci. Tłuściutkie nóżki. Maleńki brzuszek, który unosił się i opadał w rytm głębokich, sennych oddechów.

130

Na wpół otwarte rączki, jak kwiaty, które zaraz mają rozkwitnąć. Czarne rzęsy opadające cieniem na policzki. Ładnie zarysowane usta.

Bez namysłu pochyliła się nad nim i pocałowała uchyloną buzię. Jego ślina miała smak źródlanej wody. Nie. Zaraz zmieniła zdanie: jego ślina miała smak ludzkiego marzenia o źródlanej wodzie. Nie ma źródeł, które dają taką wodę...

Otworzył oczy i spojrzał na nią ciemnogrnatowym, porcelanowym spojrzeniem, nie zapłakał i nie poruszył się, leżał tylko bez ruchu na łóżku, z rączkami i nóżkami niemowlecko podkurczonymi, i patrzył na nią. Delikatnie przesunęła wskazującym palcem po jego policzku. Był taki malutki. Nigdy wcześniej nie widziała z tak bliska małego człowieka, nigdy wcześniej kogoś tak idealnego.

Nagle zachciało jej się płakać. Pociągnęła nosem, próbując mruganiem odpędzić łzy - co za bzdura, nie może tak siedzieć i ryczeć - ale to nie pomagało. Zaczęła gwałtownie szukać chustki w rękawie swetra, głośno wydmuchwała nos i przypomniała sobie, że nie dawniej niż tydzień temu napisała w dzienniku długą epopeję na temat słów, których nie znosi, słów, które zaczynają się na „sen”. Na przykład „sensacja”. Sensacjami delektują się plotkary, osoby pełne hipokryzji; wywracając oczami, mogą godzinami opowiadać bzdury o rzeczach, które ich nie dotyczą. A w tym mieście, w tej podłej małej miejscinie, w której miały pecha wylądować, plotkary z rozkoszą upiększają swoje opowieści kroplami sentymentalizmu. Te biedne dziewczynki, które tak nieszczęśliwie straciły ojca... Ta biedna wdowa, której córce przytrafiła się w dodatku taka wpadka! Nieszczęście! Nieszczęście! Oj! Oj! Łoj! Łoj! Nie wspominając już słowa zmysłowość, które nieustannie krążyło wśród dziewcząt w ostatniej klasie. Wszystkie musiały być teraz zmysłowe, na wpół ślepe i zmysłowe, bo wszystkie miały grzywkę przysłaniającą jedno oko, jak Rita Hayworth w Gildzie, mimo że oznaczało to konieczność chodzenia po omacku.

Nie dość tego, trzeba było też przez cały czas być ospałą i żądną rozkoszy. Najbardziej stuknięte dziewczyny potrafiły ciężko wzdychać nawet podczas rozmowy o łacińskich czasownikach albo o ziemniakach z golonką. Żeby nie wspomnieć o tym, jak się certoliły, rozmawiając o chłopakach. Zakochaaaaane! Tak kochają! Wszystkie z wyjątkiem Inez. I tak miało już zostać. Przysięgła, ugryzie się w nogę - a była do tego wystarczająco gibka, wiedziała o tym, próbowała już - tego dnia, w który sama zaczęła się oddawać sensacjom, sentymentalizmom i sensualności. Jednak ryzyko nie było zbyt wielkie. Miała już osiemnaście lat i osiem miesięcy, spotykała się z chłopakiem o imieniu Birger, a przed nim z paroma innymi chłopakami, ale do tej pory jeszcze nigdy się nie zakochała. Nigdy przedtem. Znowu wydmuchwała nos. Tak, Niestety. Musi to przyznać. Teraz się zakochała. Kocha, a obiektem jej miłości jest trzymiesięczny chłopczyk, mały człowieczek w zrobionych na drutach krótkich spodenkach i pieluszcze, z jasnoniebieską skarpetką na jednej stopce. Nie spuszczać go z oczu, poszukała ręką drugiej skarpetki, znalazła ją i ostrożnie mu nasunęła, a potem zawiązała cieniutką wstążeczkę w schludną kokardkę i westchnęła. Tego chciała od życia. Tylko tego. Niczego więcej. Chociaż nie oznaczało to - przysięgła sobie wydmuchując po raz kolejny nos - że zamierza stać się sensatką, osobą sentymentalną czy sensualną.

Rzuciła szybkie spojrzenie siostrze. Tylko popatrzcie! Tak to się kończy, kiedy człowiek zapomina o rozumie i pozwala się pochłonąć tamtym słowom, na koniec leży się na łóżku z poduszką na twarzy, usiłując udawać, że się nie istnieje.

Inez wzięła swoją poduszkę i położyła ją obok chłopca, nie wiedziała, czy jest wystarczająco duży, żeby się przewrócić na bok i stoczyć z łóżka, ale nie chciała ryzykować.

Potem podniosła z ziemi palto i kapelusz Elsie, chwyciła czubkami palców buty i ochraniacze i wyniosła je do przedpokoju. Kiedy wróciła, chłopczyk znowu spał, Inez przykryła mu nóżki niebieskim kocem i usiadła na brzegu łóżka siostry.

-Aha - powiedziała ściszym głosem. - To czego takiego nie chcesz?

Spod poduszki dobiegł ją jakiś bulgot.

-Nie słyszę - powiedziała Inez. - Zdejmij poduszkę. Elsie zsunęła poduszkę z ust, ale nadal zastaniała nią oczy.

- Jego nie chcę - powiedziała. - Naprawdę go nie chcę.

- Ja go chcę - powiedziała Inez.

Elsie ściągnęła poduszkę i popatrzyła na nią.

- Ale on nie jest twój.

- Wiem. Ale ja go chcę.

-Zwariowałaś - powiedziała Elsie i ponownie ukryła twarz.

To była ich najdłuższa rozmowa od przeszło roku.

133

Stał przy furtce i patrzył na gwiazdy. Trochę wirowało mu w głowie. Miał rozpiętą budrysówkę i chociaż czuł, jak pod sweter wślizguje się zimne powietrze, nie zapinał jej. Palce mu zeszywniały, ale nie miało to znaczenia, bo nie zamierzał nimi ruszać. Chciał tylko postać przez chwilę pod gwiazdami. W zupełnym spokoju. Bez żadnych słów.

Jednak słowa nie dawały się unicestwić. Żarzyły się; w jego podświadomości, zapalały, iskrzyły i gasły. Spokój. Wolność. Wieczność. Potrząsnął lekko głową, żeby je odpędzić, ale to nie pomagało. W policzki muskały go wciąż długie włosy, pieściły. Wieczny. Spokój. Wolność. Może staje się religijny Albo zwariował.

Opuścił wzrok i rozejrzał się. Słowa zgasły, ale w ciemności i ciszy wokół nadal było coś, czego nie wolno mu zniszczyć. Nie chciał otworzyć furtki i usłyszeć jej skrzypienia. Nie chciał iść ogrodową ścieżką w kierunku domu, słysząc chrzęst własnych kroków na żwirze.

Dlatego ostrożnie prześlizgnął się do ogrodu przez płot. Jego ciężkie buty - prawdziwe traktory - zostawiały czarne ślady na białej trawie. Zatrzymał się i przyjrzał im się w świetle stojącej na zewnątrz latarni, zobaczył, jak szybko podnoszą się zdeptane źdźbła i jak błyskawicznie mróz je na nowo bieli. Tak jakby nigdy tamtędy nie szedł. Jakby go nie było.

Uśmiechnął się do siebie i owinął szczelniej budrysówką. Jest. Rzadko był tak pewny tej kwestii jak tej nocy. Może będzie istniał zawsze.

134

Oczekiwanie

135, 136

Poharatana ręka. Oczywiście. Wszystko zgodnie z zasadą o podłej istocie wszystkiego.

Ręce to nie jest coś, co się po prostu fastryguje. W domu, w przychodni Anders nawet by nie próbował, zatamowałby jedynie najgorszy krwotok, a potem dopilnował, żeby pacjent pojechał do chirurga, specjalizującego się w chirurgii rąk, zanim jeszcze zdoła wyrecytować swój numer personalny. Grzebanie się w tym, co kieruje najdelikatniejszą sferą ludzkiej umiejętności posługiwania się dłońmi, nie należy do rutynowych czynności lekarza rodzinnego i jest czymś niecodziennym nawet dla chirurga. Chirurdzy ręki mają swoje oddzielne oddziały w szpitalach uniwersyteckich, swoją własną kulturę pracy oraz konferencje, są mikrochirurgami i specjalistami i uznaliby taką osobę jak Anders Jansson za jedynie odrobinę bardziej wykwalifikowaną niż jakiś tam harcerz. Z drugiej strony na Oceanie Arktycznym panuje

niedobór chirurgów ręki, a transport helikopterem do Kanady kosztuje piętnaście tysięcy dolarów za godzinę. Co najmniej. Może być brany pod uwagę tylko wtedy, gdy chodzi o życie.

Tu nie chodzi o życie. Jedynie o zachowanie umiejętności poruszania prawą ręką.

Robert nareszcie ucichł i zamknął oczy, leży bez ruchu na zielonej pryczy i spokojnie oddycha. Minął już pierwszy szok i zaczyna działać znieczulenie. Poza tym alkohol musiał też zrobić swoje.

137

Okazało się, że Robert był bardziej pijany, niż się wydawało. Zwiślał ciężko pomiędzy Olle i Andersem, którzy częściowo go podpierali, a częściowo ciągnęli do izolatki. Wtedy przynajmniej był cicho. Zaczął krzyczeć dopiero, kiedy w końcu położyli go na pryczy i zobaczył w przelocie swoją zakrwawioną rękę. Anders poprosił Ollego, żeby przytrzymywali go na miejscu, podczas gdy on sam wyjmował, co było mu potrzebne: igły, pincety i nici chirurgiczne.

-Puszczaj mnie, ty pijana świni! - wrzeszczał Robert za jego plecami.

Anders rzucił mu spojrzenie przez ramię. Nad Robertem pochylał się Olle, który przyciskał jego ramiona do zielonego galonu, a jednocześnie sam usiłował odsunąć się jak najdalej, odwracając w bok twarz. Widać było, że się brzydzi. Prowizoryczny bandaż - czysta ścierka kuchenna, która leżała gdzieś w barze - spadł, a Robert tak wymachiwał zakrwawioną ręką, że wszędzie bryzgała krew. Olle miał już trzy czerwone plamy na koszuli i jedną na policzku.

- Puszczaj! Puszczaj mnie, kurwa! Jednak Olle nie puszczał, patrzył na Andersa.

- Musiał dobrze doładować, żeby się tak upić. Anders kiwnął głową i rozwinął zielone prześcieradło operacyjne. Przez głowę przeleciała mu myśl - Co zrobię, jeśli skończą się wszystkie rzeczy? - ale zaraz ją odpędził. Folke zaopatrzył izolatkę we wszystko, czego można sobie życzyć, i jeszcze trochę więcej. Wciągnął głęboki oddech, zamknął oczy i spróbował przypomnieć sobie nazwy wszystkich dwudziestu czterech kości dłoni, rozmieszczenie aparatu ścięgnistego, położenie nerwu pośrodkowego i głównych arterii, po to tylko, by przez chwilę przywołać wspomnienie wykładu starego profesora Hillena, wykładu, podczas którego dziadek pokazywał swoje pomarszczone, pełne wątrobianych plam ręce jako przykład ręki doskonałej...

138

-Cholera, puszczaj! Pierdolony gówniarzu! Pieprzony morderco!

Głos Roberta był teraz bardziej piskliwy, Robert wił się, usiłując wyrwać z uścisku Ollego, ale Olle przyciskał go całym ciężarem ciała i wydawał się zadowolony z udręki Roberta:

- Uspokój się już. Anders zrobi ci zastrzyk.

- To tylko małe znieczulenie - powiedział Anders. -Nie trzeba się denerwować.

- Nie denerwuję się - warknął Robert.

- Dobrze. Jednak zanim dam ci zastrzyk, chciałbym, żebyś najpierw zacisnął obie dłonie, a potem je znowu puścił.

- Pod warunkiem że on mnie puści! Olle wyprostował plecy:

- Już puściłem.

Robert wywrócił oczami, przez parę sekund wyglądało to tak, jakby miał tylko białka i zapadł się w nieświadomość. Potem zdawał się zbierać siły i wyciągnął obie ręce do góry. Biała jak atlas lewa dłoń z ładnie opiłowanymi paznokciami, dłoń pod względem koloru i kształtu niemal kobieca, otworzyła się i zamknęła, jak należy, ale umazana na czerwono prawa dłoń, w której krew zaczęła już koagulować w stawach palców, nie zamykała się do końca. Robert sprawiał wrażenie zdziwionego, wpatrywał się w swoje dłonie i jeszcze raz rozcapierzył palce, a potem na nowo spróbował je zamknąć. Nie dało się. Mały palec prawej ręki odstawał.

Anders zaklął pod nosem.

- Kurwa, niech to szlag! - ale usiłował zachować niezmienny wyraz twarzy. Rzecz jasna... Widać jak na dłoni, że trafiło mu się przerwane ścięgno. Nawet najzdolniejsi chirurdzy nie mogli zawsze gwarantować, że przy przerwaniu ścięgna uda się przywrócić pełną zdolność ruchu. Pozostaje zresztą pytanie, co z reakcją na dotyk... Nie, żeby mógł coś z tym zrobić. Teraz trzeba zatrzymać krwawienie.

139

-Jak jest?

Podczas wbijania igły Robert głęboko wciągnął oddech.

- Okej - powiedział, zamykając oczy. - Czy mógłbyś powiedzieć temu brzydalowi, żeby się stąd zabrał?

- Dobrze - odparł Anders i popatrzył na Ollego. Słyszalesz.

Olle zrobił krok w tył i wykrzywił się.

-Dlaczego mówisz, że jestem brzydki?

-Rzecz jasna dlatego, że jesteś brzydki - powiedział Robert, nie otwierając oczu. - Ty wstrętny brzydal.

Potem zrobiło się cicho. Robert zapadł w rodzaj półsnu, Olle siedział i dumał w kącie, podczas gdy Anders wyciągał kawałki szkła z największej rany. Nadal krwawi, ale już mniej i główna tętnica wydaje się jednak nietknięta. Teraz trzeba tylko znaleźć każdą z milimetrycznych odłamków, które schowały się w ranie, przemywać raz za razem i chwycić je pincetką. Nagle całe ciało zalewa fala ciepła. Dlaczego tak się przed chwilą martwił? Przecież to potrafi.

-Ależ się porozpryskiwało to cholerne szkło - mówi półszeptem.

Nikt nie odpowiada. Olle może zasnąć w swoim kącie. Anders rzuca w jego kierunku szybkie

spojrzenie i jest zaskoczony: Ollego nie ma. Poszedł sobie. Może bardziej poczuł się dotknięty, że nazwano go brzydalem, niżby Anders przypuszczał. Przez sekundę Anders odczuwa w żołądku niewielki wyrzut sumienia. Olle nie jest przecież brzydki. Wręcz przeciwnie. Jest naprawdę przystojnym, trzydziestopięcioletnim marynarzem, ciemnym i muskularnym, w rzeczy samej nieskończenie bardziej przystojnym od leżącego na pryczy Roberta z jego długimi, siwymi włosami, potarganymi i w strąkach, oraz twarzą, która wydaje się należeć do pomarszczonego dziadka.

140

Może Anders powinien był coś powiedzieć, kiedy Robert był najbardziej nakręcony. Choć z drugiej strony naprawdę utrzymywanie wszystkich w dobrym humorze nie należy do jego zadań, jego obowiązkiem jest jedynie dopilnowanie, by Robert nie stał się bardziej upośledzony ruchowo niż to konieczne. Anders pochyla się głębiej nad raną i uważnie ją studiuje, a potem ponownie przemysla roztworem z soli kuchennej i poprawia lampę, żeby lepiej widzieć.

-Potrzebujesz pomocy?

To Ulrika. Anders jest odwrócony plecami do drzwi, ale pomimo to wydaje mu się, że widzi ją, jak opiera się o futrynę. Ciemnowłosa i brązowooka. Z bladym wspomnieniem piegów na czubku nosa. Z czymś czystym w oczach. Z ciężkimi piersiami. Anders błyskawicznie rzuca jej spojrzenie przez ramię.

- Tak, dzięki. Przydałaby się.

- Co mam robić?

- Załóż rękawiczki i pomóż mi z trzymaniem jego ręki. Trudno mi się dostać do rany.

Bez pytań i poszukiwań Ulrika znajduje pudełko z gumowymi rękawiczkami, naciąga parę z zaskakującą wprawą i wślizguje się obok Andersa.

-Jak trzymać?

-Jakbyś mogła przytrzymać tu i trochę przekręcić, żebyśmy mogli dostać się od tej strony...

Anders dotyka brzegów rany i przyciska, rana otwiera się jak rozdziawione usta. Głęboko w środku schował się mały, trójkątny ułamek. Nie odkryłby go, gdyby Ulrika mu nie pomogła.

-Jak to się mogło stać? - pyta Ulrika stłumionym głosem. - Wcisnął rękę w potłuczone szkło?

Anders chwyta ułamek pincetką i upuszcza go do okrągłej miseczki, a potem ponownie pochyla się nad raną w Poszukiwaniu ścięgien i tkanek miękkich wokół nich.

141

-Nie mam pojęcia.

Ulrika, która brzydzi się krwią, odsuwa się. Anders czuje to, ale nie widzi.

-Uch, nie wygląda na to, żeby miał tu czucie. Anders nie odpowiada. Pochyla się tylko nad raną;

i rozchyła ją, a potem znowu zanurza pincetę. Czy widać ścięgno? Tak, jest tutaj. Przynajmniej z jednej strony. Kiwa głową bez słowa i zabiera się do rzeczy.

-Możesz tu naciskać? - mówi, pokazując.

Ulrika nie odpowiada, kiwa tylko głową i robi to o co ją prosi. Anders chwilę dłużej pincetą w ranie i znajduje drugi koniec ścięgna. Teraz. Wyciąga je i wbija igłę. Mały palec Roberta zgina się i Robert otwiera oczy.

-Co ty, kurwa, robisz? - mówi. Potem znowu zaciska oczy.

Anders wzdycha. Czas na nowe znieczulenie.

Godzinę później stoi samotnie na przednim pokładzie. Wieczór jest zimny, dżdżysty i zamglony, ale wiatr już przestał wiać. Statek nie buja tak mocno jak wcześniej, a nad dziobem nie wzbijają się już potężne kaskady wody. Na zewnątrz świat poszarzał: chmury leżą nisko, morze mieni się jak stopiony metal, obok przepływają pojedyncze kry szarobiałego lodu. Daleko na horyzoncie widać jakiś cień. Może to chmura. Ciężka od śniegu.

Teraz u Roberta jest Ulrika, posiedzi tam do powrotu Andersa. Ktoś pomógł im ustawić go w pozycji siedzącej, a potem podpierając ramionami, doprowadzili go do kajuty Andersa i położyli w łóżku dla chorych. Stało świeżo zaścielone, przygotowane obok jego własnej koi, odkąd wszedł na pokład. Nie zrobili tego ze względu na ranę, która przestała już krwawić, i raczej nie dlatego, że Robert był pijany, tylko ze względu na Andersa, żeby nie musiał się niepokoić. Anders nie wiedział, jak w inny sposób mógłby przez cały czas mieć Roberta na oku.

142

Ulrika okryła go kołdrą i odwróciła się do Andersa.

-Jesteś zmęczony?

Nie wiedział, co odpowiedzieć, potrząsnął tylko głową. Czy to zmęczenie? Uczucie, że ktoś przypala go pod skórą żywym ogniem? Tak. Nie. To coś innego.

-Jesteś błądy - stwierdziła Ulrika. - Nie zjesz czegoś?

Ma rację, powinien coś zjeść, nie jadł przecież obiadu. A potem powinien pospać. Głęboko i długo.

-Tak - powiedział i sam się zdziwił, że jego głos brzmi dokładnie tak jak zawsze. - Mogłabyś z nim posiedzieć, aż wrócę?

Polepszyło mu się od jedzenia, dosłownie czuł, jak rośnie poziom cukru, a razem z nim optymizm.

Naprawdę zrobił dokładnie to, co należało, co zrobiłby każdy chirurg ręki. Pozszywał ścięgna w środku otwartych ran, wyciągnął z nich wszystkie kawałki szkła, porządnie przepłukał i założył osiem szwów na jednej, a potem sześć i cztery na kolejnych. Cóż można było zrobić więcej?

Po jedzeniu zatęsknił za świeżym powietrzem i wyszedł na pokład. Teraz stoi sam na dziobie i patrzy, opierając się o burtę, czuje, jak statek wytraca prędkość. Może to przez lód. Wpłynęli w strefę z wieloma krami, małymi i dużymi na zmianę. Patrzenie, jak prześlizgują się obok dziobu, działa usypiająco, nie można oderwać od nich wzroku. Niektóre najpierw zanurzają się w morzu, a potem wypływają na powierzchnię, wymyte ze śniegu, jasnoniebieskie, lśniące jak...

-Halo, halo.

Zaczyna mu walić serce. To czysto fizyczna reakcja, która zaskakuje Andersa i którą błyskawicznie stara się sobie wytłumaczyć. Wydawało mu się przecież, że jest na pokładzie sam. A jednak nie był. Kawałek dalej stoi Olle, w lewej ręce trzyma papierosa, a w prawej szklankę z płynem w bursztynowym kolorze. Uśmiecha się.

143

-Przestraszyłem cię?

Anders robi przeproszącą minę.

-Byłem zamyślony...

Olle wypija łyk ze szklanki i mruży oczy:

-Jest już opatrzony?

-Tak.

Olle kiwa głową i odwraca od niego wzrok, a potem głęboko się zaciąga. Dym znika niemal natychmiast po wydmuchaniu.

-Dobrze.

Na chwilę zapada cisza, Anders usiłuje wymyślić, co powiedzieć, coś, co nie ma nic wspólnego z Robertem i tym, co się wydarzyło dziś wieczorem, ale nie zdąża. Olle odzywa się pierwszy.

-To chytry drań, ten.... Anders unosi brwi:

-Bo powiedział, że jesteś brzydki? To było przecież pijackie gadanie.

Olle zerka na niego:

-Och, to akurat pieprzę.

Anders nie odpowiada, tylko wzrusza ramionami. Jednak to nie pomaga. Olle odwrócił wzrok, ale

nie przestaje mówić.

- Znałem już takich...

- Aha.

-Od razu rozpoznałem ten typ. Jak tylko wszedł na pokład.

Znowu na chwilę zapada cisza i przez sekundę Anders ma ochotę sobie pójść, ale nie rusza się z miejsca! Stoi bez ruchu i patrzy na Ollego, który znowu podniósł do góry szklankę i wpatruje się gdzieś w dal.

-Tacy nie są... Łuuuups!

Statek zarzuca i zatrzymuje się. Nie jest to gwałtowny ruch, ale wystarcza, żeby Olle stracił równowagę. Wyciąga przed siebie rękę, żeby się oprzeć o burtę, i udaje mu się przy tym odbić tak, że nie wylewa się nawet kropla Whisky.

144

- Sprytnie - mówi Anders z uśmiechem. Olle szczyrzy zęby.

- No nie?

- Dlaczego się zatrzymaliśmy?

- Resolute. Tam jest wyspa. I nasz pilot lodowcowy. Anders odwraca się i patrzy w stronę horyzontu.

To, co niedawno wydawało się bardzo ciemną chmurą, opuściło się ku powierzchni wody i zamieniło w wyspę. Czarną wyspę.

-To kiedy on przyjdzie?

-Jutro - odpowiada Olle. - Kiedy zrobi się jaśniej. Kiedy będzie mógł wylądować helikopter.

Na chwilę zapada cisza, stoją nieruchomo obok siebie i patrzą na wyspę.

-Wiesz coś o...?

Głos Ollego nagle się zmienił, brzmi pewniej niż wcześniej, a zarazem ciszej, ale Olle nie kończy zdania. Anders czeka przez chwilę, a potem pyta:

-O czym?

Olle najpierw nie odpowiada. Stoi bez ruchu i patrzy na wyspę, a potem nagle wzrusza ramionami i mówi:

-Och. Zapomniałem, co chciałem powiedzieć. Aha. Andersowi to nie przeszkadza. Nie ma czapki

i zaczyna mu być zimno w głowę.

-Muszę już wejść do środka - stwierdza, wciskając ręce w kieszenie. - Widzimy się, prawda?

Olle dusi peta o burtę i nadal wpatruje się w wyspę na horyzoncie.

-Tak, widzimy - odpowiada.

145

Jak długo będzie tak siedzieć? Wyprostowana jak struna, z obiema dłońmi wciśniętymi między uda. Wpatrzona. Choć tak naprawdę nie ma na co tu patrzeć poza wyjątkowo dobrze wysprzątaną kajutę. Jest tak schludna, że wydaje się niemal niezamieszkana. Zamknięte na klucz drzwi szafy. Wszystkie powierzchnie czyste i zimne. Jej laptop, wciśnięty między oparcie krzesła a biurko, trzyma się na miejscu, dzięki napiętej gumce. Mógłby przejść orkan, a tu nic by się nie przesunęło, cały „Odyn” mógłby unieść się w powietrze, zakręcić kilka razy w koło, opaść na wodę i jeszcze parę razy podskoczyć i nic by się nie zmieniło. Chociaż nie. Pościel fruwałaby dokoła. I ona sama odbijałaby się jak piłeczka pingpongowa pomiędzy sufitem a ścianami.

Jednak nie będzie żadnego orkanu, wręcz przeciwnie, za oknem jest szara mgiełka, wiatr w ogóle nie wieje. Morze jak szare żelazo pomiędzy białymi krami, wiszą nad nim ciężkie, ciemne chmury, a mgła zasłania horyzont. Tak jakby niebo nie miało już siły trzymać się tak wysoko i postanowiło opaść w dół i przykryć ziemię kocem, jakby chciało jej przypomnieć, że ta podróż jest pomyłką, że przekonanie, iż można na jakiś czas zostawić za sobą świat, było iluzją. Ocean Arktyczny jest częścią, świata. Lodołamacz „Odyn” też do niego należy. Ktoś, kto chce opuścić świat, ma tylko jedną drogę wyjścia.. Jednak o niej obiecała sobie nie myśleć.

- Opanuj się - mówi na głos do siebie samej i przyciska pięści do oczu, trze nimi tak, że czerwona ciemność robi się czarna. Kiedy z powrotem otwiera oczy, dostrzega, że statek musiał się zatrzymać.

146

Jest bardzo cicho, tylko skądś dochodzi stłumiony dźwięk muzyki. Najwyraźniej impreza znowu się rozkręciła. Dobrze. Nie będzie tu siedzieć i wgapiać się w pustkę. Będzie się zachowywać jak normalna osoba, która żyje teraźniejszością. Rozsądna osoba. Zupełnie zwyczajnie. Po prostu uczesze się i znowu zejdzie na dół, żeby spędzać czas z ludźmi. Ponieważ jest jeszcze za wcześnie na spanie i za późno na pracę, i dlatego że jej myśli nieustannie krążą wokół przeszłości.

- Starczy - mówi na głos do siebie samej.

Najwyraźniej właśnie to potrzebowała usłyszeć, bo w następnej chwili jest już pod prysznicem i myje się pod spływającym na nią strumieniem. Potem maluje usta tym, co zostało ze szminki, nie poświęcając nawet jednej myśli temu, kto szminkę złamał, i szczotkuje włosy. Idzie jej to błyskawicznie. Uśmiecha się do swojego odbicia w lustrze, psika perfumami. O, tak. Teraz już wystarczająco dobrze wygląda. Na wypadek gdyby okazało się, że wygląda zbyt dobrze, ma w kieszeni spodni coś, co przypomina sztylet. Ryzyko nie jest duże, ale gdyby...

Susanne zawsze nosi ze sobą sztylet, choć tak naprawdę jest on czymś innym. Ma go, odkąd jako piętnastolatka przeszukiwała trzęsącymi się rękami pokój Bjórna, pokój, który od przeszło pół roku był niezamieszkały. Sztylet leżał w jego czarnej torbie, przeznaczonej na trasy koncertowe. Stała pusta i zakurzona na podłodze w jego szafie. Tego dnia Susanne miała gorączkę i znajdowała się w tym przedziwnym stanie, kiedy skóra wydaje się odstawać centymetr od mięśni i szkieletu. Wszystko wydawało się nierzeczywiste. Jak we śnie.

Potem naprawdę było jak we śnie: po raz pierwszy od wielu miesięcy otworzyła drzwi do pokoju Bjórna i weszła do środka, stała w koszuli nocnej w chłodnym świetle przedpołudnia i rozglądała się dookoła.

147

Minęło parę chwil, zanim zauważyła, że Inez dużo w pokoju zmieniła, przekształciła go w muzeum, raczej licealisty niż idola. Podręczniki leżały w schludnej piramidce na biurku, tak jakby Björn mógł w każdej chwili przyjść i usiąść do lekcji. Na ścianach nie było ani jednego zdjęcia zespołu Typhoons i ani jednego ich albumu na stojaku na płyty. Susanne powoli się odwróciła i odkryła, że stoi naprzeciw szafy na ubrania. Przez sekundę wpatrywała się w jej drzwi, ale w końcu podjęła decyzję, wyciągnęła rękę i przekręciła kluczyk, żeby ją otworzyć.

Było tak, jakby w środku szafy czas płynął jeszcze wolniej. Wisiały w niej trochę podniszczone koszule Bjórna, z czasu, gdy jeszcze chodził do liceum, jego stara marynarka sztruksowa i piękny, czarny sweter z jagnięcej wełny. Na górnej półce leżał biały T-shirt, starannie wyprasowany i tak elegancko poskładany, że wyglądał jak na sprzedaż, obok spoczywały równie olśniewająco białe kalesony, tak samo świeżo wyprasowane i wygładzone. Na podłodze stała jego torba z tras koncertowych, wielka, czarna skórzana torba, która niemal rok stanowiła dla Bjórna ekwiwalent domu. Szczyrzyła swoje srebrne zęby w coś, co wyglądało na szydery uśmiech. Susanne uklękła przed nią, włożyła rękę w otwór i zaczęła grzebać w poszukiwaniu czegoś, czegokolwiek, dzięki czemu Björn stałby się na powrót realny.

Sztylet leżał do połowy wciśnięty pod czarny, tekturowy spód torby. Był bardzo wąski i kiedy po raz pierwszy poczuła czubkami palców chłodną powierzchnię metalu, pomyślała, że to długopis. Zajął jej trochę czasu, żeby go wydobyć i kiedy w końcu się to udało, w pierwszej chwili nie wiedziała co to. Mały metalowy przedmiot, karbowany na niemal całej powierzchni, z niewielkim przyciskiem na samym dole. Nie długopis. Nacisnęła przycisk kciukiem, ale nic się nie stało poza tym, że zrobiła to tak niezdarnie, iż upuściła przedmiot na podłogę. Nic się nie stało. Była w domu sama i nikt nie mógł jej usłyszeć.

148

Jednak i tak szybko podniosła przedmiot, schowała go w dłoni i szybko wróciła do swojego pokoju i swojego łóżka. Przez dłuższą chwilę leżała bez ruchu, czekając, aż ktoś, kto bądź, otworzy drzwi i wskaże na nią oskarżająco palcem, dopiero potem odważyła się otworzyć dłoń i przyjrzeć z bliska temu, co w sobie kryła. Co to w ogóle jest?

Mały kawałek srebrnego, błyszczącego metalu. Karbowanie. Przycisk na samym dole. Nacisnęła go paznokciem, tym razem mocno i zdecydowanie. W tej samej sekundzie wyskoczyła klinga, cienka i wąska,

na wierzchu w paski, z bardzo ostrym czubkiem. Mógłby to być sztylet, gdyby nie fakt, że brakowało mu ostrza. To po prostu pilnik do paznokci, długi pilnik, który wyglądał jak sztylet. Nie, żeby Susanne kiedykolwiek widziała jakiś sztylet. Słyszała tylko o sztyletach i w głowie miała pełno niewyraźnych wyobrażeń i dziwnych skojarzeń. Na przykład Mackie Nożownik. Włoski mafioso. Obraz kogoś, kto przykłada sztylet do brzucha innego człowieka i naciska przycisk...

Ale po co Bjórnowi pilnik wyglądający jak sztylet? Od kogo go dostał? W prezencie od któregoś z fanów? Czy od Evy? Czy wzięła go dla niego ze sklepu? Björn w każdym razie nigdy by go nie kupił. Była tego pewna.

Susanne złożyła ostrze pilnika i zamknęła sztylet w dłoni, a potem włożyła rękę pod poduszkę, położyła się na boku i zamknęła oczy. Nagle pojawił się, stał przed nią w pokoju. Zresztą nie, stał gdzieś na drodze, żwirowej drodze w lesie. Widział ją, widział Susanne tak wyraźnie jak ona jego, uśmiechnął się i pozdrowił ją ręką. Wybaczam ci - mówił tym gestem. - Jesteś moją młodszą siostrzyczką i wybaczam ci...

Przez sekundę Susanne stoi bez ruchu, wpatrując się w swoje odbicie w lustrze, potem krzywi się, odwraca plecami.

149

Co się stało, już się nie odstanie, poza tym to było tak dawno. W innym świecie, tym, którego już nie ma, w świecie, którego większość żyjących dziś ludzi nie może już pamiętać. Byli na to zbyt mali. Albo jeszcze się nie urodzili.

Przyjęcie, właśnie. Miała zejść na dół na przyjęcie.

Jeszcze trochę tańczono, ale zostali już tylko najbardziej wytrwali. Młodzi marynarze i młode badaczki suną po parkiecie z zamkniętymi oczami, mocno przyciśnięci do siebie, ręce oddane pieszczotom. Kilku starych lisów polarnych stoi razem przy barze, Susanne musi lekko zmrużyć oczy, żeby zobaczyć, kim są. Leif Eriksson. Sternik. I Skwaszony Sture. Meteorolog. Na skórzanej kanapie siedzi Lars, jeden z ornitologów. Z nim mogłaby porozmawiać, gdyby nie spał.

Nie. Nie ma tu z kim pogadać. Ona nie ma.

Nie przestępuje progu baru, stoi tylko przez chwilę na korytarzu, a potem odwraca się i odchodzi. Pójdzie do biblioteki, jak dumnie zwie się sześć wypełnionych po brzegi półek z książkami, które są w mesie, poszuka czegoś do czytania. Kiedy mijają palarnię, dochodzą stamtąd jakieś głosy i Susanne ma nawet ochotę zajrzeć do środka, ale, po pierwsze, nie paliła od ośmiu lat, a po drugie...

-Cześć!

Mężczyzna naprzeciwko szeroko się uśmiecha. Odpowiada mu uśmiechem, jednocześnie szukając informacji o tym, kim on jest, we wszystkich zwojach i zakamarkach mózgu. Kim? Naukowcem czy członkiem załogi? Gościem? Nie może znaleźć odpowiedzi.

- Cześć.

- Susanne? Tak?

Susanne kiwa głową bez słowa. Mężczyzna ma siwe włosy i niebieskie oczy, lśniące, niebieskie oczy, które nieco zbyt często mrugają. Zapomniał zapiąć jeden z guzików koszuli, jest lekko uchylona nad brzuchem. Może jest trochę pijany.

150

-Chodź do nas do palarni.

Susanne przepraszająco kręci głową, potem nią lekko kiwa, za głową podąża całe ciało. Próbuje go wyminąć.

-Nie. Nie palę...

Mężczyzna nie odsuwa się, ale w jakiś przedziwny sposób jednak to robi. Blokuje jej drogę. Jest duży i masywny. Musiałaby przywrzeć do ściany, żeby się przecisnąć.

-Pieprzyć to, chodź, mówię.

Obejmuje ją ramieniem i pcha nieco gwałtownie w kierunku drzwi. Susanne błyskawicznie chwytą sztylet w kieszeni, jednocześnie grzecznie uśmiechając się do nieznanego, i wyślizguje się z jego uścisku. Od dawna już nie ma dla niej nic pociągającego i godnego pożądania w rękach obcych facetów przy barze. Jednak mężczyzna za jej plecami łatwo się nie poddaje. Susanne jeszcze nie zdążyła się wyślizgnąć, a on znowu obejmuje ją ramieniem. Przyciska lekko prawą ręką, a lewą rozkłada szeroko, przechodząc z Susanne przez próg:

-To jest Susanne.

W palarni siedzi mała grupka. Dwóch na wpół śpiących chłopaków z maszynowni, każdy na swoim fotelu. W trzecim siedzi Sofia z mesy na kolanach swego odwiecznego towarzysza, Martina. Na jednej sofie para młodych amerykańskich doktorantów. Na drugiej Vincent, mechanik na statku, stary mężczyzna, od kilku lat w wieku emerytalnym.

-Cześć, Susanne - mówi.

Susanne kiwa głową z uśmiechem, przesuując jednocześnie wzrokiem po pokoju. Nie była tu wcześniej, sam smród powodował, że szybko omijała to miejsce, ale teraz okno jest szeroko otwarte i smród zamienił się w zapach. Naprawdę ładny zapach. Pokój wygląda przyjemnie. Przytulnie. Domowo. Oczywiście z wyjątkiem przepelnionych popielniczek.

151

- Move - zwraca się jej towarzysz do pary amerykańskich doktorantów, którzy szybko się przesuują. Susanne wślizguje się obok nich z przepraszającym uśmiechem, mężczyzna zaś rozpycha się tak, że muszą

się posunąć jeszcze odrobinę.

- Może wiecie, dlaczego się zatrzymaliśmy? - pyta Susanne.

- Pilot lodowcowy - mówi mężczyzna obok. - Ma wejść na pokład jutro...

-Z Resolute - dodaje Martin.

Susanne przytakuje w milczeniu. Mężczyzna powoli przytka w pudełko i wysuwa z niego papierosa, a potem wyciąga w jej kierunku - gest jak z reklamówki zrobionej w latach sześćdziesiątych - Susanne patrzy, jak jej własna ręka sięga po papierosa. Kiedy wkłada go do ust, w całym ciele czuje przyjemne łaskotanie, setki tysięcy, nie, miliony neuronów przeciągają się i, rozbudzone, rozglądają dookoła - Nikotyna? To naprawdę nikotyna? - a ona pochyla się do przodu i pozwala, by bezimienny zapalił. Och.

Rozkosz otwiera się w niej jak wachlarz. Susanne zamyka oczy. Ależ chciało jej się palić. Przez osiem długich lat marzyła o papierosie. I nie miała o tym pojęcia.

-Zdecydowana - mówi mężczyzna obok.

- Co?

To jest Sofia. To musi być Sofia, wie o tym, chociaż nie może jej widzieć. Jeszcze podczas jednego zaciągnięcia nie otworzy oczu. Potem weźmie sobie kieliszek wina z baru.

-Resolute znaczy zdecydowana albo zdecydowany. A to Martin. Susanne otwiera oczy i widzi go. Jest.

taki ładny. Oliwkowa skóra. Brązowe oczy. Sofia chwyta jej spojrzenie.

152

- Co ci jest?

- Nic. Poza tym, że od ośmiu lat nie paliłam. Zamyka oczy i zaciąga się po raz trzeci. Nieco inne

doznanie: rozkosz jest głębsza, ale smak tytoniu wywołuje jednocześnie lekkie mdłości, które szybko wirują w brzuchu. Nie ma się czym przejmować.

-Naprawdę?

Mężczyzna obok niej kładzie ramię na oparciu za jej plecami. Pozwala mu na to. Czemu nie?

- Tak, naprawdę.

- O Boże, gdybym wiedział, to...

Susanne otwiera oczy i uśmiecha się do niego.

- Nie martw się. Wypalę tylko tego jednego.

- Na pewno?

- Na pewno. I może jeszcze jednego. Mężczyzna wybucha śmiechem i potrząsa głową.

Susanne uśmiecha się szerzej. Gdzieś w jej głowie przykucnęła mała kobieta, która właśnie ma wstać i zaprotestować. Palenie jest zabójcze! Susanne popycha ją i kobieta przewraca się. No i co? Gdziekolwiek byśmy szli, idziemy ku śmierci, a skoro jeden papieros sprawił, że poczuła się taka lekka i szczęśliwa, że zapomniała o sobie i swoim życiu, to o ileż będzie szczęśliwsza, gdy już wypali dwadzieścia? Albo dwadzieścia tysięcy?

-Czy ktoś ma na coś ochotę?

To Vincent, uniósł się do połowy i chwycił swoją pustą szklanę po piwie.

-Tak - odpowiada Susanne. - Kieliszek białego wina.

Po jego odejściu robi się cicho i tak jest dobrze. Ciało Potrzebuje czasu na rozkoszowanie się, jest teraz całkowicie odprężone, skóra - gładka jak znoszona rękawiczka, a muskuły ciepłe i ciężkie od krwi. Przechyla się do tyłu i opiera kark na ramieniu obcego mężczyzny.

153

Przelatuje jej przez głowę myśl: Czasami ktoś wchodzi do mojej kajuty. Czy to może być on? Rozpatruje to bez lęku. A gdyby tak było? Co może na to poradzić?

-Tu - mówi Vincent, stawiając przed nią kieliszek. Susanne prostuje plecy.

- Zapisaleś je na mój rachunek?

- Oczywiście. Nie ma problemu.

Susanne kiwa głową bez słowa, unosi kieliszek i pije, rozglądając się dookoła. Obaj chłopcy z maszynowni na dobre zasnęli, siedzą ze zwieszonymi głowami, jednemu ręce dyndają po dwóch stronach fotela. Para amerykańskich doktorantów pali w milczeniu. Martin i Sofia wygrzebują się ze swojego fotela, Susanne przygląda im się i ostatni raz zaciąga, a potem podnosi rękę w geście pożegnania.

-Och - mówi, wyciągając rękę, żeby zdusić papierosa. - Nie miałam pojęcia.

Mężczyzna obok niej pali wolniej, ale naśladuje jej ruch, wyciąga się nad stołem i gasi swojego na wpół wypalonego papierosa. Jest teraz poważny.

- Nie miałaś pojęcia o czym?

- Że tak tęskniłam za paleniem.

- Gdybym wiedział, nigdy bym...

Susanne odsuwa się trochę, dokłada jeszcze jeden decymetr powietrza pomiędzy nimi.

-Częstowano mnie już wcześniej papierosami. Zawsze odmawiałam. Ale teraz poczęstowałam się.

Na chwilę zapada cisza, siedzą bez ruchu na kanapie obok siebie. Jego lewa ręka nadal obejmuje z tyłu Susanne, ale ona już się na niej nie opiera, odwrócona studiuje jego twarz. Ma grubo ciosany profil, szeroki, tępy nos i zaokrągloną, zdecydowaną brodę. Na początku nic nie zauważa, siedzi bez ruchu, patrząc przed siebie.

154

Nagle ona lekko się porusza, a wtedy on odwraca głowę i kieruje na nią wzrok, przygląda się jej tak długo, aż Susanne w końcu ucieka spojrzeniem.

-Wyjdziemy na pokład? - pyta mężczyzna.

Na zewnątrz jest już noc. Szara jak zmierzch noc polarna. Powoli obchodzą statek z suwakami podciągniętymi niemal do brody i rękami wciśniętymi głęboko w kieszenie kurtek. Jest bardzo cicho, z wyjątkiem słabych dźwięków, które od czasu do czasu dobiegają z baru.

Teraz już wie, jak on się nazywa. John Nordstrom. Kiedy weszła do swojej kajuty, żeby założyć kurtkę, zerknęła do zestawu zdjęć, który starannie włożyła do teczki wraz z informacjami, jakie wszyscy otrzymali na temat statku. Był tam. John Nordstrom. Profesor uniwersytetu w Góteborgu. Dwa lata od niej młodszy.

Idą w tym samym rytmie, ale z półmetrowym odstępem od siebie. Ich gumowe podeszwy odbijają się głucho od pokładu. Puchowe kurтки szeleszczą, kiedy ramiona przesuwają się do przodu.

-Mam wrażenie, jakbym cię znał - mówi nagle John. Susanne odwraca się do niego i analizuje jego profil. Powinien się ostrzyć, gęste, siwe włosy rozcapierzają się nad kołnierzem.

-Naprawdę?

John zerka na nią i uśmiecha się.

-Lubię kryminały.

Aha. Susanne kiwa głową.

- To rozumiem.

- Zwłaszcza twoje.

Susanne uśmiecha się najsympatyczniejszym z uśmiechów. Uśmiechem zawodowym.

- Dziękuję. Miło słyszeć.

Znowu zapada cisza. Susanne zastanawia się, co powiedzieć. Odchrząkuje:

155

-A ty?

John nie odpowiada, chwilę idą obok siebie w milczeniu.

-Powinnaś napisać coś innego - mówi nagle John. Susanne zatrzymuje się w pół kroku, wciąga powietrze i znowu zaczyna iść.

-Ach, tak.

Sama słyszy, jak brzmi. Kwaśno.

- Coś, co niekoniecznie jest kryminałem...

- Przed chwilą mówiłeś, że lubisz kryminały.

- Nie tylko.

John przystanął i szuka w kieszeniach swoich papierosów, patrzy przy tym na lód i wodę za burtą. Susanne śledzi wzrokiem jego ruchy, czując, jak wszystko w niej rwie się do nikotyny. Mogłaby skończyć z tym jutro. Tak, Zrobi to. Ale teraz zapali, teraz łapie gorliwie papierosa z paczki, którą podaje jej John.

-Tak - mówi, przypalając jej papierosa. - Coś innego. Susanne czuje ukłucie irytacji

-Odwal się już! - ale przełyka to z pierwszym zaciągnięciem się. Nie czuje smaku tytoniu. Dziwne.

-Zobaczymy - odpowiada dyplomatycznie i robi krok w przód. Wprowadzie ostrożny, ale jednak krok. John stoi przez kilka sekund bez ruchu i patrzy na szarość wokół nich, ale potem podąża za nią.

-Jak to się stało, że tu jesteś? Susanne wzrusza ramionami, nie ma ochoty nic mu opowiadać, zwłaszcza o Elsie, kobiecie, która wybrała morze.

-Ubiegałam się o miejsce w programie dla artystów I dostałam się. Po prostu.

Rzuca mu szybkie spojrzenie. John kiwa głową.

-A więc teraz będzie kryminał na pokładzie „Odyna”?

156

Poczuła, jak przeszywa ją irytacja. Cholerny facet! Czemu nie może przestać głądzić?

Doszli już do schodów na przedni pokład i Susanne przeciska się do przodu, żeby móc odwrócić się do niego plecami. Wypali tylko i wróci do swojej kajuty. A jutro i każdego następnego dnia będzie pilnowała, żeby trzymać się od niego z daleka. Kupi sobie własne papierosy. Nigdy nie usiądzie przy jego stoliku w mesie. Będzie tylko kiwać do niego głową i uśmiechać się na odległość.

Mężczyzna powoli idzie za nią pod górę, ale nagle się zatrzymuje. Mija sekunda, nim Susanne pojmuje dlaczego. Cisza. Przez chwilę świat wokół nich staje się całkowicie cichy, żadnego dźwięku

silników, żadnej muzyki, żadnych odgłosów wiatru ani wody, a potem cichy basowy dźwięk przebija się do nich z baru i sprawia, że John znowu rusza.

-Słyszałaś? - pyta.

Susanne kiwa głową, ale nie odpowiada. John zdaje się tego nie zauważać, przeskakuje tylko co drugi schodek i zaraz jest już obok niej na przednim pokładzie.

- To nie zdarza się często - mówi z uśmiechem.

- Nie - odpowiada Susanne.

Na pokładzie jest teraz pusto, ale w laboratorium pali się światło. Ktoś porusza się w środku. Pewnie jakiś doktorant, zbyt nieśmiały lub zbyt ambitny, by bawić się teraz na dole w barze. Kiedy dochodzą do dziobu, stają kawałek od siebie po dwóch stronach schodków.

-Ostatni wolny wieczór - mówi po chwili John.

Susanne kiwa głową, ale nie patrzy na niego, odwraca wzrok w stronę głębokiego cienia na horyzoncie. Na pewno jakaś wyspa. Z małymi, białymi sześcianami na brzegu. To muszą być domy. Może duże domy. Jak stodoły. Albo małe. Jak domki w ogródkach działkowych w Landskronie. Nie da się powiedzieć.

157

Zbyt duża odległość i nie ma niczego, z czym można by je porównać. Nawet drzewa. Ani krzaka. John dalej gada:

-Od jutra muszę przez całą dobę sprawdzać komputer.

Susanne nie może się powstrzymać od zachnięcia:

-Tego się nie da zrobić. Wtedy on odwraca się do niej i uśmiecha.

-Nie. Mam kilku doktorantów. Będziemy pracować na zmianę.

Susanne rzuca mu spojrzenie.

-Co to za komputer

-Komputer dna. Tak można go określić. Będę robił mapy dna w Cieśninie Peela albo Cieśninie Melville'a, Zależnie od tego, jak popłyniemy. Tak naprawdę tylko po to, żeby przetestować sprzęt. Ważne będą mapy w okolicach Grzbietu Łomonosowa.

Susanne odwraca się do niego, jest roztargniona.

- Chciałabym to zobaczyć.

- Jasne.

John kiwa głową i przysuwa się do niej, a potem wyrzuca niedopałek do oceanu. Pet najpierw unosi się na wodzie, a potem znika pod krą. Susanne próbuje powrócić do swojej irytacji, ale bezskutecznie. Mimo to robi krok w bok, żeby zwiększyć odstęp pomiędzy nimi, przygląda się niedopałkowi w dłoni. Jeszcze jedno zaciągnięcie. Albo dwa. Potem wrzuci go do morza; tego metalicznie szarego morza z białymi krami lodu, będzie spadał setki, a może tysiące metrów w dół, aż dosięgnie dna, o którym Susanne nie wie nic. Może jest tam żwir. Lub piach. Albo zupełnie inny świat, pełen roślin i istot, których nigdy nie widział żaden człowiek. Przezroczywych. Świecących. Galaretowatych. Istot z wielkimi paszczami, których jedyną funkcją jest jedzenie aż do chwili, w której same zostaną zjedzone.

158

Małe, czerwone, podobne do robaków istoty, które w ciągu milionów lat nie zdecydowały, czy są roślinami, czy zwierzętami. Ciemnoniebieskie meduzy, które podróżują w ciemności, świecąc jak małe latarnie morskie.

-Patrz - mówi nagle John. - Widzisz? -Co?

-Latarkę. Ktoś idzie z latarką. Tam na wyspie.

Susanne patrzy na wyspę. Latarka jest bardzo wyraźna, widać, jak chybotrze się w czymś, co musi być ludzką ręką. Jednak człowieka, który ją niesie, nie widać. Jedynie małe światełko pełgające przy brzegu. Na tej wyspie nie ma żadnego życia. Z wyjątkiem ludzi, rzecz jasna. Małej grupy Inuitów, którzy żyją w wiosce pośrodku pustki. W osadzie o nazwie Zdecydowanie. Resolute.

Susanne i John stoją oniemiały i patrzą na poruszające się światełko, śledzą jego wędrówkę przez szary zmierzch, w dół, aż do ciemnego brzegu. Widzą, jak ślizga się w tę i z powrotem na skraju wody, po to, by później znowu bujać się pod górę. I nagle zniknąć.

Susanne odwraca się i patrzy na Johna, a on czuje jej spojrzenie i wychodzi mu naprzeciw. Pojawia się myśl, która być może przelatuje im przez głowy w tej samej chwili. Co ja tu robię z tym obcym człowiekiem?

Oboje bezwiednie robią krok w tył. Susanne wkłada ręce w rękawy kurtki. John zaciąga zapięty już suwak, jakby chciał się upewnić, że jego gardło jest niewidoczne. Susanne uśmiecha się przelotnie.

-No - mówi, przestępując z nogi na nogę. - Już czas, żeby się położyć. Dzięki za towarzystwo.

John ma rozbiegane oczy.

-To ja dziękuję - odpowiada po chwili. - Dobranoc.

159

Anders budzi się, zasypia i znowu się budzi. Może dlatego, że nie jest w kajucie sam, obok niego leży inny człowiek na koi dla chorych. Anders unosi się do połowy, opiera na łokciu i zerka przez podciągniętą do

góry kratę. Robert nadal śpi. Wygląda, jakby śnił, oczy poruszają mu się szybko pod powiekami, podnosi zranioną rękę, trzyma ją decymetr nad poduszką, i potem opuszcza. Może dokucza mu ból. Anders rzuca okiem na zegarek. Wpół do piątej. Znieczulenie przestaje pewnie działać. Kac też nabiera mocy.

Anders wygładza poduszkę i znowu się kładzie, zamyka oczy i próbuje zasnąć. Nie udaje się. Zmienia pozycję. Znowu próbuje, wysila się, żeby wyrzucić z głowy wszystkie myśli, ale jest to oczywiście niemożliwe, bo pod tymi na powierzchni są też inne myśli, pozbawione słów obrazy, które wirują w głowie - Uśmiech Evy kiedyś, gdy byli młodzi, jej szyderczy śmiech, jej plecy i szyja - nie chce ich widzieć ani pamiętać. Anders przekręca się na plecy i zaczyna liczyć od tyłu, od tysiąca w dół, ale poddaje się już w okolicy ośmiuset pięćdziesięciu. Nie ma szans, żeby zasnąć. Otwiera oczy i patrzy w sufit. Nie jest zmęczony, już nie. Może to cisza nie daje mu zasnąć. Statek nadal stoi i nie słychać żadnych dźwięków. Muzyka w barze nareszcie ucichła. Wszyscy śpią. - Och - mówi Robert zupełnie czystym głosem, ten jest znacznie wyższy niż głos, którym zwykł mówić na jawie. - Oooch! Anders od razu zrywa się na nogi, ale w chwili, w której pochyla się nad łóżkiem, widzi, że Robert śpi tak mocno jak wcześniej.

160

Anders siada na swojej koi i zostaje już w tej pozycji, lekko pociera twarz, a potem obejmuje się ramionami. W kajucie jest zimno, dużo zimniej niż wczoraj. Za oknem świat nadal szary od mgły. Anders wstaje i podchodzi do szafy, bardzo cicho ją otwiera, zakłada szlafrok i skarpetki, a potem stoi z rękami w kieszeniach. Co ma teraz robić? Książka, którą wczoraj wziął z biblioteki na dole, okazała się niezmiernie nudna. Pozostaje komputer. Może mógłby wystać mejla. Do kogoś... Kogokolwiek.

Bardzo ostrożnie poluźnia gumkę, która utrzymuje krzesło na miejscu przy stole, i porządnie ją odciąga, żeby nie było słychać, jak ją zdejmuje, a potem siada i otwiera laptopa. Pamięta nawet o tym, że najpierw musi wyłączyć dźwięk. Dziwne uczucie, gdy skrzynka mejlowa bezdźwięcznie się otwiera. Tak jakby nie działo się to naprawdę.

Jednak oczywiście dzieje się. Ma trzy nowe wiadomości. Jedną od siostry. I dwie od Bengta Bengtssona. Pochyla się niżej nad ekranem, zamyka oczy i pociera czoło, ale po ich otwarciu fakt pozostaje faktem. Dostał trzy maile. W tym dwa od Bengta Bengtssona. Żaden nie ma tytułu.

Opierając się na krześle, próbuje odzyskać równowagę, zamyka i otwiera oczy. Nic nie pomaga. Imię łączy się z twarzą. Bengt Bengtsson. Mężczyzna, który kiedyś opuścił Landskronę biedny jak mysz kościelna, a teraz wrócił zamożniejszy niż ktokolwiek inny. Mężczyzna, który kupił największy z wielkich starych domów w alei Strandvägen, zdemontował cały jego środek i kazał zbudować od początku, a do tego dostał pozwolenie na zbudowanie krytego basenu zaledwie kilka metrów od brzegu cieśniny Oresund. Mężczyzna, który przez ponad rok miał romans z Evą. Mężczyzna, który teraz z nią mieszka. Całkowicie oficjalnie. Na oczach wszystkich. Mężczyzna, który upokorzył...

161

Bzdury. Anders mruga i prostuje plecy. Nie pomyślał o tamtym facecie ani razu, odkąd wszedł na pokład, wymazał go, deportował ze swojego mózgu i zamierza się tego trzymać. A Eva? Tak naprawdę to jest zadowolony, że się jej pozbył. Przynajmniej zazwyczaj tak czuje. Pochyla się jeszcze bardziej nad

ekranem i czyta mejla od siostry:

Hej, Bracie,

Przykro mi, że muszę Ci znowu zawracać głowę, ale chciałam Cię tylko poinformować, że przed chwilą dzwoniła Eva i żądała, żebyś powiedział jej, gdzie jesteś. Powiedziała mi, że zdecydowaliście się na separację. Dość ostrym tonem, że tak powiem. Co się stało? Dałam jej Twój adres mejlowy. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu. Dbaj o siebie i odezwij się, jak będziesz mógł.

Lisbeth

Aha. To nieco wyjaśnia. Z tyłu znowu jęczy Robert, ale Anders nie odwraca się, żeby na niego spojrzeć, klika tylko linijkę niżej.

Drogi Andersie,

Dostałam ten adres od Twojej siostry. Gdzie Ty się w ogóle podziewasz? Kiedy wracasz do domu? Są rzeczy, o których powinniśmy porozmawiać. Byłabym wdzięczna, gdybyś mógł zadzwonić do mnie, najszybciej jak to będzie możliwe. Albo odpowiedz na ten mejl. Albo chociaż prześlij mi numer telefonu, pod którym można cię złapać. To ważne! Nie wszystko jest takie, jakie może się wydawać.

Z serdecznymi pozdrowieniami,

Eva

Robert znowu pojękuje. Anders wstaje bez namysłu i podchodzi do jego łóżka. Robert nadal śpi, choć białe światło poranka z wywietrznika kajuty pada prosto na dolną część jego twarzy.

162

Ma bladą skórę, a szyja wydaje się ziarnista. Tak. Anders przytakuje sam sobie jak dorosły który w ten sposób chwali dziecko. Dobrze to ujął. Kasza. Wygląda, jakby ktoś usiadł i wszył tysiące małych ziaren - kaszy palmowej albo ryżu - w białą skórę na zarośniętej brodzie Roberta. To zapewne wiek. Może sam ma identyczne ziarna pod brodą przy odpowiednim oświetleniu. Anders zaszuwa firankę i jeszcze raz przygląda się Robertowi. Biała skóra zrobiła się różowa od koloru zastony. I zniknęły ziarenka. Niemal całkowicie.

Anders wraca do komputera i klika na kolejną linijkę.

Anders! Dlaczego nie odpowiadasz? Wysłałam do Ciebie mejla już parę godzin temu, a Ty nadal nie odpisałeś. Mam nadzieję, że wszystko u Ciebie dobrze...

Anders mimowolnie zerka na zegarek. Za dziesięć piąta. Co ona sobie wyobraża? Że siedzi nocami przy komputerze, czekając na jej mejle?

...i nie myślisz, że chcę Ci sprawić jakiś kłopot. Nie jest tak. Zdecydowanie nie. Uważam tylko, że powinniśmy wszystko przedyskutować, zanim zrobimy coś ostatecznego. Żyliśmy w końcu razem ponad dwadzieścia pięć lat i nie chcę, żebyśmy stali się wrogami. Albo nieprzyjaciółmi. Chcę, żebyśmy się przyjaźnili, żebyśmy ze sobą rozmawiali jak ludzie rozsądni i żebyśmy naprawdę mówili o tym, co nam leży na sercu.

Twoja Eva

Anders odchyła się na krześle, patrzy w ścianę i przejeżdża ręką po brodzie. Musi się ogolić. O tym myśli. To Jedyna rzecz, o której ma w tej chwili siłę myśleć.

Po jakimś czasie wyłącza komputer, zamyka go. Wstaje.

163

Bezgłośnie wsuwa krzesło pod biurko i przymocowuje je do niego, a potem stoi w nogach łóżka dla chorych i znowu patrzy przed siebie, próbując pozbiierać myśli.

Co to miał zrobić?

Ogolić się.

Właśnie tak.

Za chwilę Anders stoi pod prysznicem i patrzy sobie w oczy. Spojrzenie jest takie jak zawsze, można ewentualnie powiedzieć, że ma nieco zbyt duże źrenice. Nie ma w tym nic dziwnego, jeśli wziąć pod uwagę, jaki mrok panuje w kajucie. Anders ma wrażenie, że jego źrenice pod wpływem światła lampy łazienkowej kurczą się i z każdą sekundą stają się mniejsze o ułamek milimetra, Nie. Trzeba wziąć się w garść. Anders sięga po spray z pianką do golenia i oddychając głęboko, wypryskuje ją na rękę. A więc odezwała się. Po - ile to było? - przeszło czterech tygodniach wreszcie się odezwała. Wspaniale. Tamtego dnia wrócił do domu, w którym były cztery puste szafy, pusty kredens - nawet nie pamiętał, co w nim wcześniej było - i salon bez obrazów. Najpierw pomyślał, że to włamanie. Ale był idiotą! Biegał w kółko, wykrzykując jej imię, śmiertelnie przerażony, że znajdzie ją gdzieś zranioną lub martwą. Tak. Pamięta, co sobie wyobrażał, równie dobrze jak to, co naprawdę się stało: obraz w jego głowie, kiedy sięgał ręką do klamki drzwi łazienkowych, widział to, co ujrzy po otwarciu - Eva na podłodze w kałuży krwi! - i swoje

zdumienie, swoje całkowicie porażające zdziwienie, kiedy już otworzył drzwi i zobaczył, że łazienka jest pusta. Pamięta nawet, jak musiał parę razy zamrużyć, żeby upewnić się, że naprawdę jej tam nie ma, że nie leży na kafelkowej podłodze w niebiesko-białą kratę i nie wpatruje się w sufit niewidzącymi oczyma... Zawód!

164

Słowo przelatuje mu błyskawicznie przez głowę, ono wstrzymuje go w momencie, gdy ma rozprościć piankę do golenia na policzkach. Widzi się w lustrze, jak stoi z uniesioną ręką, i nagle ucieka przed własnym wzrokiem.

Pieprzyć to. Postanawia się nie dać, wychodzi swojemu spojrzeniu naprzeciw. A jeśli tak było? Kto mógłby go oskarżać? Nikt. Absolutnie nikt. Bez względu na to, co czuł w tamtej krótkiej chwili, minęło to szybko, bardzo szybko. Właśnie wtedy, w tamtej chwili, w łazience, zrozumiał. Otworzył szafkę i zobaczył, że jej półki są puste. Opróżnione. Zniknęły wszystkie tubki i słoiczki, został tylko powycierany kubek do zębów, kubek, który Anders wyjął i obejrzał po to tylko, by zobaczyć szary osad na jego dnie. Ohydny, szary osad, który stanowił kontrast dla wszystkiego innego w łazience, dla tego błyszczącego, lśniącego na niebiesko pomieszczenia. Wpatrywał się w ten kubek, a potem usiadł na sedesie. Eva!

Na stole w kuchni leżał list. Czy raczej kartka. Zaledwie kilka linijek, słowa, których teraz nie mógł sobie przypomnieć, słowa, których w ogóle nigdy sobie nie przypomni, ponieważ zmiął i wyrzucił kartkę natychmiast po przeczytaniu. Była zbyt odpychająca, pełna komunałów rodem z prasy plotkarskiej. Zapamiętał imię Bengta Bengtssona. I że wszystko to jego вина. Że musiała znaleźć miłość...

Anders wykrzywia się do swojego odbicia. Kurna. Uch. Nie chce myśleć o tamtej kartce i o tym, jak się potem zachowywał. Jak się niemal popłakał. Jak wydzwaniał na jej komórkę, która była cały czas wyłączona. Jak przez parę dni pomiędzy wizytami swoich pacjentów dzwonił na domowy telefon Bengta Bengtssona, zawsze za dnia, nigdy wieczorem, jakby miał powody obawiać się tego fircyka, jakby to on sam był kochankiem, a Bengt Bengtsson skrzywdzonym prawowitym małżonkiem,

i jak Eva, kiedy tylko usłyszała, że to on, za każdym razem odkładała słuchawkę...

165

A teraz pisze. I chce porozmawiać. Chce, żeby pozostali przyjaciółmi.

Dzięki. Piekielne dzięki. Anders napina szyję i pozwala ostrzu ślizgać się po zaroście, rozkoszuje się uczuciem czystości, które przychodzi po każdym posunięciu. Zna jej metody działania, dokładnie wie, jak bardzo jest gotowa okłamywać samą siebie i wszystkich innych, Przez niemal trzydzieści pięć lat żył z nią i jej kłamstwami i ma już dość, usłyszał wystarczająco dużo kłamstw na całe życie. Chociażby kwestia czasu. Zawsze kłamała na ten temat, jakby nie była zdolna przyznać przed sobą samą, że czas płynie w tym, a nie innym rytmie. Nie żyli ze sobą dwadzieścia pięć lat. Żyli razem trzydzieści jeden lat, a więc bliżej trzydziestemu pięciu niż dwudziestemu pięciu, a małżeństwem są od lat trzydziestu. W rzeczy samej ich trzydziesta rocznica ślubu wypadła jakiś miesiąc przed jej odejściem i tamten dzień, nie, tamta noc,

Anders opuszcza maszynkę do golenia i opiera się o zlew. Tylko spokojnie. Nie oddychać za szybko. Chłodno analizować, spróbować zrozumieć, co ona tak naprawdę napisała. Nie wszystko jest takie, jakim może się wydawać. No nie. I co to ma znaczyć? nie mieszka z Bengtem Bengtssonem? Czego ona chce. Tak naprawdę?

Odpowiedź jest oczywista. Chce mieć ich obu, Andersa i Bengta Bengtssona. Chce, żeby Anders pozostawał w marginesie jej życia, zawsze gotów, żeby pocieszyć i zrozumieć, gdyby zdarzyło się tak, że akurat Bengt Bengtsson nie będzie gotów tego zrobić. Albo może chciałaby zachować go jako symbol statusu - Mój były mąż! - na swoich proszonych obiadach na Strandvägen. Przez sekundę przed oczami - Eva, w swoim nowo urządzonym salonie, przytula się do Bengta Bengtssona, pozwala, by obejmował ją w pasie, po czym uśmiecha się do swoich gości, zwłaszcza do Andersa, który stoi obok całej grupki, usiłując zachować kontrolę nad swoją twarzą.

166

Oczywiście. Tego by chciała. Anders może nawet usłyszeć uśmiech w jej głosie: Mój mąż i mój były mąż. Jesteśmy wszyscy dobrymi przyjaciółmi, cała trójka!

Nie. Anders prostuje się i patrzy w lustro. Tak nie będzie. Nie pozwoli, by tak było.

- Nie - mówi na głos do siebie. - Nigdy.

167

Apatyczny poranek i jeszcze bardziej gnuśne przedpołudnie.

Niewesoły nastrój udziela się wszystkim już podczas śniadania. Przy stole załogi od samego początku panuje cisza i lekko kwaśny nastrój, sytuacja nie poprawia się, kiedy pojawiają się lekko skacowani naukowcy. Niektórzy z nich nawet się nie witają, wystarcza wymiana spojrzeń. Nawet jeśli nikt nie wypowiada tego na głos to wystarcza sama wymiana spojrzeń. Młodszy naukowcy łykają jedynie trochę kawy, niektórzy dlatego, że jest im nieco niedobrze, inni, bo po nocy wypełnionej miłością są lżejsi od powietrza. Wszyscy się niecierpliwią. Chcą jak najszybciej wyjść na pokład i wziąć rozetę, podczas gdy starsi usiłują nie pokazywać, jak ograniczony jest ich entuzjazm. Wiedzą to, czego nie wiedzą młodszy: dzisiejsze pobieranie próbek ma przede wszystkim wartość pedagogiczną. Jednak nikt nie ma siły powiedzieć tego na głos. Siedzą jedynie nieco dłużej niż zwykle nad swoją kawą, wystarczająco długo, by niecierpliwość młodszych kolegów zamieniła się w nieskrywaną irytację. W końcu wstają i zaczynają wychodzić z mesy, jednak zanim uda im się to zrobić, już podążają za nimi dziennikarze telewizyjni i część gości.

Kiedy Anders schodzi na śniadanie, w jadalni jest niemal pusto. Przy stole załogi siedzi tylko dwóch nadętych marynarzy, a przy innym samotna Susanne. Skończyły się już jajka, na samym dnie garnka została tylko odrobina kaszy manny. Anders wyskrobuje, ile mu się uda, dokładnie chleba i sera, a potem, z westchnieniem dosiada się do stołu Susanne.

168

Wybiera sobie starannie miejsce: plecami do rufy, bo Susanne siedzi plecami do dziobu, ale nie naprzeciwko niej, raczej na skos. Może zrozumie, że oznacza to, iż Anders nie ma ochoty na rozmowy.

-Dzień dobry - mówi jednak, próbując wyglądać na sympatyczniejszego, niż sam się czuje.

Susanne podnosi oczy do góry i mruga, jakby dopiero teraz zauważyła jego obecność.

-Dobry, dobry - odpowiada.

Na chwilę zapada cisza. Anders koncentruje się na swojej kaszy, za wszelką cenę chce uniknąć myślenia na temat, o którym nie może przestać myśleć. Eva i jej mejl. Nie odpowiedział na niego. Przechodząc obok kajuty z telefonem satelitarnym, nieco zwolnił kroku, ale jednak się nie zatrzymał. Powstrzymał się od wejścia i wykręcenia jej numeru. Po raz pierwszy. To absolutnie pierwszy raz w ciągu niemal trzydziestu pięciu lat, kiedy Anders nie odezwał się, po tym jak Eva prosiła go, żeby to zrobił. Jest wprawdzie dopiero wpół do dziesiątej, ale Anders wie, że tak już zostanie. Nie odpowie na mejla Evy i nie zadzwoni do niej. Nie dziś. Może także nie jutro. Może już nigdy.

Dzięki temu czuje się zadowolony z siebie. Ale jest | też trochę niespokojny. Jak będzie wyglądało jego życie bez Evy? Co sprawia, że bez niej czuje się tak pusty? Dlaczego nie miałby pożyc sam? Albo nawet z kimś innym?

Nie. Nie będzie o tym myślał. Musi pomyśleć o czymś innym.. Tu i teraz.

Susanne nie pomaga mu. Siedzi niema, z kubkiem w dłoniach, i patrzy w dal. To Anders odsuwa w końcu talerz, sięga po kubek z kawą i rozpoczyna konwersację.

Gdzie się wszyscy podziali?

169

Susanne znowu mruga i spogląda na niego trochę zdziwiona, jakby zapomniała, że Anders siedzi tuż obok niej.

-Wyszli na pokład. Przygotowują rozetę, tak mi się wydaje.

Anders podniósł już kubek, ale zatrzymuje go w pół drogi.

-Rozetę?

Susanne uśmiecha się lekko.

-Próbki wody. Mają taki przyrząd, który spuszcza do morza, żeby pobrać próbki, kiedy stoimy. Nazywa się to rozeta.

Anders krzywi się:

-Dlaczego? Myślałem, że przez cały czas pompują wodę do laboratorium...

Susanne przytakuje.

-Też. Ale to coś innego. Pobierają próbki na różnych poziomach morza. Będą sprawdzać zawartość soli, temperaturę i tak dalej. Nie wiem dokładnie. Powtarzam tylko to, co mówiła Ulrika. Chyba nie wszystko zrozumiałam.

Susanne odstawia na bok kubek i odwraca wzrok. Jednak Anders nie poddaje się:

- Dlaczego nazywają to rozetą? Susanne zerka na niego:

- Nie wiem.

Na chwilę zapada cisza, oboje odwracają wzrok.

-Jak się ma twój pacjent? - pyta w końcu Susanne. Anders odpowiada wzruszeniem ramion:

-Kiepsko. Obudził się przed chwilą i było mu dość niedobrze.

-Kac.

To nie pytanie, tylko stwierdzenie faktu.

- No tak. Oczywiście też go boli. Ręka.

- Tak. Wyobrażam sobie.

-Chociaż położył się już w swojej kajucie.

-Aha.

Nie wydaje się specjalnie zainteresowana, znowu zapada cisza. Na chwilę Anders przypomina sobie, że Susanne jest siostrą Bjórna Hallgrena i pospiesznie usiłuje dojść, czy powinien ją o to spytać. Może ona to wyczuwa i chce go uprzedzić. Nagle wstaje i idzie do stolika z kawą, powoli napełnia swój kubek i znowu wraca.

-Bardzo pięknie to brzmiało - mówi potem. Anders podnosi oczy, przygląda się jej. Wygląda dziś inaczej. Błyszczą jej oczy. Ma trochę zaróżowione policzki, nie bardzo, ale wystarczająco, by nie wyglądać na tak przytłoczoną problemami.

-Co?

-Kiedy Ulrika opowiadała o różnych poziomach oceanu. Tak jakby ocean miał w sobie wiele mórz, każde z innym poziomem zasolenia i inną temperaturą. Tak jakby woda ułożona była warstwami i udawała, że jest czymś innym. Metalem. Albo płynną warstwą skalną.

Susanne milknie i wygląda na trochę zawstydzoną, a potem gwałtownie podnosi kubek i wypija kilka

łków. Anders odwraca wzrok, nie chce sprawić, by poczuła się jeszcze gorzej.

- Piękna myśl - mówi.

- Tak - mówi Susanne i nagle uśmiecha się, patrząc prosto na niego. - To naprawdę piękna myśl.

Świat na zewnątrz nadal jest spowity mgłą, ale teraz w dziennym, białym odcieniu. Mimo to mgła wydaje się gęstsza niż nocą. Nie widać horyzontu ani morza dalej niż na odległość kilku metrów wokół statku.

Na tylnym pokładzie na wysokim rusztowaniu zawisł majtek, który usiłuje umocować łańcuch - będzie utrzymywał rozetę. To nie takie proste.

171

Ulrika stoi na dole, wykrzykuje instrukcje i macha rękami, a wszyscy pozostali naukowcy zachowują pełen szacunku dystans, aż do momentu, w którym łańcuch jest przymocowany i porządnie napięty. Wtedy wszyscy pędzą przed siebie, każdy do swoich butelek.

John stoi z boku i wszystko obserwuje. Pali. Kiedy Susanne wychodzi na pokład, zatrzymuje się w pewnej odległości od niego i przygląda mu się. Wygląda dziś starzej. Jakoś szaro. Nawet włosy są bardziej szare niż białe. Susanne przesuwa szybko ręką po swoich włosach, tych kędzierzawych, piaskowych włosach, które wydają się nigdy nie zmieniać koloru ani struktury. Czy wygląda tak staro jak on? Czy jeszcze starzej? Nieprzyjemna myśl, przypomina wstyd, więc Susanne próbuje ją odpędzić, jednak głębiej kryje się inna myśl. Po co oni to robią, przychodzi jej nagle do głowy. Dlaczego ludzie chcą zmierzyć i zważyć morze?

Susanne potrząsa gwałtownie głową, co też jej przychodzi do głowy. Potem podchodzi do Johna i stuka go w plecy.

-Cześć - mówi i uśmiecha się, gdy John się do niej odwraca. - Poczłustujesz mnie papierosem? Tylko do czasu, kiedy otworzą sklepik?

John wyszczerza się czymś pośrednim pomiędzy uśmiechem a grymasem.

-Cholera.

Susanne robi krok w tył.

-Co?

-Sprowadziłem cię na złą drogę. Przepraszam. Susanne wciska rękę w kieszenie i unosi ramiona.

Czuje podskórne swędzenie od chęci palenia. Uśmiecha się szeroko:

- Och. Nie szkodzi. Skończę, jak tylko zechcę.

John słyszy to, co chce usłyszeć:

- Jak tylko będziesz na lądzie?

- Zdecydowanie.

172

John wyciąga wreszcie paczkę papierosów. Susanne zmusza się, żeby nie wyjąć od razu rąk z kieszeni, kręci i przekręca sztylet do czasu, gdy John dokończy swój ruch. Wtedy dopiero wyciąga rękę i chwytając papierosa, a potem pochyla się nad zapalniczką Johna. Rozkosz jest większa niż wczoraj, ale teraz kryje się za nią coś innego. Coś, co zarazem jest obciążeniem i ulgą. Susanne zaciąga się i zwraca do Johna:

- Zacząłeś już robić swoje komputerowe zdjęcia? John kręci głową.

- Nie, dopiero jak będziemy znowu płynąć.

Po czym wzrusza ramionami i odwraca wzrok w kierunku rozety. Teraz wisi już w powietrzu, za nią rozpościera się biała mgła.

-A kiedy to będzie?

-Nie wiem. To zależy chyba od tego, kiedy uda nam się ruszyć. A to z kolei jest uzależnione od pilota lodowcowego. Chodzi o to, kiedy do nas dotrze...

Susanne lekko się krzywi, ale nic nie mówi. Stoją bez ruchu i patrzą, jak rozeta przez chwilę buja się na swoim łańcuchu, a potem zaczyna opadać ku powierzchni morza. Wślizguje się z pluśnięciem do wody, a potem łańcuch grzechocze, kiedy kręci się jego podstawa. Susanne kurczy ramiona. Jest zimno.

- Myślisz o mgle?

- Tak - odpowiada John. - Myślę o mgle.

Mgła nie odpuszcza, przeciwnie, gęstnieje jeszcze. Przed południem i wydaje się coraz bielsza. Na statku wyczuwa się zniecierpliwienie. W laboratorium odkrywają, że poziom rtęci w powietrzu jest niedorzecznie wysoki i podczas krótkiego spotkania zostaje ustalone, że to wina Viktora, tego nieśmiałego, młodego doktoranta, który prowadzi badania nad rtęcią. Musiał w jakiś sposób doprowadzić do wycieku i nic nie pomaga tłumaczenie Viktora, że tego nie zrobił i że jego rtęć jest bezpiecznie przechowywana.

174

Viktor musi się wynosić! Niech zabiera swoje rzeczy i ucieka do swojego małego kontenera niezależnie od kłopotów i chaosu, jakie z tego wynikną. Nie można przecież ryzykować, że cudze próbki zostaną zanieczyszczone. Już! Zabierać się!

Na czwartym pokładzie siedzi Lars. Marznie i wpatruje się w mgłę. W którąkolwiek stronę zwróci swoją lornetkę, nie widzi żadnego ptaka, ale Goran siedzący na tylnym pokładzie w kontenerze z radarem uparcie powtarzał przez walkie-talkie, że wokół statku krąży stado mew.

- Nie widzę ich! - wrzeszczy w słuchawkę Lars. Over!
- Ćwierć na dwa! - woła Goran. - Bardzo blisko ciebie! Over!
- Mam to w dupie. Nie widać ich. Over!
- O co się wściekasz? Over!
- Wcale się nie wściekam. Nie widzę tylko żadnych mew. I wcale ich też nie słyszę. Over!
- Olej to. Over!
- Właśnie to robię. Over!

Bernhard i Eduardo, dziennikarz telewizyjny i jego operator, zaczynają się otwarcie kłócić na mostku. Naukowcy i załoga udają, że nie słyszą. Wszyscy są nagle bardzo zajęci wpatrywaniem się w ekrany komputerów, robieniem notatek w dzienniku okrętowym lub studiowaniem mgły przez lornetkę, ale tak naprawdę uważnie się przysłuchują. Nie, żeby ktoś rozumiał, o co naprawdę chodzi w tej kłótni.

- Mówiłem przecież! - ryczy Bernhard.
- Wiem dobrze, że mówiłeś - odwarkuje Eduardo.
- Ale mówię, że nie da rady.
- Daj mi kamerę!
- Odpieprz się. Jest warta pół miliona. I jest moja.
- A kto założył pieniądze? Co?

174

Podnosi już rękę, żeby wyrwać kamerę, kiedy wtrąca się Fredrik, który z uśmiechem podnosi oczy znad ekranu radarowego.

- Pora na lunch - mówi. - Może poczekacie z przemocą do czasu po jedzeniu.

Bernhard i Eduardo rozglądają się, nagle świadomi, że nie są sami. Bernhard przejeżdża gwałtownie ręką po włosach, a Eduardo przyciska kamerę do piersi. Obaj uśmiechają się lekko zakłopotani.

- Poza tym - mówi Fredrik - wygląda na to, że mgła zacznie niedługo opadać.

Ma rację. Kiedy zaraz po lunchu Susanne wychodzi na przedni pokład z całkowicie własną paczką marlboro w jednej ręce i świeżo zakupioną zapalniczką w drugiej, mgła zaczyna się rozptywać. Wieje wiatr. Białe opary robią się cieniutkie jak tiul i zaczynają się rozwiewać, świat na zewnątrz otwiera się. Woda jest taka jak wczoraj, ciemna i metaliczna, ale kry na powierzchni zbielały. Niedługo będzie można zobaczyć wyspę.

Susanne przechyla się nad burtą, połowa niej samej rozkoszuje się i próbuje nie zwracać uwagi na to, co dzieje się z drugą połową. Wie, że palenie jest śmiertelnie niebezpieczne, naprawdę pojmuję to każda komórka jej ciała, potrafi sobie nawet wyobrazić, jak bolesne jest umieranie spowodowane paleniem, ale mimo to delectuje się. Zaciąga się głęboko i zamyka oczy. Niedługo skończy z tym. Jak tylko skończy się karton, który dopiero co kupiła.

Kiedy znowu otwiera oczy, widać już wyspę. Jest dziś ciemnoszara.

Kilka godzin później z Resolute wylatuje helikopter i ponownie na przednim pokładzie robi się tłoczno; Załoga, naukowcy i goście przepychają się przy burcie i patrzą, jak to, co z dużej odległości wyglądało niczym mała jętka, nabiera coraz pełniejszych kształtów i coraz czerwieszego odcienia.

175

Kiedy przelatuje nad nimi, zadzierają głowy do góry, jak dzieci w dawnych czasach gdy lecąca maszyna była rzadkością, a potem widzą, jak helikopter znika za sześciopiętrowym „Odynem” i ląduje na pokładzie dla helikopterów na rufie.

Potem wszyscy zbierają się w mesie. Czeka na nich popołudniowa kawa.

-Byłaś już wcześniej na tych wodach? - pyta Ulrikę Anders, kiedy stoją w kolejce.

Ulrika odwraca się i spogląda na niego, najpierw trochę zaskoczona, a potem uśmiechnięta.

- Cześć!

- Cześć! Pływałaś tu?

Ulrika, zanim odpowie, odstawia ostrożnie kubek na stół. Anders podąża za nią wzrokiem. Kiedy Ulrika stawia kubek, Anders widzi, że na serdecznym palcu lewej ręki ma wąski pierścienek. Z małym, niebieskim kamieniem. Czy oznacza to, że jest mężatką?

Ulrika wysuwa krzesło i potrząsa głową.

-W innych miejscach na północnym Oceanie Arktycznym. Ale nigdy tutaj.

-A czy pilot lodowcowy wie, dokąd płynąć? Ulrika śmieje się.

-Nie sądzę. Z tego, co słyszałam, w Cieśninie Peela nie było nikogo od pięciu lat. A w Cieśninie Melville'a od ośmiu.

Anders potakuje, udając, że rozumie, i próbuje przypomnieć sobie mapę.

- Myślałem, że to już ustalone. Kto zdecyduje, dokąd płyniemy?

- Roland chce płynąć do Cieśniny Melville'a. Tylko po to, żeby pokazać, jaki jest macho. Lód jest tam dość

gruby. Zobaczymy, co powie pilot. A jak się miewa twój pacjent?

176

-Myślę, że śpi. Rano przeniósł się do swojej kajuty. Od tamtej pory go nie widziałem.

-Hm - zastanawia się Ulrika. - Ciekawa jestem, czy ktoś zajął się jego próbkami.

-Nie mam pojęcia - odpowiada Anders.

Po kwadransie pojawia się pilot lodowcowy. Roland idzie z nim do mesy, wyjątkowo ubrany w białą koszulę i krawat pod niebieską kurtkę mundurową, zaopatrzył się też w grzecznościowy uśmiech. Pilot lodowcowy jest wysokim, szczupłym i bardzo zadbanym mężczyzną, tak naprawdę wyższym, szczuplejszym i bardziej zadbanym od Rolanda, on też uśmiecha się grzecznie, gdy Roland zachwala mu świeżo upieczone bułeczki Marii. Szwedzka specjalność! Bardzo smaczne. Potem siadają przy stole, przy którym pełno naukowców i gości. Grzecznościowe uśmiechy rozpływają się na czternastu twarzach. Jednocześnie wszyscy przechodzą ze szwedzkiego na angielski. Padają pełne zaciekawienia pytania. Jak długo czekał na nich na Resolute? Jaką trasą teraz popłyniemy? Cieśnina Peela czy Cieśnina Melville'a? Trasa trudna czy jeszcze trudniejsza?

- We'll see - odpowiada dyplomatycznie pilot i nadgryza świeżo upieczoną bułkę, a potem kiwa przyjaźnie głową do Rolanda. Miał rację. Jest naprawdę wyjątkowo dobra.

Silniki ruszają dopiero po kilku kolejnych godzinach oczekiwania. Podczas tych godzin pilot lodowcowy i Roland stoją na mostku, pochyleni nad mapami morskimi, i mierzą się ze sobą. Są spokojni i nieskończenie grzeczni, ale ich uśmiechy tracą najpierw na grzeczności, a potem powoli gasną. Pilot nie może polecić Cieśniny Melville'a. Już bardzo dawno nikt tamtędy nie płynął, a ostatnio był to, trzeba to niestety podkreślić, lodołamacz atomowy.

177

Nie wiadomo, co się może stać, jeśli zwyczajny lodołamacz wejdzie na ten lód. Oczywiście pilot nie może zakazać „Odynowi” popłynąć tą trasą, ale jeśli utkną to utkną, a koszty uwolnienia ludzi i statku będą dość znaczące...

Roland ze swojej strony chciałby zaznaczyć, że „Odyn” jest silniejszy od innych, nienapędzanych atomowo lodołamaczy i że statek momentami, nie zawsze, to trzeba przyznać, ale w niektórych sytuacjach zaskakiwał już otoczenie swoją zdolnością przebijania się przez najgrubsze lody, nawet wokół bieguna północnego. Opowiadał już chyba, że „Odyn” czterokrotnie odwiedzał biegun północny? I że planowane są piąte odwiedziny podczas tej ekspedycji?

-Tak - odpowiada pilot lodowcowy. - Ale... lód na Cieśninie Melville'a potrafi mieć nawet siedem metrów

grubości. Albo coś koło tego.

-Hm - mruczy Roland.

Stoją bez ruchu, ale każdy opiera się ręką o stół. Przez ponad minutę panuje cisza. Potem Roland prostuje plecy i wykrzywia usta w wąskim uśmiešku. Decyzja została podjęta. Cieśnina Peela.

- Tak naprawdę - mówi pilot, po czym odwraca wzrok od Rolanda i wygląda przez wielkie okna na mostku
- tak naprawdę to żaden statek nigdy nie przepłynął Cieśniny Peela o tej porze roku.

- Well - odpowiada Roland. - Miejmy więc nadzieję, że nam pójdzie to dobrze.

Kiedy statek rusza, daje się odczuć lekkie drganie, niewielkie, ale na wszystkich działa jak sygnał do startu. Ulrika pochyla się nad dopływem świeżej wody w laboratorium i reguluje wszystkie ustawienia. Anders przemywa jednemu z chłopaków w maszynowni zadrapanie i zakleja je plastrem.

178

Vincent uruchamia tokarkę w swoim warsztacie i podejmuje pierwszą próbę skopiowania nakrętki. Fredrik przymocowuje żółto-czarny kijek do relingu bakburty, kij, który będzie odmierzał odległość od lodu. John wkłada klucz do zamka w swoim kontenerze magazynie i lekko uśmiechając się, otwiera drzwi, jakby chciał przedstawić Rybę dwóm doktorantom i dwu majtkom, którzy pomogą wyciągnąć ją na pokład. Żaden z nich nie odpowiada na uśmiech, w milczeniu koncentrują się na tym, żeby ustawić ciężki przyrząd we właściwy sposób. Przed południem musi trafić do wody, a przedtem trzeba sprawdzić, czy elektryka działa jak należy.

„Odyn” zmienia kurs i skręca na Cieśninę Peela. Za nimi czarna wyspa Resolute zamienia się w szarą chmurę, która opada ciężko ku horyzontowi.

179

Następnego ranka „Odyn” jest już wśród lodów. Wśród prawdziwego lodu, który w połowie lipca leży ciężki i masywny pomiędzy wyspami. Pięć metrów grubości, bez żadnych pęknięć. Pięć metrów grubości, miejsca na wielkie bloki, które miażdży i próbuje odpychać od siebie statek.

-Łykowaty - mówi Roland na porannym spotkaniu i przesuwa spojrzeniem wokół stołu konferencyjnego. Nietypowa konsystencja. Jak guma.

Ulrika marszczy czoło:

- Trudny do łamania.

- Bardzo.

Na chwilę zapada cisza. Za oknem lśni, piękny jak na pocztówce, krajobraz zimowy. Wysokie,

błękitne niebo z pojedynczymi, białymi chmurami, poniżej lód, który próbuje się do nich upodobnić, choć nie do końca mu się to udaje. Jest jak ich negatyw: biała powierzchnia z niebieskimi jeziorkami, tak jak białe, skute lodem jeziora z niebieskimi chmurami.

-Nie uda nam się dziś zrobić więcej niż trzy-cztery węzły - mówi Roland. - Potem okaże się, czy dalej będzie lepiej.

Nikt nie odpowiada.

-To już wszystko.

Zamykają się notatniki. Krzesła cicho szurają po podłodze. Ktoś pomaga zabandażowanemu Robertowi wsunąć krzesło pod stół, ten odwdzięcza mu się przyjaznym kiwnięciem głową. Poranne zebranie zakończone.

180

Susanne staje na dziobie i jak zahipnotyzowana wpatruje się w łamany lód. Słońce iskrzy w małych stopionych kałużach na jego powierzchni. Horyzont to wielkie koło bez początku i bez końca, Susanne widzi tylko białość i błękit, niebiesko-białe niebo nad biało-niebieskim lodem. Nie może powstrzymać uśmiechu. Nareszcie dotarła do swojego wymarzonego celu. Poza światem. W środku bezpiecznego, pustego wnętrza, w totalnym braku zdarzeń, czego zawsze szukała i czego bała się przez całe życie. Teraz nie obeszłoby jej wcale, gdyby miała więcej nie zobaczyć domu, gazety albo latarni, gdyby już nigdy nie poszła na przyjęcie, nie kupiła nowych pończoch ani nie porozmawiała z innym człowiekiem. Jest gotowa wyrzec się całej cywilizacji dla rozkoszy stania w samotności na samym skraju dziobu lodolamacza i obserwowania, jak przebija się przez lód.

Susanne wychyla się za burtę i patrzy w dół, widzi, jak woda z „Odyna” wylewa się na lód i jak sekundę później przysadzisty dziób wślizguje się na mokrą powierzchnię i przyciska ją. Pojawia się rysa, która błyskawicznie osiąga długość kilku metrów, ale lód jeszcze nie pęka, jedynie na jego powierzchni otwiera się mała ranka, wilgotne zadraśnięcie, które odsłania turkusowe wnętrza. „Odyn” cofa się kilka metrów i na nowo rozpędza, unosi swoimi dziewięcioma tysiącami ton i nareszcie to się wydarza. Lód pęka na olbrzymie kawały i zamienia się w potężne kry, które niechętnie rozsuwają się na boki. Na sekundę odsłaniają swoje szkliste, niebieskie cielska i zostają wchłonięte w czarną wodę pod statkiem, tylko po to, by sekundę później wypłynąć na powierzchnię po lewej lub prawej stronie burty: wielkie i nagie, rozjuszone i mściwe, a zarazem zupełnie bezbronne. „Odyn” przeciska się do przodu, rozcina i rozłamuje to, co było zamknięte i zwarte od setek lat. W pierwszych chwilach po kantach każdej kry płyną małe wodospady.

181

Potem nagle ustają. Przecięty lód obraca swoje zranione wnętrza ku niebu i zastyga w bezruchu. Zamyka się za statkiem jak tama, która za niecałą godzinę będzie tak twarda i zmarznięta, że nie da się przez nią przedostać?

Susanne odwraca twarz ku słońcu i zamyka oczy. Huk silników i dźwięk kruszenia lodu sprawiają jej taką samą radość jak wcześniej cisza we własnej kajucie. Czyli to tutaj zmierzała. To za tym tęskniła. Sama przyjemność przełamywania lodu, rozbijania arktycznej ciszy, pozostawiania po sobie rany w krajobrazie, który przez lata nie został przez nikogo tknięty ani niczym zakłócony. Uśmiecha się do tej myśli. Może niedokładnie za tym. Ale czymś w tym rodzaju.

Kiedy znowu otwiera oczy, jej wzrok przyciąga żółta kropka daleko na lodzie. Mija chwila, nim zrozumie, że to niedźwiedź polarny. Podnosi lornetkę, by obejrzeć go z bliska. Niedźwiedź stoi w pewnej odległości z otwartym pyskiem, sztywny i nieruchomy, jakby był wypchany. Wpatruje się w „Odyna”. Potem bardzo powoli staje na tylne łapy.

Patrzy na Susanne, a ona wpatruje się w niego.

Minutę potem pokład znów zapełnia się ludźmi, pstrykają aparaty fotograficzne, wszyscy tłoczą się przy burcie, mówią i wybuchają śmiechem. Niedźwiedź zbliżył się do nich, przyczłapał na wygiętych do środka łapach prosto do samego dziobu, ale teraz znowu zatrzymał się i stanął na tylnych łapach. Wpatruje się w nich z całkowicie wyprostowanymi plecami.

- To musi być samiec!

- Chyba dosyć młody.

- Młode samce są najgorsze. Totalnie niebezpieczne.

Na Svalbardzie...

- Tak. To musi być samiec, młody, głupi i przesadnie odważny.

182

- Ale są też samice, które mają penisy.

- Dlaczego?

- Chyba przez chemikalia. Wszystko jest tu wsysane.

- Czy on nam grozi? Czy to dlatego stoi na tylnych łapach?

-Nie. Tylko patrzy. Kiedy grozi, odwraca się bokiem.

-I garbi grzbiet.

-Ale tego nie robi. Nie rozumie, że „Odyn” jest od niego większy...

-Skąd wiesz?

-Tak to już jest. Nie mają się tu czego bać, zupełnie żadnych naturalnych wrogów.

- Cholera, przejedziemy go...

- Nie, odejdzie, jak już się napatrzy.

W tej samej sekundzie niedźwiedź traci zainteresowanie „Odynem”, staje na czterech łapach i przez chwilę przestępuje z nogi na nogę, nim odwróci się i poczłapie w dal.

-Ładny był - mówi John do Susanne, która uśmiecha się w odpowiedzi:

-Tak - potwierdza. - Bardzo ładny.

Na chwilę zapada cisza, oboje spoglądają na lód. Niedźwiedź nagle zniknął. Nikt nie wie, gdzie się podział.

-Jak tam idzie z mapą? - pyta Susanne.

-Nie za dobrze - odpowiada John. - Lód przeciera łańcuchy i trudno utrzymać Rybę na miejscu.

- Rybę?

- Aparat do pomiarów.

- Oj - mówi Susanne.

John spełnia jednak swoją obietnicę i zabiera Susanne na wycieczkę dydaktyczną. Przez moment stoją na rufie i patrzą w dół na pokruszony lód, widzą, jak trze i szarpie łańcuchy, dzięki którym Ryba utrzymuje się na głębokości.

183

John wygląda na zatroskanego, gdy pochwyciwszy mocno łańcuch, wychyla się i patrzy w dół:

-Istnieje ryzyko, że zostanie całkowicie zniszczona mówi.

Susanne kiwa głową, ale tak naprawdę nie słucha. Patrzy na zwały lodu, które zostawiają za sobą, i na niską, otwartą rufę. Tu nie ma żadnej burty. Statek jest tak nisko, że bez trudu mogłaby z niego wysiąść. Mogłaby postawić stopę na jednym z ogromnych zwałów i chwycić się go ostrożnie, schodząc na zwarty lód. Mogłaby tam stać zupełnie bez ruchu, patrząc, jak statek znika w horyzontem...

A potem? Cóż. Statek płynie na tyle wolno, że dałoby się go dogonić. Oczywiście pod warunkiem że nie wpadłaby na niedźwiedzia polarnego. Uśmiecha się do siebie i odwraca do Johna, który wciąż mówi, choć Susanne nie słyszy co.

-...przynajmniej na komputerach, Zaczyna iść. Susanne wciska ręce w kieszenie i podąża za nim.

Zdjęcia nie są jeszcze gotowe. Jak dotąd na ekranie widać tylko cyfry i kreski, które wydają się

Susanne niepojęte. Jeden z doktorantów Johna próbuje jej coś tłumaczyć, językiem, który też jest niemożliwy do zrozumienia. Chirp? Sonar? Echosonda Multi... Susanne kiwa głową i lekko się uśmiecha, udając, że wszystko rozumie do czasu, aż włącza się John. Właśnie wystartował inny komputer.

-Chodź tu, Susanne - mówi. - Możesz zobaczyć, jak to będzie wyglądało...

Zdjęcie jak z gry komputerowej. Jasnożółte góry. Wściekle zielone dno. Ostro czerwone granie.

-Co to jest?

184

- Zatoka na Archipelagu Sztokholmskim - odpowiada John. Nie odrywa oczu od zdjęcia. Susanne stoi tuż za nim, tak blisko, że czuje ciepło jego ciała. Przechyla głowę na bok i próbuje nie okazywać konsternacji. Zdjęcia odsłaniają ukrytą rzeczywistość, ale nie w taki sposób, w jaki sobie wyobrażała. To nie zdjęcia, tylko obrobione komputerowo rysunki. Żadnych roślin, żadnych podwodnych istot, żadnej zatopionej Atlantydy.

- Kolory sygnalizują głębokość - mówi John. - Czerwień to mielizna. Zieleń - głębina, a niebieski to naprawdę duża głębokość.

Susanne kiwa głową za jego plecami, a potem pochyla się do przodu, tylko udając zainteresowanie.

185

Odwiedziny w laboratorium są narodzinami, ale mija trochę czasu, zanim Susanne to sobie uświadomi. Dopiero po powrocie do kajuty zauważa, że w jej głowie wirują postacie. Widzi je. Słyszy, jak ze sobą rozmawiają. Uśmiecha się do swojego odbicia w lustrze. Nareszcie! Może pracować. Musi pracować.

Gwałtownym ruchem ściąga gumkę zbierającą włosy w koński ogon i potrząsa głową. Przez ułamek sekundy ma wrażenie, że widzi w lustrze twarz Elsie - te same kolory, ta sama zmarszczka między brwiami, to samo zwężone spojrzenie. Potem odwraca się i podchodzi do biurka.

W połowie przystaje i zamiera w miejscu. Mija pare sekund, zanim zrozumie, co widzi. Coś leży na koi. Ciało? kobiety bez kobiety.

Para ciemnoniebieskich skarpet, z których każda schludnie zwrócona w swoją stronę.

Para białych, bawełnianych majtek nad nimi.

Biały stanik z miseczkami wypchanymi czymś równie białym, może serwetkami albo papierem toaletowym..

Pasek mocno zaciśnięty w miejscu, w którym powinna być szyja.

I twarz nabazgrana na jaśku do spania. Komiksowa twarz z czarnymi krzyżkami zamiast oczu i

ciemnymi, otwartymi ustami.

Ktoś znowu był w jej kajucie. Jednak tym razem nie zostawił po sobie żadnego zapachu.

186

Zimowy dzień

187,188

Pod powiekami nadal przesuwwały mu się nocne obrazy: blond dziewczyna biegnąca wzdłuż drogi, czarny ptak, który zanurkował gdzieś z tyłu za nią, i wyłaniające się znikąd słowo nigdzie, które go zbiło z tropu. Wyjmując portfel z tylnej kieszeni spodni, musiał przesunąć ręką po oczach, żeby odpędzić te zwidy.

- Wszystko w porządku? - zapytał taksówkarz.

- Okej - odpowiedział Björn. - Po prostu jeszcze się nie do końca obudziłem.

Blond dziewczyna biegnąca wzdłuż... Zaciśnął powieki i znowu otworzył oczy. Lekko się uśmiechnął, zmuszając się do zobaczenia tego, co naprawdę widział. Uliczne latarnie. Kościół Zofii Albertyny, który wyłaniał się ze zmieszanego z deszczem śniegu. Gruby mężczyzna w czarnej skórzanej kurtce wzruszył lekko ramionami, szukając reszty w swoim portfelu.

-Tak. Cholera. O tej porze najchętniej by się poleżało... Björn odpędził czarnego ptaka i zmusił się do odpowiedzi.

- Ale to mija.

- Tak - odpowiedział taksówkarz, przesuwając do przodu sprzęgło. - To prawda. Fakt.

Włosy nie wyschły mu jeszcze po prysznicu, wilgoć przykrywała skórę głowy jak zimny kask. Słowo nigdzie przepełnęło obok, ale nie pozwolił mu się złapać ani nie wpadł w konsternację, naciągnął tylko kaptur podczas gdy taksówka ruszyła i odjechała. Spojrzał w kierunku portu. Prom już tam był, stał przez całą noc, ale pasażerów nie wpuszczano jeszcze na pokład.

189

Stali w krótkiej kolejce, grupka skulonych mężczyzn z podniesionymi kołnierzami. Przez sekundę przyglądał im się, ale nie, nie ma ryzyka. Żaden z nich nie mógł go rozpoznać. Pochylił się, podniósł walizkę i zaczął iść w ich kierunku. Nikt się nie odwrócił. Nikt na niego nie spojrzał. Stanął na końcu kolejki, wcisnął ręce głęboko w kieszenie budrysówki i stał tak bez ruchu, wpatrując się jak inni w ciemność. Rozkoszował się byciem nikim. Rozkoszował się też świadomością, że tak naprawdę nie jest

nikim. Jest solistą Typhoons i gwiazdą na tyle, na ile to tylko możliwe w Szwecji. Teraz przepłytnie promem przez cieśninę, a potem weźmie taksówkę na lotnisko Kastrup. Zanim reszta chłopaków przyleci samolotem ze Sztokholmu, on będzie już odprawiony i gotowy.

Blond dziewczyna biegła wzdłuż drogi, gdzieś z tyłu za nią nurkował czarny ptak i znikąd wyłaniało się słowo nigdzie, które zbiło go z tropu. Potrząsnął głową, żeby odpędzić te obrazy, pociągnął nosem, jakby chciał sobie przypomnieć, że nie śpi, że w rzeczy samej nie śpi już od ponad trzech kwadransów. Dlaczego nie może przestać myśleć o tym śnie? O co w nim chodziło?

Zaczął szukać po kieszeniach swoich papierosów; obrócił się do połowy i zasłonił płomień zapalniczki złożoną w miseczkę dłonią. Może miało to związek z tekstem, który śpiewał już tak wiele razy i który miał dziś wieczorem zaśpiewać w angielskiej telewizji. Poruszył bezgłośnie ustami:

Once there was a girl that I... Aż go nosiło w środku od tremy. A jeśli się pogubi. A jeśli nagle go zatka. Albo jeśli zaczniesz fałszować, będzie stał jak idiota w angielskiej telewizji i mylił się w piosence, którą śpiewał setki razy.

Zamknął oczy i głęboko się zaciągnął. Nie stanie się tak. Nigdy się tak nie stało i tym razem także się nie stanie. Nazywa się Björn Hallgren. Nie wolno mu o tym zapominać. Björn Hallgren się nie myli.

190

Wystarczy, że będzie o tym pamiętał. Zmienił pozycję, przesuając punkt ciężkości z lewego biodra na prawe, i wypuścił dym, potem widział, jak się rozprzestrzenia - biała chmura w ciemności. Tylko - pomyślał, uśmiechając się lekko do dobrze znajomej myśli - kim tak naprawdę jest Björn Hallgren?

Dzieckiem pozbawionym rodziców... słowa tak szybko przepłynęły przez niego, że nie zdążył ich powstrzymać, minęła sekunda lub dwie, zanim zdołał je odpędzić. Przecież nie jest sierotą. Ma matkę, którą dziś ma w dodatku spotkać. Gdzieś tam miał też przecież ojca, nawet jeśli sporo czasu minęło, odkąd ostatnio myślał o tym draniu. Gdzieś w głowie przesuwały się dziecięce marzenia: król, piłkarz, aktor. Skrzywił się. Cholera, dużo bardziej prawdopodobne jest, że jego ojciec to stary alkoholik albo marynarz na przedwczesnej emeryturze. Może niedługo zorientuje się, że jest ojcem gwiazdy popu i pojawi się, jak to czasem robią inni zaginiony ojcowie, przedstawiając swoje claim to fame. Jednak Björn nie zamierza się z nim spotykać. Nie będzie też odpowiadał na pytania dziennikarzy, a jeśli to zrobi - naprawdę jeśli - położy nacisk na to, że wkład faceta był w najlepszym razie wysoce umiarkowany. Plemniki. A to nie wystarczy, żeby spotkać Björna Hallgrena. To naprawdę za mało.

Znowu włożył papierosa do ust, ale zobaczył, że zgasł. Nie pomyślał, by zakryć go dłonią, zanim dosięgnę go deszcz. Niech tam. Wyrzucił niedopałek i unióś do góry ramiona. A zatem kim jest Björn Hallgren? Znowu się uśmiechnął.

Rok temu Björn Hallgren był osiemnastoletnim prawiczkiem. Dość niespokojnym typem z kiepskimi ocenami, który nie sypiał po nocach, bo zastanawiał się, czy kiedykolwiek prześpi się z dziewczyną, niepewnym gościem, który nigdy nie miał odwagi zejść ze sceny podczas tych wszystkich potańcówek szkolnych, na których i jego koledzy z zespołu Moonlighters nieustannie grali.

Przestraszonym gówniarzem, który nie miał odwagi wyrwać którejś z dziewczyn, tych, które stały i wzdychały. Do czasu, gdy w Helsingborgu pewna Ann-Sofie po prostu zaciągnęła go do szatni dla dziewcząt na tyłach sali gimnastycznej i załatwiła sprawę. Po dwóch minutach było po wszystkim, ale były to dwie niezwykle godne zapamiętania minuty. Przynajmniej dla niego.

Potem był już kimś innym. Kumple z zespołu zauważyli to i szczyrzyli zęby. Dziewczyny ze szkoły rzucały mu długie spojrzenia. A Inez podążała za nim oczami przez cały tydzień. Cały czas miała przy tym zmarszczkę na czole, małą zmarszczkę, która ujawniała, że Inez rozumie, iż poluzował smycz i na chwilę jej uciekł. Tylko Susanne i Birger nic nie zauważyli, ale tak już z nimi było Susanne była za mała, a Birger miał za wąskie pole widzenia. Zawsze takie miał.

Zatem kim jest Björn Hallgren? Jeśli wyłączyć z tego całe bycie gwiazdą. Czy jest jedynie chłopakiem, który uprawia seks z Ann-Sofie? Nie. Jest chłopakiem, który od tamtej pory przespał się z siedmioma dziewczynami - nie, z ośmioma! Poza tym jest też chłopakiem, który stał wczoraj nonszalancko oparty o ścianę w bramie na ulicy Stora Norwätan, zaraz przy perfumerii Salomonssonów, chłopakiem, który zobaczył, jak twarz Ewy rozjaśniła się i nabrała blasku, kiedy go zobaczyła po wyjściu ze sklepu.

-Björn!

Wzdrygnął się i odwrócił, przemknęło mu przez głowę, że naprawdę potrafi przyciągać ludzi myślami, a potem się w nią wpatrzył.

-Eva? To ty?

Dziś nie była taka pełna blasku i światła. Błada, niemal biała na twarzy i wielkie, czarne oczy. Albo umalowane na czarno.

- Tak - powiedziała bez tchu, zanim dopadło ją, jak się zdawało, nagłe onieśmienie i spuściła wzrok.

- To ja. - Co tu robisz?

Zdał sobie sprawę, jak nieprzyjemnie to zabrzmiało, więc natychmiast postarał się złagodzić pytanie, dodając:

-Jest bardzo wcześnie.

Podniosła na niego swoje wielkie, błyszczące oczy.

-Chciałabym cię tylko odprowadzić. Na lotnisko. Björn nieznacznie wzruszył ramionami i zrobił krok

w tył. Był to niemal niezauważalny ruch, ukryte nabranie dystansu, ale wystarczyło, żeby twarz Ewy na sekundę zupełnie zbieła. Potem nagle się uśmiechnęła promiennym (białym) uśmiechem, a w jej oczach pojawiły się figlarne iskierki.

-Och, żartuję tylko. I tak muszę dziś jechać do Kopenhagi, więc pomyślałam, że mogłabym cię najpierw odprowadzić.

Jego ramiona opadły, ale plecy nadal były wyprostowane i napięte. Nie przysunął się do niej.

-Co będziesz robić w Kopenhadze? Eva znów się uśmiechnęła:

-Spotkam kilka koleżanek. Pochodzę po sklepach. Kupię trochę ubrań.

- Nic o tym wczoraj nie mówiłaś... Wzruszyła ramionami i rzuciła mu spojrzenie:

- Dziewczyny mają swoje sekrety...

W tej samej chwili kolejka zaczęła się poruszać. Czas wchodzić na pokład. Eva wsunęła mu rękę pod ramię oparła policzek na rękawie jego budrysówki.

-Jeśli nie chcesz towarzystwa, mogę poczekać na następny prom - powiedziała.

Björn oblizał szybko wargi, popatrzył na nią i się uśmiechnął:

- Nie - powiedział. - Oczywiście, że musisz popłynąć ze mną.

193

Elsie usiadła na brzegu kanapy, rozglądała się dookoła, ściskając torebkę.

W hotelowym foyer było pełno ludzi, w różnym wieku i wszelkich możliwych narodowości, kręcili się w tę i z powrotem, wchodzili i wychodzili, szli po schodach na górę i ponownie w dół, siadali na którejś z ciemnoczerwonych kanap i znowu wstawali, spoglądali na siebie w którymś z luster w złotych ramach, a potem odwracali tyłem i gwałtownym ruchem wzywali pikola, młodego lub starego mężczyznę, ubranego w nieco sfatygowany złoto-czerwony uniform. W recepcji stało za ladą czterech mężczyzn w staromodnych marynarkach i młoda kobieta w czarnym kostiumie. Dwoje z nich, pochylonych do przodu, słuchało uważnie gości po drugiej stronie lady, pozostała trójka stała ze spuszczonym wzrokiem nad jakimiś papierami i skoroszytami. Kobieta w czarnym kostiumie uśmiechała się do starszej pani, która nie odwzajemniła uśmiechu, tylko spojrzała na nią przelotnie, a potem otworzyła torebkę i odwróciła się bokiem.

Było bardzo cicho. Z zewnątrz dochodziły jakieś dźwięki - samochodów z ulicy i pianina z baru - jednak w samym foyer nie słyszało się niemal nic. Widać było, że ludzie rozmawiają ze sobą, ale jeśli stało się od nich parę metrów dalej, nie dało się usłyszeć o czym. Być może architektowi udało się tak doskonale zaprojektować pomieszczenie, może wysokość i szerokość zostały tak dokładnie wyliczone, że tłumiły dźwięki. Chyba że to zasługa wykładziny dywanowej.

194

Albo tego, że człowiek wchodząc tam, automatycznie zniża głos. Żeby nie przeszkadzać. Żeby nie rzucać się w oczy. I żeby nie wypaść z gry.

Bo przecież to, co tu się dzieje, jest grą. Milczącą umową pomiędzy wszystkimi przechodzącymi. Teraz jestem kimś innym, w tej chwili jestem częścią tego świata, którego nikt z nas nie widział, ale który każdy odwiedził. Mężczyzna pochylający się nad recepcyjną ladą wygląda wprawdzie jak angielski pułkownik, ale na pewno jest dyrektorem jakiegoś browaru. Ewentualnie firmy budowlanej. A kobieta, która właśnie wstała i strzepnęła ręką spódnicę, wprawdzie wygląda jak amerykańska gwiazda filmowa, ale tak naprawdę jest początkującą call girl, która martwi się, że może nie rozpoznać mężczyzny, który ją zamówił. Nie wspominając już o podobnej jastrzębiom parze na kanapie obok. Są jak brytyjska arystokracja ziemiańska, on w garniturze z tweedu Harris, ona w kaszmirowym sweterku, jednak na kolanach mają przewodnik w języku angielskim. Może są Argentyńczykami. Inni Latynosi zwykli mówić, że Argentyńczycy to Włosi mówiący po hiszpańsku, którzy wyobrażają sobie, że są Anglikami. Kobieta napotkała wzrok Elsie i uśmiechnęła się lekko, jednocześnie przykrywając przewodnik ręką, jakby chciała ukryć dekonspirujący ją napis.

A ona sama? Przesunęła wzrok w stronę lustra po drugiej stronie pokoju i zerknęła na siebie. Nijaka kobieta na początku wieku średniego. Ubrana w sweterek bliźniak i obcisłą spódnicę, w kolorach jasnoniebieskim i granatowym, z czarną torebką na kolanach. Mogłaby być nauczycielką. Może nawet naukowcem z Oxfordu lub Cambridge. Albo damą do towarzystwa, pod warunkiem, że przyjęłoby się, że nadal istnieją damy do towarzystwa i że gdzieś tam w jednym z setek pokoi hotelu Strand Palace w Londynie siedzi sobie starsza dama i zakłada kolczyki, podczas gdy w foyer czeka na nią jej dama do towarzystwa...

195

Jednak tak nie jest. Elsie wciąga mocniej powietrze i siada głębiej na kanapie, opiera się o nią plecami i opuszcza ramiona. Szwedzka telegrafistka. Po cywilnemu. Z pokojem zarezerwowanym w hotelu nieco droższym niż inne hotele w których kiedykolwiek mieszkała. mu. Czeka ją w milczeniu na swojego syna, którego nie widziała od ponad roku. Odbicie w lustrze niemal niedostrzegalnie pokiwało głową i Elsie natychmiast odwróciła wzrok i zaczęła szukać wokół siebie czegoś innego, na

co można by popatrzeć. Dyrektor browaru włożył portfel do kieszeni marynarki i pogładził ręką wąsy. Dziewczyna o wyglądzie gwiazdy filmowej ruszyła w kierunku windy, pod ramię z mężczyzną w ciemnym, grafitowym garniturze, a para na kanapie obok nagle wstała i poszła w kierunku drzwi wyjściowych. Portier w długim, czerwonym płaszczu musnął ręką rondo swojego czarnego kapelusza, jakby im salutował. Elsie zerknęła na zegarek. Minęło dopiero pięć minut od jej wejścia do hotelu. Samolot z Kopenhagi nawet jeszcze nie wylądował. Björn będzie tu za przeszło godzinę, albo i za dwie. Powinna wstać i wyjść. Przespacerować StranDEM. Poszukać jakiegoś parku w okolicy.

Albo pójść szybko do Oxford Street i z powrotem. Kupić trochę ubrań. Jeśli nic innego, może zawsze kupić coś do ubrania...

Jednak nie poruszyła się, siedziała bez ruchu, przyglądając się swojemu odbiciu w lustrze na ścianie naprzeciwko. Przez moment zapragnęła, by móc przekonać siebie samą, iż naprawdę jest naukowcem z Oxfordu albo nauczycielką w jakiejś public school, albo - jeśli już to konieczne - damą do towarzystwa wrednej, starej Angielki. Niechby przeświadczenie to było tak silne, że stanie się rzeczywistością.

Chciała być kimkolwiek z wyjątkiem tej, którą naprawdę była.

Zdrajczynią.

Znikającą.

Matką, która nigdy...

Wyprostowała się i odpędziła tę myśl. Zamiast tego utkwiała wzrok w mężczyźnie, który właśnie stał przy recepcji, naprawdę stylowym mężczyźnie, jeśli lubiło się szorstkie typy, a takich przecież lubi. Był to mężczyzna, który wyglądał tak, jakby był w stanie rozerwać swój garnitur od krawca, gdyby tylko nieco naprężył mięśnie, mężczyzna z wyraźnie zaznaczonymi szczękami i urzekającym kędziorem nad czołem, który znalazł się tam tylko przez przypadek, kędziorem, który przesunął się do przodu bez jego wiedzy, dokładnie tak, jak opadają włosy, kiedy...

Nie. Elsie wstała dokładnie w chwili, w której pojawiła się w jej głowie ta myśl. Zobaczyła w lustrze, jak się podnosi, i że na jej twarzy widać lekki niepokój. Nie tak! Nigdy w ten sposób! Po sekundzie niepokój minął. Kobieta w lustrze włożyła palto, uśmiechając się do niej, zawiesiła na ramieniu torbę, odwróciła się i ruszyła w stronę wyjścia. Przedziwne było to, że czuła się tak, jakby na karku też miała oko, jakby idąc, mogła zobaczyć w lustrze z tyłu swoje własne plecy...

Zamknęła oczy i wciągnęła powietrze, przegnała wszystkie myśli poza jedną. Spacer. Tego potrzebuje.

Powietrze na zewnątrz było tak chłodne, że zabrakło jej tchu, tak chłodne, że, o dziwo, wydawało się czyste, mimo że na ulicy było pełno samochodów. Słyszała je, ale tak naprawdę ich nie widziała, bo kiedy wyszła na chodnik, zostawiając za sobą markizę hotelu, ze szczeliny pomiędzy chmurami wyszło słońce i sprawiło, że musiała zmrużyć oczy.

Przysłoniła je ręką, a potem skręciła w prawo i zaczęła iść. Trafalgar Square. Tam dojdzie chociaż tam. A potem z powrotem.

Słońce błysnęło tylko na chwilę, teraz już zniknęło, ciemne chmury zawisły nisko nad ulicą. Wiatr był tak zimny, że już po paru metrach miała zmarznięte kolana. Nic nie szkodzi. Wręcz przeciwnie. Kto marznie, nie myśli. Gdyby porządnie zmarzła, mogłaby może sobie wyobrazić, że do ponownego spotkania z synem ma całą masę czasu, nie zaledwie godzinę lub dwie... Przemknął jej przez głowę pewien obraz. Widziała siebie, jak wstaje z czerwonej kanapy i przygląda mu się z pewnej odległości, widziała, jak się rumieni i przesuwając drżącą ręką po spódnicy, ale potem zdecydowanie odsunęła i tę myśl i zaczęła rozglądać się dookoła.

To było zwykłe londyńskie przedpołudnie piątkowe, dzień na początku grudnia, zupełnie taki sam jak wszystkie inne dni, kiedy się tu przechadzała, zaraz po tym, jak wyokrętowała się albo tuż przed wejściem na pokład, ale wszystko było jednak inne. Minęła chwila, nim uświadomiła sobie, o co chodzi.

Moda. Ostatni raz, kiedy była w Londynie - kiedy to było? - młode dziewczyny miały wytapirowane włosy, wysokie obcasy i rozbujaone, sztywne spódnice. Teraz w mieście nie było ani jednej takiej dziewczyny. Wszystkie miały proste włosy, płaskie buty i krótkie palta. Bardzo krótkie. Niektóre nie przykrywały nawet majtek.

Elsie rzuciła okiem na swoje odbicie w oknie wystawowym. Czy wygląda bardzo niemodnie w swoim starym palcie? Nie była do końca pewna. Prawdopodobnie. Z drugiej strony nie była już tak młoda i nie było żadnych | przepisów mówiących, że kobiety zbliżające się do czterdziestki muszą podążać za modą.

198

Mogły spokojnie zamienić się w pańcie, zwłaszcza jeśli nie miały ochoty narażać się na szyderstwa, które zawsze prześladowały kobiety - jej myśli zatoczyły szeroki łuk wokół słowa starsze bo aż taka znowu stara przecież nie była - które próbują udawać młodsze, niż naprawdę są. Choć w zasadzie to wszystko jedno. Można być też wyszydzaną za bycie pańcią. W gruncie rzeczy można być wyszydzaną dokładnie za wszystko. Oczywiście, jeśli nie jest się facetem. Wtedy człowiek wślizguje się w kostium, który wybrało dla człowieka społeczeństwo klasowe. Garnitur i melonik, jeżeli człowiek urodził się rewizorem lub urzędnikiem państwowym. Kurtka i podkoszulek, jeżeli było się majtkiem albo zwykłym robotnikiem. Przemknął jej przez głowę stary marynarski dowcip: Jak się nazywa mieszkaniec Liverpoolu w garniturze? Oskarżony.

Elsie spojrzała w dół, na chodnik, żeby ukryć uśmiech, ale nie dało rady. Dalej się czaił, kiedy uniosła wzrok i zobaczyła nastoletnią dziewczynę, która szła w jej kierunku, dziewczynę z wielkimi, umalowanymi na czarno oczami, w białych, koronkowych pończochach z dużym oczkiem, wściekle różowym palcie, tylko kilka centymetrów dłuższym od kurtki, z pasmem zimowego brudu na samym dole rękawów. Wyglądała jak mała szmaciana lalka, ubrana w najpiękniejsze ubranka przez swoją sześcioletnią właścicielkę. Teraz Elsie nie mogła już się powstrzymać od szerokiego uśmiechu. Ich oczy spotkały się i przez sekundę patrzyły prosto na siebie, nic nie rozumiejąc. Młoda dziewczyna otworzyła usta - gołym okiem było widać, że czuje się dotknięta - i odwróciła wzrok, jakby się wręcz zawstydziała, a potem przyspieszyła kroku i przeszła obok. Uśmiech Elsie zgasł, przez sekundę miała ochotę odwrócić się i pobiec za dziewczyną, złapać ją za ramię i powiedzieć, że nie to miała na myśli. Absolutnie nie! Jednak, rzecz jasna, nie zrobiła tego. Wcisnęła tylko ręce w kieszenie palta i uniosła ramiona, tak jakby to na nich poczuła ciężar winy, a ona chciała strącić ją na ziemię. Oczywiście nic to nie pomogło. Nigdy nie pomagało.

199

Zatem miała nareszcie w zasięgu oczu Trafalgar Square, przystanęła przed przejściem dla pieszych i czekając na zielone światło, patrzyła na plac. Wyglądał na dziwnie opustoszały, wprawdzie wokół pomnika Nelsona tłoczyły się gołębie, ale na szarej powierzchni było tylko kilkadziesiąt osób. Pewnie turyści. I jacyś pojedynczy Anglicy w drodze do pracy. Albo do dentysty. Albo do kochanki, która....

Come on, luv - powiedział mężczyzna za jej plecami. Spojrzała w górę i zobaczyła, że światło zmieniło się na zielone, więc ruszyła. Nie, żeby wiedziała, co ma tu do roboty. W ogóle co można robić w

znanych miejscach poza postaniem i popatrzeniem na nie przez chwilę. Pozwolić czasowi, by płynął, pozwolić sekundom i minutom, by tykały i mijały, pozwolić podprowadzić się nieco bliżej grobu i wielkiego zapomnienia.

Ech. Ponownie uniosła ramiona i otrząsnęła się. To naprawdę głupie, zupełnie idiotyczny sposób myślenia. Potrzebowała spaceru, prawda? Czy to właśnie nie spacerów brakowało jej najbardziej, kiedy była na morzu? Nie miało znaczenia, ile razy wędrowała wokół pokładu, bo nigdy nie był to spacer na lądzie, a już zupełnie nie jak spacer po Londynie w kierunku Trafalgar Square.

- Excuse us, miss - powiedział nagle jakiś głos. Could you?

Obok Elsie stała teraz dziewczyna, która podawała jej aparat fotograficzny, uśmiechnięta, młoda kobieta! z ciemnymi włosami i jasnym uśmiechem. Tuż przy niej stała zupełnie taka sama druga kobieta. Były identyczne. Nawet przedziałki miały po tej samej stronie głowy i były tak samo ubrane w staromodne kurtki i plisowane spódnice. Zdecydowanie nie z Londynu. Sądząc po medalikach ze świętymi, które nosiły na szyjach, mogły być turystkami z Włoch lub z Hiszpanii. Bliźniaczkami. Na pewno jednojajowymi.

200

Uśmiechnęła się w odpowiedzi. Oczywiście. Siostry objęły się ramionami, pochyliły do siebie głowy i uśmiechnęły do obiektywu. Kiedy Elsie podniosła aparat do oka, aż ją zabolalo z tęsknoty. Kiedyś ja też miałam...

Gdy szła z powrotem, zaczęło padać, mżący, brudny deszcz londyński, który docierał do każdego włosa na jej głowie i zaraz zniszczy jej fryzurę. Bez namysłu wsunęła rękę pod kołnierz palta i zaczęła poszukiwać palcami szalika, którego nie było, potem rzuciła szybko okiem na zegarek i podjęła decyzję. Filiżanka kawy. Po chwili zobaczyła szyld. Tea Room. Uśmiechnęła się do siebie. Jakby przyciągnęła go myślami.

Wybrała stolik przy oknie, usiadła, rozpięła palto i zaczęła się rozglądać. Była niemal zupełnie sama. Przy stoliku w głębi kawiarni siedziały dwie starsze panie, które prowadziły po cichu rozmowę, poza tym było pusto. Na zewnątrz, na ulicy nasilił się deszcz, ludzie biegli truchtem, jakaś kobieta z plastikową ochroną na włosach, mężczyzna z parasolką, chłopak z podniesionym kołnierzem kurtki, która poza tym była rozpięta. Iluż ludzi jest na świecie! I każdy z nich jest głównym bohaterem swojej opowieści, pełnej własnych słów i wspomnień oraz do pewnego stopnia wypieranej świadomości, że wszystko to któregoś dnia zniknie, przestanie istnieć, że już tego nie będzie. Miasto nadal będzie żyło, domy towarowe będą każdego ranka otwierały swoje drzwi, kawa będzie podawana, gazety drukowane, pieniądze będą zmieniać właścicieli, będzie się szyło ubrania po to, By je zniszczyć,

a potem wyrzucić, ale każdy, kto bierze udział w tworzeniu tego życia, jest w drodze ku śmierci. Nikomu się nie upiecze.

Elsie zamknęła oczy. Co się z nią dziś dzieje? Dlaczego przez cały czas myśli o rzeczach, o których nie powinien myśleć żaden rozsądny człowiek?

201

Spojrzała na swoją kawę, tak jakby w niej mogła znaleźć jakąś odpowiedź, a potem westchnęła tak głośno, że obie kobiety w głębi lokalu przerwały na chwilę rozmowę i spojrzały na nią. Spróbowała uśmiechnąć się do nich uspokajająco i podniosła filiżankę, a one odwróciły od niej wzrok i powróciły do swojej rozmowy.

Niepokój. Oczywista odpowiedź. Ogarnął ją niepokój. Bała się. Denerwowała. Była niespokojna przed nadchodzącym spotkaniem. Zawsze niepokoiła się przed spotkaniami z Björnem. Bała się, że tym razem, właśnie tym razem zada te dwa pytania, których nigdy nie zadał, te dwa pytania, które zalegały pomiędzy nimi, które zawsze tam były, puchły i robiły się większe z każdym mijającym rokiem. Niedługo nie będą mogli być w tym samym domu, bo niewypowiedziane pytania zajmą całą przestrzeń.

Być może już czas, żeby wreszcie na nie odpowiedzieć.

202

-Londyn - powiedział Tommy z uśmiechem.

-Yes! - powiedział Peo, odchylił się do tyłu i przejechał ręką po skórze fotela. - Londyn.

Björn nic nie powiedział, uśmiechnął się tylko na swoim rozkładanym, dodatkowym siedzeniu, zamontowanym tyłem do fotela kierowcy.

-Do Strand Palace Hotel - poprosił Niclas.

- Strand Palace - powtórzył Bosse, opierając się o drzwi, żeby zachować równowagę podczas ruszania czarnej limuzyny wytwórni płytowej, kiedy robiła zakręt w stronę wyjazdu. On też miał miejsce na rozkładanym siedzeniu.

- Czy ktoś poza mną był już tu wcześniej? - zapytał Tommy, grzebiąc w kieszeniach w poszukiwaniu papierosów.

Nikt nie odpowiedział, nikt nawet nie potrząsnął głową, ponieważ pytanie było już wcześniej zadawane i odpowiadano na nie oraz dlatego, że odpowiedź zawierała punkt dodatni dla Tommy'ego i minusy dla całej reszty. Wszyscy wyglądali przez okno i wpatrywali się bez słowa w obcy świat na zewnątrz. Pewna była tylko jedna rzecz: czarna taksówka z tyłu za nimi. Jechali w niej dziennikarz i fotograf z „Magazynu Ilustrowanego”.

Może ma to związek z tym, że tak mało spał. Albo że jest zdenerwowany. Znowu miał tremę. Jednak było to bardzo dziwne uczucie, nic nie wydawało się rzeczywiste. Tak jakby podróżował we śnie na jawie. Jakby sam stał się bohaterem ze snu. I jakby mógł myślami pozbyć się innych chłopaków z zespołu, jakby Karl-Erik nie siedział na przednim siedzeniu obok kierowcy z wytwórni...

203

Zamrugnął i rozejrzał się dookoła, wchłaniał wszystkie kolory: jasnoczerwona marynarka Tommy'ego,

czarny kołnierzyk koszuli Pea, jasnobłond włosy Bossego. Wszystkie szczegóły na zewnątrz samochodu. Segmenty z czerwonej cegły. Ręcznie wymalowane szyldy sklepików. Dziewczyna w niebieskim palcie i białych pończochach. Kobieta w chuście na głowie i z czarną reklamówką w ręce. To jest prawdziwe. Wszystko. Musi to zapamiętać. Nie może sobie pozwolić uwierzyć, że to był tylko sen. To, co miało się nigdy nie zdarzyć, naprawdę się zdarzyło. Zdarzyło się teraz.

-Co, chłopaki - powiedział Karl-Erik z przedniego siedzenia. - Fajnie jest?

-Cholernie fajnie - odparł Tommy i zapalił papierosa.

- Fantastycznie - stwierdził Peo.

- Cholernie genialnie - dodał Niclas.

- Zupełnie wspaniale - wybuchł Bosse. Na chwilę zapadła cisza.

- A Hallgren? - zapytał Karl-Erik.

Björn zamrugał.

- No tak. Superfajnie.

- Nie tęsknisz za dziewczyną?

Tommy wyszczerzył się. Björn przejechał ręką po grzywce.

-Co?

Karl-Erik wydawał się rozbawiony.

- No, tą dziewczyną z Kastrup?

- Och - odparł Björn.

- Jak ona ma na imię?

- Eva.

Na chwilę zapadła cisza, Björn wyglądał przez okno.

-To twoja dziewczyna? - zapytał w końcu Peo.

204

Björn zmienił pozycję, nie do końca wiedział, co odpowiedzieć. Czy to jego dziewczyna? Nie. Tak.

W jakiś sposób nią jest. W jakiś sposób sama się nią zrobiła, kiedy pojawiła się rano przy promie. A może

to stało się wtedy, kiedy rzuciła mu się na szyję na lotnisku dokładnie w tej chwili/ kiedy fotograf „Magazynu Ilustrowanego” podniósł do góry aparat. Gdyby Karl-Erik nie zareagował, byłaby na okładce następnego numeru. A to nie byłoby dobre. Wręcz złe.

-To tylko dziewczyna - powiedział. Tommy uśmiechnął się szyderczo.

-Ooochch - powiedział, szturchając w bok Pea. - To tylko dziewczyna.

Peo wyszczerzył zęby.

-Aha, dziewczyna.

W głosie Karla-Erika słychać było ich prześmiewki:

-A teraz w hotelu czeka na ciebie mama.

Super. Zamienia się w ich pośmiewisko. Björn wyprostował plecy i zaczął szukać papierosów w kieszeni kurtki.

- Tak. Czeka.

- Dawno się ostatnio widzieliście?

To było rok, dwa tygodnie i cztery dni temu. Ale tego oczywiście nie mógł powiedzieć, więc nonszalancko wzruszył ramionami.

-Rok temu - powiedział. - Tak mi się zdaje. Potem pochylił się nad zapalniczką, którą podał mu

Tommy.

-To o której mamy próbę? - zapytał jeszcze.

-O szóstej - odpowiedział Karl-Erik. - Ale musimy tam być najpóźniej o wpół do piątej. Bądźcie tego świadomi.

205

Siedziała na czerwonej, pluszowej kanapie w hotelowym foyer i wstała w tej samej chwili, w której on wszedł do środka, przez moment stała bez ruchu i tylko na niego patrzyła, a potem szybko przesunęła rękami wzdłuż spódnicy i uśmiechnęła niepewnie. Björn zatrzymał się w pół kroku i stał tak samo nieruchomy, próbując przyzwyczać wzrok do tego, że patrzy na Elsie, ten wzrok, który był tak bardzo przyzwyczajony do Inez. W zasadzie nie były już do siebie tak podobne. Inez miała krótką fryzurę i loki. Elsie nosiła włosy wysoko upięte. Inez zazwyczaj chodziła w czymś w kwiatki, w czymś, co ewentualnie mogło być sukienką, ale równie dobrze tym, co nazywano podomką - Björn nigdy nie zrozumiał do końca różnicy - podczas gdy Elsie ubrana była w plisowaną spódnicę i dwa sweterki, jak dziewczyna. Miała nawet złoty łańcuszek na szyi. Wiedział, że Inez ma identyczny łańcuszek, ale nosiła go tylko od święta. No i Inez była blisko. A Elsie bardzo daleko. Nie. Björn przymknął oczy i zmusił się do poprawnego

myślenia. Elsie była blisko. A Inez bardzo daleko. Akurat teraz.

Rozłożył ramiona i uśmiechnął się. Prawdziwie pewny siebie uśmiech za prawdziwie pewnym siebie gestem. Gestem, który idealnie tu pasował.

-Mama - powiedział.

Zrobiła krok do przodu i znowu się zatrzymała.

-Björn.

Głos mu drżał, bardziej czuł, niż widział, jak inne chłopaki przystają i patrzą w ich kierunku, jak rejestrują każdy ton głosu i każdy ruch. Teraz trzeba zachować równowagę. Nie wyglądać na zbyt spiętego. Cool. To właściwe słowo. Trzeba być cool.

Elsie załśniły oczy i pospieszyła w jego kierunku, żeby zanurzyć się w jego otwartych ramionach, a on natychmiast uświadomił sobie, że musiał urosnąć minimum pięć centymetrów, odkąd się ostatnim razem widzieli. Byli wtedy tego samego wzrostu, a teraz Björn był o tyle od niej wyższy, że Elsie musiała zadzierać głowę do góry, żeby móc go widzieć, kiedy stali bardzo blisko siebie.

206

Ona to zauważyła, zrobiła krok do tyłu i się uśmiechnęła.

-Urosłeś!

Björn też się uśmiechnął:

-Coś ty. To ty się skurczyłaś.

To była dobra replika, która znowu puściła w ruch świat i przywróciła mu realność. Elsie roześmiała się i zrobiła krok w tył, chłopaki z zespołu też się roześmieli, Björn odwrócił się i zaprezentował ich mamie, a Karl-Erik zrobił krok do przodu i wyprężył się.

- A to Karl-Erik - powiedział Björn. - Z wytwórni płytowej.

- I twój menedżer - dodał Karl-Erik, przyciągając szybko rękę Elsie do swoich ust. Elsie przez chwilę wpatrywała się w niego ze zdumieniem, a potem wybuchnęła śmiechem.

Przyszła pora na lunch. Wspólny lunch. Jako pierwszy do wielkiej sali jadalnej wkroczył Karl-Erik, a za nim podążyła reszta, z Elsie na przodzie kolejki i Björnem na jej końcu. Było to duże, mroczne pomieszczenie z kolorowymi witrażowymi oknami, ciemnymi meblami i sztywnymi, białymi obrusami.

W zasadzie nie pasuje do zespołu popowego, pomyślał Björn, przeciskając się pomiędzy dwoma stolikami. Choć pozostaje oczywiście pytanie, jak ma wyglądać wnętrze pasujące do zespołu popowego. Wzruszył lekko ramionami sobie samemu w odpowiedzi, Podczas gdy kierownik sali przystanął przy

okrągłym stole, ukłonił się lekko w stronę Karla-Erika, który odpowiedział mu szybkim kiwnięciem - stół został zaakceptowany - a potem zwrócił się ku Elsie i odsunął dla niej krzesło. Elsie zawahała się przez chwilę, poszukała wzrokiem Björna, a później poddała się, spuściła powieki i usiadła. Po jej lewej stronie wyładował Niclas.

207

Björn zobaczył, jak Elsie rzuciła mu szybkie spojrzenie, a potem podniosła wzrok na Björna. Ponownie wzruszył ramionami na to nie poradzimy - a potem wysunął własne krzesło i usiadł. Elsie poruszyła nieznacznie ustami. Jestem zawiedziona- a potem pochyliła się nad menu, które rozłożył przed nią kierownik sali. Björn odwrócił wzrok.

Kiedy czekali na przyjscie kelnera, zrobilo się cicho. Bardzo cicho.

-A więc pływa pani po morzach - powiedział w końcu Karl-Erik.

Elsie wypita łyk wody. -Tak.

-Ja też pływałem w młodości.

Elsie odwróciła do niego głowę i spróbowała się uśmiechnąć.

-Ach tak. A gdzie? Karl-Erik skrzywił się.

-Na Archipelagu Sztokholmskim. Pływałem promem do Waxholm.

Tommy roześmiał się pierwszy, a ponieważ śmiał się Tommy, roześmieli się też Niclas, Peo i Bosse. Elsie wyglądała na zaskoczoną, ale potem i ona zaczęła się śmiać, tylko Björn ograniczył się do oparcia brody na rękach i uśmiechu. W drzwiach zobaczył dziennikarza z fotografem „Magazynu Ilustrowanego”, którzy trochę niepewnie przestępowali z nogi na nogę, jakby nie mieli odwagi wejść do restauracji. Dziennikarz miał na imię Mats. Twardy chłopak, który często się czerwienił. Był tylko kilka lat starszy od Björna i nigdy wcześniej nie był w Londynie, on także. Może nawet nie był wcześniej w restauracji. Tak to wyglądało. Za to fotograf był starszy i bardziej obyty w świecie. Teraz nareszcie przestąpił próg i zaczął iść w ich kierunku, z ciężką lampą błyskową, przewieszoną przez jedno ramię, obejmując dłońmi swoją leicę. Mats, potykając się, podążył za nim, płonęły mu policzki. To mógłbym być ja, pomyślał Björn.

208

Mógłbym być takim Matsem. Ale nie jestem nim. Jestem Björnem

Hallgrenem. Stałem się Björnem Hallgrenem.

Karl-Erik zawiesił głos w środku zdania i spojrzął na fotografa:

- No nie, Jonsson - powiedział. – Zapomnieliśmy o was?

Fotograf nie odpowiedział, tylko podniósł aparat i obrócił się do Björna, który z kolei automatycznie

uniósł brodę i lekko się uśmiechnął. To będzie dobre zdjęcie. Wszystkie jego zdjęcia były dobre. Dużo lepsze niż rzeczywistość.

-Musimy zmienić stół - powiedział Karl-Erik. - Prasa przecież też musi coś zjeść.

Machnął na kelnera, który natychmiast popędził do kierownika sali, który z kolei niemal przybiegł do ich stołu. Nowy stół? Oczywiście. Nieużywane serwetki odłożono z powrotem na stół, wysunięto krzesła, wszyscy wstali i zaczęli ponownie sunąć gęsiego na drugi koniec restauracji. Kierownik sali stanął przy większym stole i uniósł pytająco brwi, a Karl-Erik ponownie kiwnął głową. Zaakceptowane.

Tym razem Elsie stanęła tuż obok Björna, tak blisko, że było całkowicie naturalne posadzić ich obok siebie po lewej stronie Karla-Erika. Mats i Jonsson zostali usadzeni po jego prawej stronie.

Elsie poczekała, aż rozkręciły się rozmowy wokół nich, a potem rozłożyła na kolanach nową serwetkę, wbiła wzrok w kieliszek i ściszym głosem zapytała:

-Wszystko w porządku?

Björn poczuł ściskanie w żołądku. Przelotny ból, który pojawił się i zniknął, nie pozostawiając po sobie ani śladu. Sięgnął po swoją serwetkę.

- Wszystko idealnie - powiedział z uśmiechem. - Jak widzisz.

- Jak się mają Inez i Birger?

209

Björn podał jej koszyk z chlebem. Był to świadomy gest, dorosły. Bo był już dorosły. Samodzielny i zarabiający na swoje utrzymanie. Bardziej znany, niż kiedykolwiek była jego matka. Niż mogłaby być.

-Wszystko mniej więcej normalnie.

Elsie wzięła małą bułeczkę, ale zaraz ją wypuściła.

-Oj, ale gorąca!

Björn nie odpowiedział, ale sam włożył rękę do koszyka z pieczywem i wyciągnął tę samą bułeczkę, którą potem położył na jej talerzu. Rzeczywiście była bardzo ciepła, ale nie na tyle, żeby nie mógł jej dotykać, nie pokazując na twarzy bólu. Mogę - przeleciało mu przez głowę. - A ty nie możesz. Uśmiechnął się szybko, żeby nic nie zauważyła.

-Świeżo upieczona.

Nie spojrzała na niego, wpatrywała się w bułkę na swoim talerzu i mówiła nadal bardzo ściszym głosem.

-Jak do tego wszystkiego doszło?

Björn uśmiechnął się jeszcze szerzej, ale dał jej poczekać na odpowiedź. Przed oczami przesunęło mu się kilka wspomnień, zobaczył furtkę przed domem w Landskronie, poczuł na języku smak metalu i poczuł, że wie chociaż właściwie tego nie wiedział, że chodzi o tamten dzień, kiedy był mały i właśnie zrozumiał, że wszystkie inne dzieci mają mamę i tatę. A co miał on? Inez i Birgera. Sekundę później był kilka lat starszy i przechodził obok domu małego dziecka w Landskronie, w świetle dnia - szarego domu z szarym balkonem i kilkoma białymi, żelaznymi łózkami. Świadomość, że to właśnie tu kiedyś chciała go zostawić, powoli wypełniła go całego, każdą komórkę jego ciała. Zamrugał, żeby przegonić wspomnienia, zmusił się do myślenia o czymś innym, o wszystkim co dobre, o tym, co się udało, co doprowadziło do tego, że siedzi teraz w hotelu w Londynie i stać go na wybranie każdej potrawy z menu. O tym, jak w szóstej klasie grał w teatrze.

210

Jak wygrał z Inez i zaczął zapuszczać włosy. Jak po raz pierwszy śpiewał przed całą klasą. To było Love me tender, a on jedną połową siebie był głęboko w melodii, a drugą widział, jak część dziewcząt nagle wyprostowała się i patrzy na niego z szeroko otwartymi oczami, niesamowicie szeroko otwartymi, wpatrującymi się w niego. Oczami, które widziały przyszłość, oczami, które już wtedy ujawniły, że ten dzień nadejdzie.

Björn wziął swoją serwetkę, rozłożył ją na kolanach i wygładził ręką. Elsie uniosła wcześniej głowę i przyglądała mu się, ale teraz odwróciła od niego wzrok i patrząc w talerz, powiedziała:

- Nawet nie wiedziałam, że umiesz śpiewać... Uśmiechnął się w odpowiedzi:

- Są ludzie, którzy nadal nie wierzą, że potrafię...

Tak to się robi. Tak robią wszyscy dorośli. Odpowiadają żartem. To, co poważne, spada na dywan i znika wchłonięte przez czerwony puch. Znowu poczuł ssanie w żołądku, spuścił wzrok i patrząc w talerz, usiłował odegnać obraz Inez, która na sekundę wyłoniła się z twarzy Elsie. Młodej Inez. Albo chociaż młodszej. Inez patrzącej na niego bez wahania i bez niepokoju, które jak chusta przysłaniały jej twarz od kilku lat. Inez, której niemal nie pamiętał. Odchrząknął i miał właśnie coś powiedzieć, kiedy uświadomił sobie, że tak naprawdę nie ma nic do powiedzenia. Nie do Elsie. Inez mógłby powiedzieć to i owo. Ale Elsie nic. Zupełnie nic.

Powietrze pomiędzy nimi zadrżało. Ona czekała, aż on coś powie, czekała, wstrzymując oddech i nadal na niego nie patrząc, a kiedy on nie mówił nic, powoli podniosła wzrok i otworzyła usta. Błyskawicznie odwróciła głowę, pochylił się nad swoim chlebem i zaczął go kroić, nie pozwalając oczom, aby dały się złapać jej spojrzeniu.

Uratował ich Karl-Erik. Pochylił się nad Elsie z uśmiechem:

211

- Przyjdzie pani chyba dziś wieczorem - powiedział.

Popatrzyła na niego i odpowiedziała uśmiechem:

-Tak, dziękuję - odparła. - Jeśli wolno.

-Są już tam od dwóch godzin - powiedziała Eva patrząc na zegarek.

Susanne zerknęła na swój. Byli na miejscu od godziny, ale nie chciała o tym mówić, kiwnęła tylko głową. Przyznała rację. Idiotycznie byłoby powiedzieć, że w Londynie jest o godzinę wcześniej niż w Landskronie. Jakby Eva o tym nie wiedziała.

Eva zadzwoniła do niej już o dziesiątej, mówiła nowym, trochę zdyszczonym głosem. Czy mogłyby się spotkać, kiedy jej mama zastąpi ją w perfumerii? O wpół do pierwszej? Susanne nie zdążyła jeszcze nawet się ubrać, była sobota, wolne soboty nadal wydawały się jeszcze luksusem. Niedawno uświadomiła sobie, że przyjemność staje się jeszcze większa, jeśli poświęci się poranek myciu głowy i piłowaniu paznokci, więc teraz stała przy telefonie tylko w szlafroku. Czysty fart, że Inez z górą prania właśnie zniknęła na dole w piwnicy i nie mogła usłyszeć, jak Susanne bez tchu zgodziła się na spotkanie. Potem całe przedpołudnie poświęciła patrzeniu, co robi Inez, i jak tylko zamknęły się za nią drzwi - Inez poszła najpierw do Lydii, a potem na rynek, w soboty zawsze chodziła do Lydii i na rynek

- Susanne pospiesznie wyciągnęła woreczek z prezentami od Ewy. Malowanie się zajęło jej niemal pół godziny. Wyszło bardzo ładnie, naprawdę ładnie, ale Eva nie powiedziała jeszcze ani słowa o jej twarzy. Susanne czuła się tym zawiedziona i jednocześnie wstydziła się, chociaż nie do końca wiedziała czego.

- Myślę, że zjem ciastko - powiedziała Eva. Jej głos brzmiał teraz prawie tak jak zawsze. Susanne znowu kiwnęła głową, ale pomyślała przy tym o pieniądzach w swojej portmonetce. Czy starczy na ciastko?

212

-Ile ono kosztuje? - zapytała ostrożnie.

Eva uśmiechnęła się ciepło i miło. Niemal dorośle.

- Ja płacę. Nie martw się o to.

Na chwilę zapadła cisza. Kelnerka, która - w czarnej sukience i białym fartuchu - zbierała filiżanki ze stołu obok, kiwnęła głową, gdy Eva wykonała gest w jej kierunku. Zaraz przyjdzie. Eva uśmiechnęła się lekko, a potem złożyła ręce pod brodą, spojrzała na Susanne i jej uśmiech stał się nieco szerszy.

- Nie wiedziałam, że jest taki wysoki. Susanne wyglądała na skonsternowaną:

- Kto?

- Tommy. Że jest taki wysoki.

Susanne kiwnęła głową. Jeden z chłopaków w zespole był bardzo wysoki, wiedziała o tym, ale nigdy nie skojarzyła, że to właśnie on ma na imię Tommy. Jednak teraz to wie i już nie zapomni.

- Tak. Jest wysoki.

- Ile razy ich spotkałaś?

Susanne poruszyła się na krześle z miną winowajcy.

-Tylko raz. Kiedy miesiąc temu występowali w Malmö. Wszyscy tam byliśmy.

Eva uniosła do góry brwi:

-Twoja mama i tata też?

Susanne kiwnęła w milczeniu głową.

-Ja też tam byłam - powiedziała Eva. - Ale nie dostałam żadnego miejsca...

Nagle przy ich stole stanęła kelnerka. Eva uśmiechała się do niej.

- Poprosimy dwie kawy. I dwie princessy.

Zerknęła na Susanne. Zgoda? Susanne znowu kiwnęła głową i zobaczyła, jak Eva rzuca kolejny uśmiech kelnerce.

213

Zaczęła rozpinać kurtkę i rozejrzała się szybko dookoła. Nigdy wcześniej nie była w tej cukierni tak naprawdę w ciągu swoich czternastu lat nigdy nie była w kawiarni w Landskronie. Raz w Malmö, dwa razy w Lund i cztery razy w Kopenhadze. Jednak nigdy wcześniej w Landskronie. Inez uważała, że nie ma takiej potrzeby. Kawę mają w domu.

-Byłaś też za kulisami?

Susanne podniosła oczy do góry i uśmiechnęła się samo wspomnienie.

-Tak. Pozwolili nam wejść na tył sceny, zanim zaczęli. Żeby się przywitać.

Chociaż nie za dużo było tego witania. Björn był jakiś inny, przebijając się, mówił głośno i krzykliwie, taki jakby nie chciał dać innym dojść do słowa. Reszta chłopaków z zespołu tylko gdzieś im przemknęła. Wysoki Tommy przeszedł korytarzem obok, unosząc rękę w pozdrowieniu, a reszta przyszła do ich łóży, żeby przywitać się z Inez i Birgerem. Potem nie zostali, żeby z nimi porozmawiać, tylko od razu wyszli. Jeden nie miał na sobie koszuli, tylko mały ręcznik przerzucony przez szyję. Miał na imię Peo. Przynajmniej tak jej się wydawało. Nie podał jej ręki, unióś ją tylko i pomachał do niej, kiedy już przesuwał się w stronę drzwi. Ona też mu pomachała i robiąc to, poczuła się strasznie głupio.

Potem poszli na koncert. Siedzieli na samym przodzie i nie poruszyli się nawet o milimetr, kiedy dziewczyny zaczęły się pchać w kierunku sceny. Inez i Birger odwrócili się tylko do siebie i unieśli brwi w ironicznym grymasie. Susanne chwyciła mocno oparcie swojego fotela i próbowała utrzymać się w miejscu, niczym mała łódka w czasie sztormu, która robi wszystko, by nie dać ponieść się wodzie.

I wtedy jakaś starsza dziewczyna dosłownie przeskoczyła nad nią.

214

Nadal dobrze pamięta swoje zdumienie w chwili, kiedy jej głowa znalazła się pod spódnicą tej dziewczyny, sekundę, gdy zobaczyła białą halkę i szparę pomiędzy majtkami i pończochami. Chwilę potem dziewczyna postawiła obcas na jej udzie, okropnie zabolalo i zostawiło siniec, który trzymał się ponad tydzień.

W drodze do domu Inez i Birger rozmawiali i podśmiewali się w samochodzie, ale Susanne nie mogła powiedzieć ani słowa. Nie wiedziała, czy powinna się cieszyć, czy martwić tym, co zobaczyła. Czy tylko jest wykończona. Muzyka przemówiła do niej, strasznie miło było poczuć w całym ciele uderzenia gitary basowej, zamknąć oczy i usłyszeć mroczny głos wydobywający się z krtani Björna, głos, który wypełniał całą salę, dosięgał sufitu i wnikał pod krzesła, i który nie był w najmniejszym stopniu podobny do głosu, którym Björn mówił. A potem dosłownie poczuć wibrowanie błon bębenkowych, kiedy wysoki gitarzysta wykonywał swoją solówkę. Jednocześnie ogarniało ją przerażenie, gdy patrzyła na szturmujące do przodu dziewczyny, na to, jak wyły i rzucały się na scenę - jednej udało się wspiąć do połowy, zanim ochroniarz złapał ją za nogi i ściągnął na ziemię - a inne stały bez ruchu i płacząc, wpatrywały się w Björna. Dlaczego płakały? I co zamierzała zrobić tamta dziewczyna, gdyby naprawdę weszła na scenę?

-Boże, jak one się gapią! Na pewno wiedzą, kim jesteśmy

Eva pochylała się nad stołem i mówiła do niej półszepem. Zaskoczona Susanne rozglądała się dookoła.

-Kto taki?

- Dziewczyny tam dalej.

Eva wykonała niemal niewidoczny ruch głową, Susanne podążyła za nim wzrokiem. W rogu siedziało kilka dziewczyn, było ich cztery, ale żadna się nie gapiła. Tylko Jedna zerknęła na Susanne, a potem pochylała się i powiedziała coś szeptem do innych.

215

Jednak Eva straciła już dla nich zainteresowanie

-Odwożłam go - powiedziała Eva. – Pojechałam aż do Kastrup.

Susanne nie odpowiedziała, bo nie wiedziała, co powiedzieć.

-Zjedliśmy śniadanie na promie. Susanne spróbowała się pozbierać.

-Aha.

- Powiedział, że twoja mama zrobiła mu przed wyjściem kaszy. Ale on zjadł tylko jedną łyżkę. I ja to

rozumiem. Kasza!

- Mama zawsze robi kaszę.

- Ale Björn jej nie lubi.

Eva wyciągnęła z paczki papierosa i zapaliła. Susanne podążyła wzrokiem za jej ręką, patrzyła, jak trzyma zapaloną zapałkę już po zapaleniu papierosa i jak wpatruje się w drżący płomień.

-Wiem - powiedziała później. - Ja też nie lubię. Ale to nie pomaga.

Eva nie usłyszała jej, lśnięcymi oczami wpatrywała się w gasnącą zapałkę.

-Musiałam gnać do domu. Wziąć autobus z Kastrup. A potem pędzić jak łoś, żeby zdążyć na prom. Już w Landskronie musiałam złapać taksówkę.

Kelnerka postawiła przed Evą filiżankę i uśmiechnęła się lekko do Susanne, kontynuując podawanie. Susanne nie była pewna, co oznacza ten uśmiech. Czy uważała, że Susanne wygląda na zbyt młodą? Na dziecko? A może ją rozpoznawała? Czy wiedziała, że Susanne jest siostrą - to znaczy nie, kuzynką - Björna Hallgrena?

Eva wpatrywała się w swoje ciastko, zdrapywała widelczykiem lekko zielony marcepan. Miała ponura, minę.

-Mamula nie lubi, jak jeżdżę taksówką. Między nami mówiąc, jest dość skąpa.

216

Susanne bez słowa kiwnęła głową. Mamula? Trudno było wyobrazić sobie, że Eva nazywa panią Salomonsson mamulą. To tak jakby ona sama nazwała Inez staruszką. Nie do pomyslenia. Cudem było już to, że wolno jej było zwracać się do rodziców na ty. Inez nie mówiła przecież na ty do Lydii. Eva upuściła zapałkę do popielniczki i zniżyła głos:

-Otworzyłam dopiero kwadrans po dziesiątej. A wcześniej nie zdążyłam nawet założyć fartucha.

Susanne zrozumiała, że musi coś powiedzieć. Cokolwiek.

-Och - powiedziała w końcu.

Po twarzy Ewy przemknął niewielki dumny uśmiech.

-Tak. Ale myślę, że nikt nic nie zauważył. Ludzie nie przychodzą do nas wcześniej niż o wpół do jedenastej.

Susanne wzięła do ust kawałek ciastka i kiwnęła, czując, jak słodczy rozplywa się na podniebieniu.

-Następnym razem pojedę z nim - powiedziała Eva.

Susanne przetłknęła i wytrzeszczyła oczy.

-Pojedziesz?

Eva kiwnęła głową i uśmiechnęła się.

-Tak powiedział. Że następnym razem, jak pojedzie do Londynu, zabierze mnie ze sobą.

-Och.

To było małe westchnienie, wymknęło jej się zupełnie niechcący i wyglądało na to, że spodobało się Evie. Zgasiła szybko papierosa i położyła dłoń na ręce Susanne.

-Uspokój się - powiedziała z jeszcze szerszym uśmiechem. - Znajdziemy jakiś sposób, żebyś i ty mogła z nami pojechać.

217

-O Boże - powiedziała Inez, rozwiązując chustkę. Jak długo mama będzie tak miała?

Lydia uśmiechnęła się, lekko oparta o framugę i wrzuciła ramionami, nadal z rękami założonymi na piersiach.

-Jeszcze tydzień. Mniej więcej. Inez ściągnęła kozaki, ale stała jeszcze chwilę, trzymając je w czubkach palców i szukając wzrokiem miejsca, gdzie je postawić. W końcu rzuciła je na skrzynię z narzędziami. Zdjęła i odwiesiła palto, a potem, oparta o ścianę, przecisnęła się pomiędzy stosem kartonów a lustrem z przedpokoju.

- Podczas remontu powinna mama pomieszkać u nas powiedziała, zaglądając do ciemnej łazienki, gdzie rozkręcane rury rozdziawiały swe paszcze. Ściany pokrywało coś brązowego. Czy to może być masonit? Czy w łazience naprawdę można mieć masonit?

- Tak jest dobrze - odparła Lydia. - Chcesz chyba kawy?

- Czy mama może tu parzyć kawę?

- O tak. Kuchnia jest już prawie gotowa. Odwróciła się do niej plecami i weszła do kuchni.

Inez podążyła za nią, przeszła nad kolejnym kartonem, a potem przystanęła dokładnie przed drzwiami do kuchni i rozejrzała się dookoła. Okno było na swoim dawnym miejscu, ale reszta wyglądała inaczej. Nowe szafki i szuflady. Zielona kuchenka. I identycznie zielona lodówka i zamrażarka. Tylko nad zlewozmywakiem nadal nie było kafelków i blat nie był pokryty laminatem.

218

- Awokado - powiedziała, opadając na krzesło przy stole.-

- Słucham?

Lydia uniosła pytająco brwi, splukując jednocześnie wodę. Jak zawsze była nieskazitelna. Wyglądała, jakby ją właśnie wyciągnięto z lodówki. Biała bluzka. Szara spódnica od kostiumu. Wypolerowane na lśniąco czarne buty na spiczastym obcasie. Starannie upięte, siwe włosy. Inez przejechała szybko ręką po swoich i poruszyła palcami w skarpetach.

- Kolor kuchenki i lodówki. Nazywa się awokado. Lydia znowu wzruszyła ramionami.

- Taak. Możliwe. Biorę, co mi dają.

To nie była do końca prawda i obie o tym wiedziały. Lydia miała mieć kafelki w całej łazience, nie tylko w rzędzie nad wanną jak inni lokatorzy. Poza tym udało jej się wynegocjować dodatkowy pokój z mieszkania obok, ponieważ jego stary lokator właśnie zmarł, a teraz, kiedy we wszystkich mieszkaniach zamierzano zrobić łazienki, ona sama przecież straciła pokój, który należał kiedyś do córek. Nie musiała nawet argumentować na swoją korzyść: Bertilsson, właściciel domu, zanotował jej życzenia, mimo że zostały mu przedstawione w starannie sformułowanych zdaniach podrzędnie złożonych, a potem zwrócił je w formie gotowych propozycji. Lydii pozostawało tylko kiwnąć głową. Być może dorzuciła też zdanie o zielonej kuchence. Inez nie miała pojęcia, ale nie przyszło jej do głowy żeby zapytać. Lydia nie należała do osób, które można o wszystko pytać. Jeszcze nie teraz. Ale wkrótce, już bardzo niedługo, zrobi się stara, a wtedy...

- Björn już pojechał? - zapytała Lydia, stawiając przed Inez filiżankę.

- Tak. Wcześniej rano.

- Z Kastrup?

- Tak.

219

Lydia rzuciła okiem na swój zegarek.

- To jest już chyba na miejscu...

Inez sprawdziła godzinę.

- Tak już jest.

Czyli już pewnie spotkał się z Elsie.

Inez spojrzała w stronę okna i właściwie nie odpowiedziała, z jej gardła wydobył się tylko jakiś mały dźwięk. Można było go zinterpretować jako przytaknięcie. Albo sprzeciw. Właściwie wszystko jedno. Lydia rzuciła na nią szybko okiem, nalewając kawę.

Tak, tak - powiedziała potem i usiadła przy stole, biorąc do ręki filiżankę. - Będzie dobrze.

Będzie? Ta myśl była jak wystrzał i Inez szybko podniosła swoją filiżankę, żeby się za nią schować. Lydia uśmiechnęła się po drugiej stronie stołu i popchnęła do niej mały talerzyk z ciasteczkami. Leżała pod nimi serwetka, mała japońska serwetka z papieru ryżowego z różowymi brzegami, w niebieskie kwiatki. Inez popatrzyła na nią i zamrużyła. Nie wolno być smutną. Nie ma powodu do smutku.

- Jak mu idzie? To znaczy w sensie finansowym?

Lydia przechyliła głowę. Inez przestała wpatrywać się w serwetkę i uniosła oczy.

- Nie wiem. Myślę, że całkiem dobrze. Birger się tym zajmuje.

- Birger? - powtórzyła Lydia. - Tak, tak.

- Birger zna się na pieniądzach - podkreśliła Inez.

- Jestem o tym przekonana - odparła Lydia, uśmiechając się najkwaśniej z swoich uśmiechów.

Inez przymknęła oczy i znowu je otworzyła. Spokój, tylko spokój. Wyciągnęła rękę po ciastko, małe, kruche ciasteczko, i już miała zanurzyć je w kawie, kiedy przypomniała sobie, gdzie jest. Lydia oczywiście nie wzięła ciastka, mieszała tylko łyżeczką w filiżance, chociaż nie wsypała do kawy cukru.

220

- A Birger ma się dobrze? - spytała potem.

Dziwne pytanie. Lydia i Birger musieli się przecież widzieć niecałą dobę temu, uczyli w tej samej szkole i spędzali wszystkie przerwy w tym samym pokoju nauczycielskim. Chociaż Inez nie miała pojęcia, jak często ze sobą rozmawiają, ani Lydia, ani Birger nie byli zbyt chętni do opowiadania o swoich szkolnych kontaktach.

-Tak, dziękuję - powiedziała po chwili. - Birger ma się dobrze.

-A Susanne?

Inez ostrożnie odgryzła brzeżek ciastka i do jej filiżanki spadł piękny deszczyk okruszków.

-No tak - powiedziała w końcu. - Susanne też ma się dobrze.

-Niedawno przyszła do szkoły umalowana - powiedziała Lydia. - Bardzo umalowana.

Inez podniosła filiżankę, żeby dać sobie czas na pomyślenie. Susanne umalowana? W szkole? Spokojnie. Tylko spokojnie.

-Tak - powiedziała, odstawiając filiżankę. - Sporo teraz eksperymentuje.

Lydia podniosła swoją filiżankę i spojrzała jej w oczy.

- Tak. To ten wiek.

- Tak. Właśnie. No i ten kurs.

- Jaki kurs?

-Kółko dla zainteresowanych sztuką malowania się we właściwy sposób.

Lydia uniosła brwi.

-Aha, doprawdy - powiedziała z uśmiechem. -Miejmy nadzieję, że to minie. Z czasem.

Ciastko zostało zjedzone. Inez wpatrywała się w swoją do połowy pełną filiżankę i próbowała wpaść na coś do powiedzenia, ale się to jej nie udawało. Lydia odwróciła głowę i wyjrzała przez okno.

221

Poranny deszcz ze śniegiem przestał już padać, ale na dworze nie było jasno. Grudniowe ciemności. Lydia i Inez siedziały przez chwilę w milczeniu, nie patrząc na siebie.

-Czy ona przyjedzie z nim do domu? - spytała w końcu Lydia.

Inez podniosła oczy i spojrzała na nią pytająco.

-Kto?

-Elsie. Wróci z Bjórnem do domu?

Ramiona Inez opadły lekko i przez moment wydawało jej się, że widzi siebie z zewnątrz, oklapła postać rozlaną na krzesło. Szmacianą lalkę, tak zmęczoną, że nie jest nawet w stanie utrzymać w górze głowy. Siostrę, która ma dość swojej siostry. Żonę, która ma dość swego męża. Matkę, która ma dość córki. Córkę, która ma dość matki. Osobę wypełniającą zawsze swoje obowiązki, która ma ich już potąd. Człowieka, który ma już dość bycia człowiekiem.

Zebrała siły, wyprostowała plecy i odgarnęła grzywkę z czoła.

- Mówiąc szczerze, nie mam pojęcia.

Pomiędzy brwiami Lydie pojawiła się zmarszczka.

- Ale przecież niedawno z nią rozmawiałaś.

Inez spojrzała matce w oczy, przesyła nagle zupełnie zniknął. Teraz czuła coś innego, coś równie niezbędnego do życia jak szpik kostny i równie niewidocznego, coś, co trzymało ją przy życiu, ale miało się najlepiej, gdy było pozostawione w spokoju.

-Tak.

- Nie zapytałaś jej?

- Oczywiście, że zapytałam.

- I co ona powiedziała?

- Oczywiście, że nie wie.

Lydia nie odpowiedziała. Inez podniosła filiżankę-

-Może sama powinnaś ją spytać. Mieszka w hotelu Strand Palace w Londynie. Mam jej numer.

222

Nareszcie Lydia odwróciła wzrok.

- Nie - powiedziała. - Nie to miałam na myśli. Byłam tylko ciekawa.

Obcasy Inez głośno uderzały o marmur schodów. I Było to miłe, dźwięk pasował do dzisiejszego dnia, tak, I do całego jej życia. Popchnęła szklane drzwi wyjściowe, I ale już na chodniku zatrzymała się i wyjęła chustkę, starannie złożyła ją w trójkąt i zawiązała na głowie. Potem zapięła wszystkie guziki palta i naciągnęła rękawiczki. Tak. Teraz jest gotowa na wszystko. Spróbujcie tylko, pomyślała mętnie. Chodźcie. Jeśli macie odwagę. Otrząsnęła z siebie tę myśl i zaczęła iść długimi krokami i z wyprostowanymi plecami. Torebka objęła się o uda, po chwili Inez zabrakło tchu, ale nie na tyle, żeby zwolniła tempo. W zamian trochę bardziej wydłużała każdy krok i z pewną satysfakcją zauważyła, że przynajmniej się nie poci. Może studziły ją przekleństwa, te, które wychodziły na powierzchnię, jedno po drugim, z każdym jej krokiem. Kurna. Cholera. Do diabła. Uśmiechnęła się, kiwając głową do znajomej twarzy po drugiej stronie ulicy, do twarzy bez imienia. Prawdopodobnie należała do rodzica którejś z jej cholernych uczennic, z którymi się szarpała, jednej z tych skończonych idiotek, które nawet nie wiedziały, gdzie w ich własnym domu jest kuchenka, jednej z tych rozchichotanych trzpiotek, które mają się za wyjątkowe, że nigdy w życiu nie będą musiały gotować. Ha! Można sobie być może wyobrażać coś takiego wieku nastu lat, ale kiedy ma się już lat dwadzieścia i dziecko, to w końcu i tak stoi się przy kuchni. Dlatego, że wszyscy faceci mają najwyraźniej dziedziczną skłonność otwierać dziób i wrzeszczeć, i wydają się go bardziej otwierać i więcej krzyczeć, jeśli co cztery godziny nie zapcha im się gęby jedzeniem.

Ucieknę pomyślała Inez. Oleję wszystko i wyjadę.

223

To była tak egzotyczna myśl, że Inez aż się zatrzymała w pół kroku, zastygła w miejscu i przez kilka sekund wpatrywała się przed siebie, po to, by zaraz odwrócić się w lewo, w stronę okna wystawowego. Minęła chwila zanim zobaczyła, że to sklep papieżniczy, że stoi i patrzy na jakieś kartki okolicznościowe. Z gorącymi podziękowaniami za uczestnictwo w pogrzebie męża,

Szczęściara, przeleciało jej przez głowę, ale od razu poczuła się tak winna, że aż musiała się rozejrzeć. Po drugiej stronie ulicy przechodziło kilka kobiet, ale nie patrzyły w jej kierunku, nie widziały jej myśli.

Znowu zaczęła iść, ale wolniej i mniejszymi krokami. Musi się uspokoić. Musi się opanować. Musi spróbować być tak spokojna i miła, jak wtedy gdy w domu jest Björn. Przecież w końcu jej się udało, nie powiedziała ani słowa o tym, że znika wieczorami, nie dała mu do zrozumienia, że nie śpi i czeka, aż on wróci w środku nocy. Nie skomentowała tego, że odmówił zjedzenia kaszy, którą mu rano ugotowała, tylko uśmiechnęła się lekko, no i pogodziła z faktem, że nie pozwolił jej odprowadzić się na prom. Była też spokojna i miła, kiedy założył budrysówkę i zawiązał na szyi szalik. Powstrzymała się też w ostatniej chwili od zrobienia kroku do przodu i objęcia go ramionami, zamiast tego uniosła tylko rękę w geście pożegnania. Do widzenia. Baw się dobrze. Pozdrów Elsie. On jej także pomachał, ale w wielkim pośpiechu, a potem zamknął drzwi i już go nie było.

Co pozostaje teraz? Dziesięć tysięcy ziemniaków do obrania. Piętnaście tysięcy pulpetów do uformowania! Dwadzieścia tysięcy kromek chleba do ukrojenia. Miliony litrów mleka do przytargania do domu ze sklepu! Dziesiątki dni, godzin, minut i sekund życia. Bezsensownych. Głuchych. Martwych.

Ja nie chcę! Nie chcę! Nie chcę!

224

Krzyk, który poczuła w środku, był tak mocny, że ugięły się pod nią kolana, przez kilka sekund myślała, że upadnie na środku chodnika, ale potem opanowała swoją wściekłość i zmusiła się do przyspieszenia kroku. Kogo obchodzi, czego ona chce. Nikogo. Nie Birgera. Nie Lydię. Nie Susanne. Nie Bjórna. Nawet jej samej nie. Może marudzić i wrzeszczeć, ile jej się podoba, ale i tak nie zamierza się poddać. Przez głowę przemknął jej pewien obraz, zobaczyła siebie samą, wyciągniętą na chodniku i kopiącą nogami jak uparty dwulatek, i prychnęła głośno na samą siebie. Aha. I co by jej to dało?

Ale ja nie chcę! Ja naprawdę nie chcę!

Inez zatoczyła się, ale wzięła się w garść i jeszcze przyspieszyła tempo. Z przepaszającym uśmiechem przecisnęła się pomiędzy dwiema starymi kobietami, które szły ramię w ramię po chodniku, i poprawiła pasek torby na ramieniu. Minęła prawie minuta, nim uświadomiła sobie, że biegnie, wtedy przystanęła i znowu zaczęła iść. Żwawo, ale nie za bardzo. Teraz miała przed sobą swoją szkołę, jeszcze jeden pałac z czerwonej cegły w tym mieście ceglanych pałaców, i przez kilka sekund pozwoliła sobie samej przyznać się, że - chociaż budynek wyglądał jak zamek z bajki - jest to miejsce na ziemi, w którym czuje się najgorzej. Potem dopadło ją marzenie na jawie i zobaczyła siebie samą siedzącą przy biurku gdzieś w Lund, w roli nauczyciela uniwersyteckiego, nie, docenta historii literatury. Było właśnie sobotnie popołudnie, ale ponieważ była osobą samotną, to posprzątała już swoje mieszkanie i na lunch wzięła sobie tylko kanapkę. Teraz mogła poświęcić resztę dnia badaniom. Przez sekundę zastanawiała się, co w takim razie mogłaby badać, może twórczość Selmy Lagerlof i jej dwanaście lat w Landskronie, ale potem odepchnęła tę myśl i pozwoliła sobie na zwiedzanie swojego mieszkania. Trzy Pokoje z kuchnią, tylko dla niej. Sypialnia, gabinet i salon.

225

W salonie kominek. Łazienka ze świeżo wyprasowanymi ręcznikami, jeszcze nieużywanymi i schludnie oznaczonymi jej inicjałami. W oknie gabinetu mała lampka, mała duńska lampka z białym, plisowanym

kloszem, jedyne palące się światło na całej ulicy...

Och. Zatrzymała się przed przejściem dla pieszych i przepuściła samochód. Jaki ma sens fantazjowanie o życiu, które nigdy nie będzie do niej należało? Nie jest docentem historii literatury i nigdy nie będzie. Dziewiętnaście lat temu dokonała wyboru i cieszyła się jego owocami, a teraz zostały jej ogryzki. Jest żoną Birgera i matką Susanne, córką Lydii i - wykrzywiła się do siebie - macochą Bjórna. Albo jego ciotką. Macochą albo ciotką, której on specjalnie nie lubi. Tą, która mu przeszkadza, chce go zatrzymać, zmusić do zostania w domu i stania się tym, kim on być nie chce i nie będzie. Jej synem. Jej własnym, ukochanym synem.

Chociaż go nie ma!

Zmusiła się, żeby unieść rękę w pozdrowieniu do koleżanki po drugiej stronie ulicy, zmusiła się do uśmiechu i zachowania zupełnie obojętnej miny. Nauczycielka szkolna robi sobie wzmacniająco spacer przed udaniem się na rynek, na głowie ma piękną chustkę od Hermesa, a na ramieniu torbę z prawdziwej skóry. Unosi ubraną w rękawiczkę rękę w stronę koleżanki - przedszkolanki z blond włosami - i uśmiecha się do niej ciepłym uśmiechem. Jej żałoba musi być niewidoczna. Wszystko się może zdarzyć, ale tego nie może być widać. Jeszcze raz poprawiła torebkę i przez chwilę poszukiwała swojej złości, a potem przystanęła i obróciła się w kierunku wystawy. Przez chwilę stała bez ruchu, przyglądając się swojemu odbiciu, aż uświadomiła sobie, że za szybą jest cukiernia. I gdzieś w środku zobaczyła znajome sobie plecy.

Susanne. Jej córka. A przed nią siedzi ta dziewczyna która...

226

Inez obróciła się i z bardzo wyprostowanymi plecami przeszła przez ulicę, a potem szybkim krokiem przez rynek nie zatrzymując się, żeby kupić to, co miała na swojej liście.

227

Przed studium stały dziewczyny, tłoczyły się i wrzeszczały. Elsie zobaczyła je, kiedy czarna limuzyna powoli wcisnęła się w grupę i je rozpędziła. Kilka z nich pochyliło się i położyło różowe dłonie na szybach, mogli z tyłu widzieć ich blade twarze, kiedy zaczęły podbiegać truchtem, by utrzymać to samo tempo, co samochód.

Who is it? I don't know, I think it's...

Björn siedział wyprostowany na jednym z dodatkowych miejsc, jedną ręką trzymał mocno skórzany pasek, który zwisał z sufitu, i gapił się pusto przed siebie. Był blady i było mu z tym do twarzy. Jego ciemne oczy robiły się wielkie i błyszczące na tle białej twarzy. Być może czarny strój czynił go jeszcze bledszym, kołnierzyk koszulki polo i długa marynarka z dużym kołnierzem. Jako jedyny był ubrany całkowicie na czarno, reszta chłopaków była bardziej kolorowa. Na przykład ten cały Tommy miał czerwoną koszulę pod czarną, skórzaną marynarką. A inny z nich miał turkusowe spodnie. Wyglądało to idiotycznie.

Byli teraz cicho, cała piątka, siedzieli w milczeniu z wyprostowanymi plecami i wpatrywali się przed siebie, tak jakby żaden z nich nie miał odwagi pokręcić szyją i wyjrzeć przez okno, jakby żaden nie był w stanie zaryzykować spotkania z oczami dziewcząt na zewnątrz, jakby żaden nie ważył się zobaczyć piersi przyciśniętych do szyb, uśmiechów, które rozjaśniały wnętrze samochodu, ani języka, ślizgającego się między wargami dziewczyny, która stała najdalej.

Może po prostu byli zdenerwowani. I może Björn był najbardziej zdenerwowany ze wszystkich.

229

Wyjątkowo Karl-Erik był także cicho. Siedział obok Elsie, tak blisko, że nieustannie przyciskał udo do jej uda, ale milczał inaczej niż chłopcy. Z uśmiechem przyglądał się dziewczynom na zewnątrz, od czasu do czasu kiwał głową do siebie samego, jak nauczyciel, który po cichu zachęca kilku zdolnych uczniów. Dobrze zrobione. Naprawdę dobrze.

Nagle zrobiło się wokół nich ciemno. Wjechali przez jakąś bramę, zamknięto za nimi drzwi. Ucichły krzyki, a ktoś głęboko westchnął. Po sekundzie zrobiło się jasno i wjechali na dziedziniec.

-Okej, chłopaki - powiedział Karl-Erik. - To będzie playback.

Tommy podniósł się do połowy:

- Jak to, co do cholery... Karl-Erik uniósł rękę:

- Słyszysz, co mówię. Playback.

Tommy opadł z powrotem na krzesło i pochylił się do przodu, aż włosy zakryły mu twarz. Wyglądał jak dziecko. Dziecko, które ma się poddać.

-Ale przecież obiecałeś...

Karl-Erik wzruszył ramionami i wcisnął ręce w kieszenie.

-Obiecywałam, że zrobię, co będę mógł. Ale w tym programie wszyscy grają z playbacku. Tak już jest.

-No, ale przecież... - powiedział Niclas.

Elsie spojrzała na niego i uderzyło ją, że do tej chwili w zasadzie nie słyszała, żeby powiedział coś więcej niż swoje imię. Był nieskazitelnie schludny w białej koszuli, kwiecistym krawacie i czarnych, lśniących butach. Teraz przeciągnął ręką po świeżo umytej grzywce i spojrzał z poważną miną na Karla-Erika.

- Naprawdę zrobiłeś wszystko, co się dało? Karl-Erik oparł się o ścianę i omiótł Niclasa chłodnym spojrzeniem.

229

-W tym programie wszyscy grają z playbacku. Zrobił to Manfred Mann. Stonesi. Nawet Beatlesi. Więc co

przemawia za tym, by nie mogli tego zrobić Typhoons?

Długa noga Tommy'ego wyskoczyła do przodu, kopnął kosz na śmieci, ale lekko, tak że przesunął się tylko kilka centymetrów.

-To co my tu, kurde, mamy do roboty? Równie dobrze mogliśmy im wysłać płytę.

Karl-Erik westchnął, wyprostował się i skrzyżował ręce na piersi. Przypominał jeszcze bardziej nauczyciela, choć wyjątkowo stylowego.

-Nie musisz robić z siebie głupszego, niż jesteś, Tommy. Cholernie dobrze wiesz, dlaczego tu jesteśmy.

Na chwilę zapadła cisza. Elsie zorientowała się, że wstrzymuje oddech, zamknęła oczy i zmusiła się do zaczerpnięcia powietrza, zanim przechyliła się do tyłu i oparła o ścianę. W małej łóżnicy znajdowały się tylko trzy krzesła i były już zajęte przez Tommy'ego, Niclasa i Pea w turkusowych spodniach. Björn siedział w oknie na parapecie, i obgryzał paznokcie. Wyglądało na to, że nie słucha. Bosse opierał się z zamkniętymi oczami o ścianę naprzeciwko. Miał tak jasnoblond włosy, że zastanawiała się, czy nie wylał na nie wody utlenionej.

-Poza tym - ciągnął Karl-Erik, marszcząc czoło w kierunku Tommy'ego. - Poza tym powinieneś być cholernie wdzięczny za to, że tu jesteśmy.

Tommy odwrócił oczy i zrobił minę. Widać było, co myśli. Wdzięczny!

Zapadła cisza na kolejnych kilka sekund. Karl-Erik nadal ze skrzyżowanymi ramionami, stał w rozkroku i przesunął po nich wzrokiem, po wszystkich po kolei. Żaden z nich na niego nie patrzył. Björn gapił się na coś za oknem i nadal obgryzał paznokcie.

-Zgadzą się wszyscy?

230

Głos Karla-Erika obniżył się o oktawę. Może spodziewał się, że nadal będzie panowała cisza, ale Björn wyjął nagle palec z ust i powiedział:

- Nie wiem, jak to się robi.

Inni wpatrywali się w niego, ale Björn zdawał się tego nie zauważać. Nadal wyglądał przez okno.

-Nigdy wcześniej nie robiliśmy playbacków. Jak to się robi?

Tommy wyprostował się i unióś brwi, a następnie popatrzył dookoła i lekko się uśmiechnął. Inni też się uśmiechali. Bosse unióś nawet brwi w taki sam sposób jak Tommy. Elsie uświadomiła sobie, że mocno gryzie dolną wargę, więc puściła ją i dotknęła językiem obolałego miejsca.

-No tak - powiedział Tommy, obracając się wprost do Karla-Erika. - Sam słyszysz.

Studio było duże i czarne. Na samym przodzie znajdowała się mała scena, na razie pusta, bo do

transmisji zostało jeszcze parę godzin. Pod sceną tłoczyła się już część publiczności. Była to grupa uderzająco zamożnych nastolatków, świeżo umytych, z pachnącymi szamponem włosami, ubranych w najmodniejsze ciuchy. Myśli Elsie poszybowały na sekundę do dziewczyny, którą widziała przed południem, tej małej szmacianej lalki w wytartym, różowym palcie, z wielkim oczkiem na białych pończochach. Nigdy by tu jej nie wpuszczono. Nie ten gatunek. Z drugiej strony mało brakowało, a jej samej by nie wpuszczono, ochroniarz zatrzymał ją w drzwiach i dopiero interwencja Karla-Erika sprawiła, że się poddał. Przy okazji bardzo szczegółowo przedstawił zasady. Elsie musi trzymać się z boku, nie wolno jej tak rozentuzjasmować się synem, że wejdzie w krąg światła, które stworzy się pod sceną, i zwróci na siebie uwagę.

231

W tym programie nie może być widoczny nikt, kto przekroczył dwadzieścia pięć lat. Trzeba utrzymać iluzję. Istnieje tylko młodość. Bardzo zadbana młodość.

Kilka reflektorów omiotło publiczność pod sceną i sprawiło, że włosy i skóra zmieniły kolor, od jasnego niemal lodowo błękitnego do ciepłej pomarańczy.

-Testują światła - powiedział ktoś obok Elsie, po szwedzku.

Odwróciła głowę i zobaczyła, że obok stoi młody mężczyzna. Minęła chwila, nim uświadomiła sobie, kim on jest. Mats. Ów bardzo młody dziennikarz z „Magazynu Ilustrowanego”. Uśmiechnęła się do niego i kiwnęła głową, ale nie przyszło jej do głowy, co powiedzieć. Mats spojrzał na nią, przesunął wzrokiem po całym jej ciele, a potem zapytał:

- Słyszała ich pani kiedyś? To znaczy live? Elsie uśmiechnęła się przepaszająco.

- Nie. Niestety nie. Pływam po morzach, słyszał pan.

-Ale pani jest chyba mamą Björna? Jego prawdziwą mamą?

Elsie odwróciła wzrok:

-No tak. Ale Björn wychowywał się u mojej siostry. Jesteśmy bliźniaczkami. Identycznymi kopiami.

Dlaczego zawsze tak robi? Dlaczego kiedy ktoś pyta o Björna, ona zawsze ma gotową tę właśnie odpowiedź? Przecież sama słyszy, jak to brzmi. Jak usprawiedliwienie. Poza tym Inez nie jest już wcale jej identyczną kopią i nie była nią od kilkadziesiąt lat. Stała się kimś obcym, ponurą i skwaszoną nieznaną, która przywłaszczyła sobie Björna i udaje, że to ona jest jego matką. To dlatego odmawia przyjmowania alimentów. Przez całe życie Björna Inez wpłacała pieniądze od Elsie do banku, na konto z jego imieniem. Jakby to było jakieś odszkodowanie, a nie pieniądze na jedzenie i wykształcenie...

-A tata? - spytał Mats. - Kto jest jego ojcem?

232

Na sekundę pod Elsie rozstąpiła się podłoga. Elsie stała bez ruchu, wpatrując się w głęboką ciemność,

tę samą, której tak umiejętnie unikała - nie tylko dziś, ale zawsze. Przymknęła oczy, ale wolno, znacznie wolniej niż kiedykolwiek wcześniej, jakby była przekonana, że najmniejsze poruszenie, najmniejsze drżenie powiek może sprawić, że spadnie w dół. Potem czarna dziura zamknęła się, Elsie poczuła, że to się dzieje, ale wiedziała jednocześnie, że to tylko pozór i że pod cienką błoną cementu i farby czają się ciemności. Otworzyła oczy i spojrzała na Matsa. Był pierwszy. Nikt nie zadał jej tego pytania od dnia urodzenia Björna. Wcześniej tak, ale nie potem. Ani Lydia. Ani Inez. Ani nawet fajtłapowaty opiekun społeczny. Nikt. Nawet Björn tego nie zrobił. Jednak teraz stał obok niej dziennikarz i zadawał to pytanie w tonie zwyczajnej rozmowy, nie widząc i nie rozumiejąc, że jest to pytanie, którego zadawać nie wolno. Zakazane pytanie. Zauważyła też, że mężczyzna trzyma w jednej ręce notatnik, a w drugiej długopis. Lekko się uśmiechał, ale kiedy na niego popatrzyła, uśmiech powoli zgasł. Elsie zaczerpnęła powietrza.

-Robi pan ze mną wywiad?

Słyszała swój ton. Był chłodny. Wręcz lodowaty. Mats wysunął język i zwilżył górną wargę.

-To znaczy, ja...

Elsie wciąż na niego patrzyła:

-To pan robi? Próbuje pan przeprowadzić wywiad ze mną?

Policzki Matsa pociemniały, zaczerwienił się tak bardzo, że było to widoczne nawet w słabym odbiciu światła ze sceny.

-Chciałem tylko...

Zaciął się i przez moment wyglądał strasznie niepewnie, ale potem się opanował, zatrzasnął notatnik i zaczął grzebać w kieszeni.

233

Wyjął z niej paczkę papierosów i zaraz zabrał się za przegrzebywanie drugiej kieszeni pewnie w poszukiwaniu zapałek. Kiedy znowu zwrócił się do niej, rumieńce zniknęły i mówił zupełnie zwyczajnym głosem:

-Chciałem tylko... Po prostu musimy mieć coś o nim w każdym numerze. Jest tak popularny.

Elsie kiwnęła głową.

-Tak - odparła. - Rozumiem. Ale ja naprawdę nie chcę udzielać wywiadów.

Mats wzruszył ramionami i zapalił zapałkę.

- Okej, dobrze. Chociaż nie rozumiem dlaczego. Elsie odwróciła od niego wzrok:

- Nie musi pan rozumieć.

234

-Susanne - zawołał z przedpokoju Birger. – Masz gościa.

Gościa? Susanne wpatrzyła się w lustro. W kącie prawego oka została odrobina czarnego eyelinera. Urwała kawałek waty, zmoczyła pod kranem i zaczęła pocierać. Jednocześnie wrzasnęła:

-Zaraz przyjdę.

Oczywiście w przedpokoju czekała na nią Ingalill. Była zapewne bardziej niezadowolona niż zwykle, bo Susanne się do niej nie odezwała. Zawsze dzwoniła do niej w sobotnie przedpołudnie, żeby ustalić, co będą robić po południu, ale dziś tego nie zrobiła. Nie zadzwoniła i, co więcej, nawet nie pomyślała, żeby zadzwonić. A teraz na dole w przedpokoju stała Ingalill z nieprzyjemną miną. Tego można się było spodziewać.

- Susanne!

- Tak, już idę! Już schodzę!

Wołała głośniejszym głosem niż zwykle, była pewna, że dobrze ją słychać przez drzwi łazienki aż do przedpokoju. Gdyby Inez była w domu, nie miałyby odwagi tak krzyczeć, ale teraz jej nie ma, więc Susanne może sobie wołać, jak jej się podoba. Birgera się nie boi. Zawahała się. Zaczęła o nich myśleć: Inez i Birger, a nie mama i tata. No cóż. Może to właśnie rozsądne. Rzuciła ostatnie spojrzenie w lustro. Cały

make-up zniknął, ale włosy robiły się długie. Grzywka sięgała już poniżej brwi. Postanowiła, że tak ją zostawi. To wiadomość dla Inez i Ingalill, jasny przekaz, chociaż bez słów. Susanne jest już inna. Nie pozwoli sobą pomiatać. Ani swojej tak zwanej najlepszej przyjaciółce, ani swojej tak zwanej mamie.

235

Jeśli owa tak zwana mama ma w ogóle zamiar się pojawić.

Na dworze było już ciemno. Zobaczyła to, kiedy wyszła na korytarz. Przed domem paliła się latarnia uliczna i Susanne zerknęła szybko na zegarek. Wpół do czwartej. Gdzie się podziała Inez? O tej porze na rynku jest już pusto i wszystkie sklepy zamknięte... Olać to.

Powoli schodziła po schodach, może nawet zbyt wolno. Ingalill stała tuż przy drzwiach w swoim starym, zwykłym palcie. Brązowym. Brzydko brązowym, mówiąc szczerze. Susanne przestała nosić palto, bo na początku jesieni dostała parkę i kiedy teraz zobaczyła Ingalill, poczuła radość zwycięstwa. Ingalill reprezentowała wszystko, czym nie była Susanne. Wysoka i mocno zbudowana. Pryszczata. Krótko ostrzyżona z kręconymi włosami. Susanne zmieniła się w ciągu ostatnich miesięcy i nagle już nie przerażało jej wszystko, co w niej nowe. Ona, która zawsze była szarą i zwyczajną dziewczyną, ukrytą wśród innych szarych i zwyczajnych dziewczyn, stała się nagle dziewczyną, za którą podążano spojrzeniem, gdziekolwiek poszła. Dopiero teraz, po raz pierwszy, mogła to sama przed sobą przyznać. Nawet licealiści z ostatnich klas i nauczyciele, którzy nigdy jej nie uczyli, gapili się na nią, kiedy szła, balansując tacą w szkolnej stołówce, albo wbiegała po schodach, żeby zdążyć na następną lekcję. A kiedy poszły razem z Inez do miasta po nowe zimowe palto, tydzień po tym, jak Typhoons po raz pierwszy wylądowali na liście Top 10, miała uczucie, że każdy człowiek, którego spotykały, musi się wysilać, żeby

na nie nie patrzeć. Nie wszystkim się to udawało. Pani Jacobsson, znana z tego, że ma nosa do pieniędzy, zaczęła poruszać nozdrzami, jak tylko przestąpiły próg sklepu Cema. Kiedy Susanne mierzyła jedno palto po drugim, miała wrażenie, że inni klienci wciąż na nią zerkają.

236

Usiłowała spojrzeć na siebie ich oczami i zaraz zrozumiała, że zwykłe palto nie będzie wystarczające. W końcu zdecydowała się na czarną parkę na beżowej podszewce, nie dlatego, że wydawała jej się ładna, ale z czystego niepokoju, że wybierze coś nieodpowiedniego, brzydkiego lub staromodnego, czego nieatrakcyjność położy cień na wizerunku Bjórna. Wychodząc ze sklepu, spotkały Monikę Andersson, która też mieszkała na Svanegatan, była pięć lat starsza od Susanne i nigdy wcześniej nie zniżyła się do tego, by pozdrowić Susanne, ale teraz zrobiła w jej stronę jakiś ruch głową, coś na kształt kiwnięcia, a potem zawstydziała się i odwróciła wzrok.

Czyli wiedziała, kim jest Susanne. Nagle wszyscy to wiedzieli. Od tamtej pory minęły dwa miesiące, nie, prawie dwa i pół, i wszystko jeszcze bardziej się zmieniło. Parka stała się ładna. Sama Susanne też stała się ładna. Co najmniej prawie. Może niedługo zacznie nawet przeciwstawiać się ludziom. Zupełnie otwarcie.

-Cześć - powiedziała do Ingalill. Bez uśmiechu. Ingalill miała rozbiegane oczy. Jakby czuła się niepewnie. To też było coś nowego.

-Cześć.

Na chwilę zrobiło się cicho. Ingalill przetłknęła ślinę:

-Przejdziemy się trochę?

Susanne nie odpowiedziała od razu. Przez moment przypominała sobie, jak wredna była dla niej Ingalill. Przez ostatnie lata, jej wszystkie nieprzyjemne teksty, wieczny ton wyższości. Nagle zapragnęła oddać jej za swoje, sprawić, żeby ta mała poczuła się tak bardzo głupia i tak gorsza, jak ona sama czuła się tysiąc razy, nie, dziesięć tysięcy razy. Jednocześnie czuła też w brzuchu coś innego, dobrze znajome, stare uczucie. Ingalill nie ma nic z tego, co ma Susanne. Ani domu. Ani parki, ani starszego brata. Ani rodziców mających pieniądze, ani nawet Evy. Może nic dziwnego, że tak zadziera nosa z powodu dobrych stopni.

237

Nie ma przecież nic innego czym mogłaby się pochwalić.

-No nie wiem...

Ingalill odchrząknęła. Tak. Naprawdę czuła się niepewnie.

-Zaczęli już ustawiać dekoracje świąteczne na stawach...

Susanne oparła się o poręcz schodów.

-Ale mnie się nie chce chodzić po sklepach.

- Mogłybyśmy się przejść promenadą. Susanne wzruszyła ramionami.

- Możemy.

Szły obok siebie w milczeniu, było ciemno, nie powiedziały ani słowa, zanim nie doszły do promenady nadmorskiej Linjen.

-Nie zadzwoniłaś dzisiaj - powiedziała Ingalill. Susanne rzuciła jej szybkie spojrzenie, ale Ingalill nie patrzyła na nią. Szła lekko zgarbiona, jakby chciała ukryć swój wzrost, jej włosy poruszały się na wietrze. Dlaczego ona nosi tę chłopięcą fryzurę? Dlaczego nie podejmuje racjonalnej próby upodobnienia się do ludzi?

- Nie - odpowiedziała Susanne i przygryzła dolną wargę. Zła odpowiedź. Niemal jak przyznanie, że coś się stało. Szukając jakiegoś wyjścia, wcisnęła ręce w kieszenie parki. Nie ma wyjścia. Pozostaje trwać przy swoim.

- Czekałam - ciągnęła Ingalill. Miała teraz mocniejszy głos. Nie brzmiała już tak niepewnie. Jednak Susanne nie zamierzała dać się nastraszyć.

- Aha. A dlaczego sama do mnie nie zadzwoniłaś?

- Dzwoniłam, ale nikt nie odpowiadał.

Na chwilę zapadła cisza. Słychać było tylko szuranie gumowych podeszew na żwirze.

-Nie - odpowiedziała w końcu Susanne. - Wyszłam na chwilę.

238

Znowu długa przerwa. Ingalill czekała na wytłumaczenia, ale Susanne nie zamierzała się tłumaczyć. Ingalill będzie zmuszona do zadawania pytań. Choćby to miało potrwać.

- Gdzie byłaś? - zapytała w końcu Ingalill. Susanne udała, że nie słyszy.

- Słucham - powiedziała. - Co mówiłaś? Ingalill wściekła się:

- Pytałam, gdzie byłaś?

Teraz Ingalill była znów sobą. Ten sam na wpół szyderczy ton, co zawsze. Susanne czuła, jak cała lodowacieje. To nie był zwykły, zimowy chłód, nie miał nic wspólnego z zimnym wiatrem z Ôresund ani z tym, że zapomniała rękawiczek. To było coś innego. Zupełnie nowy rodzaj chłodu, który wspinał się w górę jej pleców, łaskotał w brzuchu i nagle wypełnił cały mózg. Bała się. Ale nie tak jak kiedyś. W rzeczy samej była mniej przestraszona niż kiedykolwiek wcześniej. Zachnęła się.

- Byłam w kawiarni. Z Evą.

- Jaką Evą?

Udaje. Ingalill dobrze wie, o jaką Evę chodzi.

-Evą Salomonsson.

Ingalill nie odpowiedziała od razu, zamiast tego skręciła w ścieżkę prowadzącą do punktu widokowego na morze. Susanne szła za nią, ale zrobiła kilka szybszych kroków, żeby szły obok siebie. Nigdy więcej pałętania się dwa kroki za Ingalill, pomyślała. Ten czas już nie wróci. Światło wokół nich zmieniło się, nie było już latarni, ale wydawało się, że morze świeci, że rozpościera srebrny blask zmierzchu na wąską ścieżkę, którą idą. Po drugiej stronie wody migotała Kopenhaga. Inny świat. Susanne poczuła ukłucie tęsknoty, chciała być tam, mieć osiemnaście lat, wystarczająco dużo, żeby takiego wieczoru jak dziś pojechać do Kopenhagi...

~ Nie rozumiesz, że ona cię wykorzystuje?

239

Ingalill przystanęła. Odwrócona tyłem patrzyła na cieśninę. Susanne zrobiła kolejny krok. Minęła Ingalill. Stanęła przed nią i zasłoniła jej widok.

-Co masz na myśli?

Jej głos brzmiał inaczej niż zwykle. Był dorosły. Jak głos nauczycielki. Zacerpnęła głęboki oddech, żeby mówić dalej, ale Ingalill ją uprzedziła.

-Chyba rozumiesz, że Eva Salomonsson nigdy nie poszłaby z tobą do kawiarni, gdybyś nie była siostrą Bjórna Hallgrena.

Susanne nie wiedziała, co odpowiedzieć. Obróciła się tylko w koło i znowu wpatrzyła w Kopenhagę. Nie chciała patrzeć na Ingalill.

-I chyba musisz rozumieć, że Eva dowiedziała się, jak się nazywasz, zanim przyszła na kurs do swojej mamy. Co? I że właśnie dlatego chciała umalować właśnie ciebie. Żeby potem móc cię zaczepić. I poznać Bjórna. No i wygląda na to, że jej się udało.

Susanne przygryzła wargę, ale nadal nie odpowiadała.

-Zrobiłaś się zarozumiała - powiedziała Ingalill za jej plecami. - Wiesz o tym? Cholernie zarozumiała. Ale dlaczego wydaje ci się, że masz jakieś powody do zarozumiałości? Co? To przecież nie ty jesteś na liście Top 10. To nie ty jeździsz do Anglii.

Susanne stała bez ruchu. Każdy mięsień jej ciała był napięty, zaciskała ręce w kieszeniach, a plecy miała wyprostowane jak kij od miotły. Jednak w oczach nie było łez. Po raz pierwszy w życiu przyjęła prawdy Ingalill bez płaczu. Ingalill opuściła głos, był teraz bardzo stłumiony i pogardliwy.

-Wiedziałam, że nie jesteś specjalnie inteligentna - powiedziała. - Wiedziałam to. Ale że jesteś tak głupia iż nie rozpoznajesz zwykłego, oczywistego lizusostwa w to nigdy bym nie uwierzyła.

240

Susanne zamknęła na kilka sekund oczy, wiedziała, że kiedy je otworzy, nic nie będzie już takie jak kiedyś. Przez moment użalała się nad sobą i swoim życiem, nad tym kim była i kim musi się stać, poczuła, jak jej dziecinne współczucie dla Ingalill topi się jak płatki śniegu i zamienia w kropelkę wody, małą kropelkę, która równie szybko wyparowuje i wysycha. Już. Już jej nie ma. Susanne otworzyła oczy i jeszcze przez chwilę stała bez ruchu, a potem odwróciła się.

- Ile razy nazwałaś mnie głupią?

Ingalill zawahała się. Nie była przyzwyczajona, by jej przerywano.

- Wiesz ile? Może tyle samo, ile twój ojciec nazwał głupią twoją matkę?

I tak wypadła pierwsza cegła z muru, owego muru milczenia, który, odkąd zaczęły pierwszą klasę, otaczał Ingalill i jej tajemnice. Susanne widziała, jak to się dzieje: ciemnoczerwona cegła, która pęka i rozsypuje się, pęknięcia rozprzestrzeniają się na inne cegły, które też chwilę potem pękają i upadają na ziemię, aż nagle to wszystko, co wcześniej było tajemnicą, ujawnia się w świetle dnia. Ojciec Ingalill nie jest już bohaterem, który cytuje Shakespeare'a i który świadomie zdecydował się zrezygnować z powierzchownego sukcesu i rzeczy materialnych. Jest bezrobotnym alkoholikiem, zasranym pijakiem, który siedzi z innymi pijusami w parku obok teatru. Typem, który w dodatku bije matkę Ingalill, który raz pobił ją tak, że mało nie umarła. Ingalill nigdy jej tego nie wybaczyła. Ani rozwodu. W jej świecie tata był ofiarą podłości mamy. Jednak teraz ten świat już nie istnieje. Susanne wybiła dziury w murze, a Ingalill patrzyła, jak to się dzieje. Widziała to w jej twarzy, kiedy szybko cofnęła się. Susanne wyszczerzyła się brzydkim, krzywym uśmiechem, czuła, że tak jest. Grymas sprawił, że sama stała się brzydka.

241

I niebezpieczna. Naprawdę niebezpieczna. Zamieniła go w zwykły uśmiech:

-Czy to nie to wrzeszczał? Co? Zanim zaczął ją bić. Że jest głupia?

Susanne zrobiła krok w przód. Przeleciała jej przez głowę myśl. Nagle uświadomiła sobie, że Ingalill nie jest dużo wyższa od niej samej. Susanne sięgała jej do brody. Może wynikało to stąd, że już się nie garbiła. A Ingalill tak.

-Słyszałam go raz. Jak poszłaś na siku. Brzmisz dokładnie jak on. Wiesz o tym? Chyba się do niego upodabniasz... Ale może nie masz nic przeciw temu. Twój tatuńcio jest przecież taki utalentowany.

Roześmiała się.

-Tak. Dużo razy tak mówiłaś. Ale mówiąc szczerze nie wydawał się taki utalentowany, kiedy jesienią zabrała go policja... Brzmiał jak zwykły pijus. Przeklinał, wrzeszczał i tak dalej. Ani słowa z Shakespeare'a.

Ingalill zrobiła kolejny krok w tył, ale Susanne szła za nią.

- Przechodziłam wtedy obok. Z moją mamą.

Głos Ingalill trząst się:

- To nieprawda!

Susanne nie mogła przestać się uśmiechać:

-O tak. Oczywiście, że to prawda. To było koło teatru. Tylko moja mama kazała mi obiecać, że nic ci nie powiem. Bo tak cię szkoda. Więc nic nie powiedziałam.

-Kłamiesz.

Głos Ingalill wyostrzył się. Prawie krzyczała. Na Susanne miało to dziwny wpływ, po jej ciele rozchodziło się uspokajające ciepło. Dotarło do brzucha. Do przegubów dłoni. Do palców u nóg. Do policzków. Tak jakby krew zaczęła w niej na nowo krążyć, po Bóg wie jak długiej przerwie. Już się nie bała. Ani trochę.

-Nie kłamie. To ty kłamiesz. Zawsze kłamałaś.

242

Nawet jej głos brzmiał spokojnie. Susanne włożyła ręce do kieszeni i przechyliła na bok głowę, teraz nie mogła się już powstrzymać, słowa po prostu z niej wypływały

-Jak myślisz, dlaczego ci na wszystko pozwalałam? Co? Na twoje wieczne utyskiwanie na wszystko, co mam i robię? Bo było mi cię żal. Kapujesz? Głupia, żałowałam ciebie, z twoimi wybitnymi stopniami i niezrównanym talentem. Ale kto tak naprawdę jest głupi? Co? I kto jest brzydki? Która z nas dwóch jest brzydsza?

Z prawego oka Ingalill wolno popłynęła łza. Zamrugła i łza upadła, ale Ingalill nic nie powiedziała i nie poruszyła się. Susanne zrobiła krok do tyłu i spojrzała na nią z pogardą.

-Nie jestem głupia, Ingalill. Nigdy nie byłam głupia. Ze szwedzkiego i angielskiego mam lepsze stopnie od ciebie. I takie same z historii. Jesteś ode mnie lepsza tylko z matmy i chemii. Ale komu potrzebna jest matma i chemia? Co? Powiesz mi to?

Susanne przypatrywała się przez chwilę Ingalill w milczeniu. Ależ z niej klępa. Brzydka! Okropnie brzydka! Zwłaszcza teraz, kiedy krzywi się, żeby powstrzymać łzy. I kiedy leje jej się z nosa. Właśnie tak. Leje się z nosa. Susanne wykrzywiła się z obrzydzeniem, a potem odwróciła się na pięcie i zaczęła iść. Samą ją to zaskoczyło ale nie mogła nic poradzić. Jej ciało podjęło decyzję. Zdecydowały stopy. Poszły sobie po prostu, ciągnąc za sobą całą Susanne. Mimo to udało jej się odwrócić w pół kroku i krzyknąć przez ramię:

-Mam cię w dupie, Ingalill. Naprawdę mam cię gdzieś.

Ingalill nie odpowiedziała. Stała jak czarny cień z twarzą odwróconą do morza.

243

Już zaraz, pomyślał Björn. Już zaraz to się stanie. Wziął głęboki oddech, zacisnął i otworzył dłonie, a potem potrząsnął głową tak, że włosy poślaskotały go w kark. Tuż przed nim stał Niclas, był blady, a nad górną wargą błyszczało kilka kropelek potu. Tommy stał odwrócony plecami, ale było widać, że i on jest spięty, miał bardziej wyprostowane plecy niż zwykle i stał zupełnie bez ruchu. Peo był tuż za nim, również wyprostowany, ale nie taki spokojny. Trzymał pałeczki, tak jakby już siedział przy bębnach, i cały czas nimi poruszał, jakby grał jakąś melodię, której nikt z nich nie słyszał. Podrygiwał też od czasu do czasu, ale w zupełnie innym rytmie. W gruncie rzeczy tylko Bosse wydawał się zupełnie zrelaksowany, stał z rękami w kieszeniach i nawet nie próbował zerkać przez czarne kulisy, wyglądał, jakby myślał o czymś innym.

- Połamania nóg - powiedział Karl-Erik ściszym głosem, gdzieś z tyłu. Żaden z nich nie odpowiedział, żaden nawet na niego nie spojrział. Byli całkowicie zajęci słuchaniem prowadzącego na zewnątrz. Miał na imię Mike i dziwną fryzurę, jakiej żaden z nich wcześniej nie widział, włosy wystrzyżone na czubku głowy, krótka grzywka, ale reszta włosów sięgała aż do ramion. Mówił niewyraźnie po angielsku, aż trudno było go zrozumieć

- Did I tell you that I love you - zawołał teraz, a publiczność odpowiedziała mu wrzaskiem.

Będą grali pierwsi. Po nich dwa zespoły angielskie. Dwa bardzo znane angielskie zespoły. Przed chwilą poznali chłopaków z jednego z nich.

244

Tommy'emu trzęsła się ręka, kiedy podawał ją Ericowi Burdonowi. Björn Uśmiechnął się potem do niego, uśmiechnął się dokładnie tym samym uśmiechem, którym obdarował go Tommy wtedy w łozy, przed próbą. Tommy na chwilę odwrócił wzrok, ale potem pozbiierał się i powiedział coś z pogardą na temat występowania z playbacku. Nikt nie odpowiedział, jakby jego słowa trafiły w ścianę, a chłopaki z The Animals już się od nich odwrócili i zaczęli gadać ze sobą. Bardzo tak dobrze temu prosiakowi.

Björn nie miał nic przeciwko playbackowi. Nie teraz, kiedy był już po próbie. Wręcz przeciwnie, czuł ulgę, że nie musi śpiewać tak, by było go słychać, że mikrofon i wzmacniacz są wyłączone, a na talerzach leży czarna gumowa przykrywka. Musi jedynie myśleć o tym, I żeby śpiewać dla siebie samego w dokładnie taki sposób, w jaki śpiewał na płycie. To nie stanowi problemu. Zawsze śpiewa jak na płycie. Tommy jest wściekły, bo nie będzie mógł wykonać jakiejś ekstrasolówki, jednej z tych, które zazwyczaj gra na koncertach. Uważa się za geniusza, muzycznego geniusza, i miał nadzieję, że dziś dowie się o tym świat.

- ...and here they are, all the way from Sweden... Głos Mike'a zniknął w piskliwym krzyku. Publiczność była w dobrej formie.

Teraz, pomyślał Björn. Teraz to się stanie.

Tommy wszedł na scenę i unióś rękę do publiczności. Peo poszedł za nim, usiadł przy perkusji i

pomachał na przywitanie pałeczkami. Niclas i Bosse wśliznęli się tuż za nimi, ale Björn zaczekał, aż tamci wezmą gitary, a potem uniósł do góry obie ręce, wszedł na scenę i uśmiechnął się do publiczności.

-i Björn Hallgren! - wykrzyknął Mick. Publiczność odpowiedziała wrzaskiem. Jakby naprawdę go znali.

245

Trzymał wyłączony mikrofon bardzo blisko ust, tak, blisko, że niemal czuł, jak chłodny metal dotyka warg. Śpiewał, ale niezbyt głośno, nie tak, żeby mógł go słyszeć ktokolwiek poza nim samym. Śpiewał dla siebie samego, po prostu. Podobała mu się ta myśl, sprawiła, że po pierwszym refrenie zaczęła się uśmiechać, a na uśmiech natychmiast odpowiedział większy szum ze strony publiczności. Na sekundę opuścił mikrofon, a potem znowu go podniósł i spod przymkniętych powiek spojrzął na dziewczyny, które stały na samym przodzie, dziewczyny, którym cały czas zmieniał się kolor twarzy, ponieważ reflektory, które na nie świeciły, też zmieniały barwę. Potem utkwiał spojrzenie w jednej z nich. Tej wymarzonej. Szczupłej blondynce z długą grzywką i w czerwonej sukience. Taką, pomyślał i zmusił się, żeby odwrócić od niej wzrok i spojrzeć prosto w kamerę, która bujała się z tyłu za nią, a potem znowu zaczął śpiewać. Taką dziewczynę chciałbym mieć. Jeśli w ogóle jakiejś chcę, jeśli nie starczy to, że stoję tu i widzę ją i setki innych dziewczyn...

Znowu na nią spojrzął, a ona uśmiechnęła się do niego. To był niepewny uśmiech, niemal drżący, i Björn poczuł ukłucie czystego szczęścia. Po sekundzie już jej nie pamiętał. Odwrócił się w drugą stronę i przymknął do połowy powieki, ale zostało w nim samo uczucie, wibrowało, przebiegało jak łaskotanie po kręgosłupie, sprawiło, że unosiły mu się włoski na ramionach. Pochylił się i zaczął bawić się wzrokiem z publicznością tuż przy samej scenie, zobaczył dziewczynę z ciemnymi włosami, która przyciskała ręce do ust, tak jakby chciała powstrzymać krzyk, i wysokiego chłopaka z naprawdę długimi włosami, które zasłaniały całe plecy. Zobaczył też, jak inny chłopak, ostrzyżony na pazia, dokładnie tak jak Björn, porusza w górę i w dół ramionami i kręci biodrami jak dziewczyna.

Teraz Tommy miał swoją solówkę, tę krótką, co na płycie, a Björn odwrócił się do niego i z opuszczonym mikrofonem podrygiwał, jakby występ tego idioty naprawdę mu się podobał.

246

Potem odwrócił się do zespołu plecami i znowu zaczął śpiewać. Nie słyszał już swojego głosu, a mówiąc dokładniej, właśnie to robił, słyszał swój nagrany głos, ale nie ten, którym teraz śpiewał.

Jestem lustrem, pomyślał i zrobił krok w kierunku rampy. Nie ma mnie. Jestem tylko ich lustrzanym odbiciem. Ale kocham to. Teraz naprawdę to kocham.

Potem było już po. Koniec. Kropka. Nagle stał za czarnymi kulisami i patrzył na scenę, bardziej słysząc niż widząc, jak publiczność, która przed chwilą zachłystywała się nim, teraz zachłystuje się Erikiem Burdonem. Mieli do tego powody. Było to zupełnie coś innego niż cieniutkie brzdąkanie popu w ich wykonaniu. To była muzyka. Prawdziwa muzyka. Poza tym Burdon miał bardzo wyjątkowy głos. Dobrze

go odzwierciedlał - przysadzisty, silny chłopak z przysadzistym, silnym głosem.

Björn zrobił krok do przodu i uderzył kogoś łokciem, Tommy odwrócił się do niego, miał lśniąca twarz, bez śladu drwiny i wyższości.

-Cholera - powiedział cicho. - Cholera, ale oni są dobrzy.

Björn kiwnął głową.

-Tak. Cholernie dobrzy.

Ktoś położył mu rękę na ramieniu.

-Nie - powiedział Karl-Erik. - Wy jesteście dużo lepsi.

Björn poruszył się lekko, bardzo dyskretnie wyślizgując się z uścisku Karla-Erika.

-Nie - odpowiedział. - Nie jesteśmy. Tommy kiwnął obok głową.

-Nie - powiedział dokładnie tym samym tonem. -naprawdę nie jesteśmy.

247

- Nie udawaj - powiedziała Inez na głos do siebie samej. Sekundę potem rozejrzała się z niepokojem. Zirykowało ją to. Było tak samo fałszywe jak myśl, która przyszła jej do głowy, zanim zaczęła do siebie mówić. Wie przecież, że nikt jej nie słyszał. Na molo nie ma nikogo. W całej wiosce rybackiej Borstahusen było pusto.

Dlaczego próbuje okłamywać siebie samą? Dlaczego pozwoliła sobie na myśl: Gdzie ja jestem? Doskonale wie, gdzie jest. W tym samym miejscu, w którym była sto razy wcześniej, w miejscu, gdzie opalała się przez kolejne dni i tygodnie, kiedy Björn i Susanne byli zbyt mali, żeby sami mogli tu przyjechać i popływać. Na molo w Borstahusen. W wiosce rybackiej pod Landskroną. Choć była zima i wokół panowały ciemności, nie było aż tak ciemno, żeby nie mogła zobaczyć, dokąd idzie. Poza tym wiało i było lodowato zimno, ale nie tak zimno, żeby musiała wracać do domu. Postawiła tylko kołnierz palta i włożyła ręce w rękawy. Woli zamarznąć, niż wrócić do domu.

Choć to też nieprawda. Wcale nie chce zamarzać. Zamierza za to stać tutaj zupełnie bez ruchu do czasu, aż przestanie samą siebie oszukiwać. To kara. Sprawiedliwa kara, którą lubi na siebie nakładać i którą lubi mieć narzucaną. Przyjemność.

Uch, co się z nią dzieje? Dlaczego nie może być wobec siebie uczciwa? Czy nie była zawsze uczciwym człowiekiem? Honorowym? Gotowym na przyjęcie prawdy? Dlaczego, na Boga, stoi teraz na wietrze i okłamuje siebie samą, wpatrując się w czarną wodę, tę wodę, która od czasu do czasu przelewa się przez kant molo i moczy asfalt.

248

Powinna iść już do domu. To właśnie powinna robić. Ugotować obiad dla wiecznie głodnego Birgera i wiecznie skwaszonej Susanne, usiąść na kanapie przed telewizorem i na coś się pogapić, co bądź, co pokazują w soboty dla rozrywki. Do domu, żeby siedzieć, złoścąc się na rechotanie i pomrukiwania Birgera i...

Czy ona go kocha? Nie. Nigdy go nie kochała.

Zamknęła oczy. Ta myśl była prawdziwa. Zgodna z prawdą. A mimo to nigdy wcześniej nie przyszła jej do głowy.

A Susanne? Czy ją kocha?

Wiatr nasilił się i zmusił Inez do otwarcia oczu, musiała zrobić szybko kilka kroków w tył. Potem zmusiła się, żeby stać bez ruchu i stawiać opór. Zmusiła się, żeby odpowiedzieć.

Czy kocham Susanne? Tak. No tak. Oczywiście, że kocham.

Opuściła głowę. Spojrzała na swoje kozaki. Swoje czarne, wypolerowane, skórzane kozaki. Przez moment myślała o zmarzniętych palcach u nóg, próbowała zrobić unik przed sobą samą.

Oczywiście?

Oczywiście?

Dlaczego Susanne siedziała w kawiarni z tamtą dziewczyną? Tą dużo starszą dziewczyną? Osiemnastoletnią Evą Salomonsson. Naturalnie istnieje tylko jedna odpowiedź na to pytanie, i jest to bardzo nieprzyjemna odpowiedź, taka, która świerdzi i irytuje, która sprawia, że Inez zarazem współczuje i zazdrości Susanne. Eva, rzecz jasna, nie jest zainteresowana kontaktami z Susanne. Interesuje ją Björn. A dokładniej jego popularność.

Inez prychnęła tak głośno, że usłyszała siebie pomimo wiatru. Popularność. Co takiego sprawia, że ludzie usychają za nią z tęsknoty?

249

Jest tak, jakby cała ta zwariowana jesień zmieniła Bjórna, sprawiła, że uwierzył, iż naprawdę jest tym, za jakiego go mają, jakby wszystko, co pisano o nim w gazetach, sprawiło, że zamknął za sobą wszystkie drzwi, jakby urodził się na nowo, jakby nigdy...

Przypomniała jej się przelotnie tamta buzia. Błyszczące, ciemne włosy. Jasny uśmiech. Grubiutkie ramionka, które się do niej wyciągały. Mały Björn. Lubił siedzieć u niej na kolanach, opierał głowę na jej piersiach, zasypiał w jej ramionach. Co on teraz robi? W tej chwili?

Myśl ta sprawiła, że podciągnęła lekko rękaw palta i popatrzyła na swoją dłoń, ale kiedy już to robiła,

czuła jego bezsensowność, idiotyzm tego gestu, na granicy kłamstwa. W ciemności nie zobaczy zegarka, wie o tym, mimo że cyferki się świecą. To nigdy nie działa. Poza tym wszystko jedno, która jest godzina. Mogłaby ją znać co do sekundy, ale i tak się nie dowie, co teraz robi Björn. Poza tym, że jest w Londynie. Z Elsie. Swoją matką. Swoją prawdziwą matką.

- Powinam iść do domu - powiedziała na głos do siebie i w tej samej chwili zmieniła zdanie. Muszę iść do domu.

Mimo to nie poruszyła się, stała w tym samym miejscu, z furkoczącą chustką i rękami wciśniętymi w rękawy. Wpatrywała się w wodę. Wyspa Ven jak ciemność pomiędzy Szwecją a Danią, Inez przyglądała się znanym konturom. Ależ musi być tam teraz ciemno. Żadnej latarni, tylko kilka małych, mrugających światełek domów ...

Ale zaraz, nie. Jedno z małych światełek poruszało się. Czy na pewno? Tak. Ktoś idzie w kierunku brzegu z latarką. Uśmiechnęła się: może nie jest zupełnie sama na świecie. Na innych brzegach też stoją ludzie, którzy próbują to i owo zrozumieć.

Na myśl o tym odwróciła się w kierunku plaży. W Borstahusen był już wieczór. W kilku spośród rzędów niskich domów paliły się światła. Nadal mieszkali w nich rybacy. Kiedy podeszła bliżej, zobaczyła, jak ich sieci suszą się na placyku przy falochronie.

250

Wiatr uniósł chustkę na jej karku i lodowate zimno dostało się pod uniesiony kołnierz, to sprawiło, że zaczęła iść w kierunku plaży.

Ile czasu zajmie jej droga do domu? Pół godziny, przynajmniej. Albo trzy kwadransy. Bo powłóczy nogami- I co powie, kiedy dojdzie do domu? Czy może powiedzieć, że stała na molo w Borstahusen w zwykły grudniowy dzień, że stała tam na wietrze przez ponad pół godziny, usiłując przestać się okłamywać? Tak, pięknie. Wie dokładnie, co by się stało, gdyby to zrobiła, Birger zacząłby gadać, gadać i gadać, aż po półgodzinie jej wspomnienie zostałoby unicestwione, a jego miejsce zajęłoby coś, co skonstruował Birger. Prawdopodobnie sens byłby taki, że Inez potrzebuje ruchu i to dlatego zdecydowała się pójść na naprawdę długi spacer... Tak. Brzmiało to wystarczająco nudno.

I co teraz zrobi na obiad, skoro nie kupiła nic na rynku? Przez sekundę widziała przed sobą pewien obraz, zobaczyła Birgera i Susanne, jak siedzą przy stole w kuchni, każde z uniesionym nożem i widelcem, pusto wpatrując się w drzwi. Całkowicie pasywni. Z ustami otwartymi jak u pisklaków. Czekający, aż Inez przyjdzie i tak jak zawsze, napcha ich do pełna jedzeniem.

Pieprzyć ich, pomyślała w chwili, w której stawiała stopę na placu poniżej rzędów małych domków.

Tak. Naprawdę zamierza to zrobić. Jest nimi zmęczona. Obojętnie. Ucieknie.

Myśl była zarazem tak oczywista i tak absurdalna, że aż się uśmiechnęła. Aha, pewnie. Dokąd? Jeśli wolno spytać. Znowu zaczęło wiać, wiatr złapał jej palto i sprawił, że zaczęło łopotać na plecach, poczuła bardziej, niż zobaczyła, że tuż obok na wietrze tańczy też sieć rybacka.

- Muszę iść do domu - powiedziała na głos do siebie samej, ale potem zatrzymała się i chwyciła słupa obok. Witr pochwyił sieć i owinął ją wokół jej twarzy.

251

Podniosła rękę i zerwała ją, nie myśląc nawet, co robi. Przecież musi iść do domu. Choć nie chce. Naprawdę nie chce.

To właśnie jest prawda. To wszystko, co może teraz powiedzieć o sobie i o swoim życiu, nie kłamiąc przy tym ani odrobinę.

Jednak oczywiście zaczęła iść. Sprawdziła nawet, czy torba wisi jak należy na ramieniu, chwyciła palcami rękawiczki i lekko je pociągnęła, a potem złapała oba końce szalika, żeby sprawdzić, czy jest porządnie zawiązany. To jednak nie zmieniło faktu, że nie ma ochoty iść do domu. Nie może już tego dłużej lekceważyć.

Szła teraz wysadzaną kocimi łbami ulicą, kawałek dalej paliła się pierwsza latarnia, ta, od której usiłowała uciec, kiedy tu przyszła. Jednak teraz nie zamierzała się już ukrywać, teraz zamierzała wejść w brudnożółte światło, a potem w ciemność po drugiej stronie. Bo teraz była kimś innym. Kimś, kto naprawdę przyznał przed sobą, że jakaś część życia dobiegła końca. Björn odszedł. Na zawsze. Stał się dorosły i znany. Pojechał do Anglii. Ma spotkać Elsie. Nawet jeśli on i Elsie wrócą do domu, do Landskrony, nic już nie będzie takie jak kiedyś. Björn już nigdy nie usiądzie jej na kolanach. Już nigdy nie zaśnie przy jej piersi.

Pozostaje zatem reszta życia. Jej życia. Nie zamierza jej zmarnować. Nie pozwoli, żeby została zmarnowana. Istnieje tylko jedna rzecz, której pragnie, poza niemożliwym cofnięciem zegara i wiecznym życiem z małym Björnem.

W Lund studiują też ludzie dorośli. Wie o tym, bo chociaż Birger podśmiewał się szyderczo, opowiadając o byłym stoczniovcu, który nagle pojawił się w liceum z licencjatem z fizyki i chemii i workiem długów za studia na plecach - w wieku czterdziestu trzech lat! ona miała całkowicie gdzieś jego drwiny.

252

To da się robić. Są tacy, co już to zrobili. Dlaczego ona nie miałaby tego zrobić? Na chwilę stanęło jej przed oczami dawne marzenie, to o docenieniu i małym, trzypokojowym mieszkaniu w Lund, ale oparła się pokusie zanurzenia w nim. Tak nie będzie. Istnieje tysiąc innych wariantów, ale nie ten...

Będzie musiała dojeżdżać. Oczywiście. Parę razy w tygodniu może jeździć do Lund na wykłady i seminaria, a przez resztę czasu siedzieć w domu i się uczyć. Może będzie mogła siedzieć na poddaszu, w pokoju Elsie, w tym pokoju, który nie był od lat używany, do którego Inez wchodzi tylko od czasu do czasu, żeby odkurzyć i powycierać kurze. Mogłaby nawet go przemeblować. Wyrzucić stare łóżko i toaletkę, kupić biurko, naprawdę ładne biurko i duńską lampę z białym, marszczonym abażurem...

Inez zatrzymała się w pół kroku i zamknęła oczy. Co ona sobie wyobraża? Skąd weźmie pieniądze na biurko? Albo na duńską lampę? Pieniądze w banku są na koncie Birgera i sama myśli o tym, że Birger wypłaciłby jakąś sumę, żeby ona kupiła biurko i lampę, była nierealna. Birger nigdy nie wypłacił grosza z tego konta, wręcz przeciwnie, pilnował zazdrośnie książeczki oszczędnościowej jak smok skarbu. Co miesiąc dawała mu do ręki setkę, którą on wkładał do swojego portfela obok własnych setek. Potem zapinał płaszcz i szedł do banku, żeby dokonać wpłaty. Dziwne, że kiedy setka opuściła już jej portfel, przestawała do niej należeć. Stawała się jego setką. Sama myśli o tym, żeby go o coś prosić, czegoś żądać lub oczekiwać, przyprawiała ją o mdłości. Widziała, jak będzie sznurował usta, jak...

Czuję do niego wstręt, pomyślała i otworzyła oczy. Tak, jestem kobietą, która czuje wstręt do swojego męża.

Wywołało to jej zdumienie. Poczła się też dość winna.

253

Kiedy wróciła do domu, siedział w salonie. Gdy usłyszał, że wchodzi, natychmiast się podniósł i przyszedł do przedpokoju. Stał w drzwiach garderoby i przyglądał się, jak zdejmuje kozaki. Ręce w kieszeniach spodni. Na nosie okulary do czytania. Na twarzy coś w rodzaju smutku.

-Cześć - powiedział po chwili.

Odwróciła wzrok i zaczęła szukać kapci na półce do butów. Zawsze nosiła kapcie. Uważała, że chodzenie w skarpetkach jest prymitywne. Jak Birger.

- Cześć.

- Gdzie byłaś?

Nadal nie chciała na niego spojrzeć, więc utkwiała wzrok w swoim odbiciu w lustrze. W swojej bladej twarzy. Brzydkiej twarzy. Pozbawionej miłości twarzy zdrajczyni.

-Na spacerze.

Nie odpowiedział od razu, najpierw za kotysał się w miejscu i spróbował uśmiechnąć:

-Chciałem już dzwonić na policję.

Zerknęła na niego przelotnie i przycisnęła się obok, a potem szybkim krokiem poszła w stronę kuchni. Nic nie odpowiedziała. Poszedł za nią.

-Żeby cię szukali.

Wpadła do kuchni, chwyciła fartuch i zawiązała w pasie. Teraz czuła, jakie ma sztywne palce. Była przemarznięta do szpiku kości. Birger stał w drzwiach kuchni. Wyciągnął ręce z kieszeni, dyndały po bokach. Niezgrabnie. Zmarszczył brwi.

254

-Coś się stało?

Odwróciła się do niego plecami i otworzyła lodówkę.

Skłamała:

-Co powiedziałaś? Odchrząknął.

-Coś się stało?

Grzebała w zamrażarce. O tak, jest zamrożona potrawka z kurczaka. Rozmrozi ją na obiad. Gwałtownie ścisnęła usta - nie odpowiadaj! - a potem obejrzała się i zerknęła na niego. Mój mąż, pomyślała. Ta postać to, w rzeczy samej, mój mąż.

-Gdzie jest Susanne?

Stał w drzwiach, nadal z opuszczonymi rękami, aż nagle napotkał jej wzrok, wyprostował się i włożył ręce do kieszeni.

-Wyszła. Z Ingalill.

Inez odwróciła wzrok, otworzyła zawoskowaną paczkę i wrzuciła jej zawartość do garnka.

-Aha.

Było za wcześnie na nakrywanie do stołu, ale po prostu musiała otworzyć szafkę i wyjąć kilka talerzy. Wszystko, byle tylko na niego nie patrzeć.

Kiedy się odwróciła, nie stał już tam, gdzie wcześniej, obok drzwi.

Rozwód. Już samo słowo jest nieprzyjemne. Brudne jak niewyprana bielizna. Nigdy o nim wcześniej nie myślała. Nie w tej kuchni. Nie w odniesieniu do siebie samej. Nie jak o czymś, co mogłoby dotknąć ją i Birgera.

Jednak teraz, kiedy postawiła na kuchence garnek z wodą i odmierzyła ryż, myślała właśnie o tym. Testowała słowo. Smakowała je. Umieszczała w różnych zdaniach.

Chcę się rozwieść.

Chciałabym wziąć rozwód.

255

Przepraszam cię, mój drogi Birgerze, ale chciałabym się rozwieść.

Nie. Nie da rady. Nie umie tego powiedzieć. To zupełnie niemożliwe.

Po sekundzie znowu trzasnęły drzwi. Do domu wróciła Susanne. Inez słyszała, jak hałasuje w przedpokoju ściąga kozaki i rzuca je z hukiem na ziemię, jak trzaska wieszakami, odwieszając kurtkę, i coś mamrocze, zamiast rzucić „cześć”.

Oczywiście obrażona. Jak zawsze.

Inez odwróciła się w stronę kuchenki i zaczęła mieszać zamrożoną bryłę w garnku, zmniejszyła ogień i zapatrzyła się w ścianę. Co stałoby się z Susanne, gdyby Inez rozwiodła się z Birgerem? Przez sekundę mignęło jej przed oczami wspomnienie: oto ona sama i Elsie stoją w milczeniu i bez ruchu wpatrują się w mały pokój, który miał stać się ich pokojem. Zza ich pleców dochodzi nienaturalnie wesoły świergot Lydii. Prawda, że ładnie? Prawda, że będzie ładnie?

Nie. Nie mogłaby zrobić tego Susanne. Tego nigdy.

Kiedy już nakryła do stołu, zapaliła świeczkę, a potem przez chwilę stała bez ruchu z pudełkiem zapalek w ręku. Potem włożyła je do kieszeni fartucha i zawołała:

-Jedzenie gotowe!

Żadnej odpowiedzi. W domu było cicho. Bardzo cicho.

Nad kuchenką unosił się obiecujący zapach. To nie ulegało kwestii. Potrawka z kurczaka była smaczna, ale i tak dręczyły ją wyrzuty sumienia, że poszła na łatwiznę, zdecydowanie za bardzo.

To z kolei wzbudziło w niej złość. Dlaczego nie może mieć wolnej soboty? Jak inni? Podniosła głos:

-Halo, mówiłam przecież, że jedzenie jest gotowe!

256

Wystarczyło. Usłyszała, jak Susanne leje wodę do zlewu w toalecie, a Birger składa gazetę w salonie. W jej głowie zaległa się mała złośliwość - mam nadzieję, że nie będzie wykończony koniecznością przeniesienia się do kuchni! Szybko ją odsunęła, rozwiązała fartuch i odwiesiła na miejsce, a potem usiadła przy kuchennym stole.

Birger przyszedł pierwszy. Nie spojrzał na nią, tylko – jak to miał w zwyczaju - wbił oczy w stół i odsuwając nogą krzesło, zatarł ręce. Przez głowę Inez przeleciała fantazja. Zobaczyła siebie samą, jak pochyla się nad starannie nakrytym stołem i syczy na niego. Jak kotka. Może poczuł to, może to dlatego spojrzał na nią błyskawicznie, a potem równie szybko odwrócił wzrok. Zaraz potem przyszła Susanne, nie popatrzyła na żadne z nich, odsunęła tylko na bok pasmo włosów i założyła je za ucho.

-Cześć - powiedziała Inez.

Susanne odsunęła swoje krzesło i usiadła.

-Cześć - odpowiedziała nieobecny tonem. Znowu zapadła cisza. Inez przyglądała się Birgerowi, podczas gdy on, jakby to było oczywiste, pierwszy sięgnął po jedzenie. I nie patrząc na nią, napełnił sobie talerz.

Dam sobie z nim radę, pomyślała. Na pewno. Jeśli tylko włożę w to trochę wysiłku.

Susanne sięgnęła po ryż.

Z nią też sobie poradzę. To nie takie trudne.

Inez napełniła swoją szklankę mlekiem, a potem położyła serwetkę na kolanach i powiedziała:

-Podjęłam decyzję.

Żachnęli się. Oboje. Opuścili widelce i nareszcie na nią spojrzeli.

257

-Na zdrowie - powiedział Karl-Erik. - I przepraszam.

Elsie potarła serwetką górną wargę i podniosła swój kieliszek.

- Nie ma za co przepraszać.

Karl-Erik przechylił na bok głowę.

- Na pewno?

- Na pewno.

Karl-Erik oparł łokcie na stole i pochylił się do przodu.

-Nigdy z nimi nie chodzę. Muszą czasem uwolnić się od nas, dorosłych.

Elsie uśmiechnęła się, ale nie odpowiedziała.

-Bo tak naprawdę to tylko dzieci - kontynuował Karl-Erik. - Dzieciaki. Tak między nami mówiąc. Ich imprezy bywają dość męczące.

Elsie nadal się uśmiechała. Był to grzeczny uśmiech z zaciśniętymi wargami, który więcej krył, niż odsłaniał. Jednak może było konieczne, żeby mimo wszystko ułożyć odpowiedź.

-Mogę to sobie wyobrazić.

-A dziś wieczorem będzie na pewno gorzej niż zwykle...

Uśmiech Elsie zgaśł. Karl-Erik zmarszczył czoło i podniósł rękę w powstrzymującym geście.

-Ale proszę się nie martwić. Björn nigdy nie przesadza z pićm. Nigdy, przenigdy. I żadnej trawy. Wiem to na pewno. To porządny chłopak. Wyjątkowo porządny.

Twarz Elsie znowu rozjaśniła się uśmiechem. Jak długo będzie musiała znosić tego faceta? Czy on zamierza jeść przystawkę, główne danie i deser?

258

A jeśli tak, to czy Elsie może uciec jeszcze przed deserem? Nie. Nie może. Jest na to zbyt dobrze wychowana.

- Dziękuję - powiedziała. - Miło słyszeć.

Wyglądał na zadowolonego.

Jedzenie nie było złe. Wręcz przeciwnie. Przytulna restauracja z kraciastymi obrusami i świecami w pustych butelkach po winie. Wyglądało to tak, jakby znajdowali się w Paryżu, a nie w Londynie. Z wyjątkiem krzepkiej kelnerki z mocno wylakierowanymi włosami i głośnym śmiechem. Ona mogła należeć tylko do angielskiej klasy robotniczej.

Karl-Erik gadał. Musiała tylko się uśmiechać i mu przytakiwać, ewentualnie wtrącić jakieś pytanie. Nie było to zresztą takie łatwe, bo mówił o rzeczywistości, której nie znała, i o ludziach, o których nigdy wcześniej nie słyszała. Z drugiej strony miała przecież wieloletnie doświadczenie w prowadzeniu rozmów z mężczyznami o rzeczach, których nie znała, i ludziach, o których nigdy nie słyszała. Inna rzecz, że nigdy nie rozmawiała z nimi na osobności. Nigdy nie wychodziła z członkami załogi, jeśli szły mniej niż trzy osoby. Nigdy. W gruncie rzeczy od wielu lat nie była sama z mężczyzną w restauracji. Do dziś. Zadrzała. Nie ma pojęcia, jak dużo straciła. Wie natomiast, czego udało jej się uniknąć.

-Prawda? - zapytał Karl-Erik.

Zamrugła i przez chwilę wpatrywała się w niego, zanim opanowała twarz i znów się uśmiechnęła. Nie miała pojęcia, o czym on mówi, ale założyła, że powinna się. z nim zgodzić.

- Tak. Oczywiście.

- Jak dobrze. To jutro to załatwię.

O Jezu! Na co ona się zgodziła?

- Ale...

259

Zadrzał jej głos. Karl-Erik zatrzymał się z do połowy uniesionym kieliszkiem.

-Oj. Zadzwoń tylko do sekretarki. To idzie na firmę rozumiesz. A przecież i tak jedziesz do domu,

prawda?

Do domu? Czy on zamawia dla niej podróż do domu?

- Tak, ale nie wiem...

Wypił łyk wina.

- Nie, ale ja wiem. Jedziesz z nami.

Aha. Czyli przesądzone. Pojedzie do domu. Albo chociaż do Szwecji.

Po jedzeniu Karl-Erik wyjął cygaro i podczas gdy kelnerka sprzątała ze stołu, starannie obierał je z celofanu. Elsie wyrzała przez okno. Na zewnątrz było ciemno. Asphalt błysnął, kiedy przejeżdżał jakiś samochód. Chyba padało.

-Nie mówisz dużo - powiedział Karl-Erik, zapalając cygaro. - Jak twój syn.

Elsie wyprostowała się i spróbowała zebrać myśli.

- Jestem tylko trochę zmęczona.

- Ale masz chyba ochotę na deser?

Westchnienie. A więc będzie deser. Znowu trzeba pokazać grzeczny uśmiech.

-Jeśli ty zjesz, to...

-Zamierzam. Wszystkie panie mają ochotę na deser. Moja żona...

- To jesteś żonaty? Karl-Erik skrzywił się.

- Byłem.

Na chwilę zapadła cisza, oboje odwrócili wzrok.

- No - powiedział w końcu Karl-Erik. – Opowiadaj.

- Elsie była tak zdumiona, że zapomniała o uśmiechu.

- Opowiadaj? A co ja mam opowiadać?

-Kim jesteś - odpowiedział Karl-Erik. - Co robiłaś.

Opowiedz o swoim życiu.

260

-Tata Bjórna ma na imię Jörgen - odparła Elsie.

Nie. Chyba tego nie powiedziała. Nie mogła tego powiedzieć. To niemożliwe.

Potem nie pamiętała dokładnie, jak to naprawdę było. Kiedy stała przed lustrem w hotelowej łazience i wyjmowała szpilki z koka, usiłowała sobie przypomnieć, ale jej się nie udawało. Myśli wciąż wracały do tamtego zdania. Tata Bjórna ma na imię Jórgen.

Usiadła na sedesie, trzymając szczotkę do włosów. Nie mogła tego powiedzieć. Nie mogła powiedzieć tego, czego do dzisiejszego dnia nie pozwoliła sobie powiedzieć żadnemu człowiekowi. Ani Inez. Ani Lydii. Ani nawet samemu Bjórnowi. Jednak Karlowi-Erikowi to powiedziała. Kompletnie obcej osobie.

Wstała i spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Niezbyt piękne. Zwisające włosy. Zmyty tusz do rzęs. Zjedzona szminka. Błada i rozmazana, szara twarz, szare wargi z parą wąskich, świńskich oczek, które jeszcze mały, kiedy się w nie wpatrywała. Uch. Odwróciła się i włożyła szlafrok. Przed wyjściem z łazienki zgasiła światło, żeby już siebie nie oglądać, ale jak tylko weszła do pokoju, pierwszą rzeczą, którą zobaczyła, była niewyraźna postać w czarnym oknie. Znowu jej odbicie. Natychmiast zaciągnęła zasłony, a potem się odwróciła, gotowa, by zająć się czymś pożytecznym. Czymś, co powstrzymałoby myśli.

Nie. Tego nie powiedziała. Jest niemal pewna. A jeśli już powiedziała, to Karl-Erik na pewno nie usłyszał. Tego była całkowicie pewna. W przeciwnym razie nie śmiałby się przecież i nie żartował w drodze do domu. Ani nie pocałował jej w policzek na dole w foyer. Nie. Wszystko jej się przewidziało. To z winy tego Matsa. To on zadał pytanie, które uruchomiło jej wspomnienia. Głupoty. Totalne bzdury.

261

Elsie zacisnęła pasek szlafroka i rozejrzała się dookoła. A więc coś pożytecznego. Tylko co? Ubrania są już pozbierane i wiszą w porządku na wieszakach w szafie. Świeżo uprane majtki i skarpetki suszą się w łazience. Pusta, zamknięta walizka stoi przy ścianie. Po południu wypolerowała buty. Wszystkie trzy pary.

Tata Bjórna ma na imię Jórgen.

Czy w tym pokoju nie ma radia? Nie. Najwyraźniej nie. O telewizorze oczywiście nie ma nawet mowy. Książkę na nocnym stoliku przeczytała w nocy po raz trzeci. Nie mogła zasnąć. Była kiepska. Naprawdę zła. Jakaś zupełnie idiotyczna historia o kierowcy...

Uwiedziona. Tego słowa używała potem dla siebie samej. Myślała o sobie jako o dziewczynie, która została uwiedziona. Jednak w rzeczywistości niewiele miało to wspólnego z uwiedzeniem. W rzeczywistości on przewrócił ją na trawę. Uderzył w twarz, aż zaczął jej krwawić nos. Złapał za szyję i ścisnął tak mocno, że potem miała siniaki...

Nie. Nie myśleć tak. Nie przypominać sobie. Nie zmuszać się do pamiętania, jak... Nie!

Jednak nic nie pomogło. Stała pośrodku pokoju i czuła, jak to znowu się dzieje, jak idzie przez park otoczona ramieniem Jörgena. Jest cicho, między nimi jest zupełnie cicho. Myśli podążały wolnym rytmem, w jakim wtedy spacerowali. Musnęły szkolną potańcówkę, z której uciekli. Jórgen czekał na szkolnym dziedzińcu. Zamiast wejść po nią do środka, stał w cieniu, pod drzewem, i zanim do niego podeszła, miał taką poważną minę. Potem uśmiechnął się swoim ciepłym, szerokim uśmiechem, który

należał tylko do niej. Przez chwilę zastanawiała się, dlaczego nie chciał wejść na potańcówkę, dlaczego nigdy nie chciał się z nią pokazywać wśród jej znajomych. Sekundę potem pocieszyła się myślą, że on przecież jest o cztery lata starszy i na pewno nie ma ochoty zadawać się z masą licealistów. Z wyjątkiem Elsie. Z nią naprawdę chciał być.

262

Oparła mu głowę na ramieniu, tweed jego płaszczka łaskotał w policzek. Westchnęła z zadowoleniem. W odpowiedzi objął ją ramieniem.

W parku było ciemno. Jesienny zmrok. Po drugiej stronie widać było światła kilku willi, ale tam, gdzie szli, panował mrok. Nie widać było nawet wieży ciśnień kawałek dalej, tylko latarnię w parku obok. Było pięknie. Elsie westchnęła z zachwytem. Jest dziewczyną spacerującą po parku z chłopakiem, nie, przepraszam, z młodym mężczyzną, a wokół niej wszystko jest takie łagodne, spokojne i piękne. Nie musi myśleć o swoim zwariowanym tacie i dziwacznej mamie ani o wiecznie zawiedzionej siostrze, która tylko narzeka, narzeka i narzeka na wszystko, co powie lub zrobi Elsie, i która nawet nie wie, skąd to narzekanie. Za to Elsie wie dlaczego. Z zazdrości. Z tego właśnie wynika. Inez zazdrości Elsie, choć teraz sama nie wie czego, kiedy jej własny stanik jest równie dobrze wypełniony jak stanik siostry. Elsie nie powiedziała Inez ani słowa o Jörgenie. W rzeczy samej nie powiedziała nikomu o nim ani słowa. Był jej tajemnicą. Należał do niej. To była pełna żaru tajemnica, która sprawiała, że Elsie emanowała blaskiem, drżała i lśniła. I inni widzieli to światło. Czuli ciepło. Widzieli światło i czuli ciepło, i właśnie dlatego jej zazdrościli.

To Jörgen od początku chciał, żeby tak było. Opowiadał, że znajduje się wśród oczekujących na pracę zastępcy nauczyciela w szkole i dlatego byłoby naprawdę niestosowne, gdyby ktoś ich ze sobą zobaczył. Kiedy przyjeżdżał do Landskrony odwiedzić rodziców, spotykali się po kryjomu. Mieszkał w Lund. Studiował medycynę i miał zostać lekarzem. A Elsie, kilka tygodni temu wyszeptał jej to do ucha, będzie jego małą panią doktorową...

Tego wieczoru chciał się z nią przespać. Błagał ją o to, niemal płakał, a kiedy bez słowa kręciła głową, chwycił ją nawet za ramiona i potrząsnął.

263

Jednak ona nie mogła. zrobić nic innego, jak odmówić. Potem było jej przykro i oskarżała siebie samą. Może powinna była się zgodzić. On przecież ją kocha. Ona jego też. I nie chciałyby, żeby było mu ciężko.

Może potem on też myślał o tamtej chwili. Może to dlatego nagle mocniej objął ją ramieniem i pociągnął za sobą na trawnik, po którym przecież nie wolno było chodzić, a potem dalej, do pobliskiej wierzby. Jeszcze nie opadły z niej liście, czuła, jak jej dotykają, kiedy rozsuwał gałęzie i coś do niej szeptał. Nie słyszała, co mówi, tylko jego głos, a przed oczami miała wierzbowe liście. Wyobrażała sobie, jak brązowieją i schną, jak się kurczą. Niedługo będą wyglądały jak stare, wysuszone strąki grochu, pomyślała i odwróciła się do niego z uśmiechem, a potem wyobraziła sobie, że on też się uśmiecha. Może on tego nie zrobił.

Później pamiętała bardzo dokładnie, co się stało, ale nie mogła uwierzyć, że stało się naprawdę i że naprawdę zrobił to Jörgen. To jakiś obcy mężczyzna chwycił ją za włosy, tak że sekundę potem leżała na ziemi, na pośłaniu z liści wierzyby, które zachrząściły pod jej ciężarem. Docierało to do niej tylko przez moment. Chrzęst. Zaraz później poczuła, że ten sam obcy uderzył ją w twarz. Miała zasznurowane gardło, ktoś schwycił ją za szyję jego palce splotły się ze sobą. Jej własne ręce uniosły się do góry i próbowały zerwać tamte palce, ale nie były w stanie tego zrobić, brakowało jej powietrza. Coś spływało jej do gardła - Ślina? Czy to ślina? i zatykało je tak, że nie mogła oddychać, coś miękkiego, ciepłego i słonego. Krew! To krew. W tej samej chwili obcy zdjął jedną rękę z jej szyi i przesunął ją do spódnicy, szamotał się z nią, aż podciągnął nad jej uda. Drugą rękę położył na jej twarzy, zatykając usta i dziurki w nosie.

264

Wykręcała głowę, próbowała mu się wyrwać i zaczerpnąć powietrza, a jednocześnie myślała o swoich majtkach. Miała w duszy nadzieję, modliła się o to do Boga, że jej majtki są czyste, że nie są sprane ani zabrudzone krwią menstruacyjną. Potem się w nią wbił. Rozerwał ją. Oboje zamarli, przez moment leżeli bez ruchu, aż nagle pocałował ją w szyję i wyszeptał:

- Kocham cię, Elsie. Kocham cię... To był głos Jörgena. Zdecydowanie był to głos Jörgena.

Potem płakał. Płacząc, błagał o wybaczenie, leżał na niej, był tak ciężki, że z trudem łapała oddech. Mimo to objęła go ramionami i przycisnęła mocniej do siebie, leżała zupełnie bez ruchu, pozwalając, by jego łzy zmoczyły jej policzki. Oczywiście, że mu przebaczyła. Powie mu to. Jak tylko odzyska zdolność mówienia, to mu powie.

Jednak zajęło to trochę czasu, zanim wrócili słowa. Najpierw oboje wstali i Elsie zobaczyła, że zgubiła but, a jej stopa zanurzyła się w suche liście i dotyka czarnej ziemi, czuła, jaka jest teraz zimna i jakie ma skurczone, przygięte palce. Stanęła na jednej nodze i oparła się o drzewo, a potem, pochylona, zaczęła obmacywać ziemię, szukać buta ręką. Tu jest. Pozycja sprawiła, że zakręciło jej się w głowie i znowu osunęła się na ziemię. Przysiadła, oparta plecami o pień drzewa, i zaczęła wiązać sznurówki, czuła, jak chłód przenika przez palto, przez spódnicę, przez jej wilgotne majtki i sprawia, że stają się lodowato zimne, podczas gdy ona wciska na nogę but i sznurowuje go. Potem wstała i cały czas opierając się ręką o drzewo, doprowadziła do porządku resztę ubrań. Raczej usłyszała, niż zobaczyła, że Jörgen odwraca się do niej plecami i zasuwa rozporek.

W tym samym momencie świat ucichł. Na jedną mikrosekundę zapadła wokół nich totalna cisza, a ciemność, która zupełnie niedawno była zwykłą ciemnością jesienną, pogłębiła się i stała się czarna jak aksamit.

Teraz zaszłam w ciążę, pomyślała Elsie. To stało się właśnie w tej sekundzie.

Nie odzyskała mowy, dopóki nie stanęli przed klatką jej domu. Jörgen właściwie też nic nie mówił, on także. Zapalił tylko papierosa i wziął ją pod rękę, prowadził ją, jakby była chora albo niepełnosprawna i musiała być prowadzona, aż doszli do ulicy i zaczęli iść w stronę jej domu. Wtedy objął ją ramieniem i przycisnął.

-Dobrze się czujesz? - zapytał stłumionym głosem. Kiwnęła głową w odpowiedzi. Postawiła jedną stopę przed drugą.

-Na pewno?

Znowu kiwnęła. Teraz są już na miejscu. Teraz Elsie widzi swój dom. Jörgen wyrzucił niedopałek i przystanął, zanim weszli w krąg światła klatki schodowej. Puścił jej ramię i już miał coś powiedzieć, kiedy odezwał się ktoś inny.

-Elsie? To ty?

To była Inez. Stała w świetle klatki schodowej i wyglądała niepewnie. Jörgen zrobił błyskawicznie krok w cień. Elsie zrobiła krok do przodu, spojrzała na siostrę, owo drugie wydanie siebie samej. Pod beretem była bardzo porządnie uczesana. Miała starannie zawiązany szalik. Pasek wokół jej trenczowego płaszcza był mocno zaciągnięty.

Dziewica, pomyślała Elsie. Ona nadal jest dziewczyną.

-To ja.

Widziała, jak Inez wpatruje się w mrok, jak szuka Jörgena, i domyśliła się raczej, niż zobaczyła, że Jörgen odwrócił się tyłem.

- Nie wchodzisz?

- Jeszcze nie...

266

-Ale...

Tuż za nią kręcił się Jörgen, wyczuwała jego niecierpliwość i natychmiast jej się udzieliła.

-Niedługo przyjdę. Powiedz, że zapomniałam butów i musiałam się wrócić. Czy coś innego.

potem odwróciła się i zniknęła w ciemności, obok Jörgena.

267

Björn tańczył. Obejmował ramionami Caroline, przytulając ją mocno do siebie, przyjemnie mieć jej ciało tak blisko, jej piersi, uda, lekko zaokrąglony brzuch, jej policzek przy swoim, jej oddech na swoim uchu. Gdzieś w tyle słyszał śmiech - rechot Tommy'ego i krzykliwy głos Pea. Zawsze mu się wyostrzał głos,

kiedy był pijany. Björn chętnie powiedziałby o tym Caroline, gdyby tylko mógł sobie przypomnieć, jak brzmi po angielsku słowo „krzykliwy”. Albo gdyby mógł się zdobyć na to, żeby ją puścić. Jednak nie mógł tego zrobić. Chciał ją ciągle obejmować, stopić się z nią, stać się jej syjamskim bliźniakiem. Miała czerwoną sukienkę i długą grzywkę. Pachniała ładnie mydłem i jakimiś perfumami...

- Cholera - wrzasnął ktoś po szwedzku. - Cholera, tylko nie Robban...

To był Niclas. Pijany. Albo na totalnym haju. Wszystko jedno.

Muzyka ustała i Caroline uwolniła się z jego objęć, z uśmiechem. On też się do niej uśmiechnął i złapał ją za rękę. Nie zamierzał jej puścić aż do rana.

268

Dzwonek. Elsie wzdrygnęła się i obudziła. Rozejrzała się dookoła. Stłumione światło z małej lampki przy łóżku, czerwona wykładzina dywanowa, na ścianie wydrukowany obrazek domu ze słomianą strzechą. Minęła chwila, zanim zorientowała się, gdzie jest. W tym czasie telefon zdążył znów zadzwonić. Sięgnęła po niego i przycisnęła do ucha czarną słuchawkę.

-Halo?

Na chwilę zapadła cisza. Potem usłyszała ostrożny głos. Niemal szept.

- Elsie?

- Inez? -Tak.

Znowu cisza. Lekki niepokój. Elsie wstrzymała oddech.

- Czy coś się stało?

- Nie, nie. Chciałam tylko... Znowu cisza.

- Tak - spytała Elsie.

Głos Inez podniósł się. Zaczął niemal przypominać ten, którym zawsze mówiła.

-Chciałam zadzwonić do Bjórna i dowiedzieć się, Co u niego. Ale nie odpowiada. Więc podałam im twoje imię.

-Tak.

- No i ty jesteś.

Elsie przymknęła oczy. Wybacz mi kiedyś, pomyślała. Wybacz mi, że go urodziłam. Wybacz, że ci go dałam...

269

-Tak. Björn jest na jakiejś imprezie - powiedziała. Wypetrza z pewnym wysiłkiem z łóżka i stanęła przy nim wyprężona na baczność. Nie wiedziała dlaczego.

-Aha.

Głos Inez brzmiał neutralnie. Jakby było jej wszystko jedno.

-Party po koncercie.

Elsie znowu usiadła na brzegu łóżka i przesunęła wolną ręką po białym prześcieradle. Niedługo znów zaśnie. Naprawdę głęboko.

-No i jak poszło?

-Występ? Dobrze. Myślę, że tak. Chociaż grali z playbacku.

- Z czego?

- Z playbacku. Puszczono płytę, a oni udawali, że grają i śpiewają.

Na chwilę zapadła cisza.

-Dziwne - powiedziała w końcu Inez.

Elsie uśmiechnęła się do czarnego bakelitu, ale uważała, żeby uśmiechu nie dało się usłyszeć w jej głosie.

-Tak. Można tak powiedzieć.

Znowu zrobiło się cicho, a potem Inez w Landskronie odchrząknęła.

- Teraz jest na przyjęciu? -Tak. - Bez ciebie? Elsie kiwnęła. -Tak.

- No to co robiłaś wieczorem?

- Zjadłam kolację. Z tym Karlem-Erikiem.

-Hm.

Ten dźwięk mógł oznaczać mniej więcej wszystko

Inez nie powiedziała nic więcej.

- Przyjadę z nimi do domu – powiedziała w końcu Elsie tylko po to, żeby przerwać ciszę.

270

Przyjadę do Landskrony. Mogę u was jak zawsze pomieszkać?

-Tak - odparła Inez. - Nie ma problemu. Na razie.

Elsie czujnie wyprostowała plecy.

- Co masz na myśli?

- Twój pokój - odparła Inez. - Chcę go przerobić. Na jesieni.

Twój pokój? Minęła sekunda, nim Elsie pojęła, o jakim pokoju myśli Inez. O tym małym pokoiku na poddaszu ze zniszczonymi, starymi meblami? Starym łóżkiem z dziewczęcego pokoju w domu Lydii. Dużą lampą stołową, która stała w ich pokoju w Göteborgu. Starocie z przeszłości. Odsunęła z twarzy pasmo włosów.

- Nie wiedziałam, że to mój pokój. Myślałam, że to wasz pokój gościnny.

- Jesteś jedynym nocującym gościem, jaki u nas kiedykolwiek był. Ale chciałabym ten pokój zmienić na lato.

W głosie Inez pojawiło się coś nowego. Jakiś obcy ton. Nieśmiały, ale dumny. Niemal triumfujący.

-Aha...

-Zrobię z niego mój gabinet. Kiedy zacznę studiować historię literatury w Lund. Na jesieni.

Mówiła teraz z przerwami, jakby było jej ciężko oddychać. Elsie zmarszczyła czoło w poszukiwaniu właściwych słów. Znalazła je:

-Jak dobrze. Tego przecież chciałaś. Na chwilę zapadła cisza.

-Tak sądzisz?

-Tak.

- Naprawdę? - Absolutnie.

-Birger też tak uważa. Mówi, że już czas, żebym nareszcie zrobiła to, co zawsze chciałam robić. Nigdy nie uwierzyłabym, że tak powie.

271

Jej głos stał się nagle głosem małej dziewczynki. Dość zdumionej i pełnej niepokoju dziewczynki. Elsie wysiliła się, żeby brzmieć całkiem zwyczajnie.

-Jasne, że tak uważa.

Głos Inez na powrót zrobił się dojrzały i trochę zmartwiony.

- Ale gdzie będziesz mieszkać, jeśli zabiorę twój pokój?

Elsie wzruszyła ramionami. Nie chciała o tym myśleć.

-Jakoś to się poukłada.

Głos Inez rozjaśnił się. Wpadła na pomysł.

- W domu Lydii jest wolny pokój. Dokładnie obok jej mieszkania. Sąsiad zmarł. Mogę pogadać z Bertilssonem.

-Z kim?

-Z gospodarzem, no wiesz. Robi tam remont. Elsie skrzywiła się lekko. Czy ma ochotę na to, żeby znowu mieszkać w tamtym domu? Czy chce być sąsiadką Lydii? Nie, dzięki. Lepiej nie.

- Dziękuję, ale...

- Teraz cię na to stać. Björn już sam się utrzymuje. Nie musisz płacić alimentów.

-No tak, wiem, ale...

-Pamiętaj, że brakuje mieszkań. Nie jest łatwo dostać kawalerkę. Z łazienką i prawdziwą kuchnią.

-Tak, ale...

-No to dobrze. To ja z nim porozmawiam. Będzie świetnie, zobaczysz.

Po odłożeniu słuchawki Elsie, nagle całkowicie rozbudzona, siedziała jeszcze bez ruchu. Aha. Zatem jest właścicielką mieszkania. Bo właściciel domu nie będzie miał wyjścia, kiedy zabiorą się za niego Inez i Lydia. Będzie musiał wynająć Elsie tę kawalerkę bez względu na to, czy chce tego, czy nie, mówiąc szczerze, bez względu na to czy Elsie chce ją wynajmować.

272

Nie mają szans, ani ona, ani Bertilsson.

Własne mieszkanie. Dom. Jak to ją zmieni?

Stanie się taka jak inni. Człowiekiem z kotwicą. Uchodźcą, który już wystarczająco długo uciekał.

Ta myśl sprawiła, że pociągnęła nosem. Głęboko odetchnęła i pomyślała, że to zdławiony szloch, że jest na granicy wybuchnięcia płaczem. Potem wstała i przeciągnęła się. Głupoty. Dlaczego miałyby wybuchnąć płaczem z powodu kawalerki w Landskronie? Kawalerki, w której być może - ale tylko być może - będzie pomieszkiwać kilka razy w roku. Nie zamierza schodzić na ląd. Wszystko się może zdarzyć, ale nie to. Przez większą część roku mieszkanie będzie stało puste i niezamieszkane, będą w nim spuszczone żaluzje i będzie się zbierał kurz - cicho i spokojnie jak pierwszy śnieg...

Ile to czasu minęło, odkąd miała dom? Albo choć pokój, o którym mogłaby powiedzieć własny?

Ostatnio kiedy była w szkole dla telegrafistek. W Kalmarze. Osiemnaście lat temu. Może siedemnaście.

To był całkiem ładny, mały pokój na parterze starej willi. Z własnym wejściem. Starannie umeblowany, z dwoma fotelami i małym, okrągłym stolikiem. I dziwnym składanym biurkiem, które można było przerobić na szafkę, jeśli chciało się pisać w tajemnicy przed wszystkimi. No i jeszcze z łóżkiem, wygodniejszym od wszystkich innych łóżek, jakie kiedykolwiek miała, łóżkiem, w którym przespaała całą pierwszą niedzielę... Tak. Tak to było. Obudziła się dopiero o czwartej po południu, czego nie dało się ukryć. Pojęła to, bo jak tylko podciągnęła żaluzje, przez ogród przebiegł mały chłopiec, krzyząc: Mamo, dziewczynka się już obudziła!

I rzeczywiście. Obudziła się naprawdę. Jako zupełnie inna osoba niż ta, która tu zasnęła poprzedniego wieczoru.

273

Nowa kobieta, która zapomniała wszystko, co stare, dla której Lydia, Inez i Björn byli tylko bohaterami jakiejś opowieści, o niewyraźnym kształcie i charakterze! Kobieta, która rozumie, że kiedyś, w tej samej opowieści istniał też tata, ale nie do końca pamięta, jak wyglądał, jak miał na imię i gdzie się podział. Nawet Jörgen uległ przemianie, kiedy spała. Nie był już wielkim smutkiem jej życia ani wielkim zdrajcą, ani nawet kłamcą. Był kimś zmyślonym. Postacią z bajki. Do połowy wymyśloną przez niego, do połowy przez nią samą. Nie miało nawet sensu, by o nim myśleć. Zapomniała, że już następnego dnia po tym, co się stało w parku, chciała do niego zadzwonić albo napisać. Powiedzieć mu, że jej tata nie żyje, że w rzeczy samej nie żył już wtedy, kiedy oni padli sobie w ramiona, choć przecież nie do końca właśnie to zrobili. Jednak na wydziale medycyny w Lund nie było żadnego studenta o imieniu Jörgen, co dość cierpko wyjaśniła sekretarka. Ani jednego. A w książce telefonicznej w Landskronie było tylko trzech Vilhelmssonów: kierowca autobusu, wdowa i nauczyciel. Żadne z nich nigdy nie słyszało o Jörgenie, jak żarliwie zapewniała ją wdowa, obojętnie stwierdził kierowca autobusu i z cieniem zaciekawienia w głosie powiedział nauczyciel. Odpowiedź na swoje pytania otrzymała dopiero w czwartym miesiącu ciąży, kiedy jej brzuch stał się już trochę widoczny, a ona popadła w totalną desperację z powodu zbliżającej się chwili przyznania do winy, a potem kary. Tego dnia zwagarowała ze szkoły i pojechała pociągiem do Lund. Było to niesłychane, ale konieczne przestępstwo, które zawierało też w sobie element ulgi. Wiedziała, że kiedy zostanie zdemaskowana, ujawniona też zostanie cała reszta. Przez wiele godzin kręciła się po ulicach – obcych ulicach z domami, których nigdy wcześniej nie widziała - i przyglądała się obcym ludziom. W końcu zobaczyła dobrze znajomą twarz. Zatrzymała się w pół

kroku i próbowała zrozumieć, co widzi. Jörgen. To przecież Jörgen?

274

Stał w miejscu, w którym nie spodziewała się go zobaczyć. Za ladą w sklepie z galanterią męską. Sklepie z galanterią męską, który w dodatku nazywał się Vilhelmsson & Syn.

Dziś, wiele lat później, Elsie widzi tamtą siebie jako postać z komiksu, która stoi przed szybą wystawową i wpatruje się w kogoś z otwartymi ustami. Postać z komiksu z dymkiem dialogowym nad głową. Napis w dymku brzmi „PUFF”. Zawsze tak się pisze, kiedy marzenia bohatera komiksu rozsypują

się w drobny mak. Jednak tamta istota nie była świadoma, że jest postacią komiksową, przeciwnie, uważała się za żywego człowieka i dlatego otworzyła szklane drzwi sklepu i weszła do środka - jak można się domyślać: nadal z otwartymi ustami - a potem podeszła do niego. Jedynie po to, by sprawdzić, czy to naprawdę on, by usłyszeć jego głos. Przyjrzeć się z bliska jego minie, kiedy ją zobaczył: pierwsze zdumienie, chwila wstydu, szybko opanowana chęć ucieczki, zerknięcie w lewo, ujawniające, że starszy pan, który nieco dalej pomagał klientowi w mierzeniu palta, to jego ojciec, a potem, zaledwie mgnienie później, triumf w oczach, bo przypomniał sobie, kim jest i kim tak naprawdę jest ona, rodzący się plan, prostujące się plecy i lewa ręka, która wysuwa się nad ladą, jego ręka z błyszczącą zaręczynową obrączką. Potem uśmiech, naprawdę wredny uśmiech, który zresztą rozpoznawała, uśmiech, który już wcześniej widywała, choć nie umiała naprawdę zobaczyć, i który teraz sprawił, że odwróciła się plecami, podczas gdy Jórgeen pochylił się do przodu i spytał:

- W czym mogę panię pomóc? I

To był on. Jego ręka. Jego usta. Jego głos. Przez chwilę, krótką jak oddech, zobaczyła, poczuła i rozumiała, że jest niebezpieczny, bardzo niebezpieczny, że to najniebezpieczniejszy z ludzi, których dotąd spotkała. Wymamrotała coś, że to pomyłka, że zabłądziła, bardzo przeprosza za kłopot, i za chwilę była już na ulicy.

275

Biegła. Biegła -przez całą drogę do stacji kolejowej i po przyjeździe do Landskrony dalej biegła, pędziła w kółko, dookoła, w panice, aż w końcu dobiegła do wynajętego pokoju w Kalmarze i tego łóżka, w którym w końcu odnalazła zapomnienie. Tak było. Jórgeen zniknął. Był tylko wymysłem Potworem z bajki. Kimś, kto już nigdy jej nie skrzywdzi.

Tylko dlaczego tak się wtedy przestraszyła? Co jej się wydawało, że on może jej zrobić?

Teraz, wiele lat później, Elsie obejmuje się ramionami, opada z powrotem na łóżko i parę razy buja się przytulona do siebie samej, w tę i z powrotem. Potem uświadamia sobie, co robi i jak to wygląda. Zachowuje się jak wariatka.

-Cholerna idiotka!

Zabrzmiało to jak syk. Wypuściła się z uścisku i szybkim mruganiem przegnała z oczu wilgoć, która pojawiła się tam tylko dlatego, że przez parę minut siedziała, patrząc przed siebie bez mrugania. Potem wstała i spróbowała wrócić do rzeczywistości. Nie jest w Kalmarze. Jest w Londynie. Razem ze swoim synem. Synem, który jest w dodatku sławny, na którego widok wrzeszczą dziewczyny. Młodym chłopakiem z pieniędzmi w banku i wzorowym zachowaniem. Synem, z którego może być dumna. A nie powodem do wstydu.

Wstyd. Tego słowa nie dało się już uniknąć. Musi się przyznać. Wstydziła się go. Wstydziła się jego istnienia. Uciekła od niego. Bała się go, bo był synem Jórgeena. Uświadomiła to sobie dopiero teraz, kiedy miał już dziewiętnaście lat. Zasłoniła twarz rękami, schowała się przed sobą samą, ogarnął ją wstyd za tamten wstyd. |

-Dobry Boże - kwiliła. - O, dobry Boże...

276

- Here? - zapytał Björn, kiedy taksówka zatrzymała się przed czerwonym segmentem.

- Here - odpowiedziała Caroline.

Odwróciła się do niego z uśmiechem i był to tak pociągający uśmiech, że aż zakręciło mu się w głowie. Przez sekundę nie mógł się nadziwić, że człowiek może być tak piękny, taki miękki jak jedwab, pachnący...

- Please - powiedział. - Nie idź. Nie zostawiaj mnie. Roześmiała się:

- Słucham?

Mówił do niej po szwedzku. Może to dobrze. Nie chciał przecież, żeby zrozumiała.

-Możemy się jutro zobaczyć? - powiedział zamiast tego po angielsku.

Uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

-Możemy się zobaczyć... To już przecież postanowione.

-A potem mogłabyś przyjechać do Szwecji, mogę wysłać...

Ucałowała go w policzek.

-Zobaczymy. Porozmawiamy o tym jutro.

Spróbował się opanować. Wziął jej prawą rękę między swoje dłonie i pocałował koniuszki jej palców.

- Zobaczymy się - powiedział.

-Tak - odparła. - Widzimy się jutro. Potem wysiadła z samochodu, pokonała trzy schodki i podeszła do drzwi.

277

Podróż z powrotem do hotelu była długa i przyjemna. W samochodzie było ciemno i bardzo cicho. Szofer jak cień, szeroki cień, który nie odezwał się, dopóki nie dojechali do centrum i nie zaczęły migotać wokół nich światła miasta.

- Czyli Strand Palace Hotel?

- Tak - odparł Björn.

- To ładny hotel.

- Tak. To prawda.

- Bardzo ładny.

Na chwilę zapadła cisza, a potem Björn pochylił się do przodu i chwycił się oparcia przedniego siedzenia.

-Przepraszam, ale ta okolica...

Sam usłyszał, że jego głos brzmi jakoś młodo. Szofer też to słyszał, dało się to poznać po tonie, w jakim odpowiedział.

- Tam gdzie mieszka panienka?

- Co to za okolica?

Szofer wzruszył ramionami.

-Trudno dziś powiedzieć. Kiedyś powiedziałbym, że to zwykła okolica, w której mieszka klasa średnia, ale teraz... Nie do końca.

-Aha.

Szofer wrzucił niższy bieg.

-Część domów przerabiają. Robią z nich mieszkania, małe mieszkania dla młodych...

Björn nie mógł się powstrzymać.

- Myśli pan, że ona w takim właśnie mieszka? Szofer znowu wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia - odpowiedział. - Ale była ładna.Naprawdę. Śliczna.

- O, Lover Boy!

Stojący przy recepcji Björn odwrócił się. W ręku miał już klucz do pokoju. Do foyer wszedł właśnie Bosse, idąc lekko się kołysał, a Peo, który szedł za nim, wyciągnął rękę i trzymał ją parę centymetrów za jego plecami.

278

- Zatem wróciłeś do domu - powiedział do Björna.

-Tak - odparł Björn. - A gdzie reszta?

- Nie mam pieprzonego pojęcia - odparł Peo. -I mam to w dupie. Idę spać.

Bosse zrobił krok w bok i coś wybetkotał:

- Co do cholery... Peo zerknął na niego:

- On też idzie spać. Björn uniósł brwi i kiwnął na Bossego:

- Potrzebujesz pomocy? Peo przez chwilę się wahał:

- Tak - powiedział w końcu. - Tak, dzięki.

Kiedy Peo odbierał klucze, Bosse opadł na jedną z czerwonych kanap, siedział tam i wywracał oczami, aż widać mu było tylko białka. Björn pochylił się nad nim i powiedział:

-Chodź już. Pójdziemy na górę.

Bosse zamrugał kilka razy, podniósł się o własnych

siłach i stanął przed Björnem. Położył mu ręce na ramionach i wybełkotał:

- Skąd ty masz, do cholery, siłę? Björn uśmiechnął się:

- Mam siłę na co?

- Zajmować się tymi wszystkimi pannami? Skąd masz na to do cholery siłę?

Uśmiech Björna zgasł.

- Gównu cię to obchodzi - powiedział stłumionym głosem. - Naprawdę gównu cię to obchodzi.

279,280

Przez lód

281,282

-Anders - mówi Ulrika. - Masz chwilkę czasu?

Anders podnosi wzrok i przez moment patrzy jej prosto w oczy. Przez głowę przelatuje mu błyskawicznie: Ona istnieje! Ulrika naprawdę istnieje! Uśmiecha się. Zwyczajnie nie może się nie uśmiechnąć. Ulrika ma brązowe oczy. Poważny wzrok, w którym jest coś całkowicie otwartego, bez udawania.

-Weź sobie kawy - mówi Anders i wysuwa dla niej krzesło obok siebie. - Roland ma opowiedzieć o...

-Później - mówi ona. - Myślę, że jesteś potrzebny. Teraz. Natychmiast.

Dopiero wtedy do Andersa dociera, że Ulrika potrzebuje jego pomocy. Wstaje bez słowa i kiwa głową do reszty osób przy stoliku. Ulrika idzie przez mesę szybkim krokiem, zaczyna mówić, jak tylko wychodzą na korytarz, tylko jej głos jest tak cichy, że Anders musi się pochylić, żeby ją usłyszeć.

-Ta Susanne...

Ulrika milknie na chwilę i Anders impulsywnie chciałby objąć ją ramieniem, ale powstrzymuje się w ostatniej chwili.

-Tak?

-Zwymiotowała. Przed laboratorium.

-Ma chorobę morską? Ulrika rzuca mu spojrzenie. ~ Nie. Nie ma fal.

Anders czuje się jak głupek. Ulrika ma rację. Nie ma fal, ale szybko znajduje argument na poparcie swoich słów.

283

-Przed chwilą kruszyli. Niektórzy ludzie dostają od tego choroby morskiej. Ulrika kiwa głową. To prawda że niektórzy ludzie dostają choroby morskiej, kiedy sternik buja statkiem z boku na bok, żeby rozbić najtwardszy lód.

- To coś innego. Ona wydaje się trochę...

- Trochę jaka?

- Dziwna.

Aha. W takim razie to nerwy, przelatuje mu przez głowę, ale potem odsuwa tę myśl. Musi zachować obiektywność.

-To gdzie ona jest?

- Na górze, na przednim pokładzie - odpowiada Ulrika. - Przed laboratorium.

Susanne siedzi na pokładzie, z podciągniętymi do góry nogami i głową opartą na kolanach. Przez moment Anders czuje irytację, ma ochotę powiedzieć jej, żeby wstała i nie siedziała w cienkich dżinsach bezpośrednio na zimnym pokładzie, chce zwrócić jej uwagę na to, że istnieje poważny powód, dla którego kobiety nie powinny narażać na zimno swojego podbrzusza, i że powód ten nazywa się zapalenie dróg moczowych. W tej samej chwili widzi, jak Ulrika przykuca przy Susanne i kładzie jej rękę na głowie. To prosty gest, ale tak pełen czułości, że irytacja znika i Anders staje przed nimi z opuszczonymi rękami. Susanne ma rozpuszczone włosy, zakrywają jej twarz. Nie ma na nogach kozaków. Ani kurtki, tylko cienką, niebieską bluzkę. Kawałek dalej widać jej wymiociny. Anders też przykuca:

- Dzień dobry - mówi. - Jak się czujesz?

Susanne coś mamrocze, nie da się jej zrozumieć.

- Możesz na mnie popatrzeć? - mówi Anders. Ona znów coś odpowiada, ale on nie słyszy, co takiego. Kładzie rękę na jej czole - lodowatym i wilgotnym - i ostrożnie unosi jej głowę.

284

Przez chwilę Susanne wpatruje się w niego, a potem powoli znowu zamyka oczy. Anders puszcza ją.

- Musimy wziąć ją do środka - mówi do Ulriki. Ulrika kiwa głową i chwyta prawe ramię Susanne. Anders łapie lewe ramię. Udaje im się unieść ją do pozycji półstojącej, ale zaraz Susanne porusza się lekko wyślizguje z ich uścisku, a potem znowu osuwa się na pokład.

-Nie chcę... - mówi.

Anders i Ulrika przez chwilę na siebie patrzą, a potem pochylają się i jeszcze raz chwytają każde za jedno ramię i ciągną ją do góry.

-Musisz - mówi Ulrika.

Susanne jest bardzo blada. Na nosie gromadzą się jej małe kropelki potu.

Kiedy wchodzi na korytarz, Susanne robi się bardziej ustępliwa, zaczyna iść, choć małymi krokami i z półprzymkniętymi oczyma.

-Zrobiło mi się tylko niedobrze - mówi, wchodząc do gabinetu lekarskiego. - Teraz już jest lepiej.

Anders popatruje na nią. Nie wygląda to najlepiej. Zupełnie nie. Susanne nadal się poci i jest zupełnie biała na twarzy, prawa ręka drży jej lekko, a na piersiach ma plamy z wymiocin.

-Tak, ale chciałbym jednak cię zbadać - mówi. - Chociażby dla swojego świętego spokoju. Proszę, usiądź.

Anders przesuwając rękę po koi i Susanne na niej siada, siadając, zauważa plamy na swoim dekolcie. ~ - Uch - mówi i zdejmując bluzkę. Robi to szybkim ruchem, ale to wystarcza, żeby na policzkach pojawiła się odrobina koloru. Potem jest tak, jakby się obudziła. Mruga kilka razy, spogląda najpierw na Andersa, a potem Ulrikę i wyciera nos wierzchem dłoni.

285

Ma na sobie czarny stanik, a skóra na jej brzuchu jest bardzo biała jakby nigdy się tam nie opalała.

-Wymiotowałam?

Ulrika uśmiecha się do niej, ale nic nie mówi. Anders kiwa głową.

- Tak. Mógłbym ci zerknąć za ucho? Susanne unosi rękę i sprawdza miejsce za uchem

- Plaster przeciw chorobie morskiej jest na miejscu.

- Tak, ale...

Susanne zerka na niego i wygląda, jakby podjęła decyzję, że nie będzie więcej utrudniać. Podnosi rękę i odsuwa włosy, Anders pochyla się i przyciska plaster palcem wskazującym, nie wiedząc, dlaczego to robi.

- Możesz się położyć? - mówi potem i chwyta stetoskop. Susanne bez protestów wykonuje jego polecenie. Anders pochyla się i przystawia talerzyk stetoskopu do jej lewej piersi. W środku - ładne uderzenia, tylko odrobinę szybsze niż normalnie.

- Pójdę i wezmę czystą bluzkę z twojej kajuty - mówi Ulrika zza jego pleców.

Serce Susanne przyspiesza.

- Nie - mówi. - Nie... Jednak Ulrika już nie ma.

- Ale dlaczego? - mówi później Ulrika.

Stoją we trójkę w kajucie Susanne. Zamknęła za nimi drzwi, ale zrobiła tylko kilka kroków do środka, i teraz stoi przyciśnięta plecami do drzwi szafy.

-Nie wiem - mówi. - Naprawdę nie mam pojęcia.

Na koi nadal leży kobieta bez ciała. Niebieskie podkolanówki rozkładają się każda w swoją stronę, leżą daleko od siebie, że wygląda to, jakby kobieta miała rozstawione nogi. Majtki są białe i wyprasowane. Wyglądają na nowe, dokładnie tak jak stanik.

-To twoja bielizna?

286

Anders czuje zaskoczenie, słysząc swój własny głos. Jest zdziwiony, że znajduje się w tej kajucie i że widzi to, co widzi.

- Tak.

Susanne wysiła się, żeby brzmieć normalnie, słysząc to, jednak w niczym to nie pomaga. Jej głos jest cieniutki jak przecinek.

- I pasek?

Susanne kiwa głową, ale nic nie mówi. Ulrika robi krok do przodu i wyciąga rękę w kierunku jaśka, ale zatrzymuje ją, zanim go dotknie, i cofa do siebie.

-Krzyż zamiast oczu - mówi półgłosem. - Pasek wokół szyi...

Susanne znowu bieleje na twarzy i wyciąga palce do drzwi szafy. Może zemdleje. Albo znów zwymiotuje.

- Usiądź - mówi Anders i rozluźnia gumę, którą przymocowane jest do biurka krzesło. Susanne siada na nim, nie zwracając uwagi na to, że Anders nie zdążył zabrać laptopa. To bez znaczenia, bo natychmiast pochyla się do przodu i wkłada głowę między kolana. Anders rozpoznaje ten ruch, dziwne, ale właśnie on sprawia, że bardziej jej ufa. Wyciąga komputer z za jej pleców i kładzie go na biurku.

- Czy to jakiś żart? - pyta potem.

Susanne wydaje z siebie cichy dźwięk. Ulrika robi krok w jej stronę i kładzie jej rękę na plecach.

- Nie - mówi. - To nie żart. Musimy powiedzieć Rolandowi.

- Nie - oponuje Susanne, prostując plecy. - Proszę nie...

- Oczywiście, że musimy powiedzieć - mówi Ulrika. Jednak żadne z nich nie idzie po Rolanda. W zamian za to na chwilę zapada cisza, w milczeniu najpierw Ulrika potem Anders siadają na kanapie, siedzą na samym brzegu i wpatrują się w koję i kobietę bez ciała.

287

Usiłują zrozumieć, co widzą.

- Zamknęłam drzwi na klucz - mówi w końcu Susanne. - Zawsze to robię.

Ulrika kiwa głową, Anders siedzi w milczeniu i bez ruchu.

- Zamykałam na klucz, odkąd to się zaczęło...

- Zaczęło?

Ulrika też ma słaby głos. Susanne kiwa głową.

- On przychodził już wcześniej. Robił różne rzeczy. Anders odchrząkuje.

- Jakie rzeczy?

- Przewracał pościel na łóżku. Wyciągał wszystkie rzeczy z szafy. Sikał na ściany...

- Sikał na ściany?

- Tak. To dlatego wyrzuciłam do morza bluzkę. I ręcznik. Dostałam za to burę od Rolanda.

- Ale, Boże mój...

Brzmi to tak, jakby Ulrika nie wierzyła własnym uszom. Dobrze. Czyli ona też. Susanne zauważa to i szybko prostuje plecy, a potem odsuwa z czoła grzywkę.

- Nic nie mówiłam. O tym też bym nic nie powiedziała, gdyby nie...

Ulrika kiwa głową.

-Rozumiem.

Co takiego rozumie? Anders rzuca jej szybkie spojrzenie, ale ona na niego nie patrzy, wpatruje się w koję.

- Brr - mówi potem.

- Prawda? - mówi Susanne i przez twarz przelatuje jej niewielki uśmiech. Sięga ręką do kieszeni spodni i wyjmując z niej elastyczną frotkę, błyskawicznie ściąga włosy w koński ogon i wstaje. Teraz wygląda tak jak zawsze. Błado, ale nie chorobliwie.

- Mam bardzo niskie ciśnienie - mówi. - Wtedy czasem mdleje. Albo człowiekowi robi się słabo.

288

Potem robi dwa kroki w kierunku koi i kilkoma szybkimi ruchami unicestwia kobietę bez ciała. Odwraca się do nich z otwartymi ramionami i rzuca im krótkie spojrzenie.

- Dziękuję za pomoc - mówi. - Teraz pójdę umyć pokład.

289

Z początku Anders i Ulrika nie wiedzą, co ze sobą zrobić. Stoją na korytarzu i patrzą, jak Susanne otwiera drzwi do schowka na rzeczy do sprzątania, jak nalewa wody do kubła i bierze mopą do podłogi. Wychodząc, zerka na nich i lekko się uśmiecha.

-Już dobrze - mówi. - Wszystko w porządku.

Co oznacza, że chce, by sobie poszli i zostawili ją w spokoju. Jednak Anders ani Ulrika nie mają zamiaru tego zrobić. Stoją bez ruchu z opuszczonymi rękami i przyglądają się jej. Za to dalej, w głębi korytarza, wyczuwa czyjś ruch. Anders odwraca się i widzi, jak ze swojej kajuty wychodzi Robert. Przystaje, ze zdrową ręką na klamce, i patrzy na nich.

-Wielkie sprzątnięcie?

Susanne zerka szybko na Andersa. Jej spojrzenie o nic nie prosi, ale ma jasne przesłanie. Nic mu nie mów!

Potem odwraca się do Roberta i uśmiecha się.

-Tak, już na to czas.

Robert odpowiada z uśmiechem:

-Możesz zabrać się za moją kajutę, jak uporzysz się ze swoją...

Susanne uśmiecha się jeszcze szerzej:

-Chyba nie byłoby cię na to stać... Robert wybucha śmiechem:

-Nie. To prawda. Biedny naukowiec niewiele ma. Sami musimy sobie sprzątać.

Susanne nie odpowiada, ale też się nie porusza, stoi wyprostowana, z półśmiechem, i ściskając kij mopa, czeka, aż Robert przejdzie.

290

Jednak Robert zatrzymał się, stoi obok nich z wyczekującym uśmiechem. Robi się dziwna atmosfera. Jakby wszyscy czekali, ale żadne nie wiedziało na co. W końcu Anders wyciąga rękę i dotyka bandaża Roberta. Zabrudził się.

- Myślę, że musimy to sprawdzić - mówi.

Robert unosi brwi:

- Teraz?

Anders kiwa głową:

- Teraz.

Potem kiwa szybko do Ulriki i Susanne i zaczyna iść, co sprawia, że Robert, który jest przed nim, też musi ruszyć do przodu. Niczym pędzone przodem bydło.

291

Do diabła, myśli Susanne, napierając całym ciężarem na drzwi prowadzące na pokład. Do diabła, do cholery, cholerne gówno.

Przestępuje wysoki próg i słyszy ryk wiatru, czuje, jak chwyta ją za włosy i wyciąga z nich pasma, które nie są dostatecznie mocno spięte w kucyk, jak łapie do połowy rozpiętą kurtkę i sprawia, że jej przednia część zaczyna łopotać, jak wnika pod czystą podkoszulkę i lodowato przesuwają się po brzuchu.

Pieprzyć to!

Jednak przekleństwa nie pomagają. Żadne przekleństwa nie wymażą tego, co się stało. Fakt, że Ulrika i Anders zobaczyli kobietę bez ciała, sprawił, że sytuacja stała się jasna i realna, również dla niej samej. Nie może się już ukrywać. Jest naga. Odsłonięta. W pełni widoczna. Choć nie powinna tak myśleć. W ogóle nie może sobie pozwolić na myślenie o tym. Precz.

Odstawia na bok mopa i wiadro, zasuwając kurtkę, spieszy się, żeby mieć już to wszystko z głowy, jakby proste czynności mogły wymazać tę historię, spowodować, że zostanie zapomniana. Znowu bierze mopa, zanurza go w wiadrze i robi pięć kroków w stronę wymiocin, wyciera je, bierze wiadro, polewa wodą i znów trze, i jeszcze raz. W końcu łapie rączkę wiadra i idzie z nim w stronę burty, sekundę się waha, a potem podnosi wiadro do góry. Brudna woda wślizguje się do wnętrza lodu, który przed chwilą został

rozbity i odwrócony do nieba, a wkrótce, może nawet za chwilę, znów zanurzy się w wodzie i zostanie spłukany, oczyszczony.

292

Na turkusowej powierzchni osiadają brązowe grudki. Żółtawa woda leje się na to, co lodowato czyste. Susanne stoi jak przymarznięta, przypatrując się, jak połamany lód turla się wkoło i jak brud, jej brud, który nie ma prawa opuszczać zamkniętego systemu lodołamacza „Odyn”, jest powoli wciągany w ciemność pod krami. Potem wszystko jest skończone. Nie ma już kobiety bez ciała. Nie ma wymiocin. Cała historia mogłaby być zakończona, gdyby nie to, że Anders i Ulrika widzieli...

- Wstyd.

Nie. Nie tak. Absolutnie nie. Nie ma się czego wstydić. Prawda? Sama przecież nic nie zrobiła. Było jej tylko trochę niedobrze. Trochę wymiotowała, ale sama po sobie posprzątała. Teraz weźmie do pralni swoją poplamioną bluzkę, trochę bielizny i może także pomazaną poduszkę -jasiek z idiotycznymi krzyżkami zamiast oczu - i zrobi pranie albo dwa. Potem zejdzie do sali jadalnej, zje obiad posłucha dzisiejszego wykładu. Będzie siedziała w mesie Razem ze wszystkimi i będzie dokładnie taka jak wszyscy, zamieni się w uśmiechniętą, przyjazną i rozmowną zewnętrzną, a jej wewnątrz będzie lśniła pustką. To nie takie trudne. Robiła to już setki razy. Albo i tysiące.

Drzwi na korytarz ciężko otworzyć, ciężiej niż zwykle. Pchając je, czuje nagły strach, że to znowu się stanie, że ją zemdli i ponownie zwymiotuje, ale głęboko wciąga powietrze i podejmuje decyzję. Tak się nie stanie. Nie tym razem. Nigdy więcej.

Stawiając wiadro i mopa na korytarzu, uśmiecha się lekko do tej myśli. Gdzieś w jej głowie siedzi na okrągłej, wypchanej pupie wszechmocna roczna istota, która jest niezachwianie przekonana, że to ona o wszystkim decyduje, uparta, mała władczyni świata, która odmawia akceptacji realnej rzeczywistości. Skoro postanowiła, że nigdy więcej nie zwymiotuje, to nie będzie wymiotowała.

293

Bez względu na to, co pięciolatka, szesnastolatka, trzydziestopięciolatka czy pięćdziesięciolatka, stłoczone obok niej, co mają do powiedzenia na temat choroby morskiej, wirusów żołądkowych i

- wprawdzie z odwróconym wzrokiem i ściszym głosem - na temat nadmiaru alkoholu. Niech sobie mówią, co chcą. Ona już więcej nie będzie wymiotowała.

Obserwując swoje młodsze „ja”, Susanne starannie spłukuje mopa. Roczna dziewczynka jest jedyna, która patrzy jej prosto w oczy. Ubrana w czerwoną, zrobioną na drutach sukieneczkę, z jedwabną kokardką pod brodą, z powagą wychodzi naprzeciw spojrzeniu swojego starszego „ja”, podczas gdy pięciolatka odwraca się do niej plecami i udaje, że bawi się lalką, szesnastolatka zamyka oczy, ukrywając swój żal, trzydziestopięciolatka wpatruje się głęboko w oczy mężczyzny, a pięćdziesięciolatka udaje, że jest pochłonięta czytaniem książki. Susanne prychnęła na nie. Co one sobie wyobrażają? Jakby wszystkiego o nich nie wiedziała, jakby nie znała wstydu, który sprawia, że odwracają wzrok. Niczego nie mogą przed

nią ukryć. Susanne wie.

Nie zasłużyła, by...

Nie. Precz z Inez i jej wrzaskliwym głosem. Tamtego razu wpadła w histerię. Nie wiedziała, co mówi-Poza tym Susanne wystarczająco już to przewałkowała. To porządnie wydeptana ścieżka roztkliwiania się nad sobą, którą naprawdę już nie ma ochoty się wlec Odstawia mop i wiadro na miejsce, gasi światło w schowku i sekundę potem stoi już na korytarzu i przymyka oczy. Co teraz miała zrobić. A, no tak. pranie. Zatem musi pójść z powrotem do kajuty i wziąć brudne rzeczy. O nie, nie zamierza poddać się lękowi, wprawdzie ręka natychmiast trafia do kieszeni i zaciska się na sztylciku, co nie oznacza jednak, że boi się tak bardzo, by nie mogła zabrać prania z kajuty. Nie.

294

Pogróżka to jedna rzecz i kobietę bez ciała zdecydowanie należy potraktować jak pogróżkę, ale zaciśnięcie skórzanego paska na fikcyjnej szyi to coś zupełnie innego niż zaciśnięcie go na jej własnej szyi. Poza tym jest w pełni gotowa do użycia sztyletu, z ostrzem czy bez ostrza. Jeśli wbije się go w oczy napastnika, ostrze nie będzie potrzebne ...

Susanne zamyka oczy. Opanować się. Fantazje na temat przemocy można zachować do następnej książki.

Pomimo to drży ze strachu, kładąc rękę na klamce, i przez moment zmuszona jest przypomnieć sobie, co działo się niecałe dwie godziny temu, jak rozsadzała ją chęć do pracy, jak bohaterowie nowej powieści zaczęli ruszać się w jej głowie. W lustrze widziała Elsie, a potem odwróciła się i zobaczyła kobietę bez ciała. Dosłownie cała krew spłynęła jej w dół ciała, czuła, jak się to dzieje, jak otwierają się w niej wszystkie naczynia krwionośne, jakby rozdziawiały usta. Miała wrażenie, że upada, odwrócona do góry nogami leci w dół, sto metrów, tysiąc metrów, dziesięć tysięcy metrów, aż wszystko staje się szare i zamglone. Więcej nie pamięta. Nie wie, jak wydostała się na pokład. Nie pamięta, że wymiotowała. I nie ma pojęcia, jak długo siedziała tam na górze, zanim podeszła do niej Ulrika... Wszystko jedno. Jest tu i teraz. Wziąć brudne rzeczy. Wrzucić je do pralki. A najpierw i przede wszystkim: otworzyć drzwi.

Tak robi. Naciska klamkę drzwi swojej kajuty i otwiera je. Chwilę później, wkładając rzeczy do pralki, myśli, że może jest coś słusznego w regułach marynarzy: może lepiej nie zamykać się na klucz. Może zostawiać drzwi otwarte na oścież i tylko zasłaniać kotarę, kiedy człowiek chce zostać sam. Tak robią marynarze, ale nigdy naukowcy i goście. Marynarze zdają sobie sprawę, jak ważne jest by móc obudzić wszystkich na statku, jeśli zacznie się palić. Podobno jeden z marynarzy biega wtedy po korytarzach, wali we wszystkie drzwi i ostrzega krzykiem.

295

Susanne ma to przed oczami, potrafi sobie wyobrazić, jak Olle pędzi przez korytarz, wali zaciśniętą pięścią we wszystkie drzwi i je otwiera, ale jej drzwi nie może otworzyć. Łapie tylko za klamkę i stwierdza,

że drzwi są zamknięte na klucz, a potem pędzi dalej. Tym czasem w kajucie ona zmienia tylko pozycję we śnie i nie widzi, jak zaczynają się sączyć dym i gazy...

Mijają trzy minuty, zanim umrze. Tylko trzy minuty. Choć z drugiej strony, stwierdza, kiedy wchodzi do pralni i zamyka za sobą drzwi, trudno sobie wyobrazić, że mogłaby spać w kajucie z drzwiami otwartymi na oścież. Mruga kilka razy, próbując to sobie wyobrazić, ale nie potrafi. Widzi, jak leży bez ruchu w łóżku i czeka na swojego tajemniczego gościa. A kiedyś nad ranem, dokładnie w chwili, kiedy szara noc zmienia się w równie szary świt, zamknęłaby bardzo szybko oczy i właśnie wtedy ktoś wśliznąłby się przez kotarę, a sekundę potem obudziłaby się z paskiem zaciśniętym wokół gardła. Ktoś zaciskałby go tak mocno, że...

Susanne zatrzymuje się w pół kroku. Jej ręka podnosi się i ląduje na szyi, chroni ją przed atakiem. Czuje, jak przed oczami wiruje jej świat. Jednak tym razem jest już przygotowana, teraz wie, co się stanie, jeśli da za wygraną. Dlatego podchodzi pospiesznie do schodów i zamiast iść na dół, na obiad do mesy, zaczyna wchodzić na górę w stronę mostka. Nie zamierza znowu wymiotować. Nigdy więcej.

Pomaga. Po przejściu sześciu stopni pod górę jej oczy przysłania czarny cień. Chwilę potem już go nie ma. To znak. Ciśnienie krwi unormowało się. Dlatego nie otwiera białych drzwi prowadzących na mostek, tylko odwraca się i zaczyna zbiegać po schodach w dół. Czas na obiad. Jest głodna. Ma zupełnie pusto w brzuchu.

296

Anders odwraca się i przez chwilę stoi bez ruchu, Usiłując unieruchomić rozbujaną tacę. Potem dostrzega plecy Ulriki. Siedzi przy stole na samym końcu mesy i rozmawia z tym tam, Johnem, albo - raczej - to John rozmawia z nią, a ona kiwa głową tak intensywnie, że pasemko włosów przesuwają się w górę i w dół po jej ubranych na niebiesko plecach. Sture siedzi po prawej stronie Johna i wygląda na niezadowolonego, bardziej skwaszonego niż zwykle. Obok Ulriki siedzi Jenny, która przytakuje w tym samym rytmie co jej profesorka. Za to krzesło obok niej jest puste. Wszystkie pozostałe stoły są zajęte. Przynajmniej prawie zajęte. Dlatego jest logiczne, gdzie siada Anders. Obok Ulriki.

Ulrika kiwa do niego głową i przelotnie się uśmiecha, kiedy Anders odsuwa sobie krzesło. Tylko tyle. Potem ponownie wbija wzrok w Johna, który ciągle mówi. Anders słucha go jedynie półtuchem. Ryba? Jaka ryba?

Do środka wchodzi właśnie Lars, ornitolog. Zdejmuje czapkę i wpycha ją do kieszeni, a potem szybkim ruchem ściąga kurtkę, zanim mu się przypomni, że w mesie nie można mieć ze sobą ubrań wierzchnich. Zawraca więc w pół drogi i omal nie zderza się z Susanne, która właśnie przestępuje próg. Susanne wydaje okrzyk i robi unik, ale jednocześnie promiennie się uśmiecha, pełnym radości uśmiechem, który sprawia, że i Lars zaczyna się śmiać. Sekundę potem uśmiech Susanne gaśnie, rzuca spojrzenie Andersowi. Jej oczy wydają się teraz zupełnie puste. Patrzy na niego, jakby był kimś obcym, w dodatku dość nieinteresującym obcym, takim, którego więcej się nie zobaczy.

297

Odwraca się do niego plecami i bierze tacę.

Andersowi jest przykro i czuje się zażenowany. Idiotyzm. Czegóż się spodziewał? Że będzie za nim chodziła i zachwycała się, jakby był Androklesem, a ona zawsze wdzięcznym lwem?

-Prawda? - mówi chwilę potem Ulrika i kładzie mu na ramieniu rękę.

- Prawda, że tak jest?

Anders odwraca głowę i spogląda na nią:

-Przepraszam - mówi. - Nie słyszałem dokładnie, o czym mówiliście.

- Oho - mówi chwilę później Roland, wciskając ręce w kieszenie spodni i spoglądając na publiczność. Wszyscy siedzą zebrani na samym końcu mesy, pięćdziesiąt osób, wszyscy poza tymi, którzy pracują teraz w maszynowni, kuchni lub którymś z laboratoriów. Zwracają w jego stronę grzecznie wyczekujące twarze. Czas na codzienny wykład. Jakiś maruder szura krzesłem. Roland odchrząkuje i podnosi głos.

- Niestety, Katrin, która miała dziś wygłosić wykład, ma problemy z głosem...

Katrin, która siedzi zaledwie dwa krzesła dalej, uśmiecha się niepewnie, kiedy Anders odwraca się w jej stronę. Jest to pełen wahania uśmiech niedysponowanej uczennicy, która dodatkowo gestem wskazuje na gardło. Anders natychmiast uspokaja ją dodającym otuchy uśmiechem pana doktora. Nie będzie się narzucał. Gdyby rzeczywiście miała kłopoty z gardłem i chciała coś z tym zrobić, przysłaby do niego. Anders o tym wie, ale skoro pomimo doskonałego wykształcenia Katrin nie ma odwagi występować przed małą grupką kolegów, marynarzy i innych gości, to Anders nie może na to nic poradzić. Obok Katrin siedzi Susanne. Nie patrzy w jego stronę. Jest lekko pochylona do przodu, obejmuje rękami kolana i wpatruje się zdecydowanie w Rolanda.

298

- Zamiast wykładu Ulrika obiecała pokazać nam trochę zdjęć i opowiedzieć o ekspedycji sprzed paru lat...

Anders prostuje plecy. Teraz nareszcie widzi Ulrikę, która stoi za Rolandem. Pochylona nad komputerem wciska jakieś klawisze i spogląda na duży ekran na ścianie. Pojawia się zdjęcie: mocno granatowa ciemność z kilkoma grubymi słupami z przodu.

- Black smokers - mówi Ulrika. - Albo Black chimneys. Miasta kominów hydrotermalnych na dnie morza. Sami wybierajcie.

W mesie zapada cisza. Ulrika robi retoryczną pauzę, rozgląda się, a potem się uśmiecha. Jej głos robi się wyższy niż zwykle.

- Sama widziałam jedno z nich. Już parę lat temu, ale i tak... Zeszłam „Alvinem” - amerykańską miniłodzią podwodną na dno Oceanu Spokojnego, w jednym z tych miejsc, gdzie rozchodzą się płyty

tektoniczne. Trwało to tylko sześć godzin, ale było to sześć godzin, które...

Ulrika milknie i prześlizguje się po nich wzrokiem, patrzy na wszystkich, jakby każdego sprawdzała i testowała, a potem wciąga powietrze i sprawia wrażenie, jakby podjęła decyzję. Jej głos obniża się do swojego normalnego tonu i Ulrika wciska ręce w kieszenie, żeby pokazać, jak bardzo jest rozluźniona.

- W sensie naukowym nie dało mi to zbyt wiele, ale powstało kilka naprawdę ładnych zdjęć. Pomyślałam, że mogłabym je pokazać, skoro mamy dziś pomór.

Teraz Ulrika przyjmuje swój zwykły ton wykładowy. Na początku uśmiecha się lekko, opowiadając o miniłodzi podwodnej.

Na pokładzie jest tak ciasno, że nie można się niemal ruszać, nie wspominając już o pójściu do toalety. Cały czas siedzi się w tej samej pozycji, w tym samym miejscu.

299

Dosłownie. Nie jest to coś dla osób ze skłonnością do klaustrofobii. Jednak to, co można tam zobaczyć, warte jest każdego poświęcenia. Świat morskiego dna jest pełen niespodzianek. To coś fantastycznego. Całkowicie wyjątkowego. Zwłaszcza miasta kominów hydrotermalnych. Choć ta nazwa jest w gruncie rzeczy całkowicie błędna, bo to nie są ani kominy, ani miasta. Nie jest to żadna zatopiona Atlantyda, choć snucie takich fantazji jest dość kuszące. To po prostu źródła gorącej wody, wyjątkowo bogate w minerały źródła gorącej wody. Kominy to wydrążone rury zbudowane z minerałów, które gorąca woda wydobyła z pęknięć we wnętrzu dna morskiego. Jednak nie stają się przez to mniej interesujące. Szczególnie ciekawe są rejony, w których występuje dużo siarki. Prowadzi to do tego, że z siarkowych bakterii powstaje dywan - Ulrika pokazuje zdjęcie czegoś białego i mętnego - co z kolei przyciąga inne organizmy...

Uwagę Andersa zwraca jakieś poruszenie w tylnym rzędzie. Susanne siedzi całkowicie wyprostowana i wyprężona. Teraz chwyta się poręczy krzesła i przechyla się do przodu, wygląda to tak, jakby chciała wstać i podejść bliżej do zdjęć, które przesuwały się przed nią na ekranie. Wygląda zupełnie zwyczajnie, może nawet odrobinę schludniej niż zwykle, i nic nie wskazuje na to, że czuje się zagrożona. Wręcz przeciwnie. Sprawia wrażenie, jakby była zadowolona, radosna i bardzo zaciekawiona. Można uznać, że wręcz wyjątkowo zainteresowana, przynajmniej w porównaniu z Katrin, która siedzi obok niej, ma rozbiegane z poczucia winy oczy i od czasu do czasu odchrząkuje. Można przypuszczać, że to chrząknięcia alibi. Wkrótce przyniosą efekt, Anders coś o tym wie. Jeśli jeszcze przez jakiś czas będzie to kontynuować, pod koniec wykładu nabawi się porządnej chrypki.

300

Anders odwraca się i zerka na Ulrikę. Kiedy mówi, trzyma w ręku biały wskaźnik, przekłada go z lewej ręki do prawej i z powrotem.

- ...wokół tych wielkich kominów rozwija się intensywnie życie, są tam zarówno rośliny, jak i zwierzęta, które mogą się obejść bez światła i fotosyntezy. Dlatego istnieje duże prawdopodobieństwo, że tereny wokół dużych źródeł gorącej wody mogły być miejscami, w których kiedyś narodziło się życie. Choć nie

wiadomo tego na pewno. Mogło być i tak, że życie narodziło się jeszcze głębiej, że znajdowało się już w gorącej wodzie wytryskującej z dna morza na owe obszary...

Andersa zalewa fala spokojnego zadowolenia. Układa się wewnątrz niego jak ciężar, bardzo przyjemny ciężar, który osadza go w świecie i rzeczywistości. Ulrika istnieje. Znalazł ją. Stoi teraz przed nim, świeżo upieczona profesor oceanografii, piegowata, z brązowymi oczami, ubrana w luźne ciuchy. Ma na sobie rozciągnięte spodnie i wytarty polar. Opowiada o powstaniu życia. Rzeczowo. Spokojnie. Naukowo.

Nagle uświadamia sobie, że przez cały dzień nie pomyślał o Evie. Ani razu.

Jednak nie trwa to długo. Kiedy chwilę potem Anders wchodzi do swojej kajuty i otwiera komputer, nie ma już wyboru. Eva wysłała do niego cztery mejle. Wszystkie opatrzone są małutkimi wykrzyknikami. Anders widzi przed sobą wskazujący palec Evy, jego staranny manikiur orbitujący nad klawiaturą komputera. Wykrzyknik. Puff! Zaczyna od czwartego maila. Tego, który został wysłany najpóźniej.

Drogi Andersie,

Wybacz, ale zaczynam być naprawdę zła. Wiem, że możesz odbierać pocztę, bo Jej Wysokość Twoja siostra zniżyła się, by powiedzieć mi, że dostała mejla od Ciebie.

301

Więc nie próbuj. Wiem, że czytasz moje mejle, i muszę powiedzieć, iż uważam że to szczyt wszystkiego - NAPRAWDĘ SZCZYT - że nie chcesz odpowiedzieć. To takie typowe, takie cholernie dla Ciebie typowe. Tak, zdradziłam Cię! Tak, wyprowadziłam się od Ciebie! Jednak tak naprawdę możesz mieć pretensję tylko do siebie i dobrze o tym wiesz! Miałam powody, niech to potwierdzą bogowie, a jeśli oni tego nie wiedzą, to przynajmniej wszyscy w Landskronie przyznają, jaki z Ciebie cholernie nudny skurwysyn! Możesz być tego pewien!!! Myślałam - słodka ze mnie idiotka - że chociaż po rozwodzie będziemy mogli mieć sensowną relację, ale Ty, cholerny DRANIU, nie pozwalasz mi nawet na rozwód, bo oczywiście musiałeś wyjechać i zrobić się nieosiągalny, zanim zdążyliśmy podpisać dokumenty. Inni ludzie poza Tobą też mają swoje plany! Mieliśmy jechać w sierpniu do Paryża i wziąć tam ślub, ale Ty spieprzyłeś to swoim zniknięciem! Mogę tylko powiedzieć: niech Cię szlag Niech Cię szlag!!!

Eva

Anders przekrzywia głowę, czytając, i dopiero po skończeniu uświadamia sobie, że tę samą pozycję przyjmował za każdym razem, kiedy był przez Ewę łajany. Przez dwadzieścia pięć lat stał z głową przekrzywioną na bok i wysłuchiwał jej wybuchów furii.

Przesuwa strzałkę na ekranie do trzeciego mejla, ale zanim go otworzy, siedzi przez chwilę bez

ruchu. Potem przesuwając strzałkę wyżej. Delete. Delete. Delete. Już. Już ich nie ma. Wszystkich trzech. Teraz jej wściekłość wiruje już wokół kogoś innego i będzie tak wirować już zawsze, nigdy nie trafiając do celu. A on odpowie na jej czwarty mejl. Nie przekrzywiając głowy na bok.

Anders siedzi chwilę bez ruchu i patrzy przed siebie, a potem zaczyna pisać.

302

Evo,

Przykro mi, że brak odpowiedzi tak Cię zdenerwował. Jeśli chodzi o rozwód, nie mam nic przeciwko temu. Niestety, nie widziałem żadnych dokumentów dotyczących sprawy, więc nie wiem, co mam podpisać. Jednak zaraz wyślę mejla do Jonasa Lindberga w Malmö, może go pamiętasz. Odwiedził nas raz, jakieś dwadzieścia lat temu, ale jeśli dobrze pamiętam, nie polubił go. Jednak w związku z tym, że jest on adwokatem i moim starym kolegą z Lund, zamierzam upoważnić go do zajęcia się całą sprawą w moim imieniu.

Anders

Sekundę potem naciska klawisz i wysyła mejla. Przez chwilę siedzi jeszcze z zamkniętymi oczami, próbując coś poczuć. Żal. Ulgę. Wściekłość. Jednak w środku ma pustkę. Nie czuje nic poza spokojną tęsknotą za opuszczeniem kajuty, wyjściem na pokład i popatrzeniem na lód. Otwiera oczy i rozgląda się dookoła, mruga kilka razy.

Widzę, przychodzi mu do głowy, ale sama myśl go zawstydza. Oczywiście, że widzi. Przecież zawsze miał dobry wzrok. Wstaje i stara się nie zwracać uwagi na to, że zrobił się lżejszy. Dużo lżejszy. Zamyka swój komputer i przymocowuje go pomiędzy krzesłem a stołem. Starannie zakłada gumę, dzięki której nie będzie się przesuwał niech rzeczywiście będzie tam, gdzie trzeba. Sięga po swoją niebieską kurtkę i idzie w kierunku drzwi.

303

Na pokładzie porządnie wieje. Leje deszcz. Anders przystaje tuż przy drzwiach, naciąga kaptur kurtki i głęboko wciska ręce w kieszenie. Nie pomaga, jak i to, że podnosi ramiona i się kuli. Deszcz kłuje mu policzki tysiącami lodowatych szpileczek, a wiatr przesuwając po gardle mroźną ręką, jednak po chwili Anders dochodzi do wniosku, że to mu nie przeszkadza. Ramiona opadają. Nie. To naprawdę nie ma znaczenia. Deszcz i chłód, które mogłyby odebrać mu spokój, nie istnieją. Po prostu nie mogą istnieć.

Jestem teraz wolny, myśli. Nareszcie.

Pomimo to z pewnym wahaniem analizuje swoje własne myśli. Dlaczego był z nią przez tyle lat, skoro chciał właśnie takiej wolności? Dlaczego byłby z nią nadal, gdyby nie odeszła? Bo przecież byłby. W

paralelnym wszechświecie, jednym z milionów, które, zgodnie z jego najbardziej fantazyjną interpretacją fizycznej teorii wszechświatów równoległych, powstają na skutek ludzkich wyborów, Eva nie odchodzi. Siedzą razem w restauracyjnym ogródku, w jakimś małym, włoskim miasteczku i świętują wakacje. Eva jest obrażona, bo Anders się nie cieszy. Ma rację. Anders nie cieszy się, ponieważ nigdy nie odczuwa radości. Za to Eva jest obrażona, ponieważ zawsze jest nadęta. Tak wygląda ich życie, wyglądało jego życie jeszcze miesiąc temu.

Anders idzie na spacer w stronę rufy, nadal trzyma ręce w kieszeniach. Jakiś metr od niego unoszą się i toczą potężne, szaro-białe bloki. Młyn „Odyna” huczy i dudni. Huk otacza go, rozrasta się niczym mury wokół jego myśli.

304

Anders przechodzi na ukos przez pokład rufowy, idzie z pochylonym karkiem, wpatruje się w ziemię, żeby nie potknąć się o jakiś kabel czy linkę, niechcący zahacza ramieniem o czerwony kontener, ale nawet nie wyjmuje rąk z kieszeni. Otrząsa się tylko i idzie dalej. W końcu jest na miejscu. W końcu stoi na rufie „Odyna” i przygląda się temu, co jest za statkiem. Kilka metrów za nim widać płynny kilwater, a dalej zmarznięty wał połamanego lodu. W otaczającym krajobrazie wygląda jak mur, który będzie tu do dnia, w którym ocieplenie planety zajdzie tak daleko, że lodowce staną się tylko wspomnieniem, bajką...

Lód jest chaosem, który wygląda jak porządek, myśli Anders z uśmiechem. Gdzieś to przeczytał. Na poziomie molekularnym lód jest w rzeczy samej nieskończenie bardziej chaotyczny od wody. Jednak tu jest inaczej. Brązowy lód za „Odynem” naprawdę wygląda na chaos, którym jest.

Kilwater jest bardzo ciemny. Niemal czarny. Ulewa wisi w powietrzu jak mgła, która mieni się na białą i szaro. To kolory Ewy. Pierwotne kolory Ewy, które otaczały ją, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy. Przez moment Anders jest na powrót młodym mężczyzną, lekarzem na praktyce, który odbywa sześciomiesięczny staż w szpitalu psychiatrycznym. Jest niemal w pełni wykształconym doktorem, który jeszcze zbyt wiele nie widział i jeszcze nic nie rozumie. Dlatego całkiem serio myśli o specjalizacji psychiatrycznej. Stoi w drzwiach Sankt Mikael, dużego szpitala psychiatrycznego, znajdującego się na południe od Sztokholmu; istnieje już od ponad siedemdziesięciu lat i zostało mu już tylko lat czternaście. Zagląda do szaro-białego pokoju. Leży w nim pacjentka, ma zamknięte oczy. Śpi?. Tak, jest o tym przekonany. Później w życiu będzie raz za razem podważał to wrażenie z pierwszej chwili, jednak teraz, w tym momencie, jest pewien, że kobieta śpi.

305

Leży na plecach, jeden rękaw szpitalnej koszuli ma tak podciągnięty, że lewa ręka jest odsłonięta.

Jak biały łuk na szarym kocu, jej skóra jest tak cienka, że już z odległości kilku metrów widać niebieskie nitki naczyń krwionośnych. Ma bardzo jasne, starannie uczesane włosy, które mienią się złotem. Jej policzki są białe i lekko przysłonięte cieniem długich, czarnych rzęs, a usta, te na w pół otwarte usta! - są tak jasnorożowe, że wydają, jakby w rzeczywistości nie miały żadnej barwy.

Księżniczka z bajki, myśli Anders i sekundę potem sam sobie daje w myślach kuksańca. Co to za

głupoty. Przyszedł tu jako jej nowy lekarz i nie może, ani nie chce, traktować jej inaczej niż jako pacjentkę. I to taką, którą przywiozła tu policja, dwóch funkcjonariuszy, całkowicie pewnych, że to wariatka. Przecież się biła. Była dziewczyną, zupełnie normalną dziewczyną o przeciętnej sile, która rzuciła się na dwóch facetów po tym, jak wcześniej sprząła angielskiego gwiazdora pop. Leżał teraz w szpitalu Karolińska z dwoma złamanymi palcami, lekkim połamaniem żeber i nieco nadszarpniętym poczuciem własnej godności. Już teraz plotkowano o niej na oddziale, niektóre z młodszych salowych szeptały, że ją poznają, że to ona parę lat temu była dziewczyną Bjórna Hallgrena. Wtedy. W tamtym czasie. Kiedy to się stało. Musiał je uciszyć. Odchrząknął, wcisnął ręce w kieszenie białego fartucha i spróbował zabrzmieć autorytatywnie. Nie plotkuje się na temat pacjentów, zwłaszcza w szpitalu psychiatrycznym. A teraz stał przed nią, ubrany w ten sam biały fartuch, i próbował brzmieć równie autorytatywnie przed samym sobą. Do jego zadań nie należy bycie sentymentalnym. Jego zadaniem jest postawienie właściwej diagnozy i zaproponowanie skutecznego leczenia. Ukryte marzenie o wielkim sukcesie przelatuje mu tak szybko przez głowę, że nawet nie zdąża go zauważyć, dopiero potem, wiele lat później, będzie mógł je sobie przypomnieć.

306

Na razie lekko chrząka. I puka do drzwi. W końcu wchodzi do jej izolatki i uśmiecha się, ma nadzieję, że przyjaznym, budzącym zaufanie lekarskim uśmiechem.

Panno Salomonsson - mówi ściszym głosem, czując się przy tym dość głupio. Panna to nie jest słowo, którego używa jego generacja, ale ordynator Sandström jest w tej kwestii nieprzejednany. W tym szpitalu nie mówi się do pacjentów na ty.

Eva otwiera oczy i spogląda na niego. Jej oczy błyszczą.

- Doktorze - mówi słabym głosem. - Pomocy!

Trzydzieści pięć lat później Anders stoi na pokładzie rufowym lodolamacza „Odyn”, zamyka oczy i oddaje się wspomnieniom. Co on sobie wtedy myślał? Czy w ogóle myślał? Gdzieś tam musiał być przecież świadomy, co się dzieje, wie o tym, nie może już więcej tego wypierać. Jednak przypomina też sobie tamten dreszcz zachwytu, kiedy pozwolił, by się to działo. Coraz częściej zaglądał do jej pokoju, wymyślał jakieś sprawy nawet wtedy, gdy ich nie było. Po paru dniach zaczął przysiądać na jej krzesło dla odwiedzających, a po kolejnych kilku rozpoczął w tajemnicy terapię przez rozmowę, nieformalną terapię przez rozmowę, jak to sobie wytłumaczył, bo przecież nie miał wykształcenia psychoterapeutycznego.

- Nie jestem wariatką - powiedziała Eva podczas jednego z pierwszych spotkań, kiedy siedział przy jej łóżku. - Musi mi pan wierzyć. Nie jestem wariatką.

- Wiem - odpowiedział. - Jest pani krucha.

spodobało jej się to słowo, było to bardzo widoczne, westchnęła i opadła głębiej na poduszkę.

- Tak. Krucho.

- A to, co się stało...

307

Do oczu napłynęły jej łzy, zamrugła i łzy potoczyły się po policzkach. Anders skonstatował z zachwytem, że Eva potrafi płakać bez pociągania nosem i bez paskudnych grymasów. Szybko odpędził tę myśl. Eva odezwała się półszepem:

- Nie chcę o tym mówić... Anders przez chwilę milczał.

- Ale chyba trzeba. Wcześniej czy później.

Poszukała jego dłoni, a on błyskawicznie ją zacisnął, po raz ostatni próbując się obronić. Nie był jednak w stanie powstrzymać dreszczu, który mu przeszedł przez całe ciało. Chęć, pomyślał, ale nie miał odwagi sformułować, czego tak naprawdę chce. Sekundę potem znów rozluźnił uścisk, siedział z otwartą dłonią i patrzył, jak układa się w niej jej biała ręka.

-Jeszcze nie - powiedziała stłumionym głosem. - Później. Ale nie teraz.

Potem szybko podniosła jego rękę i przesunęła nią powoli po swoich wargach.

A potem to się stało. Pocałunek. Jej wyjście warunkowe podczas jego wolnego wieczoru. Kolacja w hotelu w jakimś mieście dziesięć kilometrów dalej, a potem dwuosobowy pokój. Błogość nad błogościami. I jej następstwo. To, co musiało się stać.

-Proszę zostać jeszcze - powiedział ordynator Sandström po konferencji medycznej kilka miesięcy później. Anders, który miał właśnie wstać, puścił poręcz krzesła i ponownie usiadł, ale jednocześnie, zauważył trójkę lekarzy idących w kierunku drzwi. Nie mógł przestać na nich patrzeć. Była wśród nich czterdziestoletnia kobieta, która odwróciła się do tyłu i ukradkowo potrząsnęła głową. To był nieznaczny gest, dyskretny i stłumiony, ale wystarczył, żeby Anders poczuł mrowienie na plecach. Wyprostował się i wbił wzrok w ordynatora Sandströma

308

-Tak?

Sandström przyglądał mu się znad okularów i przez chwilę milczał.

- Zatem młody pan doktor Jansson wiąże swoją przyszłość z psychiatrią? Anders przetknął ślinę:

-Słucham?

Sandström pochylił się do przodu i postukał palcem w stół konferencyjny:

- Pytałem, czy młody pan doktor Jansson wiąże swoją przyszłość z psychiatrią?

Anders odchrząknął, spróbował wydobyć z siebie głos:

- Tak, no tak, jednak nadal mam...

- ...kilka praktyk podyplomowych do odbycia. Tak. Wiem o tym. I może to szczęście.

- Słucham?

- Przepraszam, ale czy pan doktor Jansson źle słyszy? Powiedziałem, że może na szczęście.

Anders zaczerpnął powietrza, jakby miał odpowiedzieć, ale żadna odpowiedź nie padła. Siedział jak niemy i starał się nie mieć rozbieganych oczu.

- Może dobra byłaby medycyna ogólna - powiedział Sandström. - Albo chirurgia. A może wręcz ortopedia. Wszystko, do czego podstawą są proste umiejętności. Mechanika. Rzemiosło.

Sandström wstał i zaczął zbierać swoje papiery. Anders nadal siedział bez ruchu i na niego patrzył.

- Mam świadomość, że psychiatria nie jest najwyżej ceniona przez młodych medyków - kontynuował Sandström. - Wiem jednak także, że jest to specjalizacja, do której nie wystarczą umiejętności mechaniczne. Wymaga także inteligencji. Dość błyskotliwej inteligencji.

Anders wydał z siebie cichy dźwięk, ale Sandström podniósł rękę, żeby go uciszyć.

309

- Jestem pewien, że młody pan doktor może sobie znaleźć jakąś inną specjalizację. A panna Salomonsson staje się od dziś moją pacjentką. Myślę, że doktor Jansson, winien sięgnąć teraz do swoich podręczników psychiatrii i poświęcić szczególną uwagę rozdziałom na temat osobowości borderline.

Przeszedł przez pokój i położył rękę na klamce, a potem odwrócił się i uśmiechnął.

- Albo chociaż rozdziałowi na temat osobowości niestabilnych emocjonalnie. Do widzenia.

Potem otworzył drzwi i zniknął.

Anders otwiera oczy i otrząsa się, po raz ostatni zerka na kilwater i lód, a potem się odwraca i zaczyna iść w kierunku dziobu. Musi chodzić. Nigdy nie mógł stać w bezruchu, wspominając tamtą chwilę. Tak naprawdę nigdy nie pozwolił sobie na to, żeby porządnie ją przemyśleć, chociaż w jego wspomnieniach jest tak wyraźna, chociaż nadal tak dobrze pamięta każdy szczegół. Pod białym fartuchem Sandström miał brzydki krawat, szary w czerwone paski, w stylu lat czterdziestych, trochę krzywo zawiązany. Raz po raz opadało mu na czoło pasmo zaczesanych do tyłu włosów, chociaż równie często podnosił prawą rękę i odsuwał je do tyłu. Anders trzymał w ręku wieczne pióro z wzorem przypominającym skorupę żółwia, piękne pióro Parkera, które dostał w prezencie na maturę i które w jakiś tajemny sposób właśnie wtedy zginęło i już nigdy nie udało się go znaleźć, chociaż wiele razy

powracał do klasy i szukał go. Za to nigdy nie powrócił do swoich podręczników psychiatrii. Wręcz przeciwnie, nauczył się powstrzymać pełen pogardy uśmiech, ale kiedy mówiono przy nim o psychiatrii, było widać ten uśmiech w jego oczach. Nie po to został lekarzem, żeby zajmować się problemami wariatów. Został lekarzem, bo chce leczyć chorych ludzi.

310

I właśnie dlatego, jak po pewnym czasie zaczął mówić, wybrał medycynę ogólną. Odpowiadała mu, jak mówił innym, młodym lekarzom. To szeroka specjalność. Taka, na której rozwój będzie się w przyszłości wydawać duże sumy, jest o tym przekonany i myśli, że może on...

Nieinteligentny!

To słowo dotyka go jak policzek i uderza tak mocno, że musi na chwilę przystanąć i zaczerpnąć powietrza. Właśnie to miał na myśli Sandström. Że jest głupi. Durny. I chociaż Anders przez wszystkie lata, które upłynęły od tamtej chwili, nigdy, nawet przez setną sekundy, nie dopuścił do siebie tej myśli tak blisko (by mogła rozsadzić mu płuca), to jednak dał się przekonać. W jednej sekundzie jego własny obraz siebie samego rozsypał się w drobny mak, nie był już najlepszym uczniem w klasie ani uzdolnionym studentem, ani młodym medykiem z ambicjami naukowymi, w najlepszym razie stał się pracowitym przeciętniakiem, któremu tylko dzięki pilności udało się przejść przez studia medyczne. To dlatego zrezygnował ze wszystkich ambicji. To dlatego wyładował w przychodni w Landskronie. I tam został. Przez wszystkie te lata.

Anders przystaje przy schodach prowadzących na dziób i chwytając się poręczy, ścisną ją tak mocno, że bieleją mu knykcie. Jeszcze raz głęboko wciąga oddech. Eva! Czy jest w jego życiu coś, co nie jest jej winą? Przelatuje mu przed oczami ich wspólne życie, widzi, jak Eva się śmieje i jak siedzi z głową opartą na kuchennym stole i płacze. Widzi jak w ataku szału rzuca w niego wazonem, to ciężki wazon, który Anders odziedziczył po swojej mamie, są w nim nawet kwiaty, dziesięć rozwiniętych tulipanów, których czerwone płatki odrywają się od łodyg i na ułamek sekundy tworzą między nimi mur, a Anders uskakuje w bok, ratując w ten sposób zarówno siebie jak i ją.

311

Potem widzi bladą twarz i czarne oczy Ewy, kiedy odwraca się i przygląda mu się z pogardą. Jednocześnie wie, choć tamtego razu nie chciał się do tego przyznać, że sam dzieli z nią tę pogardę.

Wiatr chwyta go za kaptur, zrywa z głowy, a lodowaty deszcz szczypie go w wyziębioną czaszkę, sprawia, że na chwilę się kuli. Potem wiatr budzi go. Pociesza. Nigdy nie urodziły im się dzieci. Dopiero teraz, stojąc na pokładzie lodolamacza „Odyn” i patrząc na szarobłękitny krajobraz, Anders potrafi przyznać się przed sobą samemu, że nie przyniosło to tylko smutku. Także ulgę. Bo co taka osoba jak Eva zrobiłaby z małym dzieckiem? I jak on mógłby ją przed tym powstrzymać? Przecież nigdy nie umiał jej w niczym powstrzymać. Po prostu nie wiedział, jak to zrobić. Był na to zbyt mało inteligentny.

Anders prostuje plecy i mruga oczami. Rozgląda się dookoła, a potem zaczyna wchodzić po schodach. Może łączyła ich tylko ta pogarda, jej pogarda dla niego i jego pogarda w stosunku do siebie

samego. Już na dziobie przystaje na chwilę i naciąga kaptur, a potem sięga po portfel w tylnej kieszeni dżinsów. Wyciąga go, otwiera i sięga po stare zdjęcie w plastikowej obwolucie, na którym jest młoda, blondwłosa i uśmiechnięta Eva. Idąc, wysuwa je z kieszonki, ale nie patrzy na nie, tylko wpatruje się w laboratorium.

Ulrika. Może ona mogłaby...

W tej samej chwili otwierają się drzwi i staje w nich właśnie ona, brązowooka, piegowata, uśmiechnięta.

- Cześć - mówi. - Chcesz wejść?

312

Nad Oceanem Północnym zapada noc, która zaczyna się deszczem, mgłą i zawieruchą. Świat jest szary. Na niebie nisko wiszą szare chmury. Na horyzoncie widać szarobrazowe wyspy. Szarobłękitny lód przelamuje się i tworzy mur wokół statku. Na pokład „Odyna” spada fotografia, której barwy z czasem wypłowieły. Młoda, pastelowa dziewczyna, która śmieje się do aparatu. Jej policzki są odrobinę zbyt jasne, jej usta mają jasnołososiowy kolor, ale oczy nadal są czarne, a wzrok przenikliwy.

Deszcz przykleja zdjęcie do pokładu. Ktoś staje na nim ciężko, jakby chciał je jeszcze mocniej przylepić. Potem leży tam godzinami, a dziewczyna przez cały czas uśmiecha się w niebo, uśmiecha się tak, że osusza deszcz i uspokaja wiatr, że chmury muszą się rozwiać i szara noc zamienia się w lśniący zimowy dzień w środku lata, uśmiecha się tak, że...

Ktoś przechodzi przez pokład. Zatrzymuje się i przez chwile przygląda zdjęciu, a potem rozgląda się na boki, żeby sprawdzić, czy ktoś go widzi, ktoś, kto może coś o tym wie, ale że nikogo takiego nie ma, pochyla się i podnosi zdjęcie, przeciera wilgotną powierzchnię rękawiczką potem zabiera ze sobą do środka. Ściąga rękawice i idzie w kierunku placu Odyna, holu, przez który muszą iść wszyscy po drodze do mesy. Przyczepia mokre zdjęcie na magnetycznej tablicy i pisze pod nim czerwonym flamastrem: Czyja to zguba?

313

To nie może być prawda.

Susanne stoi nieruchomo przed tablicą ogłoszeniową i wpatruje się w zdjęcie. Poznaje je. To ona sama je zrobiła, kiedyś, bardzo dawno temu, ale wtedy na zdjęciu były dwie osoby. Teraz nie ma na nim prawie całego Bjórna, ktoś go wyciął, jedyne, co zostało, to jego ręka na ramieniu Ewy. Eva lubiła to zdjęcie tak bardzo, że zapytała, czy może je zatrzymać, a Susanne uśmiechnęła się było to w okresie, kiedy wciąż jeszcze się do Ewy uśmiechała - i pozwoliła jej zachować jedyną kopię.

Teraz to samo zdjęcie wisi na tablicy ogłoszeniowej „Odyna”. To nie może być prawda. To po prostu niemożliwe.

Z mesy wydobywa się smużka zapachu, świeżo parzona kawa i świeżo upieczony chleb, Susanne poddaje się pokusie, przez sekundę, ale potem dochodzi do wniosku, że to niemożliwe. Nie może wyjść z placu Odyne, zanim nie otrzyma odpowiedzi na pytanie pod zdjęciem, to, które napisano dużymi literami:

Czyja to zguba?

Susanne osuwa się na jedną z przymocowanych do ściany ławek. Siedzi z wyprostowanymi plecami i rękami złożonymi na kolanach, wpatrując się przed siebie, aż usłyszy kroki na schodach i czyjś chichot. Natychmiast zmienia pozycję, bierze jakieś papiery z tablicy ogłoszeniowej i zakłada nogę na nogę, udaje, że czyta. Kiedy Pojawiają się Olle i Jenny, uśmiecha się do nich lekko, a oni puszczaają ręce i też odpowiadają uśmiechem. Wyglądają na zażenowanych, ale nie aż tak, żeby nie poszukać siebie raz jeszcze, zanim znikną na korytarzu prowadzącym do mesy.

314

Sekundę potem przychodzi Katrin. Dopóki wydaje jej się, że jest sama, wygląda na nieszczęśliwą, zwiesza ponuro głowę i garbi plecy, tak jakby ktoś umocował na jej ramionach niewidzialne jarzmo. Jednak gdy tylko zobaczy Susanne, prostuje się i uśmiecha. Susanne unosi wzrok znad swoich papierów - to jakieś badanie ankietowe, które przeprowadza Urząd Morski - i odpowiada uśmiechem. Katrin pokazuje na gardło i wzrusza ramionami. Susanne nie wie, co Katrin ma na myśli, ale nadal się do niej uśmiecha.

Zaraz potem nadchodzi Skwaszony Sture. Kiwa głową, a potem staje na szeroko rozstawionych nogach i zaczyna się wpatrywać w ekrany na drugiej ścianie, najwyraźniej sprawdza, czy zgadzają się informacje pogodowe. Potem mruczy coś niewyraźnie i znika w mesie. Na ponad minutę zapada cisza, jest tak bezgłośnie i spokojnie, iż ma się wrażenie, że świat przestał istnieć. Potem nagle trzaskają jakieś drzwi i słychać kilka głosów, męskich i żeńskich. Jeszcze tupot kroków biegnących w dół schodów i pojawia się cała masa ludzi, Vincent i Eduardo, jakieś amerykańskie badaczki i Robert z lśniącym białym bandażem na skaleczonej ręce. Śmieją się i rozmawiają z taką werwą, że niemal braknie im czasu, by się z nią przywitać. Vincent podnosi tylko rękę, kiedy przechodzą obok, a potem przysuwa się do jednej z Amerykanek i coś do niej mówi. Najprawdopodobniej żartuje, bo dziewczyna wybuchła śmiechem. Robert rzuca Vincentowi spojrzenie spod zmrużonych powiek, a potem uśmiecha się i mówi coś, co powoduje, że Amerykanka śmieje się jeszcze głośniejsze.

-Siedzisz tutaj sobie?

Susanne odwraca głowę. Obok niej stoi John. Uśmiecha się, ale nie na tyle szeroko, by ukryć, jak bardzo jest zmęczony.

315

Ma worki pod oczami. Susanne próbuje odpowiedzieć na jego uśmiech.

-Tak.

- A zjadłaś już śniadanie?

- Nie. Jeszcze nie.

John wkłada ręce do kieszeni spodni i wykonuje ruch torsem, jakby chciał coś pokazać ramionami.

-Idziesz ze mną?

Susanne potrząsa lekko głową i odwiesza ankietę Urzędu Morskiego, a potem sięga po codzienne podsumowanie wiadomości prasowych agencji TT.

-Za chwilę...

Próbuje zacząć czytać, ale jakoś jej się nie udaje. John chwilę jeszcze stoi przed nią, przestępując z nogi na nogę, a potem nagle prostuje plecy i sobie idzie.

Susanne patrzy za nim i otwiera usta, jakby chciała zawołać go po imieniu, ale znowu je zamyka. Po co miałyby go wołać?

Kiedy czyta podsumowanie wiadomości, dochodzą ją z mesy jakieś ciche dźwięki, brzęk sztućców i porcelany, śmiech, ściszony szum, na który składają się głosy wielu pozdrawiających się na dzień dobry ludzi. Przez sekundę Susanne ma wrażenie, że wszystkich ich widzi, że siedzi w każdym oku i się im przygląda. Potem przyrymka oczy i zmusza się do powrotu tam, gdzie naprawdę jest. Do tablicy ogłoszeń. Oczekiwania. Tak naprawdę nie wie, na co czeka. Usiłuje się skoncentrować na wiadomościach, ale pierwszy tytuł - 42 zabitych w nowym wybuchu bombowym - to tylko pojedyncze słowa i Susanne nie jest w stanie ich ze sobą połączyć.

Ktoś przykleił obok fotografii Ewy zdjęcie satelitarne, na którym widać ich trasę. Statku nie widać, jest za mały, ale jego ślad na lodzie zarysowuje się cienką, czarną linią na białej powierzchni. Pod zdjęciem ktoś triumfalnie napisał tym samym czerwonym flamastrem hasło:

316

– Widać nas z Kosmosu! Na chwilę myśli Susanne unoszą się i zaczynają kołować wokół satelity, patrzy na biały pas podbiegunowy planety i na czarną kreskę na nim. Przesuwa wzrok na wielką ciemność ponad nimi, nieskończoną nicość z małymi, lśniącoymi punkcikami czegoś, a potem słyszy siebie samą, jak wzdycha, i nim zdąży się powstrzymać, przez głowę przelatuje jej dobrze znana myśl, ta, którą tak długo i z takim wysiłkiem powstrzymywała: Dlaczego niebo jest puste?

Prostuje plecy i porusza tułowiem. Robiąc to, przygląda się sobie i czuje wstyd. Tak. Wie. Dlaczego niebo jest puste? To nie tylko szczere pytanie, które zawsze w sobie nosiła. To także tytuł jej pierwszej książki. Zbiorku poezji, który wydała, kiedy jeszcze studiowała na uniwersytecie. To był cienki, mały tomik, który dostał tylko jedną recenzję, ale była w niej tak pełna rozbawienia pogarda, że Susanne nie tylko zdecydowała, że nigdy więcej, nigdy w życiu nie napisze ani słowa, ale również przerwała studia i zatrudniła się jako sprzątaczką w hotelu Óresund w Landskronie. To było jej wygnanie, wypełnione po brzegi starym smutkiem i świeżym wstydem, wygnanie, które trwało przez ponad rok. Wewnętrzne wygnanie, podczas którego bywała tylko w hotelu i w niemal pustym dwupokojowym mieszkaniu na ulicy Koppargarden, które wynajęła, kiedy gmina opuściła czynsze w desperackiej próbie uratowania finansów

gminnej spółki mieszkaniowej. Wygnanie, które trwało nieprzerwanie do chwili, gdy któregoś dnia w drodze do pracy minęła Elsie i nawet się z nią nie przywitała.

Nie poznała bliźniaczki swojej własnej matki. Nawet się nie odwróciła, kiedy ciotka zawołała ją po imieniu. A gdy ta chwyciła ją za ramię, Susanne otrząsnęła się tylko i się jej wyrwała. Potrzebowała pomocy. I dostała ją. Elsie zapłaciła za leczenie. Inez i Birger nigdy się o tym nie dowiedzieli...

317

Ktoś wchodzi po schodach, osoba ta lekko podnosi stopy i podśpiewuje sobie - zadowolony, zrelaksowany szczęśliwy człowiek, który bardzo szybko robi trzy potrzebne kroki, żeby wejść na plac Odyna, jakby biegł. To lekarz. Anders. Uśmiecha się do Susanne, obciągając mankiety, tak że spod niebieskiej wełny swetra wysuwa się mały kancik białej koszuli, jest wypachniony i świeżo wyprasowany, wygląda jak z reklamy mydła, a jego uśmiech jest tak radosny, że Susanne aż zatyka.

- Wygrałeś na loterii?

Wyrzuca z siebie to pytanie tak błyskawicznie, że sama jest nim zaskoczona, ale wydaje się, że jemu to nie przeszkadza, przystaje tylko i uśmiecha się jeszcze szerzej.

- O tak. A ty dostałaś pusty los? Susanne wybuchła śmiechem.

- Nie wiem. Nie wiedziałam nawet, że było jakieś losowanie.

Anders przesuwa ręką po łysej głowie i Susanne uderza zapach mydła.

-Tak, nigdy nie wiadomo... Może będzie więcej losowań. Miejmy nadzieję.

Susanne wyciąga się, żeby powiesić na tablicy ogłoszeniowej podsumowanie wiadomości. Anders śledzi wzrokiem jej ruchy.

-Dzisiejsza namiastka gazety?

Susanne zatrzymuje się i wyciąga do niego białą kartkę, a on najpierw szybko na nią zerka, a potem bierze kartkę do ręki i ze wzrokiem wbitym w tekst odzywa się wymuszonym naturalnym głosem:

-Żadnych dziwactw dziś w nocy w kajucie? Susanne opada z powrotem na ławkę i potrząsa głową.

- Nie.

318

Anders najwyraźniej też nie może skoncentrować na nowościach, przesuwa tylko po nich wzrokiem, potem sięga do tablicy ogłoszeń, żeby wziąć magnes, zatrzymuje się w pół ruchu. Susanne podąża za jego wzrokiem. Eva. „ Czyja to zguba?" ?

Anders wyciąga rękę i chwyta magnes. Nagle nie jest już taki porannie świeży, a jego twarz nie wygląda, jakby wygrał na loterii. Zbladł. Na czole lśni cieniutka warstwa wilgoci. Zdejmuje zdjęcie, ale na

nie patrzy, składa je tylko i drze na cztery części, a potem bierze gąbkę i usuwa i czerwony napis. Odwraca się i napotyka wzrok Susanne. Wstała.

- Skąd znasz Evę? - pyta.

319, 320

Jasność i mroki wiosny

301, 302

Inez otworzyła oczy. Przez na wpół uchylone żaluzje wpadało słońce, rysowało paski na czerwonej powierzchni kołdry, dość wąskie, jasne paseczki o ostrych kantach. Przez jakiś czas leżała bez ruchu i przyglądała się im, usiłując jednocześnie oddychać w tym samym rytmie co Birger. Spał tuż za jej plecami. Jego sen był płytki, łatwy do przerwania jednym ruchem czy odchrząknięciem, ale Inez nie poruszyła się ani nie chrząkała. Chciała, żeby spał dalej, chciała mieć tę chwilę dla siebie.

Która to godzina? Nie ma jeszcze szóstej. Inez odsunęła delikatnie kołdrę i ostrożnie się przeciągnęła.

Birger wymruczał coś przez sen, brzmiało to, jakby z kimś dyskutował, ale nie mogła usłyszeć, co tak naprawdę mówi. Potem gwałtownie zaczerpnął tchu i zaczął pojękiwać. Inez uśmiechnęła się lekko do siebie. Jakie szczęście, że Birger nigdy nie ma snów...

Pojękiwanie nasiliło się i przeszło w lament, głośny jęk, który wkrótce mógł się zmienić w płacz lub przebudzenie, jeśli nie powie mu się stop. Dlatego odwróciła i postukała go lekko w ramię. Wystarczyło. Nocny koszmar opadł z niego i Birger odwrócił się do niej plecami, kilka razy zamlaskał, przełknął ślinę, a potem zapadł w tak głęboki sen, że nawet nie mogła dosłyszeć jego tchu. Bardzo dobrze.

Dziś Noc Walpurgi, więc pół dnia będzie miała wolne. Jedynie połowa ze zwykłej liczby nadętych nastolatek wysłucha wykładu na temat sprzątania, prania i zatykania mężczyźnie gęby jedzeniem.

323

Inez uśmiecha się do sufitu i jeszcze raz się przeciągnęła. Jeszcze tylko miesiąc do końca semestru. Jej absolutnie ostatni miesiąc w roli nauczycielki gotowania. Kiedy za parę lat wróci do szkoły, będzie uczyć szwedzkiego i angielskiego. Może jako lektorka. Chociaż o byciu lektorką nie miała odwagi mówić na głos. Istniało jednak ryzyko, że wówczas chęć współpracy Birgera zostanie zastąpiona żądzą współzawodniczenia, a na to naprawdę nie miała ochoty się narażać. Przynajmniej jeszcze nie teraz. Wcześniej ma inne walki do stoczenia.

Jedną z takich potyczek już stoczyła i wygrała. W zeszłą sobotę Elsie nareszcie przeprowadziła się do nowego mieszkania. Stała się sąsiadką swojej matki, zamiast pomieszkiwać u siostry. Przedtem przez

cztery miesiące, pełna niechęci i wątpliwości, trzymała się swojego pokoju na poddaszu. Przez dwa miesiące czekała na zakończenie remontu nowego mieszkania, a przez kolejne dwa objęła się, zadreżając się tym, co musi kupić, żeby móc w nim zamieszkać. Łopatkę do sera i kanapę, lustro i zasłonę prysznicową, stół do kuchni i garnki... Nie wspominając już o zasłonach. Inez głęboko westchnęła, tak głęboko, że we śnie Birgera powstała mała rysa, dlatego poleżała trochę bez ruchu, czekając, aż jej mąż znowu zanurzy się w nieistniejące sny.

W końcu to chyba zasłony skłoniły Elsie do działania, fakt, że Inez w akcie czystej desperacji w końcu je uszyła i porozwieszała. Elsie stała obok i niemal przez cały czas miała jakieś uwagi, ale Inez ją stopowała, aż Elsie nareszcie zrozumiała, że Inez naprawdę chce się jej pozbyć z domu. To wtedy dopiero kupiła łóżko i wyprowadziła się. Nie zostawiając po sobie pustki.

Jednak może niesprawiedliwie było tak myśleć. Przecież Elsie niemal niezauważalnie przejęła część obowiązków Inez, chociaż nikt nigdy nie widział, jak to robiła.

324

Po prostu nagle wszystkie ubrania wisiały świeżo uprane i uprasowane w szafach, wszystkie kąty w domu były odkurzone, a meble lśniły po wytarciu kurzów. Owe nieliczne razy, dokładniej mówiąc trzy, kiedy w domu był Björn, Elsie bardzo się pilnowała, żeby nie próbować go sobie przywłaszczać. Spotykali się przy jedzeniu, nie częściej i nie rzadziej. Dokładnie jak z Inez. Ona też obcowała z Björnem przy jedzeniu. Nigdy przy innej okazji.

Nie. O tym lepiej nie myśleć. Ani o tym, że dziś Susanne ma wyjechać z Björnem autokarem, że choć skończyła dopiero piętnaście lat, jedzie z nim w trzydniową trasę koncertową i sama wróci do Landskrony pociągiem. Aż z Östergötland. W dodatku w towarzystwie tej Evy Salomonsson Björna... Kimkolwiek ona jest. Nie. Lepiej pomyśleć o swoim nowym pokoju - pustym i opuszczonym pokoju na poddaszu, który tylko czeka, żeby zaczęła robić w nim porządki. O ścianach, które pomaluje na biało wbrew temu, co Birger sądzi na temat malowania bezpośrednio na tapecie. Zacznie po południu. Inez przekręciła się i spojrzała na budzik. Dochodzi szósta. Może już wstanie. Może mogłaby wręcz pójść na poddasze i rozejrzeć się, zanim nastawi kaszę... Tak. Zrobi to.

Odsunęła kołdrę i bardzo ostrożnie postawiła stopy na podłodze, a potem chwilę siedziała bez ruchu, nasłuchując oddechu Birgera. Był bezgłośny. Wstała i sięgnęła po szlafrok, który leżał na krześle, a potem bardzo ostrożnie otworzyła drzwi i na palcach wyszła na korytarz. Później równie ostrożnie zamknęła je za sobą i ruszyła w kierunku kolejnych drzwi prowadzących na strych. Otworzyły się zupełnie bezszelestnie i zamknęły za nią z przyjemnym stuknięciem.

Dobrze. Teraz jest w swoim własnym świecie. W drodze do swojego pokoju. Nikt w rodzinie nie wiedział, że pokój został już w pełni urządzony w jej głowie.

325

Nikt nie pojmował, że może ich zostawiać, kiedy przyjdzie jej na to ochota, i że naprawdę to robi, i to raz za razem, że to tutaj ucieka myślami setki razy na dzień, kiedy gotuje kiedy zmywa, kiedy jedzie na

rowerze do pracy lub do domu; że tylko wygląda, jakby siedziała przy stole razem ze wszystkimi, bo w rzeczywistości biegnie już na górę po schodach, przechodzi po nieheblowanej, drewnianej podłodze komórki na strychu i otwiera drzwi do pokoju, w którym na półkach stoją starannie poukładane książki, a nieduża, biała lampa rzuca przyjaźnie żółtawe światło. Do pokoju ze świeżo obitym fotelem z ratanu - w rzeczy samej fotel jest już gotowy i stoi w komórcie, przechodząc obok niego, pogłaskała bawełnę w niebieską kratkę - i nieskończenie uporządkowanym biurkiem, na którym leżą poukładane w rzędku, świeżo zatemperowane ołówki. Własny pokój.

Inez nacisnęła klamkę i otworzyła drzwi, a potem przez chwilę stała w progu, przyglądając się temu, jak pokój wygląda w rzeczywistości. Nie był do końca tak zachęcający jak w jej marzeniach. Jeszcze nie. Jednak dziś rozpocznie się przemiana. Zerwie z łóżka Elsie brązową narzutę i zawinie w nią całą starą pościel. Zwinie dywan - sfatygowaną, starą podróbkę z domu rodziców Birgera - i nareszcie zerwie kwieciste zasłony i wyrzuci je do śmieci. Potem wystawi wszystkie meble do komórki, na podłodze porozkłada gazety i zacznie malować szaro-zielone tapety. Kupiła już dobrą gatunkowo farbę, gęstą jak śmietana, farbę, która z pewnością pokryje każdy fragment kwiatków z lat czterdziestych. Pokój będzie biały Bielszy od bieli.

Od tej pory Elsie nie będzie już. miała pokoju w domu Inez. Nigdy więcej.

Inez przeszła przez próg i przysiadła na brzegu łóżka. Rozejrzała się. Na brzozie za oknem pojawiły się kotki, a delikatne, zielone listki lśniły w porannym świetle.

326

Jak powitanie. Inez podciągnęła nogi, oparła się o ścianę i poczuła, że opuszcza ramiona. Własny pokój. Po raz pierwszy w życiu ma własny pokój. Birger oczywiście usiłował temu przeszkodzić. Na początku przytakiwał i ze wszystkim się zgadzał po to, by później zacząć powoli wymyślać problem za problemem. A czy tam nie ciągnie z okna? I jaka jest tam na górze izolacja? Nie będzie za zimno? Albo za ciepło? Czy przesiadywanie na strychu nie jest bardzo niepraktyczne? Bo jak zadzwoni telefon, to będzie musiała biec dwa piętra w dół, żeby go odebrać. Czy nie byłoby lepiej, żeby miała swoje książki na półce w korytarzu i czytała je przy stole w kuchni? Przykładowo. A jeśli już posiadanie biurka jest czymś absolutnie koniecznym, to przecież on może się z nią podzielić swoim biurkiem... Naprawdę I nie ma nic przeciwko temu. Nic a nic. I po co tak się umęczyła zmienianiem obicia tego ratanowego fotela? Przecież w salonie są trzy dużo wygodniejsze fotele. Czemu tam nie może siedzieć i czytać, skoro już koniecznie musi siedzieć w fotelu?

Postawiła mu się. Po raz pierwszy. Pokonała Birgera nie słowami i argumentami, ale siłą swojej obojętności. Odwracała się do niego plecami, kiedy nudził przy kuchennym stole, pochylała się nad książką, kiedy podnosił głos, uśmiechała się lekko i wzruszała ramionami, gdy szedł za nią i marudził. W końcu rzeczywiście poddał się i ucichł, przez trzy tygodnie nie powiedział ani słowa o jej nowym gabinecie. Co niekoniecznie musiało oznaczać, że ów fakt zaakceptował. Znaczyło to tylko, że myśli nad nową strategią. Co z kolei nasuwało wniosek, że jest rzeczą kluczową, by niczego się nie dowiedział na temat finansów. Na temat pieniędzy Elsie.

Inez otoczyła się ramionami i wydeła usta. Czy dokonała kradzieży?

327

Czy można uznać za kradzież fakt, że włożyła pieniądze Elsie do specjalnej przegródki w swoim portfelu? Pieniądze, które dostała od Elsie na jedzenie, kiedy ta mieszkała u niej i Birgera. Nie. Kradzieżą tego nazwać się nie da. To przecież Inez kupiła kaździutki ziemniak i ulepiła wszystkie kotlety w czasie tych czterech miesięcy, to ona wyszukiwała okazyjne ceny i sama zaczęła piec chleb, żeby starczyło im pieniędzy. Poza tym oszczędziła część ze swojej własnej pensji. Nie wspominając już o tym, że zamiast kupić nowe palto, chodziła w wytartym, weszła nawet do sklepu i obejrzała palto, które kupiłaby, gdyby nie oszczędzała, sprawdziła cenę i całą sumę włożyła do tajnej kieszonki w swoim portfelu.

Liczyła pieniądze schowana w toalecie. Tak zachowują się złodzieje. Uczciwy człowiek siadłby w kuchni przy stole i w widocznym miejscu wyłożył na obrus kaździutką setkę i kaźdą dziesiątkę. Jednak ona tak nie może. Jej obojętność nie sięga aż tak daleko. Wie, że gdyby Birger zobaczył pieniądze, stałyby się jego własnością. Nie, żeby kiedykolwiek sformułował to w ten sposób, wręcz przeciwnie, to przecież ich wspólne oszczędności, Inez musi wszak zrozumieć, że doprawdy nie stać ich na jakieś drogie duńskie lampy i biurka antyki. Zasłony? A co takiego brakuje zasłonom, które wiszą w pokoju na poddaszu. Co? Przecież Inez ma się chyba na górze uczyć, a nie siedzieć, podziwiając wystrój?

Tchórz. Oto kim jest. Nie fair. Jest grającą nie fair, tchórzliwą osobą, taką, która kłamie, ukrywa i ma tajemnice, która udaje zadowoloną, otwartą i ufną, ale w gruncie rzeczy jest pełna lęku, zamknięta i podejrzliwa. Zamknęła oczy. Nie myśleć o tym teraz. Nie. Myśleć o tym jak tu będzie ładnie. O biurku, które zobaczyła w sklepie z antykami i za które zastawiła już sto koron zaliczki i o duńskiej lampie, z białym, plisowanym kloszem, którą już kupiła i bardzo dyskretnie ustawiła w komórce na strychu, schowaną za jakimiś starymi krzesłami.

328

Zasłony kupi jak już się zaczną wakacje, w Kopenhadze. Pójdzie do sklepu Magasin du Nord i tylko pokaże palcem... Dwa i pół metra tego, dziękuję!

Już raz tam była. Któregoś dnia w czasie ferii wielkanocnych niemal zmusiła Elsie, żeby pojechała z nią do Kopenhagi. Dzień zaczął się dość ponuro szarym niebem nad Óresund, kanapkami z zawilgoconym serem na promie i ciszą, jaka zapadła między nią a Elsie, ciszą, która zdawała się rosnać z minuty na minutę, milczeniem, które sprawiło, że Elsie uciekała wzrokiem, a Inez zaczęła paplać. Nigdy nie umiały rozmawiać o tym, co najważniejsze, więc nie miały sobie nic do powiedzenia. Musiała więc gadać o niczym i robiła to, dopóki nie zabrakło jej słów w połowie ruchomych schodów. Elsie najpierw nie zauważyła, że Inez umilkła, stała ze swoją papierową torbą na zasłone pod pachą i patrzyła w bok, a potem rzuciła siostrze szybkie spojrzenie.

- Masz ochotę na lunch?

Inez kiwnęła głową. Była tak wykończona mówieniem bez końca, że nawet nie miała siły powiedzieć tak.

- Zapraszam - powiedziała Elsie.

W restauracji siedziały w milczeniu naprzeciw siebie, ale zaraz po tym, jak kelnerka postawiła przed nimi pieczywo, Elsie zatrzymała się z nożem i widelcem powietrzu, podniosła wzrok, spojrzała prosto na Inez i powiedziała:

- Jak on się z tym czuje? Tak naprawdę?

W pierwszej chwili Inez nie była w stanie odpowiedzieć, przez parę chwil szukała zwykłego kłamstwa, takiego, które dotknęłoby Elsie i przypomniało jej, że chociaż jest matką Bjórna, to jednak Inez też nią jest, w inny, głębszy sposób, ale nie mogła znaleźć słów, siedziała tak i wpatrywała się przed siebie.

Nie wiem - powiedziała w końcu. - Naprawdę nie mam pojęcia.

329

Nadal tak było. O Bjórnie można było przeczytać w każdej gazecie, poza tym co tydzień dzwonił i co jakiś czas wpadał do nich w odwiedziny, a w tej chwili spał nawet w pokoju tuż pod nią, ale Inez, która była jego matką, odkąd skończył cztery miesiące, w rzeczywistości nie miała pojęcia, jak mu jest. Potrząsnęła głową. Nie powinna o tym myśleć. Nigdy już nie będzie o tym myśleć.

W zamian za to pomyśli o swoim pokoju. Swoim własnym pokoju.

330

W drzwiach kuchni stał Björn i pocierał prawe oko ściśniętą pięścią. Jak dziecko. Bardzo małe dziecko.

- Dzińbry - powiedział ochryple. Birger mruknął coś w odpowiedzi zza porannej gazety, ale Inez aż się zakręciła w kółko. Była już ubrana i gotowa i uśmiechała się tym swoim specjalnym uśmiechem, który był przeznaczony tylko dla Bjórna.

- Dzień dobry! Chcesz śniadanie?

Björn miał poczochrane włosy, był ubrany jedynie w podkoszulek i kalesony pod rozpiętym szlafrokiem i najwyraźniej nie wziął jeszcze kąpieli ani prysznic, ale, tego Inez nie skomentowała. Inaczej byłoby, gdyby to Susanne usiłowała usiąść do śniadania bez mycia, ubrana jedynie w koszulę nocną i szlafrok. Zrobiłby się z tego krzyk, wrzask i omdlenia. Jednak Susanne po prostu nie jest Björnem i nie może liczyć, że będzie traktowana w ten sam sposób co on, ani w domu, ani nigdzie indziej.

- Zły humor z samego rana?

Björn wyciągnął rękę i siadając przy stole, przesunął nią szybko po głowie Susanne, a ona odchyliła się, jakby chciała mu się wymknąć.

- Przestań!

Po twarzy Björna przemknął uśmiech. To nagroda, rodzaj podziękowania za to, że Susanne nadal traktuje go jak zwykłego starszego brata. Jednak Susanne nie może posunąć się zbyt daleko, nie może go naprawdę zezłościć. Więc równie szybko odpowiada mu na uśmiech.

Obok Björna pojawia się Inez z garnkiem kaszy i promiennym uśmiechem:

331

- Zjesz kaszy?

Sądząc z lekkiego obrzydzenia na twarzy, Björn niema ochoty na kaszę, ale mimo to kiwa głową.

- Tak, dziękuję. I filiżankę kawy.

Inez uśmiecha się jeszcze szerzej.

- Zrobi się.

Ależ ona jest dziś wesolutka. Rzecz jasna uszczęśliwiona obecnością Björna. Aż pęka z radości. Jednak to nie ona będzie mogła dziś z nim pojechać. Tylko Susanne. To Susanne i Eva pojedą autobusem Typhoons, najpierw do Nassjó, potem do Mjölby i Linköping, a na końcu do Norrköping.

Na tournée. Wprawdzie krótkie, tylko trzydniowe, ale zawsze tournée. Kosztowało ją to miesiąc marudzenia i żebrania, zanim Inez i Birger poddali się. Oczywiście to nie owo marudzenie i żebranie przyniosło w końcu rezultat, tylko fakt, że Björn zechciał się za nią wstawić. Susanne stała w korytarzu, obok Inez, i słuchała jego głosu, który wypływał niczym wąski strumyk ze słuchawki telefonu. Strumyk ten sprawiał, że Susanne, Birger i Elsie stali bez ruchu i w zupełnym milczeniu przyglądali się

Inez, która mocno przyciskała do ucha czarną słuchawkę. Björn brzmiał bardzo przekonująco. Oczywiście, że zajmie się siostrą. Naturalnie. I rzecz jasna w autobusie jadącym w trasę koncertową nie ma żadnej trawy ani alkoholu. A jeśli tak koszmarnie się niepokoją, jak Susanne przeżyje te głupie trzy dni, to powinni się też bardzo martwić o niego, a tego wszak nigdy nie zauważył...

Ostatniego zdania nie skończył i było to bardzo skuteczne. Sprawił, że Inez opadła na krzesło i poszukała wzrokiem Birgera, a potem spojrzała na niego z bardzo dziwną miną i zupełnie pustymi oczami. Birger też przez parę chwil stał z zupełnie nieobecny wyrazem twarzy, a potem szybko odwrócił głowę i spojrzał na Elsie, na nieruchomą, oniemiałą Elsie, która jako pierwsza z wielkim wysiłkiem kiwnęła głową. To kiwnięcie zostało potem przekazane Birgerowi, aż w końcu przybrało postać odpowiedzi Inez.

- Dobrze - powiedziała cienkim głosem. - Oczywiście że ci ufamy, Björn. Naturalnie, że tak. Dobrze, Susanne może z wami jechać.

Jednak Susanne nie ufali. Wyraźnie nie. Oboje, Birger i Inez, cały zeszły tydzień poświęcili gderaniu. Nie pa! Nie pij! Nie - khm, khm - idź z nikim do pokoju!

Co oni sobie myślą? Że do pociągu w Norrköping wsiedzie już jako paląca, ciężarna alkoholiczka? Przecież nie jest głupia.

Birger złożył „Nowości Landskrony” i zerknął na zegarek. To był znak, odwieczny, poranny sygnał, że już czas iść do szkoły. Susanne podniosła swoją filiżankę czekolady i opróżniła ją, a potem nabrała powietrza i poszukała tonu głosu, którego raczej nie używała o tej porze dnia.

- Moja walizka jest w przedpokoju - powiedziała. - Proszę, nie zapomnij jej...

Zabrzmiało to prosząco. Nazbyt prosząco. Björn uniósł wzrok znad swojego talerza z na wpół zjedzoną kaszą, wyglądał na zaskoczzonego.

- Jak to?

Świat zatrząsł się w posadach. On zapomniał. Zapomniał, że obiecał jej i Evie, że pojedą z nim na tournée. I teraz nie będą mogły jechać. Zaraz znajdzie jakieś usprawiedliwienie...

- Pewnie, że tak - powiedział Björn. - Zapomniałem o tym.

Susanne siedziała wyprostowana i wpatrywała się w niego. Próbowwała poskromić go wzrokiem.

- Piętnaście po dwunastej. Przed szkołą. Eva też tam będzie.

333

Björn chwycił „Nowości Landskrony” i kiwnął głową, ale na nią nie spojrzął.

- Jasne. Autobus będzie czekał.

Susanne nie spuszczała z niego wzroku, wpiła się w niego i usiłowała wyrzucić na nim presję samą siłą swej woli.

- Na pewno?

Björn skrzywił się z irytacją.

- Na pewno. Spokojnie.

Najpierw wyszedł Birger, jak zawsze. Wstał, założył marynarkę, obowiązkowo pocałował Inez w policzek i ścisnął ręką ramię Björna, a potem wziął klucz do roweru i wyruszył przed siebie. Inez kręciła się po kuchni, sprzątała ze stołu i wciąż z niepokoju mówiła. Czy Björn mógłby włożyć ser do lodówki, jak już skończy? I czy mógłby też wziąć bilet na pociąg dla Susanne, żeby się nie zgubił? Może mógłby też trzymać jej pieniądze, żeby nie zginęły, a gdyby mimo to się gdzieś podziały, czy nie mógłby być tak miły i za nią założyć. O Boże, to już tak późno! Trzeba się spieszyć i Susanne też powinna. Do widzenia. Zniknęła za drzwiami.

Jednak Susanne nie skończyła jeszcze z Björnem. Zapinając suwak parki, wróciła do kuchni.

- Piętnaście po dwunastej - powtórzyła. - Nie zapomnisz?

Björn grzebał w kieszeniach szlafroka w poszukiwaniu papierosów, wyciągnął pogniecioną paczkę Johnów Silverów i zaczął w niej gmerać. Zapalić w domu? W kuchni Inez?

-Nie martw się - powiedział, wkładając papierosa do ust. - Uspokój się już.

Potem potarł zapałkę i zapalił papierosa.

334

Na dworze miało się uczucie, że jest sobota, chociaż był tylko czwartek. Susanne mocno chwyciła szkolną torbę i zaczęła iść, zmrużyła oczy od porannego słońca, spuściła wzrok i zaczęła patrzeć pod nogi. Jej buty na kauczukowych podszewkach były zniszczone i przykurzone. Po wejściu do autobusu zdejmie je i założy białe kozaki, te same, na które zarobiła, pracując po kilka godzin w każdą sobotę w sklepie pani Salomonsson. Były ładne. Nowoczesne. Tak nowoczesne, że Inez i Birger wzniesli oczy do góry, kiedy im je pokazała.

Rzuciła okiem na zegarek. Za dwadzieścia ósma. Za pięć minut musi być pod budką telefoniczną, żeby zdążyć się umalować. Właśnie tam zawsze przystawała w drodze do szkoły, żeby wypracować sobie twarz odpowiednią dla siostry gwiazdy rocka. Było to tak samo ważne jak perfekcyjne przygotowanie do lekcji. Nikt nie może powiedzieć, że nie jest wystarczająco na czasie, żeby być siostrą Bjórna, i nikt nie powie też, że zaniedbuje szkołę. Wręcz przeciwnie. Na zakończenie zimowego semestru z każdego przedmiotu będzie miała lepsze stopnie od Ingalill. Nawet z matmy i chemii.

Od niemal pięciu miesięcy nie zamieniły ze sobą ani słowa, chociaż chodziły do tej samej klasy. Susanne ignorowała Ingalill, udawała, że tamta nie istnieje, pospiesznie przesuwała po niej wzrokiem, ale natychmiast odwracała wzrok, jeśli napotkała jej oczy. Wokół Ingalill zrobiło się trochę pusto, mówiąc oględnie. Prawdę powiedziawszy, Ingalill stała się zupełnie samotna. Żadna z dziewczyn nie podchodziła do niej na przerwach, Ingalill stała sama gdzieś daleko, przy ogrodzeniu, z nosem w książce, udawała, że jest bardzo zajęta. Nikt z własnej woli nie siadał koło niej w szkolnej stołówce, a po lekcjach gimnastyki, nikt nie tłoczył się pod tym samym co ona prysznicem. Z drugiej strony nikt nie był też otwarcie niemiły dla niej, nikt jej nie dokuczał i nie był uszczypliwy, a jeśli ona kiedyś powiedziała coś do któregoś z kolegów z klasy, odpowiedzią stawał się przelotny uśmiech.

335

I grymas na twarzy, kiedy się odwracała tyłem.

Może ją to martwiło. Trudno powiedzieć. Susanne przyglądała się plecami Ingalill podczas kolejnych lekcji siedziła dwa rzędy za nią i odnotowywała różne symptomy. Paznokcie Ingalill były tak mocno obgryzione, że czubki palców wyglądały na opuchnięte. Utyła i miała wałki na brzuchu, a poza tym przestała podcinać i myć włosy. Przynajmniej tak to wyglądało. Zdarzyło się, że przyszła do szkoły z włosami tak tłustymi, że widać na nich było ślady po grzebieniu. Ale poza tym nie wyglądała na specjalnie załamana. Przeciwnie. Przestała nosić spódnice, jak kiedyś, i kupiła sobie parę džinsów. Na początku tygodnia, w każdy poniedziałek, były gładkie i świeżo wyprasowane, pojawił się na nich nawet zaprasowany kant, co wywołało trochę uśmieszków i uniesionych brwi za jej plecami. Najwyraźniej to

zauważyła, bo w następny poniedziałek dzinsy były czyste, ale w ogóle nieuprasowane. A tydzień temu Ingalill zdjęła swoje stare, brzydkie palto zimowe i pojawiła się w wojskowej parce. Oczywiście zielonej i, jak dało się zobaczyć, zamówionej przez pocztę z Wojskowego Magazynu Nadwyżek, co z kolei musi oznaczać, że jej ojciec wyszedł z ciupy i znowu pije. Parka byłaby zdecydowanie na miejscu na kimś innym kimś, kto rozumiałby, że trzeba ją na dole zasznurować, tak żeby nabrała balonowego kształtu, ale, rzecz jasna, Ingalill tego nie kapuje. Nosi za to na parce znaczek Narodowych Sił Wyzwoleńczych FNL, dość duży blaszany znaczek z żółtą gwiazdą i napisem Z FNL dla ludu Wietnamu. Skądżeż ona to wzięła. W innych miastach działały lokalne zgrupowania FNL, Susanne czytała o tym w gazecie, ale w Landskronie ich nie było. Kiedyś na korytarzu uniosła brwi na widok tego znaczka i ironicznie kiwnęła głową w stronę Maggi, jednej z tych dziewczyn, które ciągle za nią łążyły, ale Maggi popatrzyła tylko na znaczek i nic nie skapowała.

336

Nie wiedziała, co to jest FNL, jak się okazało, a Susanne naprawdę nie miała chęci jej o tym opowiadać. Odwróciła się więc do niej plecami i poszła do klasy. Przez cały następny dzień Maggi się jej podlizywała. Jakby się czegoś bała. Idiotyzm.

Susanne westchnęła i wyciągnęła z torby lusterko. Z widoczną rutyną umieściła je na półce przed sobą i wycisnęła na czubki palców odrobinę kremu brązującego. Oliwkowy. Nowy kolor. Jakie szczęście, że jest Eva. I że tak hojnie dzieli się darmowymi próbkami ze sklepu. Susanne nigdy nie mogłaby sobie pozwolić na zakup kremu brązującego, cieni do powiek, eyelinera, tuszu do rzęs, szminki i pudru, a przecież musi mieć te wszystkie rzeczy. Nie może pokazywać się wśród innych dziewczyn ze swoją normalną twarzą, musi być ładna, ładniejsza, najładniejsza, bo jest przecież siostrą Bjórna. Czy jego kuzynką. Chodzenie na co dzień bez makijażu zniszczyłoby magię, która go otacza, obejmując przy tym i ją samą, czar, który momentami dotykał nawet Birgera i Inez. Nie wspominając już o Elsie. Ona była w nim całkowicie zanurzona, był jak mieniący się płaszcz na jej ramionach, na niej całej, sprawiał, że całe miasto odwracało się i gapiło na nią. I nic dziwnego. Była przecież mamą Bjórna. Jego prawdziwą matką, nie zastępczą, jak Inez.

Susanne zrobiła krok do tyłu, potrząsnęła lekko głową i przyjrzała się swojemu odbiciu. Różowe usta. Pomalowane na czarno oczy z cienką kreską á la Kleopatra skierowaną w stronę skroni. Wygładzona skóra w jasnym beżowożółtym odcieniu. Śliczna. Naprawdę śliczna. Susanne opuściła lusterko i wrzuciła próbki do torby, a potem odwróciła się i otworzyła drzwi budki telefonicznej. Zatrzymała się w nich.

Obok przechodziła właśnie Ingalill. Była to Ingalill, której usta powoli rozchyłały się w szyderczym uśmiechu, jak czarna kreska na białej twarzy.

337

Ingalill, która nie powiedziała cześć, tylko przesunęła błyskawicznie wzrokiem po Susanne, a potem zrobiła podwójnie duży krok, próbując dogonić chłopaka, który przed chwilą siedł obok niej, ale teraz był dwa kroki przed nią.

Henrik. Chłopak z równoległej klasy. Ten niechlujny palant, który nigdy nie golił meszku nad górną wargą Ten...

Ingalill już go dogoniła. Szła teraz obok niego, stawiając duże kroki. Odwróciła się do niego i oczy jej zaśniły, coś powiedziała i się uśmiechnęła. Przez setną sekundy zerknęła przez ramię na Susanne, a potem pochyliła się do przodu i coś szepnęła. Szept sprawił, że Henrik, podążając za jej wzrokiem, błyskawicznie odwrócił głowę a potem wzruszył ramionami i się roześmiał.

Susanne stała bez ruchu przed budką telefoniczną i patrzyła za nimi. Ingalill umyła włosy, jej białe loki trzęsły się jak aureola wokół jej głowy. Roześmiała się. Teraz śmiała się naprawdę głośno.

338

Trzaśnięcie drzwiami. Wyszła. Nareszcie wszyscy troje poszli.

Björn znowu przechylił się na oparcie krzesła, wbił wzrok w szarą kuchenną szafkę i upajał się ciszą. Żaden samochód nie przejeżdżał po ulicy. W tle nie grało żadne radio. Nikt się nie śmiał. Było cicho. Kiedy zamykał oczy, przez sekundę czy dwie mógł udawać przed sobą, że wszystko się zmieniło, że jest zupełnie zwykłym, ostrzyżonym na krótko uczniem trzeciej klasy liceum, który siedzi sobie w zupełnie zwyczajnej kuchni, zwyczajnym chłopakiem, który zaraz pójdzie po schodach na górę i włoży swoje sztruksy. Chłopakiem, który śmiałby się zawstydzony na samą myśl o spodniach w szkocką kratę, najzupełniej normalnym licealistrą, który niedługo, już za miesiąc, zdobędzie białą czapkę maturzysty jako nagrodę za trzy lata spokojnych starań, i który potem będzie...

Otworzył oczy i zaciągnął się głęboko papierosem. No tak, gdzie by doszedł, gdyby naprawdę był owym krótko ostrzyżonym chłopakiem, który zawsze odrabia swoje lekcje? Wzruszył na tę myśl ramionami. Nie ma pojęcia. Najmniejszego. I zawsze tak było. Nigdy przecież nie wiedział, czego chce. Wiedział jedynie czego nie chce. Teraz też wiedział dokładnie, na co nie ma ochoty. Nie chce wstawać i iść pod prysznic. Nie chce zakładać swoich kraciastych spodni pop. Nie chce pakować walizki. Nie chce, żeby przyjeżdżał po niego autobus grupy Typhoons. Nie chce, żeby jechały z nim Eva i Susanne. Nie ma ochoty na słuchanie głosu Tommy'ego, ma dość Pea, Bossego i Niclasa.

340

Już nigdy nie chce tłoczyć się z nimi w cholernej, ciasnej łoży gminnego parku. A już najbardziej chciałby uniknąć stania na scenie i śpiewania wiecznie tych samych piosenek, wieczór za wieczorem, za wieczorem...

Upojenie pierwszych miesięcy minęło. Trasy koncertowe stały się codziennością, i to w dodatku dość szarą. Bycie Björnem Hallgrenem nie było już wcale czymś wspaniałym, nie ma nic pociągającego w tym, że wszyscy cię rozpoznają, żadnej przyjemności z wrzasków dziewczyn i niemal brak ochoty na to, by w nich przebierać. A jednak to robił, prawie po każdym koncercie zabierał ze sobą do autobusu lub hotelu jakąś dziewczynę, żeby ją przelecieć. Żeby to odwalić. Tak to można określić. Ale robił to, wieczór za wieczorem, noc po nocy, jeśli nie z innych powodów, to po to, żeby wkurzyć Tommy'ego, a przez to także Bossego, Pea i Niclasa. Żeby zobaczyć jak błękitne oczy Tommy'ego zielenieją z zazdrości, kiedy Björn

zwraca się do najładniejszej ze wszystkich ładnych dziewczyn, które się wokół nich tłoczą, ze swoim niemożliwym do pobicia uśmiechem. Zawsze wybierał pierwszy. To on był Björnem Hallgrenem. Tylko on.

W autobusie zrobiło się dość ponuro. Tommy narzekał na wszystko i wszystkich, a ponieważ narzekał Tommy, to marudzili też Bosse, Peo i Niclas. Było im za ciepło lub za zimno. Zbyt duże odległości między restauracjami. Zbyt kiepskie hotele, żeby już nie wspomnieć o scenach, na których musieli występować. Platforma ciężarówki na rynku w Alingsås. Co? Jakaś cholerna domowa produkcja na sali gimnastycznej w Arvidsjaur. Tak rozchwybotana, że człowiek miał wrażenie, że runie prosto między deski. Nie wspominając już o nowej piosence, którą wmusił im Karl-Erik, o tym wybitnie idiotycznym kawałku. Czy on sobie do diabła wyobraża, że osoby, które naprawdę słuchają muzyki Typhoons, będą chciały słuchać szwedzkich tekstów?

340

Co? Czas się opamiętać. To znaczy opanować muzycznie. Bo oni nie zajmują się tym jedynie dla pieniędzy, nawet jeśli może się tak komuś wydawać, gdy widzi, jak niektórzy...

Björn przestał reagować na narzekania Tommy ego. W zamian odwracał się plecami i wyglądał przez okno autokaru, w całkowitym milczeniu i bezruchu, nie pokazując nikomu twarzy. Udawał, że nie słyszy, chociaż oczywiście słyszał każde słowo i odnotowywał każdziutką szpilę. Starał się zmusić do myślenia o czymś innym, ale w sumie to mu się nie udawało. Trudno było teraz myśleć, cały ten zgiełk, wszystkie głosy i dźwięki obalały każdą próbę. Dopiero kiedy w końcu robiło się cicho, doszukiwał się siebie samego.

Jak się miewasz?

Kiepsko.

Tak. Wiem.

Nic nie jest już fajne. Wszystko jest beznadziejne.

Tak.

I Tommy ma przecież rację. Nigdy nie przyznałbym tego głośno, ale tak naprawdę nie mam specjalnego słuchu. Umiem śpiewać, ale nie słyszę muzyki w taki sposób jak Tommy. Nie rozumiem jej. Nie tak jak on.

Nie. Ale może na tym to polega.

Jak to?

Może jesteś taki sam jak ci, co cię słuchają. Oni pewnie też nie są specjalnie muzykalni. Bo słuchają teraz was. Ciebie.

Ech.

Wszystko jedno, czy masz słuch, czy nie. To nie dlatego jesteś w Typhoons.

Nie bądź wredny.

Jesteś najśladzsy w Szwecji. Ktoś napisał o tym w liście do magazynu „Vecko-Revyn”.

No tak. Cholera.

341

Ale Caroline nigdy nie przyszła. Chociaż jesteś tak uroczy.

A czy coś wyglądałoby inaczej, gdyby przyszła.

Nie. Może nie.

Nawet za nią nie tęsknisz.

Tęsknię.

Nie. Chcesz tylko tego, czego nie możesz mieć. Jak zwykle.

Okej. Nie tęsknię za Caroline. Ale tęsknię za zupełnie zwykłą codziennością. Iść do szkoły. Poczytać książkę. Poćwiczyć z Moonlighters.

Tego też nie możesz mieć. Skończyłeś już szkołę. A książki...

Spróbuj tylko. Sprawdź, czy wytrzymasz komentarze w autobusie. A Moonlighters nie chcą już z tobą ćwiczyć. Tak przynajmniej twierdzą.

Wiem. Zazdrość.

Nie tylko. To może mieć także związek z...

Björn potrząsnął głową, żeby odegnać głos, a wcisnął niedopałek głęboko w niedojedzoną kaszę. Nie jest przecież stuknięty. Tylko trochę samotny. Westchnął i rozejrzał się po kuchni. Jest trochę zmęczony. Musi się tylko pozbierać, wziąć głęboki oddech i policzyć swoje błogosławieństwa, tak jak miał to w zwyczaju. Ma przecież mieszkanie, wprawdzie tylko kawalerkę z prysznicem i wnęką kuchenną na tyłach willi Karla-Erika w Solna, ale jednak własne, z meblami, które kupił za swoje pieniądze. No ilu dziewiętnastolatków w Szwecji ma własne mieszkania? Prawie żaden. Poza tym ma też książeczkę bankową, którą zawiaduje Birger, i suma na niej rośnie z każdym nagraniem i każdą sprzedaną płytą. Niedługo - nie dalej niż wczoraj powiedział Birger- Björn będzie mógł studiować przez ponad pięć lat nie biorąc na to pożyczki. Björn kiwnął w odpowiedzi głową i stwierdził, że to dobrze, nie, nawet więcej niż dobrze.

342

Fantastycznie. Naprawdę skłamał, zrozumiał to, jak tylko to powiedział. Dzień, w którym będzie zmuszony wrócić do nauki, będzie dniem jego klęski, dniem, w którym przyzna się sobie i innym, że nie jest już gwiazdą pop. A czym jest zdetronizowana gwiazda pop? Kimś przedawnionym. Niedługo Björn będzie najmłodszy na świecie przedawnionym. Bo jego upadek już się zaczął. Na razie jeszcze tego nie widać, ale Björn już wie. Jest najzupełniej pewien. Nigdy więcej nie będą pierwsi na liście Top 10. Za rok nie będzie już Typhoons. Skończą się. Będą tylko wspomnieniem.

Już teraz wie, w jakiej znajdzie się rozterce, kiedy nadejdzie ten dzień. Nie, żeby miał żałować samego bycia idolem. Przeciwnie. Ma tego powyżej uszu. Po dziurki w nosie gapiących się ludzi, dość bycia drapanym i obmacywanym przez rzesze szalonych nastolatek i równie mocno dosyć ich wrzasków. Ma powyżej uszu chichoczących panienek, które prosząc o autograf, czerwienią się i wyglądają, jakby miały zaraz zemdleć, i przejadło mu się sypianie z dziewczynami, z którymi, gdy jest już po wszystkim, nie ma o czym porozmawiać. Dziewczynami, które wybrał po to, żeby wkurzyć Tommy'ego, i dlatego, był otumaniony whisky i jointami, których - zgodnie z regułami bycia idolem - trzeba zażyć po każdym koncercie. Ma po dziurki w nosie fotografów, którzy mówią mu, jak ma trzymać głowę i układać ręce. Wszystkiego ma cholernie dosyć.

Z drugiej strony boi się wstydu. Mógłby go złamać. Wstyd, że już nie błyszczący. Wstyd, że fotograficy odwrócili się w inną stronę. Wstyd, że kolejne panienki, patrząc na niego, nie będą już go rozpoznawały, a starsze dziewczyny skrzywią się na dźwięk jego imienia. Björn I Hallgren!

Yesterday's news. Wstyd, że nikt, absolutnie żadna sensowna dziewczyna nie będzie chciała być z kimś, kto wyszedł już z mody, a do tego nie zrobił nawet matury.

343

Z kimś, czyja sława się skończyła, kto wylądował w szkole dla dorosłych razem z masą dziewczyn, które, zaszły w liceum w ciążę, oraz z paroma starymi czubkami wierzącymi w wykształcenie jak w raj. Tak, cholerny świat... Jest na co czekać!

I jeszcze ta Eva.

Björn potrząsnął głową, wstał, chwycił swój talerz z kaszą i zaczął sprzątać ze stołu. Oczywiście i ona zniknie, kiedy jego sława się ulotni, ale akurat nad tym nie będzie rozpaczał. Czasami niemal się jej boi, chociaż tak naprawdę nie wie dlaczego...

Jak do cholery doszło do tego, że Eva uznała się za jego dziewczynę? Czy powiedział lub zrobił coś, co sprawiło, że zaczęła jej się tak wydawać? Nie. Na początku przespał się z nią raz czy dwa, zaraz po tym, jak Typhoons wylądowali na angielskiej liście, i od tej pory Eva przyczepiła się do niego jak rzep do psiego ogona. Kiedy przyjeżdżał pociągiem ze Sztokholmu, wychodziła po niego na stację, ale nigdy nie powiedziała, skąd wie, że on przyjedzie właśnie tym pociągiem. Dzwoniła do niego do hoteli i pensjonatów gdzieś daleko w Norrlandii, a kiedy pytał, skąd wie, gdzie jest, tylko się śmiała. Nie wspominając już tamtego razu w lutym, kiedy zastukała do jego drzwi w Sztokholmie, w Solna. Po prostu któregoś zwykłego, poniedziałkowego popołudnia stała tam. Nie miał wtedy koncertu i kiedy otworzył, wpatrywała się w niego z zupełnie nieruchomą twarzą, po to, by sekundę później uśmiechnąć się i

radosnym głosem wyjaśnić, że pomyślała, iż musi go odwiedzić, bo i tak jest dziś przez cały dzień w Solna. Musiała kupić towar do perfumerii, ale teraz ma parę wolnych godzin. Czy może wejść?

Zajął mu kilka miesięcy, nim doszedł, skąd czerpie informacje.

344

Od sekretarki Karla-Erika, która w tygodniu wysyłała do Inez i Birgera listę zaplanowanych koncertów i zarezerwowanych hoteli, listę wieszała potem na tablicy w kuchni, którą Susanne, mała siostrzyczka, już wtedy wcale nie taka mała, mogła łatwo przepisać i przekazać Evie. Chyba, że to sama Eva od czasu do czasu wślizgiwała się do kuchni w towarzystwie Susanne i błyskawicznie spisywała miejsca i numery telefoniczne.

Chociaż jednocześnie musi przecież przyznać, że być może ją do tego zachęcał. Odrobinę. Lub co najmniej zaniechał powiedzenia jej wprost, że nie jest już nią zbyt zainteresowany. Zadowolili się wymamrotaniem czegoś o „Magazynie Ilustrowanym”, Karlu-Eriku i o tym, że nie może, no nie wolno mu pokazywać się oficjalnie z dziewczyną. W odpowiedzi roześmiała się i powiedziała, że tak jest w porządku, dopóki ona wie to, co wie, a jego wtedy zatkało. Co takiego ona wie? Jednak zamiast o to spytać, przyciągnął ją do siebie i uciszył pocałunkiem, a potem jeszcze raz ją przeleciał. W trakcie uprawiania seksu potajemnie się na niej zemścił, wymazując ją w wyobraźni i pozwalając, by jej miejsce zajęła wymarzona i zawsze tajemnicza Caroline.

Zdjął z kranu ściereczkę i szybko przetaił nią kuchenny stół, a potem przystanął i wyjrzał przez okno. Świeciło słońce, a na dworze było tak spokojnie, że pączkujący ogród wyglądał jak obrazek. Nic się nie poruszało. Nie przelatywał żaden ptak. Wśród brzoź nie szemrał wiatr. Nie trzepotał żaden motyl i nie szukał jeszcze nieobecnych kwiatów.

Nie wiedział, skąd pochodzi ów psalm. Po prostu przyszedł.

Rano gdzieś wśród gór - zaśpiewał. - Usłysz wartki potok...

Przerwał, uśmiechnął się i odwiesił ścierekę na kran, Później ponownie zaczerpnął powietrza i zaśpiewał dalej.

345

Jak szumi do skał... Uśmiechnął się w środku strofy do samego siebie i do ulubionego psalmu dzieciństwa, uśmiechnął do wspomnienia, jak w wieku ośmiu lat podniósł rękę i powiedział, że to właśnie ten chciałby zaśpiewać, po tym jak pani zapytała, czy ktoś chce zaproponować psalm do porannej modlitwy. Numer 521. Pani lekko się uśmiechnęła i kiwnęła głową, a potem podeszła do organów i usiadła przy nich.

Tęsknił za tamtymi czasami. Chciał znowu być chudym, drobnym chłopcem, chociaż wiedział, jaką miałyby to cenę, bo przecież nawet w tamtym czasie nic nie było proste i oczywiste. A mimo to właśnie tam chciał się przenieść, do uśmiechniętych oczu Inez i bezpiecznego pomrukiwania Birgera, do tamtej klasy i tamtego, chudziutkiego, małego chłopczyka, któremu nigdy nie udało się pojąć, jak myślą inni

chłopcy... Przesunął szybko ręką po twarzy i zamrugał. Co on sobie wyobraża? Przecież nadal nie pojmuję, jak myślą inni. Ani chłopaki, ani dziewczyny. Ani Inez, ani Birger. Ani Eva, ani Susanne. Żeby już nie wspomnieć o Elsie. Która jest, cholera, zupełnie niepojęta. Jaką trzeba być osobą, żeby uciec od własnego dziecka?

Odkąd wrócili razem z Londynu, Elsie rozpadła się. Wszystkie jego dziecięce marzenia o niej skurczyły się, unicestwiły. Sam fakt, że była w pobliżu, że chodziła po domu, siedziała przy tym samym stole w czasie posiłków, zbiegała ze strychu w samym szlafroku, sprawił, że skurczyła się w jego oczach. Przecież ona ma go gdzieś, to wyraźnie widać, siedzi przy stole z tym swoim nikłym uśmiechem i nigdy nic nie mówi. Nigdy nie pyta, co u niego, jak się ma. Nigdy nie wchodzi do jego pokoju, nie siada na brzegu łóżka, żeby pogadać. Nigdy nie zaproponowała, żeby razem, tylko ona i on, matka i syn popłynęli na jeden dzień promem do Kopenhagi, żeby mógł tam sobie położyć jak zwykły chłopak, bez podążającego za nim tabunu wrzeszczących dziewczyn.

346

Nigdy nie zapytała, czy może go odwiedzić w Solna, i oczywiście nigdy go też nie zaprosiła do swojego mieszkania, przemykała się tylko jak duch, duch, który ma to i owo do wyjaśnienia, ale nigdy nie powiedziała słowa o tym, co Björn chciałby wiedzieć. Na przykład, jak to było? Z kim? Dlaczego? Przede wszystkim dlaczego.

Zatrzymał się w pół kroku i opadł na kuchenne krzesło, odrobinę się zgarbił, a potem szybko wyprostował plecy. Brzydzi się jej. Taka jest prawda. Brzydzi się tej baby. Pociągnął nosem i wytarł go ręką, a potem mocno potarł oczy. Cholera, jak pieką. Może zaczyna być chory. Przez sekundę widział siebie, jak leży w łóżku, w swoim chłopięcym pokoju, przeziębiony i z gorączką, zobaczył, jak ktoś uchyla drzwi i wślizguje się z tacą. Elsie? Nie. Inez. Nie. Jakaś inna kobieta, istota będąca zarówno Inez, jak i Elsie...

Nigdy w życiu!

Uderzył ręką w stół i wstał, wsunął z powrotem krzesło i nabrał powietrza w płuca. Znowu zaczął śpiewać. Tę samą melodię. Ten sam psalm.

Chciał przestać myśleć. Chciał zapomnieć o Elsie. Chciał zapomnieć o Inez. Miał dość wszystkiego i wszystkich. Chciał wrócić do miejsca, które nigdy nie istniało i którego już nie ma.

347

Elsie zawahała się w chwili, w której położyła rękę na furtce, przez moment stała bez ruchu, patrząc, jak jej białe palce zaciskają się na żelaznych prętach, a potem podjęła decyzję i pchnęła furtkę do przodu. Nie ma powodu, żeby stać i zastanawiać się. Ma przecież pełne prawo wejść do domu siostry, nawet jeśli jej tam akurat nie ma. Przecież jest tam syn Elsie. Kto może powiedzieć, że Elsie nie ma prawa odwiedzić własnego syna?

Na wprost niej w różowym, porannym świetle kokietyjnie rozpościerał się ogród. Niektóre

spośród nabrzmiałych pąków forsycji zaczęły już pękać, odstaniały wąskie paseczki złota, ale rododendron nadal uparcie zaciskał swoje twarde pąki. Na rabatce pochylało główki kilka przebiśniegów, a za nimi wyciągały się do słońca fioletowe krokusy. Szykowały się do rozłożenia płatków. Trawa mieniła się jasną zielenią, a ziemia na rabatach lśniła czarno od wilgoci. Wiosna. Nareszcie przyszła wiosna.

Furtka zaskrzypiała podczas zamykania i Elsie znowu zaczęła się wahać. Przestań, powiedziała szybko do siebie. Nie dalej niż parę tygodni temu mieszkałam przecież w tej willi z czerwonej cegły...

Jednak teraz już tu nie mieszka. Teraz mieszka w tej, szarej kawalerce na ulicy Sankt Olovsgatan, ściana w ścianę z własną matką. Swoją bardzo cichą matką. Wieczór za wieczorem Elsie siedzi bez ruchu i nasłuchuje jakichś dźwięków z mieszkania Lydii, ale nic nie słyszy. Żadnych radiowych głosów. Żadnej muzyki. Czasem tylko obcas stukający o parkiet...

348

Mimo to nigdy nie miała odwagi wstać, wyjść na klatkę schodową i zadzwonić do matczynych drzwi, przeciwnie, sama stała się tylko bardziej cicha i nieruchliwa. Wczoraj nie zrobiła nic, nie czytała, nie prała, nie gotowała, siedziała tylko bez ruchu na brzegu łóżka, wsłuchując się w ciszę, podczas gdy do środka wkradał się powoli zmierzch i zamieniał w ciemność... Jest faktem, że kiedy zapadła noc, nawet się nie rozebrała ani nie umyła zębów, ściągnęła tylko buty, wpełzła pod narzutę na łóżku i zasnęła...

Nie było to dobre. Siedząc, wiedziała już o tym. Są przecież rzeczy, które musi zrobić. Przykładowo napisać listy do kilku przedsiębiorstw i dowiedzieć się, czy nie potrzebują gdzieś telegrafistki. Przybić do ściany pierwszy obraz. Ugotować coś w jednym ze swoich nowych garnków czy rondli. Myślała, żeby to zrobić, i chciała to zrobić, ale w końcu nie zrobiła nic. Siedziała, wpatrując się w ścianę naprzeciwko. Może to dlatego dziś rano obudziła się, jakby ktoś nią potrząsnął, i natychmiast postanowiła, że nigdy więcej nie zdarzy się już coś takiego. Nie może sobie na to pozwolić. Pospiesznie ściągnęła ubranie i popędziła nago do łazienki. Stała pod prysznicem, tak zimnym, że aż zaszczękały zęby, a potem w lustrze napotkała swoje własne rozkazujące spojrzenie. Ubierz się. Zrób kawę. Wypij ją.. Wyjdź. Porozmawiaj z Bjórnem, zanim wyjedzie w trasę koncertową. Opowiedz mu o wszystkim. Wróć. Napisz listy do przedsiębiorstw. Dopilnuj, żeby coś się wydarzyło. Coś dobrego. Coś, co wszystko odczaruje. Co sprawi, że staniesz się osobą, którą kiedyś byłaś, którą powinnaś być, którą naprawdę jesteś.

Stała się kimś innym. Taka jest prawda. W ciągu dziesięciu dni, które minęły, odkąd wprowadziła się do swojej małej samotni, przeżywała gehennę, która odbierała jej wszelką inicjatywę. Po wieczornej kolacji powitalnej w lśniącej, świeżo wyremontowanej kuchni Lydii spotkała matkę jeszcze tylko trzy razy.

349

Raz na klatce schodowej. Drugi, kiedy poprosiła Lydię, żeby pożyczyła jej gazetę. I trzeci, kiedy zadzwoniła do drzwi matki, żeby spytać, czy czegoś jej nie kupić, bo sama szła na zakupy. Dziękuję, nie, powiedziała Lydia. Woli sama robić swoje zakupy i ma nadzieję, że Elsie to zrozumie.

Są przecież dorosłe. Samodzielne. Niezależne.

Kiedy potem szła do sklepu, zgarbiła się, ale nie zauważyła tego, dopóki nie zerknęła na swoje odbicie w szybie. Rzuciła pełne pogardy spojrzenie owej skurczonej postaci i uświadomiła sobie, że to przecież ona sama. Mimo to zajęło jej kilka sekund, żeby zebrać siły i wyprostować się. Na morze, pomyślała. Muszę znów wypłynąć...

Nie udało jej się zatrzymać tej myśli, uleciała gdzieś, zanim Elsie wróciła do domu, a kiedy siedziała w swojej własnej kuchni, było tak, jakby nigdy jej nie było. Na blacie stał pomarańczowy karton z mlekiem, ale zajęło jej niemal godzinę, zanim zebrała się, żeby wstać i wstawić go do lodówki.

Jednak dziś jest inaczej. Dziś zrobiła to, do czego nie zebrała się przez kilka dni. Wzięła prysznic. Zaparzyła kawę. Wypiła ją. I wyszła z domu, nie rzuciwszy pełnego niepokoju spojrzenia na drzwi Lydii. Tak, nawet nie zerknęła na zegarek, żeby sprawdzić, czy Lydia już wyszła. Dziś usiądzie naprzeciw Bjórna w kuchni i będzie z nim przez dłuższy czas sama, dłużej niż kiedykolwiek wcześniej. Porozmawiają ze sobą. Elsie nareszcie odpowie na pytania, których on nigdy nie zadał. Będzie

dobrze. Naprawdę dobrze.

Bardzo szybko weszła na trzy schodki prowadzące do drzwi, zdjęła rękawiczki, a potem podniosła rękę, żeby zadzwonić, ale jeszcze się zawahała. Dlaczego miałaby dzwonić do drzwi? Parę tygodni temu wchodziła i wychodziła, kiedy chciała.

350

Opuściła rękę i położyła ją na ciężkiej, czarnej klamce, o opływowym kształcie, który zawsze lubiła, choć nigdy nie potrafiła tego nazwać, ani nikomu o tym powiedzieć. Nacisnęła klamkę i otworzyła. Drzwi uchyliły się, Elsie otworzyła usta, żeby zawołać radosne cześć, i została tak z otwartymi ustami. Nasłuchiwała.

Śpiewał. Björn śpiewał w kuchni. Śpiewał psalm.

351

Halo!

Uznała, że powitanie zabrzmiało dość zwyczajnie i energetycznie, ale została w przedpokoju nieco dłużej niż potrzeba. Teraz w domu było już zupełnie cicho, w kuchni nikt się nie poruszał. Przez głowę przeleciało jej wyobrażenie: Björn osuwa się na podłogę, leży tam teraz, wydając ostatnie tchnienie. Wyprostowała plecy. Co za kompletna bzdura! - odepchnęła od siebie ten obraz i przejechała szybko ręką po włosach. Starła się zrobić to tak, jakby chciała samą siebie przekonać, że jest całkowicie zrelaksowana. Potem zrobiła krok na korytarz. W tej samej chwili w drzwiach do kuchni pojawił się Björn, ręce miał wciśnięte głęboko w kieszenie ciemnoczerwonego szlafroka, zaskoczony zamrugał na jej widok.

-To ty?

Elsie poprawiła torebkę, którą miała na ramieniu i spróbowała się uśmiechnąć. -Tak.

Na sekundę zapadła cisza, wystarczająco długa, żeby Elsie mogła usłyszeć niewypowiedziane pytanie. Co masz tu do roboty? Björn pierwszy się pozbierał, coś mu załśniło w spojrzeniu, ale natychmiast to ukrył, poprawił rozchełstany szlafrok, zawiązał pasek, a potem spróbował się uśmiechnąć odpowiednio grzecznie i uprzejmie. Jakby była kimś obcym.

- Napijesz się kawy?

Elsie kiwnęła głową, ale nic nie powiedziała.

Björn znowu wcisnął ręce do kieszeni szlafroka i wszedł do kuchni.

352

Elsie pospieszyła cichutko za nim. Nie słysząc moich kroków, pomyślała. Może powinnam była wziąć ze sobą buty na zmianę, buty ze stukającymi obcasami, a nie skradać się tutaj w samych skarpetkach...

Kuchnia Inez była schludna jak zawsze, chociaż naczynia ze śniadania stały w zlewie. Na parapecie puszyły się pelargonie, na stole leżał świeżo wyprasowany, lniany obrus, a na nim stała cynowa misa z czerwonymi jabłkami. Na korkowej tablicy jak zwykle wisiał program koncertów Björna, tuż obok planu lekcji Susanne i starej pocztówki, którą sama kiedyś wysłała z Jamajki. Elsie lekko chrząknęła.

- Chciałam tylko się pożegnać - powiedziała.

Björn odwrócił się. Był całkowicie pochłonięty nalewaniem do rondla wody na kawę.

- Znowu wybierasz się na morze?

Jego głos był taki jak zawsze, ale jednak jakiś inny. Było w nim coś nowego, ale nie mogła dojść, co to takiego. Wysunęła krzesło i usiadła przy stole.

- Nie. Jeszcze nie. Ale przecież ty ruszasz w trasę. Postawił rondel na kuchence i nadal stał odwrócony plecami.

- No tak. Ale to tylko trzy dni.

- Potem tu chyba nie wracasz?

- Nie, rzecz jasna. Mamy w przyszłym tygodniu kilka koncertów w Sztokholmie. Później zaczniemy próby do następnej płyty. Chcesz bułkę?

- Nie, dziękuję,

Znowu zapadła cisza. Elsie pochyliła się do przodu i bawiła małym rzemykiem u torebki, musiał się kiedyś zmoczyć, bo zeszywniał i wywinął się na zewnątrz. Wykręcała a go teraz mocno w drugą stronę,

żeby wrócił na swoje miejsce. Nagle Björn zatrzasnęła kuchenną szafkę z taką siłą, że podniosła oczy, nadal trzymając mocno rzemyk pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym.

353

- Wszystko dobrze?

Gdzieś na zewnątrz zakrakęła wrona, poza tym było cicho. Björn nie odpowiedział, chociaż na pewno usłyszał. Odwrócony do niej plecami nadal parzył kawę Elsie ponowiła pytanie, ale już mniej pewnym głosem.

- Co słyhać? Wszystko dobrze?

Odwrócił się i przez kilka chwil patrzyli sobie w oczy. Björn miał magnetyzujący wzrok, gładką skórę, białą jak kość słoniowa, i lśniąca fryzurę na pazia, która muskała kołnierz jego szlafroka. Ależ on jest przystojny, przeleciało Elsie przez głowę. Czy Jörgen też był taki? Zamrugała szybko, odpędzając tę myśl.

- Dziękuję - odparł. - Wszystko jak najlepiej. Nowa nuta w jego głosie zabrzmiała mocniej. Znowu

odwrócił się plecami i sięgnął po filiżankę kawy, którą potem postawił przed nią ruchem tak zdecydowanym, że filiżanka zabręczała na spodeczku. Elsie siedziała bez ruchu, czekając, aż Björn weźmie też filiżankę dla siebie, ale nie zrobił tego. Chwycił tylko dzbanek i nalał jej kawy, a potem spytał:

- Mleko?

Potrząsnęła głową. Björn z uniesionym do góry dzbankiem stał przez chwilę bez ruchu obok niej, a potem odwrócił się i odstawił go na kuchenkę. Później oparł się o kuchenny blat i skrzyżował ręce na piersiach. Przez chwilę przyglądał się jej zmrużonymi oczami, a potem nagle uniósł brodę i powiedział:

- Chciałaś coś?

Teraz usłyszała, czym jest to nowe w jego głosie. Chłodem. Odcinaniem się. Nieufnością. Elsie odwróciła wzrok.

Kiedy wreszcie wydobyla z siebie głos, brzmiał żałośnie •

-Nie napijesz się kawy?

Lekko się poruszył. Rozstawił nogi, żeby pewniej stać. Nikt go nie przewróci. To widać. Nic nie może sprawić, by upadł.

354

- Nie.

Nie było miejsca, by prosić o jakąś bliskość czy wspólnotę, zero nadziei na to, że Björn wykaże się zrozumieniem dla jej nerwowości, albo okaże jej współczucie z tego tylko powodu, że tylko on mógłby ją pocieszyć. Zajął pozycję znacznie wyraźniejszą niż kiedykolwiek przedtem.

Elsie podniosła filiżankę i wypita łyk, pogładziła palcem brzeg wykrochmalonego obrusa, a potem znów uniosła filiżankę i jeszcze raz się napiła. Björn nie spuszczał z niej wzroku, jego oczy trzymały ją w potrzasku. Powtórzył:

- Chciałaś coś?

Głos lekko mu się załamał. Z niecierpliwości. Z wściekłości. Elsie pochyliła lekko głowę, żeby uciec przed jego spojrzeniem, i wpatrzyła się w swoją dłoń na kuchennym stole.

- Tak. To znaczy. Myślałam, że może ty...

- Na parę sekund zapanowała cisza.

Że ja co?

Elsie nie podniosła oczu. W zamian za to patrzyła, jak unosi swoją prawą rękę i przyciska nią grzbiet lewej dłoni. Kto podjął tę decyzję? Nie ja, pomyślała. To ręka sama zdecydowała, chciała pocieszać...

- Słucham? Co takiego myślałaś?

Elsie zamknęła na chwilę oczy. Tak nie może być. Muszę się skoncentrować. Uniosła głowę i napotkała wzrok Bjórna.

- No cóż, myślałam, że może chciałbyś dowiedzieć się czegoś więcej o okolicznościach twoich narodzin.

To także jakiś sposób na sformułowanie tej kwestii. Bzdura. Znowu odwróciła wzrok, ale tylko na chwilę, potem zmusiła się, żeby jeszcze raz spojrzeć Björnowi w oczy. Björn poruszył się, jakby chciał zrobić unik, ale jednak nadal stał w tym samym miejscu na szeroko rozstawionych nogach i z rękami skrzyżowanymi na piersi.

Elsie znowu nabrała rozpędu.

355

-Kim jest twój tata. Takie rzeczy.

Björn przyłgnął nieco mocniej do kuchennego blatu.

-A czemu miałbym chcieć to wiedzieć?

Jego głos brzmiał teraz inaczej. Ton był otwarcie wrogi.

- Przecież wszystkie dzieci chcą...

Przerwał jej:

- Nie jestem dzieckiem.

- Jesteś moim dzieckiem. Nadal.

- Jestem?

Elsie wciągnęła powietrze:

- Oczywiście, że jesteś. Ile lat byś miał, to zawsze przecież będziesz...

Björn wyprostował swoje proste już plecy. Lśniły mu oczy.

- Przecież nigdy nie byłem twoim dzieckiem.

Zimny ton jego głosu gdzieś zniknął, zrobił się wyższy, prawie piskliwy. Elsie wciąż na niego patrzyła i czuła, jak po plecach pełźnie dobrze jej znany chłód. Waga przechylała się na jej stronę. Słabnie, pomyślała. Ja nabieram mocy. Tak. Tak jest. Teraz, w tym momencie jestem silna.

- Zawsze byłeś moim dzieckiem.

- Nigdy tego nie zauważyłem!

Starczyło. Jej siła nie była prawdziwa, była ułudą, iluzją, zrozumiała to w tym momencie, kiedy ją opuściła. Björn też o tym wiedział, to było widoczne, wessał ją, przycisnął mocniej do siebie założone ręce. Blask jego oczu zniknął.

- Wychowałem się u Inez i Birgera. To oni się mną zajmowali. Oni byli moimi rodzicami. Są moimi rodzicami. To wystarczy.

Elsie przycisnęła torbę do brzucha.

-Ale...

336

- Nigdy się mną nie przejmowałaś. Nigdy, przenigdy.

- Ależ Björn, proszę...

- Czasem tylko przyjeżdżałaś w gości. Raz na rok. Albo co drugi rok. Nie miało sensu brać cię pod uwagę.

Elsie zamknęła oczy, ale głosu Björna nie dało się wyłączyć.

- Bardzo możliwe, że mnie urodziłaś. Ale nigdy nie byłaś moją mamą. Nie chciałaś mnie przecież. Nigdy.

- Chciałam, ale...

- Ja swoje wiem! I tyle.

Elsie wciągnęła powietrze i spróbowała mu przerwać:

- Nie wiesz przecież, jak to było...

- Mam w dupie, jak było!

Głos mu się załamał i zrobił piskliwy, odwrócił się do niej plecami i znowu oparł się rękami o blat. Elsie lekko się skuliła, poskramiając impuls, żeby skulić się jeszcze bardziej, paść plackiem, z policzkiem na szarych, laminowanych płytkach podłogi, i trwać tak, aż unicestwi ją głód i pragnienie.

Na wszelki wypadek podniosła ręce i oparła głowę na dłoniach. Nie zrobi mu tego. Jeśli umrze, to z choroby lub w wypadku, on nie będzie miał z tym nic wspólnego. Przez moment przeleciał jej przed oczami pewien obraz: zobaczyła swoją własną głowę wynurzającą się z mrocznego morza zaledwie na chwilę, tak szybko, że nie zdążyła nawet otworzyć ust i zawołać o pomoc, zanim pochwycił ją ziaźb i ponownie wciągnął pod powierzchnię wody, w dół, w wielką ciszę, która tak bardzo przypominała obecną ciszę w kuchni. Po ciszy nadeszła ciemność...

Zamrugła oczami i się otrząsnęła. Głupoty. Fantazje. Ostatecznie wciągnęła powietrze i znowu podjęła próbę:

- Chciałam tylko...

357

Przerwał jej, ale nie odwrócił się przy tym ani nie spojrzął:

- Nie chcę tego słuchać. Nie rozumiesz? Naprawdę nie chcę słuchać twojego pieprzenia!

Powstrzymał ją jego głos. Był stary, zmęczony i zrezygnowany. Przez moment siedziała zupełnie bez ruchu wpatrując się w jego plecy w kolorze czerwonego wina. On też stał całkowicie nieporuszony, niemal nie oddychał. Taki stary, chociaż taki młody. Tylko dziewiętnaście lat. Niedługo dwadzieścia. Jest w tym samym wieku co ona, gdy zaczęła szkołę dla telegrafistek w Kalmarze, i równie wrażliwy, może nawet jeszcze wrażliwszy. Zdecydowanie odpędziła wściekłość, która nagle zaczęła wiercić ją w brzuchu, tego wężyka z ruchliwym językiem, który w milczeniu przypominał jej, ile ją wtedy Björn kosztował, węża szepczącego o wstydzie i strachu, o bólu i samotności. Uśmiechał się gadzim uśmieszkiem, porównując to wszystko do tego, co spotkało Björna. Do sławy. Sukcesu. Pieniądzy. Zaczepnęła powietrza i zmusiła się do polegania na zdrowym rozsądku. To przecież wszystko jedno. Nie chodzi o to, co świat zrobił z każdym z nich. Chodzi o to, co ona jemu wyrządziła.

- Przepraszam - powiedziała w końcu, ale jej głos zabrzmiał sucho. Jakby nie miała tego na myśli.

Nie odpowiedział. Może jej nie usłyszał. Nadal stał nieruchomy, odwrócony plecami. Ona też przez chwilę siedziała bez ruchu, a potem nagle wstała i przysunęła krzesło do stołu. To niemożliwe. Daremne. Bezsensowne. Björn nie ma zamiaru na nią patrzeć ani z nią rozmawiać. Elsie prześlizgnęła się cicho przez kuchnię, ale przy drzwiach przystanęła i rzuciła mu ostatnie spojrzenie. Nadal nieruchomy. Jego lśniący paż opadał do przodu zasłaniając twarz. Nie widziała go. Nie naprawdę-przeszła przez próg i bezgłośnie wyszła na korytarz.

358

Cholera!

Urwał kawałek ręcznika kuchennego i wydmuchał nos, a kiedy znowu wezbrał w nim szloch, pochylił się nad blatem. Kurna! Nie może sobie pozwolić na myślenie. Nie wolno myśleć!

Zamknął oczy i poszukał swojej wściekłości. Chwycił się jej. Rozdmuchał ją. Sprawił, że zaczęła puchnąć i kipieć. Pieprzona baba! Cholerna wiedźma! Pomogło. Przez sekundę stał bez ruchu, powstrzymując się od łez. Ukrył je. Zapomniał. Potem pochylił się do przodu i odkręcił kran, nabrał w dłonie zimnej wody i opryskał nią twarz. Przez sekundę stał bez ruchu, pozwalając, by woda kapła na jego szlafrok. Odsunął wszystkie myśli. Zauważył, że jakaś jego część jest całkowicie obojętna, a w innej mieści się tylko tęsknota. Jednak nie tęsknił za Caroline ani za Elsie, nie za sukcesem czy nawet pieniędzmi. Tęsknił za pustką. Za odpoczynkiem w miejscu, którego nie ma.

- Nie opłakiwałbym siebie - powiedział na głos. Słowa te sprawiły, że szybko się rozejrzał. Bzdura, Przecież nikt nie słyszał. Znowu był sam. Całkowicie bezpieczny i samotny. Chwycił ręcznik kuchenny, urwał kawałek i starannie wytarł nim twarz, potem wyrzucił go do szafki pod blatem i odwrócił się, rozejrzał po kuchni.

O tak. Teraz znów jest sobą. Bjórnem Hallgrenem. Gwiazdą.

359

- Niemożliwe! Czy to naprawdę Elsie Hallgren?

Na chodniku przed budką telefoniczną spacerowała pliszka, poruszała ogonkiem. Elsie przycisnęła słuchawkę mocniej do ucha i niepewnie wyprostowała plecy.

- Tak. To naprawdę ja...

Kobieta z przedsiębiorstwa żeglugi wybuchła śmiechem.

- Czasami można naprawdę mieć wrażenie, że Bóg istnieje.

- Słucham?

- Och, przepraszam. Nie miałam na myśli... Chodzi tylko o to, że właśnie o pani rozmawialiśmy.

-Tak?

- Tak, próbowaliśmy znaleźć numer pani telefonu.

- Nie mam jeszcze telefonu.

- Nic nie szkodzi. Zadzwoiła pani. Dokładnie wtedy, kiedy my mieliśmy dzwonić do pani. Chodzi o to, telegrafistka na „Anastazji” zachorowała. Schodzi na ląd już dziś wieczorem. W Malmö. Zastąpi ją pani?

- Słucham? Nie wiem...

Kobieta nie słuchała.

- Proszę chwilę poczekać. Zaraz podejdzie Ame.

Na chwilę zapadła cisza. Elsie zamknęła oczy. Czy Bóg istnieje? Może. Bowiem teraz będzie mogła zniknąć. Już dzisiaj się to jej uda.

- Elsie!

Usłyszała w jego głosie uśmiech. I dobrze znany goteborski dialekt.

360

- Ame - odpowiedziała, patrząc, jak pliszka przystaje i przez sekundę stoi bez ruchu, a potem rozpościera skrzydła i odlatuje.

- Czy to prawda, że potrzebujesz telegrafistki?

361

- Tam są!

Głos Ewy zmienił się. Szybko przeszedł od zwyczajowego entuzjazmu do czegoś, co przypominało niepokój. Susanne rzuciła jej szybkie spojrzenie. Co się z nią dzieje. Jednak oczywiście niczego nie skomentowała, przybrała tylko niespecjalnie wyczekującą minę i podążyła za wzrokiem Ewy. Björn oczywiście też nic nie powiedział, siedział z zamkniętymi oczami, udając, że śpi, ale nie spał, Susanne wiedziała o tym. Dało się to poznać po jego oddechu. Puff, puff, puff. Dużo za szybko. Jakby był wściekły, jakby uważał, że wystarczy, iż otworzy oczy, a zabije kogoś wzrokiem. Gdyby wiedziała, że będzie taki nabzdyczony, nigdy nie pojechałaby z nim w trasę.

Nigdy w życiu.

Już wtedy gdy czerwony autobus zespołu podjechał pod jej szkołę w Landskronie, Björn był opryskliwy i niemily. Nie chciał wyjść i rozdawać autografów dziewczynom, które na niego czekały. Wszystkie były jej koleżankami, ale Björn oczywiście miał to gdzieś! Gapił się tylko przez okno, a potem zaciągnął zasłony, żeby go nie było widać. Nawet nie przywitał Ewy. A kiedy ona podeszła

do niego, nie wstał, nie przytulił jej ani nie pocałował. Kiedy spytała, gdzie pojedą, odpowiadał monosylabami. Najpierw na lotnisko Ängelholm. tam ląduje reszta zespołu. Tak, trzeba się spieszyć. Cholernie spieszyć, więc gdyby mogły już usiąść, to...

Nawet Hasse, ich roadie, który prowadził auto zauważył, jaki nadęty jest Björn, i próbował rozładować atmosferę, opowiadając kilka dość idiotycznych dowcipasów.

362

Dzięki temu Eva miała szansę usadowić na przodzie i podjąć próbę oczarowania go śmiechem- Oczywiście

poszło jej znakomicie, siedziała teraz w pierwszym rzędzie i wyglądała przez okno swoimi krótkowzrocznymi oczami. Właśnie szli, rzeczywiście. Roześmiani i pokrzykujący Bosse, Peo i Niclas

- zbliżali się całą paczką. Kilka kroków za nimi szedł Tommy. Nie śmiał się ani nie pokrzykiwał, w gruncie rzeczy wyglądał na równie skwaszonego jak Björn, ale tylko przez moment, bo nagle odwrócił się w prawo i uśmiechnął, a potem wyciągnął rękę i poklepał po plecach chłopaka obok. To był niewysoki chłopak, dość chudy, ale bardzo modnie ubrany. Koszula z kryzą. Czarna, marynarska kurtka. Spodnie w czerwonej kratkę, na dole tak szerokie, że przy każdym kroku powiewały na boki, ukazując czarne buty z kwadratowymi czubami. Susanne czytała o takich spodniach w „Magazynie Ilustrowanym”, ale nie pamiętała, jak się nazywają. W Szwecji nie dało się ich kupić. Tylko w Londynie.

Hasse nacisnął przycisk i drzwi otworzyły się, a potem wstał i wyskoczył na dwór. Najwyraźniej i on znał tego chłopaka, bo rozłożył ramiona, jakby chciał go przytulić, ale potem opuścił lewą rękę i zrobił coś pośredniego pomiędzy uściskiem, a poklepaniem go w plecy prawą ręką. Kiedy nowy chłopak pochylił się ku Hassemu, włosy opadły mu na policzki. W kolorze popielaty blond, tak niewyraźnym,

że trudno mówić o kolorze. W ogóle nie był zbyt przystojny, ale coś, może ubranie lub fryzura, sprawiało, że jednak był. Lub przynajmniej na czasie... A to było ważne. Dla chłopaka nie ma nic ważniejszego niż być na czasie.

Tommy coś powiedział i Hasse zripostował, rzucając szybkie spojrzenie w stronę autobusu. Mówi teraz o Evie i o mnie, pomyślała Susanne. Tommy nie jest zadowolony, że my też jedziemy.

363

Chłopak o popielatych włosach coś powiedział i przez chwilę Tommy sprawiał wrażenie zaskoczonego, ale potem roześmiał się. Wyglądało na to że niebezpieczeństwo minęło. Tommy nadal się uśmiechał, kiedy długimi krokami szedł do autobusu, a potem zatrzymał się i zrobił krok do tyłu. Ponownie powiedział coś do nieznanego chłopaka, usłyszał odpowiedź i roześmiał się jeszcze bardziej niż poprzednio. Peo, Bossę i Niclas też się roześmiali. Hasse pochylił się szybko do przodu i znowu poklepał nowego chłopaka po plecach. Prawdziwy z niego dowcipniś. Susanne zamknęła oczy i usiłowała myśleć to, co powinna. Miły chłopak. Rozbawia innych. Może mógłby też ożywić Bjórna. Rzuciła mu szybkie spojrzenie. Nadal miał zamknięte oczy, ale uważnie słuchał - to było widać. Niemal przestał oddychać.

Eva oderwała się od okna i siedziała teraz z założonymi nogami, złożonymi na kolanach rękami i wzrokiem utkwionym przed sobą. Susanne nie widziała jej twarzy, ale była pewna, że Eva się uśmiecha. Może wręcz rozświetliły jej się oczy, zapaliła to małe światełko, które potrafiła wyłączyć lub włączyć, dokładnie kiedy chciała. Zimą, w którąś sobotę, pokazała jej, jak to robi. Stały wtedy obok siebie w małej komórce na tyłach perfumerii i przeglądały się w lustrze.

- Patrz teraz - powiedziała Eva i Susanne popatrzyła. Zobaczyła, jak Eva, nie robiąc przy tym żadnej miny, nagle wydawała się totalnie szczęśliwa, pełna życia i skłonna do śmiechu. Susanne nie mogła się do niej nie uśmiechnąć, ale jej uśmiech zgasł równie szybko, jak się zapalił, bo zaraz, ledwie sekundę później Eva wyglądała dokładnie tak jak wtedy, gdy do sklepu weszło zbyt dużo nastolatek. Ciemnooka, niechętna i zła. Po sekundzie światełko w jej oczach ponownie się zapaliło i znowu była pełna życia i

chętna do zabawy.

364

-Jak ty to robisz? - spytała Susanne.

Eva przesunęła ręką po włosach, miała nową fryzurę, długiego, gładkiego pazia z niewielkim, niemal niewidocznym tapirem, często przesuwała ręką po włosach. Uśmiechnęła się.

-Tak naprawdę to nie wiem. To tak jakbym przyciskała jakiś guzik. Samo przychodzi.

-Ale...

Eva wzruszyła ramionami.

-Mam po prostu do tego talent. Nie wiem, jak to się dzieje. Po prostu to robię.

-Jakbyś zapalała świeczkę - powiedziała Susanne. -A potem ją gasiła.

Eva roześmiała się i potrząsnęła włosami. Wyglądało na to, że sprawia jej przyjemność, gdy miękko dotykają jej policzków i szyi, że są tak inne od mocno wylakierowanych fryzur, które nosiła przez te wszystkie lata. Chyba że to słowa Susanne sprawiły jej przyjemność. Mogło tak być, bo potem kilkakrotnie do nich powracała. Ostatnio, kiedy dziś stały przed szkołą, Eva uśmiechnęła się do Susanne i powiedziała:

- No. Świeczka zapalona?

Susanne właśnie pochylała się, żeby naciągnąć swoje białe kozaki, ale zachnęła się i została w zgiętej pozycji, zerkając w górę, na Evę. Nie widziała żadnego światełka, ale tego oczywiście powiedzieć nie mogła. Uśmiechnęła się spuszczać wzrok na kozaki.

- Pewnie - powiedziała.

Eva szybko zatupała nogami i ustawiła stopy pod kątem. Zatem odpowiedź była dobra. Susanne naciągnęła drugi kozak i wyprostowała plecy. Z tyłu za nią stały dziewczyny, grupka nastolatek w jej wieku i kilka młodszych. Podobało jej się, że tu stoją. Dodawały jej siły. Czowała się niemal równa Evie. Bo ile dziewczyn w jej wieku. może jechać w trasę koncertową z zespołem takim jak Typhoons?

365

Prawie nie ma takich dziewczyn. Przynajmniej nie w Landskronie.

Pomimo to czuła lekkie łaskotanie niepokoju. Bo przecież może być tak, że Björn znowu zapomni, że ma je zabrać. No przecież może się to zdarzyć? Wtedy będzie musiała stać tutaj, czując rozczarowanie tych dziewczyn. I tylko na nią spadnie odpowiedzialność, z nikim nie będzie mogła jej podzielić. Bo Eva odpowiedzialności na siebie nie weźmie, o tym Susanne wie. Eva nigdy nie bierze na siebie winy. Wszystko, co dobre, jest jej zasługą, ale to, co złe, jest winą innych, tego Susanne już się nauczyła.

Mówiąc szczerze, Eva nie jest zbyt dobrą koleżanką. Z drugiej strony raczej nie są koleżankami. Są przecież szwagierkami. Przynajmniej Eva ma zwyczaj tak się do niej zwracać:

- Cześć, szwagiereczko...

Susanne skrzywiła się. Tak, Eva brzmi idiotycznie, kiedy tak mówi, ale tak nie wolno myśleć! Susanne zmusiła się do powrotu do rzeczywistości. Björn nie zapomniał o zabraniu ich. Teraz Susanne jest tutaj. W autobusie koncertowym Typhoons, ze skwaszonym Björnem w rzędzie po lewej stronie i bardzo usztywnioną Evą na samym przodzie. A na zewnątrz stoi reszta grupy, rozmawiają i śmieją się. Nagle poczuła ukłucie tęsknoty za domem, przez moment miała przed oczami swój pokój, zapadał w nim zmrok, a ona siedziała przy biurku i notowała coś w dzienniku. Zamknęła oczy, odpędzając ten widok, a potem pochyliła się do przodu i położyła obie ręce na oparciu fotela przed sobą. Zobaczyła to, czego wcześniej nie widziała. Eva przeglądała się w lusterku. Nad przednią szybą autobusu umocowane było małe lusterko i w nim Susanne zobaczyła twarz Ewy, jej gładki biały owal i parę bardzo czarno umalowanych oczu. Eva zapaliła światełko i było ono nadal zapalone, kiedy odwróciła głowę w stronę drzwi autobusowych.

366

Właśnie wchodzili Peo, Bosse i Niclas. Na zewnątrz czekali Tommy, Hasse i ten modny chłopak.

On też miał się z nimi zabrać.

Jaki dźwięk ma jubel?

To jedno ze słów, z którymi Susanne walczyła, pisząc swój dziennik, jedno z tych, co do których usiłowała pozbyć się swoich dziecinnych wyobrażeń. Teraz już wie. Jubel nie jest głupim podśpiewywaniem falsetem, tylko tym wszystkim, co tutaj się dzieje. To dźwięk perlistego śmiechu Ewy, który miesza się z niskim śmiechem Hassego, to żarliwy głos Niclasa i nieco mniej intensywny głos Bossego, ręce Pea, które fruują w perkusyjnym solo na oparciu fotela przed nim, i bulgotliwe odgłosy Tommy'ego, pomiędzy śmiechem, a słowami. A to wszystko z powodu Robbana. Wywoływacza radości. Polepszacza humoru. Chłopaka, który wszedł do autobusu i sprawił, że wszyscy - rzecz jasna oprócz Björna - zaczęli się uśmiechać.

Po wejściu do autobusu Robban natychmiast podszedł do Björna, stanął przed nim i kilka razy sztucznie kaszlnął, tak sztucznie, że inni nie mogli powstrzymać się od śmiechu. W ten sposób zmusił Björna, żeby otworzył oczy. Robban natychmiast ironicznie mu się pokłonił i powiedział:

~ Należą się podziękowania.

Björn zamrugał oczami.

- Za co?

- Za to, że zabrałaś moje miejsce w zespole. Dziękuję. Björn miał rozbiegane oczy: A więc to ty...

Jestem Robban. Moi rodzice też są dozgonnie wdzięczni. Za miesiąc robię maturę, a pozostali nie...

Björn wyprostował się, ale nie wiedział, gdzie podziąć oczy. Robban uśmiechnął się i ciągnął:

367

-Gdybyś się nie pojawił i nie zajął mojego miejsca w zespole, byłbym nadal...

Uśmiechnął się, ale nie skończył zdania. Za nim stał Tommy i uśmiechał się równie szeroko.

-Pomyśleliśmy, że Robban może pojeździć z nami parę dni. Podobnie jak twoja siostra i dziewczyna.

Björn wzruszył ramionami.

-To nie jest moja siostra. I to nie...

Tommy roześmiał się.

-Nie twoja siostra i nie twoja dziewczyna. A niech to. Słyszeliście, chłopaki? To nie jest jego siostra ani jego dziewczyna!

-Nie powiedziałem, że...

Björn uniósł się do połowy, ale natychmiast znowu usiadł. Może natrafił na wzrok Evy, która odwróciła się i wpatrywała w niego bez odrobiny światła w spojrzeniu, bladej Evy o wąskich, czarnych oczach, Evy, która wszystko widziała, słyszała i zapamiętywała.

-Ech - powiedział Robban. - Wszystko jedno. Teraz mamy imprezę!

I sekundę potem rzeczywiście była impreza. Robban podszedł do Evy i pocałował ją w rękę, a ona roześmiała się, zapaliła światełko w spojrzeniu i dała mu przyzwolenie. Robban usiadł obok niej w tej samej chwili, w której Hasse zapalił silnik, i autobus zaczął się toczyć po szosie. Tommy usiadł na siedzeniu za Evą i włączył swój przenośny magnetofon. Eva natychmiast obróciła się bokiem i rzucała spojrzenia to na jednego, to na drugiego najpierw na Robbana, potem na Tommy'ego i znów na Robbana. Głos Micka Jaggera huczał I cant get no... Niclas i Bossę usadzili się po drugiej stronie przejścia i też śpiewali, a Peo klapnął na siedzenie obok Susanne i uśmiechał się do niej tak ciepło i intensywnie, że aż rozluźniła mięśnie i sama też nie mogła powstrzymać się od uśmiechu.

368

Zapomniała o Björnie i nie przypomniała sobie o nim do czasu, kiedy przejechali już jakieś dziesięć kilometrów i wśród śmiechów odwróciła się, żeby zobaczyć, że Björn siedzi dokładnie tak jak wcześniej: z zamkniętymi oczami i rękami założonymi na piersiach. Nie brał udziału w imprezie.

Ale ona tak. Susanne zdecydowanie bawiła się na imprezie Typhoons. I była tam razem z Peem.

369

Zbiórka!

Głos Robbana przeciął powietrze. Były chichoty śmiech i szum, ale Björn nie zamierzał otwierać oczu i sprawdzać, co się dzieje, chciał siedzieć z zamkniętymi oczami i czekać, aż wszyscy znikną z autobusu.

-Oddział! Naprzód! Marsz!

Eva śmiała się najgłośniejszym głosem ze wszystkich. Była oczywiście najweselsza. I najbardziej postrzelona.

-O Boże, ratunku!

Nie mógł nic na to poradzić. Oczy same się otworzyły. Zobaczył, jak Eva traci równowagę i zatacza się, jak upada na stojącego tuż za nią Tommy'ego, widział, jak rzuca mu totalnie zimne spojrzenie, które wyraźnie daje do zrozumienia, że uważa, iż ją zawiódł i dlatego ona ma prawo uwodzić kogo chce, a zwłaszcza i przede wszystkim jego najgorszego wroga. Tommy zdawał się nie mieć nic przeciwko temu, wręcz przeciwnie, odsunął rękę Ewy tylko po to, by objąć ją ramionami i mocno do siebie przycisnąć. Jej plecy przy jego brzuchu. Jej pupa przy jego penisie. Sekundę potem Tommy kotłosał biodrami i ocierał się mocno o jej pupę. Pozostając w tej samej pozycji, odwrócił się, żeby przelotnie zerknąć na Björna, a potem uśmiechnął się do Pea i Susanne, którzy stali tuż za nim.

-Wszystko w porządku?

Susanne kiwnęła głową, ale nie uśmiechnęła się. Peo położył rękę na jej ramieniu, ale zaraz znowu

ją zdjął.

- Cicho, bractwo - zawołał Robban tuż przy drzwiach.

370

Eva zachichotała.

- Do taktu, panowie! - wrzasnął Robban. - Do taktu!

Björn znowu zamknął oczy.

Drzwi są na pewno otwarte. A na zewnątrz musi być jakiś przydrożny bar i stacja benzynowa. Albo stacja benzynowa z budką z kiełbaskami. Ciężki zapach frytek miesza się z oparami benzyny. Zawsze lubił ten zapach, uważał, że pachnie trochę jak jego marzenie o życiu, jeśli już nie jest to życie, które właśnie teraz wie. Mimo to nie czuł się ani odrobinę głodny. Nie chciał jeść. Nie chciał pić. Nie chciał nawet otworzyć oczu.

Tylko że musi. Pomimo wszystko. Żeby nie połknęły go ciemności.

Rozejrzał się. Wszystko było jak zawsze. Cholerny burdel. Przepelnione popielniczki. Skórzana kurtka na podłodze. Półotwarta torba na stoliku w tyle autobusu, na tym samym stoliku, którego zamontowania domagał się Karl-Erik i przy którym nikt nigdy nie siedział. Na czerwonych siedzeniach walały się gazety i butelki po coca-coli, bluzy i puste opakowania po chipsach. I jeszcze przenośny magnetofon Tommy'ego, rzecz jasna. Na półce z bagażami - zniszczona papierowa torba, a w niej plakaty z autografami. Wcześniej torba spadła i plakaty się trochę pogniosły, prawie wszystkie były też postrzępione na rogach. Z tyłu za nimi leżała pusta butelka po whisky.

Björn siedział przez chwilę bez ruchu, a potem powoli podniósł się i wyprostował. Na zewnątrz, na opustoszałym parkingu, cały zespół chodził korowodem, robiąc artystyczne zawijasy. Robban prowadził, wyrzucał nogi jak niemiecki żołnierz i coś pokrzykiwał. Za nim reszta, ciasno, jeden za drugim, w idealnym rytmie. Lewa noga, prawa noga, lewa noga... Jak w filmie Richarda Lestera. Brakowało tylko publiczności. Jakaś kobieta wychodząca z baru uśmiechnęła się do nich niepewnie,

a potem szybko poszła dalej.

371

Młody mężczyzna w roboczym stroju wyjrzał z czegoś, co musiało być warsztatem. Pogapił się bez uśmiechu, a potem wytarł czoło ręką. Mężczyzna w średnim wieku, który tankował samochód, demonstracyjnie się odwrócił, tak że teraz stał do nich plecami,

I wtedy, w chwili, w której Robban na dworze ponownie coś wrzasnął, stało się. Świat się rozpadł. Stał się podwójny. Björn widział, jak Robban i cała reszta maszerują w stronę szklanych drzwi przydrożnego baru, ale jednocześnie widział też coś zupełnie innego. Swoje życie. W jednej chwili ujrzał przed oczami, jak cała jego egzystencja rozkłada się przed nim jak wachlarz, każdy dzień, każdy tydzień, każdy rok w życiu, które go czeka. W sekundę wszystko się skończyło, a jeszcze chwilę później nie pamiętał już, co zobaczył. Ciemne i jasne dni. Sukcesy i porażki. Początek i koniec. To wszystko.

Ponownie zanurzył się w fotelu i zamknął oczy. Przez moment próbował wyobrazić sobie, jak komuś o tym opowiada, księdzu, nauczycielowi lub koledze, gdyby było tak, że znałby jakiegoś księdza, miał nauczyciela czy innego człowieka, którego mógłby nazwać swoim kolegą. Jednak w następnej sekundzie wiedział już, że to coś, czego nigdy, przenigdy nie będzie umiał opowiedzieć.

Wszyscy umrą, pomyślał.

Głos w jego głowie natychmiast odpowiedział.

Ty umrzesz.

Wszyscy umrą. Elsie i Inez, Eva i Tommy, Karl-Erik i Robban...

Ty też.

Tak. Przyjdzie ten ostatni dzień. To nieuniknione. Więc po co się tak męczyć życiem?

Tak. Wyjaśnij mi to. Dlaczego żyjesz?

Żyję, bo żyję.

Nie. Żyjesz, ponieważ Elsie popełniła błąd. Jesteś pomyłką.

372

To nieprawda.

Jesteś pomyłką. Pomyśl o tym.

Nie chcę.

Ach tak. Nie chcesz.

Żyję, ponieważ żyję. I tyle.

Głupi. Taki jesteś. Durny. Naiwny. Głupszy nawet od Robbana.

Tak. Ale przynajmniej mam mieszkanie. No jasne. Wspaniale. Z czerwonymi tapetami i żółtą podłogą.

Myślałem, że tak będzie ładnie. !

I wyszło ładnie?

Nie. Ja wiem, ale..

Czy istnieje jakieś usprawiedliwienie złego gustu?

Nie, ale...

Zły gust jest demaskujący. Mówi coś o tym, kim się jest. Kim jesteś?

Nie wiem.

O tak. Wiesz.

Jestem chłopakiem, który ma zły gust.

Więcej. Jesteś wulgarny. I niedługo będziesz wulgarną byłą gwiazdą.

Nie musi tak być...

Zamierzasz skończyć z byciem wulgarnym? Nie możesz.

Nie muszę stać się byłą gwiazdą.

Aha. A jak tego unikniesz?

Nadal piszą o mnie w każdym numerze „Magazynu Wirowanego”.

W następnym nie.

Skąd o tym wiesz?

Wiem. Wtedy staniesz się samotny. Wszyscy się od ciebie odwrócą. Dokładnie jak Eva.

Mogę to naprawić! Z Evą.

Aha. A jak?

373

Mogę...

Tak? Opowiedz!

Kupię jej prezent.

O! Imponujące. Dobre rozwiązanie dla wulgarnego chłopaka.

Ona też jest dość wulgarna. I lubi prezenty.

No, a dlaczego chcesz być z wulgarną dziewczyną?

Żeby zatkać ci gębę!

Ale mnie nie możesz zatkać gęby. Jestem przecież w tobie. Zawsze.

-Björn!

Lekkie dotknięcie w ramię. Niemal jak pieszczota. To mogłaby być Eva, gdyby głos nie należał do Susanne. Zmusił się, żeby otworzyć oczy. To jest Susanne, mocno umalowana Susanne. Ktoś powinien jej powiedzieć, że ta jasnorożowa szminka sprawia, że jej zęby robią się żółte. Björn otworzył usta, ale natychmiast znów je zamknął. On tego nie powie.

- Zjesz coś? Potrząsnął głową.

- Wszyscy teraz jedzą. Hasse mówi, że po tym barze nie będzie już żadnych przydroży.

-Nie. Nie chcę.

-W Nässjö nie będziesz mógł wyjść na jedzenie. Zaraz cię dopadną.

- Nie chcę.

- Ale tu nie ma dziewczyn. Tylko dwie, które gotują. Tłuszciochy. One nic ci nie zrobią. Jestem pewna.

Zamknął oczy. Głos w jego głowie niósł się echem-Wulgarny!

-Nie jestem.

Powiedział to na głos. Odpowiedział. To nie miało sensu. W głosie Susanne słysząc było teraz zdumienie.

-Co?

374

Znów otworzył oczy.

-Nic

- Co masz na myśli?

-Nic

- Kurde, ależ jesteś niemity!

Susanne przekłęta. Po raz pierwszy w życiu usłyszał przeklinającą Susanne. Otworzył usta, żeby to skomentować ale nie zdążył.

- Zachowujesz się tak beznadziejnie, że aż wstyd. Wszyscy inni są bardzo mili, a ty siedzisz tu tylko i jesteś obrażony. Co się z tobą dzieje? Co?

Nie czekała na odpowiedź, odwróciła się tylko i wybiegła z autobusu. Björn siedział przez jakiś czas bez ruchu, a potem wstał i przeciągnął dłonią po grzywce.

W takim razie pójdzie zjeść.

375

Inez zrobiła krok do tyłu i przyjrzała się ścianie naprzeciwko. Była biała, zdecydowanie biała, choć kwiatki prześwitywały. Wijące się, białe kwiaty na białym tle.. Ładnie.

-I jak? Jak idzie?

Głos sprawił, że zadrżała. Przez setną część sekundy, zanim zrozumiała, że to Birger, jej ciało zdążyło wpaść w kompletną panikę. Strach rozprzestrzenił się we wszystkich kierunkach, aż zjeżyły się włoski na ramionach.

-O Boże! Ale mnie przestraszyłeś!

Birger nadal stał w progu, spuścił wzrok. Miał krawat, ale go rozluźnił i rozpiął najwyższy guziczek koszuli. Sobotni strój cywilny.

-Przepraszam. Nie chciałem. Chciałem tylko sprawdzić, jak ci idzie.

Inez wyprostowała się i przesunęła wzrokiem po ścianie.

- Dobrze. Świetnie mi idzie. Birger podążył za nią wzrokiem.

- Ale kwiatki prześwitują.

- Tak, nie szkodzi.

Na chwilę zapadła cisza, a potem Inez pochyliła się i zanurzyła wałek w korytku z farbą. Raczej usłyszała niż zobaczyła, jak Birger robi krok do środka.

-Pomóc ci?

Farba z wałka skapywała na gazety na ziemi. Inez zrobiła krok do przodu i przycisnęła wałek do ściany obok drzwi.

376

- Mam tylko jeden wałek. Brzmiało to nieprzychylnie. I dobrze. Chciała go odprawić. Birger ma swój własny gabinet.

-Aha.

Słysząc było, że jest dotknięty, i przez chwilę aż zapiekło ją z poczucia winy i współczucia, potem pozwoliła wałkowi ślizgać się po ścianie. Na pewno szuka sposobu, by ją powstrzymać. Zastopować. Znowu zmusić do zejścia na dół, do kuchni. Dlatego nie ma powodu, by mu współczuć. Spróbowała jednak załagodzić:

- Widzisz, jak jasno się tu zrobiło?

Wcisnął ręce do kieszeni spodni i kiwnął głową, ale nie odpowiedział. Inez zerknęła szybko na jego stopy.

- Uważaj, żebyś nie nadepnął na farbę.

Zrobił krok w tył i znowu wylądował na progu. Dobrze. Tam może sobie postać. Inez jeszcze raz zanurzyła wałek, chwilę rozkoszowała się charakterystycznym zapachem farby, który nie był ładny,

ale w jakiś dziwny sposób jednak przyjemny, i znowu wyciągnęła rękę w kierunku ściany. Nowe pociągnięcie bieli. Jasność. Powietrze. Wyzwolenie. Musiała się powstrzymać, żeby się głośno nie roześmiać. Malowanie jest wesołe. Weselsze od czegokolwiek innego, co robiła przez ostatnie lata

- A co ty masz za ubranie? - spytał Birger.

Po jego tonie słyhać było, że dokładnie wie, jakie ma ubranie. Na włosach stary szalik, starannie zawiązany na karku. Któraś ze starych koszul Birgera z podwiniętymi rękawami. Wyrośnięte, stare spodnie Bjórna z niebieskiego sztruku. A na stopach para chodaków. Wszystko już zabrudzone i poplamione białą farbą. Pomimo to naprawdę czuła się ładna. Kiedy założyła ubranie do malowania, przejrzała się w lustrze na dole w przedpokoju i poczuła się dziesięć lat młodsza. Gdyby mieszkała w Malmö czy w Kopenhadze, mogłaby tak wyjść

377

Wyglądała nowocześnie. Na czasie, jak by to ujęła Susanne. Udawała jednak, że o tym nie wie.

- Trochę tylko zniszczone.

- Koszula jest chyba moja?

Inez rzuciła nonszalanckie spojrzenie na koszulę pochylając się nad korytkiem z farbą i mocząc w nim wałek.

- Była twoja. Wyrzucisz ją, bo postrzepił się kołnierzyk.

Niemal słyszała, jak mu trzeszczy i trzaska w głowie jak przebiera wśród najbardziej wyszukanych powodów, dla których nie powinna była wziąć właśnie tej spośród wszystkich znoszonych koszul, które leżą na dole w piwnicy, ale nic nie powiedział. Rozumiał chyba dobrze, że Inez schwyta i zniszczy każdy argument, na który on wpadnie. I miał rację.

- Hm - powiedział tylko i zakołysał się w progu. Na długą chwilę zapadła cisza, tak długą, że Inez zdążyła pomalować wałkiem dwa długie pasy od podłogi do sufitu. Potem Birger odchrząknął.

- Co będzie na kolację?

Inez zatrzymała się w pół drogi, stała teraz całkowicie bez ruchu, wpatrując się w wilgotną, białą powierzchnię i czując, jak zaczyna się w niej gotować złość. Co będzie na kolację? Jest dopiero druga po południu, niecałe dwie godziny temu dostał lunch. Przecież przyjechała rowerem ze szkoły z prędkością wiatru, żeby w domu podać temu mężczyźnie mięso z kartoflami i jajkiem sadzonym, wraz z wyhodowanymi i zamarynowanymi przez nią samą buraczkami!

-No, to zależy. Co chcesz ugotować?

Ta odpowiedź sama się z niej wydostała, nawet nie zdążyła pomyśleć. Sekundę potem krzyczała w środku z radości - Tak! Tak! Tak! - ale oczywiście pilnowała się żeby zachować obojętny wyraz twarzy i nie patrzeć na niego.

378

- Ja?

Wydawał się naprawdę zdumiony. Jakby nigdy nie wpadło mu do głowy, że zostanie poproszony o ugotowanie jedzenia. Inez przykucnęła i zrobiła dodatkowe maźnięcie wałkiem na samym dole.

-Tak.

-Mam zrobić obiad?

-Tak, dlaczego nie? Ja przecież maluję. A w domu jesteśmy tylko ty i ja.

-Ale ja przecież nie umiem gotować...

-To możesz najpierw trochę poczytać. Na półce w korytarzu stoi kilka książek kucharskich.

Odwróciła się do niego z uśmiechem, ale celowo trzymała przed sobą wałek. Stanowił groźbę. Gdyby Birger się zbliżył, wysunęłaby go do przodu i przytrzymała tuż przy jego twarzy, więc jeśli Birger nie chce być całkiem biały na gębie, to...

Zrozumiał, co ma na myśli, widziała to po jego minie. Po sekundzie wściekł się, to też widziała wyraźnie. Jednak jednocześnie wiedziała, że Birger nie może już nic zrobić. Ewentualnie mógłby się rozchorować. Gotowa była założyć się, że to zrobi, że w ciągu godziny dostanie gorączki, bólu gardła, albo dolegliwości żołądkowych. Jednak Inez i tym nie zamierzała się przejmować. Sam może zająć się swoją cholerną gorączką, gardłem, albo żołądkiem. Tak jak robi to ona, kiedy choruje.

- Zwariowałaś - wymamrotał Birger, odwrócił się plecami i ruszył w stronę schodów.

Wyobraź sobie, że jestem mądra, pomyślała Inez. Mądra. Mądrzejsza. Najmądrzejsza. Ale nie powiedziała tego. W zamian za to wychyliła się do przodu i wrzasnęła za nim:

379

- Kupiłam nowe biurko. Piękne. To antyk. Odbieram je w przyszłym tygodniu.

Podniosła głos jeszcze trochę, ale słysząc w nim uśmiech:

-Słyszałeś, Birger? Naprawdę kupiłam moje nowe biurko w sklepie z antykami!

380

Jubel się skończył. W autobusie zrobiło się cicho. Słysząc było tylko dźwięk silnika. Tommy i Eva rozmawiali, ale ich głosy były tak przyciszone, że nie było słysząc, co mówią. Inni spali albo przynajmniej siedzieli z zamkniętymi oczami i drzemali jak Susanne. Było jej dobrze. Tak miło, że nie chciała otwierać oczu i się rozglądać.

Peo spał. Była tego niemal pewna. Oddychał, jakby spał, i czasami, na zakrętach, czuła, jak jego ciało podąża za przechyleniami autobusu i dość ciężko się na niej opiera. Podobało jej się to. Sprawiało przyjemność, że ma tak blisko siebie ciepłego, odpoczywającego człowieka, że ma jego postać w zasięgu ręki. W ciągu ostatnich miesięcy została cztery razy pocałowana przez czterech różnych chłopaków, ale

żaden z nich nie był miękki i ciepły. Wręcz przeciwnie. Byli twardzi i kanciaci, z długimi paluchami, które ją trzymały i wszędzie się wpychały. Palce Peo nie były długie, były szerokie i krępe. Miał duże dłonie, ale bardzo delikatnie się z nimi obchodził. Poczwała to, kiedy przelotnie dotknął jej kolana i natychmiast, niemal w tej samej sekundzie, odsunął rękę i uśmiechnął się niepewnie.

Otworzyła do połowy oczy, wystarczająco, by przyrzeć się jego dłoni, która spoczywała, na wpół otwarta, na jego czarnych dżinsach. Jak małe gniazdko ptaka. Przez moment widziała siebie samą leżącą w tym gniazdku, skurczoną w pozycji płodowej, z rękami złożonymi pod policzkiem, ale potem sama się przed sobą zawstydziała i otworzyła oczy. Podciągnęła się, żeby lepiej siedzieć, i rozejrzała dookoła. Tak, Peo spał. Dokładnie jak Bossę i Niclas.

381

Ale kilka rzędów dalej, z przodu, Eva i Tommy siedzieli z głowami tak blisko siebie, że zdawało się, że zaraz zderzą się czołami. Eva mówiła. Niemal nie było tego słychać, ale można było zobaczyć.

Jej głowa poruszała się w górę i w dół, otwierała szeroko oczy, a tera podniosła do góry rękę, jakby chciała ukryć śmiech. Najwyraźniej zauważyła jednak, że ręka znajduje się między ustami Tommy'ego i jej własnymi, więc ją znów opuściła. Przymknęła powieki. Tommy uśmiechnął się i pochylił odrobinę do przodu, był tak blisko, że ich grzywki naprawdę się dotykały. Susanne odwróciła od nich wzrok, obróciła się i z ukosa zerknęła przez ramię na Bjórna. Nie spał. Siedział z otwartymi oczami i wpatrywał się przed siebie. Nie widząc. Wyraźnie obojętny na to, co się dzieje między Evą i Tommy'm i równie pozbawiony zainteresowania nią i Peem. Przez chwilę czy dwie nie spuszczała z niego oczu, chciała zmusić go, żeby na nią spojrział, uznał jej istnienie, przyznał, że jest faktem w jego życiu, faktem, którego naprawdę nie można przeoczyć, ale w niczym to nie pomogło. Siedział bez ruchu i wpatrywał się przed siebie, nie widząc ani nie słysząc.

Co się z nim dzieje? Jest chory?

Nie. Nie jest chory. Nie wygląda przecież na chorego. A kiedy na niego nawrzeszczała, w końcu przyszedł i zjadł. Susanne westchnęła i odwróciła od niego wzrok, a potem zaczęła wyglądać przez okno. Przejeżdżali właśnie przez małą miejscowość. Czerwone i białe domy. Sklep spożywczy. Stacja benzynowa. I koniec. Kilka czerwonawobrazowych krów pało się na łące, za nimi stały jakieś brzozy z nagimi gałęziami, potem znowu był las niemal czarny, sosnowy las, który wydaje się pokrywać całą Smalandię. Niedługo będą na miejscu.

Obok niej odchrząknął Peo. Otworzył oczy i się uśmiechnął. Susanne odpowiedziała uśmiechem.

Peo miał poczochrane włosy, te czarne, kręcone włosy, które wydawały się niemożliwe do wyprostowania.

382

Dokładnie jak jej własne. Dziś rano walczyła niemal pół godziny, żeby pozbyć się kędziorów.

- Dzień dobry.

Peo przeciągnął się, rozcapierzył krępe palce u rąk, zerknął na nie i zacisnął w pięści.

- Też spałaś?

Susanne potrząsnęła głową.

- Nie. Odpoczywałam tylko. Peo zerknął na zegarek.

- Zaraz dojedziemy. Susanne znowu kiwnęła głową.

- Tak. Już zaraz będziemy na miejscu.

Miasto wydawało się niemal opuszczone. Puste. Kilka samochodów, kilkoro dzieciaków grających w piłkę na żwirowym boisku i jakieś pojedyncze pary na spacerze, tyle tylko zobaczyli, jadąc do hotelu. Rynek Główny był opustoszały, ale Susanne i tak poczuła mrowienie zachwytu, kiedy wyszła i rozejrzała się dookoła. A więc tutaj będzie mieszkać. W zupełnie nowo wybudowanym hotelu. Jak dorosła.

Wewnątrz wszystko aż błyszczało. Świeżo wyfroterowana podłoga. Stół ze szkła i mosiądzu, stojący przed skórzanymi kanapami w holu. I lśniący bielą uśmiech recepcjonistki, kiedy zobaczyła Bjórna. Susanne zauważyła, że dziewczyna trzęsła się, jej ręka drżała ze zdenerwowania i zachwytu, kiedy podsuwała mu blankiet do wypełnienia. Björn odpowiedział jej uśmiechem, ale przelotnym. Potem odwrócił się plecami i poszedł do windy. Nie czekał, aż ktoś od nich pójdzie za nim, tylko wszedł do środka i zniknął.

Kiedy przyszła kolej na Susanne i Evę, musiały stłoczyć się w samym końcu windy, żeby zrobić też miejsce dla Tommy'ego i Robbana. Obaj uśmiechali się i rozmawiali z Evą.

383

Ona też się uśmiechała. Susanne stała bez słowa, obserwując swoje odbicie w lustrze. Dobrze wygląda. Tak. Naprawdę.

Pokój był duży i jasny. Mały stolik pomiędzy dwoma łózkami. Szare narzuty, ale przy oknie turkusowy fotel. Widok na ratusz i pusty rynek. Eva rozejrzała się dookoła, wyglądała na zadowoloną.

- W łazience są jasnobłękitne kafelki - powiedziała i kiwnęła głową.

Susanne nie miała niemal odwagi odpowiedzieć. Eva ignorowała ją, odkąd wyszły z autobusu. Nie powiedziała do niej ani słowa w recepcji ani w windzie.

- Tak - odpowiedziała tylko. Eva rzuciła jej szybkie spojrzenie i opadła na łóżko. Susanne zdjęła białe kozaki i zaczęła masować stopy.

- Nie popatrzyłaś - powiedziała Eva z niezadowoleniem.

Susanne szybko się zawinęła i pospieszyła w kierunku otwartych drzwi łazienki. Zajrzała do środka, a potem odwróciła się z uśmiechem.

- Ładnie!

Nie otrzymała odpowiedzi. Eva wyciągnęła paczkę papierosów i właśnie jednego zapaliła, rzucając jednocześnie pełne pogardy spojrzenie w stronę Susanne. Położyła się na łóżku, pozwalając, by mała wstążka dymu zaczęła się wspinać do sufitu. Palenie w łóżku. Nie ma nic bardziej niebezpiecznego od palenia w łóżku, Susanne wiedziała o tym, słyszała o tym tysiące razy w radiu. Jednak nic nie powiedziała, przestępowała tylko w milczeniu z nogi na nogę, rozumiejąc coraz lepiej, że to ona będzie musiała zapłacić za zły humor Bjórna.

-No? - powiedziała w końcu Eva.

Susanne wstrzymała oddech. Nie mogła jej się poddać, więc oparła się o ścianę i też zaczęła ściągać kozaki.

384

- No co? - zapytała.

- Co się stało z Bjórnem?

Susanne nie odpowiedziała od razu, najpierw starannie ustawiła kozaki pod wieszakiem. Dwa, białe kozaki, idealnie równo, z czubkiem centymetr od ściany. To także sposób na walkę z chaosem. Odpowiadając, nie spuszczała z nich wzroku:

- A z Bjórnem się coś stało?

Eva zaciągnęła się i usiadła, potem zmarszczyła czoło.

- Przepraszam, ale czy ty jesteś kompletnie głupia?

Susanne czuła, że się czerwieni, że płoną jej policzki, a powieki chcą się zamknąć. Jednak nie odpowiedziała, zamruła tylko szybko, minęła Evę i poszła w stronę drugiego łóżka. Eva będzie musiała wstać i odwrócić się, żeby widzieć jej twarz. Nie. Będzie zmuszona podejść aż do okna, bo tam stoi Susanne. Wyjrzała na zewnątrz. Zaczęło się chmurzyć.

Za jej plecami poruszyła się Eva. Chyba wstała, podeszła do stolika i strzepnęła popiół z papierosa. Potem stała bez ruchu, w milczeniu, w przejściu między łózkami, nic nie mówiła, tylko zaciągała się raz po raz papierosem. Żle to wróżyło. Wręcz fatalnie.

- A gdzie zamierzasz dziś nocować? - spytała w końcu Eva.

Susanne odwróciła się na pięcie tak szybko, że o mało nie straciła równowagi.

- Tutaj oczywiście. Eva popatrzyła na nią. Powoli zlustrowała ją od góry do dołu i od dołu w górę, a potem

powoli potrząsnęła głową.

- Nie- Tu nie.

Susanne oparła się o parapet z tyłu.

- No, ale...

Eva przerwała jej.

385

- Tu nie będziesz spała. Bo będę miała gościa.

- Ale...

Eva pochyliła się do przodu i zgasła niedopałek.

-Sprawdź, czy będziesz mogła przenocować u Pea. Albo u Bjórna. Bo tu spała nie będziesz.

386

Kiedy Elsie zadzwoniła do drzwi Lydii, w ręku trzymała swój własny klucz. Obcasy matki zastukały o podłogę przedpokoju, przekreśliła się zasuwą w zamku i matka tworzyła. Wyglądała na zdumioną.

- Jesteś w mundurze?

Elsie kiwnęła głową i lekko się uśmiechnęła.

- Tak. Znowu wychodzę w morze. Jadę teraz do Malmö.

- Do Malmö?

- Tam cumuje statek. Wypływa już dziś wieczorem. Do Rotterdamu, a potem...

Lydia opanowała się i wyprostowała plecy, prawą ręką sprawdziła, czy włosy nie wysunęły jej się z koka. Oczywiście tego nie zrobiły.

- Ale kiedy wracasz?

I Elsie znowu się lekko uśmiechnęła.

- Nie wiem. To zależy. Załatwiłam z bankiem, żeby dopilnowali opłat za czynsz. I byłabym bardzo wdzięczna, gdybyś mogła założyć za prąd, kiedy przyjdzie rachunek.

Lydia odwróciła wzrok.

- Tak, no nie wiem...

Elsie westchnęła głośno. Po raz pierwszy w życiu westchnęła ze zniecierpliwienia z powodu Lydii, i to

tak, że sama Lydia to usłyszała.

- To daj go Inez. Ją poproś, żeby założyła. To na pewno nie będzie duża suma.

Lydia znowu odwróciła wzrok:

- Nie miałam przecież na myśli...

387

Elsie udała, że nie słyszy.

- Zadzwoń do niej ze statku. Nie musisz się tym martwić. Byłabym jednak bardzo wdzięczna, gdybyś na razie mogła zająć się moim kluczem. I sprawdzić pocztę Albo poprosić Inez, żeby to robiła.

Lydia wyciągnęła dłoń, ale nic nie powiedziała. Elsie upuściła na nią klucz.

- Dziękuję - powiedziała, poprawiając marynarską czapkę. - Następnym razem postaram się załatwić kwestie poczty i banku.

- Tak - odparła Lydia. Miała całkowicie pozbawioną wyrazu twarz. Białą i pustą.

- Zatem miej się dobrze.

- Ty też.

Elsie zrobiła krok w tył i chwyciła swoją walizkę, ale Lydia nie miała nawet zamiaru zamknąć za nią drzwi. Stała całkowicie wyprostowana i wpatrywała się w swoją córkę, a potem nagle zamrugała oczami i powtórzyła:

-Nie miałam przecież na myśli...

Elsie nie odpowiedziała, odwróciła tylko wzrok i poszła w kierunku schodów lekko pochylona, bo walizka była ciężka.

- Taksówka czeka - powiedziała i podniosła rękę w geście pozdrowienia. - Pozdrów innych. Jak ich spotkasz.

A potem już jej nie było.

388

Park Ludowy w Nassjó.

Aha.

Susanne stała zupełnie bez ruchu i rozglądała się dookoła. Nigdy wcześniej nie była w takim miejscu, ale wiedziała, że powinno wyglądać dokładnie tak. Park był jedynie odrobinę bardziej

opuszczony, niż to sobie wyobrażała, bo brama była jeszcze zamknięta i nie otwarto kasy biletowej. Opuszczony parkiet do tańca, na zwisających kablach dyndały zgaszone czerwone, niebieskie i żółte żarówki. Stoisko z loterią zamknięte. Nieczynny kiosk z wiórową płytą w okienku. Pusta i ciemna scena, pozbawione publiczności ławki pod czarnym dachem i nikt nie opiera się o niebieski płot naokoło. Nigdzie nie widać żadnego człowieka, tylko las, który niemal wtłacza się pomiędzy budynki. To znaczy, tak można by to sobie wyobrazić. Gdyby miało się trochę wyobraźni. A przecież miało się. Co najmniej kiedyś.

Natomiast zabrakło jej wyobraźni, żeby uzmysłowić sobie, że kiedy już naprawdę, po raz pierwszy w życiu, znajdzie się w Parku Ludowym, będzie zupełnie inna. A przecież taka jest. Stała się nową osobą. Brzydszą. Gorszą. Głupszą niż kiedykolwiek wcześniej. Tak głupią, że sama już nawet nie rozumie, co się stało. Albo jak do tego doszło.

389

W hotelu Högländ spędziły godzinę. Godzinę zajęło Evie, by zdanie Susanne na swój własny temat legło w gruzach, rozbiło się w drobny mak. Z dość szczęśliwej dziewczyny zmieniła ją w zero. W kogoś, kto nie ma powodów do dumy. W kogoś, kto nie powinien mieć złudzeń. Kogoś, kto nie umie nic powiedzieć, żeby się nie ośmieszyć. Naprawdę cholernie ośmieszyć. Osobę która w desperackiej próbie ucieczki od własnej durnoty ostatecznie poddała się i zgodziła na to, żeby nie spać w pokoju hotelowym, za który jej rodzice już połowę zapłacili. Nie, żeby to w czymś pomogło. Odkąd wyszły z pokoju, Eva i tak z nią nie rozmawiała, a jej wzrok wypełniał się dezaprobatą i pogardą, jak tylko napotkał Susanne.

Zaczęło kropić, kilka lodowatych kropli upadło jej na twarz i kazało naciągnąć kaptur parki, wcisnęła rękę w kieszenie i uniosła ramiona. Lekko się zatrzęsła. Teraz musi podjąć decyzję. Czy powinna jechać? Pójść na stację i wsiąść do pierwszego pociągu jadącego na południe, pojechać do domu i spróbować wytłumaczyć wszystko Inez i Birgerowi? Już teraz mogła usłyszeć ich głosy, ostry ton Inez i niezadowolone pomruki Birgera. Co się stało? Dlaczego pozwoliła się tej Evie wyrzucić? A co zrobił Björn, żeby jej pomóc? Co powiedzieli na to inni chłopcy? I tak dalej.

Problem polega na tym, że nie umiałyby tego wytłumaczyć Inez i Birgerowi. To niemożliwe. W języku szwedzkim brakuje słów, żeby mogli to zrozumieć. Jak mogłaby im opowiedzieć, że Björn tylko na nią warknął, kiedy spróbowała usiąść obok niego w autobusie i opowiedzieć, co się stało, jak wrzasnął, że przed koncertem potrzebuje spokoju, a ona wtedy odwróciła do niego plecami i zamilkła? Jak miałyby powiedzieć coś o reszcie? Czego mogła się spodziewać od Bossego, Niclasa, Tommy'ego i Robbana? Pełnego niepokoju współczucia?

390

Czy rehotu i otwartych drwin? I czy mogłaby bez ryzyka zemdlenia lub śmierci na miejscu

- powiedzieć Peowi, że Eva zaproponowała jej, żeby przenocowała jego pokoju? Czy nie byłoby to puszczanie się i czy jeśli

jest się córką Inez i Birgera, to za puszczanie się nie czeka kara śmierci? Zwłaszcza jeśli to ktoś taki jak Peo, chłopak, który wprawdzie jest bardzo miły i usiadł obok I niej,

jak tylko wyszedł z hotelu i wszedł do autobusu, ale ! który sekundę potem wyciągnął puszkę piwa i otworzył ją. Bezceremonialnie. Po prostu przycisnął otwieracz do błyszczącej powierzchni, zrobił dwie trójkątne dziurki, a potem z uśmiechem wyciągnął puszkę w jej kierunku. Minęło kilka sekund, nim zrozumiała, że to zaproszenie. Najpierw siedziała tylko z otwartymi ustami, a potem potrząsnęła głową i skrzywiła się. Peo wzruszył ramionami, przyłożył puszkę do ust i wypił dużymi, głośnymi łykami. Wtedy dopiero zorientowała się, że wszyscy piją. Była dopiero szósta po południu, nie zaczął się jeszcze wieczór, a wszyscy już siedzieli i pili. Bossę i Niclas. Tom my i Robban. I Eva, która właśnie w tej chwili wyciągnęła biały, papierowy kubeczek, a Robban napełnił go czymś bursztynowym z małej flaszki, którą potem starannie zakorkował i schował do wewnętrznej kieszeni kurtki.

Pili wódkę. Chlali. Dokładnie jak ojciec Ingalill. Susanne odwróciła się i spróbowała nawiązać kontakt wzrokowy z Bjórnem, ale oczywiście było to niemożliwe. Siedział z zamkniętymi oczami i odmawiał kontaktu. Poza tym w rękę trzymał identyczną puszkę, jak ta, z której właśnie napił się Peo. Ktoś mógłby spróbować powiedzieć o tym Inez i Birgerowi. Ktoś, kto miałby odwagę.

Ten sam ktoś, każdy z wyjątkiem Susanne, mógłby opowiedzieć im o dziewczynach, które stały przed wejściem Parku Ludowego, kiedy wjeżdżał autobus.

391

Nie krzyczały, stały tylko i się gapiły, podczas gdy dozorca parku otwierał bramę. Robban otworzył lufcik i coś do nich zawołał, przesyłał całusy i zachowywał się tak, że Tommy i Eva z tyłu za nim wybuchli śmiechem. W tej samej chwili Susanne zrozumiała, że musi wyjść, że naprawdę nie może zostać. Te dziewczyny są takie jak ona Są nią. W tym samym wieku. Z takimi samymi fryzurami. W takich samych ubraniach. Więc to z niej drwił Robban to z niej śmiali się Tommy i Eva. Kiedy autobus ruszał i wjeżdżał do parku, czuła, jak na policzki wypęta czerwień, jak wstydzi się tego, kim jest, i jak wstyd powoduje, że w jej oczach zbierają się łzy. Odwróciła twarz, siedziała, wpatrując się w zarośnięty chrustem las, który z jakiegoś powodu nazwano parkiem, a rumieniec i łzy powoli się cofały. Kiedy autobus zaparkował za sceną na powietrzu, było już po wszystkim. Mogła wstać i wyjść tak jak inni, chociaż było absolutnie oczywiste, że wszystko się zmieniło. Nie poszła z nimi popatrzeć na pomieszczenia za sceną, odwróciła się tylko plecami i stanęła na zwirowanym placu. Nadal tu stoi. Musi podjąć decyzję.

Chwyciła leżący w kieszeni portfel, ten idiotyczny portfelik z różowej sztucznej skórki, który kupiła, żeby zaimponować Evie, i zastanawiała się nad jego zawartością. Pięćdziesiątka, którą dostała od Inez, kiedy Birgera nie było w domu. Z tych pieniędzy musi się rozliczyć. Siedem koron w kieszonce na drobne. Dziesiątka i piątka w tajnej kieszonce, pieniądze zaoszczędzone jako zadatek na czarno-białą sukienkę inspirowaną op-artem. Jeśli w ogóle jest jej teraz potrzebna. Do tego jeszcze bilet kolejowy, mały kawałek tektury, który ma ją zabrać z Norrköping do Landskrony. Może mogłaby go użyć już z Nássjó. Problem polegał na tym, że nie wie nawet jak dojść do stacji. Nie miała pojęcia. Nie wiedziała czy odchodzą teraz jakieś pociągi na południe. Jest święto Nocy Walpurgii, pociągi mogą być odwołane...

392

Odwróciła się i popatrzyła w kierunku autobusu. Pojawił się Hasse i otworzył luk bagażowy z boku,

zaczął przeładowywać na wózek wielki wzmacniacz. Pomagał mu jakiś mężczyzna. Susanne nie wiedziała kto to. Żaden nie patrzył w jej stronę. Obaj milczeli skoncentrowani przesuając z wysiłkiem ciężar po kawałku. Zaczęło padać i kurtka Hassego była już mokra na plecach.

Susanne westchnęła, poprawiła kaptur i zaczęła iść w kierunku sceny na powietrzu. Stawiając stopę na pierwszym stopniu, wcisnęła pięści do kieszeni, a potem bardzo powoli weszła po pięciu schodkach do drzwi, które prowadziły do pomieszczeń za sceną.

Była tam tylko jedna garderoba, w której wszyscy razem siedzieli. Björn przed lustrem, z tym samym uciekającym spojrzeniem, jakie miał przez cały dzień. Eva na krześle obok, odwrócona od niego do połowy plecami, z uśmiechem skierowanym do Tommy'ego, który siedział na przymocowanym do ściany stole, ciągnącym się wzdłuż całego pomieszczenia, i palił, na kolanach trzymając swoją czerwoną gitarę. Za plecami Björna stał Niclas, przeglądał się w lustrze, podnosił lekko grzywkę, a potem potrząsał głową, żeby zobaczyć, jak opadną włosy. Bosse odchylił się do tyłu na krześle i wypił jeszcze łyk piwa. Peo pogładził ręką swoje pałeczki do perkusji i odwrócił wzrok w stronę drzwi. A tam, tuż obok Susanne, stał oparty o ścianę Robban i odkręcał korek swojej flaszki.

- Patrzcie - powiedział. - Oto przyszła siostra, która nie jest siostrą. Czy jak to tam było.

Susanne spróbowała się uśmiechnąć, ale nie do końca jej się to udało. Drżały jej kąciki ust i przez moment wszyscy na nią patrzyli, rozumiejąc, że walczy z płaczem.

Björn wyglądał na zdumionego, Bosse i Niclas pochylili się lekko do przodu, jakby chcieli lepiej widzieć, Peo otworzył zdumiony usta, Robban uniósł brwi, a Tommy zerknął na Evę i powstrzymał uśmiech.

393

Sama Eva podniosła powoli głowę i rzuciła Susanne bardzo zimne spojrzenie, takie, które sprawiło, że Susanne zamarła tam gdzie stała. Spróbuj tylko - mówił wyraźnie wzrok Evy. - Nawet się nie waź!

Uratował ją dozorca parku. Położył nagle rękę na jej ramieniu, a ona instynktownie zrobiła krok do tyłu i schowała się za jego plecami. Dozorca stanął w progu odchrząknął, jakby zamierzał wygłosić mowę, a potem przemówił z silnym smalandzkim dialektem.

-No chłopaki, jeśli chce się wam sikać, musicie się teraz pospieszyć. Tu nie mamy toalet, są w budynku na dole. Za dziesięć minut otwieramy bramy, więc jeśli nie chcecie zostać stratowani, musicie się teraz pospieszyć.

Zakołysał się lekko na progu, wcisnął ręce w kieszenie i rozejrzał dookoła. Björn wstał już, Tommy odłożył ostrożnie gitarę na przymocowaną do ściany ławkę. Dozorca parku kiwnął głową i zakończył:

-Powiedziane, zrobione.

394

Nareszcie w domu.

Elsie rozparła się w krześle, rozejrzała po kabinie radiowej i położyła ręce na biurku. Trzymała je tam, białe i rozluźnione, i wyglądała przez okno. Szary zmierzch. Szare morze. Szare niebo. Kawałek dalej jest Dania, czarna Dania, która zapaliła już swoje światła.

Czy w Danii też świętują wiosnę? Może. Nie wiedziała i właściwie to jej nie interesowało. Chciała tylko siedzieć tu i jeszcze przez chwilę patrzeć na morze. Czuć się jak w domu, chociaż nigdy wcześniej nie pływała na tym statku. „Anastazja”. Imię najmłodszej córki ostatniego cara. Tej, która być może - ale tylko być może - przeżyła strzały patrolu egzekucyjnego i teraz mieszkała w USA jako Anna Anderson. Elsie uśmiechnęła się do siebie samej. Wiedza z tygodników ilustrowanych. Zdobyta w poczekalni u dentysty.

Nie. Czas na zrobienie czegoś pożytecznego.

Otworzyła dziennik pokładowy i przyjrzała się ostatnim zapiskom. Poprzednia telegrafistka podobno zachowała tydzień temu, ale ktoś i tak prowadził staranne zapiski. Elsie sięgnęła po długopis i zapisała: 1845 GMT FM MALMOE BND ROTTERDAM. TEST RCVRS XMTRS AUTOALARM OK. BATTERIES ACID 1.27. Oznaczało to że, "Anastazja" wypłynęła z portu w Malmö o godzinie 18,45 kursem na Rotterdam, odbiorniki radiowe, nadajniki i alarm automatyczny zostały skontrolowane i działają, a baterie w nadajniku sygnału niebezpieczeństwa są naładowane. Włączyła nadajnik radiowy i nawiązała kontakt z lądem.

395

BND ROTTERDAM QRU? Macie jakiś telegram dla mnie? Odpowiedź przyszła od razu NIL. Nic.

Wszystko było takie jak zawsze. Jakie być powinno. Miała tylko jeszcze jedną rzecz do zrobienia, zanim zostawi za sobą Szwecję i Landskronę. Przetęczyła się na radiotelefon. Połączenie było dobre, mocne. Kiedy w domu Inez i Birgera odezwał się sygnał, brzmiało to jak przy zwykłej rozmowie telefonicznej. Kiedy ktoś podniósł w końcu słuchawkę, Elsie pochyliła się do przodu nad biurkiem. Jakby miała się komuś zwierzyć.

- Inez?

- Elsie? Dostałaś telefon?

Głos Inez brzmiał wyjątkowo wesoło. Niemal na granicy śmiechu. Elsie zwlekąca przez moment z odpowiedzią.

-Nie. Znowu jestem na morzu. Przeptywamy właśnie Óresund.

-Co!

-Telegrafistka na statku zachorowała. Wskoczyłam na zastępstwo.

Inez milczała przez chwilę. Może zastanawiała się, jak Towarzystwo Żegluga mogło znaleźć Elsie, ale nie zadała tego pytania. Odchrząknęła tylko i zaczęła mówić nieco stłumionym głosem.

-Tak. Może to i dobrze. Mam na myśli, że znowu wypłynęłaś.

Elsie odetchnęła. W tonie Inez nie było krytyki ani złości. Była po prostu miła i rozumiejąca. Elsie szybko przełknęła i odpowiedziała:

-Tak. Dobrze.

Znowu zapadła cisza, ale przyjazna. Cisza pomiędzy siostrami.

-Oddałam klucze do mieszkania Lydii - powiedziała w końcu Elsie. - Myślę, że byłoby dobrze, gdybyś je od niej wzięła.

Inez lekko westchnęła. Zrozumiała.

396

Też tak myślę.

- Czy mogłabyś założyć za rachunek za prąd, kiedy przyjdzie?

- Jasne.

Po prostu. Jasne. Inez stawiała się kimś innym. Może Elsie też mogłaby stać się kimś innym. Gdyby tylko Björn.. Ta myśl zakręciła szeroki łuk.

- Pomalowałaś już swój pokój?

Usłyszała, jak po drugiej stronie Inez uśmiecha się.

- Tak. Jest śliczny. Jasny i śliczny. Będzie mi w nim dobrze.

Elsie też się uśmiechnęła w swojej kabinie radiowej.

- Dobrze.

Inez ściszyła głos.

- Birger gotuje obiad. Pierwszy raz w życiu.

Elsie zachichotała.

- Pięknie!

A potem sama nie wiedziała, jak to się stało, bo pochyliła się jeszcze głębiej nad biurkiem i wyszeptała:

- Rozmawiałam dziś z Björnem. O jego tacie.

Zapadła cisza. Inez nie odpowiedziała. Ale Elsie słyszała jej oddech. Pierwszy głęboki, a potem trzy szybkie i płytkie. Znowu spróbowała.

-Pomyślałam, że ma prawo... Ale on nie chciał słuchać. Powiedział, że nie chce się dowiedzieć.

Płacz wezbrał w niej nagle i przerwał wywód. Po drugiej stronie Inez nadal milczała, w milczeniu słuchała pochlipywania siostry. Elsie pociągnęła nosem i spróbowała jeszcze raz: ,

- Powiedział, że nie jestem jego mamą!

Może właśnie wtedy Inez wypuściła powietrze. Może Elsie usłyszałaby to, gdyby jej własny płacz nie zagłuszył , wszystkich innych dźwięków. Jednak usłyszała, kiedy Inez w końcu zebrała się i odpowiedziała:

- Ale przecież wiedziałas o tym.

397

Nadal miała siostrzany głos. Smutnej i współczującej siostry. Elsie miała wrażenie, że widzi jej zmartwioną twarz, kiedy Inez dodała:

- Myślałam, że to rozumiesz.

398

Odgłosy jak zawsze przed koncertem. Szum głosów stłoczonych w loży, tu i tam jakieś nawoływanie, kilka krzykliwych wybuchów śmiechu zagłuszających inne dźwięki. Zbierają się ludojady, pomyślał, ale natychmiast zachnął się i zmusił do zerknięcia w lustro. Nie tak. Nigdy w ten sposób. Tego dnia, w którym zaczniesz uważać publiczność za ludojadów, masz przechlapane. Nie odważysz się już wyjść na scenę.

- Fani - powiedział na głos i w tej samej chwili zrozumiał swój błąd.

- Co? - zapytał Niclas, który stał za nim i przeglądał się w lustrze. Zawsze się przeglądał.

- Nic - odparł Björn.

- Coś mówięś. Słyszałem.

- Głośno myślałem...

Niclas wzruszył ramionami.

- Mogę pożyczyć twoją szczotkę do włosów?

Björn popatrzył na szczotkę, którą trzymał w ręku, a potem wyciągnął ją do Niclasa i wstał.

Ciasno tu. Zdecydowanie za ciasno. Tommy stał obok i majstrował coś przy gitarze, obok siedział Bosse z zamkniętymi oczami i wyciągniętymi nogami, wyglądał, jakby spał. Robban i Eva tłoczyli się w rogu, a na zewnątrz, na korytarzu stał odwrócony plecami Peo i walił pałeczkami perkusyjnymi w ścianę. Susanne nie było. Pewnie wyszła i usiadła wśród publiczności.

Dlaczego przed sekundą wyglądała, jakby miała się rozryczeć. I dlaczego on sam zgodził się na to,

żeby z nimi pojechała? Potrząsnął głową.

399

Sam siebie okłamuje, jak zawsze. Przecież nie tylko się zgodził, ale sam przekonał do tego Inez. Nie wiedział czemu. Nie pamiętał. Może miało to jakiś związek z Evą, może tego dnia tęsknił za kimś. Czuł się samotny i pomyślał, że Eva z Susanne sprawią, że będzie mniej sam. Co za głupota. Kompletny idiotyzm. Jednak z drugiej strony nie mógł przecież wiedzieć że Elsie wybierze właśnie ten dzień, żeby...

Nie! Zakaz. O tym nie wolno myśleć.

Myśl oddaliła się, a tymczasem Eva odwróciła głowę i popatrzyła na niego. Jej twarz była zupełnie pozbawiona wyrazu, nie ukazywała żadnych uczuć, nawet wtedy gdy spotkały się ich spojrzenia. Jakby był kimś obcym, osobą, którą minęła na ulicy. Przyglądała mu się tylko przez chwilę, a potem odwróciła głowę i uśmiechnęła się promiennie do Robbana. Odpowiedział jej uśmiechem i pochylił się do przodu, jakby chciał być bardzo blisko niej. Eva nadal z uśmiechem cofnęła się o jakiś centymetr. Robban podążył za nią, przybliżył się jeszcze odrobinę. Durny skurwiel. Jakby miał jakąś szansę.

W drzwiach pojawił się Hasse:

-To co, gotowi?

Björn kiwnął głową i przymknął oczy, przygotowywał się do wejścia w rolę, do stania się Björnem Hallgrenem. Zawsze szczęśliwym i odnoszącym sukcesy. Nie szło to tak łatwo jak zawsze, musiał na nowo otworzyć oczy i wziąć głęboki oddech, nim poczuł, jak żyły wypełnia mu znana lekkość. Yeah Nadchodzi. Ten, który nie jest jeszcze byłą gwiazdą.

Cholera! Tak też nie wolno myśleć. Zatrzymał się w pół kroku, obrócił na pięcie i zmusił, żeby jeszcze spojrzeć sobie w lustrze w oczy. Był tam. Björn Hallgren. Żaden były. Nawet nie przyszły były gwiazdor. Musi w to wierzyć. Jest zmuszony, by tak myśleć.

400

Pozostali członkowie zespołu wychodzili już z łoży, więc pospieszył za nimi, szedł ciasnym korytarzem o ścianach wyłożonych deskami, w przytłumionym świetle, a potem stanął za kulisami. Hasse stał na samym przodzie, gestem pokazał, żeby wyszli na scenę: najpierw Tommy, ściskając wiszącą na szyi gitarę, potem uśmiechnięci i machający rękami Bosse i Niclas, wreszcie Peo z podniesionymi do góry pałkami, ułożonymi w znak zwycięstwa. Björn wahał się przez parę sekund, dał Tommy'emu czas, żeby się podłączył, a Bossemu i Niklasowi szansę na wzięcie gitar, potem sam wyszedł na scenę i sprawił, że wrzask na zewnątrz - wrzask ludojadów - zamienił się w wycie. Tommy rzucił mu kwaśne spojrzenie i zagrał pierwszy, próbny akord, trochę niepewny, potem pochylił się do mikrofonu i powiedział:

- Oto on! Björn Hallgren!

W następnej chwili popłynęła muzyka. I natychmiast zagłuszyło ją wycie publiczności.

Jestem Björn Hallgren. Nadal mogę być Björnem Hallgrenem.

Ta myśl przemknęła mu przez głowę, kiedy zaczął śpiewać, odepchnął ją i spróbował skoncentrować się na tekście. Tonight's the night I've waited for... Nie do końca to szło jakby coś pękało w jego głowie, przez ułamek sekundy miał wrażenie, że zapomniał tekstu, że zapomniał nawet, jaką piosenkę śpiewa, aż uświadomił sobie, że to Happy Birthday Sweet Sixteen. Cover. Znowu zapanował nad tekstem i uśmiechnął się. Publiczność nadal wrzeszczała. Nie zauważyli, że opuścił parę słów. Mógł odetchnąć i przyrzeć im się w ten sam sposób, w jaki oni przyglądali się jemu. Oczywiście było ich pełno. Ludzie siedzieli nie tylko na każdej ławce, stali też przed i za ogrodzeniem, niektórzy nawet tak daleko, że dach nie chronił ich przed deszczem.

401

Jakaś dziewczyna rozłożyła parasol w kolorze jasnoliliowym i z jakiegoś powodu miał wrażenie, że to pozdrowienie, że dziewczyna przesyła mu w ten sposób wiadomość

- Tu jestem! You own sweet sixteen. Myślami dotknął na chwilę Caroline, tę, która nigdy nie przyszła, potem przymknął oczy i śpiewał dalej. Dość brzydka dziewczyna w pierwszym rzędzie siedziała z rękami złożonymi jak do modlitwy i wpatrywała się w niego. Intensywnie szukała jego wzroku. Na darmo. Prześlizgnął się spojrzeniem ponad nią w stronę ławki w tyle, gdzie siedziała grupka chłopaków z superwysokimi kołnierzykami koszul. Wydawali się nieco krytycznie nastawieni. Pieprzyć to. Powtórzył ostatni wers, dokładnie tak, jak miał to zrobić, a potem rozłożył ramiona i zawołał:

- Halo, Nässjö!

Sekundę później poczuł strach. A jeśli to nie Nässjö. Może wszystko mu się pomyliło i to Vetlanda albo Värnamo, albo Knäckebröholt, jednak odpowiedź publiczności uspokoiła go. Są w Nässjö. Na pewno. W przeciwnym razie nie wrzeszczeliby tak radośnie w odpowiedzi, a dziewczyna z liliową parasolką nie podniosłaby jej w geście pozdrowienia. Za jego plecami Tommy zagrał kolejny akord. Można się domyślać, że jest nadal nadęty i niechętny, ponieważ cztery pierwsze piosenki na każdym koncercie to były te, którymi gardził. Pieprzyć to. Przyjdzie czas i dojdą do własnych hitów, a wtedy Tommy będzie mógł odegrać którąś ze swoich nieskończenie genialnych solówek.

Ale Susanne? Gdzie ona się podziała?

Mógł sobie pozwolić na myślenie o tym, śpiewając Corrinna, Corrinna. Najprostszy tekst świata, wystarczyło powtarzać to imię dwadzieścia dziewięć razy, a jeśli wyszło trzydzieści czy dwadzieścia osiem, to też wszystko jedno. Nie, żeby kiedykolwiek wyszło trzydzieści albo dwadzieścia osiem. Jest przecież Björnem Hallgrenem, a Björn Hallgren nie robi takich błędów. Jednak Susanne nadal nie było.

402

Przeczesywał wzrokiem całą publiczność.

- Corinna, Corinna - ale nigdzie jej nie widział. Na pewno stoi gdzieś w tłumie. Czas na następny wers - Oh, little darling, where've you been so long? - i nagle poczuł, że naprawdę tam jest, że rzeczywiście stoi tam, gdzie stoi, i śpiewa to, co śpiewa, że naprawdę jest Bjórnem Hallgrenem,

a Björn Hallgren nie jest żadną byłą gwiazdą. Nie! Nawet się nią nie stanie. Spokojne zadowolenie rozeszło się po wszystkich komórkach jego ciała, chwycił mikrofon obiema rękami, pogładził go, przystawił naprawdę blisko ust i rozkoszował się swoim własnym głosem i tą wstrzymującą oddech ciszą, która nagle zapanowała wśród publiczności. Jeszcze tylko mała chwila. Sekunda przed dwudziestym siódmym, dwudziestym ósmym, dwudziestym dziewiątym powtórzeniem tego imienia.

A potem: I love you so...

Kochali go. Czuł to. Kiedy w końcu oklaski i krzyki go zalały, wchłonęły, połknęły, poczuł, jak wibruje w nim ich miłość.

- I'm all yours - zawołał i rozłożył szeroko ręce.

A potem to się stało. W środku trzeciej piosenki. Najpierw prawie nic nie zauważył. Myślał, że to tylko dziewczyny, na które akurat patrzy, nie patrzą na niego i zdają się nawet nie słuchać, tylko siedzą z półotwartymi ustami, wpatrując się w coś za jego plecami. Pewnie gapią się na Tommy'ego. Nieliczne dziewczyny wołały Tommy'ego, wiedział o tym. Najczęściej były o głowę wyższe od innych dziewczyn. Albo stuknięte. Część dziewczyn była trochę stuknięta.

Pierwszy wybuch śmiechu zaskoczył go. Na sekundę czy dwie go zatkało, zdumiony przyglądał się publiczności. Dlaczego się śmieją? Piosenka raczej nie skłania do śmiechu.

- Crying in the chapel. -Tak naprawdę to kiepski kawałek, ale i tak żądał, żeby był w programie.

403

Lubił słyszeć siebie samego, gdy brzmiał dokładnie jak Elvis tak, nawet lepiej...

Teraz znowu się śmiali. Tym razem głośniej. Jednak teraz nie stracił wątku, po prostu dalej śpiewał, przez głowę przeleciał mu Pekka Langer, który w jakimś programie nazwał tę piosenkę Marudzeniem w kaplicy. Może dlatego się śmieją, ta myśl sprawiła, że przez moment sam lekko się uśmiechał, zanim zaczął następny wers: Every sinner in the chapel...

Chłopaki w wysokich kołnierzykach wyli ze śmiechu jeden podniósł się do połowy i machał prawą ręką, drugi wycierał pięścią oczy, a trzeci klepał się po kolanach, a potem łąpał rękami za brzuch. A dalej, tam, gdzie kończyła się publiczność, kotłowała się mała parasolka. Ona też się śmiała, jego

sweet sixteen... Nawet tamta brzydka dziewczyna, która jeszcze niedawno siedziała ze złożonymi rękami, jakby się do niego modliła, śmiała się teraz głośno, z otwartymi ustami. Nie patrzyła na niego. Zacerpnął oddech i przeczesywał wzrokiem kolejne rzędy. Tak. Zgadza się. Nikt już na niego nie patrzy. Wszyscy patrzą na coś za jego plecami.

Następny wers. Meet your neighbour in the... Teraz już go nie było słychać. Nie zamierza! się jeszcze poddawać nadal śpiewał, a przy tym powoli odwrócił się i stanął bokiem:

- Nigdy nie odwracaj się plecami do publiczności - przypomniał sobie pouczenia Karla-Erika

- nigdy, przenigdy, żeby zobaczyć, z czego oni się śmieją.

Robban.

Na scenę wyszedł Robban. To on robił miny za jego plecami. Teraz klęczał, udając, że płacze, a z kieszeni marynarki wyciągnął sznurek - sznurek z pętlą, którą założył sobie na szyję. Publiczność wyła ze szczęścia, jakaś dziewczyna krzyczała tak głośno, że jej głos unosił się nad całym hałasem: Nie! Nie rób tego, kocham cię!

404

Robban zawahał się na chwilę, przyłożył obie ręce do serca ale potem udał, że dalej szlocha, i włożył ręce do drugiej kieszeni marynarki. Wyjął z niej zabawkowy pistolet. Lewą ręką chwycił za sznurek wokół szyi i udał, że się wiesza, jednocześnie kierując pistolet w swoją skroń. Jak jakaś cholerna postać z komiksu. Obok niego stał uśmiechnięty Tommy, grał i śmiejąc się, patrzył to na Robbana, to na Björna. Za kulisami stała śmiejąca się Eva, pękała ze śmiechu, oparta o czarną ścianę.

Uczucie białości. Tak lśniącej białości, że aż go oślepiła.

Szyderstwo. Wiedział wszystko o szyderstwie. Wyśmiewano go od pierwszego dnia w szkole. Bo był taki śliczny. Bo Inez zmuszała go do odrabiania lekcji. Bo pani się do niego przymilała. Bo lubił śpiewać. Bo lubiły go dziewczynki. Bo nie miał ani mamy, ani taty, tylko Inez i Birgera.

To, co teraz robił Robban, było szyderstwem. Szydził z Björna. Wyśmiewał go, bo umiał śpiewać jak Elvis. Wysztychał, bo brzydkie dziewczyny składały dłonie, kiedy na niego patrzyły. Bo Susanne nie była jego siostrą, a Eva jego dziewczyną. Szydził z niego, bo Björn prawie nie znał swojej mamy, a dziś nie chciał słuchać, kiedy ona chciała mu opowiedzieć o jego ojcu.

Były gwiazdor. Pięć minut temu jeszcze nim nie był, ale teraz już tak. Był Björnem Hallgrenem. Byłym idolem.

Przestał śpiewać i wypuścił mikrofon. Usłyszał łomot w głośnikach, kiedy mikrofon potoczył się po scenie. Muzyka nadal grała, ale teraz mniej pewnie, niemal mdło. Przez moment stał bez ruchu, a potem nagle zrobił trzy kroki do przodu i kopnął. Robban poleciał na plecy i tak leżał, zdumiony gapił się w górę, a potem podniósł rękę i dotknął dolnej wargi. Krwawiła. Spróbował wstać, ale zanim się podniósł, Björn znów go dopadł. Usłyszał chrzęst gdy jego but trafił w szczękę Robbana.

405

Zęby, przeleciało mu przez głowę. Wybiłem gnojowi zęby. O, jak wspaniale, jak cholernie wspaniale,

że nareszcie...

Muzyka ucichła. Björn pochylił się nad Robbanem i uderzył. Jeszcze raz. I drugi. I trzeci.

406

Chaos.

Popychali go to tu, to tam, ktoś przytrzymał za ramiona, na siłę ściągnął je do tyłu. Tommy tuż przed nim warczał, próbował schwycić go za ubranie, pomiędzy nich wepchnęła się jakaś dziewczyna i wrzeszczała coś bez słów, jakaś inna histerycznie wołała go po imieniu: Björn! Björn! Björn! Mężczyzna, który za nim stał, kopnął go w tyłek, aż poleciał do przodu, ale nie dosięgnął podłogi, bo wylądował twarzą w czerwonej spódnicy, bardzo krótkiej, czerwonej spódnicy. Bardzo szybko poczuł intymny kobiecy zapach, ale potem poczuł nagle, jak uścisk na jego przegubach zelżał i usłyszał, jak mężczyzna z tyłu wrzeszczy - Gryzie, cholerna gówniara! Sekundę potem ktoś inny krzyknął coś o tym, że karetka pogotowia jest w drodze, ale nic go to nie obchodziło. Wahał się tylko sekundę, a potem rzucił się w ludzką masę, jednocześnie zauważył ze zdumieniem, że na scenie jest pełno ludzi, że kilka dziewczyn odpycha Tommy'ego coraz dalej i dalej, że Niclas otworzył usta, a Bosse się śmieje. Potem wśród dziewczyn otworzyło się nagle przejście. Jedna z nich bardzo zdecydowanym gestem pokazała

- Tędy! - nawet nie wziął pod uwagę, że mógłby nie pójść za nią, popędził do przodu, pozwolił jej schwycić się za rękę i pociągnąć za kulisy. Biegł za nią ciemnym korytarzem i ciągle trzymał ją za rękę, kiedy otworzyła drzwi i przeklęła. Stała tam grupka nastolatków, dziewczyny i chłopcy, ze zdumienia pootwierali usta, ale nie zrobili nic, patrzyli tylko jak dziewczyna odwraca się i zamyka drzwi na klucz, potem, ściskając klucz w ręce, woła:

407

- Odsuńcie się, do cholery!

Odsunęli się, zrobili jeszcze jeden mały korytarz, którym pobiegł, a sekundę później dziewczyna wyprzedziła go i znowu złapała za rękę. Ciągnęła go za sobą przez otwartą przestrzeń, dalej w las, pędziła z nim prosto w krzaki, znowu lekko przeklęła i zmieniła kierunek, znalazła małą, wąską ścieżkę, tak wąską, że nigdy by jej nie zobaczył - gdyby jej z nim nie było, i pociągnęła za sobą w stronę wysokiego ogrodzenia z siatki. Wyglądało na pozbawione dziur, ale to nie była prawda. Dziewczyna wprawna ręką chwyciła je i odsłoniła pęknięcie, szparę, która się powiększyła i poszerzyła. Sekundę później, w chwili gdy usłyszał pierwsze syreny karetki lub policji, był już poza Parkiem Ludowym Nässjö i stał na spokojnej uliczce willowej.

-Tu - powiedziała ponownie dziewczyna i zaczęła iść. Björn zerknął na swoje stopy. Nie ruszały się

-Chodź już!

Dziewczyna podparła się rękami. Wyglądała na bardzo zdecydowaną. Nie była zbyt ładna. Błada, włosy popielatoblond. Pryszcze na brodzie. Ubrana w białe spodnie i jasnoniebieską kurtkę. Żuła gumę. Zrobił krok do przodu.

-Dobrze - powiedziała dziewczyna. - Chodź.

Björn Wciągnął powietrze, poszukał głosu i zadał pytanie.

- Dokąd idziemy?

Wzruszyła ramionami.

- W takie jedno miejsce.

W milczeniu szli obok siebie przez całą wieczność. Wszędzie nieduże wille. Zapalone latarnie. Rozpadał się deszcz. Dziewczyna wpatrywała się w niebo, jakby mogła zmusić chmury, żeby się rozproszyły, ale to oczywiście nie pomagało. Uniosła więc tylko ramiona i skuliła się.

408

- Szła dalej długimi krokami. Po przejściu długiego odcinka, na oko kilkunastu kilometrów, skręciła w zwirowaną drogę. Tu nie było żadnych domów, ale latarnie rzucały łagodne światło. Las na prawo. Las na lewo. Björn przystanął zaczerpnął powietrza, poszukał w kieszeni papierosów, znalazł wypełnioną do połowy paczkę i zapalił. Miał nieporadne palce. Marzył, podniósł kołnierz marynarki. Była cienka. Dużo za cienka. Przed nim stała dziewczyna z rękami w kieszeniach i krzywym uśmiechem.

Nie poczęstujesz?

Nie odpowiedział, zaciągnął się tylko dymem i wyciągnął do niej papierosy. Potrząsnęła głową.

- Nie palę.

- Aha. To czemu miałem cię poczęstować?

- Z grzeczności.

- Jak masz na imię?

Uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

- Britt-Marie.

- Ja mam na imię Björn. Albo miałem tak na imię.

Prychnęła.

- Zgrywasz się ze mnie?

Potrząsnął głową. Nie miał siły więcej mówić. Popatrzyła na niego, zlustrowała z góry na dół. Odpowiedział tym samym. Jej włosy zaczynały być mokre, z grzywki toczyła się po nosie kropelka. Wytarła ją zniecierpliwionym gestem.

- Dlaczego go pobijeś?

Björn potrząsnął głową, chociaż tak naprawdę nie wiedział, co to znaczy. On też miał mokre włosy, czuł, jak mu się przyklejają do policzka. Jednak i tak nie umiał nic powiedzieć, nie mógł wytłumaczyć, wzruszył tylko ramionami. Nie pamiętał, ledwo uświadamiał sobie, że kiedyś był Björnem Hallgrenem. Niecałe pół godziny temu. Więcej niż całe życie temu. Ale to był błąd. Wszystko wokół Björna Hallgrena było pomyłką, ale tego też nie mógł powiedzieć.

409

Ani tego, że teraz jest tak, jak być powinno. Nareszcie.

Britt-Marie znowu przez chwilę mu się przygląda, a potem odwróciła się plecami i zaczęła iść. Björn powoli oderwał prawą stopę od ziemi i postawił ją przed lewą. Szedł. Nie mógł się nadziwić, że idzie. Szedł wąską leśną ścieżką, gdzieś pod Nässjö, z dziewczyną o imieniu Britt-Marie.

- Dokąd idziemy? - zapytał w końcu.

Odpowiadając, nie odwróciła się.

- Do stodoły. Możesz tam dziś przenocować.

Szedł przez las po omacku, jego cienkie podeszwy ślizgały się na śliskich kamieniach, potykał się o korzenie i leżące na ziemi gałęzie, ale przed nim szła pewnym krokiem Britt-Marie i wyglądała tak, jakby dokładnie wiedziała, gdzie postawić stopę za każdym razem. Nagle przystanęła, przez moment stała zupełnie bez ruchu i nasłuchiwała, dopiero potem zrobiła następny krok. W końcu zrobiła krok w bok i wysunęła do przodu rękę, żeby dokonać prezentacji:

-To tu.

Minęła sekunda, nim zobaczył to, co chciała mu pokazać. Zmierzch zamieniał się w ciemność. To tutaj: mały budynek w środku lasu. Stara stodoła. Spróbował wyprostować się i pokazać, że jest na luzie, ale mu to nie szło. Za bardzo marzył. Dlatego skulił się i tylko kiwnął głową-

-Aha.

Niemal nie widział już jej twarzy, ale rozpoznawał zarys sylwetki, więc kiedy odwróciła się plecami pospieszył za nią. Nie chciał jej zgubić. Nie teraz, gdy nagle ogarnęły ich wielkie ciemności.

-Czternastolatki przychodzą się tu obmacywać powiedziała Britt-Marie, mocując się z czymś.

- Ale nie musisz się bać. Nie ma ich tu o tej porze...

410

Zaskrzybiało, kiedy drzwi się otworzyły. W środku czekała jeszcze większa ciemność. Britt-Marie

odwróciła się do niego.

- Zapałki - powiedziała.

Zniknęła, a on stał bez ruchu i wypatrywał jej. Nie mógł jej dojrzeć do chwili, kiedy już trzymała przed sobą zapaloną zapałkę. Pochyliła się i zapaliła małą świeczkę, która stała na ziemi w zaśnieżonym świeczniku z mosiądzu. Goła ziemia. Zrobił krok do środka i rozejrzał się w migoczącym, żółtym świetle. W kącie materac w pasy. W drugim - mała kupka zbutwiałego siana. Usiadł na kamieniu i usłyszał swoje westchnienie.

Nagle na szeroko rozstawionych nogach stanęła przed nim Britt-Marie.

- No - powiedziała. - Nie zamierzasz mnie pocałować?

Tylko tego chciała. Zostać pocałowana przez kogoś, kto kiedyś był Björnem Hallgrenem. Położyła się płasko na materacu w rogu i leżała tam bez ruchu z zamkniętymi oczami, aż położył się obok niej. Kiedy jego język szukał jej języka, rozchyliła tylko lekko usta, ale gdy z poczucia obowiązku chwycił jej pierś, odsunęła się i odepchnęła jego rękę. Potem jeszcze raz przysunęła się blisko i pozwoliła, żeby ją ponownie pocałował, a potem jeszcze raz. W końcu położyła się na plecach i wpatrzyła w sufit. Westchnęła lekko.

- Nikt w to nie uwierzy - powiedziała potem. – Szkoda, że nie mam ze sobą aparatu.

Podniosła się trochę i oparła na łokciu, popatrzyła wpierw na zegarek, a potem na niego.

- Jutro wezmę aparat. Potem wstała i poprawiła kurtkę. Podeszła do drzwi. Odwróciła się i uniosła rękę w pozdrowieniu, a potem otworzyła drzwi i wyszła. Zamknęła za sobą drzwi i już jej nie było. Został sam.

411

Świeczka zamigotała kilka razy, po ścianach przesuwaly się szybko czarne cienie, potem światło zgasło. Przez parę minut Björn leżał bez ruchu, wpatrując się w ciemności, czuł, jak powoli napina się każdy mięsień w jego ciele. Deszcz stukał o dach. Na dworze dyszał wiatr. Gdzieś w oddali zaszczekał pies.

Pies?

Policja ściga go z psami? Usiadł i zaczął znowu nastuchiwać. Nic. Chociaż tak. Szczekanie psów. Gdzieś w oddali naprawdę było słycać szczekanie psów.

Czy Robban nie żyje? Przed oczyma przemknął mu obraz Robbana, jego zakrwawiona twarz. Natychmiast zamknął oczy, odgrodził się w swojej własnej ciemności. To nie może być prawda, ale...

Tyle krwi, mówił głos w jego głowie.

Björn nie odpowiedział. Otworzył tylko oczy i popatrzył w inną ciemność, tę na zewnątrz.

Morderca, powiedział głos.

Björn zaczął grzebać w poszukiwaniu pudełka z zapalnikami, czubkami palców macał suchą ziemię, przesunął dłoń po kamieniu. Zimnym kamieniu.

Pomyłka i morderca. Tym jesteś.

Nareszcie. Chwytał zapalnik, chwilę z nimi powalczył, ale w końcu udało mu się jedną zapalić. Świeczka już się spaliła, nie było knota, który można by zapalić. Usłyszał swoje głębokie westchnienie. Zapalnik zgasł. Kilka razy zamrugnął powiekami. Nic nie pomogło. Ciemność wokół stała się jeszcze głębsza.

- Morderca - usłyszał swój własny głos. – Pomyłka.

Zacisnął ręce i natychmiast znowu je otworzył. Wstał. Przez moment stał, chwiejąc się, aż przypomniał sobie, że ma więcej zapalników.

412

Zapalił kolejną, rozejrzał się i ruszył w kierunku drzwi. Musi iść. Zniknąć.

Drzwi zaskrzypiały i otworzyły się. Popatrzył w niebo. Tuż nad nim migotała samotna gwiazda. Wziął głęboki oddech, przestąpił próg i wyszedł w ciemność.

413

Przestało padać. Susanne stała przed komendą policji w Nássjó i patrzyła w niebo. Jedna gwiazda. Przynajmniej widzi jedną gwiazdę. To chyba jedyna dobra rzecz, którą można powiedzieć o tym wieczorze.

Z tyłu za nią stała Eva, pochlipywała. Prawdopodobnie opierała swoją blond główkę na piersiach Tommy'ego i szukała jego ręki. Pozowała.

- Jeszcze tylko jedno zdjęcie - powiedział fotograf z gazety. Młody chłopak, niemal w tym samym wieku co chłopaki z zespołu. Obok niego stała reporterka, równie młoda dziewczyna w krótkiej spódnicy, z nastroszonymi włosami, wyglądała na nieco zmieszana. Susanne przesunęła się o kilka kroków, odwróciła do połowy, tak by móc zobaczyć Tommy'ego i Evę, ale pilnowała, żeby sama nie znalazła się na zdjęciu. Nie, żeby miało to jakieś znaczenie, fotograf ani reporterka nie patrzyli w jej stronę. Nie wiedzieli, kim jest.

Nie zrobił jednego zdjęcia. Tylko cztery.

- Co mówi policja? - zapytała w końcu reporterka. Tommy wzruszył ramionami.

- Że będą go szukać, rzecz jasna. I że go zamkną, jak go znajdą. Cholerny debil!

Eva znowu chlipnęła. Pociągnęła nosem. Chlipnęła. Jej głos brzmiał słabo, kiedy mówiła:

- To moja wina. Był taki nieszczęśliwy...

Reporterka podniosła swój notatnik, wyczuła newsa.

- Jesteś jego dziewczyną? Dziewczyną Bjórna Hallgrena?

414

Eva przytuliła się mocniej do Tommy'ego i niemal wyszeptwała:

- Tak. Ale dziś z nim zerwałam. Bo spotkałam...

Reporterka zrobiła krok do przodu:

- Opowiedz!

Fotograf znowu podniósł aparat. Susanne skrzywiła się z obrzydzeniem, odwróciła się do nich plecami i poszła.

Gruby policjant wytłumaczył jej, jak dojść do hotelu Högländ. Przejść przez Rynek Główny. Skręcić w ulicę Storgatan. Potem prosto. Położył jej rękę na ramieniu i lekko poklepał. Będzie dobrze. Pierwszym rannym pociągiem przyjadą rodzice, a do tego czasu Björn na pewno już się znajdzie. Oczywiście będą go przesłuchiwać i będzie dochodzenie, ale nie powinna się martwić. Robban nie odniósł ciężkich obrażeń. Pęknięta warga, trochę krwi z nosa i chwiejący się ząb, tylko tyle. Może

trochę gorzej wygląda sprawa rozruchów, ale jej brat czy kuzyn, czy jak mu tam, na pewno sobie z tym poradzi a ona powinna iść do domu albo do hotelu i się zdrzemnąć.

Tommy i Eva rozmawiali wcześniej z innym policjantem. Potem spotkali ją na korytarzu, ale tylko przeszli obok, zignorowali ją, udali, że Susanne nie istnieje, że nigdy jej nie było. Najdziwniejsze, że ona sama zrobiła to samo. Rzuciła im tylko spojrzenie i odwróciła się tyłem. Wyszła z komendy przed nimi, nawet nie przytrzymała im drzwi, domyśliła się tylko, że szli tuż za nią, tak blisko że, któreś z nich - pewnie Tommy - przytrzymało sekundę drzwi, nim zatrzasnęły się tuż przed ich nosem.

Wyszła na chodnik i stanęła do nich tyłem, wzięła kilka głębokich oddechów i spróbowała się na nowo odnaleźć. Swoje zdziwienie, swój żal, niepokój, wściekłość, cokolwiek tam w środku się znajdowało.

415

Nie udało się. Była lodowato spokojna. Refleksyjna. Myślała, ale nic nie czuła.

Choć z drugiej strony może to nie do końca prawda, pomyślała, mijając rynek. Czuła przynajmniej jedną rzecz. Pogardę. Już tam, w parku, widziała, jak Eva pozuje, błysk wyrachowania w sposobie, w jaki dopilnowała, żeby policja, a także fotograf ze swoim czarnym fleszem - ten gruby dziadek z gazety

lokalnej - dostali informację o tym, że ona, Eva, jest ważnym świadkiem może nawet wręcz główną bohaterką tej historii. Przed komendą policji powtórzyła to przedstawienie przed fotografem i reporterkami z „Aftonbladet” i „Expressen. Przecież poszło o zazdrość. Zazdrość Bjórna o Robbana. Lub o Tommy'ego. Susanne parsknęła. Jak Eva to wszystko na koniec wyjaśni?

Teraz doszła do Storgatan. Jakiś zegar wybijał godzinę i Susanne na chwilę zatrzymała się, próbując policzyć uderzenia. Bez sensu. Tylko jedno. Czyli jest już pierwsza w nocy. Obejrzała się. Ani jednego człowieka w zasięgu wzroku. Brak znaków życia. Miasto całkowicie opustoszałe, dokładnie tak jak wtedy, gdy przyjechali niecałe dziesięć godzin temu. Björn mógłby iść środkiem ulicy, zupełnie otwarcie. Nikt by go nie zauważył. Nikt by go nie złapał. Poczula kielkującą nadzieję, ale tylko przez sekundę. Wcześniej lub później Björn pojawi się i zostanie złapany.

Żaden człowiek nie może przecież zniknąć. Rozwiać się jak dym. Unicestwić się.

416

Świat poza światem

417, 418

Ciągnąca się całą wieczność cisza. Potem Anders odchrząkuje:

- Była moją żoną.

Po raz pierwszy mówi coś takiego. Była. Nie jest. Oczy Susanne rozszerzają się:

- Byłeś mężem Evy?

Anders czuje, jak na górnej wardze pojawia mu się pot, przesuwa po niej szybko ręką, żeby go wytrzeć. Jak dziecko pełne poczucia winy. Jak chłopiec, który poszukuje wymówki. Pozostaje tylko jedno słowo:

- Tak.

- Ale jak, na litość...

Przerywa w pół zdania. Dochodzi do niej, że pytanie byłoby bezczelne. Pomimo to on się do niej uśmiecha:

- Ja też się czasem zastanawiam...

Susanne odwraca wzrok, najwyraźniej poszukuje właściwych słów. Czegoś mniej impertynenckiego. Przychodzą jej do głowy i spogląda mu prosto w oczy.

- To ja zrobiłam to zdjęcie.

Anders dopiero teraz zauważa, że zaciskał w dłoni kawałki zdjęcia. Otwiera ją i spogląda na podarte fragmenty.

- Może chcesz je dostać?

Susanne prostuje plecy, kładzie ręce z tyłu na biodrach i znowu patrzy mu prosto w oczy.

- Nie. Zdecydowanie nie.

Na kolejną chwilę zapada cisza, potem Anders uśmiecha się. Susanne odpowiada mu przelotnym uśmiechem, światełko, które nagle się zapala i równie nagle gaśnie.

419

- Był na nim też Björn - dodaje później. - Na początku. Kiedy robiłam to zdjęcie, stał obok Evy

Anders uniósł brwi.

- Björn Hallgren? To twój brat?

Susanne ucieka wzrokiem. Jakby jej się narzucał. Albo powiedział coś niestosownego.

- Tak naprawdę to kuzyn. Ale wychowywaliśmy się jak rodzeństwo.

Anders kiwa głową w milczeniu. Nie za bardzo wie co powiedzieć, pospiesznie szuka w sobie odpowiedzi, a potem nabiera powietrza i kontynuuje:

- Musiała go wyciąć. Zanim dała mi zdjęcie. Znowu przemyka jej po twarzy uśmiech.

- Dobrze.

Dlaczego dobrze? W ostatniej chwili Anders powstrzymuje się od tego pytania, w zamian za to jeszcze raz się uśmiecha, teraz może nieco mniej serdecznie, i mówi:

- Jestem pewien, że go zachowała. Eva nigdy nie pozbywała się rzeczy bez potrzeby.

Susanne odwraca wzrok.

- Inaczej z ludźmi.

Mógłby się z tym zgodzić, ale nie odpowiada, pochyla tylko głowę i jeszcze raz przygląda się czterem kawałkom papieru w dłoni.

-Od jak dawna jesteście rozwiedzeni?

Jej głos wydaje się niepewny. Ostrożny. Anders nie odpowiada, nawet na nią nie patrzy, zaciska tylko dłoń robi kilka kroków w prawo i wrzuca resztki zdjęcia do kosza na śmieci.

- Nie - mówi potem, chociaż nie wie, czemu zaprzecza. - Teraz pójde zjeść śniadanie.

Potem odwraca się do niej plecami i idzie w stronę mesy.

420

Mija trochę czasu, zanim dociera tam też Susanne. Anders zdążył już usiąść przy stole na samym końcu sali, tuż przy wyjściu. Wybrał starannie miejsce. Chce siedzieć tak, żeby zobaczyć, jak wejdzie Ulrika, chce się do niej uśmiechnąć, tak jak ona do niego, kiedy o czwartej nad ranem wychodziła z jego kajuty.

- Czas na pobranie próbek - powiedziała, wciągając na siebie ubranie. On sam leżał bez ruchu i bez słowa na swojej koi, patrzył na nią i usiłował pojąć, że to naprawdę się wydarzyło. Między nimi. Między Ulriką, a Andersem. I że go zmieniło, uczyniło kimś innym, ponieważ wcześniej, nawet tego nie nazywając, zdołał samego siebie przekonać, że już nigdy, nigdy, przenigdy nie będzie spał z kobietą, bez straty zarówno dla niego, jak i całego rodzaju żeńskiego. Przecież jest złym kochankiem. Fatalnym w łóżku. Brzydki pachnącym, włochatym typem, który przez kilkadziesiąt lat sprawiał, że Eva najpierw sztywniała, a potem z rezygnacją wzdychała, gdy próbował się do niej zbliżyć. Drętwym i sztywnym facetem, który - jak twierdziła Eva - przenigdy nie zrozumie, jak jest odbierany przez naprawdę czującą osobę, taką jak ona sama, która pielęgnuje swoją zmysłowość.

Jednak tej nocy był w łóżku z Ulriką. I ona nie wzdragła się, kiedy jej dotykał. Była miękka i ciepła, podatna. Całowała go otwartymi ustami. Jej sutki stwardniały, Zrobiła się wilgotna. Zadrzała chwilę przed tym, jak doszedł, zadrzała i jęknęła. Poczuł, jak jej wagina zaciska się wokół niego i jak fala czegoś ciepłego i mokrego...

Anders krzywi się nad tacą ze śniadaniem. Żle pomyślane. To, co przeżył z Ulriką, trzeba traktować delikatnie. To nie jest coś, co można wspominać przy śniadaniu - tylko po to, by jeszcze raz poczuć, jak przez cały system nerwowy przechodzi tamten dreszcz. W ten sposób wspomnienie może się zatrzeć.

421

Uśmiecha się lekko do swojej następnej myśli: To coś, co musi schować w swoim sercu. Niewypowiedziane. Niepomyślane. A mimo to ciągle o tym myśli. Bo to wydarzyło się gdzieś poza wszystkimi słowami. Nie ma słów na uczucie, że cały ciężar unosi się, że człowiek jest nagle tak lekki, aż mógłby fruwać, a zarazem tak silny, że mógłby przenieść całą ziemię, unieść ją, zakołować...

Stop. Anders patrzy na jajko na miękko i lekko wzdycha. Tak też nie. Tego rodzaju wybuchy emocjonalne mają swoje nazwy i nie są to nazwy pochlebne. Zwłaszcza dla lekarza. Ma zwyczaj wpisywać te słowa do dzienników choroby i na skierowaniach, nazwy, o których wie, że trzeba na nie uważać. Dlatego zmusza się do wzięcia naprawdę głębokiego oddechu, a potem podnosi łyżeczkę, stukną w jajko i

zaczyna zdejmować cieniutką skorupkę, rozglądając się przy tym dookoła.

Prawie wszyscy zjedli już śniadanie. Przy szarych stołach siedzi gdzieś tam tylko kilka osób. Kilka stolików dalej kuli się ponuro nad kawą John, z roztargnieniem skubie mały sztuczny kwiatek w doniczce, którą ma przed sobą. Przy innym stoliku siedzi Roland i coś czyta, krótkowzrocznie pochyla się nad papierami, aż Anders marszczy czoło. Czy ten człowiek nie rozumie, że potrzebuje okularów? Sekundę później już o tym nie pamięta, bo przy trzecim stoliku rozlega się śmiech. Ktoś zażartował. Pewnie to Robert, bo jest jedynym, który się uśmiecha i to z dużym zadowoleniem, podczas gdy inni – Vincent, Eduardo i dwie amerykańskie badaczki - patrzą na niego i głośno się śmieją. Anders poprawia się. Nie jest rzeczą przyjemną, gdy ludzie śmieją się, a człowiek nie wie dlaczego.

Wtedy do mesy wchodzi Susanne. Powtarza wczorajsze przedstawienie, przesuwając po nim wzrokiem i obojętnie kiwa głową, jakby był kimkolwiek, a nie człowiekiem, którego życie najwyraźniej otarło się o jej życie.

422

Potem podchodzi do bufetu z jedzeniem. Sięga po filiżankę, pół grejpfruta, chleb, masło i...

- Cześć.

Głos Ulriki przeszywa go jak uderzenie i mija dziesiąta część sekundy, nim Anders przypomni sobie, kim ona jest, kim jest on sam i dlaczego nagle wypełnia go ogromne ciepło. Potem znowu staje się sobą i uśmiecha do niej.

- Cześć. Wszystko w porządku?

- Tak. Chcesz siedzieć sam czy...

- Nie. Absolutnie nie. Nie!

Odpowiedź przychodzi nieco zbyt szybko i jest odrobinę zbyt żarliwa. Ulrika zdaje się wahać, a potem kiwa głową i idzie w stronę bufetu. Staje obok Susanne i pozdrawia ją. Susanne odpowiada i zaczynają o czymś pogadywać. Jakaś odpowiedź. Ulrika bierze sobie chleb i znów coś mówi, rzucając jednocześnie szybkie spojrzenie przez ramię w stronę kolejnego wybuchu śmiechu przy stoliku

Roberta. Kiwa głową do Susanne, która trzyma w ręku termos z kawą, sobie też nalewa. Później idzie z tacą, na chwilę przystaje, żeby przepuścić Johna, który w przygnębieniu przecina jej drogę. Uśmiecha się i pozdrawia go, nie otrzymując odpowiedzi. Idzie dalej w tym samym kierunku. W stronę stolika Andersa. Jednocześnie nadal rozmawia z Susanne, która idzie tuż za nią i która najwyraźniej też zmierza w stronę stolika Andersa.

Niech to szlag.

Musi się opanować. Kontrolować twarz. Nie pokazać zawodu ani gorliwości. Trzymać w szachu

swoją ciekawość teraz, gdy Susanne usiądzie z nimi. Nie zadawać pytań, których jeszcze nie postawił. Nie obnażać swojej radości. Nie pozwolić komuś - nawet samej Ulrice - zrozumieć, że się zakochał i że w środku drży jak piętnastolatek.

Kiedys było łatwiej. Kiedy był młody. Nigdy nie poszedł do łóżka z osobą, której nie znał.

423

Wiedział wszystko o tamtych czterech dziewczynach, które stanowiły jego doświadczenie erotyczne, gdy spotkał Evę. Poznał ich rodziców i rodzeństwo, odwiedził letnie dachy ich rodzin i miejsca związane z ich dzieciństwem, jego własni rodzice zdążyli go zaprosić na obiad, dzięki czemu mógł popatrzeć z lekkim pobłażaniem, jak chichoczą z jego siostrą, zanim w ogóle przyszło mu do głowy żeby spróbować ściągnąć z nich ubrania. To zupełnie nowe doświadczenie. Zostać zwabionym do laboratorium i uwiedzionym przez uśmiechniętą panią profesor, o której nie wie nic. Na przykład czy jest mężatką i czy ma dzieci...

Anders podnosi filiżankę i wypija łyk kawy w chwili, gdy Ulrika i Susanne podchodzą do jego stolika. Kawa jest chłodna, ostygła, kiedy tu siedział, ale nic nie szkodzi. Gorzki smak zmusza go, żeby zachować kontrolę nad twarzą. Kiedy obie wysuwają krzesła naprzeciw niego, szybko przymyka oczy, a potem je otwiera i miło się uśmiecha. Jest znowu sobą. Andersem Janssonem. Racjonalnym lekarzem medycyny ogólnej.

-Jak się macie? - mówi z uśmiechem.

Ulrika rzuca mu szybkie spojrzenia, potem odpowiada uśmiechem.

-Dobrze. Bardzo dobrze.

Susanne kiwa głową, ale nic nie mówi. Na parę chwil zapada cisza.

- Widziałam dziś rano niedźwiedzia polarnego mówi Ulrika. - Kiedy miałam pobrać próbki.

- O! - mówi Susanne.

- Samica z dwoma małymi. Tylko pięćdziesiąt metrów ode mnie.

Anders lekko odchrząkuje.

- Zrobiłaś zdjęcia?

Ulrika uśmiecha się jeszcze szerzej i rzuca mu flirtujące spojrzenie. Tak. Trzeba tak je nazwać.

424

Flirtujące. Aż go w środku łaskocze z radości, uśmiecha się do niej. Nagle ma znowu piętnaście lat.

- Nie - odpowiada Ulrika. - Nie miałam ze sobą aparatu. Miałam pobrać próbki.

- Szkoda - mówi Susanne.

Znowu zapada cisza, ale jest już inna. Nowa. Spokojniejsza. Anders wypija jeszcze jeden łyk zimnej kawy, a potem postanawia wstać i iść po następną filiżankę, ale nie zdąża się nawet podnieść, gdy Ulrika mówi:

- A więc macie oboje wspólnych znajomych...

Anders zmienia zdanie i niezauważalnie opada z powrotem na krzesło. Czuje, jak ciężkie jest jego zdziwienie. I jaką sprawia mu to ulgę.

- Tak - mówi Susanne i podnosi wzrok znad swojego grejpfruta. - Mój brat był z byłą żoną Andersa. Dawno temu. Sto lat albo więcej.

Ulrika uśmiecha się lekko, nie dlatego, że jest to szczególnie zabawne, ale raczej dla dodania wszystkim otuchy.

- Żyjemy w małym kraju - mówi. - Wszyscy znają wszystkich.

Anders nadal siedzi w milczeniu, poruszają się tylko jego oczy. Najpierw patrzy na Ulrikę, a potem na Susanne, potem znów na Ulrikę, która właśnie podnosi filiżankę i wypija łyk kawy.

- Co się z nim tak naprawdę stało? - pyta później. - Dowiedzieliście się tego kiedyś?

425

- Czasami myślę, że nadal żyje...

Susanne słyszy, jak wypowiada te słowa, i jest tym zaskoczona. Nie ma w zwyczaju rozmawiać o zniknięciu Bjórna. Jeszcze ewentualnie o nim jako o dziecku, bracie, kuzynie czy gwiazdzie rocka, ale nigdy w życiu o tym, jak się rozplynął i zmienił we wspomnienie. Jednak teraz siedzi tu z dwójką dalekich znajomych, z miłą profesorką oceanografii i nieco mniej sympatycznym lekarzem, mężczyzną, który stracił do tego stopnia rozeznanie, że wziął ślub z Evą, i mówi im to, czego nie powiedziała nikomu innemu. Żadnemu człowiekowi.

Natychmiast opanowuje się i próbuje cofnąć to, co powiedziała.

- Ale oczywiście tak nie jest. Björn nie żyje. Musiał umrzeć już tamtej nocy. Albo zaraz potem.

Anders kiwa potakująco. Jakby to było oczywiste. Ulrika wygląda na bardziej sceptyczną.

- Nigdy go nie znaleziono?

Susanne spuszcza wzrok, wpatruje się w swojego grejpfruta i potrząsa głową. To powinno starczyć. Powinien być to wystarczająco wyraźny sygnał, że nie chciałaby o tym dyskutować. Jednak Ulrika nie da się powstrzymać.

- To wtedy zaczęłam czytać gazety - mówi. - Kiedy zaginął twój brat. Miałam jedenaście lat i do tego czasu nie obchodziło mnie, co jest w gazetach. Jednak wtedy zaczęło. Przebrnęłam przez każdy artykuł o

jego zaginięciu.

Susanne kiwa głową w milczeniu. Ulrika uśmiecha się przelotnie

426.

- Przez pierwsze pół roku wycinałam je i wkładałam do pudełka po butach. Myślę, że nadal gdzieś je mam. Pamiętam, że była tam jakaś historia o dziewczynie z Nassjó...

- Britt-Marie Samuelsson?

Susanne jest ponownie zaskoczona. Nadal mówi o zniknięciu Bjórna. Nazywa po imieniu tamtą ohydłą kobietę. I pomimo to zachowuje ton głosu normalnej osoby. Może po prostu nadszedł już czas. Minęło przecież ponad czterdzieści lat.

- Tak - mówi Ulrika. - Chyba tak się nazywała. Ta, która mówiła, że pomogła mu uciec.

Susanne kiwa głową.

- Tak - potwierdza. - Ja też o niej czytałam. Ale nie wiem, czy jej wierzyć.

To tylko częściowo prawda. Nie tylko czytała o Britt-Marie Samuelsson, ale też ją spotkała. Przez głowę przemknęło jej wspomnienie. Widzi siebie samą, roztrzęsioną i dość zahukaną wersję siebie, jak siedzi przy niedużym stoliku w trakcie Dnia Książki w Jónköping i składa autografy na swoim pierwszym kryminale. Nie wie, czy jest z niego dumna, czy się wstydzi, to sukces, wyjątkowy sukces, i za jej plecami wydawca zaciera ręce, ale zarazem wstyd jej, że to tak dobrze sprzedająca się książka, i tak łatwo było ją napisać. Pomimo to oczywiście miło się uśmiecha i podpisuje egzemplarz za egzemplarzem, nie pozwala, by ktoś domyślił się, że siedzi tu przegrana poetka, kobieta, która ma za sobą kilka nieudanych projektów. Że jest córką, która powinna zostać zgładzona zamiast swojego brata, żoną, która niecałe trzy miesiące po ślubie zostawiła męża, psycholożką, która nigdy nie odebrała swojego dyplomu, powieściopisarką, która spaliła swoją pierwszą powieść, mimo że była dobra i wbrew temu, że była jedyną ważną książką, jaką kiedykolwiek napisała.

427

Zamiast której wyprodukowała ten bezwartościowy kryminał, i teraz widzi, jak kolejka do jej stolika ciągnie się daleko, aż na korytarz, dalej niż do któregośkolwiek z innych pisarzy.

Dlatego mija chwila, nim zauważy tamtą kobietę która stoi obok jej stolika, kobietę w jej wieku, z ufarbowanymi henną włosami i szarą twarzą. To cierpliwy typ, który nie rusza się z miejsca, stoi tam, gdzie stała od prawie trzech kwadransów, i nie spuszcza Susanne z oczu. Kiedy podpisywanie książek się kończy i Susanne wstaje, kobieta robi krok w przód, kładzie rękę na rękawie marynarki Susanne i mówi:

-To ja jestem Britt-Marie Samuelsson. Musimy porozmawiać.

Jej nazwisko wywołuje jakieś niewyraźne wspomnienie. Mgliste i nieprzyjemne. Susanne odsuwa ramię:

-Przykro mi, ale muszę...

Próbuje się wycofać, ale nie udaje jej się, za plecami ma już tylko ścianę. Dlatego przepycha się z nieśmiałym uśmiechem przez tłum przy stoliku: rozmawiające kobiety, uśmiechnięte kobiety, śmiejące się kobiety i gdzieś tam pojedynczy, poważny mężczyzna, ale kobieta z włosami farbowanymi henną nie poddaje się, idzie tuż za nią i bez przerwy mówi.

- Musi mnie pani wysłuchać. Policja nigdy nie chciała mnie słuchać, myśleli, że kłamię. Tak, w każdym razie poszli ze mną do stodoły, ale tylko po to, żeby mnie uciszyć. Tylko weszli i zaraz wyszli. Nic nie wskazywało na to, że on tam był, tak powiedzieli. Oczywiście na podłodze leżało kilka niedopałków, ale mogłam je później tam przynieść, więc w ogóle ich to nie obchodziło, a poza tym...

Susanne zdążyła już wejść do damskiej toalety i zamknąć się w małej ubikacji, dopiero wtedy zatrzymała się i przypomniała sobie, kim naprawdę jest Britt-Marie Samuelsson.

428

To ona pisała listy do Elsie i dzwoniła do Inez, to ona wtargnęła na mszę żałobną i płakała tak głośno, że nie było już miejsca na niczyje inne łzy. A teraz ta sama Marie stoi przed ubikacją, w której jest Susanne, i nadal mówi. Susanne na chwilę zamiera, a potem uświadamia sobie, że nie ma ucieczki, więc w końcu otwiera drzwi i wychodzi. Spogląda jej w twarz. A więc to jest Britt-Marie Samuelsson. To ona jako dziewczyna opowiadała o wszystkim dziennikowi „Aftonbladet”, a potem każdemu tygodnikowi. Teraz już nie jest dziewczyną. Żółtawa twarz czterdziestopięciolatki. Zmarszczki wokół oczu. Szczupłe policzki. Szare oczy. Spojrzenie, które wydaje się - Susanne zastanawia się - trochę dzikie. Tak. Niestety. Nie ma innego sposobu, by je opisać. Dzikie spojrzenie.

- Przepraszam - mówi i sama słyszy, jak ostro to brzmi. Niemal wyniośle. - Nie do końca rozumiem, o czym pani mówi.

Oczywiście kłamię. Ale Britt-Marie Samuelsson wierzy w to kłamstwo, wzdycha głęboko i wygląda, jakby uszło z niej całe powietrze, kurczy się jak wypompowany balon, robi się mniejsza, sflaczała. Patrzy Susanne w oczy, a potem spuszcza wzrok.

- Mówię o Björnne - wyjaśnia. Jej głos jest teraz stłumiony. - Pani bracie.

- Moim kuzynie - mówi Susanne, robi krok w stronę zlewu, wyciska trochę mydła i zaczyna myć ręce.

Kobieta za jej plecami wzrusza ramionami. Ich spojrzenia spotykają się w lustrze.

- Nikt nigdy mi nie wierzył... Nikt nie chciał słuchać.

To kłamstwo i obie o tym wiedzą. Gazety jej przecież słuchały. Susanne sięga po papierowy ręcznik i odwraca się do niej, patrząc kobiecie w oczy, mówi:

- Ja słucham.

Britt-Marie Samuelsson podnosi oczy do góry i przygląda się jej z powątpiewaniem.

429

- No - mówi Susanne. Przysiada na małym taborecie. Britt-Marie waha się przez chwilę, a potem sama siada na taborecie obok.

- Przez całe życie tego żałowałam - mówi. - Że czekałam przez cały miesiąc, zanim poszłam na policję. miałam tylko szesnaście lat...

Opowieść sączy się z niej powoli i rozwlekle. Rodzice rozwiedli się. Mama pracowała w fabryce butów, a ona opiekowała się dziećmi nauczyciela liceum w Nässjö i marzyła o przyszłości gdzieś daleko, gdzieś indziej. Kiedy przyjeżdżały znane zespoły rockowe, zawsze była w Parku Ludowym, najczęściej zakradała się przez dziurę w ogrodzeniu, nigdy nie było jej stać na kupienie biletów i zarezerwowanie siedzącego miejsca, więc...

Susanne zaczyna się niecierpliwić i wiercić. Ale co z Bjórnm? Co ona ma do powiedzenia o Bjórnm?

- Tak - mówi kobieta. - Pani tam nie było. Czytałam o tym w gazecie. Nie widziała pani, co zdarzyło się na scenie.

Susanne kiwa głową. Pamięta to bardzo wyraźnie, każdą sekundę, każdy ruch. Jak stała z tyłu oparta o parkan. Swoje zdumienie, kiedy Robban wszedł na scenę i zaczął robić miny. Śmiech, wraz z poczuciem winy podchodzący do gardła, gdy Peo zaczął się śmiać i nagle zduszony w krtani, gdy Björn odwrócił się i upuścił mikrofon...

- Ja chyba pierwsza weszłam na scenę - mówi Britt-Marie i pociąga nosem. Teraz mówi szybko, nie szuka już słów, tak jakby czytała na głos coś, czego już się nauczyła. O tym, jak biegła za nią połowa publiczności. Jak ten głupi ochroniarz, Svensson, tak się nazywał, rzucił się na Bjórna i odciągnął go od Robbana, chociaż wszyscy uważali, że mu się to należy, to znaczy Robbanowi - dostał, co mu się należało - i jak jej koleżanka, Agneta, ugryzła Svenssona w rękę, a potem Britt-Marie...

430

Susanne zamyka oczy. Poznaje tę historię. Sama też ją zna niemal na pamięć. Czytała o tym w „Aftonbladet”, „Aret Runt” i „Aller”. Najpierw raz do roku. Potem raz na jakieś dziesięć lat. Björn zniknął i to nadało sens życiu Britt-Marie Samuelsson. Uczyniło ją kimś. A teraz Britt-Marie pociąga nosem. Ma płaczący głos, może w oczach też pojawiły się łzy.

- Na policję poszłam dopiero po miesiącu - mówi. - Nie uwierzyli mi. Chociaż poszli ze mną do stodoły...

Podniosła właśnie rękę, żeby odsunąć na bok grzywkę, i przygotowuje się do powtórzenia całej historii, opowie jeszcze raz, o czym już mówiła, jednak Susanne wstaje i przygląda się jej. Stoi przed nią całkowicie wyprostowana, bez ruchu, i swoim milczeniem zmusza ją do milczenia. Britt-Marie siedzi teraz

z otwartymi ustami i czeka, Susanne pozwala jej czekać. Lustruje ją uważnie od niewypolerowanych kozaków do poczochranych włosów, a potem powoli potrząsa głową i mówi:

- Uch!

I odchodzi.

Później zastanawiała się nad tym słowem. Co ono tak naprawdę znaczyło. Pogardę, rzecz jasna, usprawiedliwioną pogardę, ponieważ wydawało jej się, że wyczuwa w emocjonalnym wybuchu

Britt-Marie chciwość i wyrachowanie. Minęło już trzydzieści lat, od kiedy tamto się wydarzyło, ale

Britt-Marie nadal ma tylko szesnaście lat, otarła się o sławę, dotknęła jej, złapała i nie zamierza odpuścić. A mimo to pogarda Susanne podszyta jest czymś innym. Poczuciem winy. Współczuciem albo nawet współodczuwaniem. Jakim prawem pogardza Britt-Marie Samuelsson, która nigdy nie dostała tego, co dostała sama Susanne? Z jednej strony. Z drugiej istniał jeszcze jeden pokład winy i jeszcze głębszy pokład pogardy. Jak można być tak głupim, żeby przez całe życie wałkować jedno wydarzenie?

431

I jak można mieć tak zły gust, żeby farbować włosy na niemal fioletowo? I jaka bieda jest tak bezgraniczna, że nie można wypolerować butów?

Jednak to nie była właściwa odpowiedź. Teraz to rozumie. To nie pogarda sprawiła, że powiedziała „uch”. Nie szacunek dla pamięci o Björn. Tylko to, co znowu poczuła, słuchając ładnie powtarzanych zdań Britt-Marie. Zawiść. Złośliwość (tej, która ma gorzej) wyłażącą jak pazur kota, żeby głęboko zadrapać, jeśli tylko nadarzy się szansa. Zawiść podobną do tej, którą czuła Ingalill.

Uch.

Przechodzi ją dreszcz. Jest z powrotem w mesie „Odyna”. Siedzi obok Ulriki, która nie wygląda na kogoś, kto przejawiałby skłonność do zawiści i naprzeciwko Andersa, który wygląda na kogoś, kto umie trzymać swoje skłonności w szachu. Co najmniej zazwyczaj. Rozmawiają teraz ze sobą, oczy im błyszczą. Susanne nie może się powstrzymać od uśmiechu. Aha. Zakochani. Podnosi filiżankę i pije za swoje zdrowie. Wszystkiego najlepszego.

- Wspaniały dzień - mówi Ulrika. - Wyjdę na pokład.

- Tak - mówi bez tchu Anders. - Ja też.

Ulrika zerka na Susanne, chwilę się waha:

- Wybaczysz nam? Susanne uśmiecha się do niej:

- Oczywiście. Widzimy się później.

- Tak - mówi znowu Anders. – Potem.

432

Dzień jest rzeczywiście wspaniały, może to w ogóle ostatni wspaniały letni dzień wśród lodów. Kilka stopni mrozu. Świeci słońce. Niebieskie niebo. I nieskończoność idealnego lodu po dwóch stronach „Odyna”, białego lodu z wąskimi wstążkami turkus. Anders czuje gwałtowny impuls, żeby zawołać w białą przestrzeń, ale oczywiście tego nie robi. Idzie za to na dziób, staje obok Ulriki na podeście i tak jak ona wychyla się za burtę. Rozglądają się dookoła.

- Zobacz!

Ulrika wskazuje palcem mały punkt, turkusową plamkę na białym tle. Przez sekundę Anders widzi, jak dwie ryby unoszą się niczym czarne znaki jin i jang w roztopionym lodzie, potem potężny „Odyn” opada na nie i zostają wciągnięte pod jego korpus, wchłonięte przez wodę, znikają.

- Dorszyki polarne!

- Ulrika wygląda na naprawdę uszczęśliwioną. Anders spogląda na nią i też się uśmiecha.

- Myślisz, że przeżyją?

Ulrika wybucha śmiechem. Jej białe zęby błyszczą.

- Jasne, że przeżyją. Bardzo rzadko się je widuje. W zeszłym roku mieliśmy ze sobą chłopaka, który interesował się dorszykami polarnymi. Godzinami stał i ich wypatrywał, każdego dnia, ale żadnego nie zobaczył...

A my zobaczyliśmy dwa. Tak po prostu.

- Szczęście jest po naszej stronie.

433

Ulrika zerka na niego i uśmiecha się, a potem obejmuje go ramieniem i pociera policzkiem o jego tors, dotyka jego błękitnej kurtki.

- Tak - mówi. - Też tak myślę. Naprawdę uważam że ty i ja mamy szczęście.

Gwizdże, wchodząc do swojej kajuty. Po prostu nie może się powstrzymać, chociaż wie, że to głupie i że jest kompletnie niemuzykalny. Chociaż... Nagle zatrzymuje się, przystaje bez ruchu. Kto powiedział, że gwizdanie jest głupie? I kto mu mówił, że nie jest muzykalny?

Eva. Ale teraz jest od niej wolny. Teraz może sobie gwizdać, ile mu się podoba. I cieszyć się, ile mu

się podoba.

Ulrika jest wdową. Jest wdową od piętnastu lat. Poza tym ma syna, dziesięcioletka, który właśnie zaczął studiować medycynę. I dwoje rodziców, którzy pomagali jej i wspierali ją, cieszyli się nią każdego dnia w ciągu jej całego życia. Jest spokojna i radosna, odpowiedzialna i opiekuńcza. Szczęśliwa. Jest pierwszą naprawdę szczęśliwą osobą, jaką spotkał. I zarazi go swoim szczęściem, Anders to wie. Już teraz to czuje.

Na pokładzie przytulili się do siebie. Stali naprzeciwko siebie, obejmując się, pozwalali, żeby cały świat albo co najmniej każdy człowiek, który ich akurat widzi z mostka czy z obserwatorium meteorologicznego, przez wywietrznik w kuchni lub okno w którymś z kontenerów, widział, że się do siebie tulą. Że się sobie podobają. Że są razem.

Anders nadal gwizdże, kiedy odpala komputer. Czas wysłać mejla do Jonasa. Mężczyzny, który uczyni go wolnym.

Zaskakuje go, jak szybko dostaje odpowiedź. Niecałe dwie godziny później.

434

Budzi się z przedpołudniowej drzemki i uśmiecha do sufitu, przypomina sobie mgliście wesoły, skłaniający do śmiechu sen, potem siada, mruży oczy. Idzie do biurka, żeby sprawdzić skrzynkę mejlową. Już jest.. Odpowiedź.

Bracie!

Dzięki za mejla. Przyszedł idealnie na czas. Chwilę wcześniej. zadzwoniła do mnie twoja przyszła eks, próbowałem jej wyjaśnić, że nie mam od Ciebie wiadomości i w związku z tym nic nie wiem o sprawie. Była bardzo zadowolona, kiedy znowu do niej zadzwoniłem i poinformowałem, że się odezwałeś, ale nieco mniej, gdy wyjaśniłem, że rozvodu nie będzie, dopóki nie wrócisz do domu. Musisz przecież sam podpisać wszystkie papiery. Była też trochę niemile zaskoczona, kiedy powiedziałem, że chcesz sprzedać dom. Miałem wrażenie, że chciałaby, abyś dalej w nim siedział i czekał na jej ewentualny powrót.

Do twojego powrotu z wyprawy załatwię wszystkie formalności. Fajnie będzie znów się zobaczyć.

Jonas

Anders uśmiecha się i przeciąga. Kiedy to robi, coś pstryka w komputerze. Kolejny mejl. Z adresu Bengta Bengtssona.

Anders!

Rozmawiałam właśnie z adwokatem, którego zatrudniłeś. Twierdził, że poprosiłeś go o skontaktowanie się z maklerem w sprawie sprzedaży willi. Przepraszam, ale to jednak nie jest coś, co możesz sobie ot tak, po prostu zrobić. Jestem właścicielką połowy domu. Poza tym mieszkaliśmy w nim przez ponad trzydzieści lat. Jest pełen wspomnień, wprawdzie nie zawsze radosnych ale jednak wspomnień. Takiego domu nie można się tak, ot po prostu pozbyć. Dlatego nie zamierzam pozwolić na żadną sprzedaż. Żebyś wiedział. Możesz sobie w nim dalej mieszkać. Jest to wyjątkowa grzeczność z mojej strony, biorąc pod uwagę, że uniemożliwiłeś mój ślub w Paryżu, wyjeżdżając sobie w ten totalnie nieodpowiedzialny sposób.

Eva

435

Tym razem Anders nie przechyla głowy na bok. Nawet się nie zastanawia. Kładzie tylko ręce na klawiaturze i odpowiada:

To mnie wykup. Będziesz mogła zachować dom. W przeciwnym razie sprzedaż.

Anders

Zatrząskuje komputer i znowu się przeciąga. Za oknem świeci słońce. Na niebie nie ma ani jednej chmury.

436

„Odyn” podąża dalej przez doskonały dzień. Przyciska dziób do gładkiej, białej powierzchni i rozbija ją, odsłaniając na sekundę turkusowe wnętrzości, potem wciska łód pod kil, uwalnia dorszyka polarnego, albo dwa, od głodowania w małej kałuży wody roztopowej i zaprasza je do morskiej obfitości jedzenia i możliwości, rozkoszy i niebezpieczeństw. Wokół statku kołuje kilka rybitw i Goran tak się zaczyna w związku z tym wydzierać z jednego z kontenerów, że na pokładzie Lars, ornitolog, wykrzywia się i zirytowany podnosi wyżej słuchawkę. Tak, widział je. Ale to przecież tylko rybitwy, nie ma się co tak podniecać.

- Ale są też inne. Na przykład kilka love-birds. Właśnie je widziałem. Over.

- Love-birds? Tutaj? Over.

- Och. Co z tobą? Doktor i Ulrika. Stali na pokładzie i się przytulali. Over.

- Aha. Mam to gdzieś. Over.

- To sobie miej. Over.

Na mostku zawsze skwaszony Sture uśmiecha się, podając nie mniej skwaszonemu Leifowi Erikssonowi satelitarne zdjęcie, po sekundzie wahania Leif Eriksson decyduje się odpowiedzieć uśmiechem, choć bardzo przelotnym. To rzadka chwila i po niej robi się wokół nich zupełnie cicho, dwóch członków załogi i trójka naukowców gapią się na nich zdumieni przez kilka chwil, aż w końcu Leif Eriksson odśpiewuje zęby i wydaje odgłos podobny do warknięcia.

437

Członkowie załogi odwracają się do niego plecami, a trójka naukowców ponownie skupia się nad swoimi komputerami, po to tylko by jeszcze raz podnieść głowy i okazać zdziwienie, gdy Sture przechodzi obok nich, nucąc. Tak. To naprawdę się dzieje. Skwaszony Sture nuci. I to Beethovena.

Dla Elizy. Brzmi smętnie.

Vincent i Eduardo stoją ze swoim aparatem na czwartym pokładzie. Eduardo rozstawił statyw, a teraz pochyla się, żeby ustawić ostrość. W dali na lodzie pojawia się coś szarego. Eduardo naciska zoom i teraz wyraźnie widać kontury bardzo zadowolonej małej fokki, która leży na plecach obok swojej przerębli i cieszy się dniem.

- Patrz - mówi do Vincenta, prostując plecy. Vincent pochyla się do przodu i zerka w obiektyw, lekko się uśmiechając.

- Robimy. Ludzie kochają fokki.

Eduardo znowu pochyla się nad aparatem. Filmuje. Foka leży jeszcze przez parę minut, wygląda, jakby pozowała, klepie się płetwą po brzuchu, lekko porusza głową, troszkę ją przechyla. Kiedy Eduardo jest już usatysfakcjonowany, foka czołga się w kółko i niezdarnie telepie do swojej przerębli. Nurkuje, przesyłając ostatnie pozdrowienie machnięciem tylnej płetwy.

- Idealnie - stwierdza Eduardo.

- Dobrze - mówi Vincent i zapala papierosa.

W laboratorium Wiktor uzyskuje wybaczenie. Nowe pomiary pokazały, że poziom rtęci jest równie wysoki, bez względu na to, czy Wiktor jest w środku, czy też nie. Czyli wysokie wyniki nie były pomyłką, po prostu zawartość rtęci w wodzie morskiej musiała gwałtownie wzrosnąć w niecały rok.

-Musimy się tym zająć - mówi Ulrika z poważną miną. - Licz się z tym, że popłyniesz na więcej takich wypraw.

438

- Oczywiście - odpowiada Wiktor. - Jasne,

Potem odwraca się i pochyla nad jakimiś przyrządami - wszystko po to, żeby ukryć, jak drży w środku. Nie z zadowolenia, sam to przed sobą podkreśla. Absolutnie nie. Nikt nie wie lepiej od niego, jakie problemy może powodować rtęć. Jednak w najbliższym roku będzie się doktoryzował, a zdanie Ulriki może oznaczać tylko jedną rzecz: stałe zatrudnienie po doktoracie. W jej instytucji. Udział w wyprawie jest czymś fantastycznym. A teraz i będzie mógł jechać na kolejne.

Frida pochyla się do przodu i otwiera piecyk, w kuchni roznosi się zapach świeżo upieczonego chleba. Sofia przystaje w miejscu i wyciera ręce w czerwony, kraciasty ręcznik. Wdycha zapach i przez moment się nim rozkoszuje, a potem wkłada fartuch za spodnie i pyta:

- Wiesz, kogo widziałam?

Frida kładzie właśnie gorącą blachę do pieczenia na nierdzewnym blacie, metal brzęczy, dotykając metalu.

- Nie.

- Doktora i Ulrikę. Całowali się na przednim pokładzie.

Frida przesuwa ręką po czole.

- Aha. To im fajnie.

- Ale myślałam, że doktor jest żonaty...

Sofia od niedawna jest na morzu. Ale jej Martin, ten, za którego ma wyjść, od dawna.

Frida odwraca się do niej plecami, kiedy odpowiada, w jej głosie słycać uśmiech.

- Tak. Ale to się nie liczy, kiedy jest się na statku.

Potem już czas na podanie lunchu.

439

Po południu zaczyna się chmurzyć. Susanne, wychodząc na pokład, podnosi kołnierz kurtki, ale i tak przechodzi ją dreszcz, kiedy zdejmuje rękawiczki i zapala papierosa. To nowy rodzaj zimna, wilgotny, nieprzyjemny chłód, który wnika pod skórę palców i zaciska naczynia krwionośne tak gwałtownie, że niemal boli. Susanne pospiesznie naciąga na nowo rękawiczki, a potem staje na stopniu na dziobie i rozgląda się dookoła.

Świat zaczyna się zmieniać. Susanne obserwuje, jak to się dzieje.

Najpierw gaśnie słońce, wślizguje się za jakieś chmury i nagle światło nie jest już białe. Lód natychmiast odpowiada, robi się szary, najpierw mieni się jasną szarością, potem matowieje w rytm ciemnienia chmur na niebie. Turkusowe plamy wody roztopowej też ciemnieją, ich barwa nabiera głębi, są prawie granatowe, a po paru sekundach czernieją. W tej samej chwili znika horyzont, mgła zamazuje słabą linię na skraju świata, sekundę potem zaczyna padać deszcz, nie, śnieg - kłuszący zimnem opad śniegu z małymi, twardymi ziarnami, które nagle zastaniają wszelki widok. Śnieg, a za nim porywiste wiatry. W niecałą minutę świat kurczy się. Jedyne, co pozostaje, to metr pokładu.

Susanne kuli się i upuszcza papierosa w białą niewiadomą, tam gdzie przed chwilą był lód i, miejmy nadzieję dalej jest. Potem zakłada kaptur i biegnie truchtem, wciąż skulona, w stronę drzwi prowadzących do jej korytarza.

440

Podmuchy wiatru szarpną jej kurtkę, aż furkocze na plecach, przez parę sekund ma wrażenie, że ją uniosą, że pofrunie nad pokładem, nad burtą, prosto na lód, a potem porzucą ją gdzieś daleko w nieznaną biel, ale oczywiście się to nie dzieje. Wiatr ją dręczy, popycha i ciągnie, ale nie podnosi do góry. Stoi tam gdzie stała i usiłuje otworzyć ciężkie drzwi, ale nie jest w stanie tego zrobić, chociaż chwyta klamkę obiema rękami i przyciska do dołu z całą siłą. Nie udaje się, bo wiatr stawia jej opór, śmieje się złośliwie i utrzymuje drzwi zamknięte, bez względu na to, jak ona szarpie, wysiła się i ciągnie.

Susanne poddaje się niemal natychmiast, przywiera ściśle do ściany „Odyna” i małymi krokami idzie do trapu kawałek dalej. Chwyta obiema rękami poręcz i składa sobie uroczystą przysięgę, że jej nie puści bez względu na to, co zrobi z nią wiatr. Tutaj dmucha bez ograniczeń, tu jest gorszy niż kiedykolwiek, może łatwo ją zmieść, przewrócić, sprawić, że spadnie, odbijając się od ostrych kantów schodów. Nie zamierza na to pozwolić, chociaż wiatr zwiewa jej kaptur, a kark jest wystawiony na ziąb, który najpierw szczypie, a potem się w nią wgryza. A tysiące małych ziarenek lodu wymuszają na niej, by zmrużyła oczy. Nie zamierza się poddawać. Nigdy w życiu. Jak małe dziecko idzie bokiem w dół trapu, jeden krok, drugi krok, następny krok, kurczowo trzyma się poręczy. Nie zatrzymuje się nawet wtedy, gdy zaczynają cieknąć jej łzy, nie kuli się jeszcze bardziej, zabiega tylko o to, żeby w końcu postawić stopę na dolnym pokładzie. Tylko dwadzieścia pięć metrów do następnych drzwi, tu także jest ściana, do której można mocno przywrzeć, odwrócić się plecami i zachowywać kontakt za pomocą palców, bo nawet jeśli nic nie widzi, jeśli nie jest w stanie mieć otwartych oczu, to nie zamierza dać się wyprowadzić gdzieś na bok, zabłądzić i zniknąć w niepojętym...

Nareszcie drzwi. Odwraca się i ciągnie, szarpie obiema rękami ale to nie pomaga.

441

Podmuchy znowu stawiają opór, wiatr opiera się nonszalancko o powierzchnię drzwi ze szkła i metalu, podśmiewając się z jej wysiłków, unosi jej mokre włosy, pozwala, by mróz przesunął ręką po jednym kosmyku i zamienił go w lód, a potem śmieje się już w głos, kiedy Susanne zaczyna walić w szkło obiema rękami. Śmieje się tak, że zagłusza jej krzyk, i jeszcze raz zwraca się do mrozu, prosząc go, by...

W tej samej sekundzie drzwi się otwierają, ktoś popycha je od środka i Susanne, potykając się,

wpada do wnętrza, dygocząca i roztrzęsiona. Wiatr wyciąga rękę i próbuje ją jeszcze złapać, ale mu się to nie udaje, chwilę potem drzwi są zamknięte, a na zewnątrz sztorm wyje z niezadowolenia. Susanne opiera się o ścianę i może odetchnąć.

-Dobry Boże - mówi, mrużąc oczy. Z grzywki kapie jej woda. Ściąga rękawiczkę i przeciera czoło.

-Co się stało?

To John. Stoi naprzeciw niej, marszcząc siwe brwi, wygląda na zdumionego i zmartwionego. Susanne znowu mruży oczy.

- Zrobił się sztorm. Wysłałam na dwór, żeby zapalić, i zaczął się sztorm. W sekundę.

- Nie zauważyłaś ostrzeżenia?

- Jakiego ostrzeżenia?

- Na monitorze. Na placu Odyna.

Susanne ściąga kozaki, potrząsając przy tym głową-

-Nie. Ale dziękuję, że mi otworzyłeś. Sama nie byłam w stanie.

John wzrusza ramionami.

-Pójdziemy do palarni?

Susanne powstrzymuje westchnienie. Nie chce wchodzić do palarni. Nie chce prowadzić rozmów. Chce iść do swojej kajuty i skulić się pod kołdrą, pomyśleć o tym co się stało, a potem o tym zapomnieć. Jednak John otworzył już drzwi. Uratował ją, przywrócił bezpieczeństwo.

442

A dziś rano wydawał się tak okropnie przygnębiony, kiedy nie chciała z nim zjeść śniadania, więc..

- Tak – odpowiada. - Jasne.

Na placu Odyna jest pusto, w palarni też. Nigdzie ani człowieka.

- Gdzie są wszyscy? - pyta Susanne, ściągając kurtkę. Odkłada ją na jeden z foteli i siada na drugim. John waha się przez moment, ma się wrażenie, że zaraz poprosi Susanne, żeby zmieniła miejsce i usiadła razem z nim na kanapie, ale potem napotyka jej wzrok i opada na kanapę, wzruszając ramionami.

- Sobotnie popołudnie. Ci, co nie pracują, na pewno odpoczywają. Albo są na górze, na mostku i obserwują pogodę.

Susanne kiwa głową. Głęboko wzdycha.

- Jestem zupełnie wykończona...

John podsuwa jej swoje papierosy i Susanne bierze jednego, nawet pozwala mu go sobie zapalić.

- Zawsze tak jest? - pyta, patrząc na żarzący się ogień.

-Jak?

- Sztorm w zaledwie sekundę.

John znowu wzrusza ramionami.

- Zdarza się.

- A co się wtedy dzieje z Rybą?

- Musieliśmy ją wyciągnąć i wstawić do kontenera. Zbyt duża prędkość i zbyt gruby lód. Zepsułaby się. - Czyli nie będziesz miał wyników.

- Będę, będę. Dalej przy Grzbiecie Łomonosowa powinno się udać. Będziemy tam mogli płynąć wolniej i da się przejść ten sam odcinek kilka razy. Żeby porządnie pokruszyć lód. Teraz to tak naprawdę tylko transport.

Acha. Za oknem wyje wiatr, ale poza tym jest cicho. W tle pulsuje ciężki łomot silnika „Odyna”. Susanne zaciąga się głęboko i przymyka oczy. Nie ma pośpiechu.

443

Nigdzie się nie wybiera. Jednak inna część niej musi natychmiast przeciwstawić się tej myśli.

- Pójdę już wziąć ciepły prysznic.

- Tak - mówi John.

- Jeszcze raz dziękuję, że otworzyłeś mi drzwi.

John uśmiecha się lekko.

- Nie ma za co. Zejdiesz dziś wieczorem na party?

- To dziś wieczorem jest party?

- Tak, jest przecież sobota.

Susanne siedzi przez chwilę w milczeniu, przypomina sobie łomot z baru w zeszłą sobotę, kiedy leżała w swojej koi i czytała. Wtedy też była impreza. Ale nie przyszło jej do głowy, żeby zejść na dół i wziąć w niej udział. Inaczej było podczas uroczystości chrzcin, udział w niej był oczywisty. Chyba powinnam, myśli mgliście. Żeby zobaczyć, jak to wygląda. Chociażby ze względu na książkę.

-Tak - odpowiada w końcu. - Pewnie, że przyjdę na party.

A jednak to John odchodzi pierwszy, zerka na zegarek i coś mamrocze, a potem znika, podczas gdy Susanne bierze swoją kurtkę. Kiedy wychodzi na plac Odyna, Johna już nie ma, jest zupełnie sama i rozgląda się dookoła. Na monitorze miga czerwony napis: Uwaga sztorm! Wychodzenie na pokład zabronione, tylko w sytuacji awaryjnej!

Susanne robi się nieprzyjemnie, kurczy ramiona. Aha. Tu było ostrzeżenie. Po lunchu go nie zauważyła, pamięta, że nawet nie popatrzyła na ekran, wychodząc z mesy, po prostu przeszła przez plac Odyna w stronę, schodów, w kierunku swojej kajuty i komputera. Potem usiadła przy komputerze i przez chwilę popisała, przez długą chwilę.

444

W końcu podniosła oczy do góry i musiała przyznać się przed sobą samą, że to, co napisała, jest złe, beznadziejne, poza wszelką krytyką. Mówiąc krótko, było jak zawsze.

- Nie bądź taka niedobra dla siebie - powiedziała w jej wspomnieniach Elsie, więc natychmiast wstała, naciągnęła kurtkę i wyszła na przedni pokład, żeby zapalić i przegnać ciotkę. Sztorm rzeczywiście ją odpędził, odkąd zaszło słońce, nie pomyślała o Elsie ani razu.

Jednak teraz Elsie wróciła. Susanne stoi na placu Odyna - nagle znieruchomiła - i widzi Elsie leżącą w szpitalu dla przewlekłe chorych w Landskronie. Od tamtego czasu minęło dziesięć lat, ale to znowu się dzieje. Nie po raz pierwszy. Nawet nie po raz setny. Może po raz tysięczny. Elsie patrzy ze współczuciem na Susanne z tamtego okresu, chociaż to przecież ona, Elsie, umiera. To Elsie bierze rękę Susanne, żeby ją pogłaskać, a nie Susanne jej rękę, i to Elsie szepcze słowa pocieszenia.

Nie bądź taka niedobra dla siebie - mówi. - Nie jesteś niczemu winna. Nic z tego, co się stało, nie było twoją winą. Ani to, co stało się z Björnem, ani to, co stało się z Inez, żadna z tych rzeczy. Uwierz mi. To się po Prostu stało.

Susanne kiwa głową, ale nie patrzy na Elsie. Zamiast tego patrzy na swoją rękę w jej dłoni i głaszczącą ją drugą dłoń Elsie. Z niebieskich żył układa się wzór. Skóra jest wiotka i szara. Za to jej głos nagle stał się taki jak kiedyś. Młody i silny.

- Przestań siebie karać, Susanne. Jesteś i powinnaś być - spróbuj się tym odrobinę cieszyć. Bądź radosna. Przecież żyjesz i za parę dni będziesz jedyną z nas, która żyje. Tylko ty zostaniesz.

Będziesz wolna.

I żyję myśli teraz Susanne. Naprawdę żyję. Nie żyje Elsie nie żyje Inez i Birger, Lydia nie żyje i może Björn też. Ale ja żyję. Wszystko jedno, czy jestem kiepską autorką kryminałów.

445

Tak czy owak, jestem żywym człowiekiem, który przeżył to wszystko i który podróżuje przez lodowce. Widziałam góry lodowe, byłam nawet w centrum prawdziwej burzy polarnej...

Susanne stoi w miejscu, mrużąc oczy. Nagle, ni stąd, ni zowąd, martwi się, że mówiła zbyt głośno, albo że wyglądała jakoś dziwnie. Przestraszona rozgląda się szybko dookoła, sprawdza, czy ktoś mógł ją widzieć. Jednak nikogo nie ma, na placu Odyna jest nadal pusto. Nareszcie po dziesięciu długich latach Elsie udało się ją przekonać. Ma prawo być. Przynajmniej teraz.

Susanne uśmiecha się do siebie i spogląda na swoje ramiona. Trzyma w nich puchową kurtkę. W prawej ręce ma buty. Na zewnątrz nadal szaleje burza, ale to jej nie dotyczy. Jest bezpieczna, schowana, ukryta za metalowymi ścianami „Odyna”. Teraz spokojnie i powoli pójdzie na górę do swojej kajuty i wejdzie pod prysznic, zrobi się rozgrzana i czysta. Na wieczór ubierze się jakoś ładnie Dla Johna i dla siebie.

Mężczyzna w roboczym stroju uśmiecha się do niej, kiedy przechodzi koło biura szefa maszynowni, i Susanne odpowiada uśmiechem, podnosi nawet buty w czymś na kształt pozdrowienia, a potem zaczyna wchodzić po schodach. Liczy osiemnaście stopni na piętro, najpierw dziewięć, a potem jeszcze dziewięć, następnie skręca w prawo, w swój korytarz, jednocześnie wkładając rękę do kieszeni, żeby wyjąć z niej klucz...

A co to?

Zatrzymuje się i mruga, przez chwilę stoi, usiłując zrozumieć, co zobaczyła. Jakiś ruch. Coś czarnego czy granatowego, co szybko zniknęło za rogiem w odległej części korytarza.

Kto to był?

Przez moment stoi jeszcze bez ruchu, przepatrując różne możliwości. To mógł być ktoś w drodze do drugiego korytarza, kto poszedł skrótem, ktoś, kto nie zauważył, że ona idzie, i dlatego nie zatrzymał się, żeby ją pozdrowić.

446

Albo ktoś, kto ma potajemny romans. Na tym korytarzu. I kto dlatego właśnie nie chciał się spotkać czy być dostrzeżony.

Jeśli to nie ktoś, kto był w jej kajucie.

Susanne robi szybko grymas do samej siebie. Nie bądź tchórzem. Wyciąga klucz i podchodzi do drzwi. Szykuje się, żeby je otworzyć.

Żyje. Jeszcze żyje.

447

„Odyn” mógłby być jedynym statkiem na świecie.

„Odyn” jest jedynym statkiem na świecie.

Ludzie na pokładzie mogliby być jedynymi ludźmi.

Są jedynymi ludźmi.

Sztorm mógłby wyc tylko nad ich głowami. Lód - twardy i zmarznięty - mógłby czekać, żeby przycisnąć go i rozbić właśnie ten kadłub. Foki i niedźwiedzie polarne mogłyby stać bez ruchu, oczekując w kolejce na występ.

„Odyn” mógłby być oddzielnym uniwersum.

„Odyn” jest oddzielnym uniwersum.

Światem w drodze do zupełnie innego świata.

448

Po wyjściu spod prysznic Anders wygląda przez okno. Na chwilę przystaje i patrzy, a potem robi kilka kroków i chwyta za zegarek, który leży na stole obok komputera. Zerka na godzinę. Jest dopiero wpół do szóstej. Na dworze już zmierzch. Wygląda, jakby była noc.

Anders podnosi kołnierz szlafroka, przez chwilę się waha, ale potem podchodzi bliżej okna i pociera je ręką, jakby nie do końca świadomie próbował zetrzeć zmrok. Tłumaczy sobie, że tak naprawdę chodzi o parę, która może, pewnie, ewentualnie wydostała się z łazienki, kiedy otworzył, a potem zamknął za sobą drzwi. Od razu wie, że to kłamstwo. Chciał wytrzeć zmierzch. I teraz, stojąc blisko przy oknie, rozumie dlaczego.

Zostawili świat.

Są gdzieś indziej. Nawet nie w Przejściu Północno--Zachodnim. Nie na ziemi.

Gdzieś indziej.

Krajobraz na zewnątrz wygląda jak jego wyobrażenie o krajobrazie innej planety. Może Marsa. Albo Wenus. Gładki, biały lód zrobił się gruzełkowany i brązowy, wygląda jak kamień, wygląda jak ziemia, skały i bryły, ma głębokie, czarne rysy i dziury po meteorach. Niebo ponad nim nie jest ani białe, ani szare. Raczej jasnolila. Niemal w kolorze bzu. Niebo z innej planety.

Anders, przełyka ślinę i prostuje plecy. Oczywiście, że nie jest to ani ziemia, ani skały, ani bryły. Jasne. To lód. Nadal płyną przez lody, „Odyn” porusza się do przodu.

449

Anders widzi to i czuje, że żaden statek, nawet „Odyn”, nie mógłby przemierzać pustyni. Jednak coś jest brązowe, coś innego, rodzaj mchu, może...

Musi to sfotografować. Oczywiście. Anders otwiera lekko okno, nasłuchuje burzy, ale nie słyszy nic

poza głośnym waleniem silników. Potem odchodzi, żeby wziąć aparat, otwiera okno na oścież, przechyla się przez futrynę i ustawia ostrość. Robi pierwsze zdjęcie. W tej samej chwili ktoś puka do drzwi.

Na zewnątrz stoi Ulrika. Sobotnio wystrojona Ulrika. Ubrana w czyste dżinsy, białą bluzkę i niebieski sweter na ramionach. Ona też ma w ręku aparat, uśmiecha się i brzmi naprawdę szczęśliwie, gdy pyta:

- Widziałeś? Widziałeś glony lodowe?

450

Po obudzeniu Susanne leży bez ruchu, otwiera tylko oczy i wpatruje się w sufit. Coś z nim się stało. Coś nowego. Ma inny kolor. Nadal jest biały, ale nie taki jak zawsze. Do następnej myśli lekko się uśmiecha. Niezwykle biały. Albo raczej: niezwykle biały odcień. Niemal szary, gdyby nie lekki ton brązu w bieli. Dziwne.

Rzuca okiem na zegarek, jest już wpół do szóstej. O Boże. Zaspała. Szybko wstaje, a potem przez chwilę stoi i kołysze się obok koi, zanim jeszcze raz popatrzy na zegarek. Tak. Wpół do szóstej. Spała przez dwie godziny. I to z czystej ulgi. W jej kajucie nikogo nie było, jak tylko weszła drzwiami, zaczęła biegać w kółko i po kolei, systematycznie otwierać każdą szafkę, badać każdą ścianę, nawet ściągnęła i wyrzepała pościel na koi, tylko po to, by upewnić się, że to rzeczywiście prawda. Tak. Majtki i skarpety leżą na miejscu. Pozostałe ubrania wiszą na wieszakach. Nikt nie włożył jej niczego do kosmetyczki. Ściany są czyste i piękne, dokładnie takie jakie zostawiła. Nic nie jest schowane w pościeli ani pod materacem. Komputer nie jest włączony, nikt się do niego nie dostał i nie usunął tego, co napisała. Torba podróżna jest tak pusta jak potrzeba.

Krótko mówiąc, wszystko jest na swoim miejscu. Położyła się na swojej koi i westchnęła z ulgą. A potem zgasła, zniknęła ze świata na dwie godziny.

Teraz trzeba się spieszyć. W ciągu pół godziny musi wziąć prysznic, umyć włosy, z przodu głowy namalować sobie twarz, jak to kiedyś ujął jej dawny chłopak, i ubrać się. Ściąga bluzkę, ale zatrzymuje się w pół drogi.

451

Jak dziwnie. Za oknem lód jest zupełnie brązowy. Jakby ktoś posypał go ziemią. Daje to przedziwny efekt, jak negatyw, jakby lód był ziemią, a ziemia lodem. Niebo też ma niezwykle osobliwy kolor. Szaroliliowy. To stąd ten dziwny kolor sufitu.

Dziwne. Na sto procent zostanie to wyjaśnione podczas kolacji na dole. Ulrika lub ktoś inny ze starych wyg polarnych na pewno wie, co to takiego.

Jednak kiedy pół godziny później wchodzi do mesy ubrana w swoją najładniejszą bluzkę, już o tym zdążyła zapomnieć, przystaje w drzwiach i rozgląda się dookoła. Sobotnie party oznacza prawdziwą imprezę na pokładzie „Odyna”, widząc to, od razu żałuje, że w zeszłym tygodniu trzymała się z boku.

Dziewczyny z mesy położyły białe obrusy i wyjątkowo ładnie poskładały serwetki, wszyscy w kolejce po jedzenie są świeżo umyjni i wystrojeni, przynajmniej na tyle, na ile pozwalają okoliczności. Jenny włożyła nawet spódnicę, a Ulrika świeżo wyprasowaną bluzkę, która wprawdzie zaczyna wyłazić z dzinsów, ale i tak stanowi dowód istnienia pozytywnej ambicji, by uczynić ten wieczór niezwykle sympatycznym.

Susanne staje na końcu kolejki i lekko potrząsa włosami. Przy skórze są nadal wilgotne, więc nim skończy się wieczór, będą na pewno porządnie poskręcane, ale Susanne się tym nie przejmuje. Chociaż ten jeden raz jest gotowa, by skupić się na tym, co na zewnątrz, a nie w środku. Sięga po tacę i sztucce, przy okazji popychając Viktora, który stoi przed nią. Viktor odwraca się z uśmiechem, wygląda na to, że on też zdecydował się odstawić na bok wynikające z nieśmiałości skupienie na sobie.

-Przepraszam - mówi Susanne.

-Nie szkodzi - mówi Viktor i uśmiecha się jeszcze szerzej. Potem wciąga powietrze i wygląda na to, że się na coś decyduje, bo chrząka i mówi:

452

- Pisuje pani kryminały, prawda?

- Tak - odpowiada Susanne z uśmiechem. – Dokładnie.

- Wczoraj dostałem mejla od mojej mamy. Wspomniałem jej, że pani tu jest, a ona napisała, żeby pani przekazać, że kocha pani kryminały. Ja sam ich nigdy nie czytałem...

Susanne zmusza się do zachowania uśmiechu i powstrzymania się od chichotu.

- Dziękuję. Proszę ją ode mnie pozdrowić i podziękować jej.

- Babcię też - mówi z powagą Viktor. - Babcia też uważa, że są świetne.

Susanne pochyla się nad miską z sałatą i wciąga policzki, usiłuje się nie roześmiać. Ratuje ją John. Nagle po prostu stoi tuż za nią. Susanne aż mruga ze zdziwienia. Jak to się stało? Przecież kiedy ostatnio się oglądała, stał za nią Eduardo.

- Cześć - mówi John i się uśmiecha,

Susanne chichocze i odpowiada:

- Czołem.

- Czasami sprawiają, że człowiek czuje się, jakby miał tysiąc lat - mówi chwilę potem Susanne. John wygląda na skonsternowanego.

- Kto?

- Młodzi naukowcy. Viktor, ten który stoi tam dalej, powiedział mi właśnie, że jego mama i babcia bardzo cenią moje książki. Poczułam się stara jak świat.

John wzrusza ramionami.

- On nie ma nawet trzydziestki. A w dzisiejszych czasach ma się niecałe dwadzieścia, kiedy kończy się trzydzieści, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Mój syn...

- Masz syna?

- Tak. I córkę.

453

- W jakim wieku? John lekko się uśmiecha:

- Dwadzieścia sześć i dwadzieścia dziewięć.

- O Boże. Czasem myślę, że sama mam dwadzieścia sześć. Albo dwadzieścia dziewięć. Tak się człowiek czuje.

- Niekiedy ma się dzieci w tym wieku. Uwierz mi.

Susanne uśmiecha się:

- Wierzę.

Na chwilę robi się cicho, John podnosi swój kieliszek do góry, jakby wznosił toast, Susanne powtarza ten ruch. Tuż obok śmieje się Ulrika, a Anders się do niej uśmiecha. Jenny przymyka oczy i spogląda na Ollego, który pieści ją wzrokiem. Susanne tłumii westchnienie. Może powinna jednak zostać w swojej kajucie tak jak w zeszłą sobotę.

- Jesteś zamężna? - pyta nagle John. Susanne zamyka i otwiera oczy. Próbuje zyskać na czasie.

- Kto? Ja?

- Tak - odpowiada John z poważną miną, tak naprawdę poważniejszą niż to konieczne.

- Ty.

- Nie.

John szybko przeciera usta serwetką, a potem znowu chwyta za swój kieliszek. Mówi szorstko, udawanie obojętnym głosem.

- Byłaś?

Susanne pochyla się nad talerzem. Tak. Jednak dziś wieczorem powinna była zostać w swojej kajucie. Potem prostuje plecy i patrząc Johnowi w twarz, mówi, jak jest.

- Niemal nie.

John krzywi się.

- A jak się jest niemal niezamężną?

- Jest się zamężną przez trzy miesiące. Dwadzieścia pięć lat temu. A ty?

John uśmiecha się:

454

- Trzy lata. Całą wieczność temu. Robi się między nimi cicho. Nieskończone milczenie. W końcu John odchrząkuje i mówi dość stłumionym głosem:

- Chyba nie jestem stworzony do małżeństwa.

Susanne czuje, jak rozluźniają jej się mięśnie pleców, aż znowu może ruszać szyją. Teraz może już na niego spojrzeć, popatrzeć i nie powstrzymywać uśmiechu. On nie próbuje jej poderwać. Nie chce związków. Może chciałby się z nią tylko przespać. A Susanne nie ma nic przeciwko temu.

- Miło słyszeć coś takiego - mówi. - Bo ja, słowo daję, też nie.

Potem, kiedy deser jest już zjedzony, a wino wypite i kiedy naciągają na siebie kurtki, żeby wyjść na pokład, Susanne przychodzą do głowy Inez i Birger. Dlaczego tak naprawdę byli małżeństwem? Żeby Inez miała kogoś, kto będzie słuchał jej gadania? Żeby nie musiała mówić do siebie? Żeby Birger miał pomocniczkę? Żeby nie był trochę niechlujnym kawalerem w pogniecionych koszulach i niewypolerowanych butach?

Niestety, myśli, wyciągając włosy zza kołnierza, tak chyba było. Brali, co się dało, i niewiele dostali. Żadne z nich.

- Teraz popatrzymy na algi - mówi Ulrika, zaciągając suwak.

Światło nadal jest niezwykle. Szare. Brązowe. Fioletowe. Kolor, którego tak naprawdę nie ma, ale który zarazem jest magiczny i sprawia, że Susanne przychodzą do głowy inne światy. Bajkowe. Niebo jest niskie, lód zbił się i zwałkował, brązowe zasy z niewyraźnym odcieniem bieli. Nie ma już turkus. Nigdzie go nie widać.

Susanne zapala papierosa i rozgląda się dookoła, słysząc jednocześnie, jak Ulrika tuż za jej plecami wygłasza mały wykład.

455

Susanne niemal nic z tego nie rozumie. Ulrika mówi o halocarbonach i poziomie ozonu, zasoleniu, promieniowaniu UV, nieznanym organizmach i wieku lodu. Jednak to nie takie ważne, nie aż tak, żeby

Susanne mogła pozostawić rozumienia tej sprawy Ulrice, a sama zadowolić się staniem na dziobie „Odyna” , i rozkoszowaniem się ciepłem Johna obok oraz przyglądaniem się, z jaką fascynacją Anders patrzy na Ulrikę i jak Jenny wyciąga rękę do Ollego, przestępując jednocześnie z nogi na nogę, bo w sobotniej spódnicy jest jej jednak zimno.

Ludzie, myśli Susanne. Jestem człowiekiem. I razem z innymi ludźmi jestem na statku, który przepływa przez Przejście Północno-Zachodnie.

Zamyka oczy, żeby ukryć swoje myśli, ale nie może ukryć uśmiechu.

Oni istnieją, myśli. I ja też jestem. Jestem i mam prawo być.

456

Dyskotekowy puls z baru jest tylko cieniem dźwięku. To co słyhać naprawdę, to głos Ulriki, która opowiada o algach lodowych i ich wpływie na warstwę ozonową, o tym, jak dane, które zebrała podczas poprzedniej ekspedycji, wydają się zgadzać z tymi, które zebrała teraz, oraz o tym, jak fascynujące są algi. Tworzą wewnątrz lodu oddzielne światy, tak że to, co mogłoby się wydawać jedynie zamrożoną wodą i niczym więcej, zawiera w sobie wiele tuneli i grot z zupełnie odrębną fauną i florą, która nie jest podobna do niczego innego na świecie...

Anders zauważa swój własny uśmiech i pospiesznie robi się poważny. Nie chce być posądzony o protekcyjność, ale rozglądając się dookoła, zauważa, że więcej osób się uśmiecha. Jenny, która przestępuje z nogi na nogę, żeby odegnąć ziąb. John, który kiwa ze zrozumieniem głową. I Susanne, która utkwiała wzrok gdzieś wśród pokrytych algami lodów i która nagle wydaje się bardzo zadowolona. Blask w oczach. Zarumienione policzki.

- Teraz chyba już wszystko dokładnie wiecie – mówi ze śmiechem Ulrika.

- Wejdziemy do środka, żeby potańczyć?

Wsuwa mu rękę pod ramię. Dlatego że są parą. Przynależą do siebie. Dobrze sobie życzą.

Puls dyskotekowy pogłębia się i gęstnieje, a kiedy podchodzą do baru, zamienia się w huk. Na parkiecie jest ciasno, żeby dostać się do baru, muszą się przeciskać i wszystkich przeproszać

457

Anders wpada niechcący na Vincenta, który tańczy w stylu a la Travolta naprzeciw Amandy, jednej z amerykańskich badaczek, prosi o wybaczenie, ale Vincent nie odpowiada, bo jest Całkowicie pochłonięty tańcem. Anders poznaje piosenkę i uśmiecha się. Good luck charm Elvise Presleya.

Ulrika zmienia kierunek i zaczyna się przesuwac w kierunku stołu, w półmroku jej bluzka błyszczący bielą Susanne idzie za nią. Anders podnosi głos, wołając za nimi:

- Czego się napijecie? Ulrika woła w odpowiedzi:

- Białego wina!

Kiedy Anders i John dochodzą do baru, piosenka już się skończyła. Dostają piwo i kieliszki z winem i przepychają się do stołu, przy którym siedzą już Susanne i Ulrika. To dobre miejsce, trochę schowane, muszą usiąść w rzędzie, cała czwórka obok siebie, ale dzięki temu wszyscy mogą patrzeć na tańczących. Teraz jest tam tylko jedna para. Vincent i Amanda, którzy stoją przytuleni, w oczekiwaniu na początek następnej piosenki. Na parkiet wchodzi też Sofia i Martin, idą ręką w rękę, Sofia uśmiecha się, ale nie do Martina, tylko do Fridy, która siedzi na skórzanym fotelu kawałek dalej-To dziwny uśmiech. Niemal triumfujący, i pozostaje na jej twarzy, kiedy znów zaczyna grać muzyka. Kolejna piosenka Elvise. Heartbreak hotel. W drzwiach pojawia się Robert, przystaje na chwilę, zerka na Vincenta i Amandę, jakiś czas stoi zupełnie bez ruchu, ale potem odwraca się w stronę skórzanych foteli, zauważa Jenny, która siedzi na jednym z nich i robi krok w przód. W tym samym momencie Jenny wstaje i wyciąga rękę do Ollega, który też się podnosi i idzie z nią potańczyć.

- Trochę jak na promie płynącym na Wyspy Alandzkie - mówi Susanne.

458

Anders wprawdzie nigdy nie płynął takim promem, ale jest gotów jej uwierzyć.

- Albo jak na dansingu - dodaje Ulrika i przytakuje ze swojego kąta stołu.

Vincent i Amanda nie odstępują jedno od drugiego. Po skończeniu się Heartbreak hotel stoją dalej na parkiecie i to jeszcze bliżej siebie. Patrzą sobie w oczy. Mówią bardzo stłumionymi głosami. Vincent podnosi nagle rękę i zamyka w nich dłonie Amandy, a ona uśmiecha się i spuszcza wzrok.

W tej samej chwili zaczyna się następna piosenka. Yesterday. Ktoś buczy z niezadowolenia, ale wtedy jest za późno. Vincent i Amanda zaczęli już tańczyć i nagle pojawiają się też Jenny i Olle. Wyłaniają się z cienia, w którym czekali, obejmując się ramionami. A za nimi idzie Robert. Sam. Bez partnerki do tańca. I Najpierw stoi bez ruchu na środku parkietu, jego bandaż połyskuje bielą. Potem nagle zaczyna robić miny. Udaje, że łka i szlocha. Bije się ręką w piersi. Opada na kolana i udaje, że ryczy coraz głośniej.

Przez kilka sekund w barze jest zupełnie cicho, ludzie wpatrują się zdumieni w Roberta, nawet Jenny i Olle. Potem nagle zatrzymują się i cofają na bok, jakby nie chcieli mu przeszkadzać, ale w tej samej chwili ktoś wybucha śmiechem i chwilę potem wszyscy się już śmieją. Tylko Vincent i Amanda dalej tańczą, oboje z zamkniętymi oczami, jakby w ogóle nie słyszeli śmiechów. Robert składa rękę i wyciąga je jak w modlitwie do Amandy, co zostaje nagrodzone wielkim wybuchem śmiechu, ale Amanda nie słyszy i nie patrzy na niego, bo z zamkniętymi oczami odpoczywa w ramionach Vincenta.

459

Robert udaje, że wyciera łzy, a potem wkłada zdrową rękę do kieszeni spodni, wyciąga z nich krawat i

okręca go wokół szyi, podnosi do góry jego koniec i udaje, że się wiesza, wyciąga nawet język...

Ktoś chwyta Andersa za ramię. Mocno. Tak mocno, że sprawia to ból. To Ulrika. Anders odwraca głowę i zerka na Susanne. Wstała, stoi obok niego zupełnie biała na twarzy i wpatruje się w Roberta. Coś mówi, ale Anders z początku nie słyszy, musi wstać, jednocześnie uwalniając się ostrożnie z uścisku Ulriki na swoim ramieniu.

- To on - szepcze Susanne. - To on!

460

Inna jesień, inna zima

461, 462

Zastępczyni stała przed katedrą, ściskając obiema rękami swoją aktówkę. Trzymała ją jak tarczę pomiędzy sobą i klasą. Uśmiechała się niepewnie.

- Jak już pewnie słyszeliście, pan profesor Lundberg jest na zwolnieniu. Ja go zastępuję. Nazywam się Ingrid Gunnarsson i...

Przez klasę przeszedł szmer, nie chichot, nie śmiech, tylko szmer, może zdziwienia, a może radości, że Lundberg w końcu zrejterował. To wystarczyło, żeby jego blond zastępczyni zamilkła. Po chwili głos zabrał Henrik:

- A jakie masz wykształcenie?

Zaczerwieniła się. Wszyscy to zauważyli, Susanne też. Henrik odezwał się do nauczycielki na ty i podważył jej kompetencje, a nauczycielka nie zaprotestowała, tylko zaczerwieniła się, jeszcze mocniej ścisnęła swoją aktówkę, a potem niepewnie spróbowała dodać sobie animuszu.

- Miałam właśnie o tym wspomnieć. Wiosną obronię magisterską. Z historii i nauk politycznych.

Henrik zabujał się na krześle i założył ręce na piersi.

Zastąpiła go Ingalill:

- Czyli tak naprawdę nie masz wykształcenia?

W jej głosie słychać było cień śmiechu. Ktoś tuż za nią na próbę zachichotał, ale nie pociągnął za sobą Ingalill, która kontrolowała wyraz twarzy. Patrzyła z powagą na Ingrid Gunnarsson, która przez moment stała zupełnie bez ruchu, a potem otworzyła aktówkę i wyjęła z niej podręcznik do historii.

463

- Przez pięć lat studiowałam na uniwersytecie w Lund, więc...

- To dlaczego nie masz jeszcze magistra?

Ingrid Gunnarsson znowu się zaczerwieniła, ale podjęła kolejną próbę.

- Nie powinniśmy zajmować się teraz moim wykształceniem. Tylko waszym. Jednak najpierw myślę, że sprawdzimy obecność.

- Dlaczego?

To Lasse, ten, który siedzi obok Henrika. Na samym przodzie, po lewej stronie, oczywiście. On też założył ręce na krzyż i buja się na krześle.

- Żebym się dowiedziała, jak się nazywacie.

- Czemu chcesz się tego dowiedzieć?

- Żebym mogła oceniać waszą wiedzę i stawiać wam stopnie.

Ingalill roześmiała się i po sekundzie więcej osób wybuchło śmiechem. To wyraźnie zaskoczyło Ingrid Gunnarsson. Wręcz przeraziło. Susanne spuściła wzrok, patrzyła w dół na zieloną, laminowaną powierzchnię swojej ławki, żeby nie musieć widzieć tych czerwonych oczu. Jednak uszu nie mogła zasłonić. Była zmuszona słuchać, co mówią.

- Dlaczego masz nam stawiać stopnie? - spytał Henrik. Miał stłumiony głos, niemal łagodny.

- Ponieważ jestem nauczycielką i mamy taki system szkolnictwa, który...

- Jakie są twoje poglądy polityczne?

Teraz głos Henrika zrobił się ostrzejszy. Jednak Ingrid Gunnarsson nie zamierzała się łatwo poddać, udała, że go nie słyszy, wyjęła dziennik klasowy i go otworzyła.

- Bengt Adolfsson? - powiedziała i podniosła długopis, jakby to było zupełnie zwykłe sprawdzanie listy. Bengt skulił się w swojej ławce, spojrział najpierw na Henrika, a potem na Ingrid Gunnarsson, otworzył usta, ale znów je zamknął.

464

Nic nie odpowiedział. W klasie zrobiło się bardzo cicho. Było w niej dwadzieścia siedem osób, ale nikt się nie poruszył, wszyscy wstrzymali oddech.

- Henrik zadał pytanie - powiedziała nagle Ingalill i nie zauważyła, że Henrik się skrzywił. Może ustalili między sobą, że nie będą używać swoich imion. Ingrid Gunnarsson wyprostowała plecy i udała, że nic nie słyszy.

- Bo Berggren?

Bosse Berggren uśmiechnął się i popatrzył w sufit.

Ingrid Gunnarsson popatrzyła na niego.

- To ty jesteś Bo Berggren?

Na chwilę zapadła cisza. Henrik lekko chrząknął.

- Przepraszam - powiedział potem. - Zadałem pytanie i nie otrzymałem na nie odpowiedzi. Chcę wiedzieć, jakie są twoje poglądy polityczne.

Ingrid Gunnarsson zignorowała go po raz kolejny i zrobiła kilka kroków w przód, stanęła obok ławki Bossego Berggrena i wbiła w niego wzrok. Bosse znów uśmiechnął się niepewnie, a potem odwrócił wzrok i lekko pociągnął za rękaw swojej bluzy. Mankiet był zniszczony, nad dłonią zwiśla nitka. Chwyć ją i owinął wokół palca wskazującego.

- No!

Ingrid Gunnarsson pochyliła się nad nim. Bosse Berggren podniósł wzrok i popatrzył na nią, a potem rzucił spojrzenie Henrikowi. Na koniec spuścił wzrok na ławkę i się poddał.

- Tak.

- Lumpenproletariat!

Głos Henrika był czysty jak szkło. Ingrid Gunnarsson odwróciła się.

- Co powiedziałaś?

Henrik wahał się-przez chwilę, miał rozbiegany wzrok.

465

Potem wyprostował się.

-Lumpenproletariat! - powtórzył.

- Aha - powiedziała Ingrid Gunnarsson. - Co masz na myśli?

Henrik miał surowy wyraz twarzy.

- Mam na myśli, że Bosse Berggren jest tym typem, proletariusza, który nie przyda się swojej klasie społecznej. Lumpenproletariat jest według Marksa zbyt ubogi i zbyt zdeklasowany, by móc zrozumieć, co dla niego dobre. Nie rozumie znaczenia utrzymywania wspólnego frontu. Jednak my pozostali rozumiemy to i dlatego nie zamierzamy odpowiadać na żadne pytania, dopóki ty nie odpowiesz na nasze.

Ingrid Gunnarsson znów poczerwieniała.

- Moje poglądy polityczne to moja sprawa. Nic ci do tego.

Henrik wstał. W ostatnim półroczu zrobił się bardzo wysoki, był wyższy od Ingrid Gunnarsson, wystarczająco wysoki, by móc patrzeć na nią z góry.

- Twoje poglądy polityczne nie są twoją sprawą - powiedział z wielkim spokojem. - Nie, jeśli wyobrażasz sobie, że będziesz nas uczyć historii. Musimy wiedzieć gdzie przynależysz, żeby móc ocenić twoje wykłady

- Siadaj - powiedziała Ingrid Gunnarsson. - Natychmiast usiądź! Jej głos zrobił się piskliwy. Zbyt piskliwy.

Oczywiście była bez szans. W tej klasie nikt już nie miał szans, ani uczniowie, ani nauczyciele. Robiło się co kazał Henrik, w przeciwnym razie miało się przechlapane. O ile nie miało się przechlapane od samego początku. Jak Susanne.

Zrobiło się pusto wokół niej. Kompletnie pusto. Jej życie było teraz lustrzanym odbiciem życia Ingalill przed rokiem. Była w tym, rzecz jasna, jakaś sprawiedliwość, zdawała sobie z tego sprawę, mogła to sama przyznać, w ten nowy, chłodny sposób, ale nie było jej przez to łatwiej.

466

Z drugiej strony powrót do szkoły w maju, tuż po zniknięciu Bjórna, też nie był łatwy. Wtedy nadal tłoczyły się wokół niej dziewczyny, obejmowały ją ramionami, szeptały do ucha pełne żalu słowa i głąskały po policzkach. Trudno było jej przyjmować ich współczucie. Uwierało. Wydawało się natrętne i nieprzyjemne. Jednak kiedy zaczął się semestr zimowy, było już po nim. Stała się nieosobą. Nie istniała. Wydawało się, że w ciągu lata wszyscy zapomnieli zarówno o niej, jak i o Bjórnie. Może wynikało to stąd, że byli starsi. Że zaczęli liceum. Susanne wybrała profil matematyczno-przyrodniczy, bo miała wystarczająco dobre stopnie. Jednak może nie było to tak rozsądne, jak się wydawało. Nowa klasa w ogóle nie przypominała starej. Wprawdzie większość chłopców była równie szczeniacka i z mlekiem pod nosem, jak chłopcy w starej klasie, ale kilku było innych. Henrik. Lasse. Erik Óstberg. I jeszcze paru. Byli wysocy i chudzi. Ostrzy jak brzytwa. Świeżo upieczeni, ortodoksyjni członkowie Komunistycznego Związku Marksistów-Leninistów. Dokładnie jak Ingalill. Teraz nikt, kto nie był

członkiem związku, nie miał prawa się odzywać. Peter, który należał do Młodzieży Liberalnej, był tak wyśmiewany i wyszydzany, że po zaledwie tygodniu zmienił klasę. Teraz był w klasie humanistycznej i twierdził, jak głośno plotka, że zostanie księdzem. Marie-Louise, która należała do Młodzieżowego Związku Partii Socjaldemokratycznej i której tata pracował w stoczni, z samej definicji była traktowana jako zdrajca klasowy. Wybuchła płaczem, kiedy Erik chodził za nią po korytarzu i żądał, żeby wyjaśniła, dlaczego niemieccy socjaldemokraci zdradzili Różę Luksemburg. Marie-Louise nie wiedziała, kim była Róża Luksemburg.

Susanne nie była zdrajcą klasowym. Była kimś jeszcze bardziej godnym pogardy. Burżujskim dzieckiem, które nie pojmuje, że trzeba się zbuntować.

467

Córką nauczyciela. Siostrą gwiazdy rocka. A jeśli ów gwiazdor prawdopodobnie nie żyje, to nie ma przecież, powodu żeby spuszczać nos na kwintę. Absolutnie nie. Już na początku semestru Ingalill rzuciła

krótkie spojrzenie w kierunku Susanne, a potem wyjaśniła, że nie ma powodu by żałować ludzi, którzy umarli tu w kraju, w Szwecji ponieważ większość z nich umarła z przyczyn naturalnych i w zaawansowanym wieku. Pozostali stanowią przypadki wyjątkowe, które się nie liczą. Powinno się natomiast pamiętać o tym, że w Wietnamie kilkaset tysięcy ludzi - Młodych ludzi! Bohaterów! - zginęło na wojnie, że w ciągu zaledwie tygodnia ginie tam tysiąc albo więcej osób, że może nawet teraz płoną od napalmu, w tej właśnie sekundzie...

Susanne nie przeciwstawiła się - w ogóle już nic nie mówiła do swoich kolegów z klasy - ale to nie pomogło. Ingalill często do tego wracała, wydawała się opętana obliczaniem, ile ludzi ginie w Wietnamie na godzinę, na dzień, na tydzień, na miesiąc. Brzydzi ją, doprawdy brzydzi - że ludzie tu,

w kraju, potrafią latami łaźnić, ciągnąc nogami tylko dlatego, że...

- Susanne Hallgren?

Ingrid Gunnarsson wydawała się teraz bliska płaczu. Prawie nikt nie odpowiadał, kiedy sprawdzała listę. Jednak Susanne, która i tak znajdowała się już wśród potępionych, podniosła wzrok i odpowiedziała:

- Jestem.

Życie toczyło się dalej. Zmieniło się, pokręciło, pogmatwało, ale toczyło dalej. Nikt już nie pamiętał o Björnie Hallgrenie, nawet dziennikarze. Bywały całe dni, miesiące czy dłuższe okresy, kiedy wywracali do góry nogami całe życie Bjórna, kiedy robiono wywiady ze wszystkimi, którzy kiedykolwiek go spotkali. Eva stała się taką samą celebrytką jak chłopaki z Typhoons. Robban też.

468

Jedynie rodzina zamknęła się w sobie w bardzo tajemniczy sposób i odmawiała odpowiedzi na pytania, ale to niczego nie zmieniało. Stan rzeczy był, jaki był. Björn Hallgren pobił Robbana i zniknął. Tylko to wiedziano, co najmniej do dnia, kiedy pojawiła się Britt-Marie Samuelsson, która obnażała swoją zapłakaną twarz na pierwszych stronach gazet i opowiadała o swojej roli w tej historii. Jednak bardzo szybko gwiazda nowości zgasła. Policja bez szczególnego entuzjazmu przeprowadziła poszukiwania w lesie wokół stodoły, ale nic nie znaleziono. Powoli imię Bjórna Hallgrena rozmyło się, został zapomniany, zniknął. Tamtej wiosny zdarzyły się też inne rzeczy, zamieszki w Paryżu, okupacja siedziby związku studenckiego w Sztokholmie i rozwiązanie - albo, jak ujął to Henrik, zagłada - zorganizowanego buntu. Żeby nie wspomnieć o wszystkim, co działo się w Wietnamie. Albo w Czechosłowacji. Czy w Chinach.

Susanne westchnęła i zerknęła na klasę. Ingalill zwyczajowo położyła na swojej ławce egzemplarz Małej czerwonej książeczki Mao. Po prawej stronie. Leżała tam jak mały śpiewnik psalmów lub katechizm, tak by łatwo mogła ją chwycić i zacząć nią wymachiwać, gdyby w klasie przez przypadek zaczęto zbiorowo recytować ideologię maoistyczną. Nigdy się to nie zdarzyło, choć Ingalill parokrotnie podejmowała próby. Nigdy nie udało jej się wciągnąć do tego Henrika i reszty. Jednak książeczka leżała.

Jak broń. Gotowa.

- Erik Óstberg? - powiedziała Ingrid Gunnarsson.

Nikt nie odpowiedział. Oczywiście nikt nie odpowiedział. Henrik uśmiechnął się. Ingalill też się uśmiechnęła. A Erik Óstberg siedział bez ruchu, patrząc przed siebie.

Ingrid Gunnarsson pociągnęła nosem, zamknęła dziennik i wzięła swoją aktówkę. Potem wyszła z klasy, trzaskając drzwiami.

469

Bombaj o poranku. Zanim Elsie otworzyła oczy, już poczuła zapachy, te wyjątkowe hinduskie zapachy, które wpadały przez otwarty wywietrznik w jej kajucie. Dym. Mocne przyprawy. Ciemne spaliny, ciężkie jak ołów, które zaraz sprawią, że będzie miała ten szczególny ból głowy.

I - pociągnęła nosem - nuta pomarańczy.

Sekundę później przypomniała sobie, kim jest i dlaczego znalazła się właśnie tutaj. Zapachy zniknęły. Albo przynajmniej straciły na znaczeniu. Mimo to nie otworzyła oczu i nie rozejrzała dookoła, nie padła na kolana i nie zaczęła wic się po podłodze. Nie pełzała jak robak - którym jest - w kierunku toalety i prysznic. Leżała tylko z zamkniętymi oczami i jeszcze raz wysłuchiwała swojego prokuratora, tego, który zaczyna każdy dzień od oskarżeń. Odpowiadała mu tak jak zawsze. Przyznaniem się. Tak. Była złą matką. Wręcz fatalną. Tak. Zawiodła swojego syna, bo go zostawiła i wypłynęła w morze.

Tak. Były dni, kiedy nawet o nim nie pamiętała. Nie. Nie wiedziała, jak mu jest w domu Inez i Birgera. Tak naprawdę. Nie. Nie miała pojęcia o tym, co on myśli i czuje. Nie. Tak naprawdę w ogóle go nie znała. Chociaż był jej jedynym synem. Tak. Doprowadziła do jego śmierci przez to, że spróbowała się do niego zbliżyć, kiedy było już za późno. A w dodatku zachowała się niezręcznie.

Zakładając, że on naprawdę nie żyje. Zakładając, że nie jest tak, że po prostu zaginął.

470

Że w jakiś magiczny sposób uniosły go anioły, czarownice lub ptaki i zabrały z Parku Ludowego w Nassjó, a potem posadziły w jakimś zupełnie innym miejscu. Może w Norwegii. Albo gdzieś w Amazonii. Lub w Kapsztadzie. Lub w Bombaju.

Elsie otworzyła oczy. Teraz jest w Bombaju. I ma jeden całkiem wolny dzień. Może go znajdzie... Znowu zamknęła oczy. Prokurator natychmiast się odezwał.

Gdzie zaginął twój syn?

W Nassjó.

I gdzie go szukasz?

W Bombaju.

Czy to racjonalne?

Nie.

Uśmiechnęła się lekko do swojego wewnętrznego oskarżyciela. Zadowolony teraz? Zamknąłby ją na zawsze w wariatkowie?

Nie. Bycie złą matką to nie jest zbrodnia. Zdrada.

A mimo to jest to najgorsza zbrodnia, jaką może popełnić człowiek. Zbrodnia ostateczna. Jedyna.

Usiadła na koi i rozejrzała się dookoła. Przełknęła poranne mdłości. Zauważyła, że marynarka od munduru wisi na wieszaku i pogratulowała sobie. Mistrzostwo. Jeśli weźmie się pod uwagę, że spódnica leży wygnieciona na podłodze, bluzka jest rzucona na biurko, a majtki - te ohydne białe majtki z bladym, rdzawobrązowym wspomnieniem dawnych menstruacji - leżą rozłożone na fotelu. A przy nim stoi pusta butelka. Dżin. Tłusty, Paskudny dżin śmierdzący solą do kąpeli, był to jednak jedyny środek nasenny, który teraz na nią działa.

- Muszę - powiedziała głośno i schowała głowę w dłoniach. Co musi? Przez moment siedziała bez ruchu, próbując zostać swoją własną mamą, ale oczywiście się to nie udawało. Nie można podarować sobie tego, czego odmówiło się swojemu dziecku. Jednak nie była tylko mamą.

471

Była też telegrafistką. Porządną i staranną. Roześmiała się zza dłoni. Tak. Jest tak. Prawda? Bardzo porządna i staranna telegrafistka, która wieczorami siedzi w swojej kajucie pijąc dżin, aż w końcu pada na łóżko i zasypia.

Ktoś zapukał do drzwi i parę sekund potem nastąpiła przemiana. Elsie wyprostowała się i zobaczyła, że jest goła, zrobiła cztery kroki do szafy i wyjęła z niej szlafrok zawięła się w niego i odpowiedziała:

-Tak?

Jej głos był całkowicie jasny. Brzmiał zwyczajnie.

Na zewnątrz stała Maria, uśmiechnięta i trochę nieśmiała dziewczyna, która pracowała w mesie. To była jej pierwsza podróż i dziewczyna często - może trochę za często - szukała towarzystwa Elsie. Bo są teraz jedynymi kobietami na pokładzie. I ponieważ Elsie pływa po morzach od wielu lat i wydaje się wiedzieć wszystko o pisanych i niepisanych regułach, które kierują pracą na pokładzie.

Teraz Maria - podniecona i z rumieńcami na policzkach - stoi za drzwiami i pyta, czy Elsie planuje dziś wyjść, żeby zobaczyć Bombaj, i czy Maria mogłaby w takim wypadku iść razem z nią. Jest jeszcze coś ze śniadania, Maria mogłaby nakryć do stołu, kiedy Elsie będzie brała prysznic, a potem mogłyby wyjść...

W Elsie wezbrała fala zmęczenia. Nie, chciałyby odpowiedzieć. Nie każ mi tego robić, zostaw mnie w

spokoju. Jednak zbyt wiele razy odmówiła i nieco za długo miała spokój, żeby dać temu przyzwolenie. Prokurator przejął panowanie. Zmusił ją, żeby się uśmiechnęła i powiedziała: oczywiście, no jasne, pewnie, że wyprawia się razem w miasto. Za dziesięć minut zejdzie do mesy

tylko najpierw chce wziąć szybki prysznic.

Musiła nakazywać sobie każdy ruch. Wejdz pod prysznic. Odkręć wodę. Namydl się. Otwórz szampon.

472

Umyj włosy Spłucz. Wytrzyj się. Próbowwała jednak uniknąć przeglądania się w lustrze, odwracała wzrok do czasu, gdy przyszła pora uczesać się. Wtedy popatrzyła sobie w oczy i napotkała wzrok węża w twarzy człowieka. Podciągnęła górną wargę, obnażając zęby, syknęła z nienawiścią do swojego odbicia w lustrze, a potem nagle zobaczyła, co robi, i odwróciła wzrok. Zmusiła się do normalnego zachowania, do przesunięcia grzebieniem po mokrych włosach i założenia ich za uszami. Potem naciągnęła czystą, bawełnianą sukienkę, która wisiła w szafce, odkąd wypłynęli z Góteborga, i wcisnęła stopy w sandały. Pozbierała porozrzucane ubrania i ułożyła je w stosik na fotelu. Dopilnowała, żeby spódnica wylądowała na samej górze, żeby leżała jak błękitna powłoka na brudach i bałaganie pod spodem. Wciągnęła oddech i otworzyła drzwi na korytarz. Stała się Elsie Hallgren. Telegrafistką. Tak porządną i staranną, że nawet nie trzeba o tym wspominać.

- No? - powiedziała do Marii, która przełknęła ostatni łyk kawy.

- Gotowa?

Maria kiwnęła głową, tak pełna entuzjazmu, że niemal nie była w stanie mówić.

Rzeczywiście wszystko było oszałamiające. Elsie była już wcześniej w Bombaju, nawet dwa razy, ale i tak zatrzymała się przy nabrzeżu i zamrużyła oczami. Nad nimi unosiło się szare i ciężkie od chmur niebo, morze błyszczało stalową szarością. Musiała zmrużyć oczy, nie mogła pozwolić sobie na dopuszczenie wszystkich dźwięków i odgłosów, wszystkich barw, wszystkich zapachów naraz. To by ją unicestwiło. Jednak oczywiście musiała zachowywać się normalnie. Ze względu na Marię.

- Zobaczymy, czy uda nam się złapać taksówkę - powiedziała i lekko podniosła lewe ramię, proponując w ten dyskretny sposób chodzenie pod rękę.

473

Maria wsunęła ramię pod jej ramię, ale nic nie powiedziała, nawet na nią nie popatrzyła. Elsie podążyła za jej wzrokiem. Maria patrzyła na chudego mężczyznę, który szedł zgięty wpół pod wielkim tobołem. Był niemal nagi, jedynie biodra przewiązał kawałkiem materiału. Prawdopodobnie było to jego jedyne ubranie. Biały kawałek materiału nic więcej.

- To wygląda jak pielucha - powiedziała Maria bez tchu.

- Tak - odparła Elsie. - Tak to wygląda.

Taksówka wyglądała, jakby się kiedyś paliła. Chropowata, wypalona. Przednich drzwi po lewej stronie nie dało się zamknąć, kierowca siedział z jedną ręką na kierownicy. Drugą zwiesił za opuszczoną szybą, nonszalancko przytrzymywał nią drzwi. W miejscu, w którym powinna być popielniczka, rozwierała się czarna dziura, ale sam kierowca był bardzo schludny, w jasnoniebieskim turbanie i białej koszuli z krótkim rękawem, tak porządnie wyprasowanej, że wyglądała, jakby właśnie wyszła z pralni. Bez przerwy się uśmiechał i mówił, ale jego angielski był niemożliwy do zrozumienia, więc Elsie tylko mruzczała coś w odpowiedzi. Maria nie mówiła nic, siedziała nieruchoma i wyprostowana, rozglądając się dookoła. W zdumieniu obserwowała wnętrze samochodu, zatrzymała wzrok na dźwigni skrzyni biegów pozbawionej gałki, a potem popatrzyła na podłogę i wstrzymała oddech, kiedy zobaczyła w niej dziurę wielkości dłoni tuż obok swoich stóp. Potem podniosła głowę i zerknęła na Elsie, która lekko potrząsnęła głową. Nic nie mówić. Nie komentować stanu samochodu, nawet po szwedzku. Obicia foteli były uszyte z ciemnoniliowej bawełny w złoty wzór.

474

Pierze ze środka zaczęło już przeciskać przez rzadkie nici materiału i Maria raz za razem dotykała

palcem małej dziurki, grzebała w niej, aż w końcu Elsie złapała jej rękę i przesunęła w inne miejsce.

- Och - powiedziała Maria i zamrugnęła, jakby dopiero się obudziła. - Przepraszam.

Elsie w odpowiedzi tylko się uśmiechnęła, a potem odwróciła się i zaczęła wyglądać przez okno. Samochód jechał bardzo wolno, tak wolno, że mogłaby wysiąść i iść spacerem obok, spokojnie by nadążała, ale to nie miało znaczenia. Tak było wręcz przyjemnie. Jechali bardzo powoli przez dzielnicę portową Bombaju, szyba samochodowa chroniła ją przed światem na zewnątrz, przed całym tym tysiącem czy dziesięcioma tysiącami ludzi, którzy tłoczyli się na ulicach. Przed wszystkimi mężczyznami w białych koszulach z krótkim rękawem, którzy z niezadowoleniem marszczyli brwi, przed wszystkimi kobietami w mieniących się sari, różowych, turkusowych i pomarańczowych, przed chatkami i szopami, w których oni mieszkali, przed chudymi, brudnymi dziećmi, które prostowały plecy i gapiły się na nią chwilę lub dwie, kalkulując pospiesznie, czy pędzić za samochodem, a potem napotykały jej wzrok, wzruszały ramionami i wracały do swoich zabaw.

Taksówka zatrzymała się na skrzyżowaniu. Na chodniku obok siedział mężczyzna, przed sobą miał mały koszyk, natychmiast poderwał się i podbiegł do samochodu, podniósł przykrywkę koszyka i dumnie

do nich uśmiechnął. Maria wrzasnęła, kiedy z koszyka wystawiła głowę kobra.

Pokuta, pomyślała Elsie i zmusiła się, żeby spojrzeć wężowi w oczy, jednocześnie szukając w torbie drobnych.

Kierowca nie odpuszczał. Jego samochód podążał za nimi, kiedy już wysiadły i zapłaciły mu, powoli pełzał z tyłu, kiedy spacerowały po mieście, przystanął, gdy weszły do sklepu, żeby popatrzeć na jedwabie, a kiedy z niego wyszły, nadal czekał.

475

Uśmiechnął się i wyciągnął rękę po paczkę Marii. Kupiła trzy mieniące się sari, oszałamiająco piękne, z którymi niemal nie potrafiła się rozstać, jednak dała je kierowcy, kiedy Elsie kiwnęła głową

- Lunch? - zapytał kierowca i Elsie znowu przytaknęła.

Znowu wślizgnęły się na tylne siedzenie. Maria już się przyzwyczaiła, stan samochodu przestał robić na niej wrażenie. Na jej policzkach wykwitły rumieńce, a nad górną wargą miała smużkę potu. Odwróciła się w stronę Elsie z uśmiechem:

- Ależ kolory! Nigdy w życiu nie widziałam tak niesamowitych kolorów...

Elsie odpowiedziała uśmiechem, ale się nie odezwała.

- Ty też powinnaś coś kupić - powiedziała Maria. - Sto koron za trzy sari! To śmiesznie mało.

Nie, pomyślała Elsie. Nie powinnam. Nie zasługuję na to.

Kierowca zawiózł je na nadmorski deptak, pod jeden z dużych hoteli, uśmiechnął się i wypuścił je, zapewniając głośno, tak żeby wszyscy inni kierowcy taksówek go usłyszeli, że poczeka, aż zjedzą. Elsie i Maria weszły do restauracji i nagle znalazły się z powrotem w Europie Zachodniej. Kierownik sali w ciemnym garniturze zaprowadził je do stolika na tarasie, kelner podał im kartę dań, barman pospieszył z kartą win. Złożyły zamówienie i odetchnęły. Rozejrzały się dookoła. Hindusi przy stoliku obok. Eleganccy sikhowie w ciemnych garniturach i turbanach: szarych, w kolorze czerwonego wina i granatowych, nieco mniej eleganccy bramini w białych koszulach i ciemnych spodniach, z wydatnymi brzuchami. Przed nimi stałowszare morze. Po lewej stronie białe, wysokie budynki należące do hotelu.

476

A na prawo coś przypominającego opuszczony plac budowy, wylany betonem dół z wyciągającymi się ku niebu nagimi prętami zbrojeniowymi. Nad kilkoma ktoś rozciągnął kawałek materiału, pasiastą bawełnę, która lekko poruszała się na wietrze. Dach. Osłona nad domem. A przed domem siedziała kucki ciemna kobieta w różowym, bawełnianym sari i myła równie ciemnego chłopczyka, płaczącego małego trzylatka,

który najwyraźniej mycia nie lubił. Biała piana mydlana pokrywała całe jego ciało. Kiedy wyciągnął rękę i potarł nią oko, jego krzyk zrobił się jeszcze głośniejszy. Matka nie reagowała, wyglądała tak, jakby go nie słyszała, sięgnęła tylko po kubek z wodą i wylała ją na niego, potem odwróciła się plecami i zaczęła zbierać swoje rzeczy. Chłopiec histerycznie zawodził, ale ona nie reagowała, wydawała się tego nawet nie zauważać. Położyła ostrożnie mydło na otwartej dłoni i przyjrzała się mu. Potem zajrzała do kubka, żeby sprawdzić, czy jest w nim jeszcze woda, później weszła pod pasiasty dach, odłożyła mydło i postawiła kubek na betonie, a następnie znowu wyszła i uderzyła płaczącego chłopca w policzek. Skulił się i zaczął jeszcze głośniej wrzeszczeć. Jego matka przez chwilę stała spokojnie, całkowicie wyprostowana i nieruchoma, z wzrokiem wbitym w coś odległego, a potem uklękła przy chłopcu i jeszcze raz go uderzyła. Przez moment czekała, aż przestanie płakać. Kiedy się to nie stało, pochyliła się i uderzyła go po raz trzeci, tak mocno, że aż się zakotłosał.

- Miłość matczyna - powiedziała Maria i sięgnęła po chleb.

Elsie kiwnęła w milczeniu głową.

- Tak - powiedziała Maria. - Prawdziwa miłość matczyna. Taka, jaką znają niektórzy z nas.

477

Inez śpiewała. Stała w swojej pełnej zapachów kuchni i śpiewała, przygotowując mleko czekoladowe z kakao, cukrem i odrobiną śmietanki. Tak jak powinno się je robić. Naprawdę. Mleko stało już na kuchence i wydzielało ledwo wyczuwalną smugę pary, która przenikała się z zapachem bułeczek. Miała je na oku, kiedy mieszała w kubku, gotowa, żeby ściągnąć rondel z ognia natychmiast, jak się zacznie gotować. Przez moment zastanawiała się, czy powinna wyłączyć gaz, i zdecydowała, że tak, powinna. Mleko było już dostatecznie ciepłe, mogłaby je naprawdę zagotować w sekundę, moment po tym, jak on otworzy drzwi...

Zielone Świątki i zielone brzozy - zaśpiewała Inez i roześmiała się, kiedy sobie uświadomiła, że ma łzy w oczach. - Ukwiecone są ziemia i łąki...

Kiedy Björn był mały, kochał tę piosenkę, cały czas chciał siedzieć u niej na kolanach i słuchać, jak śpiewa o małej dziewczynce w szpitalu, która nie mogła wrócić do domu, do mamy. Inez skrzywiła się i przestała śpiewać. No tak. Potem kochał też inne piosenki. Nawet psalmy. Poranek wśród gór, na przykład. I Wspaniała jest ta ziemia. Raz, kiedy to śpiewała, popłakał się nawet, poczuła wtedy taki niepokój, że przestała śpiewać, przytuliła go i spytała, co się stało. Ale nic się nie stało, tak powiedział. To było tylko takie piękne.

Miał wtedy pięć lat. Tylko pięć lat. A jej o mało serce nie pękło, ze szczęścia i ze współczucia. Był zupełnie, wyjątkowo wrażliwy, co miało sprawić, że będzie wielki, wybitny, fantastyczny i wyjątkowy, wiedziała o tym.

478

Zarazem wiedziała też, jak wiele będzie go to kosztowało. Nieskończenie wiele. Bo na tym świecie

nie można być pozbawionym skóry, na tym strasliwym, nędznym, szkaradnym świecie... Nie. Nie będzie o tym myślała. Zastanawiała się nad tym już wystarczająco dużo.

Inez rozejrzała się po kuchni. Czy wszystko gotowe? Tak. Kawa jest już zaparzona. Pachnące bułeczki czekają pod wykrochmalonymi ściereczkami. Mleko czekoladowe jest już niemal gotowe. Śmietanka, której odrobina będzie leżała na wierzchu, stoi ubita w miseczce. Inez rzuca okiem na zegar i marszczy czoło. Piętnaście po trzeciej. A on jeszcze nie wrócił. Dziwne.

Przez chwilę się wahała, ale potem zdecydowanym krokiem wyszła do przedpokoju, wyrzała przez okno na ganek i do ogrodu. Nie było go. Otworzyła drzwi i wyszła. Biegła ścieżką ogrodową, w samych kapciach aż do furtki, popatrzyła najpierw w prawo, a potem w lewo, ale nic nie zobaczyła. Zrobiło się już ciemno, od dawna było ciemno, więc zaczęła się denerwować. Naprawdę była pełna niepokoju.

A jeśli coś mu się stało? Jeśli po drodze ze szkoły wpadł pod samochód? Albo jakieś łobuzy zwabiły go gdzieś i zostawiły tam samego, porzuconego, bez szans na trafienie do domu? Chociaż nie. Na pewno nic takiego się nie stało. Na pewno po prostu poszedł do kolegi. Na przykład po to, żeby pooglądać jego nowe Dinky Toys. Przez moment przemknął jej przed oczami inny obraz: Björn, już prawie dorosły, długowłosy i rozkołysany, młody mężczyzna na scenie z mikrofonem w jednej ręce, trzyma go tuż przy ustach i wygląda, jakby śpiewał. Była to tak dziwna myśl, że natychmiast ją od siebie odsunęła. Bzdury. Björn ma ledwie dziewięć lat. Chodzi do trzeciej klasy. I już niedługo, bardzo niedługo wróci do domu ze szkoły, rzuci tornister na podłogę w przedpokoju, chociaż mówiła mu co najmniej tysiąc razy, że ma go wieszac na haczyku, który przybiła specjalnie na jego tornister,

479

a potem przyjdzie do kuchni, przystanie w progu i kiedy dotrze do niego, że Inez upiekła dla niego bułeczki i zrobiła mu mleka czekoladowego, uśmiechnie się tym swoim cudownym, trochę nieśmiałym uśmiechem. Mleko czekoladowe z bitą śmietaną. I będą siedzieć przy kuchennym stole i rozmawiać

- tylko we dwoje, Inez i Björn.

Inez lekko się uśmiechnęła i objęła ramionami, bo uświadomiła sobie właśnie, że marznie, a na dworze pada. Wyciągnęła rękę i podniosła ją do nieba. Tak. Pada. Jakie szczęście, że Björn ma ze sobą płaszcz przeciwdeszczowy, Inez co rano pilnuje, żeby leżał porządnie zwinięty na dnie jego tornistra. Sama wytrzyma trochę deszczu. Bez problemu.

Wokół niej było zupełnie cicho, dopiero teraz to zauważyła. Zupełnie cicho. Nikt nie szedł chodnikiem, szurając stopami po żwirze. W oddali nie warczały żadne samochody. Domy wzdłuż ulicy były ciemne, jako jedyna zapaliła światło. Sąsiedzi są najwyraźniej nadal w pracy. Za to latarnie uliczne się palą, żółte i przyjazne pochylają się nad błyszczącym asfaltem, posypując go złotem. Kiedy Björn przyjdzie, będzie szedł po ulicy ze złota. Bardzo słusznie. Cokolwiek by ludzie mówili.

Potrząsnęła głową i zrobiła wściekłą minę. Ludzie! Ludzie są durni. Po prostu. Żli. Podli. Świrnięci. Zwłaszcza Birger, ten cholerny idiota, który kompletnie przestał się do niej odzywać tylko dlatego, że ona przestała z nim rozmawiać. Nie wspominając już o Susanne, która łązi dookoła z rozbujanymi cyckami i

nadętą miną, udając, że jest nastolatką. Mała dziewczynka. Idiotyzm. Albo Elsie, która teraz w ogóle się nie odzywa i nawet nie wysyła już alimentów. Tak. Tak jest. Konto bankowe Bjórna już nie rośnie, ponieważ jego biologiczna matka postanowiła przestać płacić alimenty. Skandal – to właściwe słowo. Nie ma innego określenia dla matki, która błąka się gdzieś po świecie, udając, że nie ma już syna.

480

- Świństwo! - powiedziała na głos. - Piekielne świństwo, kurwa jego mać!

Na chwilę przystanęła i rozejrzała się dookoła. Czy ktoś ją słyszał? Czy jacyś sąsiedzi czają się w swoich ciemnych domach i usłyszeli, że klnie? Nie zdziwiłoby jej to. Albo jakiś odrażający typ ukrywający się w cieniu, gdzieś w dalszej części ulicy. Obcy, który uważa za dziwne, że Inez stoi obok swojej furtki i przeklina.

Pochyliła kark. Wszystko jedno. Wie, kim jest i co robi, nie musi się przejmować tym, co myślą inni. Poza tym nikt jej nie słyszał. Wokół nadal panuje cisza. Żadnych kroków. Żadnych odgłosów samochodów. Tylko cisza i ciemność, dokładnie tak jak być powinno w środowe popołudnie w listopadzie.

Zamrugnęła. Listopad. Słowo sprawiło, że przypomniał jej się sen, który miała kiedyś dawno temu, gdy jeszcze sypiała. Gdy mogła spać. Dziewczęta zbite w małą grupkę przed domem. Gromadka wdychających, stęsknionych dziewczyn w bardzo dziwnych ubraniach, które wpatrują się w kuchenne okna... Potrząsnęła głową. Głupi sen. Może nawet nie ona go śniła. Tylko Elsie. Tak, to mogłoby się zgadzać. Elsie jest osobą, która może marzyć głupio, że nie wiem. Sama jest głupia jak nie wiem co. Durna. Naiwna. Stuknięta, jak powiedziałaby Björn, gdyby miał odwagę powiedzieć coś tak niegrzecznego o swojej mamie. Choć tego oczywiście nigdy by nie zrobił. Nie jest taki. Jest grzecznym chłopcem, miłszym niż inni...

Znowu objęła się ramionami. Zmarzła. Było jej naprawdę zimno, ale mimo to czuła się tak, jakby nie marzła. Jakby to uczucie było gdzieś poza nią, jakby zamiast niej marzył ktoś inny. Na moment spuściła wzrok, popatrzyła na swoje ramiona i zauważyła, że są nagie.

481

Dostała gęziej skórki - delikatny biały meszek, który pokrywał jej ręce, ustawił się nagle na sztorc. Popatrzyła jeszcze niżej i zobaczyła, że ma na sobie koszulę nocną. Koszulę nocną i fartuch. Dziwne.

Teraz Inez przestała się tak mocno obejmować rękami. Zakołysała się, a potem zdecydowała. Poszuka go. Furtka zaskrzypiała, kiedy ją otworzyła. Tak. Pójdzie do szkoły i go odbierze.

Bo on musi wrócić do domu. Björn po prostu musi wrócić do domu!

482

- Sztokholm połączenie radiowe, Sztokholm połączenie radiowe - powiedziała telefonistka.

Susanne usiadła na taborecie obok telefonu, przygryzła lekko paznokieć i rozejrzała się po korytarzu, Wszystko było takie jak zawsze. Prawie jak zawsze. Czerwony dywan marki Wilton trochę się przekrzywił, nisko zawieszona półka na książki pokryta była cienką warstwą kurzu, podobnie jak i dwie wyblakłe litografie tuż nad nią, te same, które wiszą tam od jej urodzenia. Albo jeszcze dłużej.

W słuchawce zachrząściło, w oddali ktoś powiedział coś po angielsku, ale nie usłyszała co, usłyszała tylko kolejny chrzęst. Skuliła się trochę i jeszcze raz popatrzyła na litografie. Gdzie się podział pudel? Przecież na jednym z obrazków był pudel, mały czarny pudelek, który szedł szarym chodnikiem, obok szarego człowieka, przez szare miasto. Teraz go nie ma. Całkiem zniknął. Został tylko szary chodnik, szary człowiek i szare miasto.

Susanne skrzywiła się. Musiała wymyślić pudła. Przyśnił jej się na tym obrazku. Bo przecież nie może być tak, że pudel rozpadł się na atomy i został unicestwiony. Albo że wyskoczył z obrazka, precyzyjnie przycisnął się tylną stroną ramy i teraz leżał schowany za półką. Ten rodzaj logiki Susanne z radością zarezerwuje dla Inez. Dziękuję bardzo. U niej wszystko po kolei. Czy jak to się mówi.

- Halo - zawołał ktoś z oddali i przez sekundę poczuła palącą panikę, zwykły, wielki strach przed tym, co będzie zmuszona powiedzieć.

483

Powinna się była przygotować? Może. Gdyby była kimś innym. Jednak jest Susanne, a Susanne nie mogła się przygotować, przy najmniej nie do czegoś takiego. Gdyby to zrobiła, myliły by jej się słowa i traciłaby wątek. Brzmiałaby fałszywie. A wszystko może się zdarzyć, tylko nie to. Nie może sobie pozwolić na to, by brzmieć fałszywie.

- Elsie - zawołała, przyciskając mocniej do ucha słuchawkę. - Elsie, to ty?

- Inez?

To był głos Elsie. Absolutnie. Jasny i wyraźny, jedynie z lekkim pogłosem.

- Nie. To ja. Susanne.

Głos Elsie zdrzął, oscylował między nadzieją a strachem.

- Znaleźli go?

Susanne przetknęła ślinę.

- Nie. To nie dlatego dzwonię.

Elsie milczała przez chwilę, a potem westchnęła. Echo jej westchnienia przemknęło z bardzo odległego miejsca na morzu, gdzie teraz się znajdowała, na korytarz w czerwonym domu na ulicy Svanegatan w Landskronie.

- To o co chodzi? Susanne zamknęła oczy.

- O Inez...

-Tak?

- Jest chora. Zachorowała.

Na sekundę zapadła cisza i Susanne pod zamkniętymi powiekami widziała przed sobą twarz Elsie. Zmarszczone brwi. Zaciśnięte usta. Bładość. Dokładnie tak wyglądała przez cały miesiąc, kiedy w milczeniu siedziała przy stole Inez, czekając na wiadomość, która nigdy nie nadeszła, aż któregoś dnia wstała i w telegraficznym skrócie wyjaśniła, że wyjeżdża. Zaciągnęła się na statek z Góteborga do Bombaju. Popłynie naokoło Przylądka Dobrej Nadziei, bo Kanał Sueski jest zamknięty.

484

Przylądek Dobrej Nadziei. Potem zaczęła się śmiać, suchy śmiech nie ustawał, dopóki Inez nie wrzasnęła na nią. Może ona też ma świra. Takiego samego jak jej siostra.

- To poważne?

Susanne otworzyła oczy i przyjrzała się litografii przed sobą. Nadal żadnego pudła.

- Nie wiem...

-Rak?

Susanne aż się zachwiała na krześle ze zdziwienia.

- Nie, nie. Nic takiego. Skaleczyła się w rękę, ale...

- W rękę?

- Tak, ale...

- Jest w szpitalu?

- Tak. Na razie jest w szpitalu w Landskronie, ale...

Zamilkła. Poprawiła się. Nie wiedziała, jak ma to powiedzieć.

- Ale co?

Głos Elsie brzmiał ostro. Prawie jak głos Inez. W Susanne wezbrała lekka wściekłość, ale zaraz opadła, zostawiając po sobie tylko zapach spalenizny.

- Po południu przewiozą ją do Świętego Larsa.

W słuchawce zrobiło się cicho. Zupełnie cicho. Susanne czekała chwilę, a potem przesunęła ręką pod nosem i podniosła głos.

- Halo! Jesteś tam?

W odpowiedzi usłyszała tylko sapnięcie. Nie westchnienie, tylko sapnięcie, jakby ktoś wdmuchnął wstręt całego życia w jeden skonany oddech. Potem znowu zrobiło się cicho, długa chwila milczenia.

- Czyli zwariowała - powiedziała w końcu Elsie.

W jej głosie było zmęczenie. Wykończenie.

Susanne kiwnęła niemo głową.

- Przez to, że Björn zaginął?

Susanne wydała cichy dźwięk, a potem zebrała się i odpowiedziała.

485

- Tak sądzę.

- Tak sądzisz?

Jej głos brzmiał wrogo. Prawie tak jak głos Inez, kiedy... Nie myśleć o tym. Zachować spokój. Być dorosłą

- Nie wiem dokładnie. Tego, co ona mówi, nie da się zrozumieć.

Chociaż trochę się dało. Pewne kwestie były wybitnie zrozumiałe. O wiele za dobrze rozumiałe. Zamknęła oczy, żeby wyłączyć pamięć, ale to nie pomagało. Pod powiekami miała krzyczącą Inez, której twarz była wykrzywiona z nienawiści. Krzyczała tak głośno, że Susanne aż kuliła się na wspomnienie o tym. Ty! Ty! Nie zasłużyłaś, żeby żyć! Dlaczego to nie ty zginęłaś! Ty cholerna mała suko...

Susanne znowu otworzyła oczy i wpatrzyła się w obrazek z pudlem, który zniknął. Gdyby znalazła tego pieska za półką na książki, toby go nadepnęła. Nie. Znowu wyprostowała plecy. Położyłaby go sobie na dłoni i pogłaskała palcem. Przecież on nic nie zrobił. Tylko zniknął.

- Czy ona wyzdrowieje?

Elsie nadal brzmiała wrogo. Niech sobie taka będzie, pomyślała Susanne i wstała, odwróciła się plecami do obrazów, stała całkowicie wyprostowana, patrząc, jak jej własny mały palec rysuje małe B w warstwie kurzu na stoliku pod telefonem. Później musi powycierać kurze. Wytrzeć i odkurzyć. Ale nie zamierza gotować. Będzie się odżywiać bułeczkami. W kuchni jest ich nieskończenie wiele. Inez musiała piec przez całą noc.

- Tak sądzę. Lekarz powiedział, że będziemy to wiedzieć mniej więcej za miesiąc.

- A do tego czasu będzie w Świętym Larsie?

- Tak.

Na chwilę zapadła cisza, potem Elsie nabrała powietrza.

486

- Za miesiąc mogę przyjechać do domu.

- Aha.

Susanne usłyszała swój własny obojętny głos. Niemal znudzony. Elsie też go usłyszała.

- A ty jak sobie radzisz?

A jak myślisz? Odpowiedź przeleciała jej szybko przez głowę, ale Susanne przełknęła ją i w zamian wpatrzyła się w tapetę. Szarą tapetę. Naprawdę brzydką.

- Bardzo dobrze.

- Nie powinnaś być w szkole?

- Wzięłam dziś wolne.

- A Birger?

- Jest w szkole.

Znowu na sekundę zapadła cisza. Susanne podniosła rękę i zaczęła dłużyć w spoinie tapety, chwyciła ją między kciuk a palec wskazujący, gotowa, żeby ją naderwać, ale w ostatniej chwili się powstrzymała. Nie jest Inez. Nie będzie zrywać tapet. Ma wszystko po kolei w głowie.

- Jak do tego doszło? - zapytała Elsie.

- No - powiedziała Susanne i nagle zamarzyła jej się guma do żucia, duża, różowa guma do żucia, którą mogłaby trzymać pomiędzy zębami, a potem pociągnąć tak, żeby zrobiła się z niej struna, długa i lepka struna pomiędzy jej ustami a palcami. Pasowałoby to do jej nonszalanckiego tonu. Obojętnego. Niewzruszonego.

- Policja zadzwoniła o piątej rano. Znaleźli ją przed szkołą. Leżała tam, chyba tylko w koszuli nocnej. Na asfalcie. I wyła.

- Wyła?

- Krzyczała?

- Wrzeszczała. Ryczała. Jak to zwał.

- Tak...

Głos Elsie nie był już taki skwaszony. Raczej przestraszony. Susanne uśmiechnęła się do szarej tapety. Należy jej się.

487

- I krwawiła. Stłukła szybę i skaleczyła się dość porządnie w ramię. Musieli jej założyć ponad trzydzieści szwów. Chociaż trochę potrwało, nim mogli to zrobić bo była dość kłótliwa...

- Kłótliwa? Inez?

Susanne przeczesła grzywkę ręką, nie była w stanie ukryć arogancji w swoim głosie.

- Tak. Inez. Twoja siostra. Bliźniaczka. Poza tym przeklinała. I ugryzła pielęgniarkę, aż do krwi.

I nazwała Birgera szatańskim debilem. I mnie - hm - cholerną suką.

- O Boże!

Susanne jeszcze szerzej się uśmiechnęła. Sprawiało jej to przyjemność, im bardziej zbulwersowana była Elsie, tym bardziej jej się to podobało. Twoja bliźniaczka, śpiewała w niej. Twoja kopia! Twoje drugie ja!

- Trzeba było trzech policjantów, żeby ją utrzymać. Trzech mężczyzn. Ale kiedy już ją przycisnęli do ziemi, lekarz mógł jej dać zastrzyk.

Przed oczami przesuwaly się obrazy. Zobaczyła swoją mamę, czy to zakrwawione stworzenie, które udawało, że jest jej mamą, jak siłą przyciskają ją do ziemi, zobaczyła, jak trzech rosyłych mężczyzn walczy, żeby utrzymać ją na miejscu. Jeden trzymał jej prawą rękę, była czerwona od krwi, z otwartą szeroko raną przypominającą uśmiech lub szydery śmiech, otworzyła się, a potem zamknęła, w kierunku dłoni płynęła ciemna struga krwi. Nie, nie jedna. Dwie. Trzy. Drugi policjant trzymał ją za lewą rękę, jednocześnie wbijając kolano w jej plecy", a trzeci trzymał ją obiema rękami za łydki. Inez przez cały czas wrzeszczała, wołała Bjórna, wykrzykiwała jego imię i wychwalała go, a potem pluła na Susanne, krzyczała, że nie zasługuje na to, by żyć, i obrzucała ją przekleństwami. W stronę Birgera szczękała obnażonymi zębami, darła się i klęła, pluła i gryzła do czasu, kiedy lekarz, który uklęknął przy niej, wyciągnął igłę z jej gołego pośladka i wstał.

488

Kilka sekund później Inez upadła z hukiem, twarzą do podłogi, i w pokoju zrobiło się bardzo cicho. Policjanci stali bez tchu, wyczekująco, a potem popatrzyli na lekarza, który zerknął na nich i kiwnął głową. Puścili ją. Ręka Inez upadła na podłogę. Dwóch sanitariuszy podniosło ją, położyło na noszach i chwilę później zniknęła im z oczu. Wtoczona na salę operacyjną w celu założenia trzydziestu szwów. Ubrana w białą koszulę nocną i kwiecisty fartuch. Kaptcie gdzieś się podziały. Zniknęły. Rozpłynęły się w nicości. Jak i inne rzeczy czy raczej ludzie, którzy wcześniej rozpłynęli się w nicości.

- Wrócę do domu za miesiąc - powiedziała Elsie.

- Obiecuję.

Susanne zamknęła oczy.

- Tak, tak - powiedziała, udało jej się utrzymać obojętny ton, który bardzo skutecznie informował Elsie, że nie jest to konieczne, bo tak naprawdę wszystko jedno, czy przyjedzie, czy nie.

- Teraz muszę już kończyć. Takie telefony są bardzo drogie. Do widzenia.

Odłożyła słuchawkę, nie czekając na to, co powie Elsie

489

Inez leciała wysoko ponad chmurami. Miała ogromne skrzydła i kiedy nimi poruszała, w niebiosach aż huczało.

Mogła być łabędziem, który właśnie wystartował znad tafli wody. Orłem bielikiem szukającym zdobyczy.

Lub aniołem.

Tak, była aniołem. Aniołem w granatowej szacie, ze skrzydłami w kolorze kości słoniowej. Matczynym aniołem z małym cherubinkiem u piersi. Madonną w drodze do raju ze swoim śpiącym synkiem. Bóg wybaczył ludziom i nie musi już składać w ofierze jedynego syna, pojął, że swego chłopca kocha bardziej niż to, co stworzył.

Tak jest słusznie.

Taka jest na miejscu.

Nareszcie wszystko jest takie, jak być powinno.

490

Susanne zobaczyła w oddali Evę, ale Eva jej nie zauważyła. Przechodziła właśnie przez rynek i szła w kierunku, który oznaczał, że na pewno się spotkają. Przez sekundę Susanne miała ochotę się schować, wślizgnąć się w jedną z uliczek wokół rynku i wstrzymując oddech, poczekać, aż Eva zniknie. Jednak zaraz potem poczuła gorącą falę pewności i ruszyła przed siebie. Zdecydowanym krokiem szła w tym samym kierunku co wcześniej. W stronę Ewy.

Eva nie zmieniła się. Prawie. Przystała tapirować włosy i odrobinę krócej przycięła swojego blond pazia, ale nadal była bardzo modnie ubrana. Przy szyi dyndała jej para dużych, plastikowych kolczyków, krótkie palto było w dokładnie tym samym kolorze, a brązowa torebka ozdobiona rządkiem pomarańczowych guzików. Szła mocno wyprostowana, z przymkniętymi oczami, jakby musiała się zasłaniać przed wzrokiem mieszkańców Landskrony. Może słusznie to wykalkulowała. Kiedy szła, ludzie odwracali się i patrzyli za nią. Eva Salomonsson! To o niej pisano w gazecie. A raczej we wszystkich gazetach.

Może za Susanne też się oglądają. Siostrą. Czy kuzynką. Sama tego nigdy nie zauważyła, ale dość często zdarzało się, że napotykała wpatrzone w nią oczy ludzi, że przyglądali jej się odrobinę zbyt długo, gapili się, jakby sposobem chodzenia, trzymania szkolnej torby, wetknięciem rąk w kieszenie parki mogła

im opowiedzieć, co zdarzyło się z Bjórnem i Inez. Jednak nie mogła tego zrobić.

Nie miała pojęcia, co się przytrafiło Bjórnowi, i nie chciała myśleć o Inez. Nigdy więcej.

491

Dlatego stała się całkowicie nieprzystępna, przywdziała pancierz z chłodu i obojętności, a na wpatrzone w nią spojrzenia odpowiadała takim chłodem i powściągliwością, że większość osób czuła zawstydzenie i odwracała wzrok. Pancierz ją uwierał, ale nie mogła się od niego uwolnić. To dlatego nawet już nie spoglądała na Henrika i Ingall, bez względu na to, co powiedzieli czy zrobili, i to dlatego wieczorami siedziała zamknięta u siebie i nie rozmawiała z Birgerem więcej, niż było potrzeba. Nie, żeby miało to jakieś znaczenie. On też nie mówił do niej więcej niż potrzeba. Zwykł tylko wołać, że jedzenie jest gotowe, ale nie komentował faktu, że Susanne rzadko schodzi, żeby zjeść z nim obiad. Po jedzeniu zostawiał tylko jej talerz na stole, a swój własny, starannie splukany, wstawiał do zlewu. To Susanne zajmowała się zmywaniem i sprzątaniem. Birger robił zakupy i gotował jedzenie. Nie ustalali tego. Po prostu tak się poukladało. Jednak dziś miała sama sobie ugotować, ponieważ Birger pojechał do Lund, do Świętego Larsa. Do wariatkowa. Nawet nie spytał, czy chce z nim jechać, teraz już nigdy o to nie pytał. Co sobota ubierał się w poźółkłą, nylonową koszulę, zakładał przez głowę krawat, mamrotał coś na pożegnanie i znikał. Nie mówił też wiele po powrocie do domu, chodził tylko w kółko, udając, że był w odwiedzinach w zupełnie zwyczajnym szpitalu, chociaż w gruncie rzeczy cały dzień spędził u czubków w towarzystwie swojej chorej psychicznie żony. Mruczał coś, że mama przesyła pozdrowienia, co było akurat stwierdzeniem, w które Susanne pozwalała sobie powątpiewać. Dlaczego Inez miałaby pozdrawiać kogoś, kto według niej nie zasługuje na to, by żyć?

Susanne nie zamierzała jeździć do Świętego Larsa.

Nigdy, przenigdy. Nie zamierzała wybaczać. Nie chciała.

Teraz Eva ją zauważyła, przez setną sekundy zawahała się, a potem spuściła głowę i poszła dalej. Susanne nie spuszczała z niej wzroku, czuła, jak w brzuchu lekko mdli ją ze strachu, ale nie miało to znaczenia.

492

Nic nie było widać, jej pancierz był nienaruszony, a wzrok lodowato zimny. Evie się nie upieczce.

Ludzie wokół nich udawali, że wszystko jest jak zawsze, stali przy straganach pochyleni nad pęczkami marchwi i kapustą, szukali w swoich siatkach portmonetek i portfeli, uśmiechali się i kiwali głowami do sąsiadów i znajomych, ale osoba spostrzegawcza - a Susanne była naprawdę spostrzegawcza - mogła zauważyć, że mają szeroko otwarte oczy i rzucają ciekawskie spojrzenia w kierunku Susanne i Evy. Są ciekawi, co się stanie, kiedy te dwie się spotkają.

Eva otworzyła szeroko oczy i patrzyła na Susanne z niejakim zdziwieniem, zwolniła kroku, szła coraz wolniej, jakby usiłowała zorientować się, co tak naprawdę oznacza stalowoszara obojętność w spojrzeniu Susanne. Rzuciła szybkie spojrzenie w lewo, gdzie za górą ziemniaków stał okoliczny chłop, a potem w

prawo, gdzie kobieta w średnim wieku, ubrana w nedorzecznie elegancki szal z różowego jedwabiu, układała w stopy jabłka, a potem popatrzyła przed siebie i napotkała wzrok Susanne. Uśmiechnęła się. To był przelotny uśmiech, niemal nieśmiały - uśmiech, który sprawił, że serce Susanne przyspieszyło. Przed oczami mignęła jej twarz Bjórna, jego rozjaśniona twarz, kiedy któregoś wieczoru rok temu - czy to naprawdę było zaledwie rok temu? - stał przed domem przy ulicy Svanegatan i patrzył do góry, na Susanne. U boku miał wtedy Evę...

Teraz dzieliły je zaledwie trzy kroki. Eva znowu się uśmiechnęła, tym razem odrobinę mniej onieśmielona, raczej trochę smutna. Zgrabnie. Bardzo zgrabnie. Mogłaby nabrać każdego, dziewczynę czy chłopaka, młodego czy starego. Jednak Susanne nie zamierzała dać się zmanipulować. Nie tym razem. Nigdy więcej.

- Susanne - powiedziała Eva.

493

Susanne zawahała się, zmierzyła ją wzrokiem, ale nie odpowiedziała. Nie powiedziała nic.

- Słyszałam o twojej mamie - powiedziała Eva i zamrugła rzęsami. - Jak smutno. Strasznie przykro.

Susanne nadal nie odpowiadała, ale Eva wydawała się tego nie zauważać. Popatrzyła w dół, na wybrukowaną kamieniami ziemię i westchnęła.

- To musiało ją przerosnąć. To przerosło wielu z nas mnie i Tommy'ego...

Nie dokończyła zdania. Perfekcyjna pauza, można było niemal zobaczyć stosowane w druku trzy kropki, jak wylatują z jej ust i powoli opadają na ziemię. Teraz każdy, kto jej słucha, może sobie uzupełnić resztę. Najlepiej językiem pism ilustrowanych. Padliśmy sobie z Tommym w ramiona i zaczęliśmy płakać. Albo: Nie mogliśmy z Tommym znieść tego całego bólu, musieliśmy się rozstać. Jednak Susanne nie miała zamiaru uzupełniać tekstu, zwłaszcza nie zdaniem rodem z pism ilustrowanych. Stała przed Evą niemo i bez ruchu i przesuwała wzrokiem po jej starannie umalowanej twarzy lalki z bardzo czarnymi oczyma, po bardzo przemyślnie uniesionym kołnierzu palta, a potem w dół do brązowych, zamszowych kozaków i znowu do góry. Pilnowała, żeby wyraz jej twarzy przez cały czas był dokładnie taki sam, zmieniała tylko odrobinę pozycję przesuując ciężar ciała na prawe biodro, a potem jeszcze raz zerknęła Evie w oczy, nic nie mówiąc. Nagle nie wiedziała nawet, czy może coś powiedzieć, czy ma jeszcze jakiś głos. Wszystko jedno. W ciągu ostatnich miesięcy nauczyła się tego i owego o władzy milczenia i teraz zamierzała jej użyć, po raz pierwszy wykorzystać ją tak świadomie, jak tylko potrafi.

Eva pochyliła się do przodu, ostrożnie kładąc odzianą w brązową rękawiczkę dłoń na ramieniu Susanne i spytała:

494

- A ty jak się miewasz?

Susanne spojrzała jej w oczy, a potem popatrzyła na brązową rękę na swojej kurtce i znowu

podniosła wzrok, pomogło. Eva cofnęła rękę i podniosła, żeby szybko poprawić kołnierz, którego wcale nie trzeba było poprawiać. Potem uśmiechnęła się i powiedziała:

- Myślałam o tobie. Wiele razy.

Aha. I co ma na to odpowiedzieć Susanne? Czy oczekuje się od niej, że się załamie, wpadnie w ramiona Evy i będzie dziękować Bogu, że ktoś w ogóle o niej pomyślał? Nie ma się co łudzić. Susanne tylko uniosła brwi i jeszcze odrobinę lewy kącik ust. Gdyby był to uśmiech, byłby szyderczy, ale minęła sekunda, a może dwie, zanim Eva to zrozumiała. Zawsze była nieco powolna, jeśli to nie ona ustanawiała zasady. A teraz to nie ona je określała. Tylko Susanne.

- To znaczy, ja...

Teraz Eva naprawdę straciła wątek, to była zupełnie inna pauza niż poprzednio. Miała rozbiegane oczy, pospiesznie szukała jakiejś drogi wyjścia, ale jej nie znajdowała. Z obu stron ludzie tłoczyli się przy straganach, a przed nią stała wyprostowana, milcząca i niewzruszona Susanne. Ręka Evy pofrunęła do góry i wylądowała na gardle, leżała tam teraz jak niedoskonała ochrona jej wąskiej, białej szyi. Potem Eva zamrugnęła oczami, opanowała się i powiedziała:

- Wiem, że nie byłam wtedy taka miła dla ciebie. W Nassjów. Zanim to się stało. Ale byłam świeżo zakochana, sama wiesz. Totalnie zakochana. Wtedy człowiek może być trochę...

Trochę co? Brwi Susanne podjechały do góry, ale Susanne pospiesznie je opuściła. Do jakiego stopnia można być głupim? Czy Eva naprawdę uważa, że Susanne chodzi i trapi się czymś, co przydarzyło się innej osobie, w innym życiu, w zupełnie innym świecie?

495

Czy ona nie rozumie, że popełniła później inne przestępstwa? Gorsze? Że popełniała je w gazetach. W wywiadzie za wywiadem. Kradzież brata Susanne. Wyrządzenie poważnej szkody jej wspomnieniom.

Eva wyprostowała się, popatrzyła Susanne w oczy i znowu się uśmiechnęła:

- Kończę pracę w sklepie. Wyjeżdżam w trasę koncertową z angielskim zespołem. Ich solista lubi mnie mówi, że nie dałby sobie rady... No, wiesz. Będzie fantastycznie, to zupełnie inna jakość niż Typhoons. Tak, no nie obraż się, ale...

Susanne nie mogła się powstrzymać, bezwiednie zrobiła krok w tył i brzydtko się wyszczerzyła. Potem odwróciła wzrok, wcisnęła ręce w kieszenie kurtki i zaczęła się przepychać do przodu. Szła długimi krokami i z mocną świadomością celu, wiedziała, że nie wytrzyma już patrzenia na Evę, słuchania jej głosu choćby jeszcze jedną minutę. A mimo to usłyszała ją, usłyszała, jak Eva woła, krzyczy na cały rynek swoim najczystszy głoŝem:

- Ależ Susanne! Stój! Susanne, proszę, zatrzymaj się!

Jednak Susanne nie zatrzymała się, zatrzymanie się było po prostu niemożliwe. Przeszła przez rynek

w swojej wymiętoszonej, starej kurtce - nagle zauważyła, że jest za cienka na tę porę roku. Równie niespodziewanie uświadomiła sobie, że nie ma szalika ani rękawiczek, że dziś rano nie uczesała się porządnie i nie zrobiła makijażu. Jest po prostu brzydka. Brzydka, nienowoczesna i głupia. Ludzie gapią się za nią, czuje to, chociaż nie może już zobaczyć, bo nie jest w stanie podnieść głowy, idzie skulona, skurczona ze wstydu...

- Tak! Susanne! Zatrzymaj się, i to już! - wołał inny głos. Głos Ingalill. Susanne wiedziała, chociaż nie mogła widzieć, że Ingalill stoi razem z innymi członkami Komunistycznego Związku Marksistów-Leninistów w samym rogu rynku, dokładnie w tym miejscu, którego Susanne zawsze unikała, żeby ich nie spotkać.

496

Żeby nie zobaczyć czerwonej banderoli rozwijanej w każdy sobotni poranek, zanim zaczęli grzechotać swoimi skarbonkami, do których zbierali datki. Ingalill wykorzystała sytuację, łapczywie ją schwyciła i teraz raz za razem złośliwie powtarzała wołanie Evy:

- Ależ zatrzymaj się, Susanne! Stój!

Susanne usłyszała chichot innych członków związku, złośliwe uśmiešky młodych mężczyzn, którzy pragnęli władzy, którzy uważali, że mają do niej prawo ze względu na moc swojego talentu, którzy traktowali władzę jako przynależną im od urodzenia, i młodych kobiet, które tęskniły za rewanzem, które chciały oddać, zemścić się na całym świecie. To dlatego Ingalill wciąż wołała to samo:

- Ależ zatrzymaj się, Susanne! Stój!

Jednak Susanne nie stanęła. Szła. Biegła truchtem. Biegła wielkimi susami i nawet się nie rozejrzała, zanim przebiegła przez ulicę.

497

- Wybacz - powiedziała Elsie. - Ale nie rozumiem. Susanne wzruszyła krnąbrnie ramionami. To nie.

Minął miesiąc, odkąd rozmawiały przez telefon. Elsie zeszła na ląd i teraz siedzi przy stole w kuchni przy ulicy Svanegatan i patrzy na swoją siostrzenicę, która jest w dość opłakanym stanie. Szara twarz. Ciemne cienie pod oczami. Gwałtowna potrzeba umycia włosów. Młoda osoba, z którą najwyraźniej trzeba się obchodzić z pewną ostrożnością.

- Nie możesz spróbować wytłumaczyć? Dlaczego tak się oburzyłaś tym, że ta Eva ma jechać w trasę koncertową z angielskim zespołem?

Susanne westchnęła. Obciągnęła szarą bluzę i spróbowała schować zaciśniętą dłoń w rękawie.

- To nie dlatego...

W salonie Birger pogłośnił telewizor. Najwyraźniej nie chciał ryzykować usłyszenia jakiegoś fragmentu rozmowy z kuchni, czegoś, co mogłoby go zmusić do wyjścia z kokonu milczenia. Elsie stłumiła

westchnienie i pochyliła się lekko do przodu. Położyła rękę na szarej powierzchni kuchennego stołu. Biała serwetka, która pełniła funkcję obrusa, była pognieciona i brudna. Cynowa miska na owoce - pusta, była w niej tylko biała pestka pomarańczy i kilka suchych łyżeczek z kiści winogron. A w oknie stały w rzędzie zeschnięte pelargonie z rozcapierzonymi, gołymi łodygami.

- Więc dlaczego?

Susanne rzuciła jej szybkie spojrzenie. Oczy jej błyszczały. Bardzo.

498

- Björn nic dla niej nie znaczył.

Elsie siedziała w milczeniu, nie wiedziała, czy ma odwagę coś powiedzieć. Susanne skuliła się jeszcze bardziej po jednej stronie stołu i wsunęła drugą dłoń w rękaw bluzy. Pociągnęła nosem.

- Byłam taka głupia. Naprawdę myślałam, że ona go kocha. Naprawdę. I że lubi mnie. Że mnie też lubi... Przynajmniej przed tamtym dniem. Ale tak nie było. Była nim zainteresowana tylko dlatego, że był znany. A mną dlatego, że byłam siostrą kogoś znanego.

Podniosła oczy, napotkała na chwilę wzrok Elsie i dodała:

- Albo jego kuzynką.

Elsie tylko kiwnęła głową. To nie miało znaczenia. Susanne powinna o tym wiedzieć.

- A teraz wyjeżdża z angielskim zespołem - powiedziała Susanne. - Bo to lepiej brzmi, angielski zespół jest zawsze lepszy od zespołu szwedzkiego. Typhoons już nie istnieją, więc rzuciła Tommy'ego. Akurat to mnie nie obchodzi, tym się akurat nie zajmuję, ale... To jest takie... Nie, nie wiem jakie! Ona jest po prostu straszna. Obrzydliwa!

Teraz nareszcie się rozplakała. Elsie wstała, sięgnęła po ręcznik kuchenny i podała go Susanne przez stół.

- Czuję się wykorzystana - powiedziała Susanne i wydmuchała nos. - Zostałam wykorzystana. Użyła mnie, żeby się do niego zbliżyć, a ja jej na to pozwoliłam. Byłam taka głupia, że nic nie rozumiałam. Niektórzy ludzie to widzieli i mówili mi, jak jest i jak to się skończy, ale ich nie słuchałam. Po prostu nie chciałam ich słuchać. A teraz nie mam już koleżanek. Ani jednej. Jestem sama i tęsknię za Björnem, tak bardzo za nim tęsknię. Za Björnem. Moim bratem. Nie za gwiazdą rocka. Myślę o nim każdego dnia i każdej nocy, ale nie ma komu o tym powiedzieć. Mój tata nie rozmawia ze mną, a moja mama... Moja mama...

499

Susanne zadygotała. Elsie wyciągnęła w jej kierunku dłoń, ale Susanne jej nie wzięła, tylko podniosła prawą rękę i zakryła nią oczy, schowała się tak, jakby się wstydziła, jakby zrobiła coś, czego należy się wstydzić. Jej głos zrobił się cieniutki jak nitka jedwabiu, ale już nie pochlipywała. Teraz nie było nawet

słysząc, że płacze

- Moja mama uważa, że nie zasługuję na to, by żyć - powiedziała cienkim głosem.

- Tak powiedziała. Powiedziała to do mnie, kiedy zwariowała. I czasem myślę, że miała rację. Nie zasługuję, by żyć.

Niemal godzinę zajęło jej, żeby skłonić Susanne do pójścia do łóżka, i kiedy ta godzina minęła, Elsie była całkowicie wykończona. Wzdychając, zamknęła drzwi do pokoju Susanne, a potem oparła się o ścianę i zamknęła oczy. Próbowała się pozbierać. Zastanowić. Zachowywać jak osoba dorosła, osoba poczuwająca się do odpowiedzialności.

Na łódź zeszła w Göteborgu, w samo południe. Natychmiast wsiadła do taksówki i pojechała na dworzec kolejowy, żeby po niespełna godzinie siedzieć już w pociągu. W Helsingborgu musiała się przesiąść do osobowego, który zatrzymywał się przy każdym postoju z obowiązkowymi bańkami mleka, żeby wypuścić synów i córki zamożnych skańskich chłopów, nastoletków, którzy chichoczą, wygłupiają się i pokrzykują, wracając do domu ze szkoły. Bardzo uważnie im się przyglądała, studiowała ich ubrania i ruchy, przysłuchiwała ich głosom i rozmowom, wdychała ich zapach i dziwiła się. Żadne z nich nie pachniało stodołą. Pachnieli mydłem i potem, dezodorantem Yaxa i - z niedowierzaniem - pociągnęła jeszcze raz nosem - Chanel Nr 5. Poza tym byli lepiej ubrani od innych nastoletków, jakich kiedykolwiek widziała, nawet tych, którzy stanowili publiczność na nagraniu programu telewizyjnego Bjórna w Anglii.

500

Wszystkie swetry wyglądały na zrobione z wełny jagnięcej albo szetlandzkiej. Niektóre dziewczyny miały bluzki z prawdziwego jedwabiu, a chłopcy nosili białe koszule i krawaty. Wszystkie wiatrówki były nowe i wzdęte. Wszystkie budrysówki i skórzane kurtki - tak czyste, że sprawiały wrażenie, jakby dopiero co opuściły sklep. Nikt nie wyglądał już na biednego. Jednak ich dialekt był tak samo wyraźny jak kiedyś, żadna samogłoska nie ześlizgiwała się z ich warg samotnie, zawsze była połączona z jakąś inną, io, ae, ou. Tylko ton ich głosu był inny. Zrobił się ostrzejszy. Mniej przyjemny. Bardziej złośliwy.

Rówieśnicy Susanne. Jej koledzy ze szkoły. Jej świat. Elsie poczuła dreszcz.

Przeszła pięć kroków do łazienki, weszła do środka i przyjrzała się sobie w lustrze. Nie zobaczyła węża, miała swoje własne oczy i to sprawiło, że zrobiła się bardziej zdecydowana. Trzeba chronić Susanne. Ktoś musi zauważyć jej istnienie i dać jej to wsparcie, którego potrzebuje. Elsie ochlapała twarz odrobiną zimnej wody i rozejrzała się w poszukiwaniu ręcznika, którym mogłaby się wytrzeć, ale na wieszaku wisiły tylko dwa małe i bardzo brudne ręczniki. Urwała kawałek papieru toaletowego, poklepała nim twarz, a potem przejechała po włosach grzebieniem. Przez sekundę przemknęło jej przez myśl jej własne mieszkanie, które ciemne czekało na nią na Sankt Olovgatan. Zobaczyła siebie samą, jak stoi na klatce schodowej i waha się - tak samo jak wiosną - przed drzwiami Lydie, a potem wzruszyła ramionami i odłożyła grzebień. Lydia jest tu najmniejszym problemem. Duchem przeszłości. Istotą bojącą się życia i tych, którzy żyją. Może nie wie nawet, że Elsie wróciła do domu. Nie zdziwiłoby jej to. W tej rodzinie nikt już z nikim nie rozmawiał.

Schodząc po schodach, mocno trzymała się poręczy. Z kuchni wydobywało się żółte światło, ale salon, gdzie siedział Birger, pogrążony był w ciemnościach. Zatrzymała się w drzwiach i patrzyła na niego.

501

Zmęczony mężczyzna w błękitnym świetle z telewizora. Zamknięty. Samotny.

- Możemy zapalić światło? - zapytała.

Birger odwrócił do niej głowę, ale nie odpowiedział popatrzył tylko na nią przez chwilę, a potem sięgnął do stojącej obok na podłodze lampy i ją zapalił. Później znowu odwrócił wzrok do telewizora. Mówił w nim jakiś ciemny mężczyzna i Birger słuchał go z wielką uwagą. Tematem była piłka nożna.

Z tego, co orientowała się Elsie, Birger nigdy nie interesował się piłką.

- Czy nie mógłbyś może wyłączyć telewizora?

Usta Birgera poruszyły się, jakby chciał coś powiedzieć, ale nie mógł. Jakby ktoś mu zasznurował usta. Jakby ktoś spiął mu wargi zszywaczem. Elsie nie zamierzała tego akceptować. Podniosła głos.

- Chcę z tobą porozmawiać. Zamrugął oczami i coś wymamrotał.

- Słucham? - zapytała Elsie.

Podniósł głos, ale nadal nie odrywał wzroku od telewizora.

- Nie ma o czym mówić.

Elsie czuła, jak w jej ciele narasta gniew - musiała zamknąć oczy i wciągnąć głęboko powietrze, żeby tego nie usłyszał, kiedy już zaczęła mówić.

- Susanne - powiedziała. Jej głos był zdecydowany, ale nie było w nim gniewu, nie było słyhać, że tak naprawdę doprowadził ją do furii. Birger nadal się nie ruszał. Siedział wyprostowany i sztywny w swoim mocno zniszczonym fotelu z lat pięćdziesiątych i martwo wgapił się w telewizor. Nie odpowiedział.

- Musimy porozmawiać o Susanne – powtórzyła Elsie. - Jest w złym stanie.

Birger wzruszył ramionami, nie odrywał oczu od ekranu.

502

Zniknął już z niego ciemny mężczyzna, Birger wpatrywał się teraz w zegar. Intensywnie. Jakby chodziło o niezwykle ważne odliczanie, a nie o przerwę między programami.

- Niczego jej nie brakuje - powiedział w końcu. - Ma jedzenie i ubrania. Chodzi do szkoły. Na co może narzekać?

Pod Elsie zabujała się podłoga, poczuła dosłownie, jak od drzwi przez cały pokój przechodzi fala, jak

uderza w ścianę po drugiej stronie, odbija się od niej i powraca. Elsie chwyciła się futryny drzwi i trzymała ją mocno, żeby nie stracić równowagi.

- Czy ty jesteś nienormalny? - powiedziała w końcu. Głos jej drżał.

Birger nie odpowiedział. Nie popatrzył na nią. Trzymał się tylko mocno poręczy fotela i gapił intensywnie w telewizor. Elsie odwróciła się od niego plecami i poszła na górę po schodach.

Pokój Björna wyglądał tak, jakby Björn przed chwilą z niego wyszedł. Na łóżku leżał niedbale rzucony sweter, czarny, z jagnięcej wełny, Elsie usiadła obok niego, podniosła go bardzo ostrożnie i przycisnęła do niego twarz. Próbowiła poczuć jego zapach, ale zorientowała się, że tak naprawdę sama się okłamuje. Jak mogłaby rozpoznać zapach Björna? Nie wie przecież, jak on pachnie. Jak pachniał. Ręka ze swetrem opadła na kolana, Elsie Wpatrywała się teraz przed siebie. Westchnęła.

Björn miał ładny pokój. Miał. Może najlepszy w całym domu. Okno wychodzące na ulicę Svanegatan, a tuż pod nim biurko, naprawdę ładne biurko z drewna tekowego, polakierowane na czarno, które sama mu kupiła. Prezent z okazji dostania się do liceum, prezent, który nie spodobał się Inez. Po dostawie chodziła naburmuszona przez cały tydzień i humor jej się nie poprawił, dopóki sama nie znalazła naprawdę ładnego koca znanej projektantki Violi Gråsten, który mógł być narzutą na jego łóżko.

504

Twierdziła, że kupiła go z przeceny, że jest wybrakowany ale Elsie w to nie wierzyła. Nie zamierzała uwierzyć. Na kocu nie było żadnej widocznej wady, nic nie wskazywało na to, że jest wybrakowany. Nadal leżała na łóżku, mieniąc się różnymi odcieniami błękitu. Inez na pewno porządnie za niego zapłaciła. Uciulała pieniądze z własnej pensji. Wymknęła się spod nadzoru Birgera.

Na myśl o Birgerze Elsie potrząsnęła głową. Nic dziwnego, że Inez zwariowała. Zupełnie nic dziwnego.

Kiedy wyszła na korytarz, stał tam - nieruchomy, czarny cień w ciemnym korytarzu obok otwartych drzwi na poddasze, na plecy padało mu światło z prowadzących na górę schodów.

- Chodź - powiedział i odwrócił się do niej plecami, a potem zaczął wchodzić po schodach. Utykał i minęła chwila, zanim Elsie przypomniała sobie o jego stopach, że jedna jest dużo większa od drugiej. Kiedy miał na sobie buty, raczej się tego nie zauważało, ale teraz był w samych skarpetkach, więc utykał.

Poddasze wyglądało mniej więcej tak jak kiedyś. Żółte światło z gołej żarówki na suficie. Nieheblowana podłoga z sosnowych desek - kilkakrotnie drzazgi powchodziły jej w palce. W rogu piętrzyły się stare meble. Nieco więcej starych mebli, niż kiedy ostatnio tu była, teraz to zauważyła. Stało tam łóżko, które wcześniej stało w małym pokoiku, w którym kiedyś sypiała. I ciężka lampa, która była w pokoju Inez i Elsie, kiedy były małe. I fotel w którym rozpoznawała tylko kształt. Ze zmienionym obiciem. Czy to Inez je zmieniła?

Birger wyprzedził ją i otworzył drzwi do pokoiku, wsunął do środka rękę i zapalił światło pod sufitem.

Tu także była tylko żarówka.

- Popatrz - powiedział, robiąc krok do przodu. -Tylko spójrz na to wszystko!

504

Elsie przystanęła w drzwiach i rozejrzała się dookoła, a potem odetchnęła i zrobiła krok do tyłu. Nie chciała wchodzić.

- Chodź - powiedział Birger. Wyciągnął do niej rękę, ale mu się wyslizgnęła. Nie chciała, żeby jej dotykał.

- Musisz wejść - powiedział Birger. Brzmiał trzeźwo. Opanowanie. Dorośle. Ona też musi być trzeźwa, opanowana i dorosła. Przeszła przez próg i weszła do środka.

Inez pomalowała ściany na biało, podłoga nadal pokryta była gazetami dla ochrony. Zaczynały już żółknąć. Na świeżo pomalowanych ścianach ktoś napisał wiele razy to samo imię. Björn! Björn! Björn! Nieraz ołówkiem. Nieraz atramentem. Któryś raz czerwonym flamastrem. Zawsze to samo imię napisane tym samym, starannym stylem. Pokrywało ściany od podłogi do sufitu.

- Mówiła, że się uczy - tłumaczył Birger. - Ale nigdy nie kupiła książek. Nigdy nie umeblowała tego pokoju. Po prostu dobrze kłamała. Nawet się nie zapisała na uniwersytet.

Elsie nie odpowiedziała, powoli obracała się, przyglądając tysiącom małych imion. Björn! Björn!
Björn! Czuła się, jakby została zamknięta w czymś krzyku. Głuchym krzyku.

- Żeby pisać na samej górze, musiała stawać na krześle - stwierdził Birger. - I leżeć płasko na brzuchu, żeby pisać na dole. Nie wiem, jak to robiła, odkryłem to dopiero, kiedy zachorowała. Wcześniej nigdy tu nie wchodziłem. Myślałem, że chce być sama. Że tego potrzebuje. To był błąd, teraz to rozumiem.

Elsie kiwnęła w milczeniu głową. Birger zerknął na nią, a potem wsadził ręce do kieszeni spodni i rozejrzał się dookoła.

- Z drugiej strony nie sądzę, że to by coś zmieniło. Nie obchodziło jej, co mówię czy robię. Po tym, jak zaginął Björn, miała mnie kompletnie gdzieś. Susanne też.

505

Miała nas totalnie w dupie. W głowie miała tylko to: Björn! Björn! Björn! Tylko Björn! Björn! Björn!

Zadrzał mu głos. Przez jedną przerażającą sekundę Elsie zdawało się, że Birger wybuchnie płaczem. Ale nie zrobił tego. Zamknął tylko na kilka chwil oczy, a potem je otworzył i popatrzył na Elsie.

- Ona żyła dla Björna. Kochała go. Tylko Björna. To dla niego wyszła za mnie za mąż, żeby miał tatę. To dla Björna trwaliśmy w małżeństwie. To dla Björna zgodziła się urodzić Susanne. Żeby Björn miał rodzeństwo. To był jedyny cel dla niej. Niestety.

Wzruszył ramionami i odwrócił się do niej plecami, pokuśtykał do drzwi, a potem jeszcze spojrzął na

Elsie przez ramię.

- Mówisz, że Susanne źle się czuje. Na pewno tak jest. Ja też się źle czuję. A najgorzej z nas wszystkich ma się Inez. Nie mogę zbyt wiele na to poradzić. Nikt z nas nie może. Tak po prostu już jest.

Potem zgasił światło i wyszedł na strych. Zostawił Elsie i już się nie obejrzał.

506

Björn zostawiał jej wiadomości.

Czasami były zaszyfrowane, ale Inez i tak je rozumiała. Tak jak teraz, kiedy obok szpitala przejechał czerwony samochód i ktoś - oczywiście to był Björn - podniósł rękę na tylnym siedzeniu. Zrobił to w widoczny sposób, chociaż w sumie nie pomachał. To, że nie machał, też miało znaczenie. Nikt nie mógł zobaczyć ani domyślić się, że mają ze sobą kontakt. Otaczają ich przecież wrogowie. Nieustannie. W każdej sekundzie. Inez kiwnęła do siebie głową w milczeniu, a potem szybko się rozejrzała, sprawdzając, czy nikt nie zauważył tego kiwnięcia.

Wyglądało na to, że nie. Jediną pacjentką na korytarzu była Karin Lundström, a ona jak zawsze szła z zamkniętymi oczami, udając, że jest niewidoma. Kompletna wariatka. Choć mogła to być oczywiście gra pozorów, mogła w ten sposób udawać, że nie jest zainteresowana, a w rzeczywistości robić staranne notatki... Tak, mogło tak być. Siostra Siv, która podeszła teraz do niej z uśmiechem, zatrzymała ją i objęła ramieniem, mogła być tą, która przejmuje notatki, a potem przekazuje je dalej. Do dowódcy naczelnego. Albo jakiegoś polityka. Do kogokolwiek, kto jest przepełniony złem. Do kogokolwiek, kto jest przepełniony zazdrością i niechęcią względem Björna.

Ale Inez Björna nie zdradzi. Nigdy w życiu. Zdążyła 'już się nauczyć, w co się gra na tym oddziale. Czasami uśmiechała się blado do któregoś z tych podnajętych wrogów. Udawała, że ich zamiar złamania jej powiódł się jakby nie rozumiała, co wyprawiają.

507

Teraz już nigdy nie pozwoliłaby sobie na wrzaski i utarczki, jak to robiła na początku. Na przykład jak wtedy, kiedy znalazła szczotkę do zębów Björna w łazience na oddziale. Stała tam sobie w kubku na szczotki do zębów obok innych szczotek w ich kubkach. Niebieska, przezroczysta. Piękna. Przypominała Björna w absolutnie oczywisty sposób taki, że musiał być równie oczywisty dla wrogów, chociaż oni udawali, że tak nie jest. To była bardzo wyraźna wiadomość od Björna, jawne wołanie o pomoc, ale kiedy Inez o tym powiedziała, kiedy wyjaśniła, co się dzieje, siostrze Siv i całej reszcie, nie chcieli jej słuchać. W zamian za to związali ją i zostawili tak na kilka dni. Ledwo udało jej się uwolnić z pasów i zaraz znalazła jego czarny sweter z jagnięcej wełny, tamten ukochany sweter, który ciągle nosił - leżał rzucony na jednym z krzeseł w pokoju. Kolejne wołanie o pomoc. A dla niej samej kolejnych kilka dni uwięzienia w pasach.

Od tej pory zrobiła się ostrożniejsza. I sprytna. Tak przebiegła jak jej wrogowie. Niemal nic już nie mówiła, nawet do Birgera, który przychodził co sobotę i siedział obok niej godzinami, oszukując i

czekając, aż Inez coś się wymysknie. Zwerbowali go. To okropne, ale prawdziwe. Zwerbowali ojczyma Bjórna, żeby pozyskiwać o nim informacje.

- Straszne - powiedziała do siebie na głos i potrząsnęła głową.

Oczywiście siostra Siv natychmiast zareagowała. Wyprostowała się, wypuściła z uścisku Karin Lundström i odwróciła się do Inez. Uśmiechnęła się swoim przesyconym hipokryzją uśmiechem.

- Co mówiałś, Inez?

Inez wahala się przez chwilę, a potem jeszcze raz potrząsnęła głową.

- Straszna pogoda.

Siostra Siv wyjrzała przez okno.

508

- No tak. Trochę się zachmurzyło. Tylko tyle. Inez uśmiechnęła się blado.

- Tęsknię za słońcem - odparła. Każdy głupi powinien zrozumieć, co to znaczy. Co tak naprawdę powiedziała. Jednak durna siostra Siv uśmiechnęła się tylko tym samym co wcześniej przesyconym hipokryzją uśmiechem i powiedziała:

- No tak. Jest grudzień. Nie ma co liczyć na zbyt dużo słońca. Ale mamy przed sobą święta, a to jakaś pociecha.

Czy oznaczało to, że zamierzają zrobić coś z Bjórnem w czasie świąt? Tak. Musiało znaczyć.

Nie wiadomo tylko, co planują. I jak. I kiedy. Inez musi się dowiedzieć. Przygotować. Żeby móc obronić Bjórna. Ktoś musi go przecież obronić.

Przez ponad godzinę siedziała zupełnie bez ruchu na swoim łóżku i rozmyślała. Nie ruszała się. Nic nie mówiła. Siedziała kompletnie niema i wyprostowana, próbując dojść do tego, jakie plany mają względem Bjórna jego wrogowie, nie poruszyła się nawet wtedy, kiedy siostra Siv wsunęła głowę przez niedomknięte drzwi:

- Mam niespodziankę - powiedziała i się roześmiała. Inez zadrżała. Nie lubiła niespodzianek. Zwłaszcza niespodzianek siostry Siv.

- Uczesz się trochę i chodź - powiedziała siostra Siv. - Zobaczysz, kto przyszedł cię odwiedzić.

Inez była całkowicie sztywna, gotowa, żeby się bić lub uciekać, ale udawała, że tak nie jest. Szła tylko odrobinę wolniej niż zwykle i mocno trzymała się balustrady przy ścianie. Mrużąc lekko oczy, usiłowała

zobaczyć przez szybę, kto na nią czeka w pokoju odwiedzin. Minęła chwila, zanim ciało zrozumiało, co widzą oczy. Zamrugła. Włosy koloru piasku. Takie jak jej. Złoty łańcuszek.

509

Jak jej własny. Bardzo blade policzki. Jak jej. Czy zrobili jej kopię? Gumową lalkę, która umie chodzić, stać i mówić? Czy teraz ją zabiją i pozwolą, żeby zastąpiła ją ta lalka? Czy lalka zajmie się zdradami, na których popełnienie Inez się nie zgadza?

Przystanąła w progu, prawie zabrakło jej odwagi by wejść do pokoju odwiedzin. Kto obroni Bjórna, kiedy jej już nie będzie? Kto?

- To twoja siostra - powiedziała Siv, popychając ją lekko w plecy. - Twoja własna siostra.

Inez nie mogła się już opierać. Postawiła nogę na linoleum pokoju odwiedzin. Teraz widziała już drugą wersję siebie samej, kopię, fałszywkę, zdrajczynię, która wstaje i uśmiecha się z lekkim drżeniem, a potem otwiera ramiona i mówi:

- Inez! Cześć! Siostrzyczko!

To już koniec. Wszystko się skończyło. Świat zbiełał od jej wrzasku.

510

Lydia musiała stać przy drzwiach i słuchać, bo otworzyła w tej samej sekundzie, w której Elsie włożyła klucz do swoich drzwi.

- Elsie - powiedziała. - To ty?

Elsie nie miała nawet siły się odwrócić, spojrzała w jej stronę i kiwnęła głową.

- Tak - powiedziała. - To ja.

Na chwilę zrobiło się cicho. Przekręciła klucz w zamku. Chwyciła klamkę. Wypuściła ją. Nie mogła po prostu wejść do środka i zamknąć za sobą drzwi, choć miała na to wielką ochotę.

- Wydawało mi się, że słyszałam cię w nocy - powiedziała Lydia. - Ale nie byłam pewna.

Brzmiała jak osoba utemperowana. Jakby właśnie ktoś ją skrzyczał lub dał jej w twarz. Elsie odwróciła się. Próbowała zmusić się do uśmiechu, pewnego, przyjaznego, zakłamanego uśmiechu, który zapewniłby Lydię, że wszystko jest w najlepszym porządku. Do uśmiechu, jakim uśmiechała się do Lydii przez całe życie.

- Wczoraj wieczorem wróciłam do domu dość późno - powiedziała. - To dlatego nie zapukałam do ciebie. Byłam najpierw na Svanegatan. A dziś rano musiałam dość wcześnie wyjechać...

- Wyjechać? - zapytała zaniepokojona Lydia. - Dokąd pojechałaś?

- Do Lund - odpowiedziała Elsie. - Do Świętego Larsa.

- Och - westchnęła Lydia, a jej ręka podskoczyła do góry i ułożyła się obronnie na lewej piersi.

511

W brzuchu Elsie zaczęła nabrzmiewać lekka wściekłość, ale szybko przełknęła ślinę, żeby ją ukryć. Nic z tego, co się stało nie jest winą Lydie. Choć z drugiej strony. Z drugiej strony to i owo tak naprawdę było jej winą. Powinna za to odpowiedzieć. Tylko że jaki miałoby to sens? Lydia i tak by nie zrozumiała. Nie umiała zrozumieć. Wszystko, co wyrządziła swoim dzieciom, wyrządzono kiedyś także jej, tylko że w jeszcze większym stopniu i gorzej. A mimo to Elsie pozwoliła sobie na drobne okrucieństwo.

- Odwiedziłam Inez - powiedziała, a jej głos brzmiał sucho. - W Świętym Larsie. Byłaś tam kiedyś?

Bardzo dobrze знаła odpowiedź na to pytanie, ale i tak je zadała. Rozkoszowała się nim. Lydia zamrugła.

- Nie miałam czasu - powiedziała szybko. - Birger jest przecież u niej w każdą sobotę, a ja nie chcę wtedy przeszkadzać. A w niedzielę jest trudno. Trzeba poprawiać klasówki i tak dalej. Przygotowuję się do tygodnia. W święta, tak to planuję... Kiedy będą ferie świąteczne.

- Aha - odpowiedziała Elsie, uśmiechając się krzywo. - To zresztą nie ma specjalnego znaczenia.

- Co masz na myśli?

- Nie poznałaby cię. Dziś nie rozpoznała mnie, na to wyglądało.

Lydia przełknęła ślinę. W jej spojrzeniu pojawiła się panika.

- Nie poznała cię?

- Nie. Na to wyglądało. Głównie krzyczała.

Gdyby Lydia nie była tak dobrze wychowana, może sama zaczęłaby krzyczeć. Ale była dobrze wychowana. Była też tak totalnie zgnębiona, że stała tylko, mrugając oczami w stronę córki, zmuszając się do wysłuchania tego, co miała ona do powiedzenia na temat drugiej latorośli.

- Krzyczała?

Jej głos był jak szept.

512

- Tak - odparła Elsie i skrzywiła się, żeby powstrzymać łzy - Bardzo dużo krzyczała. Ale potem dali jej zastrzyk i uspokoiła się.

Tak naprawdę Inez wcale się nie uspokoiła. Straciła przytomność. Kiedy sanitariuszom udało się w końcu schwycić istotę o dzikich oczach, która podobno była jej siostrą, tę wrzeszczącą, syczącą i przeklinającą istotę, po prostu usiedli na niej i wbili igłę w jej prawy pośladek. Sekundę potem straciła przytomność.

Później Elsie mogła porozmawiać z lekarzem, z panią psychiatrą z błękitnymi cieniami pod oczyma i dosyć zmęczonym głosem. Spróbują nowego lekarstwa, powiedziała, mają sporą nadzieję, że pomoże. Przynajmniej za jakiś czas.

- To dość długo trwająca psychoza - powiedziała. - Ale z tego co rozumiem, dotknęło ją wielkie nieszczęście.

Elsie kiwnęła w milczeniu głową. Lekarka pochyliła się do przodu i złożyła ręce pod brodą, zajrzała Elsie głęboko w oczy.

- To minie - powiedziała. - Wcześniej czy później to minie.

Elsie przymknęła oczy. Jej matka stała trochę skulona przy drzwiach, była jak zawsze nieskończenie schludna. Jej biała jedwabna bluzka wyglądała na dopiero co wyprasowaną. Czarne buty lśniły od polerowania. Miała starannie upięte włosy, nie wymknął się nawet kosmyk. Mimo to wyglądała dość ubogo, wyglądała na zmęczoną, zniszczoną i biedną, i nagle Elsie poczuła falę czułości. Zrobiła kilka kroków do przodu i położyła rękę na policzku Lydii, ze zdumieniem odkrywając, że Lydia nie robi uniku ani się jej nie opiera, choć Elsie zawsze sądziła, że to zrobi, jeśli ktoś jej dotknie.

513

Zamiast tego Lydia westchnęła, a jej głowa opadła jeszcze bardziej na dłoń Elsie, ułożyła się na niej, ciężka i przepelniona ufnością. Tak jakby ufała Elsie. Jakby naprawdę wierzyła, że Elsie dobrze jej życzy.

- Inez - powiedziała i znowu westchnęła. - Moja mała Inez...

- Nie martw się, mamo - powiedziała ostrożnie Elsie. - Ona wyzdrowieje. Rozmawiałam z lekarką, która obiecała, że Inez będzie zdrowa.

Jej własny głos ją uspokoił. Sprawił, że się odprężyła. Nic się nie rozwiązało, nic nie było lepiej, może nigdy się już nie rozwiąże, może już nigdy nie będzie dobrze, ale i tak Elsie nagle poczuła się całkowicie uspokojona. Jestem człowiekiem, pomyślała. Jestem tylko człowiekiem wśród innych ludzi. Nie muszę już uciekać. Uniosę swoją winę. Wytrzymam.

- Chodź - powiedziała do Lydii i objęła ją ramieniem. - Chodź do mnie, napijemy się herbaty.

Lydia przez chwilę na nią patrzyła, a potem kiwnęła głową. Elsie uśmiechnęła się do niej, uśmiechnęła najprawdziwszym uśmiechem. Teraz wiedziała już, co musi zrobić. I jak to robi.

Zacęła się jej pokuta.

514

Były w wagonie same. Zupełnie same. Przytłumione światło było brudnożółte, siedzenia zmuszały do siedzenia prosto, były obite brązowym pluszem, który od dziesiątków lat pokrywał siedzenia wszystkich szwedzkich pociągów.

Pociągi nowej generacji miały siedzenia obite czerwonym pluszem. Ten najwyraźniej nie był nowoczesny. Był to staroświecki pociąg, którego sam wystrój w jakiejś mierze poddawał się krytyce podróżnych. Co oni sobie wyobrażają? Czy naprawdę uważają, że Państwowe Koleje pozwoliłyby im na niszczenie wystroju nowego pociągu w wieczór taki jak ten? W sylwestra, kiedy wszyscy sensowni ludzie już się napodróżowali, kiedy wszystkie kobiety, młode czy stare, bogate czy biedne, stoją przed lustrem i układają włosy, a mężczyźni wiążą swoje krawaty i kiedy nikt, kto nie jest do tego zmuszony, nie wybiera się w podróż.

Oprócz ich dwóch. Elsie i Susanne.

Za oknem jest już ciemno, tylko czasem zamruga w oknie jakaś lampka, światło samochodu albo latarnie w dzielnicy willowej w pobliżu. Przyjemnie to widzieć, mieć świadomość, że gdzieś tam są ludzie, których nie przygniała smutek, ludzie żyjący bez strapień, którzy szykują się, żeby uczcić Nowy Rok, ale jeszcze przyjemniej wiedzieć, że samemu nie musi się z nimi być. Że ma się prawo dać sobie spokój. Że jest się wyzwolonym.

To Elsie wyzwoliła Susanne. To ona zrozumiała, że Susanne boi się sylwestra i związanych z nim oczekiwań, to dlatego zaproponowała jej tę podróż i za nią zapłaciła.

515

Tak samo jak zapłaciła za całe jedzenie na Wigilię. I za choinkę, którą sama kupiła i postawiła obok telewizora Birgera, na przekór jego pełnym dezaprobaty spojrzeniom. Nie wspominając już faktu, że całą podłogę wokół choinki zapełniła prezentami. Książka dla Birgera. pa czuszka pachnących mydełek dla jego mamy. Jedwabny szal dla Lydii. I piętnaście - piętnaście sztuk! - prezentów dla Susanne, paczuski z książkami, swetrami, perfumami i płytami, z bluzką i z torbą.

Susanne przyglądała się tej obfitości z radością i zdumieniem, ale nie do końca wiedziała, co powiedzieć w podzięce ani jak to zrobić. Jednak znalazło się rozwiązanie. Nie musiała nic mówić, bo Elsie śmiała się i opowiadała marynarskie historie, które sprawiały, że Lydia się czerwieniła, mama Birgera chichotała, a sam Birger rechotał zaskoczony. Potem znowu milczał, sekundę siedział bez ruchu, patrząc przed siebie, aż Elsie zaczynała kolejną historię i sprawiała, że znowu uśmiechał się wyczekująco. Po godzinie wszystko było już prawie normalne, niemal tak jak kiedyś, prawie tak, jak zawsze wcześniej było w wieczory wigilijne w czerwonym domku na Svanegatan.

Tylko że brakowało Inez i Bjórna. Co oznaczało, że nic nie było normalne.

Pomimo to w tę Wigilię doznali przebudzenia. Jakby wcześniej spali, śniąc jakieś koszmary, a teraz

obudzili się, rozejrzeli dookoła i zobaczyli, że tak, niestety, część tego, o czym śnili, to nie był koszmar, ale część ich rzeczywistego życia na jawie. Były tam smutek, przerażenie, samotność, ale mimo to życie na jawie dawało też ukojenie i pociechę, której nigdy nie było we śnie. Nadzieję. Że może być lepiej. Że mogą przyjść czasy radości, zaufania i wspólnoty. To Elsie sprawiła, że to zobaczyli, zrozumieli i poczuli, chociaż, rzecz jasna, nie powiedziała na ten temat ani słowa.

516

Uśmiechała się tylko z miejsca, gdzie siedziała. I uśmiechnięta przyjaźnie popatrywała na każdego z nich.

Teraz siedziała z zamkniętymi oczami naprzeciw Susanne i trzęsa się lekko w rytm stukotu pociągu na stykach szyn. Pewnie śpi. Może coś jej się nawet śni, bo nagle coś wymamrotała, ale tak cicho, że nie dało się usłyszeć, co mówi. Susanne przeciągnęła się, a potem oparła czoło o szybę i spróbowała wyjrzeć przez okno. Było bardzo ciemno, widziała tylko światło wagonu, w którym siedziała. Bładożółte kratki na śniegu. W jednej z nich zobaczyła własny cień. Podniosła rękę i pomachała.

- Co robisz?

Elsie obudziła się, w jej głosie słychać było uśmiech. Susanne uśmiechnęła się do niej.

- Macham do swojego cienia.

Elsie uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

- Dobrze - powiedziała. - Bardzo dobrze.

Przez sekundę siedziały w milczeniu, potem Elsie zerknęła na zegarek.

- Za dwadzieścia minut będziemy na miejscu. Susanne przytaknęła.

- Ile mamy czasu?

- Dwie i pół godziny - odpowiedziała Elsie. - Jeśli nie chcemy nocować.

- Nie - stwierdziła Susanne. - Nie chcę nocować.

- Dobrze - powiedziała znów Elsie. - W takim razie jedziemy do domu następnym pociągiem.

Nic nie było tu takie jak przedtem. Nic poza wysokim hotelem, który stał jak wykrzyknik obok stacji. Miasto było białe. Błyszczało i skrzyło się od śniegu. Niesamowitej ilości śniegu. Ulice były białe i śliskie od lodu, niemal wszystkie chodniki pokrywały wysokie zaspas, a z balkonów i dachów zwisały sople - jak długie dzidy.

517

Susanne i Elsie zatrzymały się przed stacją i rozejrzały dookoła, usiłowały wchłonąć wszystko, co tak

różniło się od mglistej, deszczowej zimy, którą za sobą zostawiły.

- Ależ tu cicho - powiedziała Elsie.

Susanne kiwnęła głową. Tak, jest cicho. Tak cicho jak tamtego dnia zeszłej wiosny, kiedy była tu po raz ostatni. Choć nie, nie do końca tak. Gdzieś w dali słychać samochód, ktoś jedzie zaśnieżonymi ulicami, pewnie na jakieś przyjęcie lub gdzie indziej. Poczwała lekką tęsknotę, ale tylko przez moment, sekundę czy dwie.

- To w tym hotelu mieszkaliście?

Głos Elsie brzmiał rzeczowo. Susanne znów kiwnęła głową.

- Czyli to stąd chciała cię wywalić ta Eva? Susanne kiwnęła głową po raz trzeci.

- Dziwna osoba - stwierdziła sucho Elsie. Susanne roześmiała się, nagle odzyskała głos.

- Chodź - powiedziała. - Pójdziemy na rynek.

Rynek Główny był pusty, tylko zaparkowany autobus i budka z kiełbaskami. Siedział w niej grubo ubrany mężczyzna, na czoło miał naciśniętą niebieską czapkę, a fartuch założony był na szarą, puchową kurtkę. Kiedy przechodziły przez ulicę, pochylał się do przodu i otworzył małe okienko, a kiedy podeszły bliżej, stał z rękami schowanymi pod fartuchem.

- Kiełbaskę? - zapytała Susanne. Elsie nie wyglądała na zachwyconą.

- Może spróbujemy jednak znaleźć restaurację? Mężczyzna w budce z kiełbaskami roześmiał się, pochylał do przodu i odezwał, mówił głośno, śpiewnym smalandzkim dialektem.

- Ha! Wszędzie jest pozamykane, poza hotelem i Domem Ludowym. A tam trzeba było zarezerwować stoliki już parę miesięcy temu. Zarezerwowały panie? Macie stolik?

518

Elsie wyglądała na nieco skonsternowaną.

- Nie, oczywiście, że nie, ale... Mężczyzna wyprostował się.

- To będzie kiełbaska. Nie ma wyboru. W całym Nassjó nic innego nie dostaniecie.

W końcu stały przed budką, każda ze swoją kiełbaską i piure ziemniaczanym, i rozglądając się dookoła, jadły w milczeniu, nie patrząc na siebie. Chłód szczyptał Susanne w uszy, zaczęły jej drętwieć palce u nóg, ale i tak czuła się całkowicie spokojna.

- Chcesz pojechać do Parku Ludowego? - zapytała w końcu. - Taksówką?

Elsie przez moment milczała.

- Nie - powiedziała potem. - Myślę, że nie. A ty?

- Nie. Wystarczy pobyć tutaj. Poza tym pewnie tam też mają zamknięte.

-Tak.

Znowu zapadła cisza. Z kiełbaski Elsie spadła na ziemię odrobina musztardy, Elsie cofnęła się szybko. W tej samej chwili Susanne zaczęła przestępować z nogi na nogę.

- Zimno - powiedziała.

- Tak - odparła Elsie. - Bardzo. Musimy się już zbierać...

Kiwnęły do mężczyzny z budki, gapił się na nie z kwaśną miną i nie odpowiedział na pozdrowienie. Zaczęły chodzić wokół rynku. Na samym końcu stał kosz na śmieci, zatrzymały się przy nim, żeby wyrzucić resztki swoich kiełbasek i papierowe talerzyki. Poszły dalej. W końcu Susanne zaczerpnęła tchu. Zdecydowała, że zada najtrudniejsze z trudnych pytań.

- Myślisz, że on nie żyje?

519

Elsie nie przystanęła. Nie wybuchła płaczem. Nie odwróciła się, żeby dać Susanne po twarzy. Po prostu szła dalej, ale jakiś czas zwlekała z odpowiedzią.

- Tak - powiedziała w końcu. - Niestety tak myślę; Niemal nie mam odwagi tego powiedzieć, ale tak jest. Myślę, że Björn nie żyje. Że umarł tamtej nocy. Susanne zamknęła oczy.

- Ja nie chcę - powiedziała bez tchu. - Chcę, żeby żył.

- Wiem - powiedziała Elsie.

- Czasem wydaje mi się, że go widzę. Że miga mi gdzieś na ulicy lub w szkole, ale to nigdy nie jest on... Zawsze ktoś inny. I wtedy jestem na niego wściekła. Totalnie wkurzona. Że sobie poszedł, zniknął, rozplynął się w nicości... Zostawił mnie.

Elsie nie odpowiedziała.

- Wyobrażam sobie różne rzeczy, nie mogę tego zmienić. To przychodzi niespodziewanie, w szkole albo kiedy kładę się spać, czasem nie zauważam, że to fantazja, wciąga mnie to... Wydaje mi się, że widzę go, jak idzie przez las. Albo jak stoi gdzieś, na jakiejś żwirowej drodze. Albo siedzi na płocie i na kogoś czeka. I nagle widzi mnie. Zawsze jest tak samo, patrzy na mnie i mówi: Przebaczam ci! Jesteś moją siostrzyczką i ci przebaczam...

Pociągnęła nosem i wytarła go ręką.

- Ale dlaczego miałby mi przebaczyć? Nie rozumiem tego. Czy to znaczy, że wszystko było moją winą? Jak mogło być moją winą? To nie ja zachowywałam się jak idiotka na scenie. To nie ja zaczęłam się bić. To nie ja pobiegłam gdzieś i zniknęłam. Dlaczego to miałaby być moja wina? Rozumiesz to?

Elsie potrząsnęła cicho głową, objęła Susanne ramieniem i przycisnęła do siebie, jakby chciała ją powstrzymać, ale Susanne i tak mówiła dalej. Słowa wylewały się z niej.

520

- Ale może on ma na myśli coś innego. Że coś innego mi wybacz. Ale co? Nie wiem. Że byłam o niego zazdrosna? Byłam. Byłam o niego bardzo zazdrosna, kiedy byłam mała.

Znowu znajdowały się przy budce z kiełbaskami. Przeszły dookoła całego rynku. Facet z budki świdrował je wzrokiem, kiedy przechodziły obok niego, ale nic nie powiedział. Elsie też nic nie mówiła. Szła tylko.

- To takie głupie - chlipała Susanne. - Kiedy byłam mała, myślałam zawsze, że w Björnie jest coś wyjątkowego. Że jest zagubionym księciem albo kimś takim. A ja byłam zwykłym dzieciakiem, we mnie nie było nic wyjątkowego. Widziałam to w jej oczach. Na Björna patrzyła specjalnym wzrokiem. Na mnie tak nigdy nie patrzyła. Nigdy! Ani razu.

- Inez? - spytała Elsie. Mówiła tak cicho, że brzmiało to, jakby się bała, że ktoś ją usłyszy.

- Tak - powiedziała Susanne. - Inez. Moja mama. Chociaż nigdy nie czułam, że jest moją mamą.

W jakiś sposób byłam tak samo osierocona jak Björn. Bardziej osierocona od niego!

Zatrzymała się w pół kroku, wyrwała z uścisku Elsie i szybko potarła rękawiczką policzek.

- Przepraszam. Nie miałam na myśli... Elsie kiwnęła głową.

- W porządku. Rozumiem, co masz na myśli.

- Na pewno?

- Na pewno.

Znowu zaczęły iść, szły w tym samym rytmie, chwilę milczały, przyglądając się samochodowi, który jechał ulicą Storgatan. Jeszcze raz minęły kosz na śmieci.

- Wydaje mi się - powiedziała w końcu Elsie. - Wydaje mi się, że wcześniej czy później trzeba pogodzić się z tym, że różne rzeczy są takie, jakie są. Także smutne rzeczy.

521

Susanne wydała cichy odgłos, ale nic nie powiedziała. Słuchała.

- Inez kochała Björna. Pokochała go od pierwszej chwili. Był jedynym człowiekiem, którego w życiu

kochała. To smutne, ale tak było. Nie możemy nic na to poradzić. Ale to nie znaczy, że ty nie jesteś warta miłości. I nie znaczy to, że nie jesteś kochana. Björn cię kochał. Ja cię Kocham. I Birger też cię kocha.

- Birger?

Zabrzmiało to jak prychnięcie. Elsie uśmiechnęła się.

- Tak. Birger kocha cię na swój sposób. Tak myślę. Jestem o tym przekonana. On tylko nie wie, jak to pokazać. Ale to nie jest najważniejsze. Najważniejsze jest, że któregoś dnia nauczysz się, jak bronić siebie samej. Susanne zacisnęła pięści w rękawicze.

- Bronić siebie? Jak mogłabym siebie bronić?

Elsie zatrzymała się. Odwróciła do Susanne, wcisnęła ręce w kieszenie kurtki i popatrzyła na nią.

- Musisz bronić siebie samej. Jesteś warta tego, by się bronić.

Susanne stała przez chwilę w milczeniu, a potem przełknęła ślinę i potrząsnęła głową.

- Nie. Nie jestem warta tego, by mnie bronić. Nie zasługuję nawet na to, żeby żyć. Tak powiedziała Inez. Moja mama.

- Inez leży w Świętym Larsie. A ty nie.

Susanne podniosła wzrok. Rozejrzała się dookoła. Nagle zauważyła wielką choinkę z setką światełek stojącą pośrodku Głównego Rynku w Nässjö. Zobaczyła, jak śnieg iskrzy się w świetle latarni. Zobaczyła, jak do wysokiego hotelu podjeżdża samochód i wysiada z niego jakaś młoda dziewczyna. Młoda dziewczyna w długiej sukni. Mogłabym być nią, pomyślała szybko. Tak. Mogłabym być młodą dziewczyną w długiej sukni. W przyszłym roku nią będę.

522

Uśmiechnęła się do Elsie.

- Będę bronić siebie - powiedziała. - Musisz mnie nauczyć, jak to robić.

- Nauczę cię trochę, tyle ile sama umiem – odparła Elsie.

523

Björna nie było. Zniknął. Wchłonięty przez lasy Smalandii.

Mimo to czasami przychodził do Elsie. Wślizgiwał się w jej myśli i pojawiał w jej marzeniach. Kiedy była sama szedł tuż za nią. Pozwalała mu przychodzić. Nie opierała się. Pozwalała, żeby działało się to, co miało się dziać.

Teraz stał za plecami Elsie w kuchni Inez i tak jak ona wyglądał na ulicę. Pochmurny dzień. W powietrzu wisiał deszcz. Ogród wyglądał nago i smutno. Nadal była zima ale już zaraz, bardzo niedługo,

miała nadejść wiosna.

- Ładnie tu wszystko zrobiłaś - powiedział Björn. Elsie uśmiechnęła się, ale nie odpowiedziała. Miał rację. Naprawdę zrobiła tu ładnie. Kuchnia Inez wyglądała tak jak wtedy, gdy mieszkał tu Björn. Na parapecie stały w rzędzie nowe pelargonie, w cynowej misie leżały błyszczące jabłka, a pod spodem - biała serwetka, ta, która służyła za obrus, rozprostowana i świeżo wyprasowana. Dalej, na blacie, stał talerz ze świeżo upieczonymi bułeczkami, czekający na powrót Inez, na to, że usiądzie przy stole i napije się kawy, tak jak tysiąc razy wcześniej.

- Nie powinieneś być umrzeć - powiedziała.

Björn westchnął za jej plecami, jego zimny oddech dotknął jej karku.

- Skąd wiesz, że nie żyję?

- Nie powinieneś być tego wybrać.

- Skąd wiesz, że to wybrałem? Elsie zignorowała go.

- Powinieneś być przynajmniej dać nam grób, na który moglibyśmy chodzić. Nie dla mnie. Ale dla Inez.

524

- Inez ma grób, na który może chodzić. W swoim wnętrzu.

Elsie prychnęła.

- Teraz jesteś wredny.

- Nie - odpowiedział Björn. - Nie jestem. Elsie szarpnęła głową i odwróciła się.

Drzwi do pokoju Susanne były otwarte na oścież. Krzesło było odsunięte od biurka, ale poza tym pokój był w idealnym stanie. Świeżo uprana narzuta lśniła bielą. Na stoliku obok leżała schludnie zamknięta książka w czerwonej okładce. W oknie kwitły fiołki. Na żadnych meblach nie leżały porzucane ubrania, na podłodze nie było żadnej rozłożonej gazety, z kosza na papiery nie dyndały podarte rajstopy.

Pokój jak z katalogu. Niezamieszkanym.

Susanne zaczęła się bronić. Na swój sposób.

Sypialnia nie była równie schludna. Ktoś siedział na narzucie w kwiatki i potem jej nie wygładził. Na oparciu fotela leżały pogniecione spodnie, a na podłodze obok stała para butów, jeden duży, drugi mały, obrócone do siebie czubkami. Na drzwiach szafy wisiała nowa sukienka Inez, ta sama, którą Birger kupił

ponad miesiąc temu, sukienka, która miała być prezentem powitalnym dla Inez, kiedy wróci do domu. Nie była zbyt ładna. W sumie dość nijaka. Granatowa z białym kołnierzykiem. Mimo to Elsie uległa namowom Birgera i przymierzyła ją, przechadzała się przed nim jak manekin i kręciła się w kółko, żeby sukienka muskała Birgera, uśmiechała się i mówiła, że to doskonały wybór.

On też się uśmiechał. Bardzo szybko. Ale i tak. Birger uśmiechał się do Elsie, a to stanowiło dowód na to, że na świecie jest nadzieja.

525

Drzwi do pokoju Björna były zamknięte. Elsie tak je zostawiła, jedynie przeszła obok nich, żeby otworzyć drzwi na strych, wśliznęła się na schody i z wprawą wyciągała rękę w poszukiwaniu włącznika światła. Zapaliła. Rozejrzała się. Wszystko wyglądało tak jak trzeba. Nowe biurko - antyk, o którym powiedziała jej Inez, kiedy znowu zaczęła być sobą - stało przed drzwiami na poddasze. Elsie je kupiła. Poszła do sklepu z antykami i dopłaciła tyle, ile była winna siostra, a potem zorganizowała transport na Svanegatan. Teraz biurko stało przed drzwiami do gabinetu. Czekalo, aż Inez sama wniesie je do środka.

Elsie otworzyła drzwi do gabinetu. Ściany lśniły białością. Nigdzie nie było widać, że ktoś kiedyś napisał na nich jakieś imię.

Elsie uklękła i zaczęła zbierać gazety, które leżały na podłodze. Kiedy tu malowała, sporo napryskała. Dużo więcej niż Inez.

Kiedy stała przy śmietniku i wyrzucała gazety, usłyszała, że podjeżdża taksówka. Usłyszała też raczej, niż zobaczyła, Birgera, jak wychodzi z samochodu. Usłyszała, jak płaci. I jak otwiera tylne drzwi i prosi:

- Chodź, Inez! Już chodź! Elsie zrobiła ci kawy, czeka w domu.

Żadnej odpowiedzi. Na ulicy było zupełnie cicho. Za jej plecami westchnął Björn.

- Wina - szepnął. - Zadośćuczynienie.

Elsie zamknęła oczy i odetchnęła. Potem przesunęła obiema rękami wzdłuż spódnicy, wyprostowała się i podeszła do frontu domu. Zobaczyła swoją siostrę, swoją bardzo bladą siostrę, jak rozgląda się przy furcie. Uśmiechnęła się. Podbiegła do furtki i otworzyła ją.

- Inez - powiedziała. - Witaj w domu.

526

Ktoś

527, 528

Nic się nie zmieniło. A mimo to nagle wszystko jest inne.

Wokół niej, tak jak wcześniej, trwa zabawa. Robert dostaje oklaski, z ironiczną wyniosłością kłania się publiczności, przechodzi dookoła z krawatem dyndającym luźno wokół szyi, odwraca się w prawo i w lewo, aż w końcu, kiedy owacje powoli się uspokajają, zwraca się do Amandy. Ponownie robi ukłon i wyszukany gest. Amanda nie może odmówić mu następnego tańca, nie teraz, kiedy wszyscy już zobaczyli, że ją poprosił. Uśmiecha się i pozwala, żeby ją objął. On też się uśmiecha i zamyka ją w swoich objęciach. Znowu zaczyna grać muzyka. Robert wykrzywia się do Vincenta znad ramienia Amandy i przyciska ją do siebie jeszcze mocniej, przesuwając palcami po jej długich, blond włosach.

Susanne znowu siada na swoim miejscu. Ścisła kieliszek wina. Wypija łyk. Zamyka oczy.

- Co mówiłaś? - pyta Anders obok niej. - Mówiłaś, że to on?

Susanne potrząsa głową, teraz jeszcze nie może odpowiedzieć. John obejmuje ją ramieniem.

- Co się dzieje? Źle się czujesz?

Susanne jeszcze raz potrząsa głową, nie może mówić, nawet nie chce mówić, wyswobadza się z jego objęć i wstaje. John podąża za nią, ale ona kręci głową i podnosi rękę na znak stop. John znowu siada i kiwa głową. Anders i Ulrika patrzą na nią, ale nie mówią nic, starają się jej nie zatrzymywać. Pozwalają, żeby wyszła.

529

Żeby dojść do drzwi, Susanne musi przejść przez parkiet taneczny. Musi przejść obok niego. Nie zastanawiając się, podnosi prawą dłoń, przyciska palce do skroni, zakrywa się, próbuje schować twarz. Sekundę potem uświadamia sobie, co robi, i opuszcza rękę. Dlaczego miałaby się ukrywać? Co takiego zrobiła? Jednak strach jest silniejszy, ten strach, który jest tylko uczuciem, a nie myślą, i który sprawia, że odkręca głowę i odwraca się profilem w prawo, tak żeby Robert, który tańczy po lewej stronie, nie zobaczył jej i nie rozpoznał, nie przypomniał sobie. Poruszając się, widzi go jednak przez moment. Robert tańczy z Amandą. Ma zamknięte oczy. Wygląda na zadowolonego.

Susanne wychodzi na boczny pokład. Bez kurtki i bez ciepłych butów. Popycha po prostu drzwi i wychodzi na dwór, pozwala, żeby lodowaty wiatr pochwycił jej włosy i sprawił, że bluzka zaczyna furkotać na plecach. Ostrożnie przechodzi przez śliski jak lód pokład aż do relingu. Pochyla się do przodu, chowa głowę w ramiona i dopuszcza do siebie myśli. Zaczyna sobie wszystko uświadamiać.

To on. Robert. Robban. Oczywiście, że to on. Wieczny żartowniś. Śmiertelnie niebezpieczny pajac. Oczywiście. A przecież nie rozpoznała go, nie uświadomiła sobie, kim jest, aż do dzisiejszego wieczoru. Dopóki nie wyciągnął z kieszeni krawata i nie zaczął udawać, że się wiesz.

Czterdzieści lat temu też to robił. Do dziś nie wpadł na nic lepszego.

Podnosi lekko głowę. Przez moment wpatruje się w ogromną górę lodową, która rozszerzona unosi swoje turkusowe wnętrza do nieba - tuż obok - która wiruje i turla się, usiłując dosięgnąć chmur, ale

jej się to nie udaje, bo zostaje wciśnięta w morze, a potem rozpycha się i napiera, bodzie i uderza, aż w końcu zostaje odepchnięta przez inne potężne bloki lodu.

530

Susanne prostuje się, odwraca plecami do porozbijanego lodu i zaczyna grzebać w kieszeniach w poszukiwaniu papierosów. Zapala jednego trzęsącymi się rękami. Wciska ręce w kieszenie. Czuje, że marznie, ale pozwala, żeby tak było. Nie stawia oporu. Zamiast tego rozkoszuje się chłodem, oziębieniem, tym, że jest jej zimno. Przemknęło jej przez głowę, że mogłaby tak żyć, że mogłaby do końca życia stać tak na pokładzie „Odyna”, ubrana w cienką bluzkę, choć z pewnością nie potrwałoby to zbyt długo. Uśmiecha się lekko do tej myśli, a potem zaciąga głęboko i znowu odwraca, żeby ponownie przyjrzeć się wydającemu pomruki lodowemu młynowi „Odyna”. Mogłby zabić. W ciągu chwili mógłby zgładzić człowieka. Rozerwać na kawałki ścięgna i muskuły, pokruszyć czaszkę i szkielet...

Głupoty. Trzeba myśleć. Nie tylko czuć.

Zatem Robban znajduje się na pokładzie „Odyna”. Został docentem chemii w bardzo zaawansowanym średnim wieku, co - biorąc pod uwagę wiek właśnie - można uznać za porażkę. Najwyraźniej nadal uważa się za fajnego chłopaka. Ma długie włosy i kucyk, chociaż nie jest mu z tym do twarzy; mimo że jego włosy są rzadkie i siwe. Ma pomarszczoną twarz i nie potrafi ukryć, że zazdrości przystojniejszym mężczyznom, młodszym mężczyznom, mężczyznom, którzy odnieśli większy sukces niż on sam. No i regularnie próbuje uwodzić kobiety, których jeszcze nie było na świecie, kiedy on sam miał swoje piętnaście minut sławy na miarę Herostratesa.

To Robban. Robert. Wyjątkowo wredny nastolatek uwięziony w ciele starszego faceta. Mężczyzna, który wpędził Bjórna do lasu. Mężczyzna, który kiedyś wpłynął na życie Susanne, robiąc miny w Parku Ludowym w Nassjő. Człowiek, który pozbawił radości życia Inez i skazał Elsie na wygnanie. Teraz jest tu. W zasięgu Susanne. A ona jest w jego zasięgu.

531

Zastyga, zaciągając się papierosem. Wpatruje się przed siebie. Kaszle. Nagle widzi i rozumie to, co powinna była zobaczyć i zrozumieć dużo wcześniej. Ależ to on! Oczywiście. To Robban raz za razem wchodził do jej kajuty. To Robban wyciągał jej ubrania, sikał po ścianach i napisał PIZDA na lustrze. To Robban ułożył na jej koi obrazek martwej kobiety, to on stał pochylony nad nią i starannie owijał skórzany pasek wokół jej niewidzialnej szyi.

Nienawidzi jej. Wie, kim ona jest, i nienawidzi jej. Nienawidzi, bo miała kiedyś brata.

Susanne zaciąga się głęboko papierosem i nagle czuje smak tytoniu. Ohydztwo. Obrzydliwość. Odrzucające. Wyrzuca niedopałek przez reling, patrzy, jak wślizguje się pomiędzy bloki lodu i natychmiast znika. Wciska rękę do kieszeni, wyciąga z niej paczkę papierosów i ją także wyrzuca. Nigdy więcej nie zamierza już palić.

A poza tym wie dokładnie, co zamierza zrobić.

Pozwala, by potrwało to kilka dni. I nocy. Czas to jedyne, co teraz ma. A do tego, rzecz jasna, kilka starych, dość zużytych sztuczek uwodzicielskich.

Na początku czuje się dość idiotycznie, wypróbując te sztuczki na Johnie, ale pociesza się, że on bierze to za dobrą monetę i wpada w jej ramiona z taką szybkością, że sama niemal traci równowagę. Jego pierwsze pocałunki nieco ją męczą i trochę jej wstyd, że jest tak wyrachowana, ale i tak nie może się powstrzymać. Po krótkiej chwili na jego koi cały wstyd znika. Serce zaczyna szybciej bić, gardło zaciska się i Susanne zapomina, do czego zmierzała, gładzi tylko ustami i dłońmi jego miękką szyję, ciepłe plecy, włochaty brzuch, przywiera cała do niego i chciałaby wśliznąć mu się pod skórę... Potem, kiedy już John zasnął tuż obok niej, uśmiecha się lekko, leży tak cicha i uśmiechnięta i w półmroku widzi jego rzeczy, które tworzą wygnieciony stos na podłodze. Jakie to szczęście, że John nie chce się żenić. I jakie szczęście, że pomimo to chce ją mieć tutaj, tak blisko siebie, noc w noc.

Rano schodzą razem do mesy, pozwalając, żeby wszyscy zobaczyli i zrozumieli, że są parą. Siadają naprzeciwko siebie do śniadania. Także lunch i obiad jedzą naprzeciw siebie. Coraz częściej towarzyszą im w tym Anders z Ulriką, którzy są już znani jako druga starsza para na pokładzie. Kilka spośród najmłodszych badaczek rzuca im czułe uśmiechy, ale Susanne jest gotowa znieść to upokorzenie.

Za to Ulrika nie jest równie pobłażliwa i po kilku ostrych komentarzach z jej strony następuje koniec czułości.

Wieczorami John i Susanne siadają w barze i piją po kieliszku wina. Albo oglądają filmy na wideo. Na koniec idą na spacer wokół statku, objęci ramionami wędrują od bocznego pokładu do rufy, przystają tam na minutę lub dwie, przyglądając się zwałom lodu, które powstają za statkiem - John wzdycha głęboko, zastanawiając się nad trudnościami, które napotka Ryba - a potem idą dalej drugim bocznym pokładem, po schodkach na górę. Każde staje na swoim stopniu na dziobie. Rozglądają się. Patrzą na małe brązowe wysepki i na biały bezkres lodu, wystawiają twarz na wieczorny wiatr albo mżawkę. Na koniec obejmują się znowu ramionami i wchodzą do środka. Czasami, kiedy przechodzą obok laboratorium, Susanne opiera głowę na piersi Johna. Tak żeby Robert naprawdę zobaczył i zrozumiał, że idą do jego kajuty, żeby spędzić tam kolejną miłosną noc.

Jej własna kajuta jest niezamieszкана. Czasami wpada do niej, żeby wziąć prysznic, zmienić ubrania i popisać trochę na komputerze. Kiedy wychodzi, zawsze rozgląda się, stojąc w drzwiach, i wszystko dokładnie zapamiętuje. Jak wygląda koka, gdzie stoi komputer, a gdzie książka, którą na niby czyta. Kiedy wróci znowu, będzie wszystko pospiesznie porównywać. Czy ktoś dotykał jej koi? Przesunął komputer? Odwrócił książkę? Na razie to się jeszcze nie stało. Na razie jeszcze go tu nie było.

Robert śledzi ją wzrokiem, Susanne już to wie. Pewnie przemyślał sprawę, zorientował się co do podobieństwa zgrywy, którą zrobił tu któregoś wieczoru, do tej, którą wykonał dawno temu, a teraz zastanawia się, czy Susanne mogła zrozumieć, kim jest. Kiedy każdego ranka siedzą przy stole konferencyjnym u kapitana, wzrok Roberta cały czas kieruje się na Susanne. A ona udaje, że tego nie

widzi.

534

Kiedy przechodzą przez plac Odyne - każde zmierzając w przeciwną stronę - Susanne uśmiecha się lekko i neutralnie, i kiwa głową, jakby Robert był kimś nieznanym, kimkolwiek. Nie pozwala, żeby zrozumiał, iż liczy jego kroki i wie, że zaraz się zatrzyma i odwróci, żeby się za nią obejrzeć. A kiedy spotykają się na korytarzu, na tym samym korytarzu, gdzie oboje mają kajuty, Susanne jedynie prześlizguje się obok niego i mówi coś obojętnie na temat pogody, nie pozwalając, by domyślił się, że ona wie, iż on zaraz przystanie i będzie się na nią gapił. Czasami Robert też próbuje się do niej uśmiechnąć, ale nie za bardzo mu się to udaje. Tak naprawdę wcale.

Wszystko jest jak należy. W czasie oczekiwania.

535

Czwartej nocy Susanne mówi Johnowi, że chciałaby spać dziś sama, a potem usiłuje ukryć uśmiech na widok, jaką przynosi mu to ulgę, jak John dosłownie może odetchnąć.

- Musimy się porządnie wyspać - mówi Susanne i obejmuje go ramieniem, kiedy stoją razem na pokładzie. - Oboje.

- Tak - odpowiada John i zmęczonym gestem przesuwając po czole. - Tak. Dokładnie tego nam potrzeba.

- Ale najpierw możemy chyba zejść sobie do baru? - pyta Susanne. - Wypić szybki kieliszek wina?

- Oczywiście - odpowiada John. - Zróbmy tak.

Susanne wie, że w barze siedzi Robert, widziała, jak tam wchodził, kiedy wkładała kurtkę, żeby wyjść na pokład. Szybkim krokiem przeciął na ukos plac Odyne, rzucając tylko przelotne spojrzenie w jej kierunku, ale nie uśmiechnął się i nie kiwnął głową. Spieszył za Vincentem i Amandą, którzy właśnie szli korytarzem do baru. Jeszcze się nie poddał. Nadal walczy o nieosiągalną, blondwłosą Amandę, chociaż jest od niego dwadzieścia pięć lat młodsza i oszałamiająco piękna, i chociaż to zupełnie oczywiste, że woli Vincenta.

Kiedy Susanne i John wchodzi do środka, Robert stoi przy barze pośród wszystkich innych stłoczonych, rozgadanych i śmiejących się pasażerów. Vincent i Amanda odsunęli się kawałek dalej, ale Robert nie odpuszcza, próbuje się do nich przepchać, chce uwieść Amandę i unicestwić Vincenta. Teraz. Natychmiast. W tej sekundzie.

536

Na jego twarzy widać pożądanie i zjadłość - nagie, roztrzęsione. Są całkowicie jawne, każdy może je zobaczyć.

Susanne nie idzie do baru. Siada przy stole, przy którym siedzą już Ulrika z Andersem, niech John przeciska się po wino. Przygląda się Robertowi kątem oka, widzi, jak zauważa Johna i natychmiast zaczyna się rozglądać po barze, żeby zlokalizować ją samą, jak ją znajduje i zadowala się tym. Sama Susanne prześlizguje się po nim obojętnym wzrokiem, a potem odwraca do Ulriki i pyta:

- Wszystko dobrze?

- Tak - odpowiada Ulrika z uśmiechem. Obok siedzi Anders z ręką na jej ramieniu. On też się uśmiecha, wygląda na bardziej zadowolonego niż kiedykolwiek wcześniej. Jest zrelaksowany. Szczęśliwy.

- A co u ciebie?

Susanne sięga po kieliszek, który podaje jej John.

- Dobrze. Wszystko dobrze.

Przez moment siedzą w milczeniu, w pełni usatysfakcjonowani ciszą. Jest przyjazna, życzliwa. Dorosła. Nikt spośród tych trojga nie wie nic o oczekiwaniu Susanne, nikomu nie powiedziała słowa o tym, co zamierza zrobić. Opowiedziała Johnowi o wizytach w jej kajucie, ale mówiła o tym bardzo lekkim tonem, nie po to, żeby go okłamać czy zmylić, tylko dlatego, że naprawdę czuje się teraz dość beztrosko. Anders i Ulrika też wyluzowali, wygląda na to, że zapomnieli o niepokoju i przykrych uczuciach w związku z tym, co ją spotkało. Od paru dni żadne z nich nie zapytało o osobę składającą wizyty w jej kajucie. Susanne jest przecież z Johnem, dlaczego mieliby się o nią martwić?

Tak, dlaczego mieliby się martwić, myśli Susanne i zerka na nich, podnosząc do góry kieliszek. To ich przecież nie dotyczy. Istnieją tylko dwie osoby, których to dotyczy.

Robert stoi teraz obok Amandy. Kładzie swoją obandażowaną rękę tuż obok ręki dziewczyny.

537

Amanda odsuwa się od niego z lekką niechęcią i przysuwa do Vincenta. On obejmuje ją ramieniem, odwraca się do Roberta i coś mówi. Robert nie odpowiada, usiłuje tylko okazać swoją wyższość, ale nie do końca mu się to udaje. Krzywi się i odwraca plecami, a potem wchodzi za ladę baru i nalewa sobie kieliszek - a raczej wielką szklankę! - czerwonego wina, zaczyna pić. Pije dużymi haustami i w trakcie picia zauważa, że znowu ma publiczność. Kilku marynarzy i naukowców przy barze śmieje się z zachwytem. Robert opuszcza szklankę, wyciera usta bandażem i zerka na nich. Uśmiecha się swoim najszerszym uśmiechem. Jeszcze raz nalewa sobie wina do szklanki.

Czas nadszedł. Susanne wie o tym. To stanie się tej nocy.

Pochyla się do przodu i kładzie rękę na ramieniu Johna. Ma podwinięte rękawy koszuli, siwe włoski łaskoczą dłoń Susanne.

- Teraz odprowadzę cię do domu - mówi Susanne. John dopija piwo i powoli potrząsa głową.

- Czasami bardzo dziwna z ciebie osoba, Susanne. Susanne wstaje, wyciąga do niego rękę i uśmiecha

się. John łapie jej dłoń. Potem idą, trzymając się za ręce do drzwi. Jak para zmierzająca do tej samej kajuty. Przekraczając próg, Susanne szybko się odwraca i widzi, że Robert odprowadza ich wzrokiem.

Tak. Tej nocy nadszedł już czas. Tej nocy on przyjdzie

538

A mimo to Susanne czuje się dość idiotycznie, kiedy tak siedzi w komórcie z rzeczami do sprzątanania i usiłuje zachować równowagę. Nie idzie jej to zbyt dobrze. Odwróciła do góry nogami jasnoniebieski plastikowy kubek i usiadła na nim, ale kubek nie chce stać w miejscu. Cały czas ślizga się, podążając za ruchem statku, nie za dużo, ale wystarczająco, żeby musiała być w pogotowiu. Susanne po omacku szuka w ciemnościach stalowego zlewu. Bo chyba jest tu zlew? Tak. Wie przecież. Pamięta. Tak, nareszcie, jest tu. Teraz może siedzieć, trzymając się zlewu. Wtedy nie będzie się ślizgać. I nie upadnie na ziemię.

Wokół jest zupełnie czarno. Kompletnie ciemno. Nie wpada nawet smużka światła z korytarza, nie błyszczą i nie świeci nawet najmniejszy foton. Oczy nie przyzwyczajają się do tej ciemności, rozszerzone źrenice nie zdołają obnażyć niczego z wnętrza komórki. Ciemność jest zamknięta. Skończona. Głucha. W tej właśnie ciemności siedzi Susanne na przekręconym do góry dnem kubku i czeka na Robbana. Na mężczyznę z przeszłości. Mężczyznę, który ma zwyczaj włamywania się do jej kajuty i robienia tam z siebie idioty.

A mimo to nie wstaje. Nie otwiera drzwi i nie wychodzi na korytarz. Nie robi czterech kroków, które ma stąd do swojej kajuty i nie zamyka się w niej na klucz. Nadal siedzi na swoim kubku, trzymając się stalowego zlewu, i nasłuchuje. Serce „Odyna” bije powoli i rytmicznie. Łup. Łup. Łup. Tylko to słyszy. Nie słychać tu lodu, który pęka i kruszy się na dworze, ani muzyki z baru, żadnych głosów ani śmiechu ludzi, którzy mijają się pospiesznie na schodach w drodze na mostek lub z powrotem.

539

Tylko to jedno. Łup. Łup. Łup.

Chociaż zaraz. Teraz coś słychać. Kroki. Ktoś idzie ciężko przez korytarz. Przystaje. Otwiera jakieś drzwi. Wchodzi do środka. Zamyka. Sekundę potem słyszy muzykę. Wypuszcza powietrze. To na pewno Magnus lub Olle. Ulga sprawia, że w oczach stają jej łzy. Kiedy on przyjdzie, w kajucie obok będzie Magnus lub Olle.

Przyjdą, jeśli zawoła. Jest tego pewna. Niemal pewna.

Statek przechyliła się. Susanne niemal traci przez to równowagę, pospiesznie wstaje, ale nie puszcza zlewu, nadal mocno go ściska. Kiedy już stoi, potrząsa głową, mruga oczami, a potem przesuwa rękami po twarzy. Spała? Tak. Musiała przysnąć, musiała siedzieć na tym odwróconym do góry nogami kubku i drzemać, nie wie, ile to trwało. Pewnie tylko parę minut, ale i tak...

Może powinna zrezygnować. Jest zmęczona, smutna i chce jej się pić, ale nie chce się poddać,

pospiesznie maca naokoło w poszukiwaniu zlewu, rozpatrując przy tym wszystkie za i przeciw. Znajduje chłodną, metalową powierzchnię. Życie nie jest takie, przelatuje jej przez głowę. Tak nie wolno robić! Ręka szuka kranu i znajduje go, kiedy Susanne sama sobie odpowiada. To moje życie, smutne, ale prawdziwe i jeśli teraz czegoś nie zrobię, on będzie wciąż to robił i Bóg jeden wie... Chwyta kran i szykuje się do odkręcenia wody, chce się pochylić i wypełnić dłonie mokrym chłodem. Pić. Zaspokoić pragnienie.

I wtedy to słyszy Odgłos ostrożnych kroków w korytarzu, dźwięk, który niemal tonie w muzyce z kajuty obok. Susanne stoi całkowicie wyprostowana, słucha. Słyszy, jak ktoś wkłada klucz do jej własnych drzwi.

540

Jak go przekręca. Jak drzwi otwierają się i niemal w tej samej chwili znowu zamykają.

On jest w środku. Wszedł do jej kajuty.

Susanne wkłada rękę do kieszeni i chwyta sztylecik Bjórna. Lub - ujmując to inaczej - jego pilnik cło paznokci.

541

- Cześć, Robban - mówi. - Nie zapalisz światła?

Dokładnie tak jak wymyśliła. Jak zaplanowała.

Przytrzymuje drzwi biodrem, trzyma je na wpół otwarte. Nie wchodzi do środka, stoi tylko na progu swojej własnej kajuty i nie zamierza dać mu szansy na to, żeby zamknął drzwi i zniknął. W środku czuje lekką radość. On tu jest! Złapała go! Potem wyciąga rękę i zapala lampę pod sufitem. Żółte elektryczne światło miesza się z szarym światłem nocy, którym zadowalał się Robban. Tak będzie lepiej. Dużo światła. Wszystkie światła na Robbana.

- Musisz wiedzieć, co robisz - mówi z uśmiechem. - Co robisz?

Robban poszarzał na twarzy. Jest bladoszary. Kurczy ramiona. Z kuczka wymknął się kosmyk włosów, który zwisa na policzek. Ma otwarte usta. Naprawdę jest zaskoczony. Dość mocno wstawiony i bardzo zaskoczony.

- Zamknij usta - mówi Susanne. - Bo połkniesz muchę. A tego chyba nie chcesz? Nie chcesz chyba połknąć muchy?

Robban zamyka usta i próbuje wyprostować plecy, poza tym stara się przybrać szyderczą minę.

- Tu nie ma much - mówi. - Znajdujemy się w Przejściu Północnym.

- Ahaaa - mówi Susanne, przechylając się przez szparę w drzwiach. - Ale ja mam własną hodowlę much. Pod koją.

Robban reaguje tak, jak reagują wszyscy mężczyźni, gdy drwią z nich kobiety. Nie może uwierzyć, że to możliwe.

542

Przez jakąś setną część sekundy jego wzrok kieruje się pod koję, ale w następnej sekundzie uświadamia sobie, że to błąd. Podnosi wzrok.

- Got You! - mówi Susanne i ponownie się uśmiecha.

- A co masz w ręce? Jakiś prezent dla mnie?

Robban patrzy na to, co trzyma w ręku, rodzaj szmacianej piłki z czarnymi kreskami na wierzchu. Mija chwila, zanim Susanne rozumie, że mają to być włosy. Długie, czarne włosy. Oczy to dwie czarne kropki. Usta równie czarne, ale większe. Obok nich lepka, mała nutka. Śpiewa. Robert najwyraźniej narysował na tej twarzy śpiewające usta. W Susanne narasta złość, ale ją ignoruje. Nie zamierza mu dać jej odczuć.

- Zrobiłeś laleczkę? - pyta tylko. - A kogo ma ona przedstawiać?

Robban zatacza się, przez moment Susanne boi się, że upadnie, zarzyga jej podłogę i wszystko zepsuje. Jednak on zatrzymuje się i w zamian podnosi do góry zdrową rękę. Gapi się na głowę. Wyszczorza zęby.

- A jak myślisz?

- Może kogoś, kto umie śpiewać - odpowiada Susanne. - Prawda?

Robban wypuszcza głowę, a ona toczy się po podłodze. Odbija się w stronę ściany i tam już zostaje. Susanne patrzy na Robbana. Czeką. W końcu przechyla głowę.

- Czyli nie jest to autoportret.

Robban nie odpowiada, gapi się tylko na głowę, a potem na Susanne. Zwęża oczy. To groźba. Gdyby był trzeźwy, być może by się przestraszyła. Jednak trzeźwy nie jest, jest dość mocno zawiany. Mogłaby go przewrócić jednym palcem. Może nawet to zrobi. W tej samej chwili, w której ta myśl przelatuje jej przez głowę, cichnie muzyka w kajucie obok. Nagle robi się wokół nich zupełnie cicho. W oddali bije jedynie serce „Odyna”. Lup. Lup. Łup.

543

- Zamknij drzwi - mówi Robban. - Zamknij drzwi i chodź tu.

Susanne znowu się uśmiecha. Niech sobie nie myśli. Kładzie rękę na framudze drzwi.

- Czy kiedy byłeś tu ostatnio, byłeś tak samo pijany? Wtedy gdy położyłeś w moim łóżku tę uduszoną kobietę?

Robban mruga oczami. Próbuje się wyprężyć.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Ojoj, Robban. Nawet nie próbuj! To był taki udany żart.

On znowu mruga, wkłada zdrową rękę do kieszeni džinsów. Próbuje znaleźć wyjście.

- Przepraszam - odzywa się po chwili. - Nie wiem, o czym mówisz. I co robisz w mojej kajucie?

Susanne wybuchła śmiechem.

- Sprytnie. Duży talent. Twoja kajuta! Właściwe podejście - atak jest najlepszą obroną.

Robban rozgląda się. Mocniej się chwieje.

- To moja kajuta! Jestem, kurwa, w mojej kajucie. Susanne kłaska czubkiem języka.

- No, no. Z graniem nie należy przesadzać. Wszystko się wtedy psuje.

Robban natychmiast przestaje się chwiać. Lekko chrząka, odwraca się do niej. Patrzy na nią. Susanne odpowiada mu spojrzeniem, z lekkim uśmiechem.

- Czego chcesz? - mówi w końcu Robban. Susanne nie odpowiada od razu, musi się najpierw namyślić. Na moment zamyka oczy, ale sekundę potem uświadamia sobie, że to błąd, więc znów je otwiera i patrzy na niego.

- Chciałabym cię pobić - mówi później. Jest zdziwiona, że jej głos brzmi zwyczajnie, jest całkowicie stały i mocny. Nie płacze. Głos nie drży jej na samogłoskach. Zwraca się do Robbana zwykłym tonem pogawędki.

544

- Chciałabym wyrzucić cię z tego statku, prosto na lód. Chciałabym, żebyś został zmiażdżony, tak jak połamany lód. Chciałabym zobaczyć, jak zamarzasz, jak rozrywa cię na kawałki niedźwiedź polarny i jak cię pożera. Tego bym chciała.

Podszedł do niej o krok bliżej. Niucha powietrze jak pies. Może wydaje mu się, że zmienił się układ sił między nimi, może mu się zdaje, że nagła powaga Susanne jest wyrazem słabości. Susanne wkłada rękę do kieszeni i zaciska w niej sztylet. Jej głos pociemniał, mówi teraz ciszej.

- Myślę, że wydaje ci się, że zostałeś niesprawiedliwie potraktowany - mówi. - Że Björn ukradł ci uznanie, bycie idolem. Ale on tego nie zrobił. Wiesz o tym. Gdzieś w środku o tym wiesz.

Robban robi jeszcze jeden krok do przodu. Znowu zwęziły mu się oczy. Susanne wyciąga z kieszeni sztylet, kładzie go na dłoni.

- Widzisz - mówi. - To sztylet Bjórna. Nadal działa. Jeżeli zrobisz jeszcze jeden krok, otworzę go.

Robban wpatruje się w sztylet przez chwilę, może dwie. Potem robi krok w tył. Bardzo mały krok. Susanne naciska guzik i wyskakuje ostrze, trzyma je przed sobą, kieruje w stronę Robbana. On robi szybko jeszcze jeden krok w tył. Susanne znów się uśmiecha. Konwersuje.

- Co teraz porabiasz? A chłopaki z Typhoons? Robban wzrusza ramionami.

- A skąd mam to wiedzieć... Susanne śmieje się.

- Ależ tak. Pewnie, że wiesz. Chłopiec z Täby na pewno wie, co się dzieje z innymi chłopcami z Täby. Opowiadaj. Robban spuszcza głowę. Patrzy w podłogę.

- Pod warunkiem że zabierzesz ten nóż. Cholerna starucho.

Susanne znowu się śmieje. Głośno.

- Cholerna starucha? Dla ciebie? Jesteś cztery lata starszy ode mnie!

- Tylko trzy. I to inna kwestia.

Susanne jest bliska opuszczenia sztyletu. Inna kwestia, bo jest mężczyzną? Jak bardzo można być głupim? Czy rozmowa z tym durnym typem ma w ogóle jakiś sens? Potem przypomina sobie, dlaczego tu jest, i mruży oczy. Trochę mocniej ściska sztylet. Robi krok do środka pokoju i kieruje sztylet prosto w niego.

- Mów! Co się dzieje z resztą chłopaków? Robban odwraca wzrok, lekko się cofa. Boi się fizyczności. Dlatego odpowiada.

- Tommy jest w firmie nagraniowej. Prowadzi księgowość. Peo - w tanecznym zespole. O Bossem i Niclasie nic nie wiem. Naprawdę.

Nagle dochodzą do nich jakieś głosy. Susanne robi krok w tył, znowu staje w progu. Głosy zbliżają się. Korytarzem idą Amanda i Vincent, podnoszą ręce, pozdrawiając Susanne, która stoi trochę dalej, i kierują się do drzwi Amandy.

- Good night - woła Amanda.

- Good night - odpowiada Susanne.

Stoi w milczeniu, kiedy oni wchodzi do kajuty. Patrzy na Robbana. Skurczył się. Zwiesił głowę. Wygląda dość żałośnie.

- Biedak - mówi Susanne. - Biedaczysko...

Robban podnosi głowę i rzuca jej wściekłe spojrzenie.

- Nie jestem żadnym biedakiem!

Susanne znowu się uśmiecha.

- O, tak - mówi. - Właśnie, że jesteś. Biedakiem. Na chwilę zapada cisza. Stoją bez ruchu, patrząc na siebie, pomiędzy nimi jest sztylet. W końcu Susanne wzdycha.

- Obmyślałam mnóstwo rzeczy, które powinnam ci powiedzieć - mówi. - O tym, jak świadczy to o innym człowieku, jeśli sika na ścianę innego człowieka.

Na przykład. O tym, przez co przeszli moi rodzice i mama Björna. I przez co ja przeszłam, wtedy. Nie chciałam powiedzieć, że jego śmierć to twoja wina, bo naprawdę tak nie uważam, chciałam ci tylko przypomnieć, że naprawdę nie masz powodów, by mu zazdrościć. Björn umarł czterdzieści lat temu, a ty nadal żyjesz. Żyjesz. Masz właśnie teraz swoje małe światełko w ciemności, ale masz to gdzieś...

Milknie. Wykrzywia się.

- Ech. Nie mam ochoty z tobą rozmawiać. Tak naprawdę nie mam ci nic do powiedzenia.

Wzdycha i milknie, ręka ze sztyletem lekko opada, sekundę potem widzi, jak Robban prostuje plecy. Podnosi więc znów sztylet i kieruje go w jego stronę.

- Masz dwie możliwości - mówi. - Może trzy, jeśli policzymy też tę, która zakłada, że rzucasz się na mnie i próbujesz mnie uciszyć. Tylko że to nie jest żadna prawdziwa opcja, oboje o tym wiemy. Masz skaleczoną rękę i ja o tym wiem, więc schwycę właśnie tę rękę i cię w nią ugryzę. Poza tym zacznę wrzeszczeć. Cokolwiek byś chciał zrobić, zdążę wrzasnąć. Pozostają zatem dwie opcje. Możemy sprawić, że przyjdzie tu kapitan. Krzyknę i Olle z Magnusem wyjdą z kajuty obok nas, a do tego jeszcze jakiś majtek czy kotłowy z innej kajuty. No i Amanda z Vincentem - są w dalszej części korytarza. Powiem im, że znalazłam cię w mojej kajucie i że robiłeś tu coś dziwnego. Ta głowa, sam wiesz. Nie będzie to dobrze wyglądało. Okej. Ktoś zaalarmuje kapitana, inni cię przytrzymają. Do końca ekspedycji pozostaniesz w zamknięciu, a kiedy wrócimy do domu, spotkamy się w jakimś sądzie.

Robban wygina górną wargę, próbuje wyglądać przekornie. Najwyraźniej wyobraża sobie kolejne piętnaście minut w świetle reflektorów. Susanne lekko wzdycha.

- To ze mną będą robili wywiady - mówi. - A ja nie zachowam dyskrecji ani na temat sików na mojej ścianie, ani na temat twojego stosunku do Amandy.

Miej tego świadomość. Może to wpłynąć na twoją pozycję na uniwersytecie.

- A trzecia opcja? - pyta Robban. Teraz brzmi już zupełnie trzeźwo.

Susanne znowu wzdycha.

- Trzecia opcja jest taka, że oddasz mi klucz. Nie wiem, jak go dorwałeś, i mówiąc szczerze, nie interesuje mnie to. Ale jeśli oddasz mi klucz i znikniesz mi z oczu, zapomnę, że kiedykolwiek cię widziałam albo słyszałam twoje imię. Stanowiłoby to w gruncie rzeczy wyzwolenie. Będziesz dla mnie osobą nieistniejącą. Znikniesz. Co o tym sądzisz?

Robban stoi sekundę bez ruchu, wpatrując się przed siebie, potem podejmuje decyzję. Wkłada rękę do kieszeni i wyciąga z niej klucz, rzuca go w kierunku Susanne. To bardzo dobrze wymierzony rzut, klucz jej nie trafia, ale ląduje u jej stóp. Susanne spogląda na niego i podnosi głowę.

- Podnieś go - mówi. Ma lodowaty głos. Słyszy to sama.

Robban spogląda jej w oczy, lekko się uśmiecha. Podchodzi pięć kroków do niej, przykłęka, podnosi klucz i wyciąga go do niej. Bawi się. Uduje. Pragnie publiczności. Z kucyka wysunęło się jeszcze więcej włosów, nad prawym okiem dynda gruby kosmyk. To wywołuje irytację Susanne. Mówiąc szczerze, wkurza ją to do nieprzytomności. Pochyla się do przodu, chwytając kosmyk i owija go wokół prawej ręki, pociąga mocno. Robban krzyczy, to bardzo donośny i bardzo piskliwy krzyk. Podnosi ręce, żeby się ochronić, potem je opuszcza i klęczy przed nią z zamkniętymi oczami.

- Zamknij się - mówi Susanne. Słyszy siebie samą i czuje zdumienie. Czy naprawdę powiedziała mu, żeby się zamknął? Tak. Właśnie to zrobiła.

Rozkoszuje się tym, sprawia jej przyjemność ponizanie go. Przez moment stoi bez ruchu, nasłuchuje, co się dzieje w korytarzu. Wszystko jak zawsze. Serce „Odyna” bije. Lup. Lup. Lup.

- Jeszcze jedno - mówi Susanne i otwiera drzwi szafy, nie wypuszczając z ręki jego włosów. Robbanowi ciekną po policzkach łzy, ale nie szlocha, nie płacze. Łzy wyciska mu ból u nasady włosów. Musi mieć bardzo wrażliwą skórę głowy. To dobrze. Przez moment Susanne czuje, jak bardzo musi go boleć, ale nie sprawia to, że go puszcza. Wręcz przeciwnie. Jeszcze mocniej ciągnie go za włosy, jednocześnie grzebie w szafie, trzymając przy tym sztylet w dłoni. W końcu znajduje to, czego szukała. Wyciąga plastikową reklamówkę i potrząsa nią przed nosem Robbana, trzymając ją w tej samej ręce co sztylet.

- Patrz - mówi. - Reklamówka. Będziesz z nią teraz pełzał po podłodze. Ja będę szła obok, trzymając cię za włosy, więc nie musisz się martwić. Nie zniknę. A kiedy dojdziemy już do głowy Bjórna, do tej ładnej lalczki, którą zrobiłeś z jego głowy, włożysz ją do tej reklamówki. Potem bardzo porządnie ją zawiążesz i mi dasz. Chcę mieć twoje DNA. Rzecz jasna. A ta główka jest pełna twojego DNA. Prawda? Więc gdyby coś mi się stało, to ta rzecz się ujawni. Możesz mi wierzyć!

Robban kwili, czołgając się. Kiedy jest już na miejscu, pociąga nosem. Jednak robi to, co mu kazała, a Susanne cały czas idzie obok niego i trzyma go naprawdę mocno za długie, siwe włosy. Potem prowadzi go do drzwi. Odbiera mu reklamówkę. Przeczłołguje go przez próg. Wypuszcza jego włosy dopiero, kiedy jest już na korytarzu, a potem odwraca się i natychmiast wchodzi do swojej kajuty, zatraskując za sobą drzwi. Zamyka je na klucz. Potem opiera się o drzwi i wybucha płaczem.

Kim ona jest? Kim się stała?

Oczywiście nie ma odwagi zasnąć. Przez wiele godzin siedzi skulona na koi, obejmując nogi i ściskając w rękę sztylet Björna. Niespokojnie nasłuchuje odgłosów z korytarza. Jednak na zewnątrz jest cicho. Jakby była jedyną żywą osobą na pokładzie „Odyna”. Opiera czoło na kolanach i próbuje sobie przypomnieć, stara się dopilnować, żeby każda sekunda tego, co się właśnie wydarzyło, została na zawsze w jej głowie, ale to się nie udaje. Napierają na nią inne obrazy. Patrząca z pogardą Inez mówi coś o tym, że Susanne wygląda jak wymalowany trup. Birger, który spada ze schodów na Svanegatan, zlatuje z nich po raz setny, rozsypując na podłodze niebieskie zeszyty swoich uczniów. Björn, który śpiewa na scenie, a potem nagle znika, i Susanne, która otwiera ze zdumienia usta pod spódnicą jakiejś dziewczyny. Eva rzuca jej pełne pogardy spojrzenie. A na Rynku Głównym w Nässjö stoi Elsie i patrząc na Susanne, coś mówi. O tym, co najważniejsze.

Susanne podnosi głowę. Naprawdę nauczyła się bronić. Oczywiście nie powoduje to, że rzeczywistość staje się łatwiejsza, ale mimo to Susanne wie, że nigdy się nie podda. Będzie broniła siebie do dnia śmierci. Bo jeśli nie będzie się bronić, nie będzie mogła żyć. Wtedy jej życie nie będzie życiem.

Susanne otwiera dłoń i zerka na sztylet Björna. Uśmiecha się. Potem się rozgląda, widzi świecące słońce, które wysyła oślepiające złote promienie w jej okno. Nadal jest noc, ale pojawiły się już fotony.

Susanne wstaje i sięga po kurtkę. Wyjdzie teraz na pokład i będzie się cieszyć, że żyje.

Leif Eriksson przeciąga się, mruga i próbuje odpędzić senność.

To najgorszy kawałek nocnej wachty. Tuż po trzeciej. Powieki zaczynają ciążyć i sen próbuje przejąć stery, to wtedy zdarza mu się śnić, chociaż naprawdę nie śpi. Nie jest to dobre. Może powinien wypić jeszcze jedną kawę.

Ustawia autopilota i wstaje, idzie do ekspresu po kawę, ale już z daleka widzi, że dzbanek jest pusty. Do cholery. Trzeba zaparzyć świeżej. Jeszcze zanim dojdzie, wyciąga rękę, odkręca kran i przepłukuje dzbanek. Znowu mruga, wyciąga puszkę z kawą i starannie odmierza siedem miarek. Dziś w nocy potrzebuje mocnej kawy. Naprawdę mocnej kawy.

Za oknem przesuwa się coś białego, mija kilka sekund, nim Leif uświadomi sobie, że to srebrna rybitwa, samotny ptak kołujący wokół mostka kapitańskiego. Podchodzi do okna i sprawdza, widzi, jak biały punkt przesuwa się wzdłuż pokładu, niemal muska dach laboratorium, a potem unosi się w górę, jak wznosi się coraz wyżej i wyżej na swoich białych skrzydłach, a potem leci dalej ponad lodem.

Pięknie. Tak pewnie by się powiedziało, gdyby się było babą.

Pogoda też jest piękna, teraz to widzi. Świeci słońce. Nad światem zamyka się błękitna kopuła nieba, nieco jaśniejsza na horyzoncie, ale wyżej intensywnie lodowato niebieska. W zasięgu wzroku nie ma ani

jednej chmury. Na lodzie pełno turkusowych kałuży, może jest ich trochę więcej niż zwykle, może są odrobinę głębsze.

Tak, niestety. Tak jest. Tu na górze też robi się cieplej. Nie da się zaprzeczyć. Może Leif Eriksson jest jednym z ostatnich ludzi w historii świata, którzy płyną lodołamaczem przez Przejście Północno-Zachodnie. Na tę myśl wzbierają mu w oczach łzy, a kiedy to sobie uświadamia, robi się zły. Wyciera szybko oczy. Co za cholerne bzdury! Jest tylko zmęczony, zdecydowanie wyczerpany. Musi się napić kawy.

Chwyta kubek obiema rękami i powoli wędruje wokół mostka, czując, jak kofeina wsącza się w jego żyły, jak prostują mu się plecy, oczy przestają mrugać i mózg powoli staje się jego własnym mózgiem. Już nie śni. Nie myśli o idiotyzmach. Leif jest teraz porządnym, sensownym sternikiem, naprawdę jednym z najlepszych w swojej klasie, przyzwoitym chłopem, który patrzy na lodowce. Nie pozwala sobie, by widzieć to wszystko z góry, wyobrażać sobie, że siedzi okrakiem na jakimś satelicie i podróżuje w kosmosie, spoglądając w dół na ziemię, na tę błękitną planetę w małej, białej czapeczce...

Do diabła. Leif wypija jeszcze łyk kawy, duży łyk, i podchodzi do okna, opiera czoło o chłodną szybę. Patrzy w dal, usiłując zobaczyć każdy szczegół na lodzie, aż po horyzont. Może być tak, że zbliżają się do terenu otwartych wód. Tak. W oddali jest bardzo niebiesko. Leif odstawia kubek i odwraca się, podchodzi szybko do pulpitu sterowniczego, żeby wziąć swoją lornetkę, ale nagle zatrzymuje się. Jakiś ruch. Tak, na pokładzie ktoś się porusza. No tak, to ona. Wyłoniła się przed laboratorium.

To ta sama baba, co ostatnio. Ta błada. Z kędzierzawymi włosami. Choć dziś w nocy jest porządnie ubrana, nie gania dookoła w samej koszuli, jak ostatnio. Niebieska kurtka, niebieskie spodnie, porządne buty. Za to bez rękawiczek i bez czapki, włosy unosi jej wiatr, musi je odgarniać z twarzy.

Co ona robi na zewnątrz? Będzie znów śmieciła? Czy ta osoba nigdy nie sypia?

A ona wspina się na podnózek na samym czubku dziobu, pochyla szybko nad relingiem i spogląda na lód, a potem patrzy w niebo. Przez długą chwilę stoi zupełnie bez ruchu, patrząc w górę, a potem nagle puszcza reling i rozkłada szeroko ręce. Wygląda, jakby chciała polecieć. Albo objąć cały świat.

Leif Eriksson patrzy na nią. Nie myśli, nic nie czuje, stoi tylko bez ruchu, patrząc na nią. Potem sam też bardzo powoli rozkłada ramiona. Nagle on także pragnie latać. On też chce objąć cały świat, ten niezrównany, wyjątkowy świat, na którym żyje. Uśmiecha się do siebie. To niepewny, nieco drżący uśmiech. Tak. Żyje. Przyszło mu przeżyć całe życie na tym właśnie świecie.

Potem przymyka oczy, przypomina sobie, kim jest i gdzie się znajduje, chwyta lornetkę i podnosi ją do góry. W milczeniu i z powagą przygląda się otwartym wodom na horyzoncie.

Koniec